

Cody McFadyen

Maska śmierci

(The Face of Death)

Przełożył Dariusz Ćwiklak

Brieannie, mojej Małej B

Część I

U źródła

Gdzie mroczne istoty gaszą pragnienie

Śni mi się maska śmierci.

To maska, która cały czas się zmienia, nosi ją wielu ludzi w złym czasie, w końcu każdy ją wkłada. Spoglądałam na tę maskę już tyle razy.

Przecież to twoja praca, głupia.

Tak mówi mi jakiś głos w moim śnie.

Głos ma rację. Pracuję w FBI w Los Angeles i poluję na najgorszych z najgorszych: zabójców dzieci, seryjnych morderców, mężczyzn (a czasami kobiety) bez sumienia, bez hamulców, bez skrupułów. Robię to od ponad dziesięciu lat i jeśli nie widziałam jeszcze każdego oblicza śmierci, to na pewno widziałam ich wiele. Śmierć jest nieskończona i bezwzględna. Jej niewzruszona twarz odciska piętno na duszy człowieka.

Dziś w nocy maska się zmienia jak światło błyskające we mgle, migoce na twarzach trojga moich bliskich. Męża, córki, przyjaciółki. Matta, Alexy, Annie.

Martwy, martwa, martwa.

Patrzę w lustro, w którym nie widać odbicia. Lustro śmieje się ze mnie. Ryczy jak osioł, muczy jak krowa. Uderzam w nie pięścią i lustro rozpada się na kawałki. Na moim policzku zakwita jak róża fioletowy siniak. Jest uroczy. Czuję go pod palcami.

W kawałkach lustra pojawia się moje odbicie.

Znów słyhać głos: „Odlamki też mogą odbijać światło”.

Budzę się ze snu i otwieram oczy. To dziwne uczucie, w jednej chwili przejść z głębokiego snu do pełnej świadomości. Ale przynajmniej nie

budzę się już z krzykiem.

Nie mogę tego samego powiedzieć o Bonnie. Przewracam się na bok, żeby na nią spojrzeć, ostrożnie, by jej nie potrącić. Ale Bonnie już nie śpi. Patrzy mi w oczy.

– Obudziłam cię, kochanie? – pytam.

Kręci głową. *Nie*, mówi.

Jest już późno, a pod powiekami wciąż czai się sen. Jeśli zechcemy, znów nas dopadnie. Wyciągam ręce. Moja adoptowana córeczka przysuwa się bliżej. Przytulam ją mocno, ale nie za mocno. Czuję słodki zapach jej włosów; pochłania nas ciemność i szept oceanu.

Kiedy się budzę, czuję się świetnie. Naprawdę wypoczęta, jak już dawno nie byłam. Sen przyniósł mi uczucie oczyszczenia. Delikatnego peelingu.

Wrażenie oddalenia, spokoju, nie muszę się spieszyć. Nie mam się właściwie czym martwić, a to dziwne, bo obawa towarzyszy mi zawsze jak fantom utraconej kończyny. Jakbym tkwiła w bańce, a może w łonie matki. Poddaję się temu wrażeniu, przez chwilę unoszę się swobodnie, wsłuchuję w odgłosy własnego ja. Jest sobotni poranek, potwierdza to nie tylko kalendarz, ale i moje samopoczucie.

Spoglądam na miejsce, gdzie powinna być Bonnie, ale widzę tylko pogniecioną pościel. Nadśluchuję i słyszę ciche kroki. Tupot dziesięciolatki biegającej po domu. Życie z dziesięcioletnią córką potrafi być jak życie z wróżką. Magiczne.

Przeciągam się jak kocica. Cudownie. Brakuje tylko jednego, żeby ten poranek był idealny. Myślę o tym i pociągam nosem.

Kawa.

Zwlekam się z łóżka i schodzę do kuchni. Z satysfakcją zauważam, że mam na sobie tylko stary T-shirt i coś, co nazywam babcinymi barchanami, a na nogach śmieszne futrzane papucie w kształcie słoni. Moje włosy wyglądają, jakby przetoczył się przez nie huragan. Ale nie ma to żadnego znaczenia, bo zaczęła się sobota, a w domu jesteśmy tylko my dwie.

Bonnie wita mnie na dole przy schodach z kubkiem kawy.

– Dziękuję, pączusiu. – Piję łyk. – Doskonała – mówię i kiwam głową. I rzeczywiście jest doskonała.

Siadam przy stole w jadalni, sącząc kawę. Bonnie pije mleko, patrzymy na siebie. To bardzo, bardzo miła cisza. Uśmiecham się.

– Cudowny poranek, prawda?

Bonnie też się uśmiecha tak, że robi mi się ciepło na sercu. Jak zwykle. Kiwa głową.

Bonnie nie mówi. Jej milczenie nie wynika z ułomności fizycznej. Jest skutkiem tego, że na własne oczy widziała, jak poderżnięto gardło jej matce. Zabójca przywiązał ją potem do zwłok matki, twarzą w twarz. Spędziła tak trzy dni. Od tamtego czasu nie odezwała się słowem.

Annie, jej matka, była moją najlepszą przyjaciółką. Zabójca dopadł ją żeby zadać mi ból. Czasami dociera do mnie, że Annie zginęła, bo była moją przyjaciółką. Ale na ogół unikam tych myśli. Udaję, że ich nie ma, to coś zbyt wielkiego i mrocznego, przygniatającego, cień wielkości wieloryba. Gdybym za często dopuszczała do siebie tę prawdę, zniszczyłaby mnie.

Kiedyś, gdy miałam sześć lat, wściekłam się o coś na matkę. Nawet nie

pamiętam o co. Miałam kociaka, nazywał się Pan Rękawiczka. Podszedł wtedy do mnie z ufnością jaką mają zwierzęta. Wiedział, że jestem zdenerwowana. Podszedł do mnie z bezwarunkową miłością a ja potraktowałam go lekkim kopniakiem.

Nic mu się nie stało. Nawet nie zamiauczał. Ale od tamtej pory nie był już tym samym kociakiem. Kulił się, kiedy podchodziłam, żeby go pogłaskać. Do dziś, kiedy przypominam sobie Pana Rękawiczkę, zżerają mnie wyrzuty sumienia. Nie jakieś drobne ukłucie, ale poczucie czystego okropieństwa jak rozdrapanie rany w duszy. Postąpiłam źle. Wyrządziłam wielką krzywdę niewinnej istocie. Nigdy nie powiedziałam nikomu, co zrobiłam Panu Rękawiczce. To tajemnica, którą zabiorę ze sobą do grobu. Wolę się za ten grzech smażyć w piekle niż go wyznać.

Kiedy myślę o Annie, czuję się, jakbym sponiewierała Pana Rękawiczkę na śmierć. Wygodniej więc jest starać się o tym nie myśleć, przeważnie.

Annie zostawiła mi Bonnie. Jest moją pokutą. To nieuczciwe, bo Bonnie to magia, cud i blask słońca. Milczenie, krzyki w nocy i tak dalej. Pokuta powinna wiązać się z cierpieniem. A Bonnie sprawia, że się uśmiecham.

Myślę o tym wszystkim w tej jednej chwili, patrząc na nią. Myśli są jak błyskawica.

– Co ty na to, żebyśmy sobie poleniuchowały przez kilka godzin? A potem pójdziemy na zakupy.

Bonnie zastanawia się nad tym przez moment. Zawsze tak robi. Na nic nie reaguje od razu. Naprawdę musi wszystko przemyśleć, żeby mieć pewność, że nie popełnia błędu. Nie wiem, czy to wynika z jej przeżyć,

czy z charakteru. Uśmiechem i skinieniem głowy daje mi do zrozumienia, że już postanowiła.

– Superowsko. A teraz śniadanko?

Tu nie ma się nad czym zastanawiać. Jedzenie to wyjątek od reguły. Bonnie przytakuje od razu i z entuzjazmem.

Krzętałam się, przyrządzając bekon, jajecznicę i tosty. Kiedy jemy, postanawiam omówić z nią nadchodzący tydzień.

– Mówiłam ci, że wzięłam kilka tygodni wolnego, pamiętasz?

Kiwa głową.

– Zrobiłam to z wielu powodów, ale przede wszystkim z jednego. Chciałam o tym z tobą porozmawiać, bo... bo chyba to będzie coś dobrego, ale pewnie i nieco trudnego. Trudnego dla mnie.

Pochyla się i wpatruje się we mnie intensywnym, cierpliwym spojrzeniem.

Popijam kawę.

– Postanowiłam, że czas pożegnać się z niektórymi rzeczami. Z ubraniami Matta, jego kosmetykami. Z częścią zabawek Alexy. Oczywiście nie ze zdjęciami czy czymś takim. Nie mam zamiaru ich skasować. Tylko... – szukam słów. Znajduję je i układam w proste zdanie.

– Tylko nie muszą już tutaj mieszkać.

Krótkie zwykłe stwierdzenie. Pełne wszelkich możliwych znaczeń, wiedzy, obaw, miłości, nadziei i rozpacz. Zdanie wypowiedziane po przemierzeniu pustyni ciemności.

Prowadzę wydział zabójstw ze szczególnym okrucieństwem w FBI w Los Angeles. Jestem dobra w tym, co robię – naprawdę dobra. Kieruję ekipą złożoną z trzech ludzi, których sama wybrałam. Wszyscy to

wzorowi stróże prawa. Mogłabym pewnie wykazać więcej skromności, ale wtedy zwyczajnie byłabym nieszczera. Mówiąc krótko, naprawdę nie chcielibyście być w skórze psychologa, którego ściga mój zespół.

Rok temu polowaliśmy na niejakiego Josepha Sandsa. Sympatyczny sąsiad, kochający ojciec dwójki dzieci, miał tylko jedną wadę – pustkę w środku. Najwyraźniej niczym się nie przejmował, czego na pewno nie można było powiedzieć o młodych kobietach, które torturował i zabijał.

Deptaliśmy mu po piętach – czyli byliśmy bliscy ustalenia jego tożsamości – kiedy zmienił cały mój świat. Pewnej nocy włamał się do mojego domu i używając tylko liny i noża myśliwskiego, zniszczył cały mój wszechświat. Na moich oczach zabił Matta, mojego męża. Zgwałcił mnie i okaleczył. W końcu chwycił moją córkę Alexę i zasłonił się nią jak ludzką tarczą. Kula, którą wystrzeliłam w niego, trafiła w nią.

Odplącałam mu, pakując w niego cały magazynek, a potem następny. Przez pół roku nie mogłam się zdecydować, czy żyć dalej, czy rozwalić sobie łeb.

Potem zginęła Annie i pojawiła się Bonnie, i z czasem życie znowu chwyciło mnie mocno w ramiona.

Większość ludzi nie jest w stanie sobie wyobrazić, że śmierć może się wydawać lepsza od życia. Życie jest mocne. Trzyma nas na wiele sposobów – od bicia serca, poprzez promienie słońca na twarzy, po twarde gruntu pod stopami. Trzyma i nie puszcza.

Ale ja czułam, że ten uścisk słabnie. Jak nić pajęczyny, na której wiszę na skraju wieczystej przepaści. Z czasem pojawiły się dwie nici, potem pięć. W końcu zrobiła się z nich lina. Przepaść zaczęła się oddalać i nagle zdałam sobie sprawę, że życie znów trzyma mnie mocno. Zaczęłam czuć,

że oddycham, że pulsuje mi krew, zaczęło mi na tym zależeć. Przepaść zniknęła gdzieś za horyzontem.

– Czas znowu urządzić tu prawdziwy dom, kochanie. Rozumiesz?

Kiwa głową. Widzę, że rozumie doskonale.

– A teraz coś, co pewnie ci się spodoba. – Uśmiecham się lekko. – Ciocia Callie wzięła trochę wolnego i wprowadzi się do nas na jakiś czas, żeby nam pomóc. – Na twarzy Bonnie maluje się uśmiech czystej rozkoszy. – Przyjedzie też Elaina.

Oczy dziesięciolatki błyszczą jak latarnie szczęścia. Jej radość mnie oślepia. To zdecydowane „tak”. Uśmiecham się.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Potakuję głową. Wracamy do jedzenia. Pochłaniam śniadanie, kiedy nagle czuję, że Bonnie znów na mnie patrzy z przekrzywioną głową. Na jej twarzy maluje się pytanie.

– Zastanawiasz się, dlaczego do nas przyjadą?

Skinienie głową.

– Ponieważ... – Wzdycham. To kolejne pojedyncze, proste zdanie. – Ponieważ sama nie dam sobie rady.

Jestem zdecydowana, żeby iść naprzód. Ale też trochę się boję. Tak wiele czasu spędziłam w stanie emocjonalnego rozchwiania, że podejrzliwie traktuję tę odzyskaną stabilizację. Chcę, żeby przyjaciele mnie podtrzymali, jeśli znów się lekko zachwieję.

Bonnie wstaje z krzesła i podchodzi do mnie. Czuję w niej taką delikatność. Taką dobroć. Jeśli w moich snach pojawia się oblicze śmierci, to ona jest samą miłością. Wyciąga palec i wodzi nim lekko po bliznach, które pokrywają lewą stronę mojej twarzy. Odłamki. Jestem lustrem, z

którego pochodzą.

Serce mam to pełne, to puste, pełne i znów puste.

– Ja też cię kocham, skarbie.

Przytulamy się przez chwilę, wyrażając tym wszystko. I wracamy do śniadania. Po jedzeniu wzdycham z zadowoleniem. Bonnie głośno się odbija. Następuje nieoczekiwana cisza, a potem obie wybuchamy śmiechem prosto z trzewi. Wyjemy, aż ciekną nam łzy, śmiech przechodzi powoli w chichot, w końcu zostają tylko uśmiechy.

– Chcesz pooglądać kreskówki, pączusiu? Oślepiający uśmiech jak słońce na różanym polu. Uświadamiam sobie, że to najlepszy dzień, jaki przeżyłam w ciągu ostatniego roku. Absolutnie najlepszy.

Chodzimy z Bonnie po centrum handlowym Glendale Galleria. Dzień staje się coraz lepszy. Zatrzymałyśmy się w Sam Goody's, żeby pooglądać płyty. Ja kupuję składankę *Największe przeboje lat 80.* – a Bonnie najnowszy album Jewel. Obecne zainteresowania muzyczne Bonnie najwyraźniej harmonizują z jej stanem ducha: słucha piosenek pełnych myśli i piękna, ani nieszczęśliwych, ani radosnych. Czekam na dzień, kiedy poprosi, żebym kupiła jej coś, przy czym nogi same rwą się do tańca. Ale dziś mniej mi na tym zależy. Bonnie jest szczęśliwa. I tylko to się liczy.

Kupujemy gigantyczną paczkę solonych precli i siadamy na ławce, żeby je zjeść i pogapić się na ludzi. Obok przechodzi para nastolatków; nie widzą świata poza sobą. Dziewczyna ma kilkanaście lat. Brunetka, niezbyt atrakcyjna, wąska w ramionach, z szerokimi biodrami. Ubrana w dzinsy biodrowki i top bez rękawów. Chłopak, mniej więcej w jej wieku, jest uroczo wręcz nieapetyczny. Wysoki, chudy, niezdarny, nosi grube okulary, ma obfity trądzik i włosy za ramiona. Dłoń trzyma w tylnej kieszeni spodni dziewczyny, ona obejmuje go w pasie. Oboje są młodzi i odlotowi, dziwni i szczęśliwi. Dwie kaczki zupełnie z innej paczki. Uśmiecham się na ich widok.

Widzę, jak mężczyzna w średnim wieku przygląda się pięknej dwudziestokilkulatce. Dziewczyna jest jak dziki koń, pełna nieudawanej witalności. Doskonale kruczoczarne włosy do pasa. Idealna opalona skóra. Uroczy uśmiech, uroczy nosek, urocze wszystko. Bije od niej pewność

siebie i zmysłowość, raczej nieświadoma niż na pokaz. Mija mężczyznę. Facet wciąż stoi z rozdziawionymi ustami. A ona nawet go nie zauważa. Samo życie.

Czy ja kiedyś też taka byłam? – rozmyślam. Istotą piękną na tyle, by zredukować męskie IQ?

Prawdopodobnie tak. Ale czasy się zmieniają.

Co prawda teraz też się za mną oglądają. Ale nie z pożądania. Raczej z ciekawości, a czasami z odrazy. Trudno ludzi za to winić. Sands dobrze się postarał, kiedy kaleczył mi twarz.

Prawa strona jest doskonała i nienaruszona. Prawdziwy koszmar kryje się z lewej. Blizna zaczyna się tuż przy włosach, pośrodku czoła. Biegnie prosto w dół między brwiami i dalej skręca nagle w lewo pod kątem niemal dziewięćdziesięciu stopni. Nie mam lewej brwi, w jej miejscu znajduje się blizna, której wyboista ścieżka ciągnie się przez skroń, wygina leniwym łukiem w dół przez policzek. Potem kieruje się w stronę nosa, sięgając jego grzbietu, by wrócić na skos przez lewe nozdrze i pomknąć w dół po szczęce, wzdłuż szyi, aż do mostka.

Mam jeszcze jedną bliznę – prostą i doskonałą, która biegnie spod lewego oka do kącika ust. Jest nowsza niż pozostałe. Mężczyzna, który zabił Annie, zmusił mnie, żebym się okaleczyła, a on patrzył i czuł żądzę. Z rozkoszą przyglądał się, jak krwawię, podniecenie kipiało w jego oczach. To była jedna z ostatnich rzeczy, jakich doznał, nim rozwalіłam mu łeb.

Te blizny widać. Poniżej szyi pod bluzką są jeszcze inne. Od noża i rozżarzonego końca cygara.

Dość długo wstydzіłam się swojej twarzy. Rozpuszczałam włosy na

lewą stronę, próbując ukryć to, co zrobił mi Joseph Sands. Kiedy życie znów chwyciło mnie mocno za serce, zaczęłam inaczej patrzeć na te blizny. Dziś chodzę z włosami związanymi ciasno w koński ogon i każe światu oglądać moją twarz.

Reszta mnie może nawet być. Jestem niewysoka, metr pięćdziesiąt pięć. Matt mówił, że mam „cycki na jeden kęs”. Nie jestem chuda, ale utrzymuję formę. Mam niezbyt mały tyłek, raczej jak balonik. Matt go uwielbiał. Czasami kiedy przeglądałam się w dużym lustrze, padał przede mną na kolana, chwycił mnie za tyłek i patrzył w górę. Naśladując Golluma z *Władcy Pierścieni*, syczał, że zajmie się „moim ssssskarbem...”

Za każdym razem wybuchalam wtedy nieopanowanym śmiechem.

Z tych wspomnień wyrywa mnie Bonnie, szarpiąc delikatnie za rękaw. Patrzę na sklep, który mi wskazuje.

– Chcesz iść do Claire’s?

Kiwa głową.

– Nie ma sprawy, pączusiu.

Claire’s to jeden z tych sklepów, które zaprojektowano specjalnie z myślą o wspólnych zakupach matek i córek. Tania, ale stylowa biżuteria dla młodych i starszych pań, szczotki do włosów, pędzelki ozdabiane błyskotkami.

Wchodzimy i trafiamy na dwudziestokilkuletnią sprzedawczynię. Podchodzi do nas z firmowym uśmiechem handlowca, gotowa nieść pomoc i sprzedawać. Kiedy bliżej mi się przygląda, oczy robią się jej jak spodki. Uśmiech najpierw zastyga, a potem niknie.

Patrzę na nią, unosząc brew.

– Coś nie tak?

– Nie, tylko... – Wciąż wpatruje się w moje blizny, zmieszana i przerażona. Prawie mi jej żal. Jej religią jest piękno, więc moja twarz musi jej się jawić jako zwycięstwo szatana.

– Barbaro, idź pomóż koleżankom. – Głos, który wydał to polecenie, jest ostry jak klaps. Oglądam się i widzę kobietę około czterdziestki. Jest piękna, jak piękne bywają kobiety, kiedy się starzeją. Włosy koloru soli z pieprzem i najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziałam. – Barbaro – powtarza kobieta.

Dwudziestokilkulatka otrząsa się, wydusza z siebie „Tak, proszę pani” i ucieka ode mnie najszybciej, jak tylko są w stanie ponieść ją starannie wypielegnowane stopy.

– Nie przejmuj się, kochana – odzywa się starsza kobieta. – Uśmiech ma przeuroczy, ale w główce dosyć pusto. – Ma miły głos. Już otwieram usta, żeby odpowiedzieć, kiedy uświadamiam sobie, że nie mówi do mnie, lecz do Bonnie...

Spoglądam w dół i widzę, że Bonnie patrzy na dwudziestokilkulatkę wzrokiem ostrym jak brzytwa. Bonnie mnie broni. Nie bawi jej to. Reaguje na głos starszej kobiety. Odwraca się i otwarcie mierzy ją wzrokiem. Przestaje marszczyć brwi i nieśmiało się uśmiecha. Pani o włosach kolom soli z pieprzem podoba jej się.

– Mam na imię Judith, a to mój mały sklep. W czym mogę paniom pomóc?

Teraz mówi do mnie. Ja też mierzę ją wzrokiem i nie dostrzegam w niej żadnej fałszywej nuty. Uprzejmość jest niewymuszona, bardzo szczerą. Ta kobieta ma to w genach. Nie bardzo wiem, po co zadaję to pytanie, ale słowa same spływają mi z ust:

– Judith, czemu nie jesteś tak zszokowana jak ona?

Judith spogląda na mnie swoimi niezwykle inteligentnymi oczyma, po czym lekko się uśmiecha.

– Kochanie, w zeszłym roku pokonałam raka. Musiałam przejść podwójną mastektomię. Kiedy mąż po raz pierwszy zobaczył skutki operacji, nawet nie mrugnął, powiedział mi tylko, że mnie kocha. Piękno to zdecydowanie przereklamowany towar. – Puszczą oko. – A więc w czym mogę pomóc...?

– Jestem Smoky – odpowiadam. – Smoky Barrett. A to Bonnie. Tylko się rozglądamy, a pani już nam bardzo pomogła.

– Oglądajcie sobie do woli, a w razie czego zawołajcie mnie. Jeszcze jeden uśmiech, małe mrugnięcie i Judith odchodzi, a za nią snuje się smuga dobra niczym świetlisty tren za wróżką.

Buszujemy po sklepie przez dobre dwadzieścia minut, kupując duperele. Połowy nigdy nawet nie użyjemy, ale przecież zakupy to wielka radocha. Judith podlicza nam rachunek, mrużymy do widzenia i wychodzimy z łupami. Przed sklepem spoglądam na zegarek.

– Skarbie, powinnyśmy wracać. Za godzinę lub dwie powinna zjawić się ciocia Callie.

Bonnie uśmiecha się, kiwa głową i bierze mnie za rękę. Wychodzimy z centrum wprost na cudowne kalifornijskie słońce. Jakbyśmy wkraczały w pejzaż pocztówki. Myślę o Judith i zerkam na Bonnie. Nie widzi, że się jej przyglądam. Wygląda, jakby nic jej nie martwiło, tak jak powinno wyglądać dziecko.

Zakładam ciemne okulary i znów myślę: to wspaniały dzień. Najlepszy od bardzo dawna. Może to dobry znak. Czyszczę dom z duchów i życie

staje się coraz lepsze. Upewniam się w ten sposób, że postępuję właściwie.

Wiem, że kiedy wrócę do pracy, przypomnę sobie o grasujących wokół drapieżnikach – gwałcicielach, mordercach i jeszcze gorszych. Chodzą pod tym samym błękitnym niebem co my, pływają w ciepłe tego samego żółtego słońca, wciąż obserwują, wciąż czekają, ocierają się o resztę z nas i kiedy to robią, aż drżą jak jakiś mroczny kamerton.

Ale na razie słońce może być po prostu słońcem. Jak mówił głos w moim śnie: my, odłamki, wciąż odbijamy światło.

Sofa w salonie obejmuje nas miękko i leniwie. To już nieco podniszczony mebel, obity jasnobieżową mikrofibrą, poplamiony w wielu miejscach. Widzę plamy po winie, które nie chciały zejść, jakiś ślad po jedzeniu, pewnie sprzed wielu lat. Łupy z centrum handlowego czekają w torbach na stoliku do kawy, który też nosi ślady zużycia. Kiedy kupowaliśmy go z Mattem, orzechowy blat błyszczał. Z czasem zmatowiał i pokrył się bliznami.

Powinnam wymienić oba meble, ale nie mogę, jeszcze nie. Były lojalne, wygodne i oddane, nie jestem jeszcze gotowa, by wysłać je do meblowego nieba.

– Chcę z tobą o czymś porozmawiać, kochanie – mówię do Bonnie.

Skupia na mnie całą swoją uwagę. Wyczuwa wahanie w moim głosie, zmaganie duszy. Mów – czytam z jej spojrzenia. Wszystko w porządku.

To kolejna sprawa, którą chciałabym kiedyś w końcu załatwić. Bonnie zbyt często wspiera mnie na duchu. To ja powinnam wspomagać ją swoją siłą, nie odwrotnie.

– Chcę porozmawiać o tym, że nie mówisz.

Wyraz oczu Bonnie zmienia się: zrozumienie przeradza się w zakłopotanie.

Nie, daje mi do zrozumienia. Nie chcę o tym rozmawiać.

– Kochanie. – Dotykam jej ramienia. – Po prostu się martwię, rozumiesz? Rozmawiałam z lekarzami. Twierdzą, że twoje milczenie trwa już za długo, w końcu możesz na dobre stracić umiejętność mówienia.

Nawet jeśli nigdy już się nie odezwiesz, wciąż będę cię kochała. Ale to nie znaczy, że chcę, żebyś milczała.

Bonnie krzyżuje ręce. Widzę, że zмага się z myślami, ale nie potrafię określić, o co chodzi. I nagle doznaję olśnienia.

– Zastanawiasz się, jak mi coś powiedzieć? – pytam.

Przytakuje.

Tak.

Patrzy na mnie i się skupia. Wskazuje na swoje usta. Wzrusza ramionami. Robi to ponownie. Wskazuje. Wzrusza ramionami. Przez chwilę rozgryzam ten rebus.

– Nie wiesz, dlaczego nie mówisz?

Kiwa głową.

Tak.

Podnosi palec. Nauczyłam się już, że to znaczy „ale” lub „czekaj”.

– Słucham.

Wskazuje na swoją głowę. Udaje zamyślenie. Znowu zastanawiam się przez chwilę.

– Nie wiesz, dlaczego nie mówisz... ale myślisz o tym? Próbujesz znaleźć przyczynę? – Ulga na twarzy Bonnie potwierdza, że trafiłam w sedno. Teraz to ja się frasuję. – Ale kochanie... nie chcesz, żeby ci jakoś pomóc? Mogłybyśmy zapisać cię do terapeuty...

Zaniepokojona, aż podskakuje na sofie. Macha rękoma.

Nie, nic z tego, za nic.

Tu nie trzeba niczego wyjaśniać. Pojmuję w mig.

– Dobrze, dobrze. Żadnego terapeuty. – Kładę rękę na sercu. – Obiecuję.

To kolejny powód, żeby nienawidzić – żywego czy martwego – człowieka, który zamordował matkę Bonnie. Był terapeutą i Bonnie o tym wie. Obserwowała, jak zabił jej matkę, a wraz z nią zniszczył zaufanie do swojego zawodu.

Wyciągam rękę i przytulam dziewczynkę do siebie. Uścisk jest niezdarny i nieporadny, ale Bonnie nie protestuje.

– Przepraszam, kochanie. Ja po prostu... martwię się o ciebie. Kocham cię. Boję się, że nigdy już nie będziesz mówić.

Wskazuje na siebie i kiwa głową. *Ja też*, mówi mi. Pokazuję na głowę. *Ale pracuję, nad tym.*

Wzdycham.

– Na razie dobre i to.

Bonnie też mnie ściska, uspokaja, że wszystko jest w porządku, że dzień nie jest zepsuty, że nic się nie stało. Znów mnie wspiera. Pogódź się z tym. Jest teraz szczęśliwa. I niech tak będzie.

– Zobaczmy, co też sobie dzisiaj nakupowałyśmy, co ty na to? – Szeroki uśmiech, kiwanie głową.

Jasne.

Pięć minut później zajęta oglądaniem kupionych duperelków zapomina o wcześniejszej rozmowie.

Oczywiście mnie nie tak łatwo zapomnieć. Jestem dorosła. Nowy lakier do paznokci nie jest w stanie uciszyć moich obaw.

Jest jeszcze coś, czego nie powiedziałam Bonnie o moim dwutygodniowym urlopie. To tylko niedomówienia, nie kłamstwa. Rodzice mają do tego prawo. Można o niektórych rzeczach nie mówić, by dziecko mogło pozostać dzieckiem. W końcu i tak szybko dorosną i będą

musiały wziąć na barki ciężar dorosłości.

Muszę dokonać wyborów związanych z moim życiem i mam dwa tygodnie, by zdecydować, co będę robić. Taki termin wyznaczyłam sobie sama. Muszę podjąć decyzję, myśląc nie tylko o sobie, ale i o Bonnie. Obu nam potrzeba stabilizacji, pewności, rutyny.

To wszystko zważyło mi się na głowę, gdy dziesięć dni temu zostałam wezwana do gabinetu wicedyrektora.

Wicedyrektora Jonesa znam od początku mojej kariery w FBI. Był moim pierwszym mentorem i zawodowym guru. Teraz jest moim szefem. Nie doszedł do obecnego stanowiska dzięki polityce. Piał się po szczeblach kariery, bo jest wyjątkowym agentem. Innymi słowy, to śledczy z krwi i kości, a nie biurokrata. Bardzo go szanuję.

Skromny gabinet wicedyrektora Jonesa nie ma okien. Mógł wybrać biuro rogu budynku ze wspaniałym widokiem, ale kiedy raz go o to zapytałam, odpowiedział mniej więcej coś takiego: „dobry szef i tak nie powinien spędzać za dużo czasu w gabinecie”.

Siedział za biurkiem, wielkim masywnym zabytkiem z szarego metalu, które miał już wtedy, kiedy go poznałam. Podobnie jak wicedyrektor, to biurko głośiło: „coś, co nie jest zepsute, nie wymaga naprawy”. Jak zawsze na blacie piętrzyły się liczne teczki i papiery. Na zniszczonej drewnianej powierzchni widać było mosiężną tabliczkę z nazwiskiem. Żadnych nagród, żadnych oprawionych w ramki dyplomów na ścianach, choć akurat wiem, że miałyby się czym pochwalić.

– Usiądź – poprosił, wskazując dwa skórzane fotele, które też stały tu od zawsze. Wicedyrektor Jones niedawno przekroczył pięćdziesiątkę. W FBI służy od 1977 roku. Zaczynał tutaj, w Kalifornii, i przeszedł całą

drogę zawodową. Dwa razy się żenił i dwa razy rozwodził. Jest przystojnym mężczyzną, twardym, jakby wyciosanym z drewna. Często bywa małomówny, szorstki i bezpardonowy. Jest też wybornym śledczym. Miałam szczęście, że spotkałam go już na początku mojej kariery.

– Co się stało, panie dyrektorze? – zapytałam.

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Smoky, nie jestem mistrzem taktu, więc powiem prosto z mostu. Możesz dostać pracę jako instruktor w Quantico, jeśli chcesz. Nie musisz się zgadzać, ale mam obowiązek cię o tym powiadomić.

Byłam zaskoczona. Zadałam oczywiste pytanie:

– Dlaczego?

– Bo jesteś najlepsza.

Coś w jego zachowaniu zdradzało mi jednak, że nie tylko o to chodziło.

– Ale?

Westchnął.

– Nie ma żadnego „ale”. Jest za to „i”. Naprawdę jesteś najlepsza. Masz wręcz za wysokie kwalifikacje do tej pracy i więcej niż świetne oceny.

– A co to za „i”?

– Jakies szyszki w biurze, łącznie z dyrektorem, poczuły, że ci się to należy.

– Należy mi się?

– Za to, co dałaś, Smoky – powiedział cichym głosem. – Poświęciłaś dla Biura całą rodzinę. – Dotknął swojego policzka. Nie wiem, czy uczynił ten gest nieświadomie, czy robił aluzję do moich blizn. – Z powodu pracy sporo przeszłaś.

– I co z tego? – zapytałam ze złością. – Żal im się zrobiło? A może boją

się, że przestanę panować nad swoim życiem?

Ze zdziwieniem dostrzegłam uśmiech na twarzy wicedyrektora.

– W normalnych warunkach zgodziłbym się z tym rozumowaniem. Ale nie. Rozmawiałem z samym dyrektorem i postawił sprawę jasno: to nagroda. – Zmierzył mnie wzrokiem. – Miałaś kiedyś do czynienia z dyrektorem Rathbunem?

– Raz. Wydawało mi się, że wali prosto z mostu.

– I owszem. Jest twardy i szczery, tak szczery, jak może być na swoim stanowisku, i zawsze mówi wszystko bez ogródek. Uważa, że doskonale nadajesz się na to stanowisko. Dostałabyś oczywiście podwyżkę. Bonnie miałyby stabilizację, a ty zesłałabyś z linii ognia. – Przerwał. – Rzecz w tym, że jak mi powiedział, Biuro nic lepszego nie może już dla ciebie zrobić.

– Nie rozumiem.

– Kiedyś rozważano twoją kandydaturę na stanowisko wicedyrektora, na moją posadę.

– Tak, wiem.

– Ta propozycja nigdy już nie padnie. Poczułam wstrząs.

– Dlaczego? Bo załamalam się, kiedy zginęli Matt i Alexa?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Za bardzo kombinujesz. Pomyśl bardziej przyziemnie.

W końcu olśnienie. Z jednej strony nie mogłam w to uwierzyć. Z drugiej – to było całe Biuro.

– Chodzi o moją twarz, prawda? Kwestia wizerunku.

W jego oczach błysnęły ból i gniew. Po chwili zgasły i zostało tylko zmęczenie.

– Mówiłem, że on się nie patyczkuje. Smoky, mamy wiek mediów. Nie ma problemu, kiedy z takim wyglądem prowadzisz swój zespół. – Wykrzywił usta w sardonicznym uśmiechu. – Ale najwyraźniej wszyscy doszli do wniosku, że na dyrektorskim stołku to nie byłoby dobrze odbierane. U myśliwego może to romantyczne, ale posady dyrektora czy wicedyrektora nie pomoże zdobyć. Moim zdaniem to bzdury, zdaniem dyrektora też, ale takie jest życie.

Oczekiwałam, że za chwilę wzbierze we mnie święte oburzenie, ale ku mojemu zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło. Poczułam tylko obojętność.

Kiedyś byłam ambitna jak każdy agent. Rozmawialiśmy o tym z Mattem, nawet snuliśmy plany. Zakładaliśmy, że będę się z czasem wspinać po szczeblach kariery. Ale wszystko się zmieniło.

Moja obojętność po części wynikała z pragmatyzmu. Odkładając na bok osobiste urazy, trzeba było przyznać, że moi zwierzchnicy mieli rację. Nie nadawałam się już na twarz administracji FBI. Byłam dobrym żołnierzem, pokrytym bliznami i przerażającym. Nadawałam się do szkolenia innych, weteranka, która wiele przeszła. Ale sesja zdjęciowa z prezydentem? Nie ma mowy.

Ale dostrzegłam też plusy dla siebie. Instruktor w Quantico to ciepła posadka, o której wielu marzyło. Praca dobrze płatna, w normalnych godzinach, mniej stresu. Kursanci nie strzelają do szkoleniowców. Nie włamują się im do domów. Nie zabijają im rodzin.

Wszystko to przemknęło mi przez głowę w jednej chwili.

– Ile mam czasu na odpowiedź – zapytałam.

– Miesiąc. Jeśli się zgodzisz, będziesz miała mnóstwo czasu na przeprowadzkę. Jakies pół roku.

Miesiąc, pomyślałam. Niby dużo czasu, w rzeczywistości nic.

– A pana zdaniem co powinnam zrobić?

Mój szef nie zawahał się ani chwili.

– Smoky, jesteś najlepszym agentem, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Trudno będzie cię zastąpić. Ale powinnaś zrobić to, co będzie najlepsze dla ciebie.

Wracam do terażniejszości i patrzę na Bonnie. Jest zajęta kreskówkami. Myślę o dzisiejszym dniu, o spokojnych porankach, beknięciach przy śniadaniu i wycieczkach na zakupy do Claire's.

Co będzie najlepsze dla mnie? Co będzie najlepsze dla Bonnie? Czy powinnam ją zapytać?

– Owszem, powinnam. Ale nie teraz.

Na razie będę się trzymała obecnego planu. Spakuję rzeczy Marta i Alexy. Znikną, ale nie z pamięci.

Zobaczymy, jak wszystko będzie się potem układać.

Nie czułam stresu, że muszę podjąć decyzję. Miałam wybór. Wybór oznacza przyszłość. Przyszłość tu czy w Quantico to zapowiedź ruchu naprzód, a ruch to życie. Wszystko to wyglądało o wiele lepiej niż pół roku temu.

Wmawiasz to sobie cały czas. Ale to nie takie proste i dobrze o tym wiesz. Za tą obojętnością coś się kryje, coś mrocznego, okrutnego i z rzędem kłów.

Kłów można mieć najwyżej cztery, ganię sama siebie w myślach.

Zapominam o tym wszystkim (a przynajmniej próbuję) i przytulam się mocniej do Bonnie, by sobota znów była sobotą.

– Kreskówki są super, prawda, skarbie?

Bonnie kiwa głową, nie odrywając wzroku od telewizora. Tak, zgadza się. Są super. Nie mają ani jednego kła.

Ale z was lenie i w dodatku bardzo z siebie zadowolone – mówi Callie.

Stoi w kuchni w wystudiowanej pozie. Burgundowymi paznokciami stuka w czarny granitowy blat kuchennej wyspy. Miedziane włosy kontrastują z tłem szafek z jasnego dębu. Brwi wygina w doskonały łuk oburzenia.

Uśmiechamy się z Bonnie do siebie.

Jeśli istniałaby patronka braku szacunku, to byłaby nią Callie. Jest bezwzględna, ma cięty język i zwyczaj zwracania się do wszystkich „kochaniutki”. Plotka głosi, że wpisano jej do akt naganę za zwracanie się do dyrektora FBI „kochaniutki”. Nie mam wątpliwości, że tak było. To cała Callie.

I jest piękna. Zazdroszczą jej dwudziestokilkulatki, bo to piękno trwałe, piękno gwiazdy filmowej, którego czas się nie ima. Widziałam zdjęcia dwudziestoletniej Callie i słowo daję, że dziś jako trzydziestoosmiolatka jest jeszcze piękniejsza. Ma płonące rude włosy, pełne usta, długie nogi – mogłaby być modelką. Ale zamiast szczotki do włosów nosi pistolet. Moim zdaniem jeszcze piękniejszą (o ile to możliwe) czyni ją to, że zupełnie nie przykłada wagi do własnej fizycznej doskonałości. Nie chodzi o to, że ma jakieś kompleksy (co to, to nie), po prostu uroda nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Twarda jak skała, inteligentniejsza niż naukowcy z NASA, Callie jest najbardziej lojalną przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć. Chociaż na pierwszy rzut oka nie jest to wcale takie oczywiste. Callie nie jest czułą

dziewczynką. Nigdy nie dostałam od niej kartki z życzeniami czy prezentu na urodziny. Jej miłość widać w jej czynach.

To Callie znalazła mnie po tym, co zrobił Joseph Sands. Odebrała mi broń, choć celowałam w nią i pociągałam za spust mimo pustego magazynka – klik, klik, klik.

Callie należy do mojego zespołu. Pracujemy razem od dziesięciu lat. Jest magistrem kryminalistyki i ma umysł wręcz stworzony do tego, czym się zajmujemy. W pracy śledczego przejawia pewną brutalność. Dowody i prawda to dla niej siła wyższa. Jeśli dowody świadczą o twojej winie, zwróci się przeciwko tobie i pożre cię, niezależnie od tego, jak bardzo wcześniej się przyjaźniliście. I wcale nie będzie miała z tego powodu wyrzutów sumienia. Najprostsza rada brzmi: nie popełniaj przestępstw, to Callie cię nie tknie.

Nie jest doskonała, po prostu lepiej niż my skrywa, co ją boli. Gdy miała piętnaście lat, zaszła w ciążę, a rodzice zmusili ją, żeby oddała dziecko do adopcji. Jeszcze pół roku temu nikt – łącznie ze mną – nie wiedział o tej tajemnicy. Ujawnił ją jeden z zabójców. Ludzie mogą zazdrościć jej piękna, ale trzeba wiedzieć, że walczyła i cierpiała, by zostać tym, kim jest.

– Oczywiście, jesteśmy zadowolone – odpowiadam z uśmiechem. – Dzięki, że przyszłaś.

Macha lekceważąco ręką.

– Przyszłam, bo jestem głodna. – Patrzy na mnie surowo. – Coś do jedzenia będzie, prawda?

W odpowiedzi wyřęcza mnie Bonnie. Idzie do lodówki, otwiera drzwi i wraca z przysmakiem Callie: pudełkiem czekoladowych pączków. Callie

udaje, że ociera łzę.

– Bóg ci zapłaci. – Uśmiecha się do Bonnie. – Pomożesz mi je sprzątnąć?

Bonnie odpowiada uśmiechem, pełnym słońca i róż. Wyjmują z lodówki ważny składnik uczty – mleko. Obserwuję, jak pożerają pączki, i zastanawiam się, co sprawia, że ta zwykła chwila powoduje u mnie wybuch szczęścia niemal idealnego. Przyjaciele, pączki, uśmiechnięte córki – sam eliksir radości i życia.

– Nie, kochaniutka – słyszę głos Callie. – Nigdy nie jedz, dopóki nie pociągniesz łyka. No, chyba że nie ma mleka, bo jak mówi pierwsza zasada życia, którą powinnaś dobrze zapamiętać: Pączek zawsze wygrywa z mlekiem.

Patrzę zachwycona na moją przyjaciółkę. Nie widzi tego, pogrążona w przekazywaniu swoich pączkowych mądrości. To jedna z rzeczy, dla których po prostu uwielbiam Callie. Zawsze jest skora do zabawy. Do zrywania bez poczucia winy nisko wiszących owoców szczęścia.

– Za chwilę wracam – mówię.

Człapię po przykrytych chodnikiem schodach do sypialni i rozglądam się dookoła. Pokój nie jest mały. Żaluzje w stylu kolonialnym na ścianie frontowej można ustawić tak, by wpuszczały nieco światła albo z pełną siłą. Ściany pomalowano na biało, pościel stanowi jaskrawą jasnoniebieską plamę. Dominującym elementem w pokoju jest łóżko – a raczej ogromne łoże z najlepszej jakości niebiańsko miękkim materacem – a na nim sterty, całe góry poduszek. Uwielbiam poduszki.

Do tego dobrane dwie komody, jedna dla Matta, druga dla mnie. Wszystko w kolorze ciemnej wiśni. Wentylator pod sufitem kręci się

cicho. Od dawna zasypiam przy jego niskim mruczeniu.

Siadam na łóżku i rozglądam się po całym pokoju.

Potrzebuję chwili oddechu, nim to wszystko się zacznie. Chwili, by pomyśleć, jak tu było, a nie, co się z tym stanie.

Rzeczy wielkie, straszne i banalne – wszystkie działy się tu, na tym łóżku. Myśli przebiegają przeze mnie jak krople deszczu przez liście drzewa. Nad dachem mojego świata przechodzi cicha burza.

Wspomnienia w końcu bledną i przestają burzyć krew. Przestają ranić, za to zaczynają poruszać. Tak właśnie dzieje się ze wspomnieniami o mojej rodzinie i nawet się z tego cieszę. Był czas, kiedy myśl o Matcie czy Aleksie przeszywała mnie bólem na wylot. Dziś myślę o nich i się uśmiecham.

Robisz postępy, słonko, naprawdę.

Matt wciąż od czasu do czasu do mnie mówi. Był moim najlepszym przyjacielem. Nie jestem jeszcze gotowa, by przestać słyszeć jego głos w mojej głowie.

Zamykam oczy i przypominam sobie, jak wstawialiśmy łóżko do tego pokoju. Kupiliśmy je w małym sklepiku. To był nasz pierwszy dom. Wyczyściliśmy konta do cna, żeby wpłacić zaliczkę, i modliliśmy się o wyrozumiały bank, który da nam kredyt. Kupiliśmy dom w szybko rozwijającej się dzielnicy Pasadena, stosunkowo nowy piętrowy budynek (w żadnym razie nie mogliśmy sobie pozwolić na stuletni dom w stylu Craftsmana, choć patrzyliśmy na nie z zazdrością). Nie miałam blisko do pracy, ale żadne z nas nie chciało mieszkać w samym Los Angeles. Planowaliśmy założyć rodzinę. Pasadena była bezpieczniejsza. Dom wyglądał jak wiele innych wokół. Owszem, brakowało mu własnej

tożsamości, ale był nasz.

– To nasz dom – powiedział do mnie Matt, kiedy staliśmy na trawniku przed budynkiem. Obejmował mnie od tyłu i oboje zadzieraliśmy głowy. – Rozpocznijemy tu nowe życie. Zdaje się, że przyda się do tego nowe łóżko. Będzie wręcz symboliczne.

Wszystko to było oczywiście głupiotkie i naiwne. I oczywiście się zgodziłam. Kupiliśmy więc łóżko i wtargaliśmy je własnoręcznie na górę. Zmęczeni, ale szczęśliwi składaliśmy ramę, boki i zagłówek. Stękaliśmy, wciskając skrzynię ze sprężynami i kładąc na niej materac. W końcu usiedliśmy, dysząc, na podłodze sypialni.

Matt spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Poruszał brwiami w górę i w dół.

– Co ty na to, żeby rzucić na łóżko trochę pościeli i poćwiczyć horyzontalne wygibasy?

Zachichotałam na tę dosłowność.

– Wiesz, jak uwodzić kobiety.

Zrobił śmieszno-poważną minę. Położył rękę na sercu, a drugą podniósł jak do przysięgi.

– Ojciec nauczył mnie kilku zasad, jak zaciągnąć pannę do łóżka. Przysięgam, że trzymam się ich całe życie.

– Co to za zasady?

– Nigdy nie uprawiaj seksu w skarpetkach. Zapamiętaj położenie łechtaczki. Zanim zaśniesz, ukołysz kobietę do snu. I nie prykaj w łóżku.

Pokiwałam głową z powagą.

– Twój ojciec był mądrym człowiekiem. Zgadzam się na te warunki. Ćwiczyliśmy wygibasy całe popołudnie, aż do zmierzchu.

Patrzę na łóżko. Bardziej je czuję, niż widzę.

To tu została poczęta Alexa. Może w czulej, pełnej potu chwili, a może w trakcie czegoś bardziej szorstkiego i akrobatycznego, kto wie. Matt i ja złączyliśmy się w jedno, a kiedy się rozdzieliliśmy, była nas już trójka. Radość i boskie dodawanie.

Kiedy byłam w ciąży, spędziłam na tym łóżku niejedną bezsenłą noc. Miałam spuchnięte kostki, bolał mnie kręgosłup. Obwinałam Matta o wszystko. Winiłam go z goryczą, jaką można czuć o trzeciej nad ranem w siódmym miesiącu ciąży. Uwielbiałam też Matta za wszystko. To była miłość bez granic, mieszanka prawdziwej radości i szaleństwa hormonów.

Większość ludzi jest w małżeństwie zbyt samolubnych. Ciąża wybija takie rzeczy z głowy.

Dzień po tym, jak przywieźliśmy Alexę do domu, położyliśmy ją między nami pośrodku łóżka. Leżeliśmy i podziwialiśmy naszą córkę.

Alexa tu się wychowała. Czasami tutaj płakała. Śmiała się tu, gniewała. Zdaje się, że nawet raz zwymiotowała, kiedy Matt pozwolił jej zjeść za dużo lodów. Wyczyściłam łóżko, Matt spał na kanapie.

Wiele się nauczyłam na tym łóżku. Pewnego razu kochaliśmy się z Mattem. Nie uprawialiśmy seksu, ale właśnie kochaliśmy się. Najpierw było wino przy świecach. Z wieży płynęła idealna muzyka nastawiona idealnie – na tyle głośno, by stworzyć atmosferę, na tyle cicho, by nie przeszkadzać. Świecił piękny księżyc, nocna bryza nie była za chłodna. Spociliśmy się nieco, tak że nasze ciała seksownie się ślizgały, nie klejąc się do siebie. Po prostu orgia uczuć.

I wtedy przyknełam.

Wprawdzie zrobiłam to jak kobieta, ale jednak zrobiłam. Oboje

zamarliśmy. Na długą, żenującą, bolesną chwilę wszystko zamarło.

A potem zaczęliśmy chichotać, śmiać się, a wreszcie zarykiwać ze śmiechu, dusząc twarze w poduszkach, dopóki nie przypomnieliśmy sobie, że Alexa nocuje u przyjaciół. Później uprawialiśmy inny rodzaj seksu. Nie taki jak w romantycznym powieścidle, ale bardziej czuły i prawdziwy.

Można czuć dumę, można czuć miłość, ale nie da się czuć jednego i drugiego naraz. W tym łóżku nauczyłam się, że miłość jest lepsza.

Nie zawsze przykaliśmy i śmialiśmy się w tym łóżku. Także się kłóciliśmy. Czasami naprawdę nieźle sobie dogryzaliśmy. Właśnie tak o tym mówiliśmy – nieźle sobie dogryzaliśmy. Byliśmy przekonani, że dobre małżeństwo od czasu do czasu musi się zdrowo pokłócić i ściać. Z niektórych co lepszych „wysiłeków” byliśmy niezwykle dumni – oczywiście dumni już po fakcie.

Na tym łóżku zostałam zgwałcona i przywiązana do niego patrzyłam, jak Matt umiera. To złe wspomnienia.

Oddycham głęboko. Krople deszczu spadają przez liście drzew, miękkie, ale nieuniknione. Jasne jak słońce: kiedy pada, zawsze zmokniesz, nie ma innego wyjścia.

Myślę o łóżku i przyszłości. O dobrych rzeczach, które wciąż mogą się tu zdarzyć, jeśli postanowię zostać. Nie mam Matta, nie mam Alexy, ale mam teraz Bonnie i nadal mam siebie.

Życie dotąd było jak mleko. Ale życie w ogóle to zdecydowanie pączek z czekoladą. A pączek zawsze wygrywa z mlekiem.

– A więc to tu jest to magiczne miejsce.

Głos Callie wyrywa mnie z rozmyślań. Stoi w drzwiach z pytającym wzrokiem.

– Hej – odzywam się. – Dziękuję, że przyszłaś. Że mi z tym pomożesz.

Wchodzi do pokoju, przewracając oczami.

– Wiesz, miałam do wyboru powtórkę *Aniołków Charliego* albo ciebie.

Zresztą Bonnie dobrze mnie karmi.

Uśmiecham się.

– Jak złapać dziką Callie? Wystarczą pączki z czekoladą i wielka pułapka na myszy.

Podchodzi bliżej i siada z klapnięciem na łóżku. Podskakuje kilka razy.

– Bardzo wygodne – ocenia.

– Wiąże się z nim wiele dobrych wspomnień.

– Zawsze się zastanawiałam... – waha się.

– Nad czym?

– Dlaczego je zatrzymałaś? To właśnie to łóżko, prawda? To się tu stało?

– Tak. – Gładzę kołdrę dłonią. – Zastanawiałam się, czy się go nie pozbyć. Przez pierwsze tygodnie po powrocie do domu nie mogłam w nim spać. Spałam na kanapie. Kiedy zdobyłam się na odwagę, by spróbować, nie mogłam już spać gdzie indziej. Zdarzyła się tu jedna okropna rzecz. Ale dobrych chwil było znacznie więcej. Dzieliłam się tu miłością. Z moją rodziną. Nie pozwolę, by Sands mi to odebrał.

Nie potrafię rozszyfrować jej spojrzenia. Smutek. Wina. Może lekka tęsknota?

– Widzisz, tym się właśnie różnimy, Smoky. Jako nastolatka przeżyłam jeden zły moment, przespałam się z niewłaściwym chłopakiem, zaszłam w ciążę i oddałam własne dziecko. Potem przysięgłam sobie, że nie zaangażuję się w żaden związek. Ciebie zgwałcono na tym łóżku, ale

najsilniejsze wspomnienia, jakie masz, to chwile z Mattem i Alexą. Podziwiam twój optymizm, naprawdę. – Jej twarz przybiera wyraz prawie melancholijny. W końcu wykrzywia usta w drwiącym uśmiechu. – A ja? Ja widzę szklanę do połowy pustą.

Nie odpowiadam, bo znam swoją przyjaciółkę. Dzieli się ze mną swoimi odczuciami, ale tylko tyle potrafi. Słowa pocieszenia byłyby niezręczne, stanowiłyby niemal zdradę. Jestem tu po to, by mogła wszystko opowiedzieć, by wiedziała, że ktoś ją usłyszał. I tylko po to.

Uśmiecha się.

– Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? – pyta. – *Tacos* Matta.

Patrzę na nią zaskoczona, po czym sama też się uśmiecham.

– Świetne były, prawda?

– Czasami mi się śnią – odpowiada z melodramatyczną tęsknotą w oczach.

Nie potrafiłam gotować nic a nic. Prawie udawało mi się przypalić wodę. Matt, jak zawsze i pod każdym względem, także w kuchni, był doskonały. Kupował książki kucharskie, próbował różnych rzeczy i dziewięć na dziesięć razy wychodziły mu cudowne dania.

Od kogoś, sama nie wiem od kogo, nauczył się, jak robić *tacos* z domowych placków. Nie z supermarketowych twardych gotowców, ale z prawdziwej tortilli, którą potem zmienia się w sztywny, ale niełamliwy półksiężyc rozkoszy. Do mięsa dodawał jakąś przyprawę, od której dosłownie ciekła mi ślina.

Najwyraźniej Callie też. Uwielbiała potrawy Matta i wpraszała się na kolację trzy, cztery razy w miesiącu. Pamiętam, jak pożerała *tacos*, przeżuując jedzenie i mówiąc z pełnymi ustami. Kiedyś powiedziała coś,

co tak rozbawiło Alexę, że mleko wpadło jej nie w tę dziurkę i wyleciało nosem. Oczywiście wszyscy tarzaliśmy się wtedy ze śmiechu.

– Dziękuję – mówię.

Wie, co mam na myśli. Dziękuję ci za tamto wspomnienie, za ten zapomniany kawałek gorzko-słodkiej przeszłości, za to uderzenie w brzuch, które zarazem i boli, i rozlewa miłe ciepło po ciele.

To cała Callie. Zbliża się na tyle, by objąć moją duszę, a po chwili ucieka, żeby nabrać odpowiedniego dystansu.

Wstaje z łóżka i idzie do drzwi. Ogląda się na mnie i uśmiecha szelmowsko.

– I wiesz co? Wcale nie trzeba pułapki na myszy. Wystarczy nafaszerować czymś pączki. Zawsze zjem pączki.

Jak leci, Smoky?

Pytanie zadaje Elaina. Pojawiła się jakieś dwadzieścia minut temu. Wymieniwszy obowiązkowe uściski z Bonnie, zaciągnęła mnie do salonu, gdzie teraz siedzimy same. Z jej spojrzenia bije szczerść, łagodność i życzliwy blask. Patrzy mi prosto w twarz, świdrując mnie swoimi brązowymi oczyma. „Tylko bez kitu” – nakazuje mi to spojrzenie.

– Raczej dobrze, tylko czasami kiepsko – mówię bez wahania. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby kręcić przed Elainą. To jedna z tych nielicznych osób, które są zarazem miłe i silne.

Patrzy na mnie łagodniej.

– Opowiedz o tych gorszych chwilach.

Patrzę na nią i szukam słów, by opisać mojego nowego demona, szatana, który tłucze się po mojej głowie w czasie snu. Kiedyś śnił mi się Joseph Sands. Chichotał i rechotał bez końca, zabijał moją rodzinę, puszczając oko i śmiejąc się. Sands zniknął, teraz moje koszmary koncentrują się wokół Bonnie. Widzę, jak siedzi na kolanach szaleńca, który przystawia jej nóż do gardła. Widzę, jak leży na białym dywanie z dziurą po kuli w głowie. Pod nią rozwija skrzydła karmazynowy anioł.

– Strach. To strach.

– Przed czym?

– Bonnie.

Rozchmurza czoło.

– Aha. Obawiasz się, że coś jej się może stać.

– Raczej jestem przerażona. Że nigdy już nie będzie mówić i skończy u czubków. Że nie będzie mnie przy niej, kiedy będzie potrzebowała pomocy.

– I? – pyta Elaina, przymuszając mnie do odpowiedzi. Pcha mnie w stronę prawdziwego zagrożenia, człowieka na końcu ciemnej lufy, wyrywa ze mnie słowa.

– I że umrze, rozumiesz? – Mówię to prawie agresywnie. I natychmiast tego żałuję. – Przepraszam.

Uśmiecha się, dając mi do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

– Zważywszy na okoliczności, myślę, że twój strach jest uzasadniony, Smoky. Straciłaś dziecko. Wiesz, że to się może zdarzyć. Na litość boską, Bonnie omal nie umarła na twoich oczach. – Czuję delikatny dotyk jej dłoni na mojej ręce. – Ten strach jest uzasadniony.

– Ale czuję się przez to słaba – odpowiadam nieszczęśliwym głosem. – Strach to słabość. Muszę być silna dla Bonnie.

Śpię z naładowaną bronią w szafce nocnej. Dom jest opleciony najrozmaitszymi alarmami. Blokadę w drzwiach frontowych trzeba by przewiercać co najmniej przez godzinę. Wszystko to pomaga, ale nic nie jest w stanie zlikwidować strachu.

Elaina patrzy na mnie ostro i kręci głową, tylko raz.

– Nie, Bonnie najbardziej potrzebuje twojej obecności. Potrzebuje twojej miłości. Potrzebuje matki, a nie super-bohaterki. Prawdziwi ludzie są niedoskonali, skomplikowani i raczej kłopotliwi, ale przynajmniej żyją, Smoky.

Elaina jest żoną jednego z członków mojego zespołu, Alana. To piękna Latynoska o delikatnych łukach ciała i oczach poetki. Jej prawdziwe

piękno pochodzi z serca. Widać w niej ognistą łagodność, którą można zawrzeć w słowach „mama”, „bezpieczeństwo” i „miłość”. Nie ma w tym nic z głupiutkiej czułości Polyanny – dobroć Elainy nie jest cukierkowa. Jest nieunikniona, niezaprzeczalna i pewna jak skała.

W zeszłym roku zdiagnozowano u niej zaawansowanego raka jelita. Usunięto jej operacyjnie guz, przeszła naświetlania i chemioterapię. Znosi to dzielnie, ale straciła włosy, niegdyś tak gęste i nieujarzmione. Żyje z tym upokorzeniem, tak jak ja nauczyłam się żyć ze swoimi bliznami – nie zakrywa ich, pokazuje całemu światu. Głowę ma ogoloną na zero i nie chowa jej pod czapkę czy bandanę. Zastanawiam się, czy ból po stracie włosów dopada ją czasami, tak jak mnie dopadała kiedyś rozpacz, że nie ma Matta i Alexy.

Pewnie nie. Dla Elainy utrata włosów to sprawa drugorzędna wobec radości z tego, że żyje. Ta jasność celu to część jej siły.

Elaina przyszła do mnie po tym, jak Sands zabrał mi rodzinę. Wpadła do szpitalnej sali, odepchnęła pielęgniarkę i rzuciła się na mnie z szeroko otwartymi ramionami. Objęła mnie nimi i otuliła niczym anioł swoimi skrzydłami. Drżałam w nich, wypłakiwałam oczy na jej piersiach chyba przez wieczność. W tamtej chwili była moją matką. Zawsze ją będę za to kochała.

Ściska moją rękę.

– Nie mylisz się w swych uczuciach, Smoky. Od strachu możesz się uwolnić, jedynie przestając kochać Bonnie tak jak dotychczas. I moim zdaniem jest już na to za późno.

Dławi mnie w gardle. Pieką oczy. Elaina potrafi przekazywać proste prawdy, pomocne i wyzwalające, ale ma to swoją cenę: nie można ich

odrzucić. Ta prawda jest brzydka i piękna zarazem. I nie ma od niej ucieczki. Panicznie się boję, bo kocham Bonnie. Aby pozbyć się strachu, muszę przestać ją kochać.

Nie ma mowy.

– Ale czy kiedyś ten koszmar minie? – pytam. Wzdycham zrezygnowana. – Nie chcę jej spieprzyć życia.

Elaina bierze mnie za rękę i spogląda tak, że nie sposób odwrócić wzroku.

– Smoky, czy wiesz, że jestem sierotą?

Patrzę na nią zaskoczona.

– Nie, nie wiedziałam o tym.

Kiwa głową.

– Otóż jestem. I mój brat Manuel. Kiedy mama i tata zginęli w wypadku samochodowym, wychowywała nas Abuela, moja babka. Wspaniała kobieta. Naprawdę. Nigdy nie narzekała. Nawet słowem. – Uśmiecha się z tęsknoty. – A Manuel był po prostu cudownym chłopcem, Smoky. Miał wielkie serce. Ale był też kruchy. Właściwie nie chodziło o nic konkretnego, po prostu zawsze pierwszy rwał się do wszystkiego i ostatni rezygnował. Pewnego letniego dnia Abuela zabrała nas na plażę w Santa Monica. Manuela porwał prąd. Utonął.

To proste słowa, Elaina wypowiada je w prosty sposób, ale czuję ból, jaki się za nimi kryje. Cichy żal. Elaina mówi dalej:

– Straciłam rodziców nagle. Pewnego pięknego dnia straciłam brata, dał tylko znak, że nie jest w stanie płynąć dość szybko, aby wrócić do brzegu. – Wzrusza ramionami. – Chcę ci tylko powiedzieć, Smoky, że znam ten strach. Przerazenie, że stracisz kogoś, kogo kochasz. – Cofa ręce

i się uśmiecha. – I co z tym zrobiłam? Zakochałam się w cudownym facecie, który ma niebezpieczną pracę. I oczywiście nie sypiam po nocach, bojąc się, bojąc i bojąc. Bywało, że wściekałam się o to na Alana. Zupełnie niesprawiedliwie.

– Naprawdę? – Trudno mi to pogodzić z idealnym wręcz obrazem Elainy w moich oczach. Dla mnie jest po prostu skończoną doskonałością.

– Naprawdę. Czasami mijają lata bez jednej chmurki. W ogóle nie myślę, że mogę go stracić, i śpię dobrze. Ale to zawsze wraca. Odpowiem od razu na twoje pytanie: nie, to nigdy nie znika na dobre, ale tak, mimo wszystko nie przestanę kochać Alana, choć się o niego boję i w ogóle.

– Elaina, dlaczego nigdy mi o tym wszystkim nie opowiedziałaś? O tym, że jesteś sierotą, o bracie?

Wzrusza ramionami w doskonały sposób, niemal z głębią.

– Nie wiem. Podejrzewam, że tyle czasu poświęciłam na duszenie tego w sobie, że zapomniałam o tym opowiedzieć, kiedy powinnam to była zrobić. Raz o tym myślałam, kiedy byłaś w szpitalu, ale postanowiłam, że tego nie zrobię.

– Dlaczego?

– Kochasz mnie, Smoky. Poczulałabyś tylko większy ból, a niewiele by ci to pomogło.

Ma rację, uświadamiam sobie.

Elaina uśmiecha się wielokolorowym uśmiechem. Uśmiechem szczęśliwej żony, bo ma męża, którego naprawdę kocha, uśmiechem matki, która nigdy nie miała własnego dziecka, uśmiechem łysej Złotowłosej, która cieszy się, że żyje.

Wchodzi Callie z Bonnie u boku. Obie mierzą mnie wzrokiem. Pewnie

szukają jakichś rys, myślę.

– Możemy ruszać z tym cyrkiem? – pyta Callie.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Tak jest, do roboty.

– Powiedz nam, co mamy robić – prosi Elaina.

Zbieram się w sobie i zastanawiam się, czy dam radę poskładać wszystkie galaretowate drżące kawałki mojego ja.

– Minał rok od śmieci Matta i Alexy. Od tamtego czasu wiele się zdarzyło. – Patrzę na Bonnie i się uśmiecham. – Nie tylko w moim życiu. Nadal mi ich brakuje i zawsze tak będzie. Ale... – Używam tego samego sformułowania, którego użyłam wcześniej w rozmowie z Bonnie. – Oni już tu nie mieszkają. Nie mówię o wymazywaniu wspomnień. Zamierzam zatrzymać każde zdjęcie, każdy film. Mówię o praktycznych rzeczach, które są już niepotrzebne. Ubraniach. Wodzie po goleniu. Kijach do golfa. O rzeczach, których używaliby tylko oni.

Bonnie patrzy na mnie pewnym wzrokiem, bez żadnej rezerwy. Uśmiecham się do niej i kładę rękę na jej głowie.

– Jesteśmy tu, by ci pomóc – mówi Elaina. – Powiedz, co mamy robić. Chcesz, żeby każda z nas wzięła inny pokój? Czy mamy wszystkie wspólnie przeglądać pokój za pokojem?

– Chyba powinniśmy robić to wspólnie.

– Dobrze. – Przerywa. – Od czego zaczynamy?

Jestem jak przyklejona do sofy. Elaina chyba to wyczuwa, więc popycha mnie. Każe mi się ruszyć, wstać, działać. Irytuje mnie to, ale zaraz czuję się winna, że jestem zirytowana, bo nigdy nie denerwuję się na Elaine i teraz też sobie na to nie zasłużyła.

Wstaję jednym ruchem. To jak skok z trampoliny bez myślenia o tym, co będzie dalej.

– Zaczniemy od mojej sypialni.

Stawiamy obok siebie kilka pudeł. Słysząc kakofonię taśmy klejącej i szurającego kartonu. Znow zapada cisza. Mart i ja mieliśmy swoją szafę w głównej sypialni. Patrząc na drzwi szafy i powietrze robi się ciężkie.

– Na litość boską – odzywa się Callie. – Zaczyna się robić za bardzo smętnie.

Podchodzi do okien i podnosi w jednym z nich żaluzje, potem w następnym i jeszcze w jednym. Do pokoju wpada z pełną siłą słońce, zalewa go złocistą falą. Callie otwiera okna zdecydowanymi, niemal gwałtownymi ruchami. Dopiero po chwili do środka dociera chłodna bryza, a wraz z nią dźwięki stamtąd.

– Zaczekajcie – warczy i idzie w stronę drzwi sypialni.

Elaina patrzy na mnie i unosi brwi. Wzruszam ramionami. Słyszymy, jak kroki Callie dudnią po schodach, potem dochodzą nas hałasy z kuchni, a po chwili Callie wraca do sypialni. Wchodzi z małym radiem i płytą CD. Włącza radio do kontaktu, wkłada płytę i wciska klawisz odtwarzania. Rozlega się wciągający rytm, któremu po chwili towarzyszy riff gitary elektrycznej, wpadający w ucho i znajomy. To jedna z tych piosenek: nie pamiętam jej nazwy, choć słyszałam ją tysiące razy. I zawsze nogi rwą mi się przy niej do tańca.

– Przeboje z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – mówi Callie. – Treści może w nich nie ma za wiele, za to można liczyć na zabawę.

Callie zmieniła ten pokój w ciągu zaledwie trzech minut. Z mrocznego i ponurego pomieszczenia stał się jasny i wesoły. Po prostu zwykła sypialnia w piękny dzień. Myślę o tym, co mówiła wcześniej o niezdolności do tworzenia związków, i uświadamiam sobie, że Callie, nie traktując życia ze śmiertelną powagą, potrafi w każdej chwili rozładować atmosferę.

Patrzę na Bonnie i unoszę brwi.

– Myślisz, że jakoś damy sobie radę z tą polką, kochanie? – pytam.

Uśmiecha się i kiwa głową.

– No tak – odpowiadam. Biorę oddech, podchodzę do szafy i otwieram drzwi.

Muzyka i słońce zrobiły swoje, przynajmniej w mojej sypialni. Przejrzałyśmy szafę Matta i nie czułam się bardzo przygnębiona.

Spakowałyśmy jego koszule i spodnie, swetry i buty. Jego zapach był wszędzie. I jego duch. Miałam wrażenie, że z każdym kawałkiem ubrania wiąże się jakieś wspomnienie. W tym krawacie się uśmiechał. W tym garniturze płakał na pogrzebie dziadka. Na tej koszuli Alexa zrobiła plamę ręką usmarowaną w dżemie. Te wspomnienia okazały się mniej bolesne, niż się spodziewałam. Raczej głębokie niż przygnębiające.

Świetnie ci idzie, skarbie – słyszałam głos Matta w mojej głowie.

Nie odpowiadałam, ale uśmiechałam się do siebie.

Pomyślałam także o Quantico. Może dobrze byłoby zostawić to wszystko za sobą. Ale jeśli się na to zdecyduję, musi to być wybór, a nie ucieczka. Muszę objąć moje duchy i ułożyć do snu, inaczej będą wszędzie za mną chodziły. Tak przecież robią duchy.

Przejrzałyśmy szafę, sypialnię, a potem łazienkę. Przebrnęłam przez to wszystko. Czułam ból, ale był do zniesienia. Gorzko-słodki, kelnerka, mocno słodki.

Zniosłyśmy wspólnymi siłami pudła do garażu, a potem wtargwałyśmy na stryszek nad garażem. Ustawiliśmy je tam w najdalszych kątach, gdzie miały siedzieć w ciemności i zbierać kurz.

Przepraszam, Matt, powiedziałam w myślach.

Skarbie, to tylko rzeczy, odparł. Serce nie pokrywa się kurzem.

Chyba tak.

A przy okazji, dodał Matt nagle. Pamiętasz o lforUtwo4me?

Nie odpowiadam. Stoję na drabinie, do pasa jeszcze na strychu.

– Smoky? – woła Callie od progu do garażu.

– Zaraz schodzę.

Tak myślę. Co z lforUtwo4me? O co tu może chodzić?

W pracy przekonałam się, że nawet najlepsi ludzie mają swoje tajemnice. Uczciwe żony i przyzwoici mężowie mimo wszystko mogą się zdradzać, ranić i często okazuje się, że w ogóle nie są tacy dobrzy, jak się wydawało. Nauczyłam się też, że prawda wychodzi na jaw po śmierci. Bo kiedy się umiera, inni mogą swobodnie buszować po naszym życiu i nic nie można z tym zrobić.

Właśnie – lforUtwo4me. To hasło. Kiedy raz ktoś włamał się nam do rodzinnej poczty mailowej, Matt wyjaśnił mi, jak tworzyć bezpieczne hasła.

– Trzeba łączyć cyfry i litery. Im dłuższe hasło, tym lepiej, ale oczywiście należy wybrać coś takiego, co można łatwo zapamiętać bez konieczności zapisywania. Coś mnemonicznego. Na przykład... – Pstryknął palcami. – Jeden dla ciebie, dwa dla mnie* [*Oneforyou, twofor me* – w zapisie mnemonicznym lforUtwo4me.]. To coś, co łatwo zapada w pamięć. Wystarczy trochę to zmienić, dodać cyfry i mamy lforUtwo4me. Może to i głupie, ale na pewno proste do zapamiętania, a komuś innemu trudno będzie wpaść na to przypadkiem.

Miał rację. Przylepiło się to do nas jak guma do podeszwy buta. lforUtwo4me. Nie trzeba było zapisywać, hasło zawsze było pod ręką.

Kilka miesięcy po śmierci Matta siedziałam przed jego komputerem. Urządziliśmy domowy gabinet, każde z nas miało własny komputer.

Byłam otepiała i szukałam czegoś, co obudziłoby we mnie jakieś emocje. Przejrzałam jego pocztę, zaglądałam do plików. W końcu trafiłam na katalog o nazwie „prywatne”. Kiedy chciałam do niego wejść, okazało się, że jest zabezpieczony hasłem.

lforUtwo4me, przyszło mi do głowy, zanim w ogóle się nad tym zastanowiłam. Palce zawisły nad klawiaturą. I już miałam wstukać hasło, gdy nagle przerwałam.

Zamarłam.

A jeśli...? – pomyślałam. A jeśli prywatne oznacza naprawdę coś osobistego? Nie dla mnie?

Ta myśl mnie zmroziła. I przeraziła. Wyobraźnia zaczęła pracować na najwyższych obrotach.

Kochanka? Porno? Może kochał kogoś innego?

Po tych myślach pojawiło się poczucie winy.

Jak możesz w ogóle tak myśleć. Przecież to Matt, twój Matt.

Wyszłam z pokoju, dałam sobie spokój z lforUtwo4me, starałam się o tym nie myśleć. Ale od czasu do czasu powraca to do mnie. Na przykład teraz.

A więc co? Prawda czy okłamywanie siebie?

– Smoky? – woła znów Callie.

– Już idę – odpowiadam i schodzę po drabinie. Nadal czuję obecność Matta.

Czeka.

l forUtwo4me.

Przekonuję się, że pakowanie przeszłości to brudna robota.

Stoimy w drzwiach do pokoju Alexy. Czuję, że w pobliżu czai się

niepokój. Ból jest tu nieco ostrzejszy, ale nadal znośny.

– Piękny pokój – mruczy Elaina.

– Alexa lubiła takie dziewczęce klimaty – mówię z uśmiechem.

To wymarzony pokój dla małej dziewczynki. Duże łóżko z baldachimem pokryte fiołkami we wszelkich możliwych odcieniach. Kołdra i poduszki są grube i mięciutkie, zachęcają, żeby się położyć: „Połóż się i zaton w nas” – mówią. Jedną czwartą podłogi zajmuje kolekcja pluszaków Alexy. Są najróżniejsze – zwierzaki i fantastyczne stwory, zupełnie malutkie i potężne przytulanki.

– Lwy, tygrysy i Misie Puchatki, o mój Boże – żartował sobie Matt. Patrzę na to wszystko i coś mi przychodzi do głowy. Dziwię się, że wcześniej o tym nie pomyślałam.

Bonnie śpi ze mną, od kiedy ją tu przywiozłam. Nigdy chyba nawet nie weszła do tej sypialni.

Bądź precyzyjna, karcę sama siebie. Prawda jest taka, że nigdy jej tu nie przyprowadziłaś. Nigdy nie zapytałaś, czy nie chce królewskiej kolekcji pluszaków albo fiołkowych pościeli i kocyków.

Czas chyba to naprawić, myślę. Klękam przy Bonnie.

– Chcesz coś z tego pokoju, kochanie? – pytam. Patrzy mi prosto w oczy. – Możesz wziąć, co tylko zechcesz. – Sciskam jej rękę. – Naprawdę. Możesz mieć dla siebie cały ten pokój.

Kręci głową. *Nie, dziękuję*, mówi. *Skończyłam już z takimi dziecinnymi rzeczami*, czytam w jej spojrzeniu.

– Dobrze, skarbie – mruczę i wstaję.

– Co chcesz zrobić z tym pokojem, Smoky? – Delikatny głos Elainy wyrywa mnie z zamyślenia.

Gładzę Bonnie po włosach i rozglądam się po pokoju.

– Hm... – zbieram się do odpowiedzi i wtedy dzwoni moja komórka.

Callie przewraca oczami.

– Zaczyna się.

– Barrett – rzucam do słuchawki. Przepraszam, mówię do nich bezgłośnie. W słuchawce dudni niski głos.

– Smoky. Tu Alan. Przepraszam, że przeszkadzam ci w takim dniu, ale mamy poważny problem.

Alan kieruje zespołem pod moją nieobecność. Kompetencji ma aż nadto. Fakt, że zdecydował się do mnie zadzwonić, natychmiast uruchamia we mnie dzwonek alarmowy.

– O co chodzi?

– Jestem w Canoga Park, stoję przed jednym z domów. Potrójne zabójstwo. Naprawdę źle to wygląda. Problem w tym, że w środku jest szesnastoletnia dziewczynka. Przystawiła sobie pistolet do głowy i mówi, że chce rozmawiać tylko z tobą.

– Wymieniła moje nazwisko?

– Właśnie.

Milczę i przetwarzam te informacje.

– Naprawdę mi przykro, Smoky.

– Nie przejmuj się. I tak miałyśmy sobie zrobić przerwę. Podaj mi adres, przyjedziemy z Callie jak najszybciej.

Zapisuję adres i się rozłączam.

Alan nie ma racji. Śmierć nigdy nie bierze urlopu. Dzień jak co dzień. Jak zwykle żyję na wielu poziomach: próbuję urządzić dom, zastanawiam się, czy opuścić ten dom i wyjechać do Quantico, jadę, by powstrzymać

jakaś dziewczynę przed strzeleniem sobie w głowę. Mogłabym jednocześnie żuć gumę. Zdolniacha ze mnie!

Patrzę na Bonnie.

– Kochanie... – zaczynam, ale przerywam, widząc, jak kiwa głową.

Wszystko w porządku, jedź, mówi do mnie.

Patrzę na Elaine. – Elaine...

– Zajmę się Bonnie. – Czuję ulgę i wdzięczność.

– Callie...

– Poprowadzę – odpowiada.

Pochylam się do Bonnie.

– Kochanie, zrobisz coś dla mnie?

Patrzy na mnie pytająco.

– Pomyśl, co mamy zrobić z tymi wszystkimi pluszakami.

Uśmiecha się i kiwa głową.

– Super. – Prostuję się i odwracam do Callie. – Jedźmy. Czeka na nas zło. Nie chcę, żeby się niecierpliwiło.

Ale tu spokojnie – mamrocze Callie, parkując na podmiejskiej uliczce w Canoga Park.

Mówi raczej do siebie niż do mnie, ale rozglądam się dookoła i rozumiem, o co jej chodzi. Canoga Park należy do hrabstwa Los Angeles. W Los Angeles przedmieścia nie są specjalnie oddalone od centrum miasta. Jedzie się ulicą obstawioną biurowcami, a nagle, dwie przecznice dalej, wyrasta dzielnica mieszkaniowa. Zmiana następuje jakby od niechcienia. Zamiast świateł sygnalizacyjnych zaczynają pojawiać się znaki stop i robi się ciszej. Miasto szumi w pobliżu, bez snu, bez odpoczynku, a tu, w ciszy, stoją sobie domy.

Ulica, w którą skręciłyśmy, wyglądała na typową uliczkę z przedmieścia, ale spokój zupełnie się z niej ulotnił. Naliczyłam co najmniej pięć radiowozów, furgonetkę oddziału antyterrorystycznego i dwa czy trzy nieoznakowane wozy policyjne. Nad głowami szumiał śmigłowiec.

– Dzięki Bogu, że jest jeszcze jasno – zauważa Callie, patrząc na śmigłowiec. – Nie znoszę tych oślepiających szperaczy.

Wokół pełno ludzi. Ci odważniejsi stoją przed domami, a bardziej nieśmiali wyglądają zza zasłon w oknach. To zabawne, myślę. Tyle się mówi o przestępczości w miastach, a tak naprawdę najgorsze morderstwa zdarzają się na przedmieściach.

Callie parkuje przy krawężniku.

– Gotowa? – pytam.

– Gotowa do biegu, startujemy, do roboty – mówi.

Kiedy wysiadamy z auta, zauważam, że Callie się krzywi. Opiera się ręką o dach samochodu, żeby złapać równowagę.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Macha lekceważąco.

– Resztki bólu po postrzale, poradzę sobie. – Sięga do kieszeni kurtki i wyciąga fiolkę z lekarstwem. – Vicodin, mały skrzat pomagać rad.

– Otwiera wieczko i wysypuje tabletkę na dłoń. Połyka ją. Uśmiecha się.

– Mniam.

Pół roku temu Callie została postrzelona. Kuła drasnęła kręgosłup. Przez bardzo długi tydzień nie byliśmy pewni, czy w ogóle będzie mogła chodzić. Sądziłam, że wyleczyła się całkowicie.

Chyba się myliłam.

Myliłam się? Nosi ze sobą fiolkę z vicodinem i łyka pastylki jak tictaca!

– Zobaczmy, o co tyle krzyku, dobrze? – proponuje.

– Racja – odpowiadam.

Ale nie myśl sobie, Callie, że tak to zostawię.

Podchodzimy do taśmy policyjnej zagrażającej wstęp na teren posesji. Zatrzymuje nas jakiś dwudziestokilkulatek w mundurze. Dobrze mu patrzy z oczu. Widzę w nich podniecenie, że jest częścią tego policyjnego bałaganu. Od razu budzi moją sympatię. Widzi blizny na mojej twarzy i nawet nie mruga.

– Przepraszam panią, ale wstęp wzbroniony – wyjaśnia. Wyciągam legitymację FBI i pokazuję mu.

– Agentka specjalna Barrett – przedstawiam się.

Callie robi to samo.

– Przepraszam panią – mówi chłopak. – I panią – zwraca się do Callie.

– Nie ma sprawy – odpowiada Callie.

Widzę Alana w grupce ludzi w garniturach i mundurach. Góruje nad nimi jak imponująca ludzka statua. Alan ma ponad czterdziestkę, jest Afroamerykaninem, którego można określić tylko jednym słowem: olbrzym. Nie jest otyły, tylko po prostu wielki. Jego groźna mina w pokoju przesłuchań sprawia, że winny czuje klaustrofobię i zagrożenie.

Życie uwielbia ironię i Alan nie jest tu wyjątkiem. Wbrew gabarytom osiłka to naprawdę myślący facet, błyskotliwy umysł w ciele zawodnika rugby. Postępuje z drobiazgową precyzją i ma nieskończone pokłady cierpliwości. Do legendy przeszła już jego dbałość o szczegóły. Jeden z najlepszych dowodów na dobroć jego charakteru to fakt, że Elaina jest jego żoną i go uwielbia.

Alan to trzeci członek mojej czteroosobowej ekipy, najstarszy i najbardziej zrównoważony. Kiedy u Elainy wykryto raka, powiedział mi, że zastanawia się, czy nie odejść z FBI, żeby spędzać z nią więcej czasu. Od tamtej pory o tym nie wspominał, a ja nie naciskałam. Lecz cały czas o tym pamiętam.

Callie na potęgę łyka pigułki, Alan zastanawia się nad emeryturą, może i ja powinnam odejść. Niech stworzą zupełnie nowy zespół.

– Oto i ona – słyszę głos Alana.

Zaczynam przypominać sobie rozmaite reakcje na moją twarz, ale w końcu odpuszczam. Albo się z tym pogodzicie, albo spadajcie, chłopcy.

Jeden z mężczyzn podchodzi do mnie i wyciąga rękę na powitanie. W

drugiej, jak zauważam, ściska pistolet maszynowy MP 5. Jest w pełnym rynsztunku antyterrorysty – kamizelka, kask, buty.

– Luke Dawes – przedstawia się. – Szef antyterrorystów. Dziękujemy, że przyjechałaś.

– Nie ma o czym mówić – odpowiadam. Wskazuję na Alana. – Pozwoli pan, że mój człowiek wprowadzi mnie w szczegóły? Bez obrazy.

– Rozumiem.

Odwracam się do Alana i przerywam moje wewnętrzne monologi. Teraz oddaję się prostym regułom postępowania w czasie akcji.

– Mów co mamy – odzywam się.

– Półtorej godziny temu sąsiad, wdowiec o nazwisku Jenkins, zadzwonił pod numer alarmowy policji. Powiedział, że ta dziewczyna, Sarah Kingsley, wpadła na jego trawnik, ubrana tylko w koszulę nocną, cała umazana krwią.

– Skąd wiedział, że jest na jego trawniku przed domem?

– Ma salon od frontu i nie zasłania okien, dopóki nie idzie spać.

Oglądał telewizję i zobaczył ją kątem oka.

– Mów dalej.

– Był wstrząśnięty, ale miał dość odwagi, żeby wyjść i zapytać, o co chodzi. Mówił, że dziewczyna była rozkojarzona, takiego słowa użył, i mamrotała coś o zamordowanej rodzinie. Próbował wciągnąć ją do domu, ale zaczęła krzyczeć i uciekła. Jenkins wrócił do siebie.

– Mam nadzieję, że wystarczyło mu oleju w głowie, żeby za nią nie iść?

– Tak, bohaterstwa starczyło mu tylko na własny trawnik. Wbiegł z powrotem do domu i zadzwonił na policję. Akurat niedaleko był radiowóz, więc gliny podjechały tu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Funkcjonariusze...

– znów zerknął do notatnika – Sims i Butler przyjechali, zajrzeli przez frontowe drzwi, szeroko otwarte, i próbowali wywołać dziewczynę. Nie reagowała. Po naradzie postanowili wejść do środka i wyprowadzić ją. Może to ryzykowne, ale żaden z nich nie jest żółtodziobem i niepokoił się o dziewczynę.

– Zrozumiałe – mruczę. – Czy Sims i Butler nadal tu są?

– Tak.

– Mów dalej.

– Weszli do domu i od progu zobaczyli cholerną rzeźnię.

– Byłeś w środku? – przerywam mu.

– Nie. Nikt nie wszedł, od kiedy dorwała się do broni. A więc funkcjonariusze weszli i od razu stwierdzili, że stało się tam coś złego i to niedawno. Na szczęście dla nas Sims i Butler mieli już do czynienia z miejscami zabójstw, więc nie wpadli w panikę. Omijali szerokim łukiem wszystko, co mogłoby być dowodem.

– To dobrze – mówię.

– Właśnie. Usłyszeli jakiś hałas na piętrze, więc zawołali dziewczynę. Nie odpowiedziała. Poszli na górę i znaleźli ją w głównej sypialni wraz z trzema ciałami. Miała broń. – Zajrzał do notatnika. – Według funkcjonariuszy kaliber 9 milimetrów. Od tej chwili wydarzenia nabrały tempa. Sims i Butler się zdenerwowali. Pomyśleli, że może to ona odpowiada za to, co się stało. Wycelowali do niej z własnej broni i kazali rzucić pistolet. Wtedy przystawiła sobie lufę do głowy.

– I znów wszystko się zmieniło.

– Otóż to. Zaczęła płakać i krzyczeć na nich. Mówiła, cytuję, „Chcę rozmawiać ze Smoky Barret: inaczej się zabiję”. Koniec cytatu. Próbowali ją uspokoić, ale zrezygnowali, kiedy kilka razy wymierzyła do nich. Zgłosili wszystko do centrali i... – Rozłożył ręce, wskazując na rój funkcjonariuszy dookoła. – I oto mamy to, co widać. – Skinął głową w stronę dowódcy antyterrorystów. – Porucznik Dawes kojarzył twoje nazwisko i poprosił kogoś, żeby mnie złapał. Przyjechałem tutaj, sprawdziłem wszystko i zadzwoniłem do ciebie.

Odwracam się do Dawesa, przyglądam mu się. Widzę wysportowanego, czujnego zawodowego policjanta o twardym spojrzeniu,

pewnych rękach i ciemnych włosach przystrzyżonych na wojskową modłę. Raczej niski, ma mniej więcej metr siedemdziesiąt osiem, ale jest szczupły, napięty i gotowy. Emanują z niego spokój i pewność siebie. Stereotyp antyterrorysty, ilekroć na takiego trafię, zawsze czuję ulgę.

– Co pan o tym sądzi, poruczniku?

Przygląda mi się przez kilka sekund. Potem wzrusza ramionami.

– Wie pani, to szesnastolatka. Broń to broń... – Znow wzrusza ramionami. – To szesnastolatka.

Jest za młoda, żeby umierać, stara się powiedzieć Dawes. Zdecydowanie za młoda, żeby ją zabić i zepsuć sobie dzień.

– Ma pan tu negocjatora? – pytam.

Pytam o negocjatora w kontaktach z porywaczami. Kogoś przeszkolonego w rozmowach z nieźrównoważonymi ludźmi trzymającymi broń w ręku. Negocjator to trochę mylące określenie, bo zwykle negocjacjami zajmują się trzyosobowe zespoły.

– Nie – odpowiada Dawes. – Trzy zespoły negocjacyjne są w Los Angeles. Jakiś facet wymyślił, że akurat dziś rzuci się z dachu Hotelu Roosevelta w Hollywood, tam pojechała jedna ekipa. Jest też jakiś tatuś, który lada chwila ma stracić prawo do opieki nad dzieckiem, więc przystawił dzieciakowi strzelbę do głowy, to drugi zespół. Ostatni miał dziś rano wypadek na skrzyżowaniu po drodze na seminarium szkoleniowe. Uwierzy pani? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Walnęła w nich ciężarówka. Żyją, ale wszyscy leżą w szpitalu. Jesteśmy zdani sami na siebie.

– Przerywa. – Mogę załatwić to na wiele sposobów, agentko Barrett. Gaz łzawiący, bezpieczna amunicja. Ale gaz łzawiący rozpieprzy nam

wszelkie ślady, a bezpieczna amunicja... no cóż, dziewczyna może strzelić do siebie nawet po próbie obezwładnienia jej grochem. – Uśmiecha się bez humoru.

– Wygląda na to, że najlepiej byłoby, gdyby pani tam poszła i pogadała z tą szaloną nastolatką z bronią.

Obdarzam go najbardziej kwaśną miną, na jaką mnie stać.

– Dzięki.

Dawes poważnieje.

– Musi pani włożyć kamizelkę i wejść z bronią gotową do strzału. – Przekrzywia głowę i patrzy na mnie z iskierkami zainteresowania w szarych oczach. – Zdaje się, że jest z pani niezły snajper, tak?

– Jak Annie Oakley – odpowiadam.

Patrzy z niedowierzaniem.

– Kochaniutki, ona potrafi zgasić świecę i przestrzelić dwudziestopięciocentówkę – odzywa się Callie. – Widziałam to na własne oczy.

– Ja też – wtóruje jej Alan.

Nie próbuję się chwalić, nie szpanuję odwagą. Mam szczególną smykałkę do broni. Naprawdę potrafię zgasić strzałem świecę i naprawdę robiłam dziury w ćwierćdolarówkach rzucanych w powietrze. Nie wiem, skąd u mnie ten dar, bo w mojej rodzinie nikt nawet nie lubił broni. Tata był delikatny i łagodny. Mama miała irlandzki temperament, ale i tak zasłaniała ręką oczy przy co ostrzejszych scenach w filmach.

Kiedy miałam siedem lat, znajomy ojca zabrał mnie i tatę na strzelnicę. Wystarczyło kilka wskazówek, a już wtedy trafiałam, w co chciałam. Od tamtego czasu uwielbiam broń.

– Dobrze, wierzę pani – mówi Dawes, unosząc wolną rękę w geście poddania się. Ma poważną twarz, patrzy nieco nieobecny wzrokiem. – Strzelanie do celu to jedno. Ale czy strzelała pani kiedyś do człowieka?

Nie obraża mnie tym pytaniem. Ponieważ strzelałam i zabiłam człowieka, rozumiem, dlaczego o to pyta. Ma do tego pełne prawo. To coś zupełnie innego i nikt nie wie, jaka to różnica, dopóki sam tego nie zrobi.

– Tak – odpowiadam.

Sądzę, że najbardziej przekonuje go to, że nie mówię nic więcej. Sam też zabił i wie, że nie jest to coś, czym można się chlępić. Zwykle lepiej w ogóle nie mówić. I nie myśleć, jeśli ktoś potrafi.

– Dobrze. W takim razie kamizelka, broń na wierzchu, a jeśli będzie pani musiała wybierać między nią a sobą, proszę robić, co pani musi. Miejmy nadzieję, że ją pani przekona.

– Miejmy nadzieję. – Odwracam się do Alana. – Czy wiemy w ogóle, dlaczego chciała się spotkać akurat ze mną?

Kręci głową.

– Nie.

– A co wiemy o niej, kim ona jest?

– Niewiele wiadomo. Tutejsi mieszkańcy wyznają filozofię, że dobry sąsiad to ten, który ma wysoki płot. Ten Jenkins mówi, że była adoptowana.

– Naprawdę?

– Tak. Jakiś rok temu. Nie znał dobrze zamordowanych, ale od czasu do czasu rozmawiał na podjeździe z ojcem rodziny. Stąd wiedział, kim była dziewczynka.

– Interesujące. Może to ona jest sprawcą.

– To możliwe. Na razie nikt nie ma nic konkretnego. Kingsleyowie byli dobrymi sąsiadami, to znaczy siedzieli cicho i pilnowali swoich spraw.

Westchnęłam i spojrzałam w stronę domu. Dzień zaczął się tak pięknie i tak szybko się psuje.

Odwracam się do Dawesa.

– Jeśli mam działać jako negocjator, to oznacza, że chwilowo przejmuję dowodzenie. Ma pan coś przeciw?

– Nie.

– Nie chcę tu żadnych kowbojów, Dawes. Nieważne, ile to potrwa. Nie siedźcie mi na plecach, nie zaczniście zjeżdżać po linach z dachu i nie róbcie podobnych sztuczek.

Dawes się uśmiecha. Nie czuje się obrażony. To standardowa sytuacja.

– Agentko Barrett, brałem już udział w takich akcjach. Wbrew obiegowej opinii moi ludzie wcale nie palą się, żeby kogoś postrzelić.

– Poruczniku, pracowałam z naszymi oddziałami specjalnymi. Wiem, ile adrenaliny wydziela się przed akcją.

– Mimo wszystko.

Przypatruję się jego twarzy. Wierzę mu. Kiwam głową.

– W takim razie czy macie jakąś kamizelkę, którą mogłabym pożyczyć?

– Nie ma pani własnej?

– Miałam, ale została zwrócona do producenta. Moja i czterysta innych z tej samej partii, jakaś wada tworzywa. Za bardzo łamliwe czy coś takiego. Czekam na nową.

– O rany! W sumie dobrze, że producent to wyłapał.

– Tyle że miałam okazję nosić ją trzy razy, nim okazało się, że

właściwie nie uchroni mnie przed kulą.

Wzrusza ramionami.

– Kamizelka i tak nie ochroni pani przed strzałem w głowę. Trzeba mieć szczęście. – Po tej zachęcającej uwadze Dawes oddała się, żeby zdobyć kevlarową kamizelkę dla mnie.

– Wygląda na dość opanowanego – zauważa Alan.

– Tak czy inaczej miej go na oku.

– Ja też ich będę pilnowała – obiecuje Callie. – Pokażę im kawałek nogi, Alan ich postraszy i skończy się kozakowanie.

– Myśl tylko o tym, jak sobie poradzisz w środku – mówi Alan. – Negocjowałeś kiedyś?

– Odbyłam kurs. Ale w praktyce nigdy tego nie robiłam.

– Przede wszystkim słuchaj. Żadnych kłamstw, chyba że nigdy nie wyjdą na jaw. Chodzi o zaufanie, więc oszustwa niszczą szansę na porozumienie. Uważaj na wszystko, co może spowodować reakcje emocjonalne i omijaj to szerokim łukiem.

– Brzmi niezbyt skomplikowanie. – No jasne. I nie zgiń tam.

– Bardzo śmieszne.

Wraca Dawes z kamizelką.

– Zdjąłem ją z jednej pani detektyw. – Podnosi ją spogląda na mnie i marszczy brwi. – Chyba będzie za duża.

– Wszystkie są za duże, chyba że mi szyją na miarę.

Uśmiecha się.

– Rozumiem, że do długości nie ma pani zastrzeżeń, agentko Barrett?

Robię groźną minę i biorę kamizelkę.

– Dla pana, Dawes, agentko specjalna Barrett.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Proszę zachować ostrożność, agentko specjalna Barrett.

– Gdybym chciała zachować ostrożność, to w ogóle bym tam nie weszła.

– Mimo wszystko.

Mimo wszystko, myślę. Jakie wygodne powiedzonko. Treściwe i słodkie, ale pełne znaczeń. Możesz tam zginąć. Mimo wszystko.

Stoję przed otwartymi frontowymi drzwiami domu. Pocę się i swędzi mnie skóra pod źle dopasowaną kamizelką którą zarzuciłam na koszulę. W dłoni trzymam gotowego do strzału glocka. Zapada zmierzch i cienie zaczynają się wydłużać. Serce wali mi jak naszpiycowany perkusista.

Oglądam się na tłum funkcjonariuszy za plecami.

Przed domem wzniesiono barykady zaczynające się już na ulicy. Naliczyłam cztery radiowozy i furgonetkę antyterrorystów. Umundurowani funkcjonariusze pilnują barykad, powtarzając cały czas jeden i tylko jeden zwrot: Proszę odejść. Antyterrorysty czekają na ogrodzonym terenie. Zabójcza sześćosobowa grupa w czarnych błyszczących kaskach. Radiowozy stoją z zapalonymi światłami skierowanymi na dom.

Na mnie.

Praca w służbach śledczych to brudna robota. Stale ma się do czynienia z wydzielinami ciała, rozkładem i najpaskudniejszymi osobnikami. Trzeba podejmować decyzje dotyczące życia i śmierci, dysponując skąpymi informacjami. Najlepiej nawet wyszkolony policjant czy agent nigdy nie jest wystarczająco wyszkolony, by poradzić sobie ze wszystkim. Kiedy nadchodzi kryzys (a zawsze tak jest), często rozwiązujemy go tak, jak w tej sytuacji: do akcji rusza agent po dwutygodniowym kursie z negocjacji z porywaczami, odwołany z urlopu, odziany w za luźną kamizelkę, wąpiący, czy jest w stanie zrobić to, na co się porywa. Innymi słowy, robimy, co możemy, posługując się tym, co mamy pod ręką.

Przestaję mędrkować i zaglądam przez drzwi.

Na czole pojawiają mi się krople potu. Słone perły.

To jeden z nowszych budynków w okolicy, piętrowy ze stiukami i drewnianym pokryciem ścian oraz dachówką ceramiczną. Klasyczny południowo-kalifornijski styl. Wygląda na to, że o niego dbano. Zdaje się, że kilka lat temu go odmalowano. Nie jest wielki, właściciele nie byli pewnie bogaci, ale to ładny dom. Dom rodziny z klasy średniej, który niczego innego nie udaje.

– Sarah? – wołam. – Kochanie, tu Smoky Barrett. Chciałaś ze mną porozmawiać, więc jestem.

Brak odpowiedzi.

– Wejdę teraz, żeby cię zobaczyć, Sarah. Chcę tylko porozmawiać. Sprawdzić, co się dzieje. – Przerzywam. – Wiem, że masz broń, kochanie. Musisz wiedzieć, że ja też mam pistolet i będę miała go w ręku. Nie przestrasz się, kiedy go zobaczysz. Nie zamierzam do ciebie strzelać.

Czekam. I znów nie słyszę odpowiedzi.

Wzdycham i przeklinam. Próbuję wymyślić jakiś powód, żeby nie wchodzić do tego domu. Nic nie przychodzi mi do głowy, jakaś część mnie nie chce niczego wymyślać – to dość znana prawda o pracownikach służb śledczych: takie chwile są przerażające, ale też wtedy naprawdę czujemy, że żyjemy. Czuję to – adrenalinę i endorfiny, strach i euforię. To cudowne, okropne i uzależniające zarazem.

– Sarah, wchodzę. Nie strzelaj do mnie ani do siebie, dobrze? – Próbuję być dowcipna, ale wychodzi mi to strasznie nerwowo. Bo jestem zdenerwowana.

Ściskam rękojeść pistoletu, biorę głęboki oddech i wchodzę przez

frontowe drzwi.

Najpierw czuję zapach morderstwa.

Pewien pisarz zapytał mnie kiedyś, jak pachnie morderstwo. Szukał materiału do książki, czegoś autentycznego.

– Jak krew – powiedziałam mu. – Śmierć śmierdzi, ale kiedy czuje się krew, zwykle popełniono morderstwo.

Poprosił mnie wtedy, żebym opisała mu zapach krwi.

– To tak jakby miało się pełne usta miedzianych monet, których nie można wypluć.

Czuję to teraz, ten mocny miedziany posmak. Gdzieś w głębi mnie narasta podniecenie.

Był tu zabójca. Poluję na zabójców.

Idę dalej. Podłoga w korytarzu to deski z czerwonego buku położone na betonowej posadzce. Ciche, wypolerowane, nie skrzypią. Po prawej mam przestronny salon ze średniej grubości beżową wykładziną, kominkiem i belkowanym sufitem. Dwuczęściowa kanapa z dobranym beżowym obiciem stoi ustawiona w literę L przed kominkiem. Duże dwuskrzydłowe okna wychodzą na trawnik. Wszystko tu jest czyste i przyjemne, ale bez wyobraźni. Właściciele próbowali zrobić wrażenie, wtapiając się w tło, a nie czymś się wyróżniając.

Salon ciągnie się aż na tył domu, płynnie przechodząc w jadalnię. Beżowa wykładzina sięga aż tam. Pod żyrandolem zawieszonym na długim czarnym łańcuchu stoi drewniany stół koloru miodowego. Za stołem pojedyncze przeszklone drzwi prowadzą do kuchni. I tu nie ma niczego zaskakującego. Jest miło, ale bez pasji.

Mam przed sobą schody. Zakręcają w prawo na podest, potem w lewo,

na piętro. Na schodach ta sama beżowa wykładzina. Ściany na klatce schodowej obwieszane są zdjęciami w ramkach. Na jednym z nich widzę stojących obok siebie mężczyznę i kobietę. Dalej ta sama para, nieco starsza, trzyma dziecko. Dziecko, jak rozumiem, wyrosło na przystojnego nastolatka, którego dostrzegam dalej. Wszyscy mają ciemne włosy. Omiatam wzrokiem zdjęcia, ale na żadnym nie widzę dziewczynki.

Po lewej stronie od schodów jest chyba bawialnią. Grube przesuwne szklane drzwi prowadzą z niego na pogrążone już w cieniu podwórko.

Czuję krew, krew i jeszcze więcej krwi. Choć w domu palą się wszystkie światła, atmosfera jest ciężka. Stało się tu coś złego. W powietrzu unosiło się przerażenie. Zginęli tu tragicznie ludzie i wszystko to sprawia, że jest aż duszno. Serce nadal bije mi jak oszalałe. Wciąż czuję strach, ostry i silny. Czuję też euforię.

– Sarah? – wołam.

Zero odpowiedzi.

Idę dalej, w stronę schodów. Zapach krwi staje się silniejszy. Teraz, kiedy mogę zajrzeć do bawialni, rozumiem dlaczego. W tym pokoju też stoi kanapa, a naprzeciw niej wielki telewizor. Wykładzina jest dosłownie przesiąknięta karmazynową ciecżą. Krew lała się tu strumieniami. Wełna nie była w stanie jej wchłonąć. Widzę kałużę ciemnej, gęstej, krzepnącej krwi. Ten, z kogo się wylała, musiał tu umrzeć.

Ale nie ma ciała.

To znaczy, że gdzieś je przeniesiono, myślę.

Patrzę, ale nie widzę żadnych śladów, żadnych dowodów przeciągania zwłok. Kałuże krwi nie są rozmazane, jeśli nie liczyć dużej, poszarpanej plamy niedaleko mnie.

Może ktoś ich podniósł.

To by oznaczało, że to ktoś silny. Zwłoki dorosłego człowieka naprawdę ciężko unieść, a co dopiero kawałek przenieść. Powie wam to każdy strażak czy ratownik. Bez wspomagania, jakie daje przytomna osoba, przeniesienie ciała dorosłego człowieka to wysiłek taki, jakby nieść wór z kulami do kręgli.

Chyba że jest to krew dziecka, które nie tak trudno byłoby podnieść i przenieść. Co za cudowna myśl.

– Sarah? – wołam. – Wchodzę na górę. – Mój głos brzmi aż za głośno. Ciągłe się pocę. Wyłączono klimatyzację, rejestruję. Dlaczego? Zauważam tysiące rzeczy naraz. Strach i euforia, euforia i strach.

Trzymam pistolet w obu dłoniach i idę po schodach. Docieram do podestu i skręcam w lewo. Zapach krwi jest teraz jeszcze silniejszy. Czuję nowe nuty. Znajome. Uryna i fekalia. Inne bardziej mokre rzeczy. Trzewia mają swój niepowtarzalny zapach.

Coś słyszę. Cichy dźwięk. Przekrzywiam głowę i nadstawiam uszu.

Sarah śpiewa.

Włosy stajami dęba. Żołądek wykonuje salto, a adrenalina bierze górę nad endorfinami i przeszywają mnie dreszcze.

Bo nie są to szczęśliwe dźwięki. To dźwięki z koszmaru. Piosenka, jaką można by usłyszeć nocą spod nagrobnej płyty na cmentarzu albo z jakiegoś mrocznego zakamarka celi w psychiatryku. Jedno słowo śpiewane monotonicznie na jedną nutę.

– Laaaa. Laaaa. Laaaa. Laaaa.

Jedno słowo na jedną nutę, raz za razem, śpiewane głosem nieco tylko głośniejszym od szeptu. Zaczynam się bać jak nigdy dotąd, bo to odgłos

szaleństwa.

Szybkimi krokami pokonuję ostatnie stopnie, mijając śmiejące się twarze ludzi ze zdjęć. Światło błyska w ich zębach.

Proszę, proszę, modłę się, docierając na piętro. I znów beżowa wykładzina.

Stoję w krótkim korytarzu. Na końcu mieści się łazienka. Światło wciąż zapalone, drzwi są szeroko otwarte. W środku widzę (niespodzianka!) beżowe kafelki na podłodze. Kolejny dowód pozbawionego emocji gustu, jaki dominuje w tym domu.

Korytarz przy łazience skręca w prawo i podejrzewam, że tuż za zakrętem są drzwi do sypialni.

Założę się, że tam też będzie beżowo.

Serce wali mi jak młotem. O Boże, pocę się jak mysz.

Tuż po prawej mam podwójne białe drzwi. Jestem pewna, że prowadzą do czegoś okropnego. Zapachy są coraz silniejsze. Od koszmarnego zawodzenia Sarah dostaję gęsiej skórki.

Sięgam do klamki, żeby otworzyć drzwi. Na chwilę zatrzymuję drżącą dłoń nad mosiężnym uchwytem.

Za tymi drzwiami jest dziewczyna z pistoletem. Dziewczyna z pistoletem, cała we krwi, w domu, który przesiąknięty jest zapachem śmierci. Dziewczyna, która śpiewa jak opętana.

Ruszaj, mówię sobie. W najgorszym wypadku do mnie strzeli.

Nie, idiotko. W najgorszym wypadku spojrzysz na siebie i rozwalisz sobie łeb albo uśmiechniesz się i rozwalisz sobie łeb, albo...

Dość! – wydaję sama sobie polecenie.

Wyciszam się w środku, w duszy.

Ręka przestaje mi drżeć.

Pojawia się nowy głos, znany żołnierzom, policjantom i ofiarom. Nie pociesza nikogo. Za to daje pewność. Mówi ostro, ale nigdy, przenigdy nie kłamie. Patron trudnych wyborów.

Jeśli możesz, ocal ją. Ale jeśli musisz, zabij.

Kładę rękę na klamce i otwieram drzwi.

Pokój jest udekorowany śmiercią.

To ogromna sypialnia. Za wielkim łóżem stoi wielka drewniana komoda z lustrem, ale nie zajmują więcej niż jedną trzecią podłogi. Na ścianie wisi telewizor plazmowy. Pod sufitem – nieruchomy wentylator. Cisza, jaka od niego bije, podkreśla jeszcze bardziej całkowity bezruch w tym pokoju. Na podłodze oczywiście beżowa wykładzina. W tej sytuacji stanowi to prawie pocieszenie.

Bo wszędzie wokół widać krew. Rozpryskaną na suficie, rozsmarowaną na żółtawych ścianach, zastygłą w kroplach na łopatach wentylatora. Smród aż dusi. W ustach czuję jeszcze więcej miedziaków, przelykam ślinę.

Dostrzegam trzy ciała. Mężczyzny, kobiety i zdaje się, nastolatka. Całą trójkę widziałam na zdjęciach przy schodach. Wszyscy leżą nago na plecach na łóżku.

Samo łóżko ogołoczone jest z pościeli. Koce i prześcieradła kłębią się na podłodze, zwinięte i przesiąknięte krwią.

Mężczyzna i kobieta ułożeni są po bokach, chłopiec w środku. Dorośli zostali wypatroszeni, w najgorszym tego słowa znaczeniu. Ktoś rozciął ich ciała od gardła aż do krocza, po czym sięgnął do środka i szarpnął. Wnętrznosci mają na wierzchu. Całej trójce poderżnięto gardła jak prosiakom, od ucha do ucha.

Laaaa. Laaaa. Laaaa. Laaaa.

Patrzę na dziewczynę. Siedzi na parapecie, wygląda na pogrążone w

ciemności podwórko. W oddali widać niewyraźne zarysy dachów innych domów. Jest zmierzch, gdzieś między umierającym słońcem i budzącymi się do życia latarniami. Jakże odpowiednie oświetlenie.

Dziewczyna ma pistolet w rękę i przyciska lufę do prawej skroni. Nie obróciła się, słysząc otwierane drzwi.

Nie mogę jej winić. Sama też nie chciałabym się odwracać.

Choć serce wali mi jak oszalałe, część mózgu notuje.

Krew na ścianach rozmazał zabójca. Jestem tego pewna, bo widać wyraźne wzory. Proste pociągnięcia, esy-floresy i zakrętasy.

Bawił się tu. Mazał po ścianie palcem umoczonym w ich krwi. Żeby coś powiedzieć.

Zerkam na Sarah. Nadal wygląda przez okno, jakby mnie nie dostrzegała.

To nie ona jest sprawcą. Nie ma na sobie dość krwi, zresztą ciała są za duże. Nigdy nie dałaby rady wnieść któregokolwiek z nich po schodach.

Wchodzę głębiej do pokoju, starając się nie deptać śladów. Poddaję się. Musiałabym lewitować.

Za dużo krwi, ale żadna z plam nie jest tam, gdzie powinna. Gdzie popełniono morderstwo?

Każdy krwawy ślad, jaki tu widzę, jest pozostawiony celowo. Żadna z plam nie powstała po podcięciu gardła.

Skup się.

Śledczy siedzący we mnie to postać bez emocji. Może patrzeć beznamiętnie na najgorsze nawet okropności. Ale nie chodzi teraz o wyzbycie się uczuć. Potrzebuję empatii. Zmuszam się do przerwania analizy pokoju, przestaję kalkulować i skupiam całą uwagę na

dziewczynie.

– Sarah?

Mówię cicho, nie budząc zagrożenia.

Brak reakcji. Nadal śpiewa tym okropnym monotonnym szeptem.

– Sarah. – Tym razem głośniej.

Wciąż żadnej reakcji. Pistolet wciąż ma przy skroni. Nadal śpiewa.

– Sarah! To ja, Smoky. Smoky Barrett! – Mój głos grzmi głośniej, niż chciałam. Sama jestem zaskoczona.

Ona też. Śpiew milknie. Mówię ciszej:

– Prosiłaś, żebym przyjechała, kochanie. Jestem. Spójrz na mnie.

Ta nagła cisza w pewnym sensie jest równie złowieszcza jak poprzednio śpiewanie. Dziewczyna nadal wygląda przez okno. Pistolet wciąż tkwi przy skroni.

Sarah zaczyna odwracać się w moją stronę. Wygląda to jak montaż powolnych szarpnięć, jakby otwierało się stare drzwi na zardzewiałych zawiasach. Od razu dostrzegam jej urodę, bo kontrastuje z koszmarem dookoła. Jest eteryczna, jakby z innego świata. Ma ciemne błyszczące włosy, takie jakie spotyka się tylko u modelek w reklamach kosmetyków do włosów. Jest biała, o nieco egzotycznych rysach, co wskazywałoby na europejskie korzenie. Może francuskie. Rysy ma idealnie regularne, takie o jakich marzy większość kobiet. W Los Angeles zbyt wiele pań idzie pod nóż, by mieć tak doskonałą twarz.

Jej twarz stanowi absolutne przeciwieństwo mojej, to antyteza moich blizn.

Na ramionach i twarzy dostrzegam plamy krwi. Krwią przesiąkła też biała koszula nocna z krótkimi rękawami, w którą jest ubrana. Ma pełne

usta aniołka. Jestem pewna, że normalnie są uroczo różowe, ale teraz zbieleły jak ściana.

Zastanawia mnie ta koszula. Dlaczego miała na sobie koszulę nocną po południu?

Oczy są głęboko błękitne, niezwykle. Wyraz przegranej, jaki w nich widzę, jest tak dojmujący, że robi mi się niedobrze.

Do tej pięknej twarzy jest przytknięta lufa dziewięćmilimetrowego browninga. Nie jest to jakaś marna dwudziestkadwójka. Jeśli dziewczyna pociągnie za spust, zginie.

– Sarah? Słyszysz mnie?

Nadal patrzy na mnie tymi błękitnymi jak morze, pełnymi rozpaczyczymi oczyma.

– Kochanie, to ja. Smoky Barrett. Powiedziano mi, że chciałaś się ze mną zobaczyć. Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Porozmawiasz ze mną?

Wzdycha. Wzdycha całym ciałem, z samego dna duszy. To westchnienie mówi: Chcę się teraz położyć, chcę się położyć i umrzeć. Poza tym nie reaguje, ale przynajmniej wciąż na mnie patrzy. Tak ma być. Nie chcę, żeby zaczęła błądzić wzrokiem, żeby przypomniała sobie o zwłokach na łóżku.

– Sarah? Mam pomysł. Może wyjdziemy na korytarz? Nie musimy iść nigdzie dalej. Siądziemy na szczycie schodów, jeśli chcesz. Możesz trzymać pistolet tak jak teraz. Po prostu usiądziemy, a ja poczekam, aż będziesz mogła mówić. – Oblizuję usta. – Co ty na to, kochanie?

Przekrzywia głowę, patrząc na mnie. Ruch od niechcienia, ale przerażający, bo wciąż przykładła do skroni lufę pistoletu. Można odnieść

wrażenie, że dziewczyna jest pusta w środku. Jak lalka.

Kolejne głębokie westchnienie, jeszcze bardziej przejmujące. Na twarzy nie widać żadnych emocji. Tylko wzdychanie i wzrok ujawniają, co się w niej dzieje.

Chyba jest gdzieś w samym środku piekła.

Mija długa chwila, po czym dziewczyna kiwa głową.

Teraz jestem niemal wdzięczna za milczenie Bonnie. Dzięki temu nauczyłam się pozawerbalnej komunikacji. Potrafię zrozumieć rozmaite niuanse gestów niezależnie od słów.

W porządku, mówi mi to kiwnięcie. Ale pistolet zostaje i wciąż mogę z niego skorzystać.

Wyprowadź ją z tego pokoju, mówię sama sobie. To pierwszy krok.

– Świetnie, Sarah – odpowiadam i kiwam do niej głową. – Odłożę swój pistolet. – Wodzi wzrokiem za moimi rękami. – Teraz wycofam się z pokoju. Chcę, żebyś poszła za mną. Chcę, żebyś patrzyła mi w oczy. To ważne, Sarah. Patrz tylko na mnie. Nie rozglądaj się na boki ani w górę czy w dół. Patrz na mnie.

Zaczynam iść tyłem, cały czas ku linii prostej. Wbijam w nią wzrok, chcę, żeby zrobiła to samo. Zatrzymuję się przy drzwiach.

– Chodź, kochanie. Jestem tu. Podejdź do mnie.

Waha się, po czym zsuwa się z parapetu. Jakby z niego spłynęła niczym woda. Wciąż trzyma pistolet przy głowie. Ze wzrokiem wbitym we mnie idzie w stronę drzwi. Nie zerka na łóżko, ani razu.

Dobrze, myślę. Wystarczy spojrzeć na ten koszmar, by pojawiły się samobójcze myśli.

Teraz, gdy stoi, oceniam, że ma metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Mimo

szoku porusza się z gracją i precyzyjnie. Sunie.

Wygląda na taką małą przy tych zamordowanych ludziach. Bose stopy ma całe poplamione krwią. Albo tego nie zauważa, albo jej to nie obchodzi.

Cofam się, żeby przeszła przez próg. Mija mnie, wciąż wpatrzona w moje ręce. Czujny zombie.

– Teraz zamknę drzwi, dobrze, kochanie?

Kiwa głową. *Mam to gdzieś*, mówi tym skinieniem. *Mam gdzieś, czy będę żyła, czy umrę, mam gdzieś cały świat.*

Zamykam drzwi i pozwalam sobie na uczucie ulgi. Drżącą ręką ocieram pot z czoła.

Biorę głęboki oddech i odwracam się do Sarah. A teraz przekonajmy się, czy namówię ją, żeby oddała mi pistolet.

– Wiesz co? Chyba sobie usiądę.

Siadam plecami do drzwi sypialni. Robię to, nie tracąc z nią kontaktu wzrokowego. Jestem tu, widzę cię, skupiam na tobie całą uwagę, mówię do niej oczami.

– Nieco trudno jest rozmawiać, kiedy jedna osoba siedzi, a druga stoi – zauważam i patrzę na nią do góry. Wskazuję jej miejsce przede mną.

– Może ty też usiądziesz? – Wpatruję się w jej twarz. – Wyglądasz na zmęczoną, skarbie.

Znów tak dziwnie przekrzywia głowę. Pochylam się i klepię w wykładzinę.

– Chodź, Sarah. Jesteśmy tylko dwie. Nikt tu nie wejdzie, dopóki nie pozwolę. Nikt cię nie skrzywdzi, póki tu jestem. Chciałaś się ze mną zobaczyć. – Znów klepię dłonią w wykładzinę, nadal utrzymuję kontakt

wzrokowy. – Usiądź i się odpręż. Ja przestanę mówić i poczekamy, aż będziesz gotowa mi powiedzieć, co chcesz mi przekazać.

Bez zapowiedzi rusza z miejsca, cofa się o krok i siada na podłodze. Robi to z taką samą płynną gracją, jak wtedy gdy schodziła z parapetu. Zastanawiam się, czy nie jest tancerką albo przynajmniej gimnastyczką.

Zachęcam ją uśmiechem.

– Świetnie, kochanie – mówię. – Bardzo dobrze.

Wciąż wbija we mnie wzrok. Pistolet nadal przykłada do skroni. Zastanawiając się nad kolejnym ruchem, przypominam sobie jedną z głównych lekcji z kursu negocjacji:

– Mówienie, kiedy chcesz, milczenie, kiedy chcesz. Tu chodzi o panowanie nad sytuacją – powiedział wówczas instruktor. – Gdy macie do czynienia z kimś, kto nie chce mówić, i nie macie pojęcia, jak go do tego skłonić, bo niewiele o nim wiecie, wtedy musicie sami zamilknąć. Instynktownie będziecie chcieli wypełnić tę ciszę. Ale nie róbcie tego. To jak z dzwoniącym telefonem, doprowadza do szału, ale prędzej czy później przestanie dzwonić. Tak samo i tutaj. Wczekajcie, aż to on przerwie ciszę.

Przywołuję opanowanie na twarz, wpatruję się w dziewczynę i milczę.

Twarz Sarah to spokój w stopniu najwyższym, całkowity brak ruchu, jakby była uformowana z wosku. Kąciki ust nie drgają. Czuję się, jakbym grała z mrugającym manekinem o to, kto pierwszy się załamie.

Jedynie błękitne oczy zdają się żywe, ale nawet one wydają się szkliste i nierealne.

Czekając, patrzę na krew, którą jest ubrudzona.

Plama na prawym policzku wygląda jak zbiór łez ciekących z boku.

Są wydłużone, jakby każda z nich uderzyła w skórę z wielkim impetem, a potem spłynęła pod wpływem siły ciężkości.

Pochlapała się? Zakrwawionymi paznokciami?

Koszula nocna to obraz rozpaczy. Cały przód jest przesiąknięty krwią. Widzę plamy na kolanach.

Jakby klęczała. Może próbowała kogoś reanimować?

Mój ciąg myśli przerywa się, kiedy Sarah mruga, wzdycha i odwraca wzrok.

– Naprawdę jesteś Smoky Barrett? – pyta. Mówi zmęczonym głosem, pełnym rozpaczy i wątpliwości.

Słyszając ją, ożywiam się, ale mam też poczucie nierealności. Głos ma mroczny i przytłumiony, jakby należał do kogoś starszego. Słysząc w nim kobietę, którą niedługo się stanie.

– Tak – odpowiadam. Wskazuję blizny. – Czegoś takiego nie da się podrobić.

Trzyma pistolet przy głowie, ale patrzy na moje blizny. Na zamarłej twarzy pojawia się cień żalu.

– Przykro mi – mówi. – Z powodu tego, co ci się stało. Czytałam o tym. Płakałam wtedy.

– Dziękuję.

Zaczekaj na nią. Nie naciskaj.

Patrzy w dół. Wzdycha. Znów spogląda na mnie.

– Wiem, jak to jest – mówi.

– Co, kochanie? – pytam cichym głosem. – O czym wiesz?

Patrzę, jak w jej oczach narasta ból, jakby zaczęły wypełniać się krwią.

– Wiem, jak to jest stracić wszystkich, których się kocha – mówi

łamiącym się głosem, który przechodzi w szept. – Tracę wszystko, od kiedy skończyłam sześć lat.

– Dlatego chciałaś się ze mną zobaczyć? Żeby opowiedzieć mi, co się wtedy stało?

– Kiedy miałam sześć lat – ciągnie, jakbym niczego nie powiedziała – on zaczął to wszystko od zamordowania matki i ojca.

– Co za „on”, Sarah?

Wbija we mnie wzrok, przez chwilę coś błyska w jej oczach i znów gaśnie.

Co to było? – zastanawiam się. Żal? Gniew?

Na pewno coś wielkiego. To nie była mała rybka, która wypłynęła na powierzchnię, by znów zanurkować w głębię. To był wieloryb z dna duszy.

– On – powtarza beznamiętnym głosem. – Obcy. Ten, który zabił moich rodziców. Ten sam, który zabija wszystko, co kocham... Artysta. – Wymawia słowo „artysta” tak, jakby mówiła „pedofil” albo „gówno na rozgrzanym chodniku”. Obrzydzenie jest silne, czyste i namacalne.

– Czy Obcy to zrobił, Sarah? Był tutaj, w tym domu?

Żal i strach znikają, a ich miejsce zajmuje cynizm, który mną wstrząsa. To coś zdecydowanie zbyt koszmarnego i wyrachowanego jak na szesnastolatkę. Jeśli ten głos należy do dwudziestopięciolatki, to owo spojrzenie pasuje do zmęczonej światem wiedźmy.

– Nie zwodź mnie! – krzyczy wysokim i ostrym głosem. – Wiem, że siedzisz tu i słuchasz tylko dlatego, że „ona bawi się pistoletem”. Tak naprawdę mi nie wierzysz!

Co się stało?

Ciche powietrze między nami zaczyna szumieć.

Tracisz ją, uświadamiam sobie. Przeszywa mnie strach.

Zrób coś!

Patrzę w wypełnione wściekłością oczy. Pamiętam, co mówił Alan.

Nie kłam, myślę. Prawda. Tylko prawda. Wyczuje nawet najmniejsze kłamstwo z odległości kilometra i wszystko skończone.

Słowa napływają mi same, bez wysiłku.

– Powiem ci, na czym mi teraz zależy, Sarah – mówię silnym głosem. – Zależy mi na tobie. Wiem, że to, co tu się stało, nie jest twoją winą. Wiem, że jesteś bliska samobójstwa. Wiem, że poprosiłaś o mnie, a to oznacza, że prawdopodobnie mogę ci coś dać, powiedzieć coś, co powstrzyma cię przed pociągnięciem za spust. – Pochylam się. – Kochanie, moja wiedza o tym, co się tu stało, jest za mała, żeby cię pocieszać, obiecuję, że tego nie zrobię. Próbuję tylko zrozumieć. Pomóż mi w tym. Proszę. Poprosiłaś o spotkanie ze mną. Dlaczego? Dlaczego chciałaś się ze mną widzieć, Sarah? – Chciałabym nią potrząsnąć. Zamiast tego błagam. – Proszę, powiedz mi.

Nie umieraj, myślę. Nie tutaj, nie tak.

– Proszę, Sarah. Porozmawiaj ze mną. Pomóż mi zrozumieć.

Słowa działają – gniew odpływa z jej oczu. Palec na spuście rozluźnia się, a dziewczyna odwraca wzrok.

Dzięki Bogu, wzdycham, walcząc z przyływem półhisterii, atakiem
(*Metalicznych dreszczy*)

Kiedy znów patrzy na mnie, zamiast wściekłości ma w oczach ból.

– Jesteś moją ostatnią nadzieją – odzywa się cichym i pustym głosem.

– Słucham cię, Sarah – potwierdzam. – Powiedz mi. Ostatnią nadzieją

na co?

– Ostatnią nadzieją... – wzdycha i słowa więzną jej w gardle. – Na to, bym znalazła kogoś, kto uwierzy, że to nie tylko pech – szepcze. – Kto uwierzy, że Obcy istnieje naprawdę.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Kto ci uwierzy? – wykrztuszam. Wskazuję kciukiem na sypialnię za plecami i to, co jest w środku. – Sarah, wiem, że coś się tu stało i nie miałaś z tym nic wspólnego. I chcę wysłuchać tego, co musisz powiedzieć.

Chyba zaskakuje ją to, że reaguję odruchowo i że jestem naprawdę zaskoczona, iż ktoś może nie traktować jej poważnie. W jej oczach widać światełko nadziei, która walczy z tym koszmarnym cynizmem. Marszczy twarz, wykrzywia usta. Wygląda jak ryba dusząca się na powietrzu.

– Naprawdę? – pyta pełnym bólu szeptem.

– Naprawdę. – Przerывam. – Sarah, nie rozumiem, co się działo z tobą do tej pory, ale z tego, co już zdążyłam zobaczyć, ten, kto to zrobił, musiał być silny. Silniejszy od ciebie. A nawet ode mnie.

W oczach dziewczyny błyska zdziwienie.

– Czy... – Jej dolna warga drży. – Czy to znaczy, że możesz stwierdzić, że on tu był?

– Tak.

Czy rzeczywiście?

Ale jest też inna możliwość, prawda? Może trzymała ojca na muszce i zmusiła go do odwalenia ciężkiej roboty. Mimo wszystko może być sprawcą.

W myślach macham ręką na to podejrzenie.

To zbyt skomplikowane, zbyt mroczne. Jest za młoda na takie

wyrafinowanie.

– Może – szepcze Sarah bardziej do siebie niż do mnie. – Może tym razem spieprzył sprawę.

Jej twarz marszczy się i znów wygładza, potem znów marszczy i wygładza. Nadzieja i rozpacz walczą o ster. Odkłada broń. Zakrywa twarz rękoma. Chwilę później pojawia się ten czysty żywy ból. Wybuch, przeszywa ją jak coś pierwotnego, koszmarnego. To jak krzyk królika w szczękach wilka.

Podnoszę broń z wykładziny, a kiedy mam już pistolet w ręku, mówię: „Dzięki Bogu”, zabezpieczam go i wsuwam za pasek dzinsów. Obejmuję szlochającą Sarah i przytulam do piersi.

Jej żal jest jak huragan. Uderza we mnie z całą siłą.

Trzymam ją mocno i obie pędzimy przez tę burzę.

Kołyszę się i tulę ją, bezgłośnie pocieszam. Czuję się bezradna i nieszczęśliwa, a mimo to spływa na mnie ulga.

Lepiej niech szlocha, niż miałyby zginąć.

Kiedy jest już po wszystkim, jestem mokra od łez. Sarah tuli się do mnie, prawie jakby nie miała kości. Widać jej wyczerpanie.

Mimo to zbiera siły i wyrywa mi się. Twarz ma bladą i opuchniętą od płaczu.

– Smoky? – mówi ledwo słyszalnym głosem.

– Tak, Sarah?

Patrzy na mnie i ze zdziwieniem dostrzegam siłę, z jaką dziewczyna pokonuje wyczerpanie ciągnące ją w swoją toń.

– Musisz mi coś obiecać.

– Co?

Pokazuje w głąb korytarza.

– Tam jest moja sypialnia. W szufladzie przy łóżku leży mój pamiętnik.

Wszystko w nim jest. Wszystko o Obcym. – Chwyta mnie za ramiona.

– Obiecuj mi, że go przeczytasz. Ty, nie ktoś inny. – Jej głos nabiera mocy.

– Obiecuj mi.

– Obiecuję – przyrzekam bez wahania.

Teraz nie mogłabyś mnie przed tym powstrzymać.

– Dzięki – szepcze.

Przewraca oczami i mdleje w moich ramionach. Przeszywa mnie jeszcze jeden dreszcz. Odpinam od paska krótkofalówkę i włączam ją.

– Wszystko w porządku – oznajmiam pewniejszym głosem, niż wskazywałby na to mój stan. – Przyślijcie lekarza do dziewczyny.

10

W Canoga Park oficjalnie zapadła noc. Dom oświetlają radiowozy i uliczne lampy, ale antyterrorysty zbierają się do odjazdu, nie ma też śmigłowca. W okolicy znów jest cicho, choć słyszę odgłosy miasta odległego zaledwie o kilka przecznic. Wzdłuż całej ulicy palą się światła w oknach. Rodziny siedzą za zaciągniętymi zasłonami. Jestem przekonana, że gdyby sprawdzić drzwi, wszystkie byłyby pozamykane na zasuwę.

– Dobra robota – powiedział do mnie Dawes, kiedy patrzyliśmy, jak ratownicy umieszczają nieprzytomną Sarah w karetce. Działali szybko. Dziewczyna zaczęła szarzeć na twarzy i szczękać zębami. Oznaki szoku.

– Dzięki.

– Mówię poważnie, agentko Barrett. To wszystko mogło się skończyć znacznie gorzej. – Przerzywa. – Pół roku temu wysłano nas na akcję. Naszprycowany metamfetaminą tatuś pobił żonę, ale naprawdę przerażające było to, że wymachiwał pistoletem, trzymając na rękach pięcioletnią córeczkę.

– Kiepska sprawa – mówię.

– Naprawdę kiepska. Na dodatek facet był na niezłym haju, naprawdę odleciał. Widziała pani kiedyś świra na metamfetaminie, który wchodzi na orbitę? To połączenie halucynacji i paranoi. Negocjator w zasadzie nie miał z kim pracować.

– I co się stało?

Dawes odwraca na chwilę wzrok, ale udaje mi się dostrzec cień żalu w jego oczach.

– Zastrzelił żonę. Bez ostrzeżenia. Coś paplał i nagle urwał w pół zdania, wycelował w nią i... dosłownie ją rozwalił. – Kręci głową. – W furgonetce dowodzenia cisza była taka, że słyszało się własne myśli. Wystarczy powiedzieć, że ruszyliśmy do działania.

– Skoro był w stanie zabić żonę bez ostrzeżenia...

Dawes kiwa głową.

– Mógł to samo zrobić z dzieckiem. Nasz snajper miał go już na muszce, dostał zielone światło i zdjął go. Trafił idealnie, prosto w czoło, czysto i pewnie. Doskonale. – Wzdycha. – Problem w tym, że tatuś upuścił córeczkę. Upadła na główkę i nie przeżyła. Ten snajper tydzień później się zastrzelił. – Tym razem patrzy bardziej przeszywającym wzrokiem. – A więc jak mówiłem, agentko Barrett, mogło się skończyć o wiele gorzej.

– Mów mi Smoky.

Uśmiecha się.

– Jasne. Wierzysz w Boga, Smoky?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Odpowiadam mu najszczerzej, jak potrafię.

– Nie wiem.

– No tak. Ja też nie.

Ściska mi dłoń, uśmiecha się smutno, żegna lekkim skinieniem i znika. Pozostaje jednak jego opowieść, która odbija się we mnie echem. Opowieść o sytuacji bez wyjścia.

Dzięki, że to opowiedziałeś, Dawes.

Siadam na krawężniku przed domem i próbuję wziąć się w garść. Callie i Alan rozmawiają przez komórki. Callie kończy, podchodzi i klapie obok mnie.

– Dobra wiadomość, kochaniutka. Zadzwoiłam do Barry’ego Franklina i ponarzekał, ponarzekał, ale zgodził się poprosić o tę sprawę. Zaraz tu będzie.

– Dzięki – odpowiadam.

Zabójstwa, poza pewnymi wyjątkami, nie są przestępstwami federalnymi. Nie mogę wejść w jurysdykcję miejscowej policji i przejąć sprawy, bo tak mi się podoba. Wszystko, co robimy, musi być przez łącznika uzgodnione i zatwierdzone przez miejscową policję. Jak większość agentów (i miejscowych gliniarzy) lubię utrzymywać dobre „stosunki z łącznikiem”. I tu właśnie pojawia się Barry. Barry to detektyw z wydziału zabójstw policji w Los Angeles, jeden z niewielu, którzy dochrapali się szarży detektywa pierwszego stopnia. Jeśli chce się zająć

jakaś sprawą nikt nie może mu odmówić.

Poznałam go przy pierwszej sprawie, którą prowadziłam, dowodząc ekipą w Los Angeles. Jakiś młody szaleniec podpalał bezdomnych i kolekcjonował ich stopy. Barry poprosił Biuro o wykonanie portretu psychologicznego zabójcy. Żadne z nas nie myślało wtedy o polityce czy zasługach. Chcieliśmy po prostu złapać przestępcę i to się nam udało.

W praktyce wygląda to tak: Barry, doskonały śledczy, nie odmawia mi wstępu na miejsce zbrodni, a jeśli ładnie go poproszę, wypowiada magiczne słowa: prośba o wsparcie. Te słowa umożliwiają nam całkowite i bezproblemowe zaangażowanie w sprawę. Dopóki ich nie usłyszymy, prawnie możemy być co najwyżej obserwatorami.

– Jak się czujesz, kochaniutka? – pyta Callie.

Pocieram twarz rękoma.

– Callie, powinnam być na urlopie. To wszystko tam w środku... – Kręcę głową. – To było surrealistyczne. I popieprzone. Dzień zaczął się doskonale. Teraz czuję się zbrukana... fuj. Za wiele brudnych spraw z rzędu.

Ludzie uważają, że każde morderstwo jest okropne. I choć technicznie mają rację, to jednak koszmar da się stopniować. Wypatroszenie całej rodziny to poważny wstrząs.

– Musisz sprawić sobie psa – mówi Callie.

– Potrzebuję wybuchu śmiechu – odpowiadam ponuro.

– Tylko jednego?

Uśmiecham się kwaśno.

– Nie. Serii wybuchów. Potrzeba mi śmiechu po obudzeniu jednego dnia, drugiego i następnego. Może wtedy jeden gówniany dzień tak mnie

nie zdołuje.

– To prawda. – Zamyśla się Callie. – Każdy ma w życiu słabsze dni, ale w twoim wypadku to pojęcie nabrało zupełnie nowego wymiaru. – Poklepuje mnie po dłoni. – Spraw sobie psa.

Wybucham śmiechem, tak jak chciała Callie.

Quantico, Quatico, śpiewa głos w mojej głowie. Żadnych dziewczynek o imieniu Sarah, żadnych zwierzeń, żadnych metalicznych dreszczy.

Podchodzi do nas Alan, wciąż rozmawiając przez komórkę. Kiedy staje przed nami, odrywa telefon od ucha.

– Elaina chce wiedzieć co z wieczorem. Chodzi o Bonnie. Zastanawiam się. Muszę poczekać na Barry'ego i jego ekipę, która zacznie przeczesywać dom. Powinnam sama obejść dom i przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie jeszcze raz.

Oczywiście oficjalnie nie jest to jeszcze nasza sprawa, ale nie zamierzam tak po prostu odpuścić.

Wzdycham.

– Wrócę późno. Możesz zapytać, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby Bonnie u was przenocowała?

– Żaden problem.

– Powiedz Elainie, że jutro się do niej odezwę.

Alan przykłada telefon do ucha i odchodzi, przekazując wieści.

– A co ze mną? – pyta Callie.

Uśmiecham się zmęczona.

– Na razie popracujemy w czasie urlopu. Najpierw pogadamy z Barrym, wszystko sprawdzimy... Wzruszam ramionami. – A potem się

zobaczy. Może wrócimy na urlop, może nie.

Wzdycha z przesadnym dramatyzmem i cierpieniem.

– Poganiaczka niewolników. – mruczy. – Chcę podwyżki.

– A ja pokoju na świecie – odpowiadam. – Życie to jedno wielkie rozczarowanie. Musisz do tego przywyknąć.

– Bonnie ma zapewnioną opiekę – mówi Alan, wracając do nas. – Jaki jest plan działania?

Czas przejąć stery.

To moja główna funkcja, ważniejsza niż wszystkie inne. Kieruję grupą prawdziwych luminarzy. Każdy z nich naprawdę w czymś błyszczy. Callie jest gwiazdą kryminologii. Alan to prawdziwa legenda w zdobywaniu zeznań. Nikt lepiej od niego nie rozmawia z ludźmi z sąsiedztwa. Jest niezmordowany, niczego nie przeoczy. Tacy ludzie nie zwierzają się tylko dlatego, że kogoś lubią. Muszą go szanować. A to wymaga odrobiny arogancji. Trzeba uświadamiać sobie swoje mocne strony, być najlepszym w jakiejś dziedzinie i o tym wiedzieć.

Moją specjalnością jest wczuwanie się w psychikę tych, których ścigamy. Ja widzę miejsce zbrodni, nie tylko na nie patrzę. Każdy może przejść się po miejscu zdarzenia i popatrzeć na zwłoki. Sztuka polega na tym, by odtworzyć to, co się stało. Dlaczego ta ofiara? Dlaczego tutaj? Co nam to mówi o zabójcy? Niektórzy są w tym dobrzy. Niektórzy bardzo dobrzy. Ja mam do tego dar i dość arogancji, by to przyznać przed sobą.

Moim talentem jest zdolność przenikania mroku, z którego wywodzą się ścigani przez nas zabójcy.

Wielu ludzi uważa, że rozumieją seryjnych zabójców. Czytają kryminały oparte na faktach, pewnie też potrafią przygotować się

psychicznie i bez mrugnięcia okiem spojrzeć na serię krwawych zdjęć z miejsca zbrodni. Mówią o drapieżnikach, psychoseksualności i czują się oświeceni.

Owszem, w porządku, nie ma w tym nic złego – tyle że trafiają zupełnie obok tarczy.

Próbowałam to kiedyś wyjaśnić na jednym z wykładów. W Quantico zorganizowano spotkanie z mistrzami i rozmaici goście przemawiali w salach pełnych inteligentnych studentów. Kiedy przyszła moja kolej, popatrzyłam na ich młode twarze pełne nadziei i próbowałam wyjaśnić, o co mi chodzi.

Opowiedziałam im o słynnej sprawie z Nowego Meksyku. Pewien mężczyzna i jego dziewczyna przez lata śledzili i porywali kobiety. Wprowadzali porwane do specjalnie przystosowanego pokoju, pełnego kajdan i narzędzi tortur. Całymi dniami i tygodniami gwałcili i torturowali ofiary. Przebieg wydarzeń nagrywali na wideo. Jednym z ich ulubionych narzędzi był pręt do znakowania bydła.

– Na jednej z kaset – powiedziałam – można zobaczyć, jak z waginy młodej kobiety wydobywa się dym, po tym jak spenetrowano ją prętem do znakowania bydła.

Ta drobna informacja, wcale nie najkoszmarniejsza z tego, co tam się działo, wywołała ciszę i bladość na części młodych twarzy.

– Jedna z naszych agentek miała za zadanie sporządzić serię dokładnych rysunków wszystkich biczy, łańcuchów, pił, seksualnych zabawek i innych perwersyjnych przedmiotów, którymi traktowano tam porywane kobiety. Wykonała zadanie. Robiła to przez cztery dni. Widziałam te rysunki i były naprawdę dobre. Wykorzystano je później w

sądzie. Szef pochwalił ją i kazał wziąć kilka dni wolnego. Żeby pojechała do domu, zobaczyła się z rodziną, oderwała od koszmaru. – Przerwałam i powiodłam wzrokiem po młodych słuchaczach. – Wróciła do domu, spędziła dzień z mężem i małą córeczką. W nocy, kiedy spali, zeszła po cichu na dół, wyjęła służbowy pistolet i strzeliła sobie w głowę.

Rozległo się kilka westchnień. Potem zapadła długa cisza. Wzruszyłam ramionami.

– Łatwo byłoby uznać ją za silną kobietę, zaszeregować, i więcej o tym nie myśleć. Moglibyśmy też nazwać ją słabą albo powiedzieć, że musiała już wcześniej mieć depresję albo że działo się w jej życiu coś, o czym nie wiedzieliśmy. I możecie tak zrobić. Chcę wam tylko wyjaśnić, że była agentką przez osiem lat. Miała błyskotliwą karierę i żadnych śladów choroby umysłowej. – Pokręciłam głową. – Moim zdaniem napatrzyła się za dużo, poszła za daleko i zbłądziła. Jak łódź na oceanie, gdzie nie widać brzegu. Według mnie ta agentka poczuła się jak na takiej łodzi i nie była w stanie znaleźć drogi z powrotem. – Pochyliłam się do przodu na mównicy. – Tym właśnie zajmuje się mój zespół: patrzemy. Patrzemy i nie odwracamy wzroku. I mamy nadzieję, że jakoś sobie z tym radzimy.

Szef imprezy nie był zbyt zadowolony z mojego wykładu. Ale guzik mnie to obchodziło. Mówiłam prawdę.

Nie byłam zaskoczona samobójstwem tej agentki. Tak naprawdę problemem nie jest dostrzeganie. Problemem jest nie dostrzegać i przestać dostrzegać. Trzeba umieć wrócić do domu i wyłączyć obrazy, które tłoczą się w głowie, szepcząc i cichutko drepcząc. Ta agentka tego nie potrafiła. Z tego powodu wpakowała sobie kulkę w głowę. Rozumiałam ją.

Zdaje się, że właśnie to próbowałam powiedzieć tym żółtodziobom. Że

to nie zabawa. Nie chodzi o podniecenie, sprostanie wyzwaniu czy strach przed kolejką górską.

To coś, co trzeba zrobić.

To mój dar albo moje przekleństwo – jestem w stanie zrozumieć żądze seryjnych zabójców. Wiem, dlaczego czują to, co czują. Czuję, jak oni to odczuwają, czasem tylko trochę, czasem bardzo mocno. To coś, co dzieje się we mnie, coś, co wynika ze szkoleń i obserwacji, ale przede wszystkim z chęci zbliżenia się do nich. Śpiewają sami sobie piosenkę, którą słyszą tylko oni. Jeśli chce się ją także usłyszeć, trzeba słuchać jak oni. Piosenka jest ważna, wyznacza taniec.

Najistotniejsze jest zatem to, co najbardziej nienaturalne: nie odwracam wzroku. Pochylam się, by lepiej widzieć. Wącham, by poczuć zapach. Dotykam ich czubkiem języka, by rozpoznać smak. W ten sposób udało mi się złapać wielu złych ludzi. Miałam też z tego powodu koszmary i chwile, kiedy zaczynałam się zastanawiać nad własnymi pragnieniami: czy naprawdę są moje? A może po prostu zrozumiałam zbyt wiele?

– Barry przyjedzie – mówię do Alana. – To jego teren. Może nas tu nie wpuścić, ale zachowujmy się tak, jakby miał to zrobić. Callie, chcę, żebyś przeszła się ze mną po domu. Będę potrzebowała twoich oczu kryminologa. Alan, sprawdź jeszcze raz okolicę i popytaj ludzi. Barry na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Przekonajmy się, co wiedzą sąsiedzi.

– Nie ma sprawy – odpowiada, wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki mały notatnik. – Pochodzimy z Nedom i popytamy.

Alan od zawsze nazywa swój notatnik „Ned”. Jego mentor mówił, że notatnik to najlepszy przyjaciel detektywa i powinien się jakoś nazywać.

Zażądał, by Alan wymyślił jakieś imię, i tak narodził się Ned. Mentor już nie żyje, a nazwa notatnika została. To chyba jakiś przesąd, coś w rodzaju szczęśliwych skarpetek baseballisty.

Callie mruży oczy i patrzy na czarnego buicka, który minął właśnie policyjną taśmę.

– Czy to Barry? – pyta.

Wstaję i rozpoznaję przez przednią szybę pełną twarz Barry’ego w okularach. Czuję ulgę. Teraz, wreszcie, będę mogła coś zrobić.

– Miałem ochotę nieźle cię ochrzanić, bo zepsułaś mi randkę – mówi Barry na powitanie. – Ale nie mam serca, bo wyglądasz jak sto nieszczęść.

Barry jest tuż po czterdziestce, duży, ale nie otyły. Wyłysiał, nosi okulary i ma dość nieatrakcyjną twarz. W korzystnym świetle ta twarz staje się milutka. Zawsze umawia się z pięknymi młodszymi kobietami. Alan mówi, że to „fenomen Barry’ego”. Ogromna pewność siebie, choć bez arogancji. Jest zabawny, inteligentny i wspaniały. Alan uważa, że wiele kobiet nie może się oprzeć temu połączeniu pewności siebie i wielkiego serca.

Sądzę, że to tylko część prawdy. W Barrym czai się niezwykła siła, która pomrukuje pod zbroją rycerskości jak daleka burza. Widział już niejedno i wie, że zło istnieje. Poluje na ludzi i w pewnym sensie, słusznie czy niesłusznie, to zawsze wydaje się sexy, na zwierzęcy sposób.

Wiem, że to gderanie jest tylko na pokaz. Straciliśmy już rachubę, kto ile jest komu winien, i tak naprawdę żadne z nas o to nie dba.

– No dobrze – mówi, wyciągając notatnik, swojego własnego Neda, gotów przejść od razu do sedna. – Co dla mnie masz?

– Rytualna rzeźnia. Wypatroszenie. Morze krwi. Jak zwykle – odpowiadam.

Przekazuję mu, co wiem. Nie jest tego dużo, ale tak zawsze zaczynamy nasz dialog, który dobrze się sprawdza. Chodzimy po miejscu zabójstwa i rozmawiamy, wymieniamy spostrzeżenia, wysnuwamy wnioski. Przypadkowemu obserwatorowi może się to wydawać bez sensu, ale w tym szaleństwie jest metoda.

– Trzy trupy? – pyta.

– Widziałam tyle i chyba więcej nie ma. Patrol policyjny przeszukał dom i nie wspominali o innych ciałach.

Kiwa głową, stukając długopisem w notatnik.

– Jesteś pewna, że dziewczyna tego nie zrobiła?

– Absolutnie – mówię z naciskiem. – Za mało na niej krwi. Kiedy wejdziemy do środka, zrozumiesz, o czym mówię. Tam jest... niezły bajzel. Mam niemal stuprocentową pewność, że jedna z osób została zabita na dole i przeniesiona do sypialni. Przeniesiona, nie zaciągnięta. Dziewczyna nie poradziłaby sobie z czymś takim.

Barry patrzy w stronę domu, myśli. W końcu wzrusza ramionami.

– I tak nie bardzo mi to pasuje – przyznaje. – Dziewczyna tego nie zrobiła. To, o czym mówisz, wygląda na skomplikowane zabójstwo. Nie, żeby szesnastolatki nie robiły dziś koszmarnych rzeczy, ale... – Znow wzrusza ramionami.

– Posłałam Alana, żeby pogadał z sąsiadami. Pomyślałam, że się nie pogniewasz.

– Jasne. Nikt nie zrobi tego lepiej od Alana.

– A więc kiedy wchodzimy? – pytam.

Jestem gotowa do działania, znów przepęlnia mnie energia. Chcę zacząć szukać zabójcy.

Barry patrzy na zegarek.

– Ekipa kryminologów powinna tu być za chwilę. Za to wisisz mi następną kolejkę. Potem możemy włożyć papierowe butki i zabrać się do roboty.

Zaczynam od otoczenia domu. Barry i Callie czekają cierpliwie i słuchają.

Oglądam frontową elewację. Przypatruję się ulicy, patrzę na domy po obu stronach. Próbuję sobie wyobrazić, jak tu jest w ciągu dnia.

– To rodzinna okolica – mówię. – Pełno tu ludzi, życia. Jak to w sobotę, ludzie siedzieli w domach. Pojawić się tu w takim dniu to śmiałe posunięcie. Albo jest sprawnym fachowcem, albo nadmiernie pewny siebie. Nie robił tego po raz pierwszy. Moim zdaniem zabijał już wcześniej.

Idę chodnikiem aż do wejściowych drzwi. Wyobrażam sobie, jak zabójca podążał tą samą drogą. Mógł to robić, kiedy byłam na zakupach z Bonnie albo kiedy opróżniałam w sypialni szafę Matta. Życie i śmierć, ramię w ramię, jedno nieświadome drugiego.

Zatrzymuję się przed drzwiami. Próbuję sobie wyobrazić go tutaj. Czy był podniecony? Spokojny? Oszalały? Nic nie przychodzi mi do głowy. Jeszcze za mało o nim wiem.

Wchodzę do domu. Za mną Barry i Callie.

Dom wciąż śmierdzi morderstwem. Teraz jest jeszcze gorzej, bo z czasem zapachy stają się coraz intensywniejsze.

Przechodzimy do bawialni. Patrzę na przesiąkniętą krwią wykładzinę.

Fotograf od kryminologów robi zdjęcie za zdjęciem.

– Cholernie dużo krwi – zauważa Barry.

– Podciął im gardła – wyjaśniam. – Od ucha do ucha.

– To by wszystko tłumaczyło. – Rozgląda się dookoła. – Jak mówiłaś, żadnych śladów rozmazanej krwi.

– Owszem. Ale to też sporo o nim mówi.

– Na przykład? – dopytuje się Barry.

– Lubi to, co robi. Ostre narzędzie nadaje morderstwu intymność. To akt gniewu, ale na innym poziomie to także akt radości. Tak jakbyś zabił kochankę. Bardziej osobiste jest tylko morderstwo gołymi rękoma. W ten sposób można też zabić obcego, którego się kocha. To znak szacunku, podziękowanie za śmierć, którą otrzymujesz. – Ruchem ręki ogarniam zakrwawiony pokój. – Puszczanie krwi może być czynnością bardzo intymną albo beznamiętną. Krew to życie. Kaleczysz obcego, którego kochasz, żeby być blisko płynącej krwi. Krew to także ścieżka do śmierci. W podobny sposób zarzyna się przecież świnie. W jaki sposób ich traktował? Jak zwierzęta czy jak kochanków? Byli dla niego niczym czy wszystkim?

– A ty jak sądzisz?

– Jeszcze nie wiem. Sęk jednak w tym, że jakkolwiek ich postrzegał, nie miał żadnych wątpliwości. Nie zabija się nożem, jeśli się waha. To akt pewności. Broń palna daje dystans, ale nóż? Noża trzeba użyć z bliska. To dowód, że rodzaj śmierci jest równie ważny jak sama śmierć.

– Jak to?

Wzruszam ramionami.

– Pistolet jest szybszy.

Callie chodzi po pokoju, przygląda się krwi i kręci głową.

– Coś nie pasuje? – pytam.

Pokazuje na ciemną kałużę przy swoich stopach.

– To mi nie pasuje. – Patrzy na dragą plamę odrobinę w lewo. – Tu jest coś nie tak.

– Dlaczego, rudzielcu? – pyta Barry.

– Analiza rozprysku krwi to nauka z pogranicza fizyki, biologii, chemii i matematyki. Nie ma czasu na dogłębny kurs. Powiem wam tylko, że fizyka, lepkość krwi i rodzaj materiału, z jakiego wykonano wykładzinę, mówią mi, że te dwie kałuże spreparowano celowo. – Podchodzi do nas bliżej i wskazuje na większą kałużę w pobliżu wejścia do bawialni. – Popatrzcie na te linie. – Pochyliła się i wskazuje nam linię krwi, która rozszerza się im dalej od nas, kończąc się zaokrągloną główką o poszarpanych brzegach.

– Widzicie, wygląda prawie jak wielka kijanka.

– Owszem – odpowiadam.

– To samo obserwujecie często na mniejszą skalę. Po rozchlapaniu cieczy zawsze zostają długie wąskie plamy z wyraźną główką. Ostrzejszy koniec plamy, czyli „ogon”, zawsze wskazuje miejsce powstania. Tu mamy po prostu większą wersję tego, co mogło powstać po poderżnięciu gardła.

– Callie pokazuje. – Widzicie, tutaj i tutaj. Spójrzcie też na ścianę obok. Patrzę. Kolejne kijanki, tyle że małe, oraz wiele drobnych kropek.

– Tak.

– Wyobraźcie sobie, że krew to ciecz pod ciśnieniem. Wystarczy zrobić dziurę w pojemniku i zaczyna wypływać. Rozprysk krwi powodowany jest

przez siłę, z jaką wydostaje się ona na zewnątrz. Z tego można odczytać szybkość i odległość wypływu. Przecięcie arterii powoduje duży wytrysk krwi. Rozwalenie głowy młotkiem również. Tak czy owak, krew wypływa z ciała z mniejszą lub większą siłą aż napotyka jakąś powierzchnię i w tej właśnie chwili przekazuje swój ruch i energię tej powierzchni, tworząc na niej odpowiedni wzór. W efekcie powstają kijanki, kropelki o muszelkowatych kształtach i tak dalej. – Znow pokazuje na wykładzinę i pobliską ścianę. – Po śladach na podłodze i dywanie można rozpoznać wytrysk z arterii. Swobodny ruch w określonym kierunku, wywołany siłą. To znak morderstwa. Te dwa już nie. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że krew w tych miejscach wylano. Z jakiegoś pojemnika. Tamte kałuże nie są wynikiem chlapnięcia czy rozprysku. Krew wylewano z góry, a wielkość plam i brak rozprysku na brzegach dowodzą że ktoś lał powoli. Z niewielką siłą.

Teraz, kiedy Callie to wyjaśniła, widzę wszystko wyraźnie. Podejrzane kałuże są zbyt staranne, zbyt ładne, okrągłe. Jak syrop na naleśnikach.

– A więc... zabija kogoś tutaj – mówi Barry. – A potem co? Dochodzi do wniosku, że w pokoju jest za mało krwi?

Callie wzrusza ramionami.

– Nie powiem ci, dlaczego to zrobił. Mogę tylko stwierdzić, że te dwie plamy powstały jako ostatnie. Są bardziej wilgotne niż ta na miejscu zabójstwa i bardziej zakrzepłe.

– Więc? – Barry patrzy na mnie. – Co o tym sądzisz? Ofiara, która tu zginęła, zmarła ostatnia? Czy pierwsza?

– Moim zdaniem ostatnia – odpowiadam. – Kiedy przyjechałam, krew tutaj była jeszcze świeża, a na ścianach na górze wyglądała na zaschniętą.

– Mój wzrok przykuwa coś przy szklanych drzwiach przesuwnych. Podchodzę bliżej. – Barry – mówię. – Zobacz tutaj.

Wskazuję na klamkę. Jest odblokowana, a drzwi są nieco rozsunięte. Trudno to dostrzec, jeśli nie stoi się w pobliżu, tak jak my teraz.

– Tędy mógł wejść – spekuluje Callie.

– Pstryknij to kilka razy, zanim otworzę drzwi – mówi Barry do fotografa. Kryminolog, skupiony mężczyzna o imieniu Dan, fotografuje okolice klamki i drzwi.

– Powinno wystarczyć – mówi Dan.

– Dzięki – uśmiecha się Callie.

Dan rumieni się i patrzy w wykładzinę. Odwzajemnia uśmiech, ale nic nie mówi. Dociera do mnie, że zaniemówił z powodu nieśmiałości i nieziemskiej urody Callie.

– Proszę bardzo – wykrztusza z siebie i odchodzi.

– Milutki – mówi Callie do Barry'ego.

– Aha. – Barry zajęty jest badaniem klamki. – Wygląda na wyłamana – stwierdza. – Zdecydowanie czymś ją wyważono. Widać ślady po narzędziu.

Prostuje się i rękami w gumowych rękawicach otwiera drzwi. Przesuwają się z prawej do lewej. Od zewnątrz byłoby to od lewej do prawej.

Praworeczny zabójca prawdopodobnie otworzyłby drzwi lewą ręką, bo w prawej miałby... no co? Nóż? Plecak?

Wychodzimy na zewnątrz. Jest ciemno, ale widać, że podwórko jest duże. Dostrzegam zacieniony zarys kwadratowego basenu. Pojedyncza palma średniej wielkości w lewym dalszym rogu strzela w nocne niebo.

– Czy jest tu jakieś światło? – dopytuje się Barry.

Callie bada ścianę bawialni w pobliżu drzwi, szukając włącznika. Kiedy go w końcu znajduje i włącza, cichną pogaduszki, którymi próbujemy zdystansować się od tego, co widzimy.

Zapaliło się nie tylko światło na podwórku, ale też przy basenie.

– Jezu – mruczy Barry.

Jasnobłękitne dno basenu wraz z podwodnym oświetleniem tworzy w ciemności wyspę mieniającą się jasności. Krew kontrastuje z tą jasnością jak zanurzona w wodzie karmazynowa chmura. Unosi się na powierzchni w kilku miejscach – mieszanina zakrzepów, różowej piany, gładkiej jak oliwa cieczy.

Podchodzę do brzegu basenu i wpatruję się w wodę.

– Nie ma żadnej broni ani ubrań – mówię.

– Za to mnóstwo krwi – zauważa Barry. – W pewnych miejscach nie widać dna.

Rozglądam się po podwórku. Ze wszystkich stron otoczone stuosiemdziesięciocentymetrowym murem z betonu i cegły, prawdziwa rzadkość na przedmieściach Los Angeles. Na górze rośnie bluszcz splatający się z wysokimi krzewami z tej i sąsiednich działek. Wszystko tworzy niezwykle zacisze. Dom zbudowano tak, by wpadało do niego jak najwięcej światła, za to podwórze miało przechwytywać ciekawskie spojrzenia.

Myślę o pokoju na górze, całym zachlapanym krwią.

Tam się nie spieszył, myślę. Bawił się, malował, wyprawił sobie bal. To dopiero brudna robota.

– Zabójca skorzystał z basenu – mówię.

Callie unosi brwi. Barry rzuca mi pytające spojrzenie. Uświadamiam sobie, że jestem o krok przed nimi. Ja widziałam sypialnię, oni nie.

– Posłuchajcie, facet robi to w biały dzień. Jest sobota, więc sąsiedzi są w domach. Co więcej, jest piękna słoneczna pogoda. Ludzie siedzą na dworze, jeżdżą rowerami, cieszą się swobodą. – Wskazuję na okno głównej sypialni. – Bawił się bez obaw. Krew jest wszędzie, na suficie i ścianach, ale to nie ślady morderstwa. Krew jest wszędzie, bo ją rozmazał. Pewnie tonął we krwi. Musiał ją jakoś zmyć i chciał to zrobić tutaj. To go zachwycało.

– Dlaczego nie skorzystał z łazienki w domu? – pyta Callie. – Przecież wychodząc na podwórko, sporo ryzykował? Musiał się odsłonić. Ktoś mógłby zapukać i wejść do domu, a on nic by o tym nie wiedział.

– Po pierwsze, tak jest rozsądniej – mówi Barry. – Pewnie wie, że sprawdzamy sitka w łazienkach. W filtrze od basenu trudniej znaleźć coś, co go zdradzi. A chlor nie jest sprzymierzeńcem śledczych.

Przyglądam się basenowi. Na całej sześciometrowej długości dno ma wszędzie jednakową głębokość. Do wody prowadzi pojedyncza drabinka. Wokół biegnie błyszcząca terakota tworząca nabrzeże.

– Gdzieś tam kafelki są mokre – zauważam.

– Wynośmy się stąd – mówi ostro Callie. – Natychmiast.

Barry i ja spoglądamy na nią zdziwieni.

– Dlaczego kafelki są mokre? – pyta nas.

Teraz rozumiem.

– Chodził tu, pewnie nago i boso, i prawdopodobnie zostawił ślady stóp. I możemy je zdeptać, kręcąc się tutaj.

– Słusznie – przyznaje Barry. – Sorki.

– Trzeba będzie przeczesać cały ten teren ultrafioletem – mówi Callie.

– Centymetr po centymetrze. Dzięki Bogu, że czeka to kogoś innego, a nie mnie.

Ślady człowieka, w tym odciski palców, nasienie i krew, świecą w ultrafiolecie. Callie ma rację. Jeśli pojawił się tu nago i chodził bez skrepowania, możemy odkryć jego tożsamość.

Wracamy przez szklane drzwi, ale wciąż zerkamy w stronę podwórka.

– Mówiłaś, że w tym basenie nie chodziło tylko o zmycie dowodów? – przypomina Barry.

– Moim zdaniem... – milknę. Myśl pojawia się jak zawsze, wypływa z podświadomości, w pełni sformułowana. – Moim zdaniem spodobało mi się, że może zrobić coś mrocznego, zupełnie się nie kryjąc. Zabił tę rodzinę w biały dzień, prawie wykapał się w ich krwi, a potem rozebrał się i popływał sobie w basenie, podczas gdy ich ciała gotowały się w niewentylowanym domu. Tymczasem sąsiedzi w okolicy wydawali dzieciakom przyjęcia urodzinowe, przycinali żywopłoty, grillowali, spędzali zwyczajny dzień, nie wiedząc, że on tu jest. – Patrzę na Barry'ego. – Musiał bardzo triumfować. Jak wampir w biały dzień. To dało mu poczucie władzy i własności. Czuł się pewny, przychodząc tu w dzień, by użyć noża do zabójstwa. Wszystko pasuje.

– Co za posraniec – mówi Barry, kręcąc głową. Wzdycha. – A więc przepląnął kilka basenów, poleżał sobie, nasłuchując sąsiadów, i gratulował sam sobie. Pytanie, w jakiej kolejności to wszystko się odbyło. Mówisz, że krew na dole była świeża. W porządku, ale jak to się ma do reszty wydarzeń? Zabija dwie ofiary na górze, tworzy kawałek sztuki abstrakcyjnej ich krwią, przychodzi popływać, a potem zabija trzecią

ofiare? I co robi Sarah, kiedy to wszystko się dzieje?

Wzruszam ramionami.

– Tego jeszcze nie wiemy.

– Nie znoszę, kiedy muszę przez nich pracować – wzdycha. – Hej, Thompson! – ryczy nagle. Jak za machnięciem różdżki pojawia się ten sam dwudziestokilkulatek, który wcześniej próbował nas zatrzymać przy taśmie policyjnej.

– Słucham? – zgłasza się.

– Nie wpuszczaj nikogo na podwórko, dopóki nie dostaniesz zgody szefa kryminologów.

– Tak jest. – Zajmuje miejsce przy szklanych drzwiach. Jest zbyt młody. Wciąż podniecony tym, że się tu znajduje.

– Gotowe do obejrzenia sypialni? – pyta Barry.

Pytanie jest retoryczne. Idziemy tropem, działamy, składamy układankę w naszych głowach.

Pilnuj śladu, póki jest ciepły.

Wychodzimy z bawialni i idziemy na górę, Barry przodem, Callie za mną. Docieramy na górę. Barry zagląda do sypialni.

– Musicie tu wchodzić oboje? – odzywa się pełen wyrzutów głos. – Żeby wszystko zdeptać?

Głos należy do Johna Simmons, szefa policyjnej ekipy kryminologów, która dziś ma dyżur. Jest irytujący, szorstki i jeśli chodzi o przetwarzanie dowodów zabójstw, nie ufa nikomu poza sobą. Ale można mu to wybaczyć. Jest jednym z najlepszych fachowców.

– Właściwie troje, kochaniutki – mówi Callie, podchodząc bliżej, żeby ją też zobaczyć.

Simmons nie jest młody. Pracuje już bardzo długo. Ma grubo powyżej pięćdziesiątki i to widać. Uśmiechy w jego wykonaniu są jak diamenty – rzadkie i pojawiają się tylko przy specjalnych okazjach. Wygląda na to, że Callie zasługuje na taki diament.

– Calpurnia! – krzyczy Simmons, uśmiechając się od ucha do ucha. Podchodzi do nas i odpycha Barry’ego i mnie, żeby ją objąć.

Callie też go ściska, a Barry patrzy zaskoczony. Ja widziałam to już wcześniej i wiem, skąd to zachowanie. Barry nie.

– Miałam praktyki u Johnny’ego, kiedy studiowałam kryminalistykę – wyjaśnia mu Callie.

– Bardzo zdolna studentka – mówi zadowolony Simmons. – Calpurnia była jednym z moich niewielu sukcesów. Naprawdę docenia tę naukę.

Simmons patrzy teraz na mnie. Otwarcie przygląda się bliznom, ale to mi nie przeszkadza. Wiem, że nie ocenia, jest ich po prostu ciekawy.

– Agentka Barrett. – Wita mnie skinieniem głowy.

– Witam pana.

Zawsze zwracałam się do Johna Simmonsa per „pan”. Zawsze wydawał mi się „panem” i nigdy nie zmienił mojego przekonania. Callie to jedyna znana mi osoba, która mówi do niego „Johnny”, a on jest chyba jedyny, który może sobie pozwolić na zwracanie się do niej „Calpurnia”, bo Callie piekielnie nie znosi tego imienia.

– A więc Calpurnio – rzuca do Callie. – Rozumiem, że zerkniesz na teren, którym się zajmuję? Dopilnujesz, żeby niczego nie zdeptano i nie dotykano bez potrzeby?

Callie podnosi prawą rękę, a lewą kładzie na sercu.

– Obiecuję. Johnny, też mam prośbę.

Mówi mu o podwórku. On obdarza ją kolejnym miłym uśmiechem.

– Natychmiast kogoś tam poślę. – Ostatni raz podejrzliwie spogląda na mnie i Barry’ego i wpuszcza nas do pokoju.

Wchodzimy do środka. Simmons idzie na dół, żeby pogonić kogoś do pracy. Zostawia nas samych. Mimo narzekania rozumie, że musimy wczuć się w atmosferę tego miejsca. Zawsze dawał mi tyle swobody, ile potrzebowałam, nigdy nie stał nade mną, nie zaglądał mi przez ramię.

Teraz, kiedy nie muszę się skupiać na Sarah, zatrzymuję się i naprawdę patrzę.

Państwo Dean i Laurel Kingsleyowie, bo tak się nazywali, byli parą wysportowanych czterdziestokilkulatków. Opaleni, o przystojnych twarzach, silnych nogach. Mieli w sobie jakąś elegancję. Nawet w tych warunkach czuję ich witalność.

– Boże, naprawdę był pewny siebie – mówię. – Nie dość, że przyszedł tu w weekend i to w jasny dzień, to jeszcze pokonał dwoje wysportowanych zdrowych dorosłych i dwoje nastolatków.

Dean ma szeroko otwarte oczy, które powoli stają się oczami trupa – szare i mętne niczym osad po pianie w wannie. Laurel ma zamknięte powieki. Ich usta są nienaturalnie wykrzywione jak u dyszącego psa albo kogoś, kto został zmuszony do uśmiechu pod lufą pistoletu. Deanowi wystaje język, a Laurel ma zaciśnięte zęby.

Już na zawsze, myślę. Nigdy nie rozewrze szczęk.

Coś mi mówi, że tej zadbanej kobiecie bardzo by się to nie podobało.

– Zastraszył ich za pomocą pistoletu. Na pewno nie posłużył się tylko nożem – mówię. – Wielu ofiarom nóż nie wydaje się groźny. To musiał być pistolet. Coś wielkiego i przerażającego.

Od mostka w dół oboje wyglądają jakby połknęli odbezpieczony granat.

– Każde z nich przecięto jednym długim ruchem – zauważa Barry. – Musiał użyć czegoś ostrego.

– Pewnie skalpela – mruczę. – Ale nie ciął płynnie. Po ranach widać chwile wahania. Widzisz te poszarpane miejsca?

Rozcinał ich drżącą ręką przerywając co jakiś czas. Potem sięgnął do środka, chwycił wszystko, na co trafił i wyciągał jak rybak patroszący rybę. Stojąc nad panem Kingsleyem, widzę środkowy odcinek jego kręgosłupa. Nie zasłania mi go żaden organ wewnętrzny.

– Ta niepewność jest dziwna – mruczę.

– Dlaczego? – pyta Barry.

– Bo poza tym nie miał zawahań. – Pochyliam się, by przyjrzeć się dokładniej, tym razem oglądam gardła. – Gardła podciął czystym ruchem, bez oporów. – Wstaję. – Może to nie są oznaki wahania. Może cięcia nie są proste, bo był podniecony. Może rozcinając ich, doznał orgazmu.

– Urocze – mówi Callie.

W przeciwieństwie do Deana i Laurel chłopiec, Michael, nie został tknięty. Jest blady od utraty krwi, ale oszczędzono mu profanacji w postaci wypatroszenia.

– Dlaczego dał spokój chłopakowi? – zastanawia się Barry.

– Albo nie był tak ważny, albo właśnie był najważniejszy – odpowiadam.

Callie powoli obchodzi łóżko, przygląda się zwłokom. Omiata wzrokiem podłogę, mrużąc oczy, patrzy na krew na ścianach. – I co widzisz? – pytam.

– Całej trójce przecięto tętnice szyjne. Sądząc po kolorze skóry, wykrwawili się do cna. Zrobiono to przed wyjęciem trzewi.

– Skąd to wiesz? – dopytuje się Barry.

– Na dnie jam brzusznych i w widocznych organach nie ma dość krwi. Powstaje w ogóle pytanie: gdzie ona jest? Potrafię ustalić miejsce zgonu jednej z ofiar, na dole w bawialni. Ale co z pozostałymi dwiema? – Wskazuje gestem na pokój. – Tu krew jest głównie na ścianach. Kilka plam na wykładzinie, ale to za mało. Pościel i koce z łóżka są zakrwawione, to prawda, ale to tylko niewielkie ilości. – Kręci głową. – Nikomu z nich nie podcięto gardła w tym pokoju.

– Zauważyłam to już wcześniej – mówię. – Wykrwawili się gdzie indziej. Ale gdzie?

Chwilę później wszyscy patrzymy wzdłuż krótkiego korytarza, który prowadzi od głównej sypialni do głównej łazienki. Ruszam bez słowa. Barry i Callie idą za mną.

Kiedy wchodzimy do łazienki, wszystko staje się jasne.

– No cóż – rzuca ponuro Barry. – Mamy więc jasność.

Wanna jest duża, zaprojektowana z myślą o leniwym relaksie. Ponad jedną czwartą wypełnia krzepnąca krew.

– Wykrwawił ich w wannie – mruczę. Wskazuję na dwie czerwone plamy na wykładzinie. – Wyciągnął ich, kiedy było po wszystkim, i ułożył tutaj, obok siebie.

Myślę coraz szybciej, coraz szybciej zaczynam wyłapywać związki. Bez słowa odwracam się na pięcie i wracam do sypialni. Patrzą na nadgarstki i kostki Deana oraz Laurel Kingsleyów. Callie i Barry przyszli za mną i spoglądają na mnie z uniesionymi brwiami.

Wskazuję na ciała.

– Nie mają śladów na nadgarstkach i kostkach. To dwoje dorosłych. Ktoś rozbiera ich do naga, wkłada do wanny, po kolei, podrzyna im gardła, po kolei, wykrwawia, po kolei. To się chyba nie trzyma kupy?

– Rozumiem cię – przytakuje Barry. – Musieliby się bronić. Jak więc to zrobił? Przecież nie powiedział im „czekaj na swoją kolejkę, za chwilę cię zabiję”.

– Brzytwa Ockhama – odpowiadam. – Najprostsza odpowiedź brzmi: nie bronili się.

Barry marszczy brwi zaskoczony, po czym rozchmurza się i kiwa głową.

– Masz rację – zgadza się. – Musieli być nieprzytomni. Może czymś naszprycowani. – Wpisuje coś do notatnika. – Trzeba będzie na to zwrócić uwagę przy sekcji zwłok.

– W takim razie – mówię, kręcąc głową – jeśli to prawda, to musiał przenieść trzy ciała, w tym jedno po schodach. – Patrzę na Barry’ego. – Jak oceniasz, ile wzrostu ma pan Kingsley? Metr osiemdziesiąt?

– Może nawet metr osiemdziesiąt dwa. – Kiwa głową. – Waży około osiemdziesięciu pięciu kilo.

Gwiżdżę.

– Musiałby więc wciągnąć odurzonego Kingsleya do wanny... – Kręcę głową. – Albo jest wysoki, albo silny, albo jedno i drugie.

– To już coś – zauważa Barry. – Nie szukamy konusa.

– Oczywiście mogło ich być dwóch – mówi Callie, patrząc na mnie. – Zdarzały się już przecież takie ekipy, prawda?

Ma rację. Wspólne morderstwa nie są wcale takie rzadkie. Mój zespół i

ja ścigaliśmy już niejedną taką spółkę.

– Na pierwszy rzut oka nie widać śladów gwałtu – stwierdza Barry. – Ale to niewiele znaczy. Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie poddamy zwłok dokładnym badaniom.

– Niech najpierw sprawdzą chłopaka – proponuję.

Barry unosi brew.

– Nie został wypatroszony. – Wskazuję na ciało Michaela. – I jest czysty. Sądzę, że zabójca umył go po śmierci. Wygląda na to, że również go uczesał. Może nie ma to podłoża seksualnego, ale coś w tym jest. Z jakiegoś powodu był mniej wściekły na Michaela.

– Rozumiem. – Barry notuje wszystko w zeszytiku. Rozglądam się po pokoju i patrzę na zacieki krwi na ścianach i suficie. Tu i ówdzie wyglądają na chlapnięcia, jakby artysta rzucił całą farbę z puszki na czyste płótno. Ale są też bardziej wyszukane wzory. Esy-floresy i symbole. Smugi. Najbardziej oczywiste jest to, że krew jest wszędzie.

– Krew jest dla niego kluczem – rzucam półgłosem. – I wyjęcie trzewi. Żadna z ofiar nie nosi śladów tortur, oboje wykrwawili się przed otwarciem ciała. Ich ból nie był dla niego ważny. Chciał tego, co było w środku. Zwłaszcza krwi.

– Dlaczego? – pyta Barry.

– Nie potrafię powiedzieć. W przypadku krwi symbolika jest zbyt rozległa. Krew to życie, można pić krew, z krwi można wróżyć przyszłość i tak dalej. Ale to ważne. – Kręcę głową. – Dziwne.

– Co?

– Wszystko, co widziałam do tej pory, wskazuje na nieźrównoważonego zabójcę. Okaleczenie, malowanie krwią.

Nieźrównoważeni zabójcy są chaotyczni. Mają problem z planowaniem i skupiają się na szczegółach. Tracą kontrolę.

– A więc?

– A więc jak to się stało, że chłopak nie został wypatroszony, a Sarah wciąż żyje? Coś tu nie pasuje.

Barry patrzy na mnie uważnie. Wzrusza ramionami.

– Chodźmy obejrzeć jej pokój – proponuję. – Może tam znajdziemy jakieś odpowiedzi.

O kurczę – mówi Callie.

Są dwa powody tego cichego okrzyku.

Po pierwsze, słowa wypisane na pustej ścianie przy łóżku.

– Czy to krew? – pyta Barry.

– Tak – potwierdza Callie.

Litery są wielkie. Pociągnięcia wskazują, że były malowane z wściekłością, każda jest efektem nienawiści i gniewu.

„TO MIEJSCE BÓL”

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – jęczy Barry.

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale to dla niego ważne. Podobnie jak krew i usuwanie trzewi.

– Ciekawe, że napisał to w sypialni Sarah, prawda? – mówi Callie.

– Tak, tak, łamigłówki, zagadki i kocioł czarownicy – narzeka Barry. – Czemu żaden z nich nie potrafi napisać czegoś użytecznego. Na przykład: „Cześć, nazywam się John Smith, możecie mnie znaleźć przy Oak Street 222. Przyznaję się”.

Drugim powodem zdziwienia Callie jest wystrój pokoju. Od razu przypomina mi się pokój Alexy, w którym stałam dziś rano. Ten nie jest komnatą dziewczynki księżniczki, jest z innej bajki.

Wykładzina jest czarna. Czarne i grube story na oknach są ściśle zaciągnięte. Wielkie łóżko nie jest czarne, ale poszewki poduszek, pościel

i koc – owszem. Wszystko to kontrastuje z bielą ścian.

Sam pokój jest stosunkowo duży, prawie o połowę większy niż standardowe pokoje dzieci w większości domów. Może mieć około piętnastu metrów. Mimo wielkiego łóżka, półek na książki i szafek z szufladami przy łóżku pośrodku jest dość miejsca, by swobodnie chodzić. Ale ta duża przestrzeń nie pomaga. Pokój sprawia wrażenie surowego i odizolowanego.

– Nie jestem ekspertem – odzywa się Barry – ale wygląda mi na to, że to dziecko ma problemy. I nie mówię tylko o kupie zwłok w domu.

Przyglądam się szafce przy łóżku. Ma wysokość i szerokość stołka barowego. Na blacie stoi czarny budzik. Najbardziej interesują mnie trzy małe szuflady.

– Możemy tu kogoś zawołać, żeby zdjął odciski palców? – pytam Barry'ego.

– Teraz?

Wzrusza ramionami.

– Pewnie tak. A co?

Streszczam mu fragment rozmowy z Sarah. Kiedy kończę, Barry wygląda na zakłopotanego.

– Nie powinnaś była jej tego obiecywać, Smoky – mówi. – Nie mogę ci dać tego pamiętnika. Koniec, kropka. Dobrze o tym wiesz.

Patrzę na niego zaskoczona. Ma rację, oczywiście. To wbrew procedurze postępowania z dowodami i co najmniej dziesięciu innym regułom kryminalistyki. Naruszenie którejś z nich wywołałoby pewnie u Johna Simmonsa atak apopleksji.

– Zawołajmy tu Johnny'ego – mówi Callie. – Mam pomysł, jak to

zrobić.

Simmons rozgląda się po sypialni Sarah Kingsley.

– A więc, Calpurnio, wyjaśnij mi, co chcesz osiągnąć?

– To proste, Johnny. Smoky nie może zabrać pamiętnika. Pomyślałam, żeby skopiować go, fotografując każdą stronę.

– Chcesz, żeby fotograf śledzał teraz nad robieniem zdjęć każdej strony dziewczęcego pamiętnika?

– Tak.

– A czemu miałbym się na to zgodzić?

– Bo możesz, kochaniutki. I dlatego, że to konieczne.

– No dobrze – mówi, odwraca się i idzie w stronę drzwi. – Przyślę tu Dana.

Patrzę za nim zaskoczona tą nagłą i całkowitą kapitulacją.

– Jak ci się to udało? – dziwi się Barry.

– Magiczne słowo brzmi „konieczne” – wyjaśnia Callie. – Johnny nie znosi marnowania czasu na miejscu zbrodni. Ale jeśli jego ekipa musi coś zrobić, by rozwiązać sprawę, będzie śledzał nad tym całym dniami.

– Uśmiecha się kwaśno. – Mówię to z doświadczenia.

Pamiętnik jest oczywiście czarny. Niewielki, w gładkiej skórze. Nie jest ani męski, ani damski. Funkcjonalny.

Zjawia się zarumieniony fotograf Dan z aparatem gotowym do pracy.

– Kochaniutki, chcę, żebyś zrobił zdjęcia każdej strony, po kolei, na tyle duże, żeby dało się je wydrukować na papierze A4 i odczytać.

Dan kiwa głową.

– Chcesz skopiować pamiętnik aparatem.

– Trafiłeś w sedno – potwierdza Callie.

Dan znów się rumieni. Kaszle. Bliskość Callie najwyraźniej go kępuje.

– No... nie... nie ma sprawy – wykrztusza z siebie. – Mam wolną gigabajtowa kartę. Mogę ci ją potem pożyczyć.

– W takim razie ktoś musi ci otwierać pamiętnik. – Pokazuje ręce, na których ma już lateksowe rękawiczki. – I to będę ja.

Dan uspokaja się, kiedy kryje się bezpiecznie za obiektywem aparatu. Barry i ja patrzymy, jak robi zdjęcia. W pokoju panuje cisza przerywana szumem migawki aparatu i mrużeniem Dana do Callie, by odwracała kolejne strony.

Patrzę na pismo Sarah i w końcu dostrzegam rys kobiecości. Pismo jest precyzyjne, ale nie przesadnie ozdobne. Równe, staranne zawijasy, pisane – nie zgadniecie – czarnym tuszem.

Jest tego mnóstwo. Strona za stroną strona za stroną. Zastanawiam się, o czym pisze dziewczyna otaczająca się samymi czarnymi rzeczami. Zaczynam się zastanawiać, czy chcę to wiedzieć.

To odwieczna walka, którą toczę – walka o to, by przestać wiedzieć o różnych rzeczach. Mam świadomość urody życia, kiedy ono trwa. Ale też nigdy nie jestem nieświadoma, jak straszne i potworne może się stać życie. Wydaje mi się, że łatwiej byłoby mi osiągnąć stan szczęścia, gdybym nie musiała godzić tych dwóch przeciwnych sił, gdybym nie musiała nigdy zadawać pytania: „Jak mogę być szczęśliwa, skoro wiem, że właśnie teraz, w tej chwili, ktoś doświadcza czegoś okropnego?”

Pamiętam, jak lecieliśmy nocą do Los Angeles z Mattem i Alexą. Wracaliśmy z wakacji. Alexa siedziała przy oknie, a kiedy wylecieliśmy

zza chmur, aż westchnęła.

– Popatrz, mamusiu!

Pochyliłam się, żeby wyjrzeć przez okno. W dole ciągnęło się Los Angeles, zakreślone morzem światła, sięgające od horyzontu po horyzont.

– Cudowne, prawda? – krzyknęła Alexa.

Uśmiechnęłam się.

– Pewnie, że tak, kochanie.

Widok był piękny. Ale i przerażający. Wiedziałam, że właśnie wtedy, w owej chwili, w tym morzu światła pływają rekiny. Wiedziałam, że kiedy Alexa się uśmiecha i cieszy, na ziemi ktoś gwałci kobietę, molestuje dziecko, krzyczy, umierając przedwcześnie.

Ojciec powiedział mi kiedyś:

– Jeśli przeciętny człowiek miałby wybór, wolałby się uśmiechać, niż usłyszeć prawdę.

Przekonałam się, że to prawda. Na skórze ofiar, i na swojej własnej.

Wszystko to były tylko pobożne życzenia, ta nadzieja, że „przestanę wiedzieć”. Przeczytam pamiętnik i dam się ponieść temu czarnemu pochyłemu pismu tam, gdzie zechce mnie poprowadzić. A potem będę wiedziała wszystko, co chce mi ono przekazać.

Trzask migawki wypełnia pokój. Za każdym razem aż podskakuję, słysząc te strzały jak z pistoletu.

Kiedy schodzę, jest już prawie dziewiąta. John Simmons spostrzega Barry’ego i mnie, macha do nas, byśmy podeszli. W ręku trzyma cyfrowy aparat.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli o tym wiedzieć – mówi. – Udało

nam się zdjąć z kafelków odciski stóp. Bardzo czyste.

– Doskonale – odpowiadam.

– Szkoda, że nie ma żadnej bazy danych, w której można by je sprawdzić – zauważa przytomnie Barry.

– Mimo wszystko są godne uwagi. Barry marszczy brwi.

– Jak to?

Simmons podaje mu aparat.

– Sam zobacz.

To trzydziestopięciomilimetrowa cyfrowa lustrzanka z wyświetlaczem z tyłu, na którym można obejrzeć zrobione zdjęcia. Dziś rozdzielczość takich aparatów jest na tyle dobra, że wykorzystuje się je jako główne narzędzie do rejestracji zdjętych odcisków. Zdjęcie na wyświetlaczu jest małe, ale od razu orientujemy się, o co chodzi Johnowi.

– Czy to blizny? – pytam.

– Zdaje się, że tak.

Podeszwa odcisniętej stopy pokryta jest bliznami. Są długie, cienkie i poziome, biegną od jednego brzegu stopy do drugiego. Żadna nie biegnie wzdłuż.

Barry oddaje aparat Simmonsowi.

– Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Tak się składa, że widziałem. Trzykrotnie pracowałem jako wolontariusz w Amnesty International. Asystowałem przy sekcjach zwłok ofiar tortur i zbierałem dowody z miejsc, w których mogło dochodzić do tortur. Te blizny na zdjęciu przypominają rany, jakie powstają od bicia po stopach trzcinką lub kijem.

Krzywię się.

– Rozumiem, że to bolesne?

– Niesamowicie. Jeśli ktoś robi to niefachowo, lub fachowo, w zależności od celu, może doprowadzić bitą osobę nawet do kalectwa. Ale zwykle robi się to, by kogoś ukarać, nie okaleczyć.

– Te blizny są na obu stopach? – pyta Barry.

– Na obu.

Milczymy, zastanawiając się nad tym nieoczekiwanym zwrotem akcji. Możliwość, że nasz sprawca był kiedyś torturowany, może być istotna dla jego portretu psychologicznego.

– To pasuje do obrazu niezrównoważonego zabójcy – zauważam. Tyle że inne rzeczy nie pasują.

– Bicie trzcinaą po stopach to u nas rzadkość – mówi Simmons. – Stosuje się je najczęściej w Ameryce Południowej i gdzieś na Bliskim Wschodzie oraz w Singapurze, Malezji i na Filipinach.

– Masz coś jeszcze dla nas? – pyta Barry.

– Na razie nie. Oczywiście sprawdzimy zawartość systemu filtrowania basenu, więc musimy poczekać na wyniki.

Badanie kryminalistyczne miejsca zabójstwa polega na identyfikacji i indywidualizacji. Indywidualizacja ma miejsce, gdy jakiś dowód pochodzi z niepowtarzalnego i konkretnego źródła. Odciski palców są przypisywane konkretnym osobom. W większości wypadków można też przypisać kulę do konkretnej sztuki broni. Badanie DNA to skrajny przypadek indywidualizacji.

Przeważającą większość dowodów można tylko zidentyfikować. Identyfikacja to proces klasyfikowania dowodów pochodzących z ogólnego – ale nie jedyne w swoim rodzaju – źródła. Jeśli w

zmiażdżonej czaszce ofiary znajdują się opiłki metalu, to bada się je i identyfikuje jako metal używany najczęściej do produkcji młotków. Identyfikacja.

Ścieżki mogą się krzyżować. Mamy podejrzanego. Możemy sprawdzić, czy podejrzany ma młotek. Ma. Ślady na czaszce ofiary pasują do główki młotka, a w toku śledztwa znajdujemy na niej ślady DNA ofiary. Pobieramy ślady palców z trzonka i znajdujemy na niej jedynie odciski podejrzanego. Identyfikacja i indywidualizacja, w tę i we w tę, po to, by zdecydować o losie podejrzanego.

To mozolny proces, wymagający nie tylko doświadczenia technicznego, ale i zdolności dedukcji, łączenia odpowiednich kropek. Patrzyłam na widoczne ślady, na krew w basenie, i założyłam, że nasz podejrzany sobie popływał. Callie przetworzyła tę informację, zobaczyła mokre kafelki i doprowadziła nas do niewidocznego odcisku stopy.

Precyzja Sherlocka Holmesa to tylko miła fantazja. W rzeczywistości jesteśmy jak myślące odkurzacze. Wciągamy wszystko, przetwarzamy i mamy nadzieję, że zrozumiemy to, co znaleźliśmy.

Stoję na trawniku z Barrym, czekamy, aż Callie skończy fotografowanie z Danem. To był długi dzień i myślące odkurzacze są wyczerpane. Alan powinien też niedługo do nas dołączyć. Mam ogromną ochotę już stąd odjechać.

Barry wyciąga paczkę marlboro z kieszeni koszuli. Moje papierosy, myślę z zazdrością.

– Chcesz zapalić? – pyta, wyciągając paczkę w moją stronę. Walczę z przemożną chęcią, by skorzystać z propozycji.

– Nie, dzięki.

– Rzuciłaś?

– Będziesz musiał palić niejako za nas oboje.

– Hej – mówi łaskawie, zapalając zapałkę. – Mogę ci nawet dmuchnąć dymem w twarz, jeśli mnie ładnie poprosisz.

Zbliża płomień do papierosa, końcówka się rozrzaża, a Barry zaciąga się głęboko z satysfakcją.

Patrzę, jak wydmuchuje dym. Tworzy się z niego wielka chmura wisząca między nami, bo nie ma nawet śladu bryzy, która mogłaby ją przesunąć. Pociągam nosem. Słodki zapach nałogu, mniem, mniem, mniem.

– Rano odwiedzę dziewczynę – mówi Barry. – Byłoby dobrze, gdybyś mogła pojechać ze mną.

– Zadzwoń do mnie wcześniej na komórkę.

– Nie ma sprawy. – Znow wydmuchuje dym. Skinieniem głowy wskazuje na dom. – Jak ci się to widzi?

– Jest sporo niejasności. Oczywiście jest tylko to, że jego czyny mają jakieś przesłanie. Pytanie, czy to przesłanie dla nas, czy dla niego samego? Czy chce, żebyśmy zrozumieli, co znaczy cała ta krew? Czy dlatego napisał te słowa na ścianie? Czy to przemyślane działanie? A może zrobił to, bo słyszał jakieś głosy w głowie? – Odwracam się w stronę domu. – Wiemy, że jest pewny siebie, śmiały i zdolny. Nie wiemy, czy jest zrównoważony, czy nie. Nie wiemy także, czego się boi.

Barry marszczy brwi.

– Boi się? Co masz na myśli?

– Seryjni zabójcy to osobniki narcystyczne. Brakuje im empatii. Nie

wybierają metody śmierci czy tortur, myśląc o tym, czego boją się ofiary. To wymagałoby empatii. Wybierają metody i ofiary, kierując się własnymi strachami. Człowiek, który boi się odrzucenia przez piękne blondynki, porywa je i przypala papierosami, aż wyznają mu miłość. I robi to, bo jego piękna blond mamusia przypalała mu penisa mentolowymi fajkami. To duże uproszczenie, ale mniej więcej o to chodzi. Metody i ofiary to klucz do wszystkiego. Nadal nie znam odpowiedzi na pytanie, kto był tu ofiarą? Sara czy Kingsleyowie, czy i ona, i oni? Odpowiedź na to pytanie wyjaśni nam wszystko.

Barry gapi się na mnie.

– Barrett, naprawdę masz niezłe nawalone w głowie.

Już mam mu się odciąć, kiedy dzwoni moja komórka.

– Czy rozmawiam z agentką Barrett? – odzywa się męski głos, który skądś znam.

– Kto mówi?

– Al Hoffman, proszę pani. Dzwonię z gorącej linii.

Gorącą linią w naszym oddziale FBI nazywamy coś w rodzaju całodobowej automatycznej sekretarki. Tyle że z żywymi ludźmi. Mają numery kontaktowe do wszystkich pracowników od zastępcy dyrektora w dół. Jeśli ktoś z Quantico chce się z kimś od nas skontaktować po godzinach, dzwoni na gorącą linię.

– Co się stało, Al?

– Odebrałem dziwny anonimowy telefon do pani.

Nadstawiam uszu.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna. Głos był przytłumiony, jakby facet zasłaniał czymś

mikrofon.

– Co powiedział?

– Powiedział, cytuję: „Powiedz tej suce z bliznami, że było jeszcze jedno zabójstwo i że to miejsce równa się sprawiedliwość”. Podał mi jakiś adres w Granada Hills.

Milczę.

– Agentko Barrett?

– Sprawdziłeś ten numer, Al?

To pytanie to tylko formalność. Po jedenastym września na gorącej linii zainstalowano automatyczny system namierzania rozmów, ale to powinno pozostać informacją zastrzeżoną.

– To komórka. Pewnie sklonowana, ukradziona albo telefon na kartę, nie do wyśledzenia.

– Daj mi ten numer mimo wszystko. I adres. Odczytuje mi adres. Dziękuję mu i się rozłączam.

– Co się dzieje?

Streszczam rozmowę Barry’emu. Patrzy na mnie przez chwilę.

– O kurwa mać, cholera jasna! – krzyczy. – Jaja sobie robisz? Myślisz, że to nie jakiś dowcip?

– „To miejsce sprawiedliwość”. Zbyt duże podobieństwo, zbyt duża zbieżność. To nie dowcip.

– Ten świr naprawdę wie, jak komuś spieprzyć sobotni wieczór – mamrocze Barry. Rzuca niedopałek na ulicę. – Powiem Simmonsowi, że znikam. Zabierz rudą i chyba pojedziemy sprawdzić, jaka jest dla niego różnica między bólem a sprawiedliwością.

Nie widzę nigdzie Alana. Dzwonię na jego komórkę.

– Jestem trzy domy dalej, na ciastkach u pani Monaghan – wyjaśnia. – To bardzo miła kobieta, która na ochotnika bierze udział w sąsiedzkich patrolach.

Alan wykazuje nieludzką wręcz cierpliwość, jeśli chodzi o rozmowy ze świadkami. Nic nie jest w stanie wytrącić go z równowagi. Ta „miła kobieta, która na ochotnika bierze udział w sąsiedzkich patrolach”, to prawdopodobnie ześwirowana wścibska baba, która każdego pilnie obserwuje i każdemu obrabia tyłek.

Streszczam mu przez telefon rozmowę z gorącą linią.

– Chcesz, żebym z tobą jechał? – pyta.

– Nie, zjedzcie z Nedom ciasteczka i dokończcie rozmowy z sąsiadami.

– Oczywiście, ale zadzwoń do mnie, by opowiedzieć, co się stało.

I uważaj na siebie.

Zastanawiam się, czy nie odpowiedzieć mu jak Dawcsowi: „Gdybym chciała na siebie uważać, to w ogóle bym nie jechała”, ale daję spokój. Alan mówi to zbyt poważnie.

– Będę uważać – zapewniam.

Pojechaliśmy autostradą 118 na wschód. Ruch na drodze nie jest zbyt duży. Nie ma korka, ale nie ma też pustek na drodze – normalny stan na autostradach wokół Los Angeles.

Czuję się spięta, poirytowana i mroczna. Dzień zapada się coraz bardziej w króliczą norkę.

– Dlaczego akurat ty? – pyta Callie, przerywając mi uzalanie się nad sobą.

– Co dlaczego ja?

– Dlaczego zadzwonił do ciebie?

Zastanawiam się nad tym.

– Może to sobie zaplanował. Ale nie sędzę. Myślę, że tam był.

– Przyjechał jeszcze raz?

– Tak podejrzewam. Obserwował dom. Zobaczył, jak przyjechaliśmy, i rozpoznał mnie.

To chleb powszedni psychologów policyjnych i śledczych – sprawcy zawsze wracają na miejsce zbrodni. Z miliarda powodów. Żeby zobaczyć, jak toczy się śledztwo. Żeby jeszcze raz to przeżyć. Poczuć moc.

– Myślę, że od samego początku zamierzał nam powiedzieć o drugim miejscu zbrodni. Postanowił się pokreć po okolicy, sprawdzić, co się dzieje, a potem zadzwonił. Po prostu trafił na nas.

– Więc cię rozpoznał.

– Na nieszczęście – wzdycham.

– Barry daje znak, żeby zjechać z autostrady.

Barry zna miejsce, do którego jedziemy. To szeregowce.

– Nie taka zupełna dziura, ale też nic wielkiego – wyjaśnił. – Cztery lata temu wezwano mnie tam do jakiegoś samobójstwa.

Jadę za nim i skręcamy w prawo na bulwar Sepulveda. Tu zaczyna się robić tłoczniej niż na autostradzie. Jest sobotni wieczór, ludzie gdzieś chodzą, coś robią, biegają jak chomiki po karuzeli życia.

– Zastanawiam się, czy to miejsce będzie świeższe niż poprzednie – mówi Callie. – Myślisz, że wpadł w ciąg? Całą noc tak będzie nas wodził?

– Naprawdę nie wiem, Callie. Facet jest zagadkowy. Wycina flaki całej rodzinie, ale chłopaka zostawia nietkniętego, a Sarah nic nie robi. Maluje pokój krwią, ale planuje wszystko do tego stopnia, by ich nawet odurzyć. Z jednej strony wygląda na szalonego i niezrównoważonego, z drugiej na skupionego i opanowanego. To dziwne.

Callie potakuje.

– Do basenu wszedł pod wpływem impulsu.

Zabójcy to ludzie, a ludzie są skomplikowani. Jednak z czasem uczymy się, jakich tropów mamy szukać. Wszystkimi seryjnymi zabójcami powoduje obsesja zabijania. Ale u każdego są zupełnie inne jej powody i sposoby realizacji.

Zrównoważeni zabójcy, tacy jak Ted Bundy, zwykle trzymają się jakiegoś planu. Są zimni jak lód, myślą jasno. Ostrożni, działają z zimną krwią do chwili wypełnienia aktu. Nie muszą koniecznie poniżać swoich ofiar, mogą być również świetnymi aktorami, wtapiającymi się w tłum, niedającymi po sobie poznać choroby.

Zabójcy niezrównoważeni to inna kategoria. To ludzie tacy jak Jeffrey Dahmer, Syn Sama. Mają problem z przystosowaniem się do

społeczeństwa. Często nękają sąsiadów czy współpracowników dziwnymi zachowaniami. Trudno im kontrolować swoje obsesje i z tego powodu ciężko im trzymać się planu przez dłuższy czas. W metodologii niezrównoważonych zabójców zwykle obserwuje się przypadkowe ofiary i nadmierne ich okaleczenia. To wśród nich zdarza się kanibalizm, okaleczanie ofiar przez odcięcie piersi czy genitaliów.

Albo mąż i żona wypatroszeni jak zwierzyzna.

Tak spektakularne wyrwanie wnętrzości oznacza działanie szaleńca. Zabójcy w tym stanie trudno byłoby podjąć decyzję, by pozostawić Sarah przy życiu. A jednak to zrobił.

– Najwyraźniej ma jakiś plan – mówi Callie. – Może nie wszystko jest takie, jak nam się wydaje.

– Z tego, co mówiła Sarah, wynika, że to ona miała być ofiarą. A więc dlaczego zadał tyle gwałtu innym? Nic mi tu nie pasuje.

– Wszystko się rozwikła.

Callie ma rację. Zawsze w końcu udaje nam się rozwiązać zagadkę. Nie zawsze udaje nam się złapać seryjnych zabójców, ale nigdy, przenigdy nie są oryginalni. Wystarczy rozgryźć do końca to, co nimi powoduje. Może i są inteligentniejsi niż kiedyś albo bardziej przerażający, ale tak czy siak każdym kieruje obsesja. To szablon, który zawsze pasuje. Pewnik i nie da się od niego uciec, niezależnie od tego, jak są zdrowi czy sprytni.

– Wiem. A co z twoim bólem i pigułkami? – wypalam, nawet się nie zastanawiając.

Callie patrzy na mnie z uniesioną brwią.

– Co za nagła zmiana tematu. – Skręcam w prawo tak jak Barry. – Lekarze uważają, że to efekt jakiegoś niewielkiego uszkodzenia nerwu.

Mówią, że to się może wygoić, ale nie są już tak pełni nadziei jak wcześniej. Minęło przecież pół roku.

– Jak bardzo cię boli?

– Czasami ostro. Ale to nie problem. Najgorsze jest to, że czuję to stale. Tępy ból, który nigdy nie przechodzi, jest moim zdaniem gorszy niż koszmary atak od czasu do czasu.

– Vicodin ci pomaga?

Widzę jej uśmiech z profilu.

– Smoky, jesteśmy przyjaciółkami z wielu powodów. Między innymi dlatego, że mówimy sobie tylko prawdę. Zapytaj o to, o co naprawdę chcesz zapytać.

Wzdycham.

– Masz rację. Martwię się, że to może uzależniać. Martwię się o ciebie.

– To zrozumiałe. Mówię więc prawdę: uzależnienie jest nieuchronne. Wydaje mi się, że odstawienie pigułek teraz byłoby trudne. Za następne trzy miesiące pewnie będzie jeszcze gorzej. Prawda jest taka, że jeśli to się nie zagoi, będę zawsze musiała brać jakieś leki i nie tylko ty się będziesz tym martwić. Daję ci pozwolenie, żebyś pytała mnie o to raz w miesiącu, a ja obiecuję szczerze odpowiadać, jak się sprawy mają, żebyś mogła podejmować właściwe decyzje. Ale więcej nie chcę o tym mówić, zgoda?

– Jezus, Callie. Robisz wszystko, co ci każą lekarze?

– Oczywiście, że tak – mówi zmęczonym głosem. – Fizykoterapia przede wszystkim. Chcę to mieć za sobą, Smoky. W moim życiu liczy się pięć rzeczy: praca, przyjaciele, córka, wnuk i moje bujne, bardzo satysfakcjonujące życie erotyczne. Jestem z tym wszystkim dość szczęśliwa. Utrata pracy? – Kręci głową. – To by zostawiło sporą wyrwę

w moim życiu. Na razie więcej rozmów na własny temat nie zniosę.

Patrzę na nią i wzdygam.

– Jak chcesz.

Na razie odpuszczam, ale zapisuję to w pamięci pod hasłem „pilne”. Kolejna rzecz, która będzie mi się kołatała po głowie. Powinnam to zgłosić i usadzić ją w Biurze, ale tego nie zrobię i ona o tym wie. Callie jest w stosunku do siebie równie bezwzględna, jak wobec dowodów zbrodni. Jeśli poczuje, że jest obciążeniem, nie będę musiała jej usuwać. Sama odejdzie.

Oczywiście, jeśli pojedę do Quantico, to od strony zawodowej nie będzie to już mój problem...

Barry skręca w lewo w jedną z cichych uliczek w dzielnicy mieszkaniowej. Jadę za nim przez jedną przecznicę, skręcamy w lewo na znaku stop, a potem od razu w prawo, na parking przed blokiem.

– Teraz rozumiem, o co mu chodziło – mówi Callie, wyglądając przez okno.

To stary szeregowiec, jeszcze z lat siedemdziesiątych. Piętrowy, zbudowany wokół podwórka, mieści jakieś czterdzieści lokali. Wykończony jest brązowym drewnem, gipsowe stiuki na betonie są brudne i popękane. Zniszczona jest też nawierzchnia na parkingu, nie widać nawet linii oddzielających poszczególne miejsca. Oparte o ścianę budynku, stoją dwa wielkie niebieskie śmietniki. Z obydwu lada dzień zaczną się wysypywać zawartość.

Wysiadamy z samochodu i podchodzimy do Barry'ego.

– Milutko, nie? – mówi i wskazuje wszystko wokół.

– Bywało się w gorszych miejscach – odpowiadam. – Ale nie

chciałabym tu mieszkać.

– No cóż, podwórko było kiedyś całkiem znośne. Jaki numer mieszkania?

– Drugie piętro. Chodźmy.

Barry ma rację, podwórko jest w porządku. Nie jakieś świetne, ale lepsze niż budynek z zewnątrz. Pośrodku rosną dobrze utrzymane drzewa i trawnik. Wszystkie drzwi mieszkań – całe dwa piętra – wychodzą na podwórko, tworzące wielki kwadrat. Słyszeć tu odgłosy miasta, ale podwórko daje pewne poczucie izolacji. Miało być oazą prywatności, ale jak na tę skalę budynku zaprojektowano je za małe, za bardzo klaustrofobiczne. Teraz sprawia wrażenie pułapki, klatki. Jak wozy ustawione w krąg dla obrony przed nieuchronnym obleżeniem miasta.

– Mieszkanie numer 20 jest w lewym górnym rogu – mówi Barry.

– Prowadź – odpowiadam.

Wyjmujemy broń z kabur i ruszamy po schodach. W znacznej części okien widzę światła. Wszyscy siedzą za zaciągniętymi zasłonami. Nie ma innego sposobu na zapewnienie sobie intymności. Docieramy do szczytu schodów. Od mieszkania numer 20 dzielą nas dwie pary drzwi po prawej stronie.

Barry przytulony do ściany szybko przemyka do drzwi numer 20. Idziemy za nim. Wolną ręką puka głośno do drzwi. Jak gliniarz.

– Policja w Los Angeles. Proszę otworzyć drzwi.

Cisza.

Robi się cicho właściwie wszędzie dookoła. Wcześniej grały radia i telewizory. Teraz wszystko ucichło. Czuję, że inni mieszkańcy nasłuchują.

Wozy zacieśniają pierścień.

Barry puka ponownie, głośniejsze.

– Proszę otworzyć. Tu wydział policji w Los Angeles. Jeśli nie otworzycie, będziemy zmuszeni wejść siłą.

Czekamy.

I nadal brak reakcji.

– Rozmowa telefoniczna to wystarczający powód do działania – Barry wzrusza ramionami. – Sprawdźmy, czy drzwi nie są otwarte. Jeśli nie, wezwiemy dozorcę.

– Ruszaj – poganiam go.

Sięga do klamki i próbuje nią poruszyć. Obraca się w jego dłoni. Barry patrzy na nas.

– Gotowe?

Kiwamy głowami.

Otwiera drzwi jednym ruchem i jednocześnie przesuwa się na prawą stronę. Obiema rękami trzyma przed sobą pistolet. Wypełniam lukę po lewej stronie Barry'ego i przyjmuję podobną postawę.

Zaglądamy do salonu sąsiadującego z kuchnią. Wykładzina jest średniej grubości, stara, brudna, w mało atrakcyjnym brązowym kolorze. Pod ścianą w tym niewielkim pomieszczeniu stoi obita czarną skórą sofa, a naprzeciw niej tania szafka na sprzęt elektroniczny, mieszcząca trzydziestocalowy telewizor. Odbiornik gra, ze ściszym głosem. W tle szumi reklama, która zachęca do zrobienia dużych pieniędzy.

– Halo? – woła Barry.

Brak odpowiedzi.

Tani i zniszczony stolik do kawy stoi przed skórzaną sofą. Widzę na

nim porozkładane pisma dla dorosłych i słoik z wazeliną. Po prawej stronie w popielniczce piętrzy się cała góra petów.

– Czuć brudne skarpety i gacie – mruczy Barry.

Wchodzi do mieszkania z bronią gotową do strzału. Idę za nim. Callie skrada się za moimi plecami. Kiedy dochodzimy do kuchni, nie widać w niej nic poza górą niepozmywanych naczyń w zlewie obłożonym kafelkami. Słyszymy też, jak szumi staromodna lodówka z zamrażarką.

– Sypialnie są z tyłu – mówi Barry.

Z maleńkiego korytarzyka do sypialni są dosłownie dwa kroki. Mijamy łazienkę po prawej. Widzę białe kafelki i wannę. Jest mała, brudna i śmierdzi uryną. Blat wokół umywalki nie wyróżnia się niczym szczególnym. Lustro jest brudne i ma popękane sreberko od spodu.

Pokoje sąsiadują ze sobą. Drzwi po prawej stronie są otwarte i dostrzegam coś w rodzaju gabinetu. Pod starym metalowym biurkiem stoją komputer, dziewiętnastocalowy płaski monitor i kilka półek z pustaków i desek. Są prawie puste. Ustawiono na nich kilka książek w miękkich oprawach i filmów tylko dla dorosłych. Na jednej znajduje się fajka wodna, w jednej czwartej wypełniona ciemną wodą z marihuaną.

Mam wrażenie, że to smutne, obce miejsce. Z wartościowych rzeczy dostrzegłam tylko sofę, telewizor i komputer. Wszystko inne jest tanie, z odzysku i nadgryzione zębem czasu, pokryte warstwą brudu i zniszczenia...

– Coś czuję – mruczy Barry, wskazując głową drzwi do drugiej sypialni. Tym razem zamknięte.

Przysuwam się bliżej i też czuję: metaliczny posmak, miedziaki w ustach.

– Otwieram je – mówi Barry.

– Do dzieła – rzucam i ściskam mocniej broń. Serce wali mi jak młotem. Barry i Callie wyglądają na równie spiętych, jak ja. Po mnie też pewnie widać zdenerwowanie.

Barry chwyta za klamkę, przez chwilę się waha i w końcu szeroko otwiera drzwi. Podnosi broń jednym płynnym ruchem.

Wita nas zapach krwi oraz smród potu, fekaliiów i uryny. Na ścianie nad łóżkiem widzę obiecany napis.

„TO MIEJSCE SPRAWIEDLIWOŚĆ!”

Słowa są dumne i śmiałe, wydają się niemal radosne.

Pod nimi leżą zwłoki mężczyzny. Obok dziewczyna o skórze wyglądającej jak sztuczny alabaster.

Wszyscy chowamy broń. Zagrożenie było, ale minęło i zniknęło.

Sypialnia jest jak całe mieszkanie – mała i przygnębiająca. Na podłodze w rogu leżą brudne ubrania. Łóżko jest podwójne, materac ułożony na metalowej ramie. Żadnego wezgłowia ani deski od strony nóg. Żadnej komody po bokach.

Na materacu leży nagi mężczyzna z wyrwanymi trzewiami. Latynos. Niski, oceniam, że ma około metra sześćdziesięciu siedmiu. Jest chudy, za chudy. Prawdopodobnie palacz. Ciemne włosy przyprószyła siwizna. Wygląda na pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat.

Dziewczyna jest białą nastolatką. Ma dość ładną twarz i popielato-blond włosy. Małe seksowne piersi. Piegi na ramionach. Wygolone włosy łonowe. Poza raną przez całe gardło nie ma innych obrażeń. Zauważam, że

oczy ma zamknięte tak jak Laurel Kingsley. Nic nie wskazuje, by coś ją łączyło z mężczyzną, i zastanawiam się, skąd się wzięła w tym ponurym miejscu z tym starszym facetem, który na stoliku w salonie trzyma świerszczyki i wazelinę.

Zastanawiam się nad czymś jeszcze, nad subtelniejszym podobieństwem do sytuacji w domu Kingsleyów: nad tym, że nie okaleczył żadnego z dzieci, podczas gdy wszystkich dorosłych pozbawił trzewi.

Zabija dzieci, ale ich nie okalecza. Dlaczego?

– To miejsce jest ciasne – mówi Callie. – Proponuję tu nie wchodzić, dopóki nie przyjedzie ekipa kryminalistyczna.

– Przyjąłem – odpowiada Barry i wkłada broń do kabury. – To zdecydowanie ten sam facet, co powiesz, Smoky?

– Bez wątpienia.

Twarz mężczyzny zamarła w krzyku, może wrzasku. Twarz dziewczynki jest spokojna, bierna, co wydaje mi się znacznie bardziej przerażające i nieco bardziej przygnębiające.

– Cóż, Smoky. Oficjalnie mówię, że nie dam rady sam wszystkiego obrobić i oficjalnie proszę was o wsparcie.

Siłą odrywam wzrok od beznamiętnej twarzy zmarłej dziewczynki.

– Wiesz, co to oznacza? – mówię do Callie.

Wzdycha i wydyma usta.

– Obudzę Gene'a i zabierzemy się do roboty.

Gene Sykes jest szefem laboratorium kryminalistycznego FBI w Los Angeles. Pracował już razem z Callie. Dziś też zajmą się wspólnie tym mieszkaniem i mam pewność, że znajdą wszystko, co tylko można tu

znaleźć.

– Zaczekaj – mówię, bo coś przychodzi mi do głowy. – Te zabójstwa są wcześniejsze czy późniejsze niż u Kingsleyów?

– Sadząc po stanie zwłok, moim zdaniem sprzed mniej więcej dnia – odpowiada.

– Więc zabił najpierw tutaj, a potem poszedł prosto do Kingsleyów. Dziwne.

– Dlaczego? – pyta Barry.

– Rytualny seryjny zabójca trzyma się cyklu. Morderstwo to szczyt tego cyklu. Potem pojawia się depresja. I nie mówimy o lekkiej chandrze, ale naprawdę ogromnej, wykańczającej depresji. A mimo to nasz zabójca załatwił sprawę tutaj, a następnego dnia obudził się i wymordował Kingsleyów. Nie jest to niemożliwe, ale na pewno nietypowe.

– Rzygać się chce na to wszystko – rzuca Barry.

Kiedy Callie rozmawia z Gene'em, dzwoni do mnie Alan.

– Skończyłem. Wszystko w porządku? – pyta.

– To zależy, jak definiujesz określenie „w porządku”. – Opowiadam mu o drugim miejscu zabójstwa.

– Wyświadczył nam wielką przysługę.

„Wielka przysługa” to w naszym slangu określenie sytuacji, kiedy sprawca funduje nam kolejną zbrodnię, nim zdążymy dobrze przeanalizować pierwszą. Często bywa, że z pierwszego miejsca nie da się zebrać dość dowodów, które mogłyby nas doprowadzić do sprawcy. W tych wypadkach możemy tylko czekać, aż uderzy ponownie, i mieć nadzieję, że za drugim razem będzie mniej ostrożny. Albo za trzecim. Albo za czwartym. Ogarnia nas wtedy poczucie słabości i winy. „Wielka

przysługa” to określenie sarkastyczne – ale nie tylko. Popęłił kolejne zabójstwo, a my nie musimy się czuć z tego powodu winni, bo miało ono miejsce, zanim zdążyliśmy wziąć odpowiedzialność za sprawę. Robimy to teraz.

– Tak. Czego się dowiedziałeś?

– Niczego. Nikt nie zauważył nic podejrzanego. Żadnych obcych pojazdów, żadnych nieznajomych. Ale to jedno z tych osiedli. Średnia klasa średnia.

Alan wspomina o raporcie, jaki mi ostatnio podesłał. Dotyczył zastosowania socjologii w kryminalnych technikach śledczych. Podkreślono w nim, jak zmiany w technologii i przekonanie o wzroście przestępczości utrudniają nam pracę.

Kiedyś w sąsiedztwie tworzyły się społeczności. Ludzie zawsze znali swoich sąsiadów. W efekcie można było liczyć na grupę uważnych świadków, a obcych w takim środowisku można było łatwiej dostrzec.

Ale z biegiem czasu nastąpiły zmiany. Kobiety poszły do pracy. Pojawienie się telewizji umożliwiło dostęp do informacji o przestępczości i przestępcach. Ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że sąsiad może być pedofilem, sportowiec z liceum gwałcicielem, i zaczęli się barykadować.

Obecnie – jak wynikało z tego raportu – w większości dzielnic zamieszkałych przez klasę średnią, zwłaszcza średnią klasę średnią, brakuje dawnego poczucia więzi. Większość mieszkańców zna tylko nazwiska sąsiadów z lewej i z prawej, ale na tym koniec.

Dla odmiany ludzie w biedniejszych dzielnicach zwykle trzymają się bliżej. W bogatych dzielnicach zwracają uwagę na bezpieczeństwo i uważnie wszystko obserwują. Wnioski z raportu były takie, że

przestępcom najłatwiej jest działać pośród „średniej klasy średniej”, gdzie każdy dom to samotna wyspa, a śledczy szybciej odczytają wszystko ze śladów, niż znajdą świadka, który coś widział.

– Nic, mimo że zaledwie trzy domy dalej była impreza urodzinowa – ciągnie Alan. – Kręciło się mnóstwo dzieciaków i rodziców.

– To oznacza, że się nie wyróżniał. – Zastanawiam się nad tym. – Może był w jakimś uniformie?

– Nie sędzę. Pytałem i nikt nie przypominał sobie nikogo z gazowni, elektrowni czy telekomunikacji. Zresztą mamy weekend, więc przebieranie się za pracownika nie byłoby najinteligentniejszym pomysłem.

– Wyróżniałby się jeszcze bardziej.

– Właśnie.

– On jest cholernie butny, Alan. Zrobił to w dzień, kiedy wszyscy byli w domu. Dlaczego?

– Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Ja to wiem. Nie ryzykuje się tak bez powodu. On lubi przesłania i pora, o której do nich przyszedł, jest jednym z takich przesłań.

– Ale jakim?

Wzdycham.

– Jeszcze nie wiem.

– Ale się dowiesz. Jaki mamy plan?

– Barry poprosił nas o pomoc, więc wchodzimy do gry, ale jedź już do domu. Zajmiemy się tym jutro.

– Na pewno?

– Tak. Ja też niedługo wracam. Za dużo informacji, za mało

odpowiedzi. Muszę gdzieś usiąść i pomyśleć, a kryminolodzy potrzebują czasu, żeby zrobić swoje.

– Zadzwoń do mnie jutro.

Wychodzę z mieszkania. Na zewnątrz stoi Barry oparty o barierkę. Niebo jest dziś czyste. Widzę więcej gwiazd niż zwykle. Ale nie dostrzegam ich piękna.

Co to za smród? A, to ja. Smród śmierci.

– Coś już z tego rozumiesz? – pyta Barry.

– Żadnych odpowiedzi, jedynie kolejne pytania.

– Na przykład?

– O powiązania. Co mają wspólnego Kingsleyowie z tymi dwoma ciałami? O co chodzi z dziećmi, dlaczego ich nie okalecza? Dlaczego zamyka oczy jedynie kobietom? Dlaczego nie zabił Sarah i jaki ona ma związek z tym miejscem tutaj? Czy w ogóle jakiś ma? – Zrezygnowana, macham rękoma.

– No tak. A więc co dalej masz zamiar robić?

– Callie, Gene i spółka zajmą się mieszkaniem. Ty i Simmons badacie dom Kingsleyów. Jutro czeka nas rozmowa z Sarah. No i mamy pamiętnik.

– Przerywam i odwracam się do niego. – Jadę do domu.

Zaskoczony unosi brwi.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. W głowie mi się kręci. Powstrzymałam nastolatkę przed strzeleniem sobie w łeb i widziałam o pięć trupów za dużo. Głowa aż mi pęka od informacji o sprawcy, ale większość z nich sobie przeczy. Muszę wziąć prysznic, napić się kawy i spojrzeć na to od nowa.

Podnosi ręce w geście poddania.

– Przychodzę w pokoju.

Wbrew woli parskam śmiechem. Barry jest w tym prawie tak dobry jak Callie. Prawie.

– Przepraszam. Możesz coś jeszcze dla mnie zrobić?

– Jasne.

– Dowiedz się, kim są ten facet i dziewczynka. Może to mi ułatwi rozwikłać część zagadki.

– Żaden problem. Zadzwoń do ciebie na komórkę. Przyślę tutaj jakichś mundurowych do pomocy.

– Dzięki.

Callie wychodzi z mieszkania.

– Gene i jego ekipa już jadą. Jest zaspany i wkurzony. Streszczam jej moją rozmowę z Barrym.

– Zdaje się, że już po urlopie?

– Już dawno.

Ile można przeżyć w ciągu jednego dnia?

Jestem już w domu, sama. Bonnie nocuje u Elainy i Alana. Okrucieństwem byłoby ją teraz budzić, by mogła ze mną posiedzieć. Wzięłam prysznic i siedzę na kanapie przed wyłączonym telewizorem, z nogami na stoliku. Wpatruję się w pustkę.

Nie mogę zapomnieć wydarzeń z całego dnia.

Tej sztuki musiałam się nauczyć już na samym początku: jak przestać myśleć o miejscu zabójstwa po powrocie do domu. Jak oddzielić te dwa światy, świat umarłych i żyjących? Jak nie dopuścić, by się połączyły? Na takie pytania każdy policjant czy agent musi odpowiadać sobie sam. Nie zawsze mi się udawało, ale jakoś się trzymałam. Zwykle zaczynałam od zmuszenia się do uśmiechu. Jeśli udało mi się uśmiechnąć raz, mogłam uśmiechać się dalej. Jeśli mogłam się uśmiechać, mogłam też się, roześmiać. A jeśli mogłam się roześmiać, to mogłam też zostawić zmarłych tam, gdzie ich miejsce.

Dzwoni komórka. Barry.

– Mam informacje na temat ofiar z mieszkania. Nie wiem, jak to się ma do czegokolwiek innego, ale to interesujące.

Biorę notatnik i długopis ze stolika.

– Mów.

– Mężczyzna to Jose Vargas. Miał pięćdziesiąt osiem lat i pochodził ze słonecznej Argentyny. Nie był przykładnym obywatelem. Odsiadywał wyroki za włamanie, napaść, próbę gwałtu i gwałt na nieletniej.

– Przyjemniaczek.

– Tak. Podejrzewano go, choć nie skazano, o stręczycielstwo, molestowanie dzieci i męczenie zwierząt.

– Męczenie zwierząt?

– W sensie seksualnym rzecz jasna.

– Aha. Fuj.

– Pod koniec lat siedemdziesiątych podejrzewano, że mógł mieć związek z handlem ludźmi, ale nie pociągnięto sprawy. Tyle wiem o panu Vargasie. Na pewno nikt nie będzie za nim tęsknił.

– A dziewczyna?

– Na jej temat na razie nic nie wiemy. W mieszkaniu nie było żadnego dowodu tożsamości. Za to na lewym ramieniu zauważyłem tatuaż cyrylicą. Nie mam pojęcia, jakie to może mieć znaczenie.

– Rosyjski?

– Najwyraźniej. Choć niekoniecznie musi to oznaczać, że była Rosjanką. Jeszcze coś. Ma blizny na podeszwach stóp. Takie same jak widzieliśmy u Kingsleyów. Tyle że świeższe.

Dostaję zastrzyk adrenaliny.

– To ważne, Barry. Blizny są kluczowe.

– Tak, zgadzam się. Ale na razie nic więcej nie mam. Callie i Sykes zaczną tu teraz buszować. Ja wracam do Kingsleyów. Zadzwoń rano.

– Na razie.

Odchylam głowę i gapię się w sufit. Pokryty jest akustycznymi płytkami, które kiedyś były czymś normalnym, a dziś budzą odrazę. Planowaliśmy z Mattem, żeby je zerwać, ale jakoś się do tego nie zebraliśmy.

Blizny, myślę. Blizny i dzieci. Te dwie rzeczy są ważne. Ale o co chodzi?

Bez zeznań naocznych świadków albo nagrania wideo, jak sprawca popełnia zbrodnię, zostaje nam tylko jedna droga: zbierać wszystko, zbierać jak najszybciej, potem to analizować, segregować i próbować zrozumieć. Zakres śledztwa nie powinien się poszerzać, powinien się z czasem zawężać.

Zsuwam się z kanapy na podłogę przed stolikiem. Wyrywam kartki z notatnika i układam je obok siebie.

Czas uporządkować myśli na temat sprawy. Muszę wszystko spisać, położyć przed sobą, żeby zobaczyć istniejące związki.

Na górze pierwszej kartki piszę: SPRAWCA

Żuję czubek długopisu, zastanawiam się. Zaczynam pisać:

Metodologia: podcina ofiarom gardła. To akt bliskości. Wykrwawia ofiary. Krew jest dla niego ważna, coś znaczy. Dorosłym po śmierci usuwa trzewia. Być może najpierw odurza ich czymś, żeby nad nimi zapanować. Zachowania: nie okalecza dzieci, tylko dorosłych. Dlaczego? Czuje mniejszy gniew wobec kobiet niż mężczyzn. Dowodem jest to, że kobietom zamyka oczy. Chce, żeby mężczyźni wszystko widzieli, a kobiety nie. Dlaczego?

Czy jest gejem?

Zastanawiam się nad tym ostatnim wpisem. Na razie jest o wiele za wcześnie i mam zbyt mało dowodów, by stwierdzić to jednoznacznie. Ale fakt, że łagodniej postępuje z kobietami niż z mężczyznami, jest znaczący.

Rytualne seryjne zabójstwa zawsze mają element seksualny i płeć ofiar zwykle wiąże się z orientacją seksualną zabójcy. Dahmer był gejem i zabijał gejów. Heteroseksualni zabijają kobiety. I tak dalej.

– Morduje się tych, którzy budzą wściekłość i frustrują – zauważył kiedyś jeden z instruktorów. – A kto może łatwiej wzbudzić w człowieku gniew i frustrację niż obiekt pożądania? Albo – ciągnął – mówiąc bardziej dosadnie: kiedy zabójca zamyka oczy i się masturbuje, to kogo widzi: mężczyznę czy kobietę? Odpowiedzcie sobie na to, a poznacie płeć jego ofiar.

Kiwam głową. Trzeba się nad tym zastanowić. Notuję dalej.

Sprawca zaatakował w dzień. Dlaczego ryzykuje? Musi być jakaś przyczyna.

Zostawił Sarah przy życiu.

Porozumiewa się z policją. Planuje.

Ma coś do powiedzenia.

Wiadomość zostawiona u Kingsleyów w sypialni Sarah: to miejsce = ból.

Wiadomość zostawiona w mieszkaniu Vargasa: to miejsce = sprawiedliwość.

(Uwaga: dlaczego „ból” u Sarah, a „sprawiedliwość” u Vargasa? To ma jakieś znaczenie). Wygląda na niezrównoważonego.

Patrzę na ten wiersz. Stukam długopisem o zęby. Podejmuję decyzję. Dodaję podkreślenie i dwa słowa:

Wygląda na niezrównoważonego, ale nie jest.

(Teoria: usunięcie trzewi w tym wypadku nie oznacza utraty kontroli. To część jego ogólnego przesłania, tak jak krew i atak w środku dnia). Wniosek: sprawca = zrównoważony. Elementy, które wskazują na niezrównoważenie, to po prostu część jego przesłania.

Znów pojawia się brzytwa Ockhama. Zrównoważony zabójca czasami może wyglądać na niezrównoważonego. W drugą stronę to nie działa. Trzyma się scenariusza, dowiódł zdolności planowania, opanowania i zdecydowania.

Zrównoważony.

Co o nim wiadomo: blizny na podeszwach stóp. Prawdopodobnie efekt tortur (bicie trzcinką), charakterystycznych dla Ameryki Południowej, Bliskiego Wschodu, Singapuru, Malezji, Filipin. (Uwaga: Vargas pochodzi z Argentyny. Przypadek?)

Jasne, myślę sarkastycznie. Przypadek jak jasna cholera.

(Uwaga: niezidentyfikowana nastolatka w mieszkaniu Vargasa ma podobne blizny na stopach. Jaki to ma związek?)

Przypominam sobie coś jeszcze z domu Kingsleyów. Wracam do punktu, który oznaczyłam jako Metodologia, i dodaję:

Niepewne cięcia u Kingsleyów. Efekt podniecenia seksualnego?

Brak pewności to oznaka nowicjusza, myśliwego, który jeszcze się nie uspokoił albo nie nabrał właściwego rytmu. Nie pasuje to do profilu mężczyzny, który rysuje się w mojej głowie. Nie sędzę, żeby się wahał. Myślę, że zadrżała mu ręka, bo był zbyt podniecony, by nad nią zapanować.

Chroni kobiety, zamykając im oczy, a mimo to zabija je i pozbawia trzewi.

Zabija dzieci, ale nie zamyka im oczu ani nie usuwa trzewi.

Czytam jeszcze raz ten akapit. I jeszcze raz. Coś stuka w mojej głowie, jakaś myśl chce, żeby ją wpuścić. Znam dobrze to uczucie i wiem, że muszę się wyciszyć i ją wpuścić.

Po co to stopniowanie? Mężczyźni są gorsi niż kobiety, ale kobiety są gorsze niż dzieci.

Pukanie cichnie, drzwi otwierają się szeroko.

Skrzywdzili go mężczyźni. Nie doznał bezpośredniej krzywdy ze strony kobiet, ale nie ochroniły go. Złe rzeczy zdarzyły mu się w dzieciństwie.

Nie mam żadnych dowodów na poparcie tych wniosków, nic, co można by sprawdzić pod mikroskopem czy obejrzeć na ekranie, ale wiem, że mam rację. Czuję to. Czuję go.

Mężczyźni budzą w nim strach i gniew. Zostawia im otwarte oczy,

żeby widzieli wszystko, co się z nimi dzieje. Kobiety giną i zasługują na to, ale w geście zamknięcia oczu widać pewną czułość.

Może matka? Która nie broniła go przed agresywnym ojcem? A jeśli ojciec atakował i ją, zabójca jednocześnie jej nienawidzi i czuje współczucie.

Dzieci nie są okaleczane, ale oczy mają otwarte, by mogły widzieć.

Widzieć, co im zrobiłem, widzieć, co z nami robi świat.

Dziewczyna z mieszkania Vargasa była gdzieś pośrodku. Miała zamknięte oczy, ale nie została pozbawiona wnętrzości. Czy to ze względu na wiek? Prawie kobieta, a jednak praktycznie dziecko? Czy to go zmieszało?

O co tu chodzi? Dwa wielokrotne zabójstwa dzień po dniu. Nienawiść do mężczyzn, gniew na kobiety, współczucie dla dzieci. To miejsce = ból. To miejsce = sprawiedliwość.

Nagle doznaję objawienia, coś znów przebiega mi przez głowę. Mrugam, uświadamiając sobie, o co chodzi. Spisuję to.

Chodzi o zemstę. Zemstę za prawdziwe, niewyimaginowane krzywdy.

Dla niektórych ból, dla innych sprawiedliwość. Jedno z drugim daje zemstę. Pasuje to do ofiar i metodologii.

Podekscytowana, zastanawiam się nad tym.

To dlatego przychodzi w środku dnia. Swoim ofiarom, na których się mści, mówi: nigdzie nie jesteście bezpieczni. Potrafię wymierzyć wam sprawiedliwość, nawet kiedy świeci słońce, nawet w domu,

wokół którego kręcą się obcy.

Bo sprawiedliwość ma rację, a ten, kto ma rację, jest niepokonany.

Może jest gejem, może nie, ale podtekst seksualny ma związek nie z terażniejszością, lecz z przeszłością. Mści się za krzywdy niemal na pewno natury seksualnej.

Krzywdy, jakich doznał od mężczyzn.

Narastające we mnie podniecenie nagle trafia na ścianę.

A co z Sarah? Dlaczego zostawił ją przy życiu i w bólu, dlaczego jej nie zabił? Co ważniejsze, zemsta to sprawa osobista. Jaki związek ma z tym Sarah?

Godzę się z tym, że nie mam odpowiedzi na te pytania. Ale reszta pasuje.

Zemsta. To jego motywacja, to powód takiego, a nie innego wyboru ofiar i metody zabójstwa. Sarah to po prostu kawałek układanki, dla którego jeszcze nie znalazłam miejsca.

Zastanawiam się jeszcze przez chwilę i dochodzę do wniosku, że nie mogę na razie nic do tego dodać.

Sprawdź jego ofiary.

Biorę następną kartkę i piszę na górze:

Ofiara: Jose Vargas

Pięćdziesiąt osiem lat, pochodził z Argentyny

(Uwaga: sprawdzić, od jak dawna był w Stanach Zjednoczonych i jak się tu dostał).

Zachowania: skazany. Brutalny przestępca, molestował także dzieci.

Zastanawiam się nad oczywistym związkiem, jaki tu widać. Czy Vargas molestował sprawcę?

Podejrzany o przemyt ludzi w latach siedemdziesiątych.

Rodzaj śmierci: poderżnięte gardło. Po śmierci pozbawiony trzewi.

Pytanie: czy Vargas miał jakiś związek z Sarah albo Kingsleyami? Czy łączyło go coś wyłącznie z zabójcą?

Brak związku między obiema grupami ofiar dowodziłby, że zabójca w końcu zaczął coś, co planował od dawna, i realizuje ten plan bardzo szybko. Zrób listę, sprawdź ją dwa razy...

Vargas najwyraźniej nadal molestował nieletnich. (Znaleziono go z niezidentyfikowaną nastolatką).

Zastanawiam się nad tą kartką, odkładam ją na bok. Biorę następną i piszę przez środek na górze:

Sarah Kingsley:

Adoptowana córka Deana i Laurel Kingsleyów (jak więc ma naprawdę na nazwisko?).

Szesnaście lat.

Zabójca zostawił ją przy życiu. (Dlaczego?)

Mówi, że jej prawdziwi rodzice zostali zamordowani. (Sprawdzić).

Uwaga: mówi, że jej prawdziwi rodzice zostali zamordowani przez tego zabójcę.

Dziwne: twierdzi, że zabójca prześladowa ją od lat.

Znów patrzę w sufit. To, że Sarah jest kimś istotnym, aż bije po oczach. Jedyny naoczny świadek i twierdzi, że coś wie o sprawcy. Dowodzi też poważnej anomalii w zachowaniu zabójcy: nie zamordował jej. Zostawił ją przy życiu i jest to część jego planu zemsty.

Jeśli to, co mówi Sarah, jest prawdą, to facet świetnie sobie radzi, i to od dość dawna. Nie wydaje się maniakiem, jest zdolny do odczuwania różnych pragnień i bardzo, bardzo inteligentny. Tym gorzej dla nas. Zabójców planujących zemstę trudniej złapać niż sadystów seksualnych czy rytualnych morderców. Nie mają w sobie dość szaleństwa.

Ale skąd ta bliskość?

W morderstwach z zemsty zwykle widać więcej gniewu niż radości. Tu chodzi o zniszczenie. W przypadku Kingsleyów widziałam niemal idealną równowagę. Przesłania na ścianie, wypatroszenie – to wszystko efekt wściekłości, pasujący do obrazu. Ale malowidła na ścianach już nie pasują. To akt seksualny. Wspomnienia, przy których można się masturbować.

To tylko szum, uświadamiam sobie. Kluczem do śledztwa jest motyw zemsty. Wszystko inne to anomalie, ale w końcu u ludzi ich nie brakuje. Interesująca teza, ale w sądzie nie przejdzie.

Wracam do kartki.

Sarah prosiła o spotkanie ze mną po zabójstwie Kingsleyów, ale już wcześniej planowała skontaktować się ze mną. (Dlaczego ze mną?)

Pisała pamiętnik, który jej zdaniem wszystko wyjaśnia.

Czuję, że mam już dość. Chcę iść dalej, ale wydaje mi się, że nie dam rady dłużej.

Skup się. Jak rozdzielisz zadania na jutro?

Barry i ja przesłuchujemy Sarah Kingsley.

Callie i Gene kończą badanie w domu Vargasa.

Wszyscy dostają kopię pamiętnika i polecenie przeczytania.

Musimy dokładnie sprawdzić historię Sarah i wszystkich ofiar, ale to będzie musiało poczekać do poniedziałku. Trzeba znaleźć związki!

Czytam to, co napisałam, i zadowolona kiwam głową. Przed nami jeszcze wciąż długa droga, ale teraz już go widzę. Zaczęłam go wyczuwać, a to dla niego złe wieści. Przeszywa mnie delikatny dreszcz satysfakcji.

Nie minął nawet dzień, a ja już wiem, dlaczego robisz to, co robisz.

Odkładam długopis i się odpreżam.

Boże, ale jestem zmęczona. Nie tylko psychicznie, ale w ogóle.

Dzwoni moja komórka. Patrzą na numer na wyświetlaczu. Tommy. Czuję się nieco lepiej.

Tommy Aguilera to ktoś więcej niż przyjaciel, ale mniej niż mąż. Nie tylko kochanek, ale ktoś, kogo potrzebuję przy sobie, noc po nocy. Tommy to jedna z możliwości. Tak wygląda jego najkrótsza charakterystyka.

Jest byłym agentem Secret Service, dziś pracuje jako prywatny doradca do spraw bezpieczeństwa. Poznaliśmy się, kiedy działał jeszcze w służbach. Prowadziłam sprawę syna jednego z kalifornijskich senatorów. Chłopakowi spodobano się gwałcenie i mordowanie. Tommy został przydzielony do ochrony senatora, który opowiadał się za zakazem aborcji i dostawał sterty listów z pogrózkami. Życie tak się potoczyło, że Tommy był zmuszony zastrzelić ukochanego synalka. Moje zeznania ocaliły Tommy'ego od politycznego huraganu, który mógł zakończyć jego karierę.

Powiedział mi wtedy, żebym zgłosiła się do niego, gdy będę go potrzebowała. Pół roku temu skorzystałam z tej oferty, a później zdarzyło się coś interesującego: pocałowałam go, a on odpowiedział pocałunkiem. Co więcej, rozebrał mnie i bardzo pragnął, mimo blizn i w ogóle. Aż się popłakałam, a rany zaczęły goić się szybciej. Matt był miłością mojego życia. Bratnią duszą. Był nie do zastąpienia. Ale potrzebowałam mężczyzny, który mówiłby mi, że jestem piękna, i udowadniał to czynami, nie słowami. Tommy robił to z przytupem.

Sypiamy ze sobą trzy, cztery razy w miesiącu. Ja jestem zajęta, on jest zajęty, to wygodne. Doskonały układ, przynajmniej na razie.

Odbieram telefon.

– Hej, Tommy.

– Hej. Pomyślałem, że zadzwonię. Chyba nie za późno, co? Tommy

nadaje nowe znaczenie słowu „lakoniczność”. Nie chodzi o to, że nie lubi rozmawiać z ludźmi, czy nie wie, co powiedzieć. Po prostu taki ma styl. Woli słuchać.

– Nie. Właściwie dopiero co wróciłam do domu. Wezwano mnie do jednego z zabójstw.

– Myślałam, że masz wolne. Miałaś pakować rzeczy.

Tommy wiedział, co planowałam robić w ten weekend, i wiedział, że musi mnie zostawić z tym samą. Jego zdolność do pojmowania takich rzeczy to kolejny dowód głębi, jaka kryje się pod jego stoicyzmem.

– Pakowałam, ale okazało się, że jakaś dziewczynka przystawiła sobie pistolet do głowy i chciała się ze mną zobaczyć. Musiałam pojechać.

– Wszystko w porządku?

– Było kiepsko, ale dziewczynka żyje.

– To dobrze. – Długa przerwa. – Wiedziałem, co dzisiaj robisz. Nie chciałem się wcinać, ale byłem ciekaw, jak się masz.

Tak, myślę. Jak się masz?

Wzdycham.

– Kiepsko. Możesz wpaść?

– Już jadę.

Rozłącza się.

Czyny, nie słowa. Oto cały Tommy.

Tommy puka do drzwi, wpuszczam go. Patrzy na mnie i prowadzi bez słowa na kanapę. Siadamy, a on mnie obejmuje. Wzdycham i przytulam się do niego.

Tommy nie gładzi po włosach, nie szepcze słów pocieszenia. Daje za to

siłę i pewność, jakby mówił: „Dam ci cokolwiek potrzebujesz, nawet jeśli to tylko to”.

Kładę głowę na jego klatce piersiowej i myślę o tym, co czuję. To jakby leżeć na skale owiniętej aksamitem. Tommy to ktoś pomiędzy mężczyzną szorstkim i przystojnym. Ciemnowłosy Latynos o szczupłej muskularnej sylwetce tancerza i twardych rękach zabójcy. To męska wersja Callie i kobiety Igną do niego jak ćmy, marząc, żeby spłonąć w ogniu tych ciemnych, ostrożnych oczu. Nie jest modelem – ma szeroką bliznę na lewej skroni – ale ta niedoskonałość tylko dodaje mu uroku. Jest jednak niesamowitym przystojniakiem.

Delikatnie mnie odpycha.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Opowiadam mu. O poranku i popołudniu, o Sarah, o wypatroszonych ciałach Deana i Laurel Kingsleyów, o wannie pełnej krwi, o morderstwie Vargasa i jego nieznannej jeszcze towarzyszki.

– Ohyda – mówi.

– Tak. Mnie też to ruszyło.

Wskazuje głową kartki, które ułożyłam na stoliku do kawy.

– To na temat tej sprawy?

– Aha.

– Mogę zerknąć?

– Proszę bardzo.

Podnosi i przegląda każdą kartkę. Odkłada wszystkie na stół i kręci głową.

– Zdaje się, że to skomplikowane – zauważa.

– Zawsze się tak zaczyna. – Patrzę na niego i uśmiecham się. – Dzięki,

że przyjechałeś. Czuję się lepiej. Troszkę.

– Nie ma za co. – Rozgląda się. – A... gdzie jest Bonnie?

– Nocuje u Alana i Elainy.

– Hm.

Podnoszę wzrok i widzę uśmieszek błakający się na jego ustach. Uśmiecham się i szczypię go w tors.

– No wiesz! Powiedziałam tylko, że czuję się troszeczkę lepiej, a ty już wyobrażasz sobie mnie bez ubrania!

Kolejny uśmieszek.

– Tak naprawdę zawsze wyobrażam sobie ciebie bez ubrania – mówi. To przekomarzanie i zabawa, ale kiedy patrzę na niego, uświadamiam sobie, że jest w tym coś więcej. Tommy lubi słuchać i to nie tylko tego, co się mówi. Słucha uszami, głową. Słucha mnie. Proponuje seks właśnie dlatego, że słuchał i wie, iż potrzebuję kontaktu, pocieszenia, oderwania od problemów.

Podnoszę głowę, a on pochyla się i nasze usta się spotykają. Jestem tak zdesperowana, że aż iskrzy, przeszywa mnie pożądanie – emocjonalne, psychiczne i fizyczne, nie do oddzielenia. Obejmuję dłońmi jego głowę i wpycham mu język w usta. Smak Tommy'ego z lekką nutką piwa.

Wpijam się w niego coraz bardziej, aż w końcu siadam mu na kolanach. Jednym ruchem wsuwa mi dłoń pod koszulę i pod stanik. Dotyk jego twardych palców na moim sutku to rozkosz. Jęczę i czuję, że Tommy robi się twardy.

Uwielbiam seks między innymi dlatego, że w seksie można łączyć odruchy pierwotne z czułością. Można nieco świntuszyć, zachowywać się jak zwierzę – a wszystko potem kończy się świetnie. Jeśli ktoś ma brudne

myśli, walczy ze sobą i ma ochotę na coś dzikiego – tak jak ja teraz – seks zawsze przyjdzie z pomocą.

Odrywam usta od Tommy'ego. Wciąż obejmuję go za głowę. On nadal pieści palcami mój sutek, a jego penis jest gotów. Oczy zaczynają mu się zasnuwać mgiełką pożądania.

– Zerznij mnie natychmiast – mówię chrapliwym głosem. – Zerwij ze mnie ciuchy, oprzyj mnie o kanapę i zerznij mnie.

Na chwilę przerywa. Jego palce zamierają w bezruchu, zaczyna wpatrywać mi się w oczy. Chyba przekonał się, że mówię to w pełni władz umysłowych.

Podnosi mnie i zsadza ze swoich kolan. Sadowi mnie na kanapie, chwytając za koszulę i gwałtownym ruchem zdiera mi ją przez głowę. Koszula ląduje na podłodze, a Tommy nie odpuszcza. Sięga do moich pleców, rozpina stanik i zrywa go ze mnie.

Zatrzymuje się na chwilę, patrzy na moje piersi, po czym kładzie mnie na kanapie. Chwytając i ściska moje piersi. Ostro, ale nie boleśnie, doskonale, aż wyginam się, odchylam głowę i wzdycham. Dotyka obu ustami, ssie i liże, dokładnie tak, bym pragnęła go coraz bardziej, a potem znów się wycofuje.

Teraz rozpina guzik moich dżinsów, rozsuwa zamek i zdejmuje mi spodnie wraz z majtkami. W końcu mogę rozchylić nogi. Jestem naga, wilgotna, czuję się jak Jezebel do kwadratu.

Całuje mnie między nogami i natychmiast przeżywam orgazm, krzyczę, a przez brzuch aż po uda wstrząsają mną wybuchy rozkoszy. Czas rozciąga się, świat rozmywa, a ja pławię się w tym uczuciu, zupełnie bezwstydną, jak Ewa z jabłkiem, jak kocica w upale.

Odrywa usta ode mnie i wstaje. Obserwuję oszołomiona, jak się rozbiera. Kiedy widzę jego penis, mruczę i czuję się jak Jezebel do sześcianu. Tommy zakłada prezerwatywę, a ja sięgam po niego. Łapie mnie za nadgarstki, przyciąga do siebie, a potem chwytą w pasie, podnosi i niesie do oparcia kanapy. Kładzie mnie brzuchem na oparciu, z głową w poduszkach i tyłkiem wypiętym do góry.

Czuję, jak ustawia się za mną, a potem we mnie wchodzi. Jedną ręką trzyma mnie za pośladek, drugą za ramię. Wciska się we mnie, spełnia moje żądanie.

Jesteśmy jak zwierzęta wiedzione pierwotnym instynktem. Tego mi trzeba: niepohamowanej siły, wielkiej fali, czegoś, co mnie zmiecie, zaleje, co zabierze ze sobą zwłoki do morza.

Poddaję się temu i biorę, co ofiarowuje mi Tommy – oddanie bez poczucia winy. W czasie kiedy Tommy zmierza do swojego orgazmu, ja przeżywam ich kilka, a kiedy w końcu nadchodzi jego kolej, wpija się w mnie palcami, cały sztywnieje. Nie robi mi siniaków, tyle tylko że przez chwilę boli – krótki, słodki ból.

Jest już po wszystkim i odrywamy się od siebie. Upadamy na kanapę i przytulamy się, wyczerpani, zadowoleni, nieco drżący.

Tommy patrzy na mnie przez chwilę.

– O rany – mówi.

– I ja też o rany. – Uśmiecham się. Patrzą mu w oczy. – Dzięki, Tommy.

– Zawsze do usług. – Znow widzę na jego ustach ten sam uśmieszek.

– Naprawdę zawsze.

Uśmiecham się i całuję go w policzek.

Czuję się pewniej niż wcześniej. Wciąż słyszę szepty zmarłych, ale nabrałam już dystansu.

Tommy wyplątuje się z moich objęć i idzie do kuchni. Podziwiam jego tył i przód, kiedy wraca. W ręku trzyma piwo dla siebie i butelkę wody dla mnie. Siada na kanapie i znów zaplątujemy się w siebie.

Popijam łyk wody. Pociągam nosem.

– Pachnie seksem.

– A jak pachnie seks?

– Jak... – Odchylam głowę, uśmiecham się i słowa same przychodzą.

– Jak świeży pot i czysty penis.

Tommy pociąga łyk piwa.

– Świńskie i poetyckie zarazem. – Całuje mnie w kark. – Seksowne.

– Przyznajesz, że kochasz mnie za to, co mam w głowie?

– Nie. Kocham cię za twoją pupę. Lubię cię za to, co masz w głowie.

– Dupa.

– Co?

– Powiedziałeś „pupa”. Zupełnie jak czterolatek. Powiedz „dupa”.

– Nie mogę.

Odwracam się do niego, wyginając brew w łuk.

– Żartujesz?

– Nie.

Patrzę mu w oczy i dochodzę do wniosku, że naprawdę nie żartuje. Przytulam się z powrotem. Chichoczę.

– Ależ z ciebie harcerzyk, Tommy. Nie miałam pojęcia.

– Byłem nawet drużynowym.

Nie mogę się powstrzymać. Wybucham śmiechem. Rytm mojego

śmiechu szybko przeradza się w coś innego, a Tommy udowadnia mi, że co jak co, ale sprawność kochanka w harcerstwie zdobył na pewno.

Godzinę później leżymy nago na dywanie, z nogami opartymi o blat stolika.

– Mam chyba dość – oznajmia Tommy z satysfakcją.

– Nawet zły dzień może się dobrze zakończyć.

– A właśnie, skoro o tym mowa – mówi. – Przyszła mi do głowy pewna myśl. A nawet dwie.

Przekręcam się na bok, żeby obejrzeć go z profilu.

– Jaka?

– Kiedy opisywałaś miejsce zbrodni, mówiłaś, że zwłoki wykrwawiły się w wannie. Wiesz, że to oznacza, że ci ludzie musieli być wtedy żywi.

– Aha.

W martwym organizmie krew nie krąży. Serce przestaje bić.

– Ale musiał ich przecież jakoś obezwładnić. Wspomniałaś, że mógł im dać jakieś środki. Chyba masz rację. Założę się, że użył czegoś do zwiotczania mięśni. W ten sposób ofiary miałyby świadomość tego, co się dzieje. Jeszcze bardziej by go to kręciło. – Wzrusza ramionami. – Ot taka myśl.

Wodzę palcem po kręconych włoskach na jego torsie. Nie jest zarośnięty jak niedźwiedź, włosków jest tyle, by zapewnić wizualną i dotykową podniecie, kiedy trzeba.

Tommy ma rację, uświadamiam sobie. Opisałam mu dzień bardzo pobieżnie, ale z tych informacji wyłuskał to, co pozwoliło mu wyczuć sprawcę, jego pragnienia, sposób, w jaki je zaspokaja. Myślałam o lekach,

ale środek do zwiotczania... warto rozważyć taką ewentualność.

Kiedy o tym pomyślałeś, mój Tommy? Zanim się kochaliśmy czy już po? A może w trakcie?

Znów jestem gotowa i przez chwilę zastanawiam się dlaczego. Większość poznanych dzisiaj ludzi jest martwa. Ja nie. Seks to sposób, by poczuć się żywym.

Sięgam niżej i chwytam coś.

– Sprawdzę to twoje przeczucie jutro – mówię. – A teraz chcę, żebyś wziął się do roboty. Pokaż, jak cię tam szkolili w Secret Service, i działaj.

Bawi się jednym z sutków, odstawia piwo i przez kolejną godzinę udowadniamy, że żyjemy.

Zmęczeni. Wyczerpani. Szczęśliwi.

– Mam jeszcze jedną myśl – mówi Tommy, przerywając swobodną ciszę.

– Zdaje się, że dużo myślisz, kiedy uprawiamy seks. – Najlepiej mi się myśli nago.

– No więc, co to za myśl?

– Jest pewien motyw, który łączy zarówno ból, jak i sprawiedliwość.

– Tak, wiem.

Unosi brwi.

– Naprawdę?

– Najstarszy pod słońcem – odpowiadam. – Zemsta.

– Myślałem, że cię wyprzedzę.

Całuję go w policzek.

– Nie przejmuj się. A tak w ogóle to kiedy miałeś czas, żeby o tym

myśleć?

Uśmiecha się do mnie.

– Orgazmy oczyszczają umysł.

– Chcesz mi powiedzieć, że po prostu doszedłeś do tego?

Przewraca oczami.

Uświadamiam sobie, że czuję się lepiej. O wiele lepiej. Czułam się źle, Tommy zadzwonił, przyjechał. Kochaliśmy się, rozmawialiśmy o pracy i...

Aż podskakuje, kiedy przychodzi mi do głowy zupełnie nowa myśl.

O mój Boże – jesteśmy parą?

To pomysł obcy i odległy, a zarazem miły i znajomy. W trwającym wiele lat małżeństwie rozwija się poczucie bezpieczeństwa, pewność, że zawsze ma się kogoś u swojego boku. Jeśli wszystko inne zawiedzie, zniknie czy zdradzi, zawsze ma się tę drugą osobę. Człowiek nigdy nie jest sam. Utrata drugiej osoby jest wtedy jak utrata części samego siebie. Puste miejsce w łóżku w nocy boli jak odcięta kończyna.

Przekroczyliśmy tę granicę? Tę, przed którą jest „wolny” związek, a za którą zaczyna się „para”?

– Co? – pyta Tommy.

– Po prostu... – Kręcę głową. – Po prostu pomyślałam o nas. Nic takiego.

– Nie rób tego.

– Czego?

– Najpierw o czymś myślisz, a potem mówisz, to nic takiego. Nie musisz mi mówić, o czym myślałaś. Ale nie mów, że to nic takiego.

Wpatruję się w jego oczy. Nie ma w nich gniewu, a jedynie szczere zatroskanie.

– Przepraszam – mówię. – Zastanawiałam się tylko... – Przełykam ślinę. Dlaczego tak trudno to z siebie wydusić? – Tommy, czy jesteśmy parą?

Uśmiecha się do mnie.

– To wszystko? Oczywiście, że jesteśmy.

– Och!

– Słuchaj, Smoky, nie mówię, że czas razem zamieszkać czy wziąć ślub. Ale jesteśmy razem. Tak to widzę.

– Aha. O rany.

Tommy rozbawiony kręci głową.

– Przez długie lata byłaś mężatką. Przywykłaś, że „razem” oznacza miłość i małżeństwo. Nie kocham cię.

Coś w moim żołądku opada i robi mi się niedobrze.

– Nie... nie kochasz?

Wyciąga rękę i gładzi mnie po policzku.

– Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Chodzi mi o to, że nie powiem tych słów, dopóki naprawdę nie będę gotów, a jeszcze nie jestem. Ale zbliża się punkt, w którym to zrobię. Jeśli nadal będziemy robić wszystko jak do tej pory, pewnego dnia obudzę się i cię pokocham. Taką drogą podążamy. Jesteśmy razem.

Znów czuję motylki w brzuchu, ale tym razem nie zbiera mi się na wymioty.

– Naprawdę?

– Słowo. – Mruży oczy. – Jak ci się to podoba?

Przytulam się do niego.

– Podoba mi się – przyznaję i mam świadomość, że to prawda.

Naprawdę mi się to podoba. Co więcej, nie mam poczucia winy. Nie czuję żadnego oporu ze strony ducha Matta.

Ale co z Quantico? Rozkochasz go w sobie i zostawisz na lodzie?

To kolejny czynnik, który trzeba brać pod uwagę, odpowiadam sama sobie z uporem. Kolejne wybory. Dobrze jest móc wybierać.

Tyle że nie jest to takie proste i dobrze o tym wiem. Swoją decyzją mogłabym skrzywdzić Tommy'ego. Prostota „nowego startu” to nadmierne uproszczenie mojego życia. Wiem, że Alan, Callie i Elaina staliby za mną murem, gdybym postanowiła wziąć tę posadę. Wszyscy byliby smutni, ale łączą nas zbyt stare i mocne więzi. Nie stracilibyśmy siebie z oczu.

Dziś łączność z rodziną i znajomymi można utrzymywać na kosmiczne nawet odległości. Ale nie z zakochanym facetem.

Nie zapominaj o niemej przybranej córeczce, przyjaciółce faszerującej się pigułkami i lforUitd! Nie zapominaj o niespokojnym domu, w którym jeszcze nie skończyłaś pakować zbędnych rzeczy, i o przyjaciółce, która właśnie pokonała raka. No i o tym, że nagrobki Matta i Alexy są tutaj, nie w Wirginii. Kto będzie przynosił kwiaty na grób?

– Wiesz, czego chcę? – szepczę, chcąc na razie uwolnić się od swoich duchów.

Kręci głową.

– Chcę, żebyś zaniósł mnie na górę i ukołysał do snu.

Bez słowa bierze mnie w ramiona i wnosi po schodach. Mijamy pokój Alexy, ale nie myślę o tym. A kiedy jesteśmy już w łóżku, jest przy mnie. Mogę wreszcie odpłynąć, bo on będzie mnie pilnował. Mój strażnik przed zmarłymi.

Rozmawiałem dziś rano ze szpitalem – opowiada Barry, kiedy idziemy przez parking. – Powiedzieli mi, że dziewczynę wyprowadzono z szoku. Miała siniaki na nadgarstkach i kostkach, ale poza tym była w dobrym stanie fizycznym.

– To już chyba coś.

Dzielę się z nim moimi wieczornymi przemyśleniami, w tym teorią zemsty jako motywu działania.

– Interesujące. Jedyne klocki, który tu nie pasuje, to Sarah. Gdyby nie ona i Kingsleyowie, miałyby to sens. Vargas miał ciąg na dzieci, od dawna miał. Może lubił też je torturować, bić trzcinką po stopach. Jedno z dzieci dorasta, pojawia się i zabija go. To by nawet wyjaśniało, dlaczego tak łagodnie obszedł się z dziewczyną. Zamknął jej oczy. Nie wyjął trzewi.

– Tak.

– Ale Sarah i Kingsleyowie? Zupełnie mi do tego nie pasują. – Wzrusza ramionami. – Mimo to podoba mi się zemsta jako motyw.

– Może Sarah rzuci trochę światła na to wszystko.

– Zaczekaj – mówi Barry, kiedy zbliżamy się do drzwi. Jest zdenerwowany. – Muszę zapalić, zanim wejdziemy.

Uśmiecham się do niego.

– Szpitali też nie lubisz?

Wzrusza ramionami i zapala papierosa.

– Kiedy ostatnio byłem w szpitalu, patrzyłem, jak umiera mój tata. Co tu można polubić?

Barry ma zmęczone oczy. Zauważam, że nosi to samo ubranie, które miał na sobie wczoraj wieczorem.

– Byłeś w ogóle w domu? – pytam.

Wypuszcza kilka dymków i kręci głową.

– Nie. Simmons skończył dopiero o siódmej nad ranem. Musiałem też wezwać kilku speców od oprogramowania. Wciąż tam siedzą.

– Dlaczego?

– Ten chłopak... Michael? Miał zainstalowany na komputerze jakiś program zabezpieczający. Wyjaśniali mi te techniczne sprawy, ale to nie na moją głowę. Wystarczy wpisać błędne hasło, a program wyczyści dysk do zera. To akurat zrozumiałem.

Hej, spróbuj lforUtwo4me. Kto wie!

Powstrzymuję mrugnięcie okiem.

– Interesujące.

– To nie koniec. Ich zdaniem to nieseryjny program, bardzo zaawansowany. A najlepsze jest to, że według nich chłopak sam tego nie mógł zainstalować na komputerze.

– Jak to?

– Bo to zbyt skomplikowane. To ma jakiś związek z poziomem szyfrowania. Podobno lepszym niż ma wojsko.

– Może w takim razie zainstalował go zabójca.

– Też sobie tak pomyślałem.

– To by miało sens. Ma nam coś do przekazania. Dlatego pisał na ścianie w obu miejscach, dlatego zadzwonił do mnie, żeby powiedzieć o Vargasie. Coś nam mówi, ale robi to w swoim tempie.

– Lubię, kiedy ci faceci zaczynają być tacy przemądrzali. To znaczy, że

dojrzewają do tego, żeby coś spieprzyć.

– Znaleźliście coś jeszcze?

– Mamy odciski stóp i komputer. Żadnych odcisków palców, żadnych włosów, żadnych tkanek. Ale odciski stóp są dobre. Jak go złapiemy, będziemy mogli bez problemu zrobić porównanie. Jak mówiłem, musi coś spieprzyć. Zwłoki pojechały do patologa. Zobaczymy, co on powie. A Callie się odezwała?

– Nie rozmawiałam z nią jeszcze. Zadzwonię do niej, jak tu skończymy.

– Może tam też coś spieprzył. – Zaciąga się głęboko papierosem. – A co do dziewczyny. Nie mam jeszcze zbyt wielu informacji: mieszkała u Kingsleyów nieco ponad rok. Naprawdę nazywa się Sarah Langstrom.

Sarah Langstrom, myślę i próbuję oswoić się z tym nazwiskiem.

– Sprawdziłem jej kartotekę – ciągnie Barry. – Kiedy miała piętnaście lat, była aresztowana za posiadanie narkotyków. W biały dzień paliła jointa na przystanku autobusowym. Nic innego nie wyszło. Jutro dostanę jej akta z opieki społecznej.

– Mówiła, że jej rodzice zostali zamordowani. Miała wtedy sześć lat.

– Świetnie. Nie ma to jak szczęśliwe zakończenie. – Wzdycha. – Jak chcesz ją przesłuchiwać?

– Absolutnie wprost i bez kombinowania. Jeśli... – Kręce głową. – Jeśli poczuje, że nie jesteśmy z nią szczerzy albo że nie traktujemy jej poważnie, przestanie nam ufać. Zresztą i tak nam chyba zbytnio nie ufa.

– Racja. – Pociąga ostatniego dymka, wyrzuca niedopałek na parking. – Prowadź.

Sarah ma izolatkę na oddziale dziecięcym szpitala. Barry ustawił przed

drzwiami strażnika. Znów młody Thompson. Zmęczony, ale wciąż podniecony.

– Byli jacyś goście? – pyta go Barry.

– Nie, detektywie. Nikogo.

– Wpisz nas na wizytę.

Jak na szpitalną salkę jest tu dość miło. W rzeczywistości oznacza to, że pomieszczenie wygląda jak najlepszy pokój z motelu Batesów z *Psychozy*. Ściany pomalowano na ciepły beż, na podłodze ułożono jakąś imitację drewna. Lepsze to niż białe linoleum i urzędowa zieleń, przyznaję w duchu. W pokoju jest duże okno z rozsuniętymi zasłonami, przez które do środka wlewa się słońce.

Sarah leży w łóżku przy oknie. Odwraca do nas głowę, kiedy wchodzimy.

Słyszę, jak Barry mówi pod nosem: „O Jezu”.

Dziewczyna wygląda na małą, bladą i zmęczoną. Barry jest przerażony. Także i za to go lubię. Nie jest cyniczny.

Podchodzę do łóżka. Sarah nie uśmiecha się, ale z radością zauważam, że w oczach ma mniej śmierci.

– Jak się czujesz? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Zmęczona.

Wskazuję głową Barry’ego.

– To jest Barry Franklin, detektyw z wydziału zabójstw, który prowadzi twoją sprawę. Jest moim przyjacielem i poprosiłam, żeby to on się tym zajął, bo mu ufam.

Sarah patrzy na Barry'ego.

– Cześć – mówi bez emocji. Odwraca się znów do mnie. – Rozumiem.

– Wzdycha i odzywa się zrezygnowanym i ponurym głosem: – Nie pomożesz mi.

Zaskoczona mrugam oczami.

– Zaraz, kochanie. Miejskowa policja zawsze prowadzi sprawę. Tak działa nasz system. Ale to nie oznacza, że nie biorę w tym udziału.

– Okłamujesz mnie?

– Nie.

Patrzy na mnie przez kilka sekund przymrużonymi i podejrzliwymi oczyma. Próbuje ocenić, ile prawdy jest w tym, co mówię.

– Dobrze – mówi niechętnie. – Wierzę ci.

– Świetnie – odpowiadam.

Wyraz twarzy znów jej się zmienia. Teraz maluje się na nim nadzieja pomieszana z desperacją.

– Masz mój pamiętnik?

– Nie mogłam zabrać pamiętnika. – Dobieram ostrożnie każde słowo.

– Są konkretne przepisy dotyczące traktowania dowodów zebranych na miejscu zbrodni. Ale – podnoszę głos, widząc, jak zmienia się jej twarz – kazałam sfotografować go strona po stronie. Dziś ktoś ma dla mnie wydrukować te zdjęcia i będę mogła je przeczytać. To tak, jakbym czytała twój prawdziwy pamiętnik.

– Dzisiaj?

– Obiecuję.

Sarah obrzuca mnie kolejnym długim, podejrzliwym spojrzeniem. Ta dziewczyna nie ma za grosz zaufania, myślę. Za grosz. Jak do tego doszło?

Czy naprawdę chcę się tego dowiedzieć?

– Sarah – mówię łagodnym i spokojnym głosem. – Musimy zadać ci kilka pytań. O tym, co się stało wczoraj w twoim domu. Jesteś gotowa?

W spojrzeniu, jakim mnie obrzuca, widać zbyt wiele doświadczenia, coś w rodzaju pustej obojętności, którą widziałam już nieraz u ofiar. Łatwiej jest być obojętnym, niż się przejmować.

– Chyba tak – rzuca beznamiętnym głosem.

– Nie masz nic przeciwko, żeby Barry siedział tu w czasie naszej rozmowy? Będę zadawać wszystkie pytania. On tylko posiedzi i posłucha.

Macha ręką.

– A co mi tam.

Przysuwam sobie krzesło do łóżka. Barry siada na krześle przy drzwiach. To kolejna figura w naszym tańcu. Będzie wszystko słyszał, ale nie będzie się rzucał w oczy. Sarah łatwiej zapomni, że Barry w ogóle tu siedzi.

Wspomnienia ofiar to rzecz intymna. Osobista. To dzielenie się tajemnicami. Barry o tym wie i wie, że dziewczynie najłatwiej będzie podzielić się tymi tajemnicami ze mną.

Odwróciła głowę do okna. Tyłem do mnie, twarzą do słońca. Ręce ma złożone. Na każdym paznokciu widzę czarny lakier.

Jedźmy z tym koksem, odzywa się mój wewnętrzny głos.

– Sarah, wiesz, kto to zrobił? – Kluczowe pytanie. – Wiesz, kto zabił Kingsleyów?

Nadal patrzy przez okno.

– Nie w takim sensie, o jaki pytasz. Nie znam jego nazwiska, nie wiem, jak wygląda. Ale pojawił się już w moim życiu.

– Kiedy zabił twoich rodziców.

Kiwa głową.

– Mówiłaś, że miałaś sześć lat, gdy do tego doszło.

– To było szóstego czerwca – mówi. – W moje urodziny. Wszystkiego najlepszego, co?

Przełykam ślinę i przez chwilę przetwarzam te informacje.

– Gdzie to się stało?

– W Malibu.

Zerkam na Barry’ego. Kiwa głową i dyskretnie notuje to w zeszycie. Jeśli to morderstwo miało miejsce, dowiemy się wszystkich szczegółów.

– Pamiętasz, co się wtedy stało? Kiedy miałaś sześć lat?

– Pamiętam wszystko.

Czekam, licząc, że powie coś więcej. Ale milczy.

– Skąd wiesz, że człowiek, który wczoraj zabił Kingsleyów, to ten sam, który dziesięć lat temu zabił twoich rodziców?

Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Na jej twarzy maluje się mieszanina rezygnacji i stłumionego gniewu.

– Co za głupie pytanie.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Cóż... w takim razie jak powinno wyglądać dobre pytanie?

– Dlaczego to ten sam człowiek?

Mrugam. Ma rację. To najbardziej precyzyjne pytanie.

– Wiesz dlaczego?

Kiwa głową.

– Chcesz mi powiedzieć?

– Opowiem ci trochę. Resztę musisz doczytać.

– Dobrze.

– On... – Biję się zmysłami. Może szuka właściwych słów. – Powiedział mi kiedyś: „Tworzę cię na moje własne podobieństwo”. Nie wyjaśnił, o co mu chodzi. Ale tak właśnie powiedział, Mówił, że widzi mnie i moje życie w sposób, w jaki artysta widzi bryłę gliny, i że jestem jego rzeźbą. Nazwał nawet tę rzeźbę. Nadał jej tytuł.

– Jaki?

Zamknęła oczy.

– Zrujnowane życie.

Nie słysząc skrobania długopisu Barry’ego. Patrzę na Sarah, próbując przetworzyć to, co właśnie powiedziała.

Zrównoważony, myślę. Zrównoważony, ale kieruje się czymś konkretnym i obsesyjnym. Zemsta to motyw, a zniszczenie Sarah to jej część. Ważna część.

Sarah mówi dalej. Głos ma nieco przytłumiony i odległy.

– Robi różne rzeczy, by zmienić moje życie. Żeby mnie zasmucić, żebym wpadła we wściekłość, żebym była samotna. Żeby mnie zmienić.

– Powiedział ci kiedyś dlaczego?

– Kiedy to wszystko się zaczęło, mówił „choć to nie twoja wina, twój ból i tak będzie dla mnie sprawiedliwością”. Nie zrozumiałam wtedy tego. Teraz też nie rozumiem. – Patrzy na mnie pytającym wzrokiem, szuka odpowiedzi.

– A ty?

– Niekonkretnie. Uważamy, że może chodzić o jakiś rodzaj zemsty.

– Za co?

– Jeszcze nie wiemy. Mówiłaś, że robi różne rzeczy, aby zmienić twoje

życie. Zmienić ciebie. Jakie to rzeczy?

Długa, długa cisza. Nie mam pojęcia, co dzieje się w jej oczach. Wiem tylko, że są pełne żalu i ogromne. I że to wszystko to dla niej żadna nowina.

– Chodzi o mnie – mówi cichym głosem. – Zabija każdego, kto jest albo mógłby być dla mnie dobry. Zabija to, co kocham i co odwzajemnia tę miłość.

– I nikt jeszcze na to nie wpadł?

Spokój w jednej chwili przeradza się w niski grzmot, który mnie zaskakuje.

– Wszystko jest w moim pamiętniku! Przeczytaj go wreszcie. Ile razy mam ci mówić? Boże! Boże! Boże!

Odwraca się znów do słońca. Drży, kuli się, przepelniona wściekłością. Czuję, jak odchodzi, zapada się w siebie.

– Przepraszam – uspokajam. – I obiecuję, że go przeczytam. Każdą stronę. Muszę tylko wiedzieć, co stało się wczoraj. W domu. Wszystko, co pamiętasz.

Kolejna długa przerwa. Już nie jest zła. Wygląda na zmęczoną aż po najdrobniejsze cząstki ciała.

– Co chcesz wiedzieć?

– Zaczynaj od początku, zanim przyszedł do domu. Co robiłaś?

– Był późny poranek. Około dziesiątej. Wkładałam koszulę nocną. – Wkładałaś? Po co?

Uśmiecha się, z całą siłą wraca ta stara wiedźma Sarah, która kryje się w jej wnętrzu, rechocząca i brzydka.

– Michael mi kazał. Marszczę brwi.

– Dlaczego Michael kazał ci to zrobić? Przekrzywia głowę i patrzy na mnie.

– Jak to dlaczego? Żeby się ze mną pieprzyć.

Uprawialiście seks z Michaellem?

Jestem z siebie dumna. Udało mi się zachować spokojny głos i nie oceniać tej rewelacji.

– Nie, nie, nie. Seks to coś, co zdarza się między dwojgiem równych ludzi. Ja się pieprzyłam z Michaellem. Po to, żeby nie nakłamał Deanowi i Laurel, bo mogliby mnie za to odesłać.

– Zmuszał cię do tego?

– Nie fizycznie. Ale mnie szantażował.

– Czym? Co zrobiłaś?

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Co zrobiłam? Nic nie zrobiłam. Ale to nie miało znaczenia. Michael był ukochanym synkiem. Same piątki, kapitan drużyny lekkoatletycznej. Nigdy nie zrobił niczego złego. – Gorycz w jej głosie pali jak kwas. – A kim byłam ja? Przybłądą, którą wzięli do siebie. Powiedział, że jeśli nie będę uprawiać z nim seksu, podrzuci mi trawkę do pokoju. Dean i Laurel byli mili i dobrzy dla mnie, ale nie tolerowali niczego... niezwykłego. Odesłaliby mnie. Uznałam, że mogę wytrzymać jeszcze dwa lata, dopóki nie skończę osiemnastu lat, a potem, już dorosła, będę mogła odejść.

– Więc... uprawiałaś z nim seks, kiedy zażądał.

– Jakoś trzeba sobie radzić. – Jej głos aż ocieka od sarkazmu, jest w nim też nuta nienawiści do samej siebie, od której aż boli mnie serce. – Chciał tylko, żeby mu obciągała i lubił mnie pieprzyć. – Patrzy na swoje ręce. W przeciwieństwie do hardej twarzy, ręce drżą. – Daj spokój, od

dawna już nie byłam dziewicą, więc o co tyle hałasu?

– Kingsleyowie niczego nie podejrzewali?

Sarah przewraca oczami.

– Proszę cię. Mówiłam, że byli dla mnie dobrzy, ale naprawdę woleli myśleć, że ich życie jest doskonałe. – Waha się. – Zresztą oni naprawdę byli dla mnie dobrzy. Nie chciałam, żeby dowiedzieli się, jaki jest Michael. To by ich dotknęło. Nie zasłużyli sobie na to.

– A więc wkładałaś koszulę nocną. Co się wtedy stało?

– Pojawił się w mojej sypialni.

– Michael?

– Nie, Obcy. Po prostu się pojawił. Bez ostrzeżenia. Na twarzy miał pończochę, podobnie jak wcześniej. – Na chwilę przygryza dolną wargę, zamyśla się. – Miał w ręku nóż. Był szczęśliwy, uśmiechnięty, odprężony. Przywitał się, cały radosny i normalny, a potem... powiedział, że ma dla mnie prezent.

– Przerywa. – Powiedział: „Za górami, za lasami, był sobie człowiek, który zasłużył na śmierć. Był poetą amatorem, bardzo utalentowanym. Pisał piękne słowa, ale czaiła się w nich ciemność. Pewnego dnia poszedłem do tego mężczyzny, poszedłem do niego i przystawiłem pistolet jego żonie do głowy, i kazałem mu napisać dla niej wiersz. Powiedziałem, że to będzie ostatnie, co usłyszy jego żona, nim strzelę jej w głowę. Zrobił, co mu kazałem, a ja zabiłem ich oboje, chwała niech będzie Panu. Kiedy byli już martwi, wyciągnąłem ich trzewia na zewnątrz, by świat zobaczył ich wewnętrzny mrok”.

Przesłanie, myślę. Pozbawia ich trzewi, żebyśmy zobaczyli, kim naprawdę są. Zauważam też motyw religijny. Fanatyzm u seryjnych

zabójców jest niemal zawsze oznaką szaleństwa.

Ale nie tym razem. Jego wiara nie wybuchła wraz z żądzą zemsty. Dorastał w niej.

– Dał ci ten wiersz? – pytam. – Czy to właśnie był ten prezent?

– A tak, dostałam kopię. Powiedział, że przepisał go dla mnie. Włożyłam go do kieszeni koszuli po tym, jak kazał mi go przeczytać.

– Wskazuje głową na stolik przy szpitalnym łóżku. – Jest w szufladzie. Proszę. Miał rację, wiersz był naprawdę niezły, zważywszy na warunki, w jakich powstawał.

Sięgam i otwieram szufladę. W środku leży złożona na czworo niepozorna kartka białego papieru. Rozkładam ją i czytam:

TO TY

Kiedy oddycham

To ty

Kiedy bije mi serce

To ty

Kiedy płynie ma krew

To ty

Kiedy słońce wstaje

Kiedy gwiazdy świecą

To ty

To ty.

Nie jestem nawet amatorką poezji, nie jestem w stanie ocenić tego, co właśnie przeczytałam. Wiem tylko, że podoba mi się prostota tego wiersza, i zamyślam się nad chwilą, kiedy powstał.

– To prawda, wiesz – mówi Sarah.

Podnoszę wzrok.

– Co jest prawdą?

– Jeśli on mówi, że tak to wyglądało... to tak to właśnie wyglądało. – Zamyka oczy. – Obcy powiedział mi, że na oryginale tusz się rozmazał, bo poeta, pisząc to, płakał. Jest tam też krew żony. „Piękne drobniutkie kropelki”, mówił, „bo kiedy do niej strzeliłem, z jej głowy uniosła się mgiełka”.

– Mów dalej – proszę. – Co się stało później?

Odwraca wzrok, głos jej słabnie.

– Zapytał mnie, jak mi się podoba wiersz. Wyglądało na to, że naprawdę go to interesuje. Nie odpowiedziałam. Nie nalegał. „Dobrze znów cię widzieć”, powiedział. „Twój ból jest piękniejszy niż kiedykolwiek dotąd”.

– Sarah, na ile dokładnie pamiętasz to, jak mówił i co mówił? Nie obraż się.

– Mam dar do rozpoznawania głosów i tego, co ludzie mówią. Nie jest to pamięć fotograficzna czy cokolwiek takiego. Nie pamiętam tego dokładnie, słowo w słowo, co to, to nie. Ale jestem w tym dość dobra. I naprawdę skupiam się na nim, kiedy mówi. Na tym, jak mówi. Na tym, co robi.

– To dobrze, to nam pomoże – zachęcam ją. – Ile ma wzrostu?

– Nieco ponad metr osiemdziesiąt.

– Czarny czy biały?

– Biały i dokładnie ogolony.

– Czy jest wielki? To znaczy gruby? Czy raczej chudy? Umięśniony czy nie?

– Nie jest gruby, ale nie jest też szczupły. Jest bardzo silny. Ma doskonałą sylwetkę. Doskonałą. Bez żadnej skazy. Chyba musi ćwiczyć jak szalony. Jest dobrze zbudowany, ale nie napakowany.

Słyszę, jak sunie długopis Barry’ego.

– Mów dalej – odzywam się. – Co się stało potem?

– „Prawie skończyłem cię rzeźbić, Sarah”, powiedział. „Dziesięć długich lat, pełnych wzlotów i upadków, zmian i żalu. Patrzyłem, jak pochylasz się i łamiesz. Interesujące, prawda? Ile razy człowiek może przeżyć wstrząs i iść dalej? Nie jesteś tą samą dziewczynką co wtedy, kiedy rozpoczynaliśmy tę podróż, prawda? Widzę pęknięcia, miejsca, gdzie musiałaś się posklejać z powrotem”. – Sarah poprawia się na łóżku niespokojnie. – Tak mniej więcej mówił. Nie jest to oczywiście słowo w słowo, ale w zasadzie to powiedział i tak właśnie brzmiał.

– Świetnie ci idzie – zapewniam ją.

Sarah mówi dalej:

– Miał ze sobą torbę. Otworzył ją i wyciągnął małą kamerę wideo, którą skierował na mnie.

– Robił to już wcześniej, prawda? – pytam.

Kiwa głową.

– Tak. Twierdzi, że dokumentuje mój upadek. Że to ważne i bez tego

nie będzie sprawiedliwości.

Zabójcy zbierają trofea. Film to jego zdobycz.

– Co zrobił dalej?

– Wycelował obiektyw w moją twarz i powiedział: „Chcę, żebyś pomyślała o matce”. – Sarah odwraca się do mnie. – Chcesz zobaczyć to, co on?

Nim zdążę powiedzieć nie, bo naprawdę nie chcę, oczy dziewczynki zmieniają się, a ja wstrzymuję oddech.

Są pełne żalu i tęsknoty, tak przejmującej jak wschód słońca. Widzę niezaspokojoną nadzieję, całkowitą utratę ducha.

Odwraca się. Znów mogę odetchnąć.

Ale jak ona może oddychać?

– I dalej? – naciskam nieco drżącym głosem.

– Po prostu siedział przez chwilę, obserwując mnie przez obiektyw kamery. Potem zaczął do mnie mówić. „Wiesz, że to jeden z najbardziej ekscytujących dla mnie momentów, Sarah? To rzeczy, nad którymi nie panuję. Na przykład ten dom. Rodzina, która jest dla ciebie miła, choć niezbyt ciepła. Syn, który na pozór jest ideałem, ale szantażuje cię, żebyś obciągała mu fiuta. To zadziwiające. Z jednej strony, zupełny przypadek. Nie wybrałem ci tego domu. Z drugiej strony, jesteś tu tylko i wyłącznie z mojego powodu. Myślałaś kiedyś o tym, obciążając Michaelowi? Myślałaś, patrząc mu w oczy, że jesteś tu z powodu tego, co zrobiłem?” Sarah uśmiecha się sardonicznie. – Odpowiedź brzmi, tak. Naprawdę czasem myślałam o Obcym w takich chwilach. – Zauważam, że wciąż drży jej ręka.

– Mów dalej – zachęcam ją.

Skąd wiedział, że Michael ją wykorzystuje? Na razie notuję to w pamięci, na własny użytek. Nie chcę wybijać jej z rytmu.

– Potem zrobił się nieprzyjemny. – Sarah patrzy w dal, wspominając tę chwilę. – Powiedział: „Wiesz, co z ciebie zrobił Michael, kiedy klękłaś przed nim w zamian za jego milczenie? Zrobił z ciebie kurwę, Sarah”.

Nieoczekiwanie Sarah podnosi ręce do twarzy. Zakrywa oczy, drżą jej ramiona.

– Dobrze się czujesz? – pytam ją cicho.

Bierze głęboki oddech, który przechodzi niemal w szloch. Mija dłuższa chwila i dziewczyna znów opuszcza ręce na kolana.

– W porządku – mówi bez emocji.

Przekazuje mi dalej słowa człowieka, którego nazwała Obcym.

– „Przypadek, ale nie do końca”, mówił. „Musiałem cię tylko posłać w tę drogę, jak kazał mi Bóg. Wiedziałem, że mogę liczyć na ludzką naturę i że podróż będzie ciężka, bo przecież czuwałem, aby usuwać ci z drogi miłych ludzi. Ci, którzy się przejmują, to zawsze mniejszość, moja Mała Cierpiętnico. Kropelka podczas burzy”. – Dziewczyna patrzy na mnie. – Ma rację. Może i zorganizował wszystko i popchnął mnie, ale to przecież ludzie wyrządzali mi te wszystkie krzywdy. – Pociera sobie ramiona, jakby było jej zimno. – Nie zmuszał ich, żeby to robili. Robili to z własnej woli.

Chcę ją pocieszyć, powiedzieć jej, że nie wszyscy są źli, że są na świecie dobrzy ludzie. Ale nauczyłam się hamować ten odruch. Ofiary nie potrzebują słów współczucia. Chcą, żebym przywróciła im dawny czas, żeby to się nie stało.

– I co dalej?

– Mówił. Lubi sam siebie słuchać. „Nasz wspólny czas niedługo się skończy. Już prawie ukończyłem moje dzieło. Znalazłem już kilka ostatnich kawałków, których szukałem, i wkrótce ujawnię moje arcydzieło”. Schował kamerę do torby i wstał. „Czas na ostatni etap podróży, Mała Cierpiętico. Chodźmy”.

– Dlaczego nazywa cię Małą Cierpiętnicą? – pytam.

– Tak sobie wymyślił. Jego Mała Cierpiętica. – W jej oczach czai się wściekłość. – Nienawidzę tego przezwiska!

– Nie dziwię ci się – mrużę. – Co było dalej?

– Ruszyłam do drzwi, jak poprosił, ale się zatrzymałam. To nie miało sensu, ale czułam, że muszę go zmusić, by wyprowadził mnie z pokoju. Jakby to, że nie wyjdę sama, mogło coś znaczyć. Idiotyzm.

Może, myślę. Ale to daje nadzieję na twoją przyszłość.

– I...?

– „Nie utrudniaj”, powiedział i chwycił mnie za ramię. Miał na sobie grube rękawiczki, ale czułam, jak silne i twarde są jego ręce. Poprowadził mnie korytarzem do sypialni Deana i Laurel. – Patrzy na mnie z tęsknotą.

– Pamiętasz to okno, na którym siedziałam, kiedy weszłaś? Widzę je teraz dokładnie jak wtedy. Był piękny dzień.

– Mów dalej – niecierpliwie się.

– Popchnął mnie korytarzem, który prowadzi do ich łazienki. – Drży.

– Tam ich właśnie trzymał. Deana i Laurel.

– Żyli jeszcze?

Patrzy na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Oczywiście, że tak. Byli nadzy i żyli. Nie ruszali się. Nie wiedziałam dlaczego, dopóki mi nie powiedział. „Są pod wpływem leków. Zrobiłem

im zastrzyk”. Mivacośćamchloran. Tak to nazwał. Nie pamiętam dokładnie nazwy. Twierdził, że mają świadomość, czują ból i słyszą nas, ale nie mogą się ruszać.

Punkt dla mnie za leki, a drugi dla Tommy’ego za myśl o czymś do zwiotczania mięśni, myślę sobie.

Coś mi przychodzi do głowy.

– Sarah, a czy rozpoznałabyś jego głos, gdybyś go usłyszała? Nie tylko słowa czy sposób mówienia, ale ton?

Kiwa ponuro głową.

– Nigdy go nie zapomnę. Czasami mi się śni.

– Mów dalej.

– Dean leżał twarzą do podłogi. Laurel na plecach. Postawił kamerę na statywie i włączył nagrywanie. Potem podniósł Deana jak dziecko, bez żadnego wysiłku, i posadził go w wannie. „Podejdz, Mała Cierpiętico”, powiedział do mnie. Podeszłam do wanny. „Spójrz mu w oczy”, rozkazał. Spojrzałam. – Sarah przełyka ślinę. – Widziałam, że mówi prawdę. Dean... był obecny. Wiedział, co się dzieje. Miał świadomość. – Wzdryga się. – Był też przerażony. Widać to było w jego oczach. Tak się bał.

– I co się wtedy stało?

– Obcy kazał mi się odsunąć. Pochylił głowę Deana, tak żeby wystawał mu podbródek. – Wyciąga szyję, żeby mi pokazać. – „Kiedy nadchodzi chwila śmierci, poznaje się znaczenie prawdy i lęku, panie Kingsley”, powiedział. „Człowiek zaczyna się zastanawiać, co czeka go potem: chwała niebieska czy ogień piekielny? Torturowałem nie tak dawno studenta filozofii, złego, okrutnego człowieka. Kaleczyłem go, przypalałem, raziłem prądem. I czekałem. Wyjaśniłem mu, nim

zaczęliśmy: jeśli przyjdzie mu do głowy choćby jedno oryginalne spostrzeżenie na temat życia, przestanę mu zadawać ból. Rankiem drugiego dnia, kiedy go kastrowałem, krzyknął: Wszyscy żyjemy chwilą przed własną śmiercią! Dotrzymałem słowa, przestałem go dręczyć. Przypominam sobie tę prawdę zawsze, nim kogoś zabiję”. – Sarah przełyka ślinę. – Potem Obcy podciął Deanowi gardło. Tak po prostu. – Mówi to odległym, zdziwionym głosem. – Bez ostrzeżenia. Tak szybko. Trysnęła krew. Obcy przytrzymał głowę Deanowi tak, by krew spływała do wanny. Pamiętam, że nie mogłam uwierzyć, ile ma w sobie tej krwi.

Przeciętnie dorosły człowiek ma cztery i pół do pięciu i pół litra krwi. Za mało, by wypełnić zlew w kuchni do połowy. Ale krew z założenia nie powinna wypływać, więc te pięć litrów może sprawiać wrażenie pięćdziesięciu.

– Co było dalej?

– Trochę to trwało. Krew najpierw tryskała, potem kapała, w końcu przestała. „Spójrz mu znów w oczy”, polecił. Spojrzałam. – Sarah zamknęła oczy. – Dean odszedł. Zniknął. – Umilkła, wspominając te chwile. – Podniósł Deana z wanny i położył go na wykładzinie.

Dłuższe milczenie.

– A potem? – naciskam.

– Wiem, co sobie myślisz – szepcze.

W jej głosie słysząc nienawiść do samej siebie, nie może spojrzeć mi w oczy.

– Co, Sarah? Co sobie myślę?

– Jak można tak po prostu stać i patrzeć na to, co robił, nie próbując

nawet uciec?

– Spójrz na mnie – mówię to mocniejszym głosem i zmuszam ją, by na mnie popatrzyła. – Nie myślałam tak. Wiem, że był szybki. Że miał nóż. Na pewno czułaś, że nie dasz rady uciec.

Krzywi twarz. Przeszywają ją dreszcze, fala dreszczy, od głów aż do stóp, cała się trzęsie.

– To prawda, ale... to nie jedyny powód. Znów nie może mi spojrzeć w oczy.

– A jaki jest ten inny powód? – pytam łagodnym głosem.

Wzdryga się ze smutkiem.

– Wiedziałam, że mnie nie zabije. Wiedziałam, że jeśli będę tylko stać i patrzeć, i wykonywać jego polecenia, nie próbując uciekać, nie zrobi mi krzywdy. Bo właśnie tego chce. Żebym żyła i cierpiała.

– Moim zdaniem, a mówię z doświadczenia – odzywam się po chwili ostrożnie – lepiej żyć i cierpieć, niż umrzeć.

Mierzy mnie wzrokiem.

– Tak myślisz?

– Tak. – Wskazuję na moje blizny. – Muszę na nie patrzeć codziennie i pamiętam, co znaczą. To boli. Ale mimo wszystko uważam, że lepiej jest żyć.

Gorzki uśmiech.

– Mogłabyś zmienić zdanie, gdybyś musiała przechodzić przez to co kilka lat.

– A może i nie – mówię. – Najważniejsze jest to, że nadal żyjesz. Widzę, że się nad tym zastanawia. Nie wiem, jak to oceni. – A potem – ciągnie swoją opowieść – stał przez minutę nad Laurel. Po prostu na nią

patrzył. Nie ruszała się, nawet nie mrugnęła... ale płakała.

– Sarah kręci głową z przerażoną miną. – Z kącika każdego oka ciekła jej strużka łez. Obcy uśmiechał się do niej, ale nie był to miły uśmiech. Nie wyśmiewał się z niej, o nie. Wydawało się wręcz, że jest mu smutno. Pochylił się i zamknął jej palcami oczy.

Do tej pory nie wiedzieliśmy, że zamykał im oczy przed śmiercią. To potwierdza moje przekonanie, że chodzi mu głównie o mężczyzn. Zamknął Laurel oczy, bo nie chciał, żeby widziała, co się zbliża.

Wielkie mi co... i tak ją zabił.

Na razie odkładam te myśli na bok.

– I co dalej? – pytam.

Sarah odwraca wzrok. Twarz jej się zmienia, podobnie jak głos, który staje się drewniany, mechaniczny. Słowa brzmią jak staccato.

– Wstał. Podniósł ją, posadził w wannie. Podciął gardło. Wykrwawił, położył ją na wykładzinie. – Próbuje szybko przewinąć te wspomnienia. Dopiero po chwili rozumiem dlaczego.

– Byłaś związana z Laurel silniej niż z Deanem, prawda? – pytam cicho.

Nie płacze, ale przez chwilę mocno zaciska oczy.

– Była dla mnie miła.

– Przykro mi, Sarah. Co się potem stało?

– Kazał mi pomóc przenieść ciała do sypialni. Tak naprawdę nie potrzebował mojej pomocy. Chciał chyba tylko mnie czymś zająć, żebym nie uciekła. Najpierw przenieśliśmy Deana, potem Laurel. On brał ich pod ramiona, a ja za nogi. Byli tacy bladzi. Nigdy nie widziałam nikogo tak białego. Jak mleko. Ułożyliśmy ich na łóżku.

Milknie.

– Co się stało, Sarah?

Widzę ten sam rodzaj pustki, który widziałam wczoraj wieczorem. Jest w niej coś z dziewczyny siedzącej na oknie z pistoletem przy głowie, nucącej monotonie.

– W kieszeni miał długi skórzany futerał. Otworzył go i wyjął skalpel. Podał mi go i pokazał mi... pokazał mi... pokazał mi... jak ich rozciąć. „Od gardła do pasa”, mówił. „Jednym cięciem, bez wahania. Pozwalam ci to zrobić, Sarah. Pozwalam ci ujawnić, jacy są naprawdę w środku”.

– Oczy zachodzą jej lekko mgłą. – Czułam się, jakby mnie tam nie było. Jakbym nie była sobą. Pamiętam tylko, jak myślałam: Zrób, co musisz, żeby przeżyć. Myślałam o tym cały czas, kiedy brałam skalpel, podchodziłam do Laurel i rozcinałam ją, potem do Deana i rozcinałam jego, i rozchyliłam im skórę, jak kazał mi Obcy, i były tam mięśnie, więc kazał mi je też przeciąć i rozsunać, widziałam kości i wnętrzności, kazał mi włożyć ręce do środka i ciągnąć, ciągnąć, ciągnąć, to było jak gumowa galareta, mokre i śmierdziało, a potem... – Pochyliła głowę. – Było już po wszystkim.

Słowa płynęły z niej bez przerwy. Wypłynęły z niej i zalały mnie jak ściek, jak rzeka śmierci, jak fala horroru. Mam ochotę wstać, uciec i nigdy już nie słyszeć i nie myśleć o Sarah.

Ale nie możesz. Ona ma jeszcze coś do powiedzenia.

Patrzę na Sarah. Wpatruje się w swoje ręce.

– Rób, co musisz, żeby przeżyć, tak sobie powtarzałam w myślach – szepcze. – On tylko się uśmiechał i wszystko nagrywał. Rób, co musisz, żeby przeżyć. Żeby przeżyć.

– Chcesz przerwać? – pytam.

Odwraca się do mnie rozkojarzona, ale zmieszana.

– Co?

– Chcesz na chwilę przerwać?

Patrzy na mnie. Najwyraźniej wraca do siebie. Zaciska usta i kręci głową.

– Nie. Chcę to mieć już za sobą.

– Na pewno?

– Tak.

Może tak, może nie. Ale muszę usłyszeć resztę opowieści, a ona chyba musi to wyrzucić z siebie.

– Dobrze. Co było dalej?

Pociera twarz rękoma.

– Kazał mi pójść ze sobą na dół. Poszłam za nim do bawialni. Był tam Michael, siedział na kanapie, nago. On też był sparaliżowany. Obcy roześmiał się i poklepał Michaela po głowie. „Ech, te chłopaki. Ale przecież wiedziałaś o tym, co, Mała Cierpiętniczo? Michael to niezły urwis. Kiedy ty klęczałaś przed nim, on wszystko nagrywał. W czasie jednej z poprzednich wypraw rekonesansowych znalazłem te nagrania. Ale nie martw się, zabieram je ze sobą. To może być nasz mały sekret”. Ściągnął Michaela z kanapy i przesunął po wykładzinie. – Sarah marszczy brwi. – Wciąż miałam skalpel. Nie zabrał mi go. Jakby miał pewność, że niczego nie będę próbować. – Zrezygnowana wzrusza ramionami. – Nic to. Podciągnął Michaela do mnie i powiedział, że teraz moja kolej. „No ruszaj”, powiedział. „Widziałaś, jak to robiłem na górze. Od ucha do ucha, wielki czerwony uśmiech”. Powiedziałam nie. – Kręci głową w geście

rozpaczy. – Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Jakby to coś mogło zmienić. – Uśmiecha się z bólem, wykrzywia twarz z nienawiścią do samej siebie. – W końcu przecież i tak można się po mnie spodziewać jednego: zrobię wszystko, żeby przeżyć. „Zrób to”, powiedział. „Albo odetnę ci sutki i nakarmię cię nimi”. – Przerywa i spogląda w dół. – Oczywiście zrobiłam to – mówi cichutko. Patrzy na mnie, bojąc się, co mogę pomyśleć. – Nie chciałam, żeby umarł – mówi drżącym głosem. – Chociaż mnie szantażował, zmuszał do seksu i w ogóle, ale nie chciałam, żeby umarł. Biorę ją za rękę.

– Wiem, że nie chciałaś.

Nie wrywa ręki przez dłuższą chwilę.

– Boże. Michael krwawił i krwawił, i krwawił. Boże. A potem Obcy pomógł mi zanieść jego ciało na górę. Położył je na łóżku między Deanem i Laurel. „To nie twoja wina”, powiedział. Myślałam, że mówi do mnie, ale uświadomiłam sobie, że to było do Michaela. Bałam się, że będzie mi kazał i jego rozciąć, ale tak się nie stało. – Przerywa. – Zaczęłam się wściekać. Chyba to zauważył i pomyślał, że mogę coś jednak zrobić, bo kazał mi rzucić skalpel. Naprawdę myślałam, żeby spróbować go dźgnąć, naprawdę. Ale w końcu zrobiłam, co mi kazał.

– I jesteś tu cała i żywa – mówię, dodając jej otuchy.

– Tak. – Znów ten zmęczony głos.

– Co się stało dalej?

– Kazał mi pójść ze sobą do łazienki. Podszedł do wanny i zanurzył rękę w krwi. Zaczął nią na mnie chlapać, mówiąc: „W imię Ojca i córki, i Ducha Świętego”. Ochlapał mi twarz i inne części ciała.

Krople krwi, które widziałam wczoraj wieczorem, myślę.

– Dokładnie tak powiedział? „W imię Ojca i córki i Ducha Świętego”.

Nie „W imię Ojca i Syna”?

– Tak powiedział. – Mów dalej.

– Potem zauważył, że czas wziąć się do roboty. Powiedział, że musi coś pokazać. Zdjął ubranie.

– Zauważyłaś coś szczególnego? – pytam. – Jakieś znamiona, blizny, cokolwiek?

– Tatuaż. Na prawym udzie, gdzie go nie było widać, dopóki się nie rozebrał do naga.

– Jaki tatuaż?

– Anioła. Ale nie takiego miłego. Anioła ze złą twarzą i ognistym mieczem. Trochę przerażający.

Może anioł zemsty? Czy tak sam siebie postrzega, czy to tylko symbol tego, co robi?

– Gdybym poprosiła rysownika, opisałabyś mu ten tatuaż?

– Jasne.

Nie sądzę, żeby zabójca zadowolił się jakimś gotowym wzorem. Na pewno zamówił tatuaż specjalnie dla siebie, według dokładnych wytycznych. Niewykluczone, że uda nam się odnaleźć autora.

– Co jeszcze?

– Kiedy zobaczyłam go nago, przekonałam się, że goli się cały. Pod pachami, na klatce piersiowej, na nogach, na penisie, wszędzie.

To dość częste u inteligentnych, zrównoważonych sprawców. Większość uczy się podstaw kryminologii i robi wszystko, żeby zostawiać jak najmniej śladów. Seryjni gwałciciele cały czas się golą.

– A pieprzyki? Blizny?

– Tylko tatuaż.

– Świetnie, Sarah. Kiedy go znajdziemy, w ten sposób będziemy go mogli przygwoździć.

– Dobrze. – Wygląda na wyczerpaną.

– Zdjął ubranie. I co potem?

– Był twardy.

– Czyli miał erekcję?

– Tak.

Przygryzam dolną wargę i zadaję pytanie, którego się boję.

– Czy... dotykał cię?

– Nie. Nie pieprzył mnie ani nie próbował.

– Co zrobił potem?

– Wyjął z tylnej kieszeni spodni dwie pary kajdanek. „Muszę cię teraz skuć”, powiedział. „Żebyś mógł dokończyć swoją pracę i nie martwić się, że uciekniesz”. Skuł mi ręce na plecach, a potem kostki. Zaniósł mnie do sypialni i posadził na podłodze. Nie walczyłam.

– Mów dalej.

– Zszedł na dół i wrócił z dużym garnkiem.

– Do gotowania?

– Tak. Napełnił go krwią z wanny i... – Wzrusza ramionami. – Widziałaś sypialnię.

Urządził sobie imprezkę. Ochlapał ściany, mazał palcem piekielne esy-floresy.

– Jak długo to trwało?

– Nie mam pojęcia – mówi beznamiętnie. – Pamiętam tylko, że kiedy skończył, krew była wszędzie, był nią cały umazany. – Krzywi się. –

Boże, jaki on był dumny! Skończył i stanął przed oknem, by przez chwilę wyglądać na dwór. „Piękny dzień”, powiedział. „Po prostu boski”. Podniósł okno i stał tak, nagi i wymazany krwią.

– Potem poszedł popływać, tak?

Kiwa głową.

– Zostawił mnie tam, zostawił w pokoju, a kilka minut później usłyszałam, jak chłapie się w basenie. – Patrzy na mnie. – Zaczęło mi się wtedy kręcić w głowie. Co chwila mdlałam. Omal nie oszalałam.

To zrozumiałe.

– Nieważne. – Wzdycha. – Nie wiem, ile czasu minęło. Pamiętam tylko, że tam leżałam i czułam się, jakbym zasnęła, a potem się obudziła, ale tak naprawdę nie zasnęłam... nie wiem sama. Czułam się, jakbym raz za razem mdlała. Kiedy za którymś razem się obudziłam, on wrócił. – Wzdryga się. – Znów był czysty, bez śladu krwi. Patrzył na mnie z góry. Znów zemdlałam. Kiedy się ocknęłam, byłam na dole, a on już się ubrał. W rękach miał ten sam garnek. „Trochę tutaj”, mówił. I przechylił garnek, wylewając nieco krwi na wykładzinę w bawialni. „I trochę tutaj”, powiedział znów i wyszedł na podwórko, żeby wylać resztę krwi do basenu.

– Wiesz, dlaczego to zrobił? – pytam.

Znów patrzy tym twardym wzrokiem starszej kobiety.

– Chyba... chyba tak mu pasowało. Jakby malował. Plama na wykładzinie, woda w basenie musiały być bardziej czerwone, żeby było dobrze.

Patrzę na nią przez chwilę i przetykam ślinę.

– Może i tak. Co się działo potem?

– Usiadł przede mną z kamerą. „Byłaś już niejednym, Mała Cierpiętnico. Sierotą kłamczucha kurwą. Moim aniołem bólu. Teraz zostałam morderczynią. Zabiłaś właśnie człowieka. Zastanów się nad tym przez chwilę”. Zamilkł i tylko nagrywał moją twarz kamerą. Nie wiem, ile to mogło trwać. Czułam się, jakby mnie tam nie było. Otworzył kajdanki i powiedział, że wychodzi. „Prawie skończyliśmy, Sarah. Jesteśmy prawie u celu podróży. Chcę, abyś pamiętała, że to nie twoja wina, lecz twój ból to moja sprawiedliwość”. I potem zniknął. – Patrzy na mnie. – Potem znowu mdlałam i się budziłam. Wszystko pociemniało. A potem już rozmawiałam z tobą w sypialni.

– Nie pamiętasz, jak prosiłaś o rozmowę ze mną? – Przekrzywiam głowę. – Dlaczego to zrobiłaś?

Mierzy mnie uważnym wzrokiem i przez chwilę przypomina mi Bonnie.

– Od kiedy skończyłam sześć lat, w moim życiu pojawia się facet i zabiera mi wszystko i wszystkich, których kocham. I nikt nie wierzy, że on istnieje. – Omiata wzrokiem moją twarz, przemyka po bliznach. – Czytałam o tym, co ci się zdarzyło, i pomyślałam: może ona mi uwierzy. Zrozumiałam, że wiesz, jak to jest. Stracić wszystko, pamiętać o tym codziennie. Zastanawiać się, czy nie lepiej było umrzeć. – Przerywa. – Kilka miesięcy temu kupiłam pamiętnik i wszystko spisałam. Każde ohydztwo. Zamierzałam się jakoś z tobą skontaktować i dać ci te zapiski. – Wzrusza lekko ramionami. – I chyba się udało.

Uśmiecham się.

– Chyba się udało. – Przygryzam dolną wargę. – Sarah, to, co ci powiedział... o tym, że jesteś morderczynią... wiesz, że to nieprawda?

Zaczyna drżeć. Drżenie przechodzi w dreszcze wstrząsające całym ciałem. Oczy ma szeroko otwarte, bladą twarz, białe zaciśnięte usta.

– Barry... zawołaj pielęgniarkę! – mówię zaniepokojona.

– N... n... nie! – mówi Sarah.

Patrzę na nią. Kręci głową, żeby potwierdzić swoje słowa i zaciska ręce na piersiach. Kiwa się w przód i w tył. Patrzę na nią, gotowa przywołać pielęgniarkę. Mija pół minuty, wstrząsy znów przechodzą w drżenie, a drżenie w końcu zamiera. Na twarz wracają kolory.

– Wszystko w porządku? – zadaję idiotyczne pytanie. To dowód mojej bezradności.

Odsuwa kosmyk włosów z czoła.

– Czasami to się zdarza – mówi zaskakująco czystym głosem. – Pojawia się znikąd jak napad. – Odwraca gwałtownie głowę i patrzy mi w oczy. Jestem zaskoczona wyrazistością i siłą jej spojrzenia. – To już prawie koniec, rozumiesz. O to chodziło. Albo go znajdziecie i powstrzymacie, albo zniszczę coś, na czym najbardziej mu zależy.

– Co?

Patrzy na mnie twardym, ale przerażonym wzrokiem. Harda, ale zagubiona.

– Siebie. Przede wszystkim chce mnie. Więc jeśli go nie potraficie złapać, skończę ze sobą na dobre. Słyszysz mnie?

Odwraca się do okna, z powrotem do słońca. Mogłabym się z nią kłócić, protestować, ale uświadamiam sobie, że na razie od nas odeszła.

– Tak – odpowiadam cicho. – Słyszę.

– I co o tym wszystkim myślisz? – pyta Barry.

Jesteśmy już na parkingu przed szpitalem. Barry pali, a ja żałuję, że nie mogę zrobić tego samego.

– Uważam, że to koszmarna, koszmarna historia.

– Jasne, że tak – mruży. – Pod warunkiem że mówi prawdę.

– A tobie jak się wydaje?

– Słyszałem już niejedną bajkę. Widziałem, jak ludzie kłamią. Tu nie miałem takiego poczucia.

– Zgadza się.

– Co sądzisz o groźbie samobójstwa?

– Jest prawdziwa.

Mówię tylko tyle, nie muszę dodawać więcej. Widzę, że Barry przyznaje mi rację.

– A o tym facecie?

– Nadal nie wszystko rozumiem. Zemsta to niemal pewny motyw. I jest ona dla niego wszystkim. Gotów był sam nie okaleczać ciała, by móc do tego zmusić Sarah. Jej cierpienie jest dla niego ważniejsze, bardziej pozwala mu się spełnić niż własnoręczne rozcinanie zwłok.

– Ale zabijał sam – zauważa Barry.

– Poza chłopakiem. I znów wystarczyło mu zmuszenie jej do tego, patrzenie na jej cierpienie. Ale morderstwo, dokonane jej ręką, doprowadziło go do erekcji. Zabawa krwią to rytuał, kwestia seksualna. Obserwowanie jej wyglądało na coś bardziej intelektualnego. – Pocieram twarz rękoma, próbuję wrócić do normalności. – Przepraszam, nie za bardzo jestem w stanie pomóc.

– Spokojnie, pracowaliśmy już nie raz. Tak to działa.

Ma rację, tak to działa. Obserwuję, obserwuję, obserwuję, myślę,

kojarzę, czuję i jeszcze raz wszystko od nowa, aż z mgły zaczyna wyłaniać się coraz wyraźniej sylwetka zabójcy. To wszystko chaotyczne, poplątane i pełne sprzeczności, ale tak to działa.

– Możesz przysłać tu rysownika? – pytam. – Tatuaż pewnie będzie niepowtarzalny, jedyny.

– Dopilnuję tego.

– Skontaktuję się z Callie i zobaczę, co uzyskali u Vargasa. Poproszę, żeby zadzwoniła do ciebie i opowiedziała wszystko i tobie. Jeśli badanie kryminologiczne nie przyniesie wielkiego przełomu, to najlepiej będzie zacząć grzebać w przeszłości ich wszystkich, ze szczególnym uwzględnieniem Vargasa. Tu leży odpowiedź. Zważywszy na motyw zemsty i sposób, w jaki traktuje zwłoki dzieci, zainteresowałabym się wątkiem przemytu.

– W takim razie to coś dla ciebie.

– Dlaczego?

– O ile wiem, handel żywym towarem to przestępstwo federalne. Coś dla FBI.

– Coś takiego tutaj?

– Witamy w słonecznej Kalifornii. Ale ja zacznę od grzebania w życiorysach Kingsleyów. I Sarah. Sprawdzę, czy jej rodzice naprawdę zostali zamordowani. Aha, i dowiem się, co ustalił patolog. Cholera, kupa roboty.

– Poproszę Callie, żeby przesłała ci wydruk pamiętnika.

Stoimy oboje zamyśleni. Zastanawiamy się, czy wszystko ustaliliśmy.

– To chyba tyle – mówi Barry. – Odezwę się niedługo.

– Kochaniutka, to mieszkanie to jakiś obrzydliwy chlew.

– Wiem. Co znaleźliście?

– Hm, od czego by tu zacząć? Sposób zabójstwa taki sam jak u Kingsleyów. Podcięte gardła, wykrwawienie do wanny w łazience. Vargas został pozbawiony trzewi. Ale tu nie było niepewnych cięć.

Opowiadam jej, co usłyszałam od Sarah.

– Zmusił ją, żeby ich rozcięła?

– Tak.

Cisza.

– To by wyjaśniało sprawę. Idźmy dalej. Młoda panna, jak widziałas, nie została okaleczona. Nie znamy jeszcze jej tożsamości, ale wiemy, że była młoda. Moim zdaniem między trzynaście a piętnaście lat. Znaleźliśmy tatuaż krzyża z napisem cyrylicą biegnącym pod spodem, który można przetłumaczyć: „Dziękujcie Bogu, bo Bóg jest miłością”.

– Trochę to dziwne, by Amerykanka miała tatuaż cyrylicą. Musi być albo z Rosji, albo z tutejszej społeczności rosyjskiej. To jedyne sensowne wytłumaczenie.

Rosyjska mafia stała się dużym graczem w przemyśle ludzi, w tym nieletnich prostytutek.

– Blizny na stopach są bardzo podobne do tych, które widzieliśmy na odciskach stóp zebranych u Kingsleyów, tyle że jest ich zdecydowanie mniej. Wyglądają też na stosunkowo świeże. Patolog ocenił, na podstawie koloru i stopnia zagojenia, że mogą być sprzed pół roku.

– Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz? Zarówno ona, jak i sprawca mają takie same blizny.

– Nie, bo nie wierzę, że to zbieg okoliczności. Wszystkie odciski, jakie

zebraliśmy, odpowiadają odciskom dwóch ofiar. Mamy tony włosów i tkanek. Mamy też mnóstwo plam z nasienia, ale są zbyt stare i suche. Wiesz, łuszczą się.

– Dziękuję za ten szczegółowy opis.

– Na komputer tylko rzuciłam okiem, ale widziałam w nim pocztę i sporo dokumentów, i jeszcze więcej pornosów. Mnóstwo pornosów. Zabieram komputer do firmy, żeby go dokładnie przejrzeć. Mówiłam już, że jest tam mnóstwo pornosów? Vargas nie był wcale miłym człowiekiem.

– Czy zabójca bawił się ich krwią?

– Jeśli pytasz, czy urządził sobie sesję malowania palcem, to nie.

Pozwolił, by Kingsleyów okaleczyła Sarah. Może malowanie krwią było substytutem. Jakąś nagrodą pocieszenia. – A co z pamiętnikiem?

– Jadę do firmy. Wydrukuję go tam.

– Zadzwoń do mnie, jak już skończysz.

Łapię Jamesa na komórce.

– Czego chcesz? – pyta.

Takie powitanie przestało mnie już dziwić. To cały James, czwarty i ostatni członek mojego zespołu. Odstaje od reszty jak czarna owca. Jest irytujący, nie lubiany i wkurzający. Za jego plecami nazywamy go Damien, od postaci z filmu *Omen*, syna Szatana.

James jest w moim zespole, bo jest błyskotliwy. Jego intelekt oślepia. Jako piętnastolatek skończył liceum z doskonałymi wynikami. Jako dwudziestolatek zdał zrobić doktorat z kryminologii, a rok później wstąpił do FBI. Dążył do tego, od kiedy skończył dwanaście lat.

James miał starszą siostrę Rose. Rosa zmarła, kiedy James miał

dwanaście lat, zginęła z rąk seryjnego zbrojcy z pochodnią i uśmiechem na ustach. James pomógł matce pochować Rose i postanowił nad jej grobem, czemu poświęci resztę życia.

Nie wiem, co poza pracą napędza Jamesa. Nie wiem nic o jego życiu osobistym, jeśli w ogóle jakieś ma. Nie poznałam jego matki. Nie wiem, czy chodzi do kina. Kiedy jadę z nim samochodem jako pasażer, zawsze wyłącza radio. Woli ciszę niż piosenki.

Jeśli chodzi o uczucia innych, zupełnie się nimi nie przejmuje. Potrafi przeskakiwać do jawnej wrogości czy bezmyślności oddającej w stopniu najwyższym stosunek: „Nie muszę wiedzieć, jak się czujesz, i w ostatecznej analizie tak naprawdę, naprawdę mam to gdzieś”.

Ale jest błyskotliwy. Błyszczący niewątpliwie jak łuk świetlny. Ma też jeszcze jedną umiejętność, którą dzieli ze mną. To nas wiąże, choć raczej mimowolnie. Potrafi zajrzeć w umysł mordercy i nawet nie mrugnie. Potrafi spojrzeć złu prosto w twarz, a potem wziąć lupę, by lepiej się przyjrzeć.

W takich wypadkach jest nieocenionym współpracownikiem i oboje płyniemy jak łódzie i woda, jak rzeki i deszcz.

– Jest sprawa – mówię.

Streszczam mu wszystko.

– A co to ma wspólnego z moją niedzielą? – pyta.

– Callie jeszcze dzisiaj prześle ci kurierem pamiętnik.

– I?

– I chcę, żebyś go przeczytał – rzucam poirytowana. – Ja zrobię to samo. Kiedy skończymy, porównamy notatki.

Długa przerwa, po której następuje westchnienie, bardzo niechętnie.

– Dobrze.

Odkłada słuchawkę bez jednego słowa. Patrę przez chwilę na telefon, po czym kręcę głową, dziwiąc się, dlaczego jestem zaskoczona.

Jak się masz, kochanie? – pytam Bonnie.

Na parkingu doszłam do wniosku, że wszystko się kręci, najważniejsze sprawy zostały załatwione, co oznacza, że przez chwilę mogę być mamą. Tego trzeba się nauczyć w służbach śledczych: jak znaleźć czas. Sprawy, za które odpowiadamy, są ważne. To kwestie – dosłownie – życia i śmierci. Mimo to czasami trzeba zjeść kolację w domu.

Siedzimy w salonie u Alana i Elainy. Alan kręci się przy swoich sprawach. Opisałam mu ogólnie to, czego się dowiedziałam, ale nie mam na razie dla niego zadania. Elaina w kuchni przygotowuje coś do picia. Bonnie i ja, na kanapie, patrzymy na siebie ot tak, bez szczególnego powodu.

Uśmiecha się i kiwa głową.

Dobrze, mówi.

– Miło mi to słyszeć.

Wskazuje na mnie.

– Jak ja się czuję?

Przytakuje.

– Dobrze.

Marszczy brwi. *Nie kłam.*

Uśmiecham się.

– Kochanie, powinnam mieć prawo do pewnych tajemnic. Rodzice nie muszą mówić dzieciom wszystkiego.

Wzrusza ramionami. Nieznaczny ruch o konkretnym znaczeniu: *Cóż*,

mamy różne zdania.

Bonnie wygląda na dziesięć lat, ale to mylące. Częściej czuję się, jakbym mieszkała z nastolatką, a nie małą dziewczynką. Kiedyś uważałam, że to z powodu tego, co przeszła. Teraz wiem więcej.

Bonnie jest utalentowana. Nie jak dziecko geniusz, ale potrafi się skupić, obserwować, rozumieć. Kiedy coś ją pochłonie, zgłębia to aż do podszewki, bada na różnych poziomach.

Kilka miesięcy temu zaczęłam się niepokoić kwestią jej wykształcenia. Dała mi do zrozumienia, że nie powinnam się martwić. Że wróci do szkoły i wszystko nadrobi. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do bawialni. Matt i ja zgromadziliśmy tam sporą biblioteczkę. Wierzyliśmy oboje, że należy czytać, wierzyliśmy w moc książek. Zamierzaliśmy przekazać tę miłość i naukę Aleksie. Zapłaciliśmy stolarzowi, by zamontował nam półki na całą ścianę i nie pozbywaliśmy się żadnej książki, którą przeczytaliśmy.

Matt i ja co miesiąc poświęcaliśmy przynajmniej godzinę, żeby wybrać kolejne tomy do naszego zbioru. Szekspir. Mark Twain. Nietzsche. Platon. Kiedy tylko przypominaliśmy sobie o czymś, co warto mieć, kupowaliśmy to i wstawialiśmy na półkę.

To była po części kolekcja, po części robocza biblioteka. Nic na pokaz. Taką przyjęliśmy zasadę – nigdy nie kupuj książki, by zyskać uznanie u innych.

Matt i ja nie byliśmy biedni, choć nie należeliśmy też do krezusów. Nie zapowiadało się, byśmy zostawili po sobie znaczny majątek. Liczyliśmy, że Alexa odziedziczy po nas spleacony dom, wspomnienia rodzicielskiej miłości, może trochę pieniędzy w banku. Chcieliśmy jej zostawić także coś niepowtarzalnego. Coś, co mogą przekazać dziecku tylko rodzice,

dziedzictwo serca. Ta biblioteka to właśnie takie dziedzictwo, drobny fragment dzieł zebranych ludzkości. Marzyliśmy o tym wspólnie z Mattem. Mogliśmy to zrobić, mimo że nie byliśmy bogaci.

Alexa przed śmiercią właśnie zaczynała się interesować tym pokojem. Od tamtego czasu niczego tu nie dołożyłam. Miałam sen, że budzę się i widzę, jak biblioteka płonie, a książki strzelają w płomieniach.

Bonnie zaciągnęła mnie do tego zapomnianego (omijanego) miejsca. Wyciągnęła jedną z książek i podała mi. *Nauka szkicowania* jakiegoś nieznanego, ale najwyraźniej utalentowanego autora. Wskazała na siebie. Dopiero po chwili zrozumiałam, co mówi.

– Czytałaś to?

Uśmiechnęła się i skinęła głową, zadowolona, że rozumiem. Chwyliła kolejną książkę, *Podstawy akwareli*. I następną – *Sztuka i krajobrazy*.

– Wszystkie czytałaś? – zapytałam.

Potwierdziła.

Wskazała na siebie, udała zamyślenie, a potem przeniosła rękę w kierunku biblioteki.

Patrzyłam na nią, zastanawiając się. W końcu zrozumiałam.

– Mówisz, że kiedy chcesz się o czymś dowiedzieć, przychodzisz tu i czytasz o tym książkę?

Skinienie i wielki uśmiech.

Umiem czytać i uczyć się, i ciągnie mnie do tych rzeczy, mówiła mi. *Czy to nie wystarczy?*

Nie byłam pewna, czy wystarczy. W końcu szkoła to nie tylko czytanie. Z tym, rzecz jasna, radziła sobie nieźle. Ale co z pisaniem i innymi umiejętnościami? Poza tym jest jeszcze kwestia życia w społeczności,

wśród rówieśników, z chłopcami, którym czasami trzeba powiedzieć „nie”. To skomplikowany taniec, nauka, jak dzielić świat z innymi ludźmi.

Wszystkie te myśli przemknęły mi wtedy przez głowę. To, że Bonnie czytała książki o sztuce i malarstwie, a także regularnie malowała – z powodzeniem – do pewnego stopnia mnie uspokoiło, wyciszyło moje obawy i pozwoliło mi odsunąć rozwiązanie problemu na później.

– Dobrze, kochanie – powiedziałam. – Na razie niech tak będzie.

Jej duchowa głębia przejawiała się także na inne sposoby, nie tylko w malowaniu. Również w zdolności słuchania z pełną uwagą i nieprawdopodobną wręcz cierpliwością. Zupełnie jak dorosły człowiek docierała do jądra spraw emocjonalnych.

Pod wieloma względami była dzieckiem, to prawda, ale niekiedy wydawała się znacznie bardziej spostrzegawcza niż ja.

Wzdycham.

– Widziałam się dziś z dziewczynką o imieniu Sarah.

Przekazuję jej skróconą wersję historii Sarah. Nie mówię o tym, że Michael zmuszał ją do seksu, nie przytaczam szczegółów śmierci Kingsleyów. Ale ujawniam to, co ważne, że Sarah jest sierotą, że prześladowuje ją ktoś, kogo nazywa Obcym, że jest młodą kobietą, która dotarła do szczytu rozpacz i gotowa jest rzucić się w przepaść, w ciemność, na zawsze.

Bonnie słucha z zainteresowaniem i ogromną uwagą. Kiedy kończę, odwraca wzrok, głęboko się zamyśla. Potem znów odwraca się do mnie, wskazuje na siebie, potem na mnie i kiwa głową. Po chwili nawiązujemy naszą telepatyczną nić zrozumienia.

– Mówisz, że ona jest taka jak my.

Kiwa głową, waha się, po czym zdecydowanie pokazuje na siebie.

– Bardziej jak ty – odpowiadam, zrozumiawszy.

Skinienie.

Wpatruję się w nią.

– To dlatego, że widziała, jak mordowano ludzi, na których jej zależało, kochanie? Tak jak ty widziałaś, jak zabijano twoją mamę?

Kiwa głową, a potem nią kręci. *Tak*, mówi. *Ale nie tylko*. Przygryza dolną wargę i zamyśla się. Spogląda na mnie, wskazuje na siebie, a potem wykonuje ruch odrzucenia.

– Jest taka jak ty, ale nie ma mnie.

Kiwa głową ze smutkiem na twarzy.

– Samotna.

Skinienie.

Nasze porozumiewanie się przypomina trochę pismo obrazkowe. Nie wszystko jest dosłowne. Dużą rolę odgrywa symbolika. Bonnie nie mówi, że Sarah i ona są takie same. Sarah to młoda dziewczyna, która straciła wszystko i wszystkich najbliższych. Na dodatek – i tu kończy się podobieństwo – jest sama na świecie. Bonnie mówi: *ona jest tym, kim mogłabym być ja, gdyby nie Smoky, gdybym mieszkała u przybranych rodzin i żyła wspomnieniami umierającej mamy*.

Przełykam ślinę.

– Tak, kochanie. To trafny opis.

Bonnie ma własne blizny. Nie mówi. Wciąż czasami dręczą ją koszmary, od których krzyczy przez sen.

Ale nie jest sama.

Ma mnie, a ja mam ją, i to zmienia wszystko.

Patrzę teraz na Sarah o wiele przenikliwiej: Sarah krzyczała w nocy, ale nie było nikogo, kto wziąłby ją w ramiona, kiedy się budziła. I to od bardzo dawna.

Takie życie może sprawić, że człowiek otacza się czernią, myślę. Dlaczego nie? Wszystko jest mrokiem, najlepiej o tym nie zapominać, najlepiej nie oddawać się złudnej nadziei.

Brzęczenie szklanek wyrywa mnie z zamyślenia. Wróciła Elaina z napojami.

– Dla was sok pomarańczowy, dla mnie woda – mówi z uśmiechem i siada.

– Dziękuję – odpowiadam, a Bonnie kiwa głową.

Popijamy sok.

– Słyszałam, co opowiadałaś Bonnie – odzywa się po chwili Elaina. – O tej dziewczynce, o Sarah. Straszne rzeczy.

– Jest w kiepskim stanie.

– Co z nią teraz będzie?

– Podejrzewam, że kiedy wyjdzie ze szpitala, trafi do domu opieki. A potem, to zależy. Ma szesnaście lat. Albo wyślą ją do sierocińca, albo do przybranej rodziny, dopóki nie ukończy osiemnastu lat i nie stanie na własnych nogach.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Oczywiście.

– Porozmawiasz ze mną o tym? Zanim wypiszą ją ze szpitala?

W pierwszej chwili zaskoczyła mnie ta prośba, ale tylko w pierwszej. Przecież to Elaina. Jej cele widać jak na dłoni. Zwłaszcza kiedy przypominam sobie o tym, że też była sierotą.

– Elaina, to nie najlepszy pomysł, żebyś brała tę dziewczynkę do siebie. Poza oczywistymi sprawami gdzieś tam krąży psychol, który ma na jej punkcie bzika... jest naprawdę zmasakrowana psychicznie. Cierpi, to oczywiste, ale ten medal ma też drugą stronę. Ciemną. Nie wiemy, skąd pochodzi, czy nie bierze narkotyków, czy nie kradnie, czy... cokolwiek.

Elaina obdarza mnie jednym z tych swoich tolerancyjnych, pełnych miłości uśmiechów, który mówi: Kocham cię, ale jesteś głupiutka.

– Rozumiem twoje obawy, Smoky, ale to już sprawa moja i Alana.

– Ale...

Szybko kręci głową.

– Obiecuj mi, że zadzwonisz do mnie, nim ją wypuszczą.

Koniec rozmowy, gra skończona, daj sobie spokój, nie ma o czym mówić, i tak cię kocham. Uśmiecham się, nic nie mogę poradzić. Elaina zmusza ludzi do uśmiechu, po to przyszła na świat.

– Obiecuję.

Elaina opiekuje się Bonnie w dzień (a często i wieczorami). Wraz z Alanem stali się częścią rodziny Bonnie. Ten układ działa. Nie mieszkają daleko, nikomu bardziej nie ufam niż im, a Bonnie kocha ich oboje. Zmagam się z problemem milczenia Bonnie i wiem – wiem – że muszę wkrótce zająć się jej szkołą. Ale na razie ten układ się sprawdza.

Zgodzili się z radością i zrobili wszystko, by wyciszyć moje największe obawy, o nic nie pytając ani mnie nie wyśmiewając. Ich dom jest nafaszerowany alarmami (przypomina kaszę ze skwarkami, zupełnie jak u mnie), a Tommy założył im nawet prosty system monitorowania. I oczywiście jest też Alan, olbrzym z pistoletem, który czuwa nocą.

Mam u nich wielki dług.

– Obiecuję – powtarzam.

Wrócił Alan. Dał się ograć Bonnie w szachy. Elaina przygotowywała w kuchni dla nas późny obiad, a ja rozmawiałam przez telefon z Callie.

– Wydrukowałam wszystko, kochaniutka. Co teraz?

– Wydrukuj jeszcze sześć kopii. Po jednej dla Barry’ego, Jamesa, Alana, wicedyrektora Jonesa, Childa i dla siebie. Wyślij kopie dla Barry’ego, Jamesa, Childa i wicedyrektora Jonesa do nich do domu. Zadzwoń i powiem, że zjawi się u nich kurier. Chcę, żeby wszyscy to przeczytali. Kiedy przez to przebrniemy, porównamy notatki.

– Jasna sprawa. A co z kopią dla ciebie i Alana?

Patrzę w stronę kuchni i się uśmiecham.

– Jesteś głodna?

– A czy niedźwiedzie robią wielkie kupy w lasach? Czy Księżyc krąży dookoła Ziemi? Czy pierwiastek z liczby pierwszej...

– Dobra już. Przyjeżdżaj do nas.

Dzwonię do wicedyrektora Jonesa. Wykreśliłam jego domowy numer, żeby poinformować go o wszystkim. Jedna z pierwszych lekcji, którą otrzymuje się w biurokracji: nigdy nie pozwól, by szef o czymś nie wiedział.

– Chwileczkę – przerywa mi. – Jak brzmi nazwisko tego drugiego zamordowanego faceta?

– Jose Vargas.

Gwiżdże do słuchawki.

– Wiesz co, Smoky, wpadnij do mnie jutro – mówi.

– Dlaczego?

– Bo mogę ci opowiedzieć wszystko o Vargasie. Handel żywym towarem? Brałem udział w śledztwie.

– Żartuje pan?

Barry mówił, że była to sprawa federalna. Nie spodziewałam się, że wicedyrektor Jones się nią zajmował. Ale może to plus.

– Jak boniedydy, jak mówią dzieciaki. Wpadnij do mnie jutro.

– Tak jest.

– Dobrze. Zastanawiałaś się nad tym, o czym rozmawialiśmy?

– Chyba sobie pan żartuje?

– Trochę.

Krótką przerwę. Chyba czeka, żebym coś powiedziała, rozwinęła tę superlakoniczną odpowiedź. Ale milczę, a on odpuszcza.

– Chcę, żebyś regularnie mnie informowała o wszystkim. I chcę przeczytać ten pamiętnik.

– Za godzinę będzie u pana, dyrektorze.

Callie pojawiła się tuż po mojej rozmowie z wicedyrektorem Jonesem. Bonnie grała w szachy z Alanem, który uczył ją bardziej zaawansowanych posunięć. Callie usiadła przy Bonnie i zaczęły we dwie grać przeciwko Alanowi. Musiał walczyć, żeby utrzymać figury na szachownicy.

Podczas rewanżowej partii tego turnieju Elaina zaciągnęła mnie do kuchni w sposób stanowczy, ale delikatny.

– No i jak – odezwała się – dokończymy to, co zaczęliśmy w sobotę?
lforUtwo4me?

Kiedy zadaje mi to pytanie, właśnie wkładam krakersa do ust.

Zamieram w połowie ruchu. Kończę gryźć, przelkam kęs i czuję się winna. Unikam odpowiedzi, choć sama nie wiem czemu.

– Smoky – ruga mnie. Chwyta mnie za brodę i unosi moją twarz. – To ja.

Patrzę na nią, czekam, by część tej dobroci Elainy spłynęła na mnie. Czuję się jak w łonie, w ciepłe. Wzdycham.

– Wiem. Przepraszam. – Wzruszam ramionami. – Powiedzieć ci prawdę? Oczywiście, że skończymy. Ale kiedy? – Kręcę głową. – Jeszcze nie wiem.

– Rozumiem. Ale dasz mi znać?

– Tak – mamrocę, gryząc krakersa. Czuję się jak dziecko. – Oczywiście.

– Radzisz sobie doskonale, Smoky, a posprzątanie domu to był dobry pomysł. Zamierzam dopilnować, żebyś to skończyła. Tylko tyle.

Potem uśmiecha się, kompletnie łysa, uśmiechem, który sprawia, że niepotrzebne są już żadne słowa.

Jest wczesny wieczór, dzień ma się ku końcowi, a ziewanie Bonnie uświadamia mi, że czas iść do domu.

Zasiedziałam się dłużej, niż planowałam, ale tego potrzebowałam. Żartów Callie, udawanego gniewu Alana, kiedy Bonnie pokonała go w szachy, wszechobecnego ciepła Elainy i śmiechu Bonnie, śmiechu całym ciałem. Wszystko to przywróciło część tego, od czego zaczął się ten weekend: złudzenie normalnego życia.

Mogłabyś to wszystko rzucić? Powinnaś? Czy Quantico to właściwe rozwiązanie?

Cisza, mówię sama do siebie.

– Wracam do firmy – rzuca Callie od drzwi. – Poszperam trochę w komputerze Vargasa. Na pewno znajdę tam wiele obrzydliwych rzeczy.

– Nie siedź za długo – proszę. – Jutro bladym świtem spotykamy się w biurze.

Elaina i Alan zostają wyściskani, podobnie jak Callie. Najpierw przez Bonnie, a potem przeze mnie. Pracuję z moją rodziną, moja rodzina to moja praca, tak ułożyło mi się życie.

Tak bywa, kiedy bierze się ślub z bronią.

Jestem w zbyt dobrym nastroju, by dać się złapać na własną wędkę.

Poczytam sobie, kochanie – mówię do Bonnie. – Nie będzie ci to przeszkadzało?

Pytałam już o to wiele razy. Zawsze odpowiada, że nie. Mogłaby przespać bombardowanie, pod warunkiem że nie jest sama. Kręci głową, uśmiecha się i całuje mnie w policzek.

– Dobranoc, kochanie – rzucam i całuję ją.

Jeszcze jeden uśmiech i odwraca się ode mnie w stronę chłodnych cieni. Zostaję sama w małej plamie światła, żeby pomyśleć, a potem poczytać.

Przyniosłam ze sobą kartki z poprzedniego wieczoru. Dopisuję to, co już wiemy.

SPRAWCA:

Pod METODOLOGIA dodaję:

Przesłuchanie Sarah Langstrom potwierdza, że podawał ofiarom leki. Zmusił ją do rozcięcia trzewi dorosłym Kingsleyom i podcięcia gardła Michaelowi. (Zachowuje się wobec niej szczególnie. Dlaczego?)

Pod ZACHOWANIA notuję:

Pozbawienie trzewi to sposób na ujawnienie wewnętrznej

„prawdziwej natury” jego ofiar. To potwierdza teorię o zemście jako motywie.

Zamyka oczy kobietom przed śmiercią, mimo wszystko pozbawia je trzewi. Może zasłużyły sobie mniej, mimo to – w jego mniemaniu – sobie zasłużyły.

Sprawca twierdzi, że zabił jeszcze inne ofiary, w tym żonatego poetę i studenta filozofii.

Malowidła krwią to coś dziwnego. Niepotrzebny dodatek. Po co to zrobił? Żeby zrekompensować sobie, że to Sarah rozcinała ciała ofiar? Morderstwo powoduje u niego erekcję, ale nie widać śladów molestowania zwłok, nie ma tego również w opowieści Sarah.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że może skalpel zastępuje mu penisa. Rozcinanie może być dla niego aktem seksualnym.

Religijny ton. Słucha poleceń Boga?

Pod OPIS wpisuję:

Biały albo wygląda na białego.

Mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu.

Goli całe ciało.

Bardzo wysportowany, umięśniony. Doskonałe ciało. Ćwiczy na siłowni (element narcyzmu).

Klucz: tatuaż na prawym udzie przedstawiający anioła z ognistym mieczem. Prawdopodobnie sam go zaprojektował.

Notuję też uwagę o programie znalezionym w komputerze Michaela Kingsleya. Jeśli wgrał go tam sprawca, wszystko wskazuje, że ma doświadczenie techniczne albo dostęp do kogoś, kto je ma.

Zastanawiam się nad tatuażem z aniołem. Albo symbolizuje on jego działanie, albo jego samego. Wygląda na dość opanowanego, co mogłoby przemawiać za pierwszą opcją, ale zabawa z krwią to raczej objaw szaleństwa. To dziwne i niepokojące.

Czyżby zaczynała się faza dekompensacji?

Dekompensacja, mówiąc najprościej, to przechodzenie ze stanu ustabilizowanego do nieustabilizowanego. Nie dotyczy wszystkich seryjnych zabójców, ale stanowi powszechne zjawisko. Ted Bundy przez całe lata był ostrożnym, inteligentnym, charyzmatycznym zabójcą. Pod koniec „kariery” stracił kontrolę, co doprowadziło go w końcu za kratki.

Doktor Child, jeden z niewielu psychologów kryminalnych, których naprawdę szanuję, rozmawiał kiedyś o tym ze mną i przypominam sobie, co wtedy mówił.

– Uważam, że do pewnego stopnia wszyscy brutalni seryjni zabójcy są nienormalni – stwierdził. – Nie mówię o prawnej definicji niepoczytalności. Twierdzę, że czerpanie radości z mordowania innych istot ludzkich nie należy do kanonu zachowań zdrowego człowieka.

– Z tym się zgodzę – odpowiedziałam. – Można by rzec, winny z

powodu niepoczytalności.

– Właśnie. Seryjne morderstwa to zachowania wynikające ze stresu trwającego całe życie. To działanie, które przynosi kolejny stres. Wymaga paranoi, obsesji i co najważniejsze: jednostka nie jest w stanie tego kontrolować. Niezależnie od możliwych konsekwencji, i dużego prawdopodobieństwa schwytania, zabójca nie przestaje działać, nie może przestać. Niezdolność do powstrzymania się od jakiegoś zachowania, nawet gdy wiemy, że to zachowanie zniszczy nas samych, to jedna z form psychozy, prawda?

– Zgadza się.

– Dlatego właśnie moim zdaniem tylu seryjnych zabójców przechodzi dekompensację, i ci zrównoważeni, i ci niezrównoważeni, i ci mieszczący się gdzieś pośrodku. Presja, wewnętrzna, zewnętrzna, wyimaginowana, prawdziwa, narasta i w końcu rozsadza i tak już uszkodzony umysł. – Uśmiechnął się, ale nie było w tym ani odrobiny szczęścia. – Uważam, że w każdym z nich czai się to samo niepohamowane szaleństwo, tyle że stłumione, czekające na rozkwit. Wystarczy odpowiedni stres, by się ujawniło. – Westchnął. – Pamiętaj o jednym, Smoky, nie próbuj przyporządkowywać potworów według prostych schematów. Nie ma tu żadnych zasad, tylko wskazówki.

Tutaj rzecz w tym, że malowanie krwią jest bez znaczenia. Motyw zemsty ma sens i pomoże nam dotrzeć do niego. Ważne jest to, jak traktuje dzieci, i to też nas do niego doprowadzi. Tatuaż? Typowa sprawa dla kryminologów. Muszę skupić się na odszukaniu autora, a nie domyślać się jego znaczenia. Dociekanie, czy czuje się jak anioł, czy jest aniołem, to na razie tylko gimnastyka umysłowa.

Biorę kartkę z notatkami o Sarah. Poprawiam jej nazwisko.

Sarah Langstrom:

Mieszkała u Kingsleyów około roku.

I tu utykam.

Co jeszcze o niej wiemy?

Przychodzą mi do głowy dwie rzeczy. Zapisuję je, bo obie są prawdziwe, choć ani jedna z nich nie ma większego znaczenia.

Ma wolę przetrwania.

Traci zmysły. Ma skłonności samobójcze.

Przynajmniej tyle na początek.

Więcej jest jeszcze niewiadomych, ale nie szkodzi. Wszystko polega na stałym parciu do przodu. Patrzyć, obserwować, dedukować, zakładać, zdobywać dowody, zdobywać dowody, opracować portret psychologiczny. Mamy fizyczny opis sprawcy i podstawowe zrozumienie jego motywu. Mamy żyjącego świadka. Mamy odcisk stopy. Wiemy, że zabójca zbiera jako trofea nagrania wideo, a kiedy go złapiemy, kasety staną się gwoździem do jego trumny.

Mamy też pamiętnik Sarah, który muszę przeczytać, by zobaczyć, dokąd wiedzie. Ofiary są dla niego kluczowe i z tego, co widzę, ona jest jego ulubioną ofiarą. Celem tego wszystkiego.

Odkładam kartki i patrzę na to, co dała mi Callie.

Strony są białe, powiększone w stosunku do oryginału, żeby łatwiej

było czytać. Płynne, pochyłe czarne pismo wzywa. Sarah zaczyna od zwrócenia się bezpośrednio do mnie.

Droga Smoky Barrett,

Znam cię.

A raczej chciałam powiedzieć, że słyszałam o tobie. Sprawdzalam cię tak, jak sprawdza się osobę, która może być jedyną i ostatnią nadzieją. Patrzyłam na twoją fotografię, aż oczy zaszły mi krwią, zapamiętałam każdą bliznę.

Wiem, że pracujesz w FBI w Los Angeles. Wiem, że tropisz złych ludzi i jesteś w tym dobra. To wszystko ważne, ale nie dlatego dajesz mi nadzieję.

Dajesz mi nadzieję, bo też byłaś ofiarą.

Dajesz mi nadzieję, bo byłaś zgwałcona, okaleczona i straciłaś to, co kochałaś.

Jeśli ktokolwiek może mi uwierzyć, to... to chyba tylko ty.

Jeśli ktokolwiek może to przerwać – mógłby chcieć przerwać – to chyba tylko ty.

Czy to prawda? Czy tylko snuję marzenia, choć powinnam podciąć sobie żyły?

Pewnie się przekonamy. Przecież zawsze mogę sobie podciąć żyły później.

Nazywam to pamiętnikiem, ale tak naprawdę to nie pamiętnik.

Nie.

To czarny kwiat. Księga snów. To ścieżka do źródła, gdzie mroczne istoty gaszą pragnienie.

Podoba ci się? Rozumiesz, to opowieść. Tu, na papierze, zobaczysz, jak

uciekam. I tylko tu. Na tych białych i szeleszczących kartkach mogę się naprawdę poruszać. Jestem bardziej sprinterką niż biegaczką, jak się pewnie przekonasz, ale niech no tylko dostanę długopis i notatnik albo komputerową klawiaturę, a zacznę biec, biec, biec.

Po części to chyba zasługa blasku duszy mojej matki. Była artystką i chyba część z tego skapnęło na mnie. Reszta wynika z tego, że zaczynam popadać w szaleństwo. Zupełnie mi odbija. Na białych szeleszczących stronach będzie wylazić to moje szaleństwo, bez filtra, w całej swej okazałości. Wielkie czarne stado myśli kruków.

Mam na to taką rymowaną (oczywiście szaloną): „Odrobina światła, odrobina mroku, trochę baju-baju i mam święty spokój”

Myślę o tym, co czują, innymi słowy, piszę ścieżkę do mrocznego źródła.

Zacząłam pisać mniej więcej dwa lata temu, w jednej ze szkół, do których chodziłam. Nauczyciel angielskiego, bardzo przyzwoity człowiek, pan Perkins (a za chwilę przekonasz się, dlaczego był przyzwoitym człowiekiem), przeczytał moje pierwsze opowiadanie i poprosił, żebym została po lekcji. Kiedy byliśmy sami, powiedział, że mam talent. Że może nawet jestem geniuszem.

Nie wiedzieć czemu ta pochwała obudziła Szaleństwo. Szaleństwo to jedna z tych istot, które poją się tam, przy źródle. Ma ciemną skórę, wielkie oczy i jest głupawe. Szaleństwo jest wściekłe. Szaleństwo jest złe. Szaleństwo to... szaleństwo...

Chwyciłam więc pana Perkinsa za krocze i powiedziałam: „Dzięki! Mam panu zrobić loda, panie P?”

Tak po prostu.

Nigdy nie zapomnę dwóch rzeczy, które się wtedy stały. Zrzedła mi mina, a penis zrobił się twardy. Obie rzeczy w jednej chwili. Wyrwał się, zabalgotał i wybiegł z klasy. Chyba bał się i nie mogę go o to winić. Rozumiem też, że pierwsza z dwóch rzeczy (zdegustowana mina, konsternacja) ujawniała prawdziwego pana P. Jak mówiłam, to bardzo przyzwoity człowiek.

Opuściłam klasę, rozpalona, uśmiechnięta i z walącym sercem. Wyszłam ze szkoły, poszłam na podwórko, wyciągnęłam zapalniczkę, podpałiłam to opowiadanie i płakałam, patrząc, jak płonie i rozwiewa się na wietrze.

Od tamtego czasu wiele pisałam i wszystko paliłam.

Mam teraz prawie szesnaście lat i zaczynam pisać ten pamiętnik. I choć właściwie chciałabym spalić i to, nie zrobię tego.

Dlaczego ci to mówię? Z dwóch powodów.

Pierwszy jest poważny, rozległy jak pole. Chcę, żebyś wiedziała, że moja poczytalność stała się czymś, co widzę u siebie w środku jako białą linię albo drżenie światła. Kiedyś była mocna i stała, ale teraz jest słaba i mocno migocze. Fruwają wokół niej ciemne plamki jak rój leniwych szerszeni. Pewnego dnia, niedługo, jeśli nic się nie zmieni, te plamki zakryją światło i będzie po mnie. Będę cały czas śpiewała i nie usłyszę ani słowa.

Jeśli więc czasami dostanę czkawki, jeśli igła przeskoczy ze ścieżki na ścieżkę, to pamiętaj: trzymam się kurczowo paznokciami. Bardzo długo patrzę na tę białą linię światła, bo boję się, że jeśli odwrócę wzrok, to nie będzie jej, kiedy znów popatrzę, a ja nie będę pamiętała, że w ogóle tam była.

Szaleństwo jest teraz u źródła, a od tej mrocznej wody jest niedaleko do tego, bym robiła lub mówiła coś, czego nie powinnam. OK?

OK.

Drugi powód to coś, co pojawi się potem na białych szeleszczących kartkach. Mogłam pewnie napisać miły, faktograficzny pamiętnik. Ale przecież mam talent. Jestem geniuszem.

Dlaczego więc nie napisać opowieści?

Tak właśnie zrobiłam.

Czy to cała prawda? To zależy od definicji prawdy. Czy potrafiłam czytać w myślach rodzicom? Czy naprawdę wiem, co myśleli, kiedy przyszedł po nich Obcy? Nie.

Ale znałam ich. To była moja rodzina. Może myśleli tak, a może inaczej, ale to nie znaczy, że piszę nieprawdę, bo w ten sposób właśnie myśleli. O to mi chodzi, rozumiesz?

Prawda jest taka, że nie wiem.

Prawda jest taka, że wiem na pewno.

Historia pisana właśnie na tym polega: trzy części prawdy, jedna część fabuły. Prawda dotyczy czasu, miejsca i podstawowych wydarzeń. Fabuła to motywacje i myśli. Ponieważ historia istnieje tylko dopóty ją pamiętamy, to czy naprawdę jest coś złego w tym, że nieco ją uczłowieczymy, nawet jeśli to jedynie efekt wyobraźni?

To byli moi rodzice, których kochałam, więc opisałam ich jako postaci i dałam im myśli, nadzieje i uczucia, a potem przeczytałam, co napisałam, zapłakałam i powiedziałam sobie:

Tak.

Tacy byli.

I niech ktoś udowodni mi, że było inaczej. Właściwie lepiej nie, bo gdyby ktoś to zrobił, przybiegłoby Szaleństwo, to pewne jak w banku. Pobiłabym tego kogoś do krwi i wrzeszczała na niego, aż ogłuchłby, a ja zdarłabym gardło.

Nie, nigdy nie opowiadali mi o swoim życiu seksualnym, ale kurwa, przecież byli ludźmi, moją rodziną, i chcę, żebyś poczuła, jak żyli, jak się pocili, jak się śmiali, tak żebyś czuła ich cierpienie, krzyki i umieranie.

Dobrze?

O części rzeczy dowiedziałam się potem, pytając. Pytałam na przykład Cathy i odpowiadała mi szczerze. Nie sądzę, żeby miała coś przeciwko temu, że o niej piszę. Mam nadzieję, że nie.

Niektóre rzeczy spisuję tak, jak je pamiętam – co czułam albo co myślałam. Nawet kiedy przefiltrowuję wspomnienia z młodości przez swój starszy umysł, duch tych wspomnień, wszystko, co dobre i złe, jest prawdziwy. Jestem w stanie dziś, w wieku szesnastu lat, wyrazić to, co myślałam, kiedy miałam lat sześć, dziewięć i tak dalej.

Część z tego to rzeczy, które opowiedział mi potwór.

Kto wie, jaka jest prawda?

Dobrze już, dobrze, zaczynam przynudzać, wiem.

Jak powinnam zacząć? Pewnego razu za górami, za lasami?

Dlaczego nie? Nie ma powodu, by koszmar nie mógł zaczynać się jak bajka. I tak skończymy w tym samym miejscu, niezależnie od tego jak zaczniemy – u źródła, obok mrocznych istot ze zbyt dużymi oczyma, przy wodzie, która, bijąc o brzeg, wydaje dźwięk, jakby cmokał olbrzym.

Dobrze jest, czytając, traktować to jak sen. Ja tak właśnie robię. Czarny kwiat. Księga snów. Wycieczka do źródła o północy. Chodź i

przeżyj ze mną ten sen, przeżyj koszmar z otwartymi oczami, przy zapalonym świetle.

Pewnego razu za górami, za lasami była sobie młodsza Sarah, Sarah, która nie patrzyła na białą linię światła i nie poznała jeszcze Szaleństwa.

Nie, nie. To prawda, ale nie od tego chciałam zacząć.

A więc: Pewnego razu za górami, za lasami żył sobie anioł, którym była moja mama.

Pierwsze, co pamiętam, to fakt, że mama kochała życie. Druga, to jej uśmiech. Mama nigdy nie przestawała się uśmiechać.

Ostatnie, co pamiętam, to fakt, że uśmiechała się, kiedy ją zabijał.

To pamiętam najdokładniej.

Opowieść Sarah

część I

Sam Langstrom pokręcił głową, patrząc z niedowierzaniem na żonę.

– Wyjaśnijmy to – powiedział, zmuszając się znów do uśmiechu. – Pytałem, o której mamy wyjechać z Sarah do dentysty. I żeby mi na to odpowiedzieć, musisz wiedzieć, która jest godzina?

Linda zmarszczyła brwi.

– Tak, a co?

– Kochanie, nie rozumiesz? Wizyta jest wyznaczona na konkretną godzinę. Ponieważ wiemy, ile się jedzie od nas do dentysty, to co ma wspólnego obecna godzina z tym, kiedy powinniśmy wyjechać?

Linda zaczynała się irytować. Spojrzała mężowi w oczy. Zobaczyła błysk, który zawsze ją rozbrajał. Te oczy mówiły: „Bawię się, ale nie twoim kosztem. Po prostu uwielbiam niektóre twoje drobne dziwactwa”.

Uwielbiał jej ekscentryczność, a ona wiedziała, że jest ekscentryczką, bez dwóch zdań. Była kiepską gospodynią domową, on należał raczej do tych porządných. Ona uwielbiała obracać się w towarzystwie, on wolał siedzieć w domu. Ona wpadała szybko w złość, on był bardziej cierpliwy. Różnili się pod wieloma względami, ale to nie miało znaczenia. Ich przeciwieństwa się uzupełniały, jak to zwykle w małżeństwach od początku świata.

Tam, gdzie to było najistotniejsze, byli jedną istotą, myśleli tak samo. Kochali się aż do śmierci. Byli wobec siebie zawsze lojalni, bez względu na wszystko. Kochali Sarah, zawsze, na zawsze, bez końca.

Ich córka była dowodem ich najbardziej jednoczącej zasady: kochać i

być kochanym.

Mieli pokrewne dusze, bliskie sobie pod wieloma względami, ale tak różne jak dzień i noc. W tej chwili uporządkowany umysł Sama trafił na jej cygański styl i odbił się od niego z uśmiechem.

– Wszystko to kwestia matematyki – powiedziała, uśmiechając się do niego. – Gdybyśmy mieli wyjechać o dwunastej trzydzieści, żeby być na czas, a jest już dwunasta piętnaście i wiem, że przygotowanie się zajmie mi co najmniej dwadzieścia minut, to... – Wzruszyła ramionami. – Wyjedziemy o dwunastej trzydzieści pięć, ale będziemy musieli jechać trochę szybciej.

Pokręcił głową z udawanym zdumieniem.

– Z tobą jest naprawdę coś nie w porządku.

Podeszła do niego i pocałowała go w nos.

– Przecież najbardziej kochasz we mnie moje doskonałe wady. A więc?

Którą mamy godzinę?

Spojrzał na zegarek.

– Jest dwunasta dziesięć.

– Widzisz, głuptasie? Wyjedziemy o dwunastej trzydzieści. Nie było to takie trudne, co?

Roześmiał się, bo nie mógł się powstrzymać.

– Dobrze – zgodził się, kręcąc głową. – Wypuszczę bestie i przygotuję naszego pączusia.

„Bestie” to dwa czarne labradory retrievery, zwane czule „Czarnymi siłami zniszczenia” albo jak mówiła na nie Sarah: „Psiegłówki!” Były to dwie blisko trzydziestokilogramowe góry bardzo niewytresowanej miłości i lojalności. Dzikusy nieprzywykłe do cywilizowanego towarzystwa.

Sam otworzył furtkę w barierce, którą zbudował, żeby trzymać bestie z dala od reszty domu. W podzięcie natychmiast poczuł psi nos między pośladkami.

– Dzięki, Buster – rzucił do mniejszego samca.

Nie ma za co, odparł Buster, machając ogonem i uśmiechając się po psiemu szeroko otwartym pyskiem.

Większa samica, Doreen, krążyła wokół niego jak niezrównoważony psychol albo rekin. Zadawała to samo nieme, ale oczywiste pytanie. Cały czas, raz za razem.

Czy to już czas? Czy to już czas? Czy to już czas?

– Przykro mi, Doreen – zwrócił się Sam do krążącej wokół niego suki.

– Obiad będzie dziś później. Ale... – przerwał i obrzucił ją przesadnie wymownym spojrzeniem – jeśli wyjdziecie na dwór, to może dostaniecie jakiś kąsek!

Na dźwięk słowa „kąsek” Doreen rzuciła się w powietrze jak szalona i oderwała od ziemi wszystkimi czterema łapami w spontanicznym odruchu najwyższej radości.

Huraa! – mówiła w psim języku. *Huraa, huraa, huraa!*

– Tak, wiem – potwierdził Sam z uśmiechem. – Pan jest dobry, pan jest wspaniały.

Podszedł do szafki i wyjął dwa psie przysmaki. Doreen nie przestawała skakać, naprawdę rozemocjonowana. Buster nie skakał, wołał zachowywać się z większą godnością, ale też wyglądał na bardzo szczęśliwego.

– Chodźcie, psiaki – zawołał Sam i ruszył do rozsuwanych szklanych drzwi prowadzących na podwórko.

Otworzył je i wyszedł. Bestie za nim. Zamknął drzwi i stanął z przysmakami w obu rękach.

– Siad! – polecił.

Psy siadły. Wbiły wzrok w żarcie jak zahipnotyzowane. „Siad” to jedna z nielicznych komend, których słuchały. Robiły to jedynie wtedy, kiedy ktoś obiecał im jedzenie.

Sam opuścił ręce na wysokość psich głów.

– Czekać! – ostrzegł. Gdyby próbowały dobrać się do jedzenia, zanim skończy się „czekanie”, kazałby im „czekać” jeszcze dłużej, a tego nie lubiły. – Czekać – powtórzył. Doreen aż drżała i w oczach zaczęło jej się czaić szaleństwo. Sam zlitował się nad nią i wydał polecenie, na które psy czekały. – Już.

Dwa pyski pełne kłów rzuciły się na przysmaki w jego rękach, porywając je i o dziwo nie miażdżąc mu palców. Sam wykorzystał tę chwilę, otworzył szklane drzwi, wrócił do domu i zamknął je za sobą.

Buster pierwszy zorientował się, o co chodzi. Przerwał w pół kęsa i spojrzał na Sama przez szkło, z wyrzutem w oczach.

Zostawiasz nas? – pytał wzrokiem.

– Do zobaczenia niedługo, psisko – mruknął Sam, uśmiechając się. Czas było poszukać kolejnej bestii, która mieszkała w tym domu. Był niemal pewien, że gdzieś się schowała. Sarah nie lubiła chodzić do dentysty. Sam po cichu solidaryzował się z nią. Zawsze czuł się trochę winny, kiedy zawoził ją na wizytę, bo wiedział, że skończy się łzami. Podziwiał opanowanie i praktyczne podejście Lindy w tych sprawach. Ból dla większego dobra dziecka to domena matek. Większości ojców brakuje na to sił.

– Pączusiu? – krzyknął. – Gotowa?

Brak odpowiedzi.

Sam poszedł w stronę pokoju Sarah. Drzwi były otwarte. Zajrzał do środka i zobaczył, że córka siedzi na łóżku. W ramionach tuliła Pana Przytulankę.

– Kochanie? – odezwał się.

Mała dziewczynka popatrzyła na niego i natychmiast go rozczuliła. Buu, buu, mówiły oczęta tak cudne jak oczy małej foki. Buu, mam rodziców, którzy zmuszają mnie, żebym poszła do dentysty...

Pan Przytulanka, małpka zrobiona ze skarpetek, patrzył na Sama oskarżycielskim wzrokiem.

– Nie chcę iść do denysty, tatusiu – oznajmiła z żalem Sarah.

– Dentysty, kochanie – poprawił ją. – Nikt tego nie lubi.

– To po co ludzie tam chodzą?

Żelazna logika dziecka, pomyślał.

– Bo jeśli nie dba się o zęby, można je stracić. A bez zębów kiepsko się żyje.

Patrzył, jak dziecko zastanawia się nad jego słowami, naprawdę rozmyśla.

– Czy Pan Przytulanka może pojechać ze mną? – zapytała.

– Oczywiście, że tak.

Sarah westchnęła. Wciąż była nieszczęśliwa, ale poddała się losowi.

– Dobrze, tatusiu – odparła.

– Dziękuję, kochanie. – Spojrzył na zegarek. Najwyższy czas zakończyć te negocjacje. – Chodźmy razem z Panem Przytulanka poszukać mamusi.

W przeciwieństwie do poprzedzającego ją dramatu, sama wizyta u dentysty była krótka i bez szczególnych wydarzeń. Podejrzliwość Sarah w końcu musiała ustąpić uśmiechowi pod naporem niespożytej jowialności doktora Hamiltona. Zbadał nawet uzębienie Pana Przytulanki.

Rodzinę ogarnął świąteczny nastrój, co skończyło się lodami i wyprawą na plażę. Kiedy wrócili do domu, dochodziła trzecia po południu. Bestie zapomniały, że są nieszczęśliwe z powodu późnego obiadu, tak bardzo cieszyły się przecież, że właśnie teraz dostają jedzenie.

Potem były jeszcze obowiązkowe pieszczoty, czytanie poczty, pokaz technicznej sprawności w ustawianiu magnetowidu, by nagrać wieczorne programy. Sam nazywał to „tańcem powrotnym”. Lista rzeczy do zrobienia po powrocie za każdym razem, kiedy wyjeżdżało się na dłużej niż kilka godzin. Szczegóły życia. Wiedział, że niektórzy faceci na to narzekają. On to uwielbiał. To było kojące, słuszne, to było jego życie.

– Jesteś gotowa na jutro, Sarah? – usłyszał pytanie żony. Jutro przypadały urodziny córki. Pytanie było retoryczne. Skrzywił się na dźwięk pisku, jaki wydobył się z ust córki. Ogłuszający, nieludzki wręcz krzyk.

– Prezenty, przyjęcie, tort! – krzyczała i skakała podekscytowana. Sam pomyślał, że bardzo przypomina w tym Doreen. Czasami pies i córka były do siebie niepokojąco podobne.

– Nie skacz po kanapie, pączusiu – mruknął, przeglądając pocztę.

– Przepraszam, tatusiu.

Cisza, jaka zapadła, miała w sobie coś nietypowego, co zmusiło go, by podnieść wzrok na córkę. Aż skulił się w sobie, kiedy zobaczył wyraz jej

oczu. Oczy rozbestwionego urwisa. Znak, że za chwilę miało się zdarzyć coś strasznego.

– Ale – chichotała jak naszprycowany skrzat – mogę poskakać po tobie?

Wydała z siebie pisk zarzynanej świnki i rzuciła się w powietrze, spadając na niego niczym poduszka wypełniona pierzem i kamieniami.

Aż jęknął cicho. Gorzej niż rok temu, pomyślał sobie. Niedługo skończą się czasy, kiedy będzie mógł służyć jako ludzka trampolina. Będzie za nimi tęsknił.

Ale Sarah na razie wciąż była mała. Uśmiechnął się i objął ją rękoma.

– A wients... – powiedział złośliwym głosem, udając niemiecki akcent.
– Fiesz, co to snatszy... ja?

Poczuł, że nieruchomieje, drży i chichocze z rozkoszy i przerażenia. Wiedziała, co się zbliża.

– To snatszy, że bęciemy musieli cze... torturofacz łaskotkami! Zaczęła się tortura i kolejne piski. Doreen zaczęła szczekać i skakać, a cierpiący Buster tylko patrzył.

Głupi ludzie i suka kretyńka, wydawał się mówić.

– Nie tak głośno – zwróciła się do nich Linda Langstrom z uśmiechem, patrząc, jak mąż i córka pograżają się w chaosie zabawy. Mówiła to bez przekonania. Mogłaby równie dobrze powiedzieć: Wietrze, nie wiej.

A tak naprawdę ona też się cieszyła razem z nimi. Sam był zawsze taki spokojny i praktyczny, zawsze uciszał jej burze. Nie chodzi o to, że był sztywny – miał wyrafinowane poczucie humoru, które zawsze ją bawiło, na swój sposób dostrzegał komedię życia. Ale miał też w sobie pewne...

wyciszenie. Tendencję, by nie brać siebie poważnie, ale by stawać się poważnym. A mimo to dla rodziny zawsze był gotów odstawić to wszystko na bok.

Na pewno odstawił to wszystko, kiedy mi się oświadczył.

Oboje byli na studiach. On robił dyplom z informatyki, ona – magisterium ze sztuk pięknych. Pewnego dnia ich drogi się skrzyżowały. Ona miała wieczorne zajęcia, które zaczynały się godzinę po tym, jak kończyły się jego. On pracował w nocy. Niełatwo było im wtedy znaleźć dla siebie czas.

Sam postanowił, że poprosi ją o rękę i że zrobi to ubrany w smoking. Tak sobie zaplanował, a kiedy już sobie coś zaplanował, musiał to wykonać. Ta cecha charakteru mogła być cudowna albo irytująca, zależało to od okoliczności.

Był jeden z tych dni, kiedy mieli dla siebie godzinne okienko. Nie mógł pojechać do mieszkania (od roku mieszkali razem), włożyć smokingu i wrócić, by się oświadczyć. Nie zdążyłby do nocnej pracy.

Co więc zrobił Sam? Nosił smoking przez cały dzień, na wszystkich zajęciach, w upale i ku uciesze kolegów ze studiów.

Zaczęło się owo godzinne okienko i oto zjawił się Sam, a wyglądał tak, że zaparło jej dech w piersiach. Już nie chłopiec, ale jeszcze nie mężczyzna, głupiutki i przystojny, przyklęknął na jedno kolano, a ona oczywiście powiedziała tak. On nie poszedł do pracy, ona nie poszła na zajęcia. Przez całą noc palili trawkę i kochali się przy głośnej muzyce. Nawet nie zdążyli zdjąć ubrań do końca. Kiedy się obudziła, Sam wciąż miał na szyi muszkę od smokingu.

Pod koniec owego roku się pobrali. Dwa lata później oboje skończyli

studia. Sam od razu dostał pracę w firmie programistycznej, w której błyszczał. Ona malowała, rzeźbiła, robiła zdjęcia i czekała cierpliwie i pewnie, aż zostanie „odkryta”.

Po dwóch latach wciąż nieodkryta Linda zaczęła mieć poważne wątpliwości. Niewzruszona pewność dwudziestolatki zaczęła znikać, kiedy skończyła lat dwadzieścia pięć.

Sam rozwiewał te wątpliwości tak stanowczo, że do dziś go za to kochała.

– Jesteś wielką artystką, skarbie – mówił, wpatrując się w jej oczy. – Wszystko się ułoży.

Trzy tygodnie później wrócił z pracy, wykonał przed nią tango w pracowni – dosłownie zatańczył tango, tupiąc i obracając się w jej stronę z przesadnie poważną miną i niewidzialną różą w zębach.

– Chodźmy – polecił, wyciągając rękę.

– Chwileczkę – odparła, skupiając się na pociągnięciach pędzla. Obraz przedstawiał samotne dziecko w lesie i podobał się jej.

Czekał, tańcząc tango sam ze sobą.

Linda skończyła i złożywszy ręce na piersiach, patrzyła na płasy Sama.

– Co się stało, głuptasie?

– Mam niespodziankę – powiedział. – Chodźmy.

Uniosła brew.

– Niespodziankę?

– Tak.

– Jaką niespodziankę?

– Rzecz jasna taką, której się nie spodziewasz. – Stuknął parę razy stopą, wskazał rękami na drzwi. – No, wio. Ruszaj mała. Idź przodem.

– Hej – rzuciła, udając fochy. – Nie jestem koniem. I muszę się przebrać.

– Nie. Tarzan mówić Jane iść. Już.

Zachichotała (nikt jej tak nie rozbawiał jak Sam) i w końcu dała się wyciągnąć z domu do samochodu. Zawiózł ją lokalną obwodnicą aż do miejsca, gdzie otwierało się właśnie nowe centrum handlowe. Zatrzymał się na parkingu.

– Niespodzianka jest w centrum?

Poruszał brwiami. I znów wybuchnęła śmiechem. Sam wprowadził ją do centrum, przedzierali się przez milionowe tłumy amatorów zakupów. Szli, szli, szli... aż się zatrzymał.

Stali przed pustym lokalem handlowym średniej wielkości.

Zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

Sam pokazał jej gestem puste pomieszczenie.

– Jest twoje, skarbie. To miejsce to twoja galeria. Możesz sobie wymyślić nazwę, przywieźć tu swoje dzieła sztuki i fotografie i skłonić ludzi, żeby cię odkryli. – Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. – Muszą cię po prostu zobaczyć, Lindo. A kiedy cię zobaczą, będą wiedzieć to, co ja.

Poczuła, że brakuje jej tchu.

– Ale... ale... czy to nie jest drogie, Sam?

Uśmiechnął się z cieniem żalu.

– Tanio nie było. Wziąłem kredyt pod dom, pożyczkę hipoteczną. Możesz działać przez rok bez żadnego zysku. Potem może się zrobić ślisko.

– Czy... – Odwróciła się do niego. – Czy to rozsądne? – zapytała

szeptem. Chciała tego, co jej zaproponował, ale wątpiła, czy będzie w stanie utrzymać galerię i nie zaszkodzić rodzinie.

Sam się uśmiechnął. To był piękny uśmiech, pełen szczęścia i siły. W pełni męski, nie chłopięcy.

– Nieważne, czy to rozsądne. Chodzi o nas oboje. – Uśmiech zniknął, Sam spoważniał. – Stawiamy na ciebie, skarbie. Albo wóz, albo przewóz. Musimy jednak to zrobić.

Zaryzykowali i wygrali. Lokal był w doskonałym miejscu i choć Linda nie zarobiła fortuny, to galeria przynosiła przyzwoite zyski. Co więcej, robiła to, co lubiła, a mąż pomógł jej spełnić marzenie. Nie mogła go za to kochać bardziej, bardziej i tak się już nie dało. Dodało to ich związkowi nowej trwałości i pewności. To była tajemnica ich miłości – była najważniejsza. Miłość liczyła się przede wszystkim, bardziej niż pieniądze, duma czy uznanie innych.

Kochali się nadal, w życiu i w sypialni. Dwa lata później urodziła się Sarah.

Sam lubił żartować, że Sarah była „stożkogłową pięknością o czerwonej twarzy”. Linda patrzyła w zachwycie, jak maleńkie usteczka chwytają z niezachwianą pewnością jej sutek. Przeszył ją dreszcz życia, coś nie do określenia, ale potężnego, nowego i odwiecznego zarazem. Próbowała przelać to uczucie na płótno. Ani razu jej się nie udało. Ale nawet porażki były wspaniałe.

Linda patrzyła, jak mąż i córka walczą na łaskotki, a Doreen próbuje na swój psi sposób wziąć udział w zabawie.

Sarah była niezwykła. Oczywiście stożkowata głowa w kilka godzin zrobiła się kształtna, a wraz z upływem lat Sarah wciąż piękniała.

Wyglądało, jakby pominęła etap gąsienicy i od razu stała się motylem. Linda nie wiedziała, czemu to przypisać.

– Może będziemy mieli szczęście – żartował czasem Sam. – Może kiedy stanie się nastolatką, zbrzydnie, a ja nie będę musiał kupować strzelby.

Linda w to nie wierzyła. Była przekonana, że za jej pączusiem faceci będą się oglądać.

– Moim zdaniem jest w niej wszystko co najlepsze z nas obojga – powiedział kiedyś Sam.

Lindzie podobało się to spostrzeżenie.

R

Sarah paplała przez całą kolację o urodzinach, pełna energii i z błyszczącymi oczami. Linda zastanawiała się, jakim cudem uda się ją uspokoić na tyle, by zasnęła. Powszechny problem rodziców na całym świecie, „syndrom Gwiazdki”.

Tyle że w czasie Gwiazdki mogła powiedzieć Sarah, że Mikołaj nie przyjdzie, dopóki dziecko nie uśnie. Z urodzinami był większy problem.

– Mamusiu, a dużo prezentów dostanę?

Sam spojrzał zdziwiony na córkę.

– Prezenty? A dlaczego miałabyś dostać prezenty?

Sarah nie zwracała uwagi na ojca. – I będzie wielki tort, mamusiu?

Sam pokręcił z żalem głową.

– Zdecydowanie tortu nie będzie – powiedział. – Nasza dziewczynka stuknęła się w główkę. Odpadła jej piąta klepka.

– Tatusiu! – krzyknęła Sarah.

Linda się uśmiechnęła.

– Będzie wielki tort i mnóstwo prezentów, kochanie. Ale musisz poczekać – ostrzegła ją. – Przyjęcie zaczyna się dopiero po obiedzie, wiesz o tym.

– Wiem. Ale chciałabym, żeby było jak na Gwiazdkę, bo wtedy prezenty są już rano!

Bingo, pomyślała Linda. Cwane, ale oczywiste. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

– Kochanie, zrobmy tak – zaproponowała. – Jeśli położysz się do łóżka

punktualnie i nie będziesz marudzić, pozwolę ci otworzyć prezent rano. Co ty na to?

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ale – podniosła palec – jeśli pójdziesz do łóżka punktualnie.

Sarah pokiwała głową entuzjastycznie, jak to mają w zwyczaju małe dzieci: głowa całkiem do tyłu, potem broda do mostka, i powtórka.

– W takim razie umowa stoi.

Sam układał córkę do snu. Buster jak zwykle poszedł za nimi, robił to każdego dnia. Doreen uwielbiała wszystkich. Pewnie wpuściłaby do domu włamywacza, machając ogonem, ciesząc się z towarzystwa, licząc na jakiś przysmak w zamian za pomoc. Buster też potrafił kochać, ale był w tym nieco oszczędniejszy, patrzył na świat bardziej podejrzliwie. Kochał niewiele osób, ale to byli jego państwo i kochał ich całym sobą.

Najbardziej kochał Sarah i spał z nią w łóżku każdej nocy.

Sarah leżała pod kołdrą. Buster wskoczył na łóżko i ułożył się obok niej, kładąc łeb na jej brzuszku.

– Gotowa do snu, pączusiu?

– Całusek! – zażądała, wyciągając do niego rękę.

Sam pochylił się, pocałował ją w czoło i pozwolił się objąć małym rączkom.

– Teraz dobrze? – zapytał.

Otworzyła szeroko oczy.

– Mój mały kucyk! – krzyknęła.

Mały kucyk był postacią z bajek dla dzieci. Z krzyżówki konika i

bajkowego stwora powstały niezwykle błękitne kucyki z różowymi grzywami. Sarah miała taką lalkę, z którą spała.

– Hm... – powiedział Sam, rozglądając się dookoła. – Gdzie jest mój mały osiołek?

– Tatusiu! – Sarah omal nie krzyknęła, trochę ze zniecierpliwienia, a trochę z zadowolenia.

Ojcowie drocą się z córkami na wiele sposobów. To był jeden ze sposobów Sama. Wszystko zaczęło się przed rokiem, kiedy zamienił słowo „kucyk” na „osiołek”. Początkowo Sarah naprawdę się denerwowała, ale z czasem stało się to ich wspólnym rytuałem, czymś z czego na pewno za kilka lat będą się śmiać oboje.

Znalazł kucyka na podłodze przy łóżku i włożył go w oczekujące ramiona. Sarah przytuliła zabawkę, wiercąc się pod kołdrą. Ten ruch sprawił, że Buster musiał podnieść głowę. Spojrzał i westchnął głęboko po psiemu. Ot, los niedocenianego zwierzęcia, zdawał się mówić.

– A teraz? – zapytał Sam.

– Musisz już iść, tatusiu – odrzekła stanowczo Sarah. – Muszę zasnąć, żeby się obudzić i otworzyć prezent.

– Potworzyć prezent? – powiedział zdziwiony.

Zachichotała. Sarah uwielbiała, kiedy Sam tworzył anagramy, przedstawiając pierwsze litery dwóch słów, na przykład „łydelec i wiżka”. Uważała, że to „fardzo bajne”.

– Co za dzień, pączusiu.

– Co za dzień, tatusiu.

Kolejny rytuał. Kiedy ktoś wymawiał: „Co za dzień”, z daleka wyglądało to, jakby mówił: „Kocham cię”. Sam pokazał to Sarah, kiedy

miała cztery latka. Uważała, że to najwspanialszy pomysł pod słońcem, wart powtarzania tysiące razy. Teraz mówili tak do siebie co wieczór.

Nie miał pojęcia, że mówi jej to przedostatni raz.

Sarah zacisnęła oczy, pogłaskała Bustera i próbowała wyłączyć mózg.

Jutro miały być jej urodziny! Będzie miała sześć lat, będzie prawie dorosła. To interesujące, ale najbardziej była podekscytowana prezentami.

Rozejrzała się po ścianach oświetlonych światłem żarówki z korytarza, wpadającym przez półotwarte drzwi. Na ścianach wisiały obrazy namalowane przez matkę. Szukała wzrokiem ulubionego: samotnego dziecka w lesie.

Ktoś, kto by o tym usłyszał, a nie zobaczył, mógłby pomyśleć, że to przerażający obraz, ale wcale taki nie był.

Dziecko, dziewczynka, było spokojne, leżało na posłaniu z mchu z zamkniętymi oczami. Po lewej stronie miała drzewa, po prawej strumyk. Słońca nie było, niebo zasnuwały chmury. Kiedy ktoś przyjrzał się bliżej, mógł zobaczyć w tych chmurach uśmiechniętą twarz spoglądającą na dziewczynkę.

– Pilnuje jej, mamusiu?

– Zgadza się, kochanie. Choć dziewczynka jest sama w lesie, nigdy nie jest tak naprawdę sama, bo ta kobieta z chmur wciąż jej pilnuje.

Sarah patrzyła na obraz i uwielbiała go.

– Ta dziewczynka to ja, prawda, mamusiu? A ta pani z chmur to ty. Matka uśmiechnęła się wówczas uśmiechem, który Sarah po prostu ubóstwiała. Nie miał żadnych tajemnic, żadnych ukrytych znaczeń. Czyste słońce, oślepiające i oblewające twarz szczęściem i ciepłem.

– Zgadza się, kochanie. Tak to właśnie wygląda, dla nas i dla każdego innego, kto na ten obraz spojrzy.

Sarah była zdziwiona.

– Ty jesteś też dla innych ludzi?

– Nie, inni ludzie mają swoje mamusie. Może są już dorośli, wyjechali gdzieś daleko od swoich mam, ale nigdy nie są samotni, bo mamusia zawsze gdzieś tam jest. – Chwyciła i przytuliła córkę tak spontanicznie, że Sarah aż się roześmiała na głos. – Takie są właśnie mamusie i to właśnie robią. Pilnują cię na zawsze.

Obraz był prezentem na piątą urodziny. Wisiał na ścianie naprzeciw stóp łóżka jak talizman.

Matka nigdy nie kupowała urodzinowych prezentów. Tworzyła je sama. Sarah uwielbiała je wszystkie. Nie mogła się doczekać, co zobaczy następnego dnia rano.

Znów zacisnęła oczy i pogłaskała Bustera (a ten polizal ją w rękę). Chciała znów wyłączyć mózg. Usnęła, kiedy tylko przestała próbować, z uśmiechem na twarzy.

Kiedy Sarah się obudziła, zauważyła przede wszystkim, że nie ma Bustera. To ją zdziwiło, pies chodził spać razem z nią i wstawał każdego dnia.

Zauważyła też, że nie świeci słońce. To też było dziwne. Kiedy zamykała oczy, zawsze było ciemno, a kiedy otwierała – jasno. Tak funkcjonował świat.

W tej ciemności było coś zaskakującego. Coś ciężkiego i przerażającego. Nie miała poczucia, że to ciemność przed urodzinami. Czuła się, jakby ją zatrzaśnięto w ciemnej szafie. Duszno, gorąco,

klaustrofobicznie.

– Mamusiu? – szepnęła. Zaczęła się zastanawiać, czemu nie mówi tego głośniej. Jeśli naprawdę chciała, żeby usłyszała ją matka, to czemu mówi szeptem?

Umysł sześciolatki dostarczył prawidłowej odpowiedzi: bo boję się, że coś innego też to usłyszy. Cokolwiek, co stworzyło ten przerażający mrok.

Serce waliło jej tak mocno, oddech przyspieszał coraz bardziej, groził jej wybuch całkowitej paniki, jak w chwili pobudki po koszmarze. Tyle że ona w takich sytuacjach miała Bustera. Ale teraz Bustera nie było...

Popatrz na obraz, głuptasie, wydała sobie polecenie.

Odszukała w ciemności obraz matki. Dziecko spało na mchu, spokojne i bezpieczne. Wbiła wzrok w twarz w chmurach. Twarz oznaczała mamusię, to odsunęło nieco przerażający mrok, dzięki temu wyjaśniła sobie, że Buster jest na podwórku, że jak zwykle skorzystał z psich drzwiczek, żeby wyjść za potrzebą a ona obudziła się dlatego, że psa nie było, że wkrótce wróci i znów będzie można zasnąć, obudzić się rano i wtedy już będą urodziny.

Kiedy wszystko to przemyślała, serce przestało jej walić. Zaczęła spokojniej oddychać, a strach powoli ustępował. Zaczęła nawet głupio się czuć.

Prawie dorosła, a boi się ciemności jak dziecko, karciła sama siebie.

Wtedy usłyszała głos i wiedziała, że to głos kogoś obcego, tu w jej domu, w ciemności. Znów wrócił koszmar i serce zaczęło łomotać. Zamarła z szeroko otwartymi oczami.

– Nigdy nie widziałem, by jakaś bestia czegoś żałowała – odezwał się głos zbliżający się do drzwi jej sypialni. – Kiedy mały ptaszek zamarza i

spada z gałęzi, w ogóle nie czuje żalu.

Głos nie jest wysoki ani niski, gdzieś pośrodku.

– Słyszysz mnie, Sarah? Te słowa napisał D. H. Lawrence.

Stał za jej drzwiami. Dzwoniła zębami i liczyła, że Obcy tego nie słyszy.

To było coś gorszego niż przerażenie. To było jak przebudzenie z koszmaru sennego, by przekonać się, że koszmar podąża za tobą idzie korytarzem w stronę twojego pokoju, żeby cię objąć i przez chwilę mocno trzymać, podczas gdy on będzie się śmiał i jęczał, a ty będziesz krzyczeć i postradasz zmysły.

– Możemy się uczyć od dzikich bestii. Żal, za siebie czy za innych, jest bezużyteczny. Życie i tak toczy się dalej, czy żyjesz, czy umierasz, czy jesteś szczęśliwa, czy nieszczęśliwa. Życie ma to gdzieś. Brak litości, to przydatna emocja. Bóg jest bezlitosny. To część jego piękna i siły. Kiedy robi to, co słuszne, nie liczą się konsekwencje czy śmierć niewinnych osób.

Przerwał. Sarah niemal słyszała, jak Obcy oddycha. Słyszała też własne serce. Walilo tak głośno, że myślała, iż pękną jej bębenki.

– Buster nie żałował siebie, Sarah. Chcę, byś wiedziała, że rzucił się na mnie. Bez wahania. Wiedział, że przyszedłem tu dla ciebie, więc ruszył na mnie, nawet się nie zastanawiając. Chciał mnie zabić, żeby ratować ciebie.

Kolejna przerwa. Potem cichy i długi chichot.

– Chcę, żebyś to wiedziała i starała się zrozumieć: Buster nie żyje, bo cię kochał.

Drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Obcy, po czym rzucił coś na łóżko Sarah.

Światło z korytarza oświetliło przedmiot: odciętą głowę Bustera, jeszcze z wyszczerzonymi zębami, oczami pełnymi wściekłości.

Wtedy Sarah się ocknęła. Zaczęła krzyczeć.

Muszę cię obserwować, Sarah. I chcę, żebyś słuchała. To początek czegoś.

Siedzieli w salonie. Mamusia i tatuś na fotelach z kajdankami na nadgarstkach i kostkach. Byli nago. Widok nagiego ojca sprawił Sarah w zakłopotanie i tylko zwiększył przerażenie. Doreen leżała na podłodze, obserwując ich wszystkich, nie mając świadomości, że dzieje się coś złego.

Nie rób nic mądrego, psiagłówko, myślała Sarah. To może cię nie zabije tak jak Bustera.

Sarah siedziała na kanapie w koszuli nocnej, również skuta kajdankami.

Obcy, bo tak nazwała w myślach mężczyznę, stał. W ręku miał broń. Na głowę naciągnął pończochę. Pończocha zniekształcała rysy jego twarzy, wyglądało to, jakby ktoś ją stopił, przykładając pochodnię.

Strach wciąż się czaił, nadal mocny, ale nieco odpłynął. Jak krzyk z oddali. Jak czekanie, koszmarnie czekanie, aż z samej góry opadnie topór kata.

Rodzice byli przerażeni. Usta mieli zaklejone taśmą ale w oczach było widać strach. Sarah wyczuła, że bardziej bali się o nią niż o siebie.

Mężczyzna minął ją i podszedł do tatusia, pochylił się, by zajrzeć Samowi w oczy.

– Wiem, co sobie myślisz, Sam. Chcesz wiedzieć „dlaczego”? Wierz mi, chciałbym ci powiedzieć. Nawet nie wiesz jak bardzo. Ale Sarah nas słucha i mogłaby później opowiedzieć komuś innemu. A ja nie mogę ujawnić mojej opowieści, dopóki nie będę gotowy. Mogę zdradzić tylko

dwie rzeczy: To nie twoja wina, Lindo, ale twoja śmierć to moja sprawiedliwość. To nie wina Sarah, ale jej cierpienie to moja sprawiedliwość. Wiem, że tego nie rozumiecie. Nie szkodzi. Nie musicie rozumieć, musicie tylko wiedzieć, że to wszystko prawda. – Wyprostował się. – Porozmawiajmy o bólu. Ból to pewna forma energii. Można ją wytworzyć jak elektryczność. Może przepływać jak prąd. Może być stały albo zmienny. Może być potężny i doprowadzający do szału albo słaby i zaledwie irytujący. Ból może zmusić człowieka do mówienia. Wielu ludzi nie wie, że ból może także zmusić człowieka do myślenia. Może uformować człowieka, wyrzeźbić go, uczynić tym, kim jest. – Przerwał na chwilę. – Znam ból. Rozumiem go. Nauczył mnie wielu rzeczy. Między innymi, że choć ludzie boją się bólu, mogą znieść go znacznie, znacznie więcej, niż im się wydaje. Gdybym na przykład powiedział, że wbiję ci igłę w ramię, zaczęłbyś się bać. Gdybym to naprawdę zrobił, ból byłby nie do zniesienia. Ale gdybym zrobił to ponownie i potem co godzinę, przez cały rok, to przystosowałbyś się do tego. Nie polubiłbyś tego, ale nie bałbyś się już. I na tym to wszystko będzie polegać. – Obcy odwrócił wzrok w stronę Sarah. – Wbiję taką metaforyczną igłę w Sarah. Będę to robił raz za razem, przez całe lata. Za pomocą bólu będę ją rzeźbił jak artysta, stworzę na mój własny obraz, a kiedy będzie już gotowym dziełem, nazwę ją *Zrujnowane życie*.

– Proszę, niech pan nie robi krzywdy mamusi i tatusiowi – odezwała się Sarah. Ze zdziwieniem usłyszała własny głos. Brzmiał inaczej, odlegle, zbyt spokojnie jak na to, co się działo.

Obcy też był zaskoczony. Spodobało mu się chyba, bo zaczął kiwać głową i uśmiechnął się zdeformowaną twarzą.

– Dobrze! Oto miłość. Chcę, żebyś zapamiętała tę chwilę na długo, Sarah. Chcę, żebyś wspominała to później jako ostatnią chwilę bez prawdziwego bólu. Wierz mi, w najbliższych latach będzie cię ona trzymać przy życiu. – Przerwał i przyjrzał się jej twarzy. – A teraz bądź cicho i patrz.

Przyglądała się, jak odwrócił się do rodziców. Wciąż wydawało się jej, że to tylko sen, zamglony i niewyraźny. Czuła strach, czuła przerażenie, czuła łzy, ale były jak uszczyptnięcie z oddali. Coś, co krzyczy do niej z horyzontu. Musiała nadstawić ucha, żeby to usłyszeć, a bardzo tego nie chciała. Niechęć była jak potężny ciężar, którego nie mogła unieść.

Patrzyła w martwe oczy Bustera, krzyczała, a potem serce jej uciekło. Nie na dobre i niezbyt daleko, ale na tyle, że nie musiała słuchać i krzyczeć.

Buster...

W tym słowie czaił się niepokój, ból zdolny wciągnąć duszę na zawsze. W pewnym sensie wiedziała, że Buster to zaledwie początek. Obcy był czymś więcej niż czarną falą, był całym oceanem ciemności. Potężna pusta nicość w ludzkiej postaci, z siłą przyciągania na tyle wielką, że była w stanie załamywać fale światła, odgłosy śmiechu i dobroć.

Cywilizowane społeczeństwo kieruje się właściwym odruchem, by chronić dzieci przed złem, ale czyniąc to, społeczeństwo zapomina czasem o podstawowej prawdzie: dziecko zawsze gotowe jest uwierzyć w istnienie potworów.

Sarah wiedziała, że Obcy jest potworem. Pogodziła się z tą okrutną prawdą w chwili, kiedy rzucił jej odciętą głowę Bustera na łóżko.

– Samie i Lindo Langstrom – odezwał się Obcy. – Proszę, posłuchajcie

uważnie. Musicie przede wszystkim zrozumieć, że śmierć jest nieunikniona. Zabiję was oboje. Musicie porzucić wszelkie nadzieje na to, że przeżyjecie. Musicie za to skupić się na tym, na co możecie mieć wpływ: na tym, co stanie się z Sarah.

Kiedy nieznajomy powiedział, że ich zabije, serce Lindy Langstrom zaczęło bić jak oszalałe. Nie mogła nad tym zapanować, wola życia była podstawowym instynktem. Ale kiedy powiedział, że los Sarah jeszcze nie jest przesądzony, serce zwolniło. Do tej pory patrzyła na córkę z niepokojem, słuchała mężczyzny tylko jednym uchem. Teraz odwróciła wzrok w jego stronę i zmusiła się do skupienia.

Obcy się uśmiechnął.

– Tak. Właśnie tak. Pod względem mocy z miłością do Boga może równać się tylko jeden rodzaj miłości, matki do dziecka. Matki potrafią zabijać, torturować i ranić, byle ocalić dziecko. Potrafią kłamać, kraść i sprzedawać się za pieniądze, byle nakarmić dziecko. Jest w tym coś boskiego. Ale nic nie może się równać z siłą, którą zyskuje się, kiedy człowiek poświęci się dla Boga. – Pochylił się, by spojrzeć Lindzie w oczy. – Mam taką siłę. I dzięki niej mogę was zabić. Dzięki niej mogę dokonać mojego dzieła z Sarah. Dzięki niej nie muszę przeproszać. Silni nie muszą przeproszać. Muszą tylko oddychać. – Wyprostował się. – Co zatem robi taka siła, kiedy wyzwanie rzuca jej niższy rodzaj miłości? Demonstruje swoją moc, nakłaniając człowieka do wyboru. I mam zamiar dać ci wybór, Lindo. Jesteś gotowa?

Linda spojrzała w twarz Obcemu, przyjrzała się zniekształconym przez pończochę rysom. Uświadomiła sobie, że targowanie się z nim byłoby jak targowanie się ze skałą, z kawałkiem drewna, z grzechotnikiem. Była dla

niego niczym, zupełnie niczym. Odpowiedziała na pytanie skinieniem głowy.

– Dobrze – odparł.

Czy tylko jej się wydaje, czy zaczął szybciej oddychać?

Podniecił się?

– Oto scenariusz. Sam, ty też uważnie słuchaj.

Nie musiał nakłaniać go do uwagi. Sam nie spuszczał z niego wzroku. Wpatrywał się w Obcego, a jego serce przepelniała tak czysta nienawiść, że aż nie do zniesienia. Nie mógł powstrzymać się przed żądzą zamordowania tego człowieka.

Tylko zdejmij mi te kajdanki, ryczał w środku. A rozerwę cię na strzępy. Rozwalę ci łeb o podłogę, aż pęknie i wypłynie ci mózg...

– Sarah będzie żyła. Wy oboje zginiecie, ale ona przeżyje. Jeśli mieliście co do tego obawy, to możecie się ich pozbyć. Nie zabiję jej. – Przerwał. – Ale mogę zadać jej ból.

Przełożył broń do lewej ręki, sięgnął prawą do tylnej kieszeni spodni i wyjął zapalniczkę. Była elegancka – imitacja złota i macica perłowa, ozdobione kostką domina z dwiema i trzema kropkami.

Otworzył zapalniczkę i zapalił kciukiem. Pojawił się płomyk, błękitny u podstawy.

– Mogę ją przypalić – mruczał Obcy, wpatrując się w płomień. – Mogę spalić jej twarz. Zmienić jej nos w kupę zniekształconego wosku, spalić brwi, poczernić usta. – Uśmiechnął się, wciąż nie odrywając wzroku od płomienia. – Mógłbym ją wyrzeźbić dosłownie, a nie metaforycznie, używając ognia jako dłuta. Ogień jest silny i bezwzględny. Nie ma w sobie miłości. Żywy dowód boskiej siły. – Zamknął zapalniczkę nagłym ruchem

i schował ją do kieszeni. Przełożył pistolet z powrotem do prawej dłoni. – Mogę ją przypalać całym dniami. Naprawdę musicie mi uwierzyć. Wiem, jak to robić. Jak sprawić, by trwało długo. Nie umrze, ale już w pierwszej godzinie będzie błagała o śmierć, a na długo przed wieczorem oszaleje.

Te słowa i pewność, z jaką je wypowiadał, przerażyły Lindę. Czysty namacalny koszmar. Nie wątpiła w to, co mówił. Ani trochę. Byłby w stanie przypalić jej dziecko i jeszcze uśmiechałby się przy tym i gwizdał. Uświadomiła sobie, że boi się tego bardziej niż śmierci, i przez chwilę (tylko przez chwilę) poczuła ulgę. Rodzice lubią myśleć, że gotowi byliby poświęcić życie za własne dzieci – ale czy na pewno? Kiedy pojawi się broń, czy staną między lufą a dzieckiem? A może górę weźmie coś bardziej pierwotnego i wstydliwego?

Mogę za nią umrzeć, uświadomiła sobie Linda. Mimo tego, co się właśnie działo, poczuła dumę. To dawało jej wolność. Mogła się skupić. Skupiła się na tym, co mówił Obcy. Co musi zrobić, żeby nie przypalał jej dziecka?

– Możesz temu zapobiec – ciągnął Obcy. – Wystarczy, że udusisz swojego męża.

Sam wyrwał się, zdumiony, ze swojego ataku szału.

Co on powiedział?

Obcy sięgnął do torby leżącej przy kanapie, wyciągnął z niej małą kamerę i składany statyw. Ustawił na nim kamerę i skierował tak, by patrzyła na Lindę i Sama. Wcisnął klawisz, kamera brzęknęła i Linda uświadomiła sobie, że są właśnie nagrywani.

Co on powiedział?

– Chcę, żebyś położyła ręce na jego szyi, Lindo, chcę, żebyś spojrzała

mu w oczy i żebyś udusiła swojego męża. Chcę, żebyś patrzyła, jak umiera. Zrób to, a Sarah nie będzie przypalana. Jeśli odmówisz, będę ją przypalać, aż będzie skwierczała.

Wściekłość gdzieś się ulotniła, daleko, daleko. Czy w ogóle się pojawiła? Sam miał wrażenie, że chyba nie. Był oszołomiony. Czuł, jakby ktoś właśnie uderzył go młotem prosto w twarz.

Czuł, jakby jego zdolność pojmowania urosła nagle do ponadludzkich wymiarów. Myślał fraktalami, widział wszystkie powiązania w mgnieniu oka. Prawdy pojawiały się jak błyski światła.

To wynika z tego, a to z tego... a wypadkowa jest zawsze taka sama.

On i Linda mieli umrzeć. Zrozumiał to nagle z całą pewnością.

Zbyt nagle?

Nie. Z tym człowiekiem nie można było negocjować. Nie sprawdzał ich. Nie żartował, to nie była jakaś sztuczka. Zjawił się, żeby ich zabić. Sam nie będzie mógł się uwolnić i ocalić rodziny. Nie będzie hollywoodzkiej sceny nagłego wybawienia. Żli bohaterowie wygrają i wszystko im się upiecze.

To wynika z tego, a to z tego...

Pozostała tylko jedna niewiadoma, najważniejsza – co stanie się z Sarah.

Popatrzył na córkę. Przepelił go smutek.

Co się stanie z Sarah? Uświadomił sobie, że nigdy się tego nie dowie. Jego maleńka córeczka, jeśli to przeżyje, będzie musiała iść dalej. Sam teraz zakończy swój żywot. Nigdy nie dowie się, czy jego poświęcenie uratuje ją, czy nie.

Wydawała się taka maleńka. Kanapa stała zaledwie metr dalej, ale

równie dobrze mógłby to być rok świetlny. Zalala go nowa fala smutku, dusząca i bolesna. Nigdy już nie dotknie swojej małej córeczki! Ten pocałunek, uścisk z wczorajszego wieczoru były ostatnim pożegnaniem.

Spojrzał na Lindę. Słuchała Obcego, wpatrzona w niego intensywnie. Sam wchłaniał widok jej kasztanowych włosów i brązowych oczu, a potem zamknął powieki i wspominał ją tak mocno, że niemal czuł jej zapach, woń mydła i kobiety, tak charakterystyczny dla Lindy jak jej DNA.

Wspominał ją w ubraniu i z klasą, wspominał ją nagą pod sobą, w pracowni, umazaną farbami i spoconą.

Wspominał też córkę. Wspominał ten przyptyw miłości, który poczuł, kiedy usłyszał jej pierwszy krzyk. Było to tak silne uczucie, że bał się, że go pochłonie. Płomienne i potężne, większe niż kiedykolwiek mógł się spodziewać.

Wspominał jej śmiech, jej łzy, jej ufność.

Na koniec wspominał je obie razem, żonę i córkę. Mała Sarah śpiąca w ramionach Lindy, po długiej nocy z kolką.

Wspominał i czuł ból, czuł gniew, chciał walczyć, ale...

Wypadkowa jest zawsze taka sama.

Otworzył oczy i odwrócił się do Lindy. Tym razem patrzyła na niego. Próbował uśmiechnąć się do niej oczami, przekazać wszystko, co czuł, a potem zamknął oczy na chwilę i skinął głową.

W porządku, kochanie, mówił jej. Zrób to, w porządku.

Linda wiedziała, co mówi mąż. Oczywiście, że wiedziała – porozumiewali się bez słów wiele razy.

Może różnimy się pod wieloma względami, mówił. Ale w tym, co

najważniejsze, jesteśmy jak jedna osoba.

Z prawego oka pociekła jej łza.

– Zdejmę mu knebel i rozkuję ci kajdanki na rękach. Położysz mu ręce na szyi i będziesz ścisnąć dotąd, aż umrze. Zabijesz go, a Sarah będzie na to patrzeć. To będzie dla ciebie straszne, wiem, ale nie tknę Sarah po tym, jak skończę z wami.

Przekrzywił głowę, jakby zauważył po raz pierwszy, że Sam i Linda coś sobie przekazali.

– Już postanowiliście, co? Oboje. – Zamilkł na chwilę. – Słyszałaś to, mała? Mamusia zabije tatusia, żebym cię nie przypalał ogniem. Wiesz, czego powinnaś się z tego nauczyć?

Brak odpowiedzi.

– To taka sama lekcja jak wcześniej. Mamusia będzie bezwzględna i cię ocali. Słyszysz mnie, Sarah? Bezwzględność mamusi cię ocali. Ocali cię jej chęć do przejęcia twojego bólu. To siła wynikająca z matczynej miłości.

Sarah słyszała, co mówi Obcy, ale słowa wydawały jej się nierzeczywiste. Wierzyła w potwory. A potwory w końcu zawsze przegrywały.

Naprawdę?

Bóg pilnował, żeby dobrym ludziom nie stało się nic naprawdę złego. Tak będzie i teraz. To, że zginął Buster, było przerażające, koszmarnie, okropne. Ale jeśli Sarah wytrzyma, to Obcy nie wygra. Tatuś go powstrzyma albo Bóg, albo nawet mamusia.

Skupiała się na tym, by nie wierzyć w to, co mówi mężczyzna, i czekała na chwilę, kiedy będzie już po wszystkim, a mamusia, tatuś i

Doreen będą cali i zdrowi.

Linda Langstrom słuchała, jak Obcy mówi do jej córki. Czowała wściekłość i rozpacz. Kim jest ten człowiek? Wszedł do ich domu w środku nocy, bez obaw i wahania. Wszedł do sypialni z pistoletem, obudził ich szeptem. „Jeśli krzykniecie, będzie po was. Jeśli nie będziecie wykonywać poleceń, zginiecie”.

Od samego początku panował nad wszystkim bezwzględnie. Był siłą nie do powstrzymania, przedmiotem nie do ruszenia. Teraz zapędził ich do narożnika, z którego było tylko jedno wyjście. Musiała zabić Sama, żeby nie torturował Sarah. Jaki człowiek ma wybór w takich warunkach? Obcy nimi manipulował, zdawała sobie sprawę. Mógł i tak skrzywdzić Sarah. Nawet zabić.

Ale mógł tego nie zrobić. I taka możliwość... jaki w końcu miała wybór?

Wściekłość była bezsilna, dobrze o tym wiedziała. Rozpacz aż dusiła. Sam umrze. Ona umrze. Sarah może przeżyje. Ale kto ją wychowa? Kto ją będzie kochał?

Kto będzie pilnował jej dziecka, patrząc z chmur?

– Zdejmę knebel wam obojgu. Sam, będziesz mógł powiedzieć dwa ostatnie zdania, jedno do żony, jedno do córki. Lindo, możesz powiedzieć jedno zdanie do Sama. Jeśli złamiecie te zasady, Sarah będzie przypalana. Rozumiecie?

Oboje skinęli głowami.

– Bardzo dobrze.

Najpierw usunął knebel Lindzie, potem Samowi.

– Daję wam minutę. Jedno zdanie to niewiele, zwłaszcza kiedy jest

ostatnie. Więc nie bądźcie frywolni.

Sam spojrział na córkę, na żonę. Zerknął na Doreen, która machała do niego ogonem. Głupie, kochane psisko.

Zastanawiał się, dlaczego się nie boi. Z jednej strony, wszystko było jasne i wyraziste, z drugiej, miał wrażenie, jakby unosił się w oparach surrealizmu. Szok? Może.

Skupił się. Co ma powiedzieć na sam koniec? Co ma powiedzieć Lindzie, która za chwilę będzie zmuszona go zabić? Co chciałby przekazać córce w tej chwili?

Przez głowę przemykały mu najrozmaitsze rzeczy, zdania składające się z pięćdziesięciu słów, przeprosin, pożegnań. Na koniec pozwolił, by słowa płynęły z głębi, bez żadnej kontroli, i miał nadzieję, że będą właściwe.

Popatrzył na żonę.

– Jesteś dziełem sztuki – powiedział.

Popatrzył na córkę.

– Co za dzień – powiedział, uśmiechając się.

Sarah patrzyła na niego przez chwilę zdziwiona, po czym uśmiechnęła się tym samym uśmiechem, który od zawsze chwycił go za serce.

– Co za dzień, tatusiu – odpowiedziała.

Linda patrzyła na męża i walczyła z duszącym bólem. Co ma powiedzieć temu mężczyźnie? Swojemu Samowi, który tyle razy ją ratował? Uratował ją przed zwątpieniem w samą siebie, uratował ją przed życiem bez miłości. Jedno zdanie? Mogłaby mówić przez cały rok bez przerwy i nadal byłoby za mało.

– Kocham cię, Sam. – Słowa wymknęły jej się same i w pierwszej

chwili chciała krzyżeć, chciała je cofnąć, bo to za mało jak na ostatnie słowa do własnego męża.

Ale zobaczyła jego oczy i uśmiech i zrozumiała, że choć nie było to doskonałe zdanie, było jedyne właściwe. Poślubiła swoją pierwszą, młodzieńczą miłość. Kochała go w śmiechu i gniewie, pocałunkami i krzykami. Wszystko zaczęło się od miłości i skończyło na miłości.

Oczekiwała, że Obcy coś powie, będzie się naśmiewał z tych ostatnich słów, ale tego nie zrobił. Stał i czekał w milczeniu. Można było odnieść wrażenie, że to szanuje.

– Dziękuję, że trzymaliście się zasad – powiedział. – Naprawdę nie chciałem przypalać Sarah. – Chwila przerwy. – A teraz zaczniemy duszenie. To nie takie proste, jak się może wydawać, więc posłuchajcie tego, co wam powiem.

Linda i Sam słuchali mężczyzny, ale patrzyli na siebie. Mówili bez słów. Obcy opowiadał, udzielał Lindzie praktycznych porad, jak zabić męża.

– Nie chcę, żeby to bolało czy trwało ileś czasu. Jeśli umrze szybko, w porządku. Chcę tylko, by się to stało. Musisz skupić się na tym i na tym miejscu. – Dotknął punktów wysoko po bokach szyi Sama, w pobliżu szczęki. – To arterie szyjne. Jeśli odetniesz dopływ krwi w tych miejscach, straci przytomność, zanim zabije go brak powietrza. Jednocześnie musisz obiema rękami napierać na krtań, żeby odciąć mu dopływ powietrza. – Obcy zademonstrował to, nie dotykając szyi Sama. – Potem trzymasz go tak, aż przestanie oddychać. Proste. Skuję mu ręce na plecach, żeby nie mógł ich podnieść i odepchnąć twoich rąk. – Obcy wzruszył ramionami. – To się zdarza nawet przy samobójstwach. Pewien mężczyzna założył sobie

plastikową torbę na głowę, szczelnie zakleił ją taśmą wokół szyi i skulił sobie ręce kajdankami na plecach. Kiedy zaczęło mu brakować powietrza, chyba zmienił zdanie, bo omal nie wyrwał sobie kciuków, próbując zdjąć kajdanki. Nie chcemy, żeby doszło do czegoś takiego.

Sam był pewien, że Obcy ma rację. Czuł własny strach, odległy, ale przyczajony, stukający do drzwi.

Świnko, świnko, wpuść mnie do środka...

Nie. Nie chciał umierać, tą prawdą. Ale musiał. To wynika z tego, a to z tego, a wypadkowa jest zawsze taka sama. Ocalić Sarah. Nie zawsze można mieć to, co się chce. Życie jest ciężkie...

... a potem się umiera.

Sam westchnął. Jeszcze raz rozejrzył się dookoła. Najpierw popatrzył na pokój, na kuchnię, na ocieniony trawnik przed domem. Na swój dom, w którym kochał żonę i wychowywał dziecko, gdzie przeżyli pierwszą poważną kłótnię. Potem na Sarah, żyjący, oddychający owoc ich miłości. W końcu spojrzał w oczy żony. Głębokim, długim spojrzeniem, którym próbował tyle jej przekazać. Miał nadzieję, że zrozumiała wszystko albo chociaż część. A potem zamknął oczy.

Och, Sam, nie... Linda zrozumiała, co robił, co właśnie zrobił. Pożegnał się. Zamknął oczy i wiedziała, że już ich nie otworzy. Sam był do bólu logiczny. To właśnie w nim kochała i to czasami doprowadzało ją do szaleństwa. Był w stanie przewidzieć wszystko na trzy ruchy naprzód, znaleźć rozwiązanie, podczas gdy ona wciąż się zastanawiała.

Sam prawdopodobnie wiedział, że umrą, na długo przed tym, nim powiedział im o tym Obcy. Przeanalizował sytuację, rozważył wszystko,

co może kierować tym człowiekiem, i uświadomił sobie to, co nieuchronne. Od tamtego czasu tylko czekał. I czuł.

– Pieprz się!

Słowa wydobyły się z jej ust, nim zdołała się powstrzymać. To był skutek emocji, nie logiki. Obcy przerwał, spojrzał na nią i przekrzywił głowę.

– Przepraszam... co powiedziałaś?

– Żebyś się pieprzył – warknęła. – Nie zrobię tego. Spojrzała na Sama. Dlaczego nie otworzył oczu?

Obcy pochylił się nad nią. Patrzył na nią przez długą chwilę, a ona trwała jak statua. Kamienna, bez czucia, niewzruszona.

– Mylisz się – powiedział.

Zakleił z powrotem jej usta, potem Samowi. Nie wyglądał przy tym na zdenerwowanego. Bez słowa podszedł do Sarah, zakneblował ją, chwycił jej zakute w kajdanki ręce i szarpnął. Włożył pistolet za pasek spodni i sięgnął do tylnej kieszeni po elegancką złotą zapalniczkę. Serce Lindy zamarło, kiedy usłyszała szcęknięcie otwieranej zapalniczki. Ponownie potarł kółko kciukiem i pojawił się płomień.

Sprawdził, czy Linda dobrze widzi i trzymał rękę Sarah nad płomieniem przez trzy pełne sekundy.

Linda i Sarah krzyczały cały czas. Obcy robił tylko to, co było jedynym obowiązkiem silnych ludzi: oddychał spokojnie i pewnie.

Sarah nie mogła uwierzyć, jak bardzo bolało. Musiała przestać krzyczeć, żeby móc oddychać przez nos.

Wszystkie te odległe rzeczy teraz się zbliżyły. Emocje stały się jak oślepiająco biała kartka wewnątrz niej, przerażenie, ból, koszmar. Od potwora nie można było uciec. Teraz była już tego pewna. I ta świadomość ją niszczyła.

Matka wyła z wściekłości, kiedy Sarah była przypalana. Linda szarpała kajdankami tak rozpaczliwie, że gdyby nie były od środka wyłożone materiałem, rozdarłaby sobie ciało na nadgarstkach aż do kości. Mamusia wciąż była mamusią, ale tryskała groźną energią, jakiej Sarah jeszcze nie widziała.

Nawet Obcy był pod wrażeniem.

– Wspaniale – powiedział. – Jesteś jedną z najbardziej przerażających istot, jakie widziałem.

Sarah przyznała mu rację.

– Problem w tym, Lindo, że ja jestem bardziej przerażający. – Pokręcił głową. – Nie rozumiesz? Nie wygrasz. Nie pokonasz mnie. Ja jestem siłą. Ja jestem pewnością. Ciągłe masz ten sam wybór: zrób, co ci każę, albo patrz, jak przypalam Sarah i zmieniam ją w wariatkę nadającą się do pokazywania w cyrku.

Matka się uciszyła. Sarah próbowała spojrzeć na tatusia, ale miał zamknięte oczy.

– Daję ci kilka chwil na wzięcie się w garść. Całą minutę. Potem albo

powiesz mi, że jesteś gotowa, i ruszymy dalej, albo porządnie przyłożę zapalniczkę do Sarah.

Sarah zadrżała ze strachu na myśl o kolejnym płomieniu, kolejnym bólu. I co miał na myśli, mówiąc „ruszymy dalej”? Wcześniej czekała w swoim odległym miejscu, aż potwory sobie pójdą. On mówił coś wtedy, coś ważnego. Próbowwała sobie przypomnieć.

Coś o mamusi i tatusiu...

Mamusi zabijającej tatusia...

Przypomniała sobie, otworzyła szeroko oczy, a odległe miejsce znów zaczęło ją wzywać.

Linda próbowała za wszelką cenę wziąć się w garść. Zamieniła się w szum i trzaski, jedno wielkie spięcie w duszy. Wściekłość wzięła górę. Nie była w stanie jej poskromić. Oczy nabiegły jej krwią, wkroczyły gniew i pustka, niszcząc resztki równowagi. Bolały ją nadgarstki, czuła nadmiar tlenu i mdłości w żołądku od zastrzyku adrenaliny.

Sam, cholerny Sam, wciąż miał zamknięte oczy. Wiedziała dlaczego i nienawidziła go za to. Nienawidziła, że ma rację. Za to, że wiedział, że to koniec, za to, że wiedział, że nie ma żadnego wyjścia, za to, że się z tym pogodził.

Nie, nie, kochała Sama, nie nienawidziła. To był cały on. Najbardziej chyba kochała go za jego intelekt, jasność i błyskotliwość umysłu. Był teraz taki odważny. Pożegnał się, zamknął oczy i odsłonił szyję, gotów na jej ręce, które miały go udusić.

CbzS?

Przyszło jej do głowy stare powiedzenie: Co by zrobił Sam?

To była mantra, którą nuciła sobie, kiedy emocje walczyły w niej ze zdrowym rozsądkiem. Sam był spokojny, Sam był logiczny, Sam był nieporuszony. Zdolny do wściekłości, kiedy to miało jakieś znaczenie, ale drobiazgi kwitował wzruszeniem ramion.

Kiedy ktoś zablokował jej drogę na autostradzie i zaczęła głośno przeklinać przy Sarah, brała głęboki oddech i pytała samą siebie: „CbzS”? Co by zrobił Sam?

Nie zawsze to się udawało, ale to pytanie stało się częścią jej samej i pojawiło się także teraz, kiedy najbardziej go potrzebowała.

Sam przeanalizowałby fakty. Linda wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

Fakt: nie możemy uciec. Skuł nas kajdankami, kajdanki ani drgną. Jesteśmy w pułapce.

Fakt: nie da się z nim negocjować.

Fakt: zabije nas.

Te dwa ostatnie fakty były prawdziwymi faktami. Spokojna pewność Obcego, profesjonalizm, z jakim wszystko robił, łącznie z przypalaniem ręki Sarah, nie pozostawiał wątpliwości, kim jest i co zrobi. Zrobi to, co mówi.

Ale czy ocali Sarah, jeśli zrobimy, co każe?

Fakt: nie mamy pewności, że to zrobi.

Fakt: nie mamy pewności, że tego nie zrobi.

Wszystko to doprowadziło Sama do zamknięcia oczu: to wynika z tego, a to z tego, a wypadkowa jest zawsze taka sama.

Fakt: została nam jedynie nadzieja, że ją oszczędzi. Tylko tyle jesteśmy w stanie kontrolować.

Otworzyła oczy. Obcy na nią patrzył.

– Podjęłaś decyzję? – zapytał.

Mrugnęła raz, potakująco. Zdjął jej taśmę z ust.

– Zrobię to – powiedziała.

Znów ten błysk podniecenia, duch, który pojawił się na chwilę w jego oczach.

– Doskonale – powiedział. – Najpierw znów skuję Samowi ręce za plecami. – Zrobił to szybkimi, wprawnymi ruchami. Sam nie otworzył oczu i się nie opierał. – A teraz, Lindo, zdejmę ci kajdanki z rąk. Być może będziesz chciała znów coś zrobić. – Pokręcił głową. – Lepiej nie. Nic ci to nie da, a ja spalę lewą rękę Sarah, aż stanie się bezkształtną masą. Rozumiesz?

– Tak – odparła głosem pełnym nienawiści.

– Dobrze.

Zdjął kajdanki. Zastanawiała się, czy go nie zaatakować, ale tylko przez chwilę. Marzyła, że mu się wyrywa, chwytą go za szyję i ściska z całą wściekłością i żalem, jakie przepełniają jej serce, ściska tak, aż oczy wychodzą mu na wierzch.

Ale wiedziała, że to czysta fantazja. Był doświadczonym drapieżnikiem, wyczulonym na wszelkie sztuczki swoich ofiar.

Nadgarstki bolały ją tępym, głębokim bólem. Z radością powitała to uczucie. Przypomniało jej poród Sarah. Piękny, koszmary ból.

– Zrób to – polecił Obcy beznamiętnym i twardym głosem.

Linda spojrzała na Sama, który miał wciąż zamknięte oczy, na swojego pięknego mężczyznę, swojego pięknego chłopca. Był silny tam, gdzie ona była słaba, miał w sobie czułość, ale potrafił być szorstki i arogancki,

dawał jej najdłuższe wybuchy śmiechu i najsilniejsze ukłucia żalu. Przenikał przez jej zewnętrzne piękno i widział w niej także to, co brzydsze, a mimo to ją kochał. Nigdy nie tknął jej w gniewie. Uprawiali seks pełen miłości i czułości, ale pieprzyli się też na dworze w czasie burzy, drżąc od uderzeń zimnej wody w nagą skórę i przekrzykując wiatr.

Linda zrozumiała, że mogłaby tak wymieniać bez końca.

Wyciągnęła rękę. Drżały. Kiedy dotknęła jego szyi, zakrztusiła się.

Pamięć dotyku.

Dotknięcie szyi Sama wywołało w niej wspomnienia tysięcy innych chwil. Miliony drobnych zacięć papierem na duszy, wszystkie krwawiły.

Otworzył oczy i miliony draśnień przerodziły się w jeden rozdzierający ból.

Linda uwielbiała oczy Sama. Były szare, intensywne, otoczone długimi rzęsami, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta. Były takie wyraziste, pełne emocji.

Przypomniała sobie, jak patrzył na nią tymi oczami przez stół podczas kolacji z okazji jednej z rocznic ślubu. Uśmiechał się do niej.

– Wiesz, co najbardziej w tobie uwielbiam? – zapytał wtedy.

– Co?

– Twoje cudowne wariactwo. To, że potrafisz ułożyć chaos w rzeźbę czy obraz, ale nie potrafisz ułożyć bielizny w szufladzie. To, jak miotasz się całą sobą, kochając mnie i Sarah. To, że nigdy nie zapominasz odcieni błękitu, ale nigdy nie pamiętasz, że trzeba zapłacić za telefon. Wnosisz do mojego życia szaleństwo, bez którego bym zginął.

Sam ją teraz kochał, widziała to. Te oczy, te intensywne szare oczy emanowały uczuciami. Miłością, smutkiem, gniewem, bólem i radością.

Zanurzała się w nich i miała nadzieję, że Sam zrozumiał wszystko, co teraz czuła, każdy odcień.

Mrugnął do niej i parsknęła śmiechem – zduszonym, ale jednak śmiechem. Potem Sam znów zamknął oczy i wiedziała, że jest gotów. Ona nigdy nie będzie gotowa, ale nadszedł czas.

Zaczęła ścisnąć.

– Jeśli nie chwycisz go silniej, będzie umierał godzinami – pouczył ją Obcy.

Linda ścisnęła. Czuła pod palcami bicie tętna Sama, czuła jego życie i zaczęła płakać. Głębokie, długie szlochanie dochodzące z tego nieokreślonego obszaru, gdzie ból szarpał najmocniej.

Sam słyszał, jak żona płacze. Czuł, jak jej ręce zaciskają się na jego szyi. Chwyciła go we właściwych miejscach. Odcięła mu dopływ krwi do mózgu. Poczul w głowie ogromne ciśnienie oraz zawroty, a potem lekki ból w klatce piersiowej. Zaczęły go palić płuca.

Nie otwierał oczu, spoglądał w ciemność. Modlił się, żeby ich nie otworzyć, kiedy będzie umierał. Nie chciał, żeby Linda musiała patrzeć, żeby widziała, jak ucieka z niego życie.

Jeszcze większe palenie w płucach, pojawiła się panika, zaczął ją wyczuwać z oddali.

Walcz z tym, Sam, wydał sobie rozkaz. Trzymaj się, to nie będzie trwało, za chwilę stracisz przytomność.

Wiedział, że tak będzie. Czuł to, świadomość zaczęły otaczać czarne chmury. Iskry. Kiedy zapadnie w ciemność, to będzie koniec. Te iskry to były ostatnie fragmenty jego ja. Najpierw otoczy go czerń, a potem sam stanie się czernią.

Ohooo...

Umknęła mu chwila. Zamiast iskier pojawił się błysk, ale nie światła, tylko ciemności. Uświadomił sobie, że to nie będzie coś, czego się można spodziewać, to coś będzie się skradać. Błysk ciemności pojawi się i zostanie już na zawsze.

Kolejny błysk, tym razem jasny, oślepiający, aż do bólu cudowny. On i Linda, nago w deszczu, krople takie mocne i takie zimne. Drżeli i pieprzyli się, ona była na nim, niebo nad jej głową rozświetliła błyskawica, on wtedy przeżył taki wielki orgazm...

... Sarah płacząca na sali porodowej, nie mógł oddychać, zmiękły mu kolana, przepełniało go uczucie triumfu...

... Sarah biegnąca do niego z włosami rozwianymi na wietrze, szeroko otwartymi ramionami, śmiejąca się do świata, Linda biegnąca do niego z włosami rozwianymi na wietrze, szeroko otwartymi ramionami, śmiejąca się do świata...

Cozadzień Cozadzień Cozadzień.

Ostatni błysk i Sam Langstrom umarł.

Uśmiechał się.

Linda miała pustkę w głowie.

Sam osunął się w fotelu. Czuła, jak jego puls przyspiesza pod jej palcami, potem słabnie, a potem całkowicie zamiera.

Czuła krew Sama na swoich rękach. Tak naprawdę jej nie było, ale ją czuła. Przez głowę przebiegało jej jedno słowo, raz za razem, jak wielki czarny nietoperz, który zakrywa gwiazdziste niebo. Przerazenie. Przerazenie, przerazenie, przerazenie...

– Świetna robota, Lindo.

Dlaczego w ogóle nie zmienia mu się głos? – zastanawiała się. Zawsze brzmi tak samo. Spokojny i szczęśliwy przy tych wszystkich strasznych, strasznych, strasznych okropnościach.

Zadrzała jeszcze raz i powstrzymała szloch.

Może go tam, w środku, w ogóle nie ma. Może to tylko taki golem, chodzący potwór z gliny bez duszy, która by nim kierowała.

Linda spojrzała na córkę. Czuła, jak jej serce zamiera. Sarah miała oczy otwarte, ale nic nie widziała. Wpatrywała się w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Kiwała się w przód i w tył. Miała zaciśnięte usta aż do białości.

Wiem, jak się czujesz, kochanie, pomyślała Linda w rozpacz.

– Wiem, że cierpisz – powiedział Obcy. Głos mu złagodniał. – Zaraz to skończymy, skończymy ten koszmary, okropny ból, na zawsze. – Popatrzył na Sarah, która kołysała się w przód i w tył. W kącie ust zebrał jej się strumyk śliny, który kapał na podłogę. – Dotrzymam słowa. Jeśli wykonasz polecenia i nie będziesz kombinować, nie zrobię jej krzywdy.

Już ją skrzywdziłeś na zawsze, pomyślała Linda. Ale może będzie miała jeszcze szansę, jeśli nie umrze. Z emocjonalnego wstrząsu można się wyleczyć. Od śmierci nie ma odwrotu.

Obcy stanął za Samem. Wyciągnął kluczyki z kieszeni kurtki, uklęknął i zdjął kajdanki ze stóp, a potem z nadgarstków Sama. Sam pochylił się i uderzył o podłogę jak wór kartofli.

– Posłuchaj, co teraz się stanie – powiedział Obcy do Lindy. – Dam ci te kluczyki. – Wręczył je. – Zdejmij, proszę, kajdanki z kostek. – Linda wykonała polecenie. Sięgnął lewą ręką za plecy i wyciągnął zza paska pistolet. – Teraz położę pistolet na podłodze, tutaj. – Położył. Stanął za Sarah i przyłożył jej drugi pistolet do głowy od tyłu. – Za chwilę zacznę odliczać. Kiedy doliczę do pięciu, a ty nie strzelisz sobie w głowę z pistoletu, strzelę Sarah w tył głowy. Potem będę cię gwałcił godzinami i torturował przez wiele dni. Rozumiesz?

Linda bezradnie kiwnęła głową.

– Dobrze. Pamiętaj, że broń to wielka siła. Kiedy dotkniesz tego pistoletu, możesz poczuć, że ta siła spłynęła na ciebie. Możesz chcieć zrobić coś śmiałego i szalonego. Ale nie próbuj. Jeśli tylko lufa zacznie kierować się w moją stronę, zabiję Sarah. Jeśli tylko oderwiesz ją od swojej głowy, zabiję Sarah. Rozumiesz?

Linda patrzyła na niego bez słów.

– Lindo – zwrócił się do niej cierpliwie. – Słyszałaś, co powiedziałem?

Zdołała skinąć głową. Kosztowało ją to mnóstwo sił. Była taka zmęczona.

Sam odszedł, pomyślała. Ja też już czuję się martwa.

Spojrzała na broń leżącą na dywanie. Miała ją za chwilę wziąć do ręki.

Miała skończyć to wszystko, miała pozwolić jej połączyć się z Samem, miała ocalić Sarah (taką miała nadzieję).

Pistolecie, błysku w gąszczach mroku...

– Podaruję ci tyle, ile podarowałem twojemu mężowi. Tylko jedno zdanie. To twoja ostanía szansa, żeby coś powiedzieć do Sarah.

Linda spojrzała na swoją piękną córkę, drżącą, z białymi ustami.

Czy w ogóle zapamięta, co jej powiem?

Linda miała taką nadzieję. Musiała mieć nadzieję, że jej ostatnie słowa wwiercą się gdzieś w świadomość Sarah, że później wypłyną na powierzchnię i będą stanowić pocieszenie.

Może pojawią się w jej snach.

– Jestem w chmurach i patrzę na ciebie, Sarah, zawsze.

Sarah nadal kołysała się w przód i w tył i się śliniła.

– To bardzo miłe – powiedział Obcy. – Dziękuję, że trzymasz się zasad.

I znów pojawiła się wściekłość. Linda poczuła się rozpalona do białości jak błękitny płomień, pędząca lawa, jak wybuch słońca.

– Kiedyś umrzesz – szepnęła drżącym głosem. – I to będzie okropna śmierć. Z powodu tego. Z powodu tego, co robisz.

Obcy popatrzył na Lindę i się uśmiechnął.

– Karma. Interesująca koncepcja. – Wzruszył ramionami. – Być może masz rację. Ale jeśli tak, to nastąpi to kiedyś. A my jesteśmy teraz. I teraz zaczynam odliczać. – Przerwał. – Będę liczył powoli. Spokojnie. Będę liczył do pięciu.

– Kiedy będę umierać, będę widzieć ciebie. Jak giniesz okrutną śmiercią.

Te bezwartościowe słowa niczego nie zmieniały, ale były ostatnim

znakiem oporu, na jaki mogła się zdobyć. Obcy chyba nawet jej nie słuchał.

– Jeden – zaczął odliczać.

Linda musiała odwrócić się od swojej wściekłości. Musiała spojrzeć na pistolet, który leżał na podłodze.

A więc to koniec.

Wszystko dookoła zaczęło cichnąć. Jakby ktoś przykręcił potencjometr głośności życia. Słyszała bicie własnego serca i powolne odliczanie Obcego.

Jeden już było. Potem będzie dwa. Potem trzy. Potem cztery. A potem...? Powinna odczekać, aż usłyszy pięć? A może powinna pociągnąć za spust tuż przed pięć?

Po co czekać, nie wahaj się...

„Jeden” wciąż brzmiało jej w uszach, kiedy sięgała po pistolet. Słyszała, jak wibruje w powietrzu. Czas zaczął się wydłużać, jakby każda sekunda wypełniona była nieskończoną ilością ostrych krawędzi, a ona ocierała się o nie wszystkie jednocześnie.

W życiu jest więcej cierpienia niż przyjemności. Wiedziała o tym jako artystka. To był tajemniczy składnik dodawany do mieszanek, z których powstawały jej obrazy i rzeźby.

Ostre krawędzie. Dzięki nim wiemy, że wciąż jeszcze jesteśmy w grze.

Przyklękła na dywanie i podniosła broń. Pilnowała, by nie skierować lufy w stronę Obcego.

– Dwa.

Kiedy to powiedział, poczuła wstrząs, jakby dostała w twarz.

Uczucie pieczenia minęło.

Linda nie mogła się nadziwić, jak chłodna jest stal. Jak gładko wypolerowana. Ciężka, brutalna obietnica wieczności.

Tym końcem w stronę wroga, myślała, patrząc na lufę.

Ktoś to opracował. Ktoś to wymyślił, naszkicował, przeanalizował to na wszystkie sposoby. Weźmy kawałek stali i wypełnijmy go stalowymi ptaszkami, a potem wyślijmy je za pomocą wybuchu w stronę innych ludzi.

– Trzy.

Tym razem miała większą świadomość wypowiedzianej liczby.

Pistolet miał nałożony tłumik. To był pistolet zabójców, płatnych morderców, niosący śmierć w tajemnicy.

Mimo wszystko to tylko kawałek metalu. Tylko tyle i nic więcej. Nie był ludzki. Nie da się antropomorfizować pistoletu. Mierzy się i strzela.

Jak to mówią marines? To mój karabin. Jest wiele podobnych, ale ten jest mój...

– Cztery.

Czas stanął w miejscu. Nie zwolnił – zamarł jak skuty lodem. Czują ten lód na sobie. Była jak muszka uwieczona w bursztynie.

A potem błysk.

Sam na podłodze.

Błysk.

Sam w jej ramionach.

Błysk.

Sam odwieszający słuchawkę, blady jak ściana. Patrzy na nią. „Zmarł mój dziadek”. Łzy i Sam znów w jej ramionach.

Błysk.

Sam nad nią, oczy ma zasnuwane mgiełką miłości i pożądania, twarz wykrzywiona z rozkoszy. Prosiła, by wytrzymał jeszcze sekundę, jeszcze sekundę, jeszcze sekundę...

To ta chwila, uświadomiła sobie ze zdumieniem. To uczucie, które ma się na skraju orgazmu, kiedy człowiek ze wszystkich sił stara się odsunąć nadchodzącą detonację i oślepiające światło. To miejsce, gdzie wstrzymuje się oddech, gdzie serce przestaje bić, chwila życia i śmierci.

Błysk.

Sarah.

Sarah się śmieje.

Sarah płacze.

Sarah żyje.

Och.

Boże.

Sarah.

W ostatnim błysku Linda zrozumiała, czego będzie jej brakować najbardziej na świecie: miłości do córki. Przeszyła ją tęsknota, będąca sumą wszystkich tęsknot, które kiedykolwiek wyrzeźbiła i namalowała.

Jeśli ból może być jak deszcz, to był ocean bólu.

Wydobył się z niej w postaci skowytu. Nie mogła nad tym zapanować. Wyrwał się z niej. Krzyk bólu zdolny zatrzymać ptaka w locie.

Nawet Obcy skrzywił się na odgłos tego skowytu, ale tylko trochę. To była siła niemalże fizyczna.

SarahSamSarahSamSarahSam

Błysk.

Odgłos strzału zabrzmiał w pokoju jak wyciszony tłumikiem grzmot.

Sarah na chwilę przestała się kołysać.

Lewa strona głowy Lindy wybuchła.

Linda nie miała racji.

W ostatniej chwili życia nie myślała o śmierci.

Myślała o miłości.

Hej, to ja. Współczesna Sarah. Będę pisała o przeszłości, a potem czasami będę wracała do teraźniejszości. Tylko tak mogę przez to przebrnąć.

Co do mojej mamy – może w ostatniej chwili myślała o strachu, może o niczym, nie wiem. Nie mogę tego wiedzieć. Była tam i tatuś tam był, ja też tam byłam – i to wszystko jest prawdą. On zmusił ich, żeby się pozabijali, a ja na to patrzyłam – i to też jest prawda. Czy to prawda, że mamusia była taka szlachetna przed śmiercią samotna i cierpiąca w myślach? Nie wiem.

Ale ty też przecież nie wiesz.

Wiem na pewno, że mama miała w sobie mnóstwo miłości. Mawiała, że jej rodzina to część sztuki. Mawiała, że beze mnie i tatusia też by malowała, ale tylko ciemnymi kolorami.

Lubię myśleć, że w ostatniej chwili miała taką pewność, że robiła to po to, by mnie ocalić. I ocaliła mnie, niezależnie od tego, co działo się później.

Nie wiem na pewno, czy w ostatniej chwili myślała o miłości.

Ale to, co zrobiła, na pewno zrobiła z miłości.

Zamykam pamiętnik Sarah i patrzę na budzik. Jest trzecia nad ranem.

Muszę zrobić sobie przerwę. Dopiero co zaczęłam poznawać koszmar życia Sarah, a już czuję, że przeraża mnie i drzę z tego powodu. Nie myliła się: ma talent. Jej opisy są aż nazbyt żywe. Szczęście dawnego życia kontrastowało z gorzkim humorem wstępu. Czuję się przygnębiona i brudna. Wyżęta.

Jak ona to nazwała? Wyprawa do źródła.

Mam to przed oczami. Księżyc w bezwstydnej pełni, mroczne istoty pijące złą wodę...

Drzę, bo ja także czuję strach wewnątrz. Te koszmary, które przydarzały się Sarah, nie są tak znowu odległe od tego, co przydarzyło się Bonnie...

Zerkam na Bonnie. Śpi jak zabita z beztroską na twarzy, z jedną ręką na moim brzuchu. Wyplątuje się z jej objęcia, podnoszę jej rękę tak ostrożnie jak biedronkę, którą wypuściłam dzisiaj na dwór. Otwiera na chwilę usta, a potem zwija się w kłębek i śpi dalej.

Jeszcze niedawno budziła się przy najmniejszym ruchu. To, że teraz może już spać, uspokaja część moich obaw. Jej stan się poprawia. To prawda, jeszcze nie mówi. Ale czuje się lepiej. Jeśli tylko uda mi się utrzymać ją przy życiu...

Zsuwam się z łóżka i na palcach wychodzę z sypialni, idę na dół do kuchni. Sięgam do szafki nad lodówką i odnajduję mój ukryty grzech i mały wstyd. Butelkę tequili. To mój przyjaciel Jose Cuervo, zupełnie jak z

tej piosenki z reklamy.

Patrzę na nią i myślę: nie jestem alkoholiczką.

Przez długi czas analizowałam to stwierdzenie, bo przecież „wszyscy wariaci twierdzą, że nie są wariatami”. Zastanawiałam się, pozwalając sobie na wątpliwości, i doszłam do wniosku: nie jestem alkoholiczką. Piję dwa lub trzy razy w miesiącu. Nigdy dłużej niż przez dwa dni z rzędu. Czuję potem przyjemny szumek, ale nigdy nie upijam się na umór.

Jest jednak jedna wielka prawda, potężna jak słoń stojący w salonie: do czasu śmierci Marta i Alexy nigdy nie szukałam pocieszenia w alkoholu. Nigdy, przenigdy, ani razu.

To mnie niepokoi.

Miałam kiedyś wuja ze strony ojca, który był pijakiem. Nie był zabawnym, przyjemnym, uroczym, podchmielonym wujkiem. Nie miał ciągot artystycznych, nie umartwiał się, nie upijał się z żalu. Był żenujący, gwałtowny i zły. Jechało od niego wódą i gorszymi rzeczami. Na jednym z rodzinnych spotkań chwycił mnie za ramię tak mocno, że został mi siniak, przysunął śmierzące alkoholem usta na kilka centymetrów do mojej przerażonej twarzy (miałam wtedy zaledwie osiem lat) i powiedział coś błyskotliwego, ohydneho i odrażającego, czego nigdy do końca nie zrozumiałam.

To, co widzimy w dzieciństwie, zapada nam w pamięć najdłużej. Obraz pijaka towarzyszył mi przez całe życie. Ilekroć piłam i czułam, że za chwilę nieco przeholuję, przede mną pojawiała się nieogolona twarz wujka Joego z nieprzytomnymi oczami. Pamiętam smród whisky i zepsutych zębów, i cwaniacki wyraz jego oczu. Odstawiałam wtedy to, co piłam, i miałam już dość.

Jakiś czas po tym, jak straciłam rodzinę, znalazłam się w supermarkecie w dziale z alkoholem. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie kupiłam niczego innego niż butelka wina. Na pewno nie w supermarkecie, nie wczesnym popołudniem. Tequila wpadła mi w oko, przypominałam sobie piosenkę z reklamy.

Chrzanić to, pomyślałam sobie.

Chwyciłam butelkę, zapłaciłam, nie patrząc kasjerce w oczy, i pospieszyłam do domu.

W domu przez dziesięć minut podpierałam brodę rękoma i patrzyłam na butelkę, zastanawiając się, czy nie zaczynam powielać rodzinnych wzorów. Czy nie stanę się taka jak wujek Joe, krew z jego krwi?

E tam, machnęłam ręką. Wujka Joego nikt nie żałował. Ciebie będą. Pierwszy kieliszek poszedł mi dobrze. Nieźle smakował. Podobało mi się to.

Nie upiłam się. Wpadłam... w stan uniesienia. Dalej się nigdy nie posunęłam.

Nalewając dwa centymetry tequili do kieliszka (nigdy więcej), myślę, że problem w tym, iż piję nadal, choć ból po stracie rodziny już nieco ucichł. Teraz pomaga mi to ukoić strach albo zmniejszyć wielką presję.

Niebezpieczeństwo polega nie na tym, że piję, bo chcę, ale dlatego że muszę. Wiem, że to niezbyt zdrowy nałóg.

– Za racjonalizację – mamroczę, wznosząc toast.

Wychyłam kieliszek jednym haustem i czuję się, jakbym połknęła rozpuszczalnik albo ogień, ale to dobre uczucie, pojawia się nacisk za oczami i niemal natychmiastowe zadowolenie. I o to właśnie chodzi. Zawsze myślałam, że łatwiej osiągnąć radość niż zadowolenie. W moim

wypadku wystarczy kieliszek tequili.

– Jose Cuervo, da do do do da da – nucę szeptem.

Zastanawiam się nad drugim kieliszkiem, ale się powstrzymuję. Zakręcam butelkę i odstawiam do szafki. Myję szklanę, pilnując, żeby usunąć wszelkie zapachy. To kolejne lampki ostrzegawcze. Wiem: samotne picie, ukrywanie tego. W końcu muszę przyznać, że z racjonalizacją czy bez wciąż panuję nad nałogiem, a jeśli kiedykolwiek zacznę mu ulegać, to sobie to uświadomię.

Zamyślam się na chwilę. Dlaczego opowieść Sarah tak mnie poruszyła? Dlaczego musiałam od razu pobiec po pana Cuervo? To koszmarne opowieść, ale słyszałam już podobne. Ba, przeżyłam już koszarne historie. Dlaczego właśnie ta tak mną wstrząsnęła?

Bonnie już to rozgryzła: bo Sarah to Bonnie, a Bonnie to Sarah. Bonnie jest malarką, Sarah jest pisarką, obie straciły rodziców, obie żyją w mroku i obu wyrządzono krzywdę. Jeśli Sarah jest skazana na klęskę, to czy Bonnie też to czeka? Te podobieństwa budzą moje obawy. Strach to coś, z czym ostatnio najczęściej się zmagam.

Kiedy rozmawiałam z Elainą, nie zdradziłam, jak bardzo boję się o Bonnie. Gdy ten strach przypląwa, to coś znacznie gorszego niż poczucie dyskomfortu. Brakuje mi powietrza. Zamykam się w łazience, zwijam na podłodze, obejmuję rękoma kolana, trzęsę się w panice.

Psycholog zdiagnozowałby pewnie u mnie stres pourazowy. I podejrzewam, że miałby rację. Ale nie zamierzam o tym rozmawiać. Odcierpię to na swój własny sposób i mam nadzieję, że nie spieprzę przy tym życia Bonnie.

Przekonałam się, że w takich chwilach najlepiej myśleć o czymś innym,

o czymś kompletnie oderwanym od źródła lęku. To, co przychodzi mi do głowy tym razem, specjalnie nie pomaga.

IforUtwo4me, kochanie.

Dlaczego, Matt? Z utratą Alexy już się pogodziłam. Dlaczego nie mogę zapomnieć o tobie? Przestać o tobie myśleć?

Kręci głową.

Bo jesteś sobą. Musisz pamiętać i zyskać wiedzę. Taka już jesteś, taką stworzył cię Bóg czy ktokolwiek inny.

Oczywiście ma rację. Ta prawda stosuje się do wszystkiego: pamiętnika Sarah, IforUtwo4me, przyszłości. To coś, co mnie napędza, pomaga mi oswoić strach: potrzeba poznania zakończenia. Historii Bonnie, historii kolejnej ofiary. Wszystkiego.

A co z moją historią?

Quantico. Drugi słoń pośrodku pokoju. Pojawia się, ilekroć zaczynam o nim myśleć, mądry i o smutnych oczach. Głaszczę jego szarą skórę i uświadamiam sobie, co mnie w nim martwi.

To, że nie martwi mnie wystarczająco mocno.

Uświadamiam sobie, że oto zaproponowano mi ciepłą posadkę, gdyż moja twarz nie nadaje się do pokazywania. Oto zastanawiam się nad czymś, co rozłączyłoby mnie z jedyną rodziną, jaka mi została, co zakończyłoby nowy i pełen możliwości związek z Tommym, co kazałoby zostawić na dobre ten dom i związane z nim wspomnienia – a ja czuję jedynie, że to nadarzająca się okazja.

Zważywszy, że oznacza to rozłąkę z przyjaciółmi i zerwanie z dotychczasowym życiem, powinnam się miotać. A ja czuję tylko niezdecydowanie. Dlaczego?

Nie mogę powiedzieć, że nie robię postępów. Spakowanie rzeczy Marta i Alexy to postęp. Brak koszmarów to też postęp. Dzielenie się niewielką częścią siebie z kimś innym niż Matt to również postęp. Dlaczego więc nie zależy mi bardziej?

Na razie nie doznaję olśnienia, ale dociera do mnie w końcu, że coś jest jeszcze nie tak. Może się oszukuję. Może to, co uznawałam za powracanie do emocjonalnej równowagi, to po prostu uczenie się niezdarnych kroków mimo kalectwa.

Może jakaś część mnie, odpowiedzialna za najgłębsze uczucia, została uszkodzona tak, że nie da się już naprawić.

To nie tłumaczy picia, prawda?

Czas więc wygonić słonia. Wychodzi po cichu, ale patrzy na mnie tymi mądrymi, smutnymi oczyma, które mówią: „To prawda, my, słonie, mamy długie wspomnienia, tak długie jak nasze trąby, ale nie ma w nich żadnych kłów, choć wspomnienia potrafią mieć długie zęby”.

Oblizuję własne zęby i próbuję odnaleźć ślady zadowolenia, ale już widzę, że zarówno na zadowolenie, jak i na sen nie mam co liczyć.

Zadowolenie...

Zaczekaj, słoni, krzyczę. Wróc.

Wraca, przecież to mój słoń. Patrzy na mnie cierpliwymi oczyma.

Właśnie sobie uświadomiłam dlaczego. Bo mimo wszystkich moich postępów... Wciąż nie jestem szczęśliwa, wiesz?

Dotyka mnie swoją trąbą. Patrzy na mnie mądrymi-smutnymi oczyma. Wie.

Nie jestem smutna ani zdesperowana, ale to nie oznacza, że jestem szczęśliwa.

Wspomnienia, owszem, czytam w mądrych-smutnych oczach słonia, wspomnienia mogą mieć długie zęby.

Tak, myślę. A szczęśliwe wspomnienia mają najdłuższe zęby ze wszystkich.

W tym właśnie sęk: zaznałam dużo prawdziwego szczęścia. Prawdziwego, pełnego, do szpiku kości, z całej duszy. Poczucie, że wszystko jest „w porządku”, już mi nie wystarcza. To tak, jakbym była na jakichś proszkach, które sprawiają, że świat nabiera blasku, a teraz je odstawiła i poczuła się jak na głodzie. Nie chodzi o to, że świat jest zły sam w sobie – ale już nie ma blasku, do cholery.

Nie jestem przekonana, czy Tommy, Elaina, Callie, PRACA, czy nawet Bonnie będą w stanie mnie uszczęśliwić w ten sam sposób. Wszystkich ich uwielbiam, ale nie wierzę, że potrafią wypełnić pustkę, sprawić, by świat znów nabrał barw. To okropne i samolubne, ale prawdziwe.

Dlatego właśnie tak podoba mi się Quantico. Zmiana jak po wybuchu jądrowym, atomowy grzyb inności, może właśnie tego naprawdę mi potrzeba. Ostrego i brutalnego zerwania, wstrząśnięcia fundamentami i belkami, z których jestem zbudowana.

Słoń oddała się bez proszenia. Najwyraźniej po tequili mogę bez wstydu rozmawiać z własnymi metaforami.

Słoniu, myślę. Nadaję ci imię NieSzczęśliwy. A może Brak Blasku.

Czy Quantico to rozwiąże?

A kto to, kurwa, może wiedzieć? Chcę papierosa.

Wzdycham i poddaję się bezsenności. Czas odsunąć na bok sprawy osobiste i wrócić do spraw zawodowych. To stare jak świat rozwiązanie, ale zawsze się sprawdza. Nie daje blasku, ale na pewno jest w stanie

wygonić wszelkie słonie, jakie człowieka nękają.

Gramolę się na górę, zabieram moje kartki z notatkami i wracam do salonu. Siadam na kanapie i próbuję zebrać myśli.

Biorę kartkę zatytułowaną SPRAWCA i dodaję: SPRAWCA alias OBCY.

Myślę o tym, co przeczytałam do tej pory w pamiętniku. Zaczynam pisać, moje notatki są teraz mniej uporządkowane, bardziej improwizowane.

„Sprawiono mu ból = on sprawia innym ból. Zemsta”.

„Pytanie brzmi: dlaczego Sarah?”

Logika nakazywałaby podejrzewać, że każe Sarah płacić za coś, co zrobili jej rodzice. Ale Samowi i Lindzie powiedział, że to nie ich wina, to nie wasza wina, ale wasza śmierć będzie moją sprawiedliwością. Czy Sarah została po prostu wybrana przypadkowo?

Kręcę głową. Nie. Musi być jakiś związek i to nie byle jaki. Czuję, że jakiś fragment rozwiązania patrzy mi prosto w twarz. Coś, co mówił do kogoś...

Siadam wyprostowana i czuję nagły przyływ energii.

Jeśli opowieść Sarah jest dokładna, to Obcy mówił do Lindy: „Twoja śmierć będzie moją sprawiedliwością”.

Konkretnie do Lindy.

I wraca do mnie zdanie, które słyszałam już dzisiaj:

W imię Ojca i córki...

Ta zemsta nie jest ślepa, a on uwielbia przesłania. To nie było

przejęzyczenie.

Piszę.

A jeśli powód zemsty sięga jeszcze jednego pokolenia wstecz? Powiedział wczoraj do Sarah, kiedy ochlapywał ją krwią: „W imię Ojca i córki i Ducha Świętego”. Powiedział Lindzie Langstrom: „To nie twoja wina, ale twoja śmierć będzie moją sprawiedliwością”. Czy możemy mówić o ojcu Lindy? Dziadku Sarah?

Czytam to jeszcze raz i czuję ponowny przyływ energii.

Siedzę w swoim domowym gabinecie i przesyłam faksem Jamesowi strony z moimi notatkami. Nie dzwoniłam, James usłyszy faks i się obudzi. Wścieknie się i będzie narzekał, ale je przeczyta. Musi wiedzieć to, co ja.

Dziadek.

Jeśli to nie pewnik, to przynajmniej duże prawdopodobieństwo.

Po wszystkim faks pika do mnie, a ja idę na dół. Zerkam na zegarek. Piąta rano. Czas płynie.

Chcę, żeby już było rano, natychmiast, do cholery!

Przychodzi mi coś do głowy.

Sarah powiedziała, że nikt jej nie wierzy, kiedy mówi o Obcym. Dlaczego? Z tego, co do tej pory przeczytałam, to nie ma sensu.

Zerkam na strony pamiętnika, leżące na stoliku do kawy. Spoglądam na zegarek i liczę, ile godzin mi zostało.

Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Opowieść Sarah

część II

Jak ci się podoba opowieść? Niezłe jak na szesnastolatkę, co? Tak jak mówiłam, jestem raczej sprinterką niż biegaczką i ten pierwszy kawałek przebiegłyśmy sprintem, prawda? Krótkie streszczenie: jestem szczęśliwa, przychodzi zły człowiek, ginie Buster, ginie mamusia, ginie tatuś, jestem nieszczęśliwa.

Uważam, że moja wersja jest lepsza. Więcej „baju-baju” i „świętego spokoju”. Prawda? A teraz skoczmy w czasie. Do następnej linii startowej.

Najpierw trochę informacji o tym, co było wcześniej: po tym wszystkim miałam mroczki przed oczami, szalałam. W końcu razem z Doreen znalazłyśmy się na podwórku. Doreen, biedny głuptas, była głodna lub chciało jej się pić, a nie mogła mnie ruszyć (byłam za bardzo zajęta leżeniem na patio i ślinieniem się na beton), więc zaczęła wyć. O Boże, jak ona potrafiła wyć.

Koniec końców pojawili się sąsiedzi, John i Jamie Overmanowie, zadzwonili po policję, na pewno z powodu hałasu i chyba dlatego, że zajrzeli przez płot i zobaczyli, jak się ślinię. Pewnie pomyśleli: O kurczę, to trochę dziwne.

Pojawiła się dwójka gliniarzy (brawo!), facet imieniem Ricky Santos i nowicjuszka Cathy Jones. Cathy stanie się ważną postacią w mojej opowieści.

W ciągu tych lat, w przeciwieństwie do innych, jej naprawdę na mnie zależało.

Ale więcej o tym później. Tak wygląda streszczenie w trzydziści sekund. Teraz wróć do pisania w trzeciej osobie.

Czas na kolejną podróż do źródła. Gotowa?

1-2-3: start!

Pewnego razu za górami, za lasami wszystko było totalnie, totalnie popieprzone...

Sarah piła wodę przez słomkę i próbowała walczyć ze zmęczeniem.

Minął cały tydzień. Cały tydzień pływania w pianie – to z powodu leków, jakie dostała. Tydzień złych głosów szepczących w jej głowie. Tydzień cierpienia.

Pewnego dnia obudziła się i nie zaczęła od razu krzyczeć. To był koniec jej wizyt w Krainie Piany. Ale nadal miewała sny. W tych snach jej rodzice byli

(Nicością byli nicością zupełną nicością)

A Buster był

(Psiagłówką głową psa)

(Nicością nicościami nicością)

Budziła się z tych snów, drżąc i zaprzeczając wszystkiemu, drżąc i zaprzeczając.

Jednak teraz nie spała. Obok łóżka na krześle siedziała policjantka i zadawała Sarah pytania. Policjantka nazywała się Cathy Jones i wyglądała na miłą, ale jej pytania były zaskakujące.

– Sarah – zaczęła – czy wiesz, dlaczego mamusia skrzywdziła tatusia?

Sarah zmarszczyła brwi, patrząc na Cathy.

– Bo Obcy ją zmusił – odpowiedziała Sarah.

Cathy zmarszczyła brwi.

– Jaki Obcy, kochanie?

– Ten Obcy, który zabił Bustera. Który przypalił mi rękę. Zmusił mamusię, żeby zrobiła krzywdę tatusiowi i sobie samej. Powiedział, że zrobi mi krzywdę, jeśli go nie posłuchają.

Cathy patrzyła na Sarah poruszona.

– Chcesz powiedzieć, skarbie, że w domu był ktoś jeszcze? Ktoś, kto zmusił mamusię do tego, co zrobiła?

Sarah kiwnęła głową.

Cathy oparła się o krzesło, zakłopotana.

Co jest, u licha?

Cathy wiedziała, że ekipa kryminologów przeszukała dom Langstromów i nie znaleźli niczego, co pozwalałoby wysnuć inną tezę niż zabójstwo i samobójstwo. Była nawet karteczka od matki z tekstem: „Przepraszam, zaopiekujcie się Sarah”.

Faktem jest, że odciski palców Lindy znaleziono w wielu krytycznych miejscach, zwłaszcza na pile, którą odcięto głowę psa, na szyi męża i na pistolecie, którym się zastrzeliła.

Była też kwestia środków antydepresyjnych, które matka najwyraźniej zażywała. Nie było śladów włamania, Sarah przeżyła – mimo że wyglądała jak pies... i szczekała jak pies... Detektywi prowadzący śledztwo poprosili Cathy, żeby przesłuchała Sarah. To miało być jedynie potwierdzenie tego, co wynikało z faktów i poszlak.

Więc co ja tutaj robię?

Przypomniała sobie głos Ricky’ego.

„Spisz tylko zeznanie. Po to cię wysyłają. Spisz to, oddaj detektywom i

ruszaj dalej. Reszta to już nie twoje zmartwienie”.

– Powiedz mi wszystko, co pamiętasz, Sarah.

Sarah patrzyła, jak policjantka wychodzi z sali.

Nie wierzy ci.

Sarah zdała sobie z tego sprawę mniej więcej w połowie swojej opowieści. Dorośli sądzili, że dzieci nic nie wiedzą. Mylili się. Sarah czuła, kiedy ktoś ją tylko pocieszał. Cathy była miła, ale nie wierzyła w opowieść o Obcym. Sarah się zachmurzyła. Nie, to nie do końca tak. Problem w tym, że ona... co? Sarah zaczęła się przez chwilę zastanawiać nad niuansami.

Ona nie uważa, że ja kłamię... ale nie wierzy też, że to, co mówię, jest prawdą.

Jakbym była

(Szalona)

Sarah oparła się o wezglowie szpitalnego łóżka i zamknęła oczy. Czuła ból pędzący przez nią jak stado czarnych koni. Konie galopowały przez jej duszę, stawały dęba i rżały, ich podkowy krzesły czarne iskry, strzelające z jej serca.

Czasami ból, który czuła, stawał się wyraźny. To nie było tępe łupanie ani ćmiący ból. To było jak szarpanie rany, drażnienie zakończeń nerwowych, jak ogień. To była czerń, która ją skrywała i skłaniała do myśli o umieraniu. W takich chwilach leżała w łóżku w ciemności i próbowała przekonać serce, żeby przestało bić. Mamusia opowiedziała jej kiedyś taką historię. O mędrkach ze starożytnych Chin, którzy potrafili wykopać grób, usiąść koło niego i siłą woli zmusić się do śmierci. Ich

serca przestawały bić, a oni wpadali do czekającej na nich ziemi.

Sarah próbowała to zrobić, ale choć bardzo się skupiała, choć gorąco pragnęła, nie mogła umrzeć. Nadal oddychała, serce wciąż biło, a najgorsze ze wszystkiego było to, że wciąż cierpiała. Jej ból nie chciał zniknąć, nie słabł ani nie cichł.

Nie mogła umrzeć, więc zwijała się w kłębek na łóżku i płakała bezgłośnie. Płakała, płakała i płakała całymi godzinami. Płakała, bo teraz rozumiała, rozumiała, że mamusia i tatuś, i Buster odeszli i że już nie wrócą. Nigdy.

Kiedy minął żal, pojawiały się gniew i wstyd.

Masz sześć lat! Przestań być taką beksą!

Nie było dorosłego, który powiedziałby jej, że w wieku sześciu lat można płakać, więc kuliła się w ciemności i próbowała umrzeć, płakała i beształa się za każdą łzę. To, że Cathy jej nie wierzyła, że Cathy uważała ją za kłamczuchę, tylko zwiększało ból. Zasmucało ją i złościło. Ale przede wszystkim czuła się samotna.

Cathy siedziała w radiowozie i wyglądała przez okno. Jej partner z patrolu, Ricky Santos, pił właśnie mlecznego shake'a i obrzucił ją długim spojrzeniem.

– Ciągłe myślisz o tym dzieciaku? – zapytał.

– Tak. Jakkolwiek by na to patrzeć, to złe wieści. Jeśli mamy rację, to oszalała. Jeśli nie mamy racji, to jest w niebezpieczeństwie.

Ricky zagryzł słomkę i patrzył na wewnętrzną stronę swoich okularów przeciwsłonecznych.

– Musisz odpuścić, koleżanko. My, mundurowi, tak właśnie działamy.

Nie śledzimy spraw do samego końca, a przynajmniej nie tak często. Spadamy na spadochronach, zabezpieczamy wszystko i przekazujemy detektywom. Wchodzimy, wychodzimy, koniec. Jeśli będziesz się przejmować czymś, na co nie masz wpływu, dostaniesz pierdolca. To dlatego gliniarze kończą nad kieliszkiem albo po niewłaściwej stronie własnego rewolweru.

Cathy popatrzyła na niego.

– Więc twoim zdaniem co, mam to kompletnie olać?

Santos uśmiechnął się smutno.

– Przejmuj się, dopóki za to odpowiadasz. Takie jest moje zdanie. Zobaczysz jeszcze setkę takich dzieciaków jak Sarah. Może i więcej. Pomagaj im, póki się nimi zajmujesz, ale potem odpuść i ruszaj do kolejnego zadania. Czeka cię cała wojna, Jones. Nie tylko jedna bitwa.

– Może – powiedziała.

Ale założę się, że i ty masz taką sprawę, której nie odpuściłeś. I chyba Sarah będzie taką moją sprawą.

Kiedy Cathy powiedziała to sama do siebie, poczuła się lepiej.

Moją.

– Zaraz wracam – rzuciła.

Santos spojrzał na nią. Nie sposób było stwierdzić, co myśli. Sfinks w okularach przeciwsłonecznych.

– W porządku – odparł i gryzł dalej słomkę.

Zaparkowali przed restauracją Jack In The Box koło szpitala. Cathy wysiadła z radiowozu i przeszła przez ulicę. Weszła do szpitala głównym wejściem i korytarzami dotarła do sali Sarah.

Dziewczynka siedziała na łóżku, wyglądała przez okno. Okno

wychodziło na szpitalny parking.

Jakie to przygnębiające. Na pewno w ten sposób wszystko szybciej się goi.

– Hej – powitała ją Cathy.

Sarah odwróciła się do niej i uśmiechnęła. Cathy znów była poruszona urodą dziewczynki. Podeszła do łóżka.

– Chciałam ci to dać.

Cathy trzymała w palcach wizytówkę.

– Jest tu moje nazwisko i mój telefon. Jest też e-mail. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebować pomocy, możesz się ze mną skontaktować.

Sarah wzięła wizytówkę, obejrzała ją dokładnie i podniosła wzrok na Cathy.

– Cathy?

– Tak, kochanie?

– Co ze mną będzie?

Ból, który Cathy trzymała na wyciągnięcie ręki, teraz podszedł jej do samego gardła. Zwalczyła go, przełykając ślinę.

Co z tobą będzie, dziecko?

Cathy wiedziała, że Sarah nie ma żadnych żyjących krewnych. Dziwne, ale tak bywa. Oznacza to, że dostanie się pod opiekę władz stanowych.

– Ktoś przyjedzie, żeby się tobą zająć, Sarah.

Dziewczynka zamyśliła się nad tym.

– Polubię go?

Cathy skrzywiła się w duchu. Może nie.

– Pewnie, że tak. Nie chcę, żebyś się martwiła, Sarah. Jezu, te oczy.

Muszę stąd iść.

– Nie zgub tej wizytówki, dobrze? I dzwoń do mnie, kiedy będziesz czegoś potrzebować. O dowolnej porze.

Sarah skinęła głową. Zdobyła się nawet na uśmiech i teraz Cathy nie tylko chciała wyjść z sali, chciała wybiec, bo ten uśmiech łamał jej serce.

(I skręcał wszystko w środku)

– Pa, kochanie – wyjąkała i wyszła, odwracając się na pięcie.

– Pa, Cathy – zawołała za nią Sarah.

W samochodzie Santos – już bez shake’a – spojrział na nią.

– Poczułaś się lepiej?

– Niekoniecznie, Ricky.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę. Nad czymś się zastanawiał.

– Będzie z ciebie niezły gliniarz, Cathy.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił wsteczny, a Cathy patrzyła na niego zaskoczona.

– To najmiłsza rzecz, jaką ktoś mi kiedykolwiek powiedział, Santos.

Uśmiechnął się, wrzucił bieg i ruszył z parkingu.

– W takim razie potrzebni są ci nowi przyjaciele, Jones. Ale wiesz, nie musisz dziękować, nie ma za co.

Sarah siedziała w samochodzie i patrzyła, jak kobieta się przeobraża.

Karen Watson pojawiła się w szpitalu i wyjaśniła Sarah, że jest z opieki społecznej i będzie się nią zajmować. Karen wyglądała na miłą panią i dużo się uśmiechała. Sarah poczuła nadzieję.

Kiedy wyszły ze szpitala, Karen się zmieniła. Zaczęła iść szybciej, ciągnąc Sarah za sobą.

– Wsiadaj, mała – powiedziała, kiedy dotarły do samochodu. Mówiła złym głosem.

Sarah zdziwiła się tą zmianą, próbowała sobie jakoś ją wytłumaczyć.

– Jest pani na mnie zła? – zapytała Karen.

Karen spojrzała na nią, nim uruchomiła samochód. Sarah przypatrywała się pustym oczom, niedbale uczesany brązowym włosom, nalanej twarzy. Kobieta wyglądała na zmęczoną. Sarah pomyślała, że pewnie zawsze wygląda na zmęczoną.

– Jeśli chcesz wiedzieć, nic a nic mnie nie obchodzisz, księżniczko. Muszę tylko znaleźć ci jakiś dach nad głową, nie muszę cię kochać, przyjaźnić się z tobą ani nic takiego. Rozumiesz?

– Tak – odparła Sarah cichym głosem.

Ruszyły z parkingu.

Parkerowie mieszkali w zniszczonym domu w Canoga Park, w Dolinie San Fernando. Dom przypominał ich właścicieli – trzeba było wykonać przy nim trochę pracy, na którą się nie zanosilo.

Dennis Parker był mechanikiem. Jego ojciec był dobrym człowiekiem, uwielbiał naprawiać samochody i nauczył Dennisa tego rzemiosła. Dennis nie znosił tej pracy – w ogóle nie znosił pracy, aż do bólu – i dawał to wszystkim do zrozumienia.

Był wielkim mężczyzną, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie barki i umięśnione ramiona. Do tego rzadkie ciemne włosy, wieczny zarost i rozwodnione oczy o złym spojrzeniu.

Dennis mawiał znajomym, że w życiu uwielbiał najbardziej trzy rzeczy: „papierosy, whisky i cipki”.

Rebecca Parker, stereotypowa kalifornijska blondynka, miała zbyt wiele braków, by być naprawdę atrakcyjna. Była piękna przez mniej więcej cztery lata: od szesnastego do dwudziestego roku życia. Wiednącą urodę ratowały jej umiejętności w sypialni – choć aby zadowolić Dennisa, nie trzeba było być żadnym wirtuozem seksu. Kiedy się do niej dobierał, zwykle był już naprany. Miała ciężkie piersi, wciąż wąską talię i coś, co Dennis lubił nazywać „ciasnym małym chomikiem”.

(Uwaga od Sarah: To prawda. Theresa mówiła mi, że naprawdę tak kiedyś powiedział. Urocze, prawda? Och, kim jest Theresa? Czytaj dalej, to się dowiesz).

Rebecca miała proste zadanie: opiekowanie się trójką przybranych dzieci, tyle maksymalnie mogli przygarnąć. Płacono im za każde dziecko i była to spora część ich dochodów.

Do obowiązków Rebecki należało karmienie dzieci, wyganianie ich do szkoły i pilnowanie, żeby ani ona, ani Dennis nie zostawiali na dzieciakach widocznych śladów pobicia. Sztuka polegała na tym, żeby poświęcać dzieciom tyle uwagi, by nie czepiała się opieka społeczna, ale

nie tyle, by robić to kosztem własnego czasu czy – co ważniejsze – kosztem domowego budżetu.

Karen zapukała do drzwi domu Parkerów, a Sarah stała obok niej. Usłyszała kroki i drzwi się otworzyły. Rebecca Parker wyjrzała przez siatkowe drzwi. Miała na sobie top i krótkie spodenki, w ręku trzymała papierosa.

– Hej, Karen – powiedziała, otwierając drzwi z siatki. – Wejdz. – Uśmiechnęła się. – Ty pewnie jesteś Sarah.

– Cześć – odparła Sarah.

Sarah pomyślała, że pani wygląda sympatycznie i mówi miłym głosem, ale zaczynała rozumieć, że nie wszystko złoto, co się świeci. Poza tym pani paliła – fuj!

Karen i Sarah weszły do domu Parkerów. Było tu właściwie czysto. Śmierdziało niedopałkami.

– Jesse i Theresa są w szkole? – zapytała Karen.

– Tak – odpowiedziała Rebecca.

Wprowadziła je do salonu i gestem wskazała miejsce na kanapie.

– Jak im idzie? – pytała Karen.

Rebecca wzruszyła ramionami.

– Niczego nie zawalają. Mają co jeść. Żadne z nich nie bierze prochów.

– Więc chyba wszystko w porządku. – Karen wskazała głową Sarah. – Tak jak mówiłam przez telefon, Sarah ma sześć lat. Muszę jej szybko coś znaleźć, więc pomyślałam o tobie i Dennisie. Wiem, że szukaliście trzeciego dziecka.

– Tak, od kiedy uciekła Angela.

Angela była piękną czternastolatką, której matka zmarła z

przedawkowania heroiny. Stanowiła ciężki przypadek i Karen umieściła ją u Parkerów, bo wiedziała, że będą w stanie sobie z nią poradzić. Angela uciekła dwa miesiące temu. Karen uznała, że pewnie pójdzie tą samą drogą, co jej matka dziwka.

– Tak jak zwykle. Musicie zapisać ją do szkoły, dopilnować szczepień i tak dalej.

– Wiemy.

Karen skinęła głową.

– W takim razie zostawiam ją wam. Przyniosłam jej torbę. Ma mnóstwo ubrań, bielizny i bucików, więc o to nie musicie się martwić.

– To dobrze.

Karen wstała, uścisnęła dłoń Rebecce i ruszyła do wejściowych drzwi. Sarah poszła za nią.

– Ty zostajesz, mała. – Karen odwróciła się do Rebecki. – Będziemy w kontakcie.

I wyszła.

– Pokażę ci, gdzie jest twój pokój, kochanie – powiedziała Rebecca.

Sarah ruszyła za kobietą, oszołomiona.

Co się dzieje? Dlaczego tu musi zostać? I gdzie jest Doreen? Co zrobili z jej psiagłówką?

– Proszę bardzo.

Sarah zajrzała do pokoju. Był mały, jakieś trzy na trzy metry. Stała w nim jedna komoda i dwa małe łóżka. Na ścianach nic nie wisiało.

– Dlaczego tu są dwa łóżka? – zapytała.

– Masz wspólny pokój z Theresą. – Rebecca wskazała na komodę. – Włóż swoje ubrania do dolnej szuflady. Może rozpakujesz rzeczy i

przyjdiesz potem do mnie do kuchni?

Sarah zdołała upchnąć wszystkie swoje rzeczy w dolnej szufladzie małej komody. Pod łóżkiem ustawiła buty. Kiedy się rozpakowywała, poczuła znajomy zapach, woń płynu zmiękczającego do ubrań, którego używała matka. Zaskoczyło ją to, jak cios w żołądek. Musiała schować twarz w koszulę, żeby nie było widać, że płacze.

Kiedy skończyła opróżniać małą torbę, którą zostawiła Karen, łzy przestały jej cieknąć. Usiadła na skraju łóżka, przepelniona zdziwieniem i tępym bólem.

Dlaczego tu jestem? Dlaczego nie mogę spać we własnym pokoju?

Nie rozumiała z tego nic.

Może pani Rebecca wie.

– Jesteś już – powitała ją Rebecca, kiedy Sarah pojawiła się w kuchni. – Rozpakowałaś wszystko?

– Tak.

– Chodź do stołu. Przygotowałam ci kanapkę z mortadela i mleko. Lubisz mleko, prawda? Nie masz skazy białkowej czy czegoś takiego?

– Lubię mleko. – Sarah usiadła na krześle i wzięła kanapkę. Była naprawdę głodna. – Dziękuję – powiedziała do Rebecki.

– Nie ma za co, skarbie.

Rebecca usiadła na drugim końcu stołu i zapaliła papierosa. Palila i patrzyła, jak Sarah je.

Smutna, blada i mała. Niedobrze. Ale każdy prędzej czy później przekonuje się, że życie to nie bajka.

– Wyjaśnię ci część zasad obowiązujących w tym domu, Sarah. Musisz o nich wiedzieć, skoro masz z nami mieszkać, dobrze?

– Dobrze.

– Po pierwsze, nie jesteśmy tu po to, żeby cię zabawiać, rozumiesz? Mamy ci zapewnić dach nad głową, nakarmić cię, ubrać, dopilnować, żebyś chodziła do szkoły i tak dalej, ale musisz sama sobie znajdować zajęcie. Dennis i ja mamy własne życie i mamy co robić. Nie będziemy się z tobą bawić. Rozumiesz?

Sarah skinęła głową.

– Dobrze. Kolejna sprawa to obowiązki domowe. Jeśli będziesz je wykonywać, wszystko będzie dobrze. Jeśli nie, pojawią się kłopoty. Do łóżka kładziesz się o dziesiątej wieczorem. Bez wyjątków. O tej porze światła mają być wyłączone, a ty pod kołdrą. Ostatnia reguła jest prosta, ale ważna, nie pyskuj. Rób, co mówimy. Jesteśmy dorośli i wiemy, co jest dla ciebie najlepsze. Dajemy ci dom i oczekujemy, że będziesz nas traktować z szacunkiem. Zrozumiano?

Kolejne skinienie.

– Dobrze. Masz jeszcze jakieś pytania?

Sarah spojrzała na talerz.

– Dlaczego tu jestem? Dlaczego nie mogę wrócić do domu?

Rebecca zaskoczona zmarszczyła brwi.

– Bo twoja mama i tata nie żyją, kochanie, i nikt inny cię nie chce. Dennis i ja bierzemy do siebie dzieci, których nie chce nikt inny. Karen ci tego nie powiedziała?

Sarah pokręciła głową, wciąż wpatrzona w talerz. Wyglądała na otępiałą.

– Bardzo dziękuję za kanapkę – powiedziała cichutko. – Mogę już pójść do pokoju?

– Jasne, kochanie – odparła Rebecca, gasząc papierosa i zapalając kolejnego. – Wy, nowi, zwykle przez pierwsze kilka dni płaczecie, ale nie szkodzi. Musisz jednak szybko nauczyć się, jak być twarda. Życie płynie dalej, wiesz?

Sarah patrzyła przez chwilę na Rebeccę, chłonąc wszystko. Twarz dziewczynki wykrzywiła się i Sarah uciekła od stołu.

Rebecca popatrzyła za nią. Zaciągnęła się głęboko papierosem.

Ładna dziewczynka. Szkoda, że ją to spotkało.

Rebecca machnęła lekceważąco ręką, choć była sama. W oczach miała gniew i żal, a wokół nich za dużo tuszu.

No cóż, mówi się trudno. Życie to nie bajka.

Sarah leżała na obcym nowym łóżku w obcym nowym domu, zwinięta w kłębek. Próbowwała stać się maleńką. Próbowwała

(Odejść)

Bo, może, gdyby mogła

(Odejść)

Wróciłyby znów do domu, do mamusi i tatusia. Może – i ten pomysł ożywił ją, wypełnił nadzieją – może to wszystko to tylko długi zły sen. Może zasnęła przed swoimi urodzinami i jeszcze tak naprawdę się nie obudziła.

Zmarszczyła brwi, zamyślona. Jeśli to prawda, to we śnie musi tylko zasnąć.

Tak! – szepnęła do siebie.

To jest to! Musi po prostu zasnąć (w swoim śnie), a potem obudzi się w prawdziwym świecie. Będzie tam Buster, przytulony do niej, będzie obraz

namalowany przez matkę, wiszący u stóp łóżka. Będzie poranek. Wstanie i wyjdzie z pokoju, a tatuś zacznie się droczyć, że nie będzie żadnych prezentów ani tortu, ale tort i prezenty będą...

Sarah objęła się ramionami, podniecona. To musi być właściwe rozwiązanie tego wszystkiego, rozejrzała się wokół.

Po prostu zamknij oczy i zaśnij, a kiedy się obudzisz, znów wszyscy będą szczęśliwi.

Ponieważ Sarah była wyczerpana i miała tylko sześć lat, zasnęła bez najmniejszego wysiłku.

Obudź się.

Sarah się poruszyła. Ktoś nią potrząsał. Ktoś o delikatnym kobiecym głosie.

– Hej, mała, obudź się.

Sarah najpierw pomyślała: udało się! To mamusia każe jej wstawać na urodziny!

– Miałam zły sen, mamusiu – mruknęła.

Cisza.

– Nie jestem twoją mamusią mała. Wstawaj, rusz się. Zaraz będzie kolacja.

Zdziwiona Sarah otworzyła oczy. Po chwili udało jej się skupić wzrok na dziewczynie, która do niej mówiła. Dziewczyna powiedziała prawdę: nie było mamusi.

To nie sen. To wszystko prawda.

Kolejny przypływ bolesnego i totalnego realizmu.

Mamusia nie żyje. Tatuś nie żyje. Buster nie żyje, Doreen zniknęła, a ja jestem całkiem sama i nikt już nigdy nie wróci.

Część z tych uczuć musiała się uwidocznic na jej twarzy, bo dziewczyna, która do niej mówiła, zmarszczyła brwi.

– Hej, wszystko w porządku?

Sarah pokręciła głową. Nie mogła mówić. Dziewczyna popatrzyła na nią łagodniej.

– Rozumiem. Wiesz, jestem Theresa. Zdaje się, że zostałyśmy

przybranymi siostrami. – Przerwała. – A ty jak się nazywasz?

– Sarah. – Jej głos brzmiał słabo, jakby dochodził z oddali.

– Sarah. Śliczne imię. Mam trzynaście lat, a ty?

– Sześć. Niedawno miałam urodziny.

– Ale fajnie.

Sarah patrzyła na tę obcą, ale przyjazną dziewczynę. Theresa była ładna. Wyglądała trochę na Latynoskę, miała brązowe oczy i gęste ciemne włosy za ramiona. Tuż przy włosach miała małą bliznę. Pełne zmysłowe usta łagodziły nieco poważną twarz. Była piękna, ale Sarah pomyślała, że ona też wygląda na zmęczoną, jak ktoś po bardzo ciężkim dniu.

– Dlaczego tu jesteś, Thereso?

– Moja mama umarła.

– Aha. – Sarah zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć. – Moja też. I mój tatuś.

– Kijowo. – Długa przerwa. A potem łagodny i pełen żalu głos: – Naprawdę mi przykro, Sarah.

Sarah skinęła głową. Czowała, że jej twarz płonie, oczy zaczęły kłuć. Nie bądź głupią dużą beksą! Theresa chyba nic nie zauważyła.

– Miałam osiem lat, kiedy umarła mama – zaczęła mówić, a Sarah słuchała i powstrzymywała łzy. – Byłam trochę starsza niż ty, ale niewiele. Więc wiem, jak się czujesz i czego możesz się spodziewać. Musisz przede wszystkim zrozumieć, że przeważnie nikt z tych, którzy się tobą zajmują, w ogóle się tobą nie przejmuje. Jesteś sama. Wiem, że niemiło to słyszeć, ale im szybciej sobie to uświadomisz, tym lepiej dla ciebie. – Skrzywiła się. – Nie należysz do nikogo z nich. Nie jesteś z ich krwi.

– Ale... ale... jeśli im na tym nie zależy, to po co to robią?

Theresa obdarzyła Sarah zmęczonym uśmiechem.

– Dla pieniędzy. Płacą im za to.

Sarah odwróciła wzrok i zamyśliła się nad tym. Przyszło jej do głowy coś niepokojącego.

– Czy to źli ludzie?

Theresa zrobiła ponurą i smutną minę.

– Czasami tak. Co jakiś czas trafia się dobra przybrana rodzina, ale przeważnie są złe.

– Czy ta jest zła?

Przez twarz Theresy przemknęło coś gorzkiego, ciemnego i złożonego, jakby kos, jakby łaża, jakby brud.

– Tak. – Zamilkła i zapatrzyła się w dal. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się. – Ale dla ciebie pewnie nie tak bardzo. Rebecki nie musisz się bać. Nie pije tak jak Dennis. Jeśli tylko będziesz robiła, co ci każe, i nie będziesz sprawiać kłopotów, da ci spokój. Nie sądzę, żeby cię mieli mocno bić.

Sarah zbladła.

– B... bić?

Theresa ścisnęła ją za rękę.

– Nie wychylaj się, a wszystko będzie dobrze. Nie rozmawiaj z Dennisem, kiedy jest pijany.

Mimo strachu Sarah słuchała tego wszystkiego z dziecięcym pragmatyzmem. Wierzyła w to, co powiedziała jej Theresa, że tym ludziom na niej nie zależało, że mogą ją bić i że nie powinna rozmawiać z Dennisem, kiedy jest pijany.

Świat stawał się coraz bardziej przerażający, coraz bardziej obcy.

Sarah spojrzała na swoje ręce.

– Powiedziałaś, że jesteśmy przybranymi siostrami. Czy... czy to znaczy, że jesteś moją przyjaciółką, Thereso?

Było w tym tyle pokory i naiwności, że Theresa omal nie zadławiła się własnym oddechem.

– Jasne, Sarah. – Starła się mówić przekonująco. – Jesteśmy przecież siostrami. Tak?

Sarah zdołała się uśmiechnąć.

– Tak.

– Dobra dziewczynka. A teraz chodźmy, czas na kolację. – Theresa spoważniała. – Nie spóźniaj się nigdy na kolację. Dennis dostaje wtedy szału.

Sarah bała się Dennisa od chwili, kiedy go zobaczyła. Był jak czynny wulkan, pełen lawy gotowej wybuchnąć. Wyczuwał to każdy, kto go spotkał.

Wyglądał na

(Groźnego)

I

(Złego)

Patrzył na Sarah, kiedy siadały z Theresa do stołu.

– Ty jesteś Sarah? – zapytał.

Głos miał jak grzmot. Pytanie brzmiało jak groźba.

– T... tak.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż w końcu odwrócił wzrok na Rebeccę.

– Gdzie jest Jesse?

Rebecca wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chodzi swoimi ścieżkami. I coraz bardziej się stawia.

Sarah wciąż patrzyła szeroko otwartymi oczami na Dennisa, więc zobaczyła wściekłość, która mignęła na jego twarzy, kiedy to usłyszał. To był wybuch czystej nienawiści.

– No – powiedział – będę musiał coś z tym zrobić. – Twarz znów mu stężała. – Jedzmy.

Na kolację podano klopsy. Sarah nawet smakowały. Nie były tak pyszne jak te, które robiła mamusia, ale dawały się zjeść. Kolacja minęła w milczeniu, przerywanym jedynie brzękiem sztućców i odgłosami przeżuwania. Dennis dostał puszkę piwa i między kolejnymi klopsami popijał z niej dużymi łykami. Odstawiał puszkę na stół i obrzucał wzrokiem siedzących przy stole. Sarah zauważyła, że długo patrzył na Theresę, a Theresa pilnowała się, żeby nie patrzeć na niego.

Kiedy kolacja dobiegła końca, Dennis miał już w sobie trzy piwa.

– Dziewczynki, posprzątajcie ze stołu i pozmywajcie – powiedziała Rebecca. – Dennis i ja idziemy pooglądać telewizję. Kiedy skończycie, możecie iść do pokoju.

Theresa kiwnęła głową, wstała i zaczęła zbierać naczynia. Sarah jej pomagała.

Wciąż panowała cisza.

Rebecca paliła papierosa i patrzyła na Dennisa z wyrazem desperacji i rezygnacji, a w Dennisie buzowało i patrzył na Theresę wzrokiem, którego Sarah nie potrafiła określić.

Wszystko tu było dla niej obce. W domu przy kolacji zawsze było dużo rozmów, opowieści, śmiechu i psów. Tatuś się z nią droczył, mamusia patrzyła i się uśmiechała. Buster i Doreen siedziały skupione, licząc mimo wszystko, że coś im spadnie ze stołu, choć (prawie) nigdy nic nie spadało.

Tam Sarah czuła się kimś wyjątkowym, wszystko wydawało się lekkie i zabawne.

Tu wszystko było ciężkie. Wszystko było groźne. Nie była nikim specjalnym, ani trochę.

Poszła za Theresa do kuchni i zbliżyła się do zlewu.

– Opłukam naczynia – powiedziała Theresa – a ty powkładaj je do zmywarki. Wiesz, jak to zrobić?

Sarah skinęła głową.

– Pomagałam w tym mamusi.

Theresa uśmiechnęła się do niej. Zaczęła spłukiwać naczynia i obie wpadły w kojący rytm. Wszystko wydawało się niemal normalne.

– Kto to jest Jesse? – zapytała Sarah.

– To jeszcze jedno dziecko, które tu mieszka. Chłopak, ma szesnaście lat. – Theresa wzruszyła ramionami. – Jest dość miły, ale zaczął się stawiać Dennisowi. Nie wydaje mi się, żeby długo tu zabawił.

Sarah wstawiła garść widelców do koszyczka na sztućce.

– Dlaczego? – zapytała. – Co się z nim stanie?

– Wkurzy Dennisa, a Dennis go zbije i moim zdaniem tym razem Jesse mu odda. Nawet ta suka Karen Watson nie będzie mogła tego zignorować.

Sarah wzięła talerz, który podała jej Theresa.

– Czy pani Watson jest zła?

Theresa spojrzała na nią zdziwiona.

– Zła? Rebecca i Dennis są źli, ale Karen Watson? To zło w czystej postaci.

Sarah zastanawiała się nad tym. Zło w czystej postaci.

Kiedy skończyły płukać naczynia, Theresa wsypała proszek do zmywarki i włączyła ją. Sarah słuchała stłumionego stukotu ze zmywarki i poczuła spokój. Tak samo brzmiała zmywarka w domu.

– Teraz idziemy do pokoju – powiedziała Theresa. – Prościutko. Dennis pewnie ma już w czubie.

Sarah znów wyczuła niebezpieczeństwo. Zaczynała rozumieć, że tak wygląda tutaj życie. Chodzi się jak po polu minowym wyłożonym wydmuszkami, podczas gdy wróg czujny jak nietoperz nasłuchuje choćby jednego pęknięcia. W tym domu powietrze było ciężkie od napięcia i obaw i (jak wyczuła) prawdziwego niebezpieczeństwa.

Sarah wyszła za Theresa z kuchni. Kiedy przechodziły obok salonu, spojrzała na kanapę. To, co tam zobaczyła, sprawiło, że aż mrugnęła zszokowana. Rebecca i Dennis całowali się – to nic wielkiego, widziała wiele razy, jak mamusia i tatuś się całowali – ale Rebecca nie miała na sobie koszuli i widać jej było cycuszki!

Na ten widok Sarah poczuła jakieś ściśnięcie w brzuchu. Wiedziała podskórnie, że nie powinna tego oglądać. Całowanie było w porządku, cycuszki były w porządku (w końcu sama jest dziewczynką), ale cycuszki w połączeniu z całowaniem... zarumieniła się i poczuła nieswojo.

Kiedy weszły do pokoju, Theresa zamknęła drzwi, bardzo uważając, żeby nie narobić hałasu.

(Wydmuszki i napięcie, wydmuszki i napięcie)

Sarah usiadła na łóżku. Czowała się słabo.

– Przykro mi, że musiałaś to zobaczyć, Sarah – mruknęła rozgniewana Theresa. – Nie powinni robić tego na widoku, zwłaszcza kiedy patrzą dzieci.

– Nie podoba mi się tu – powiedziała Sarah cichutko.

– Mnie też nie, Sarah. Mnie też nie. – Theresa zamilkła. – Powiem ci coś jeszcze. Teraz jeszcze tego nie zrozumiesz, ale kiedyś tak. Nie ufaj mężczyznom. Oni chcą tylko tego, co widziałaś tam na kanapie. Niektórzy nie przejmują się w ogóle, ile masz lat. Niektórzy nawet wolą młodsze.

W głosie Theresy słychać było gorycz. Sarah aż popatrzyła na nią. Trzynastolatka płakała, w ciszy, łzami gniewu, które można było poczuć, choć nie słyszeć.

Sarah zerwała się z łóżka i podeszła, żeby usiąść przy Theresie. Objęła starszą dziewczynkę małymi rączkami i przytuliła. Zrobiła to bez zastanowienia, odruchowo, jak roślina, która wystawia się do słońca.

– Ciiii... nie płacz, Thereso. Wszystko będzie dobrze. Nie płacz. Starsza dziewczynka płakała jeszcze przez kilka chwil, a w końcu wytarła łzy i zmusiła się do niepewnego uśmiechu.

– Patrz, jaka ze mnie stara beksa.

– Nic się nie stało – zapewniła Sarah. – Jesteśmy siostrami. Siostry mogą przecież przy sobie płakać, prawda?

Theresa patrzyła porażona, przepełniona wspomnieniami dawnych ran i dawnego szczęścia. Wspólnie zalały jej duszę błotnistą powodzią, kilkoma białymi plamami, mnóstwem szarości.

Wiele lat potem Sarah wspominała tę chwilę, przekonana, że pod jej wpływem Theresa zrobiła potem to, co zrobiła.

– Tak – odparła Theresa drżącym głosem. – Jesteśmy siostrami. –

Chwyliła Sarah i przytuliła. Sarah zamknęła oczy i też ją przytuliła. Wciągnęła powietrze i pomyślała, że Theresa pachnie jak kwiaty latem.

Przez chwilę – tylko przez chwilę – Sarah czuła się bezpiecznie. – No tak – powiedziała Theresa, odrywając się od niej z uśmiechem. – Chcesz w coś zagrać? Mamy tylko karty.

– Lubię grać w karty.

Uśmiechnęły się do siebie, usiadły na łóżku i grały, nie zważając na sapnięcia i jęki z innych części domu, bezpieczne na swojej wyspie na morzu wydmuszek.

Theresa i Sarah grały przez półtorej godziny, a potem rozmawiały przez kolejne dwie. Pokój był jak sanktuarium chroniące je przed rzeczywistościami, z których tu trafiły. Theresa opowiadała o swojej matce i pokazała Sarah jedno zdjęcie.

– Jest piękna – powiedziała zdumiona Sarah.

To była prawda. Kobieta na fotografii miała dwadzieścia kilka lat. Z mieszanki krwi latynoskiej i jakiejś jeszcze powstały roześmiane oczy, egzotyczne rysy i grzywa kasztanowych włosów.

Theresa jeszcze raz spojrzała na zdjęcie i odłożyła je z uśmiechem pod materac.

– Tak, była piękna. Była też bardzo zabawna, wiesz? Zawsze się z czegoś śmiała. – Uśmiech zniknął i twarz Theresy stała się zimniejsza, a oczy bardziej odległe. – Została zgwałcona... przepraszam, zabita przez jakiego nieznajomego. Mężczyznę, który lubił krzywdzić kobiety.

– Moja mamusia też została zabita przez złego człowieka.

– Naprawdę?

Sześciolatka pokiwała ponuro głową.

– Tak, ale nikt mi nie wierzy.

– Dlaczego?

Sarah opowiedziała jej historię Obcego. Opowiedziała, do czego zmusił rodziców. Kiedy skończyła, Theresa przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

– Ależ historia – wykrztusiła w końcu.

Sarah popatrzyła na nową siostrę z nadzieją.

– Wierzysz mi?

– Oczywiście, że tak.

Sarah poczuła w tej jednej chwili gorącą miłość do Theresy.

Wiele lat później zastanawiała się, czy Theresa naprawdę jej wierzyła. Zastanawiała się, ale zbyła to wzruszeniem ramion. Prawda była nieistotna. Theresa dała jej poczucie bezpieczeństwa i nadziei w chwili, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Sarah pokochała ją za to na zawsze.

Rebecca zapukała do drzwi tuż przed dziesiątą.

– Czas do łóżka – oznajmiła.

Teraz leżały obie w ciemności, wpatrując się w sufit.

Sarah pozwoliła sobie na poczucie ulgi. Wydarzyło się tyle złego. Tyle złego. I wciąż wiele złego się działo. Wiedziała, że to nie jest dobry dom. Nie wiedziała, co ją czeka w przyszłości. Ale nie była już sama i... no cóż, to było w tej chwili wszystkim.

– Thereso? – szepnęła.

– Tak?

– Cieszę się, że jesteś moją przybraną siostrą.

Cisza.

– Ja też, Sarah. A teraz już śpij.

Sarah spała pierwszym snem bez snów od wielu dni. Nagle obudziły ją jakieś odgłosy.

W cieniu, pochylony nad łóżkiem Theresy, stał jakiś mężczyzna. Obcy!
Zaczęła jęczeć.

Odgłosy ustały. W powietrzu zapadła głucha cisza.

– Kto tam? Sarah? Nie śpisz?

Zdała sobie sprawę, że głos należy do Dennisa. W jego tenorze słychać

było zaskoczenie, a potem czający się niepokój. Co on tu robi?

– Odpowiadaj, dziewczyno – syknął. – Nie śpisz?

Głos Dennisa był taki zły. Znów jęknęła i skinęła głową. On cię nie widzi, głupia!

– T... tak – wyjąkała.

Cisza. Słyszała, jak Dennis oddycha.

– Śpij dalej. Albo siedź cicho. Co wolisz.

– Wszystko w porządku, Sarah – odezwała się w ciemności Theresa słabym głosem. – Zamknij tylko oczy i zakryj uszy.

Sarah zamknęła oczy i naciągnęła sobie kołdrę na głowę, cała drżała. Uszu nie nakryła, uważnie słuchała.

– No już, bierz do buzi – usłyszała szept Dennisa.

– Nie... Nie chcę. Proszę, Dennis, daj mi spokój. – Głos Teresy był nieszczęśliwy.

Szybki dźwięk, a potem westchnienie Teresy, od którego Sarah aż zadrżała.

– Bierz do buzi albo wsadzę ci gdzie indziej. Gdzieś, gdzie będzie bolało. Rozumiesz?

Cisza, która po tym nastąpiła, nie miała końca. Potem słyhać było odgłosy czegoś wilgotnego.

– O tak. Dobra dziewczynka. – Sarah nie wiedziała, co naprawdę znaczyło „dobra dziewczynka”, ale wiedziała, że musi to być coś złego.

(Bardzo złego)

Poczuła to wtedy w pokoju, obecność czegoś bardzo, bardzo złego. Czegoś ohydneho. Czegoś, od czego poczuła się brudna, zawstydzona, choć sama nie wiedziała dlaczego.

Dźwięki zmieniły się, były coraz szybsze, aż nagle ustały, a Dennis jęknął ciężko, aż Sarah się wzdrygnęła.

Kolejna długa cisza. Słysząc było ruch, przesuwanie pościeli. Zaskrzypiała podłoga. Kroki. Usłyszała je koło swojego łóżka.

(Potwory)

Kroki ucichły i wiedziała, że Dennis jest blisko. Stoi nad nią. Starła się nie poruszać, nie oddychać. Próbowwała

(Być niczym)

Czuła jego zapach. Tytoń i alkohol pomieszane z ostrym potem. Chciało jej się od tego krzyczeć i wymiotować jednocześnie.

– Jesteś ładniutka, Sarah – szepnął. – Wyrośniesz na ładną panienkę. Może za kilka lat ciebie też odwiedzę.

(Być niczym Być niczym Być niczym)

Sarah była tak przerażona, że zaczęło jej się zbierać na mdłości.

Poczuła, że Dennis się odsuwa. Usłyszała jego kroki zmierzające w stronę drzwi i na korytarz.

Zostały same. Sarah słyszała bicie własnego serca, waliło szybko jak skrzydła kolibra, głośno jak werbel.

Kiedy wszystko ucichło, usłyszała płacz Theresy. Był to stłumiony, głęboki dźwięk.

Porozmawiaj z nią, głupia.

Jestem przerażona. Nie chcę wychodzić spod kołdry. Proszę, nie każ mi, mam dopiero sześć lat i nie chcę tego już robić, już nie...

Zamknij się! To twoja siostra, ty wielki tchórz!

Sarah zacisnęła po raz ostatni oczy i otworzyła je. Wzięła głęboki oddech i zebrała w sobie całą odwagę, na jaką było stać jej dziecięce

serduszko. Odsłoniła koldrę.

– Thereso? – szepnęła. – Dobrze się czujesz?

Pociągnięcie nosem.

– Nic mi nie jest, Sarah. Idź spać.

Nie brzmiała przekonująco, wcale.

– Chcesz, żebym przytuliła się do ciebie i spała z tobą?

Cisza.

– Nie przychodź tu. Nie... nie w tym łóżku. Ja przyjdę do ciebie. Sarah patrzyła, jak cień Theresy podnosi się i idzie w jej stronę.

Sprężyny zaskrzypiały, kiedy starsza dziewczynka położyła się obok niej.

Sarah wyciągnęła rękę. Trafiła na ramiona Theresy i zdała sobie sprawę, że dziewczyna szlocha z twarzą wciśniętą w poduszkę, żeby stłumić dźwięk.

Sarah szarpnęła Theresę za ramiona swoimi małymi rączkami, przyciągając ją do siebie.

– Ciii.... Już dobrze, Thereso. Już dobrze.

Theresa bez oporu wtuliła się w ramiona małej dziewczynki. Ułożyła głowę na piersi Sarah i szlochała, szlochała, szlochała. Sarah ścisnęła Theresę za szyję i głaskała ją po włosach. Sama też trochę płakała.

Co się stało? Kilka godzin temu grałyśmy w karty i byłyśmy szczęśliwe, potem przyszedł Dennis i zrobił te okropne okropne okropne okropne rzeczy.

Sarah przeszył nowy rodzaj strachu.

Może teraz tak będzie cały czas!

Zacisnęła usta i pokręciła głową.

Nie. Bóg nie pozwoliłby na to.

Myślała o tym, kiedy Theresa płakała. Szloch zmienił się w ciche łzy, te z kolei w pociąganie nosem, które w końcu ucichło. Theresa trzymała głowę na piersi Sarah. Sarah gładziła ją po włosach. Mamusia robiła tak samo, kiedy Sarah była zdenerwowana i to zawsze pomagało.

Może wszystkie mamusie tak robią. Może mamusia Teresy też tak robiła.

– Mężczyźni są źli, Sarah – szepnęła Theresa, przerywając ciszę. – Mój tatuś nie był zły – odparła Sarah, natychmiast żałując tych słów.

Miała dopiero sześć lat, ale wiedziała, że Theresa nie mówi przecież o mężczyznach takich jak tatuś Sarah. Mówiła o takich jak Dennis. Choć był to pierwszy taki mężczyzna, jakiego poznała, Sarah wiedziała, że Theresa ma sto procent racji co do niego.

Theresa powiedziała tylko:

– Wiem. – I wcale nie słyhać było, że jest zła.

– Thereso?

– Tak?

– Co to znaczy, że przyjdzie za kilka lat mnie odwiedzić?

Kolejna długa cisza, tym razem pełna czegoś, czego Sarah w ogóle nie mogła zidentyfikować.

– Nie martw się tym, mała odparła Theresa. Czułość w jej głosie sprawiła, że Sarah nagle poczuła pieczenie w oczach. Starsza dziewczynka podniosła rękę i dotknęła jej policzka. – Nie pozwolę mu cię dopaść. Przenigdy.

Sarah zasnęła, wierząc w to.

Jaki kolor, kochanie?

Była niedziela i Sarah siedziała z matką w jej pracowni. Czasami lubiła to, po prostu siedziała i patrzyła, jak mamusia maluje czy rzeźbi, czy robi coś jeszcze innego. Jej matka wyglądała najpiękniej, kiedy stawiała się artystką.

Malowała krajobraz. W tle góry, przed nimi wielka otwarta łąka ozdobiona drzewami z bujnym listowiem. Kolory były żywe i nierealistyczne: fioletowawe niebo, maślano-żółta trawa, słońce jak wielka pomarańcza. Sarah uważała, że obraz jest wspaniały. Matka pytała, jakim kolorem powinna pomalować liście na drzewach.

Sarah zmarszczyła czoło. Nie potrafiła wyjaśnić słowami, dlaczego podobał jej się ten obraz. Mamusia mówiła jej kiedyś, że ważniejsze jest to, co się czuje, niż to, co się myśli. A czuła, że obraz jest „śliczny” i „radosny”.

– Niech będą prawdziwe kolory, mamusiu. Ale błyszczniejsze.

Sarah brakowało słów, ale Linda dobrze wiedziała, o co chodzi. Sarah miała coś przed oczami i próbowała to opisać. To Linda musiała się domyślić co.

– Błyszczniejsze... czyli jaśniejsze? Tak jak żarówka, która daje więcej albo mniej światła?

Sarah kiwnęła.

– Dobrze, kochanie.

Linda w zamyśleniu zaczęła mieszać pomarańcze i czerwienie. Może

jest w niej coś z artystki.

Sarah mówiła, że liście powinny mieć barwy prawdziwych jesiennych liści, ale jaśniejsze, by pasowały do reszty obrazu. Zerknęła na córkę.

– Podoba ci się ten obraz, kochanie?

– Uwielbiam go, mamusiu. Jak na niego patrzę, to chce mi się bawić, skakać i w ogóle.

Udało się, pomyślała Linda, szczęśliwa i zadowolona.

Odwróciła się do płótna i zaczęła nakładać jaskrawsze kolory na liście.

Sarah obserwowała matkę. Miała poczucie ogromnego szczęścia. Była dzieckiem, żyła terazniejszością, a terazniejszość była bardzo, bardzo dobra.

Matka przerwała malowanie i zeszywniała. Stała tyłem do Sarah. Stała bez ruchu jak zastygła.

– Co się stało, mamusiu?

Linda drgnęła na dźwięk głosu córki i zaczęła się powoli odwracać. Jak w zwolnionym tempie. Kiedy pokazała twarz, Sarah aż odskoczyła z przerażenia.

Matka bezgłośnie krzyczała, z szeroko otwartymi oczami i ustami.

– M... m... mamusiu....

Linda przyłożyła ręce do skroni. Pędzel wyleciał jej z rąk i kręcąc się w powietrzu, ochlapał Sarah krwią.

Sarah spojrzała na obraz za plecami matki. Liście na drzewach płonęły.

Krzyk już nie był bezgłośny, przeszedł w okropny dźwięk, jakby ktoś otworzył samo piekło. Słyszać go było w stereo, rozlegał się echem, nakładał się na siebie i brzmiał wściekle.

– Coś ty zrobiła! Coś ty zrobiła! Coś ty zrobiła...

Sarah się obudziła.

– Coś ty zrobiła!

Krzyk był prawdziwy. Tu i teraz, w tym domu.

Obcy?

Drzwi do sypialni były otwarte.

– Dennis! O Boże! Coś ty zrobiła, Thereso?

Sarah zorientowała się, że krzyczy Rebecca.

Wylaż z łóżka, tchórze. Theresa pewnie potrzebuje pomocy!

Sarah jęknęła z przerażenia, rozgoryczenia, gniewu.

Nie chcę już więcej być dzielna.

Cisza.

Twój problem, tchórze. Takie jest teraz życie.

Sarah płakała i trzęsła się ze strachu, ale zmusiła się do wyjścia z łóżka.

Szła jak nie na swoich nogach, płątały jej się i drżały.

Podeszła do drzwi, ale kiedy do nich doszła, zamarła. A jeśli zobaczę
kolejne

(Nic)

Tam?

A jeśli Theresa stała się

(Niczym)

(Głową psa)

?

Ruszaj, tchórze. Masz sześć lat. Przestań zachowywać się jak dziecko.

Sarah zmusiła się do wyjścia z pokoju na korytarz. Przepelniał ją tak wielki strach, że zaczęła szlochać.

– Coś ty zrobiła? – krzyczała dalej Rebecca.

Szloch Sarah wzmagał się w miarę, jak z oporami podchodziła coraz bliżej krzyku Rebecki. Zaczęło jej kapać z nosa, świat stawał się zamazany.

Nie chcę patrzeć! Nie chcę!

Drugi głos stał się łagodniejszy.

Wiem, że się boisz. Ale musisz. Dla Theresy. To twoja siostra.

Sarah beczała, ale kiwnęła głową i zmusiła stopy do kroków naprzód.

Chwilę później stała w drzwiach do pokoju Dennisa i Rebecki. Na podłodze z opuszczoną głową siedziała Theresa. Na kolanach miała nóż. Umazany w krwi. Rozhisteryzowana Rebecca siedziała nago na łóżku, gorączkowymi ruchami poruszając Dennisem. Ona też była cała we krwi.

Dennis leżał nieruchomo. Oczy miał otwarte.

Sarah w mgnieniu oka uświadomiła sobie, że Dennis był

(Niczym)

(Głową psa)

– Coś ty zrobiła?

Sarah westchnęła.

O nie. Theresa to zrobiła.

Podbiegła do starszej dziewczynki, klęknięła obok i potrząsnęła nią.

– Thereso! Co się stało?

Dziewczyna miała bladą i nieruchomą twarz, zmęczone oczy.

– Cześć, mała – szepnęła. – Tak jak ci mówiłam. Nigdy nie będzie cię niepokoił w nocy. Nigdy.

Sarah aż skuliła się z przerażenia.

– Sarah, idź wezwij policję.

Theresa pochyliła głowę i zaczęła kołysać się w przód i w tył.

Co robić?

Wizytówka. Od pani policjantki.

– Coś ty zrobiłaaaaaaaaaa?

Dzwoń do niej, już.

Kiedy wybiegła z pokoju, uświadomiła sobie, że w pewnym sensie wydmuszki i niebezpieczeństwo zniknęły z tego domu. Zastanawiała się, jak to możliwe.

Wiele lat później zrozumiała, jak to możliwe. Wtedy przestała już wierzyć w Boga.

Cathy Jones siedziała z Sarah w swoim prywatnym samochodzie – Cathy nie była na służbie, ale po telefonie dziewczynki zgłosiła sprawę na posterunku i przyjechała do niej.

Co za kurewski koszmar, myślała w duchu.

Patrzyła na Sarah. Dziewczynka miała oczy i policzki czerwone od płaczu.

Kto by mógł ją winić? Trafia do nowego domu, a przybrany ojciec pierwszej nocy zostaje zamordowany przez inne dziecko. Jezu.

– Sarah? Co się stało?

Sześciolatka westchnęła. Westchnienie było ciężkie, tak pełne bólu, że młoda policjantka aż się zaniepokoiła.

– Dennis przyszedł odwiedzić Theresę w jej łóżku. Robił jej złe rzeczy. Powiedział, że za kilka lat przyjdzie i do mnie do łóżka. – Sarah posmutniała jeszcze bardziej. – Theresa powiedziała, że nigdy mu na to nie pozwoli. Dlatego zabiła Dennisa. Przeze mnie!

Sarah rzuciła się w ramiona Cathy i zaczęła szlochać.

Cathy zamarła. Nie miała męża, nie miała dzieci, była jedyną córką ojca, który nie okazywał przesadnie uczuć. Jeśli chodzi o bliskość, zasługiwała na dwoję.

Przytul ją, idiotko.

Otoczyła sześciolatkę rękoma.

Sarah zaczęła płakać głośniej.

Teraz powiedz coś do niej.

– Ciiii. Już dobrze, Sarah. Wszystko będzie dobrze.

Przyszło jej do głowy, że może tata miał rację, szczedząc córce słów pochwały i pocieszenia. Bo nie wierzyła sama w to, co mówiła, nic a nic. Nic nie miało być dobrze. Już nigdy.

– Ta dziewczynka tak powiedziała?

Płacz Sarah przeszedł już w pociąganie nosem. Cathy zostawiła ją samą i podeszła do detektywa Nicka Rollinsa.

– Tak, detektywie. Powiedziała, że ten cały Dennis, przybrany ojciec, który zginął, przyszedł odwiedzić drugą dziewczynkę w łóżku.

– Jasna cholera. – Rollins pokręcił głową. – No, jeśli to się potwierdzi, to zmieni sytuację sprawczyni. Jeśli ją gwałcił i zagroził, że zrobi to samo z pani dziewczynką... – Wzruszył ramionami ze smutkiem. – Wtedy ta druga nie odpowie za morderstwo.

Oboje podnieśli wzrok na dwie policjantki wyprowadzające z domu zakutą w kajdanki Theresę. Dziewczyna wpatrywała się w ziemię i szła noga za nogą jak spętany łańcuchami duch.

– Co mam zrobić? – zapytała Rollinsa.

– Niech pani pilnuje dziewczynki. Ktoś z opieki społecznej już po nią jedzie.

– Tak jest.

Cathy patrzyła, jak policjantki pomagają wsiąść Theresie na tylne siedzenie radiowozu. Policjantka spojrzała na własne auto. Sarah spoglądała przez szybę w ciemność nic niewidzącymi oczyma.

Cathy wróciła do Sarah i czekała z nią w samochodzie na przyjazd kobiety z opieki społecznej. Rollins spisał zeznanie Sarah. Poradził sobie z

dziewczynką bardzo dobrze – Cathy była mu za to wdzięczna.

– Cathy? – odezwała się Sarah, przerywając ciszę.

– Słucham?

– Nie wierzyłaś mi, kiedy opowiedziałam ci o mężczyźnie w moim domu, prawda?

Cathy nerwowo poprawiła się na siedzeniu. Co mam jej odpowiedzieć?

– Nie byłam pewna, czy powinnam ci wierzyć, czy nie, Sarah. Byłaś... naprawdę zdenerwowana.

Sarah obrzuciła Cathy wzrokiem.

– Ale mówiłaś o tym innym policjantom? O tym, co mówiłam?

– Tak. Oczywiście.

– Nie wierzyli mi, co?

Cathy znów się poprawiła na siedzeniu.

– Nie, Sarah. Nie uwierzyli.

– Dlaczego? Myślą, że kłamię?

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Chodzi o to... że nic nie wskazuje na to, by był tam ktokolwiek inny. A czasami, kiedy zdarzają się złe rzeczy, ludziom... się miesza. Nie tylko dzieciom. Dorosłym też. Tak właśnie myślą moim koledzy. Nie, że kłamiesz. Że ci się pomieszało.

Sarah odwróciła się do szyby.

– Wcale nie. Nie pomieszało mi się. Zresztą nieważne. Zła pani przyjechała.

Cathy zobaczyła idącą w ich stronę kobietę w średnim wieku o zmęczonym wyglądzie. – Jak to zła?

– Theresa powiedziała, że ona jest złem w czystej postaci.

Cathy patrzyła na małą dziewczynkę. Jeszcze wczoraj machnęłyby ręką

na takie zdanie. Ale teraz? Dziewczyna, która zabiła zbrojnego, by ocalić Sarah, powiedziała, że ta kobieta to „zło w czystej postaci”.

– Sarah, spójrz na mnie.

Dziewczynka odwróciła się do policjantki.

– Nie zgub tej mojej wizytówki. I dzwoń do mnie, jeśli tylko czegoś będziesz potrzebować. – Wskazała skinieniem Karen Watson. – Rozumiesz?

– Dobrze.

I to wszystko? Tylko tyle jesteś w stanie dla niej zrobić?

Pojawiła się nieuchronna odpowiedź, taka jaką Cathy miała przygotowaną na wypadek, gdyby sytuacja wymagała większego stopnia bliskości, niż była w stanie dać:

Teraz nie mam do zaproponowania nic więcej.

Była starą wygą, jeśli chodzi o ukrywanie uczucia wstydu. Jednak nie mogła zrzucić całej winy za to na swojego staruszka.

Karen pomogła Sarah spakować ubrania i buty. Znowu zachowywała się naprawdę miło. Sarah zrozumiała – w pobliżu byli inni ludzie. Wiedziała, że kiedy zostaną same, Karen znowu stanie się zła.

W samochodzie Karen oczywiście zaczęła rzucać jej gniewne spojrzenia. Sarah nie zwracała na to uwagi. Była zbyt zmęczona.

– No to narozrabiałaś – mruzczała Karen. – Nie masz teraz zbyt wielkiego wyboru. Przekonasz się, jak to jest, kiedy ktoś nie potrafi dobrze żyć z innymi.

Sarah nie miała pojęcia, o czym Karen mówi. O czymś złym. Ale było jej zbyt smutno, żeby miała się bać.

Thereso, Thereso, dlaczego dlaczego dlaczego? Powinnaś była ze mną porozmawiać. Jesteśmy siostrami. Teraz znów jestem samiuteńka.

Karen zatrzymała samochód przed dużym parterowym budynkiem z szarego betonu, otoczonym płotem.

– Jesteśmy na miejscu, księżniczko – oznajmiła Karen. – To sierociniec. Zostaniesz tu, aż uznam, że możesz dostać szansę na kolejną rodzinę zastępczą.

Wysiadły z samochodu. Sarah szła za Karen do wejściowych drzwi. Przeszły korytarzem do recepcji. Zmęczona kobieta około czterdziestki wstała na ich widok. Miała brązowe włosy i była najchudszą osobą, jaką Sarah kiedykolwiek widziała. Karen podała kobiecie jakiś formularz.

– Sarah Langstrom.

Kobieta przeczytała dokument, zerknęła na Sarah. Skinęła głową do Karen.

– W porządku.

– Do zobaczenia, księżniczko – rzekła Karen.

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

– Witaj, Sarah – odezwała się kobieta. – Mam na imię Janet. Teraz pokażę ci twoje łóżko, a potem rano oprowadzę cię po budynku, dobrze?

Sarah skinęła głową Mam to gdzieś, myślała. Wszystko mam gdzieś. Chce mi się spać.

– Tędy – powiedziała Janet.

Sarah poszła za Janet korytarzem, przez jedne zamknięte drzwi, potem kolejne. Ściany pomalowane były urzędowym zielonym kolorem. Na podłogach leżało zniszczone linoleum. Sierociniec wyglądał jak każdy mocno uczęszczany i równie mocno niedofinansowany rządowy budynek

w kraju.

Korytarz, którym teraz szły, pełen był drzwi. Janet zatrzymała się przed jednymi z nich i otworzyła je, starając się ze wszystkich sił nie robić hałasu.

– Ciiii – powiedziała, przykładając palec do ust. – Wszyscy śpią. Janet uchyliła lekko drzwi, żeby do środka wpadło trochę światła z korytarza. Sarah zobaczyła, że stoi w dużej sali, dość czystej, zastawionej sześcioma piętrowymi metalowymi łóżkami. Na każdym z nich spały dziewczynki w różnym wieku.

– Tutaj – szepnęła Janet, wskazując jedno z łóżek. – Dolna prycza będzie twoja. Łazienka jest w końcu korytarza. Chcesz tam iść?

Sarah pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Jestem zmęczona.

– W takim razie śpij. Do zobaczenia rano.

Oczekała, aż Sarah wejdzie pod kołdrę i wyszła. Drzwi zamknęły się i w pokoju zapadła ciemność. Sarah nie bała się tej ciemności, bo była znów w tym miejscu, gdzie chciała

(Być niczym)

Nie chciała myśleć o Theresie, o Dennisie, o krwi, o obcych, o samotności. Chciała tylko zamknąć oczy i zobaczyć wszędzie czerń.

Zaczęła zapadać w głęboki sen, kiedy obudził ją dotyk ręki na gardle. Ręka dusiła ją. Natychmiast otworzyła oczy.

– Cicho – szepnął jakiś głos.

Głos należał do dziewczyny – silnej dziewczyny. Ręka zaciskała się na szyi Sarah jak imadło.

– Jestem Kirsten – odezwał się głos. – Rządzę w tej sali. Robisz to, co

mówię, kropka. Rozumiesz?

Rozluźniła uścisk na szyi. Sarah zakaszłała.

– Dlaczego? – zapytała, kiedy złapała już oddech.

– Co dlaczego?

– Dlaczego muszę robić, co każesz?

Z ciemności wychynęła ręka. Cios aż zakołysał głową Sarah, ból był wstrząsający.

– Bo jestem najsilniejsza. Do zobaczenia rano.

Cień zniknął. Policzek wciąż piekł. Sarah czuła się tak samotna jak nigdy.

Tak, ale wiesz co? Co?

Przynajmniej nie jesteś beksą. Uświadomiła sobie, że to prawda. Nie czuła żalu. Czuła gniew.

Kiedy zaczęła znów zapadać w sen, przypomniała sobie słowa Kirsten.

„Jestem najsilniejsza”. Ostatni wybuch gniewu. Nie na zawsze. Zapadła w błogosławioną czerń.

Cześć, to znów ja tu i teraz.

Kiedy dziś na to patrzę, to myślę, że Kirsten nie myliła się tak bardzo, wiesz? Taka jest prawda w sierocińcu: silniejsi rządzą słabszymi. Nauczyła mnie tego, choć wcale nie byłam jej wtedy za to wdzięczna. Do licha, miałam zaledwie sześć lat. Teraz jestem starsza i znam tę prawdę.

Ktoś musiał to robić.

Dobrze zapamiętałam tę lekcję.

Znów odkładam pamiętnik. Zza okien wita mnie wschodzące słońce.

Nie ma mowy, żebym skończyła to przed pójściem do pracy, ale przynajmniej mam swoją odpowiedź: nikt jej nie wierzył, bo zabójca zatarł ślady po zamordowaniu Langstromów. Pewnie pomyśleli, że nikt nie prześladowa Sarah, po prostu miała naprawdę wielkiego pecha. Potwierdziły to wypadki, które wydarzyły się w pierwszej przybranej rodzinie.

Skoro tak, to pojawia się nowe pytanie: Dlaczego Obcy zdecydował się teraz ujawnić?

Nie zważam na wszelkie inne pytania, te o Sarah i krajobraz jej duszy. Są zbyt drastyczne jak na tak piękny wschód słońca.

Część II

Mężczyźni, którzy jedzą dzieci

Przeklinam deszcz i startuję do biegu po frontowych schodach budynku FBI w Los Angeles.

Przez blisko dziesięć lat w południowej Kalifornii niewiele padało, za to mocno paliło słońce. Matka natura teraz nadrabia stracony czas wielkimi burzami, które przechodzą mniej więcej co trzy dni. Zaczęło się w lutym i trwa już od dwóch miesięcy. W końcu stało się to uciążliwe.

W Los Angeles nikt nie nosi parasola, nawet jeśli powinien. Ja też nie jestem wyjątkiem. Wpycham kopię pamiętnika Sarah pod marynarkę, chwytam torebkę i kładę palec na przycisku pilota, żeby zamknąć samochód już w biegu.

Otwieram drzwi i puszczam się sprintem, głośno przeklinając po drodze. Kiedy wpadam do środka, jestem przemoczona do suchej nitki.

– Aleś zmokła, Smoky – zauważa Mitch, kiedy przechodzę przez bramkę.

Wystarczy odpowiedzieć uśmiechem albo grymasem. Mitch jest szefem ochrony budynku. Mrukliwy były wojskowy dobrze po pięćdziesiątce jest wysportowany, ma sokoli wzrok i jakiś chłód w sobie.

Ociekam wodą w windzie, jadąc na swoje piętro. Obok stoją inni agenci, wyglądający równie żałośnie. Wszyscy przemokliśmy. Każdy rejon ma coś upierdliwego. U nas jest to deszcz.

Ostatnio funkcja, którą teraz sprawuję, nazywa się koordynator NCAVC. NCAVC to skrót od National Center for the Analysis of Violent Crime – Narodowe Centrum Analiz Zbrodni ze Szczególnym

Okrucieństwem. Jego centrala mieści się w Waszyngtonie. Każdy regionalny oddział FBI zatrudnia miejscowego „przedstawiciela” NCAVC, coś w rodzaju amwayowskiej sieci śmierci. W bardziej sennyh, spokojniejszych regionach jeden agent zajmuje się wieloma obszarami. Koordynacja NCAVC to tylko część zadań, jakie musi wykonywać.

Ale my w Los Angeles jesteśmy wyjątkowi. Mamy najgorszych świrów i to w takiej liczbie, że uzasadnione jest zatrudnianie koordynatora na pełny etat (to ja) i kilkuosobowego zespołu. Kieruję swoją grupą od dziesięciu lat. Sama wybierałam wszystkich osobiście. Moim nieskromnym zdaniem to zdecydowanie najlepsi fachowcy na rynku.

FBI to biurokracja, więc ciągle pojawiają się ploty i donosy o zmianie składu mojej ekipy. Na razie działamy po staremu i przeważnie nie narzekamy na brak roboty.

Idę korytarzami, skręcam w prawo i w lewo. Cały czas kapie ze mnie na cienką szarą wykładzinę. Docieram w końcu do biura koordynatora NCAVC, zwanego w firmie Centralą Śmierci. Wchodzę i wyczuwam woń kawy.

– Boże święty, przemokłaś do suchej nitki.

Rzucam Callie mordercze spojrzenie. Oczywiście, ona jest sucha, doskonała i piękna. No, może nie doskonała. Ma zmęczone oczy. Czyżby mieszanka bólu i środków przeciwbólowych? A może tylko brak snu?

– Kawa gotowa? – mrużę.

Potrzeba kofeiny jest przemożna.

– Oczywiście – mówi Callie, udając oburzenie. – Nie jesteśmy tu przecież amatorami. – Wskazuje na dzbanek. – Świeżo zaparzona. Dziś rano własnoręcznie ją zmełam.

Podchodzę i napełniam sobie filiżankę. Pociągam łyk i drzę, udając rozkosz.

– Będę cię wielbić aż po grób, Callie.

– I słusznie.

Gdzieś z tylnej części biura wychodzi Alan również z filiżanką w ręku.

– Myślałem, że to mnie wielbisz – grzmi barytonem.

– Bo tak jest.

– Nie można wielbić więcej niż jednej osoby – obrusza się Callie.

Wznoszę w jej stronę toast moją filiżanką.

– Jestem szefem. Mogę sobie wielbić tyle osób, ile chcę. Mogę nawet zmieniać obiekty uwielbienia. Alana mogę wielbić w poniedziałek, ciebie we wtorek, Jamesa... no dobrze, z Jamesem przesadziłam. Ale rozumiesz, o co chodzi.

– Co prawda, to prawda – mówi Alan, odwzajemniając toast i uśmiech.

Siedzimy wszyscy w kojącej ciszy i popijamy boską kawę Callie. W zwolnionym tempie delektujemy się porankiem. Nie zawsze tak jest – właściwie wręcz rzadko. Bardzo, bardzo często pijemy w pędzie ze styropianowych kubków, a kawa wcale nie smakuje bosko.

– Wszyscy przyszliście przede mną? – pytam. – Rany, a myślałam, że to ja jestem rannym ptaszkiem. Odpowiedzialnym szefem i tak dalej.

– Jamesa jeszcze nie ma – zauważa Alan. – Nie mogłem spać w nocy. Zacząłem czytać pamiętnik. – Jeszcze raz wznosi toast filiżanką, tym razem nieco sarkastycznie. – Dzięki ci za to.

– Przyłączam się do podziękowań – mówi Callie.

– W takim razie witajcie w klubie – odpowiadam. Przecieram oczy dłonią. – Dokąd dotarliście?

– Ja jestem w miejscu, kiedy trafiła do drugiego przybranego domu –
oznajmia Alan.

– Ja jeszcze tam nie doszłam – przyznaję. – A ty, Callie?

– Ja już skończyłam – odpowiada.

Otwierają się drzwi i wchodzi James. Cieszę się w duchu, że jest
równie przemoknięty jak ja. I przyszedł później. Ha, ha.

Nie odzywa się do nikogo. Po prostu mija nas i idzie w stronę swojego
biurka.

– Dzień dobry – woła za nim Callie.

– Skończyłem w nocy pamiętnik – odkrzykuje.

Nie mówi nic więcej. Żadnego „cześć” czy „dzień dobry”. Dla Jamesa
liczy się tylko praca.

– To sygnał, żebyśmy zabrali się do pracy – ogłaszam.

Patrzę na twarze moich ludzi. Oni siedzą, ja stoję.

– Zaczniemy od pamiętnika. James, ty już skończyłeś. Podziel się z
nami. Czy dalej jest coś wiarygodnego?

Zastanawia się przez chwilę.

– I tak, i nie. Idzie do kolejnej przybranej rodziny i ten pobyt też nie
kończy się dobrze. Ma złe doświadczenia w sierocińcu. Aha, w pewnym
miejscu przyznaje, że była molestowana seksualnie.

– Świetnie – mruczę.

– Z czysto śledczego punktu widzenia w tej opowieści widzę trzy
obszary, które można od razu zbadać. Jest miejsce pierwszego zabójstwa,
jej rodziców. Jest ta policjantka, która się nią zainteresowała. Cathy Jones.
Jones później znika i Sarah nie ma pojęcia dlaczego.

– Interesujące – zauważa Alan.

– Jest też wzmianka zabójcy i o jego poprzednich ofiarach. Poecie i studentie filozofii.

– Świetnie – mówię. – A teraz porozmawiajmy o motywie – zaczynam.

– Zemsta. Wszyscy się zgadzają?

– To ma sens – odpowiada Alan. – „Ból”, „Sprawiedliwość” i tak dalej. Pytanie brzmi, za co się mści? I co ma do tego Sarah?

– Grzechy ojca – podrzucam.

Wyglądają na zaskoczonych. Przekazuję im, co wydedukowałam w nocy.

– Interesujące – mruczy James. – Coś, co zrobił dziadek. To możliwe.

– Przeanalizujmy całość. Obcy oznajmił Sarah, że „czyni ją na swój własny obraz”. Nazywa ją swoją rzeźbą i nadaje tytuł: „Zrujnowane Życie”. Co nam to mówi?

– Jeśli tworzy ją na własny obraz, to znaczy, że według niego jego życie było zrujnowane – odpowiada Alan.

– Słusznie. Zatem opracowuje długoterminowy plan, który ma doprowadzić nie do jej zabicia, lecz do zniszczenia emocjonalnego. To dość ostra patologia. Świadczy o tym, że nie chodzi tylko o brak sympatii ze strony mamusi. Zrobiono mu coś, co sprawiło, że chce w odwecie zniszczyć życie dziewczynie. Jakie mamy możliwości?

– Jeśli przyjąć koncepcję „tworzenia na własny obraz” – mówi Alan – to zrobił z niej sierotę. A więc zapewne sam został pozbawiony rodziców w młodym wieku.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Sądzę, że wychował się bez wsparcia – dorzuca James. – Niszczył

wszystkich i wszystko, co mogło stanowić podporę dla Sarah. Całkowicie ją izolował.

– Świetnie.

– Co więcej – ciągnie James – możemy przyjąć, że został wykorzystany seksualnie.

– Co na to wskazuje?

– Intuicja. Sierota, brak emocjonalnego wsparcia, trafił w niewłaściwe ręce. Statystycznie rzecz biorąc, musiał zostać wykorzystany. Pasuje to do założeń planu, jaki ma wobec Sarah. Pasuje do samej potrzeby stworzenia takiego planu.

– Callie? Możesz coś dodać? – pytam.

Uśmiecha się zagadkowo.

– Tak, ale na razie po prostu zgodzę się z przedmówcami. Wolałabym mówić ostatnia.

Patrzę na nią marszcząc brwi. Callie popija kawę i uśmiecha się jak gdyby nigdy nic.

– A więc został osierocony i wykorzystany – ciągnę. – Pytanie, za co chce się zemścić: za którąś z tych rzeczy czy za obie? I dlaczego zabija tyle osób?

– Nie rozumiem – mówi Alan.

– Mamy Sarah – żyjącą ofiarę, coś w rodzaju symbolicznego obiektu zemsty. W porządku. Gdyby iść tą drogą rozumowania, Kingsleyowie to ofiary z przypadku. Mieli pecha, że zaadoptowali Sarah. Ale zgodnie z opowieścią dziewczyny mamy jeszcze poetę i studenta filozofii. Czym sobie zawinili? I skąd różnica w sposobie zabójstwa ich a Vargasa?

Alan kręci głową.

– Pogubiłem się.

– Vargas został potraktowany tak samo jak Kingsleyowie – wyjaśnia James. – Podcięto mu gardło, został pozbawiony trzewi. Dość okropny, ale chyba nie najbardziej bolesny sposób wyprawienia z tego świata. Kiedy mówi o poecie i studencie filozofii, brzmi to inaczej. Wygląda na to, że ich śmierć nie była wcale żartem. Tak jak w wypadku Sama i Lindy Langstromów. Nie umierali ani szybko, ani bezboleśnie.

– Mówisz, że dobiera rodzaj zabójstwa do stopnia wielkości ich zbrodni w jego oczach? – upewnia się Callie.

– Mówię, że on na swój sposób wymierza sprawiedliwość. Jeśli poruszamy się w tej poetyce, to nie każda przewina zasługuje na taką samą karę.

Alan kiwa głową.

– To przekonujące. Nazwijmy ich ofiarami głównymi i pobocznymi. Vargas i Kingsleyowie to ofiary poboczne. Sarah i jej rodzice, poeta i filozof to ofiary główne, zasługujące na najgorsze męczarnie.

– Tak – odpowiada James.

– Chociaż zakładamy teoretycznie, że Sam i Linda także na swój sposób są ofiarami pobocznymi – rozmyśla na głos Alan. – Są potomkami prawdziwego winowajcy.

– Dla niego jednak nie są to ofiary poboczne. Wszystko pasuje do tych założeń. Jeśli dziadek Langstrom zrobił coś, co w dzieciństwie zaszkodziło Obcemu, a było już za późno, by wymierzyć mu sprawiedliwość, to w zamian na cierpienie zasłużyło jego potomstwo – mówi James.

– To by także znaczyło, że Obcy uważa przestępstwa dziadunia za szczególnie bolesne – dopowiadam.

– Sądząc po tym, co zrobił Sarah? – pyta James.

– Oczywiście.

– Skąd wiemy, że poeta i student filozofii, kimkolwiek są, także nie mają dzieci? Skąd wiemy, że nie istnieją gdzieś inne Sarah? – rzuca.

Przerywam i zastanawiam się nad tą niesmaczną, dość koszmarną myślą.

– Chyba nie wiemy. No dobrze, więc zakładamy teoretycznie, że został osierocony, dostał się w złe ręce i go wykorzystywano. Potwierdzają to blizny na stopach. Coś jeszcze?

Cisza.

– Moja kolej – odzywa się Callie. – Poświęciłam spory kawał wieczoru na grzebanie w komputerze Vargasa. Zawalony jest pornografią wszelkiego rodzaju, w tym naprawdę ostrą z dziećmi. W zasadzie jego perwersje nie znają granic. Poza pornografią dziecięcą widziałam zdjęcia z fekaliami, zwierzętami – wykrzywia się – nawet jedzenie wymiotów.

– Dobrze już, jesteśmy w stanie sobie to wyobrazić – mówi Alan z niewyraźną miną.

– Przepraszam. Ale to wszystko najwyraźniej trzymał do użytku własnego. Potwierdza to coś, co już wiemy: Vargas był niemiłym osobnikiem. Jego e-maile również nie przyniosły rewelacji. W przeciwieństwie do filmu.

– Filmu? Jakiego filmu? – dziwię się.

Wskazuje na monitor.

– Zbliźcie się, to wam pokażę.

Tworzymy półkole. Callie uruchomiła już program do odtwarzania.

– Gotowi? – pyta.

– Ruszaj – odpowiadam.

Wciska klawisz odtwarzania. Moment czerni. W końcu w obiektywie pojawia się ohydna wykładzina.

– Rozpoznaję – mruczę. – To wykładzina z mieszkania Vargasa. Kamera trzęsie się, obraz przesuwa się do góry, jeździ dookoła jak pijany. Kamera zostaje zamontowana na statywie. W końcu ustawia automatycznie ostrość na tym samym ponurym łóżku, na którym znaleźliśmy Vargasa i dziewczynę. Na materac wchodzi naga dziewczyna. Jest bardzo młoda, dopiero co weszła w okres dojrzewania. Przez chwilę się ustawia – na rękach i kolanach. Na nadgarstkach ma kajdanki.

– To ta dziewczyna z poprzedniego wieczoru – rozpoznaję.

Głos zza kamery coś mruczy. Nie rozumiem słów, ale dziewczyna podnosi głowę i patrzy prosto w obiektyw. Jej twarz jest spokojna, niemal posłuszna. Nie różni się bardzo od twarzy po śmierci. Ma piękne niebieskie oczy, ale teraz są przeraźliwie puste. Jedna wielka nicość.

W kadrze pojawia się Jose Vargas. Jest ubrany w niebieskie dżinsy i brudną-białą koszulkę z krótkimi rękawami. Wygląda na swój wiek. Plecy ma nieco przygarbione. Nie ogolił się. Jego twarz jest zmęczona, ale oczy świecą. Nie może się doczekać tego, co ma zamiar zrobić.

– On ma w ręce witkę? – pyta Alan.

– Owszem – potwierdza Callie.

Witka to cienka gałązka ułamana z jakiegoś drzewa. Miga mi jej zielona końcówka. Vargas przygotował się do wymierzenia kary cielesnej w dawnym stylu.

Staje za dziewczyną. Pochyla się, najwyraźniej sprawdza kamerę. Kiwa głową sam do siebie. Patrzy krytycznie na dziewczynę.

– Tyłek wyżej, cholerna *puta* – warczy.

Dziewczyna nawet nie mrugnie. Lekko się wierci, unosząc wyżej pośladki.

– No, lepiej. – Znów sprawdza pokój i kamerę. – Tak jest dobrze. – Ostatnie kiwnięcie do samego siebie i Vargas patrzy skoncentrowany w obiektyw. Uśmiecha się ohydny uśmiechem pełnym brązowych zębów i szczelin między nimi.

– Jezu, powinien iść do dentysty – mruczy Alan.

– A więc Panie Wiesz Pan Kto – zaczyna Vargas – Witam. *Buenos dias*. Tu twój stary kumpel Jose. – Vargas wskazuje gestem na dziewczynę. – Niektóre rzeczy chyba w ogóle się nie zmieniają. – Rękoma pokazuje pokój. Wzrusza ramionami. – Inne za to zmieniają się bardzo. Kiepsko dziś z pieniędzmi. Po tym pobycie w więzieniu zostało mi niewiele, jak to mówią? – umiejętności zawodowych. – Kolejny szczerbaty uśmiech. – Ale przecież trochę potrafię, prawda? Pan to wie. Pamiętam wszystko, czego mnie pan nauczył, kiedy byłem młodszy, w lepszych czasach. Pokażę panu, ile zapamiętałem. Dobrze?

Vargas podnosi witkę. Uśmiecha się.

– Trzeba uczyć swoją własność, ale nie można zostawiać śladów, które obniżałyby jej wartość. Jose pamięta.

Vargas podnosi rękę. Otwiera usta. Są wielkie jak jaskinia. Widać po nim niewiarygodne pożądanie. Nie wiem, czy ma tego świadomość. Witka zatrzymuje się u szczytu, drży w jego podnieconej dłoni, w końcu spada ze świstem. Uderzenia o stopy dziewczyny niemal nie słyhać, ale jej reakcja jest niezwykła. Oczy wychodzą jej na wierzch, otwiera szeroko usta. Chwilę później zaczynają jej cieknąć ciche łzy. Zaciska zęby, próbując

opanować ból.

– Mów, *puta!* – warczy Vargas.

– J... jesteś Bogiem – jąka się dziewczyna. – Dzięki c... ci Boże.

– Akcent wygląda na rosyjski – zauważa James.

Vargas znów uderza witką. Oczy ma jeszcze bardziej błyszczące, usta otwarte jeszcze szerzej. Lekko się ślini. Szaleństwo. Tym razem dziewczyna wygina całe ciało i krzyczy.

– Mów! – woła Vargas, uśmiechając się.

I tak jeszcze kilka razy. Po wszystkim dyszy i poci się, przewraca oczami. Widzę wybrzuszenie w jego dżinsach. Dziewczyna głośno szlocha.

Vargas opanowuje się, najwyraźniej przypomniał sobie pierwotny cel tego występu. Odgarnia z oczu kosmyk tłustych włosów, posyła kolejny cwany i obleśny uśmiech do kamery.

– Widzi pan? Pamiętam wszystko. – Dziewczyna szlocha głośniejsze. – Zamknij się, cholerna *puta!* – Vargas ryczy na nią zły, że przerwała mu nagranie. Dziewczyna wpycha ręce w usta, żeby zdusić odgłos płaczu.

– Myślę, Panie Wiesz Pan Kto, że Jose dostanie pieniądze za to, co pamięta. – Kolejny groteskowy uśmiech. – Proszę, może pan sobie obejrzeć to jeszcze raz. Wiem, że i tak pan to zrobi, prawda? Jose pamięta. Lubi pan te rzeczy. Obejrzy pan to jeszcze raz i zastanowi się, co powie Jose, kiedy będzie pan z nim rozmawiał. *Adios.*

Vargas zerka na szlochającą dziewczynę, pociera sobie krocze i uśmiecha się do kamery. Czerń.

– O kurczę – mówię. Jest mi niedobrze.

– Pan Wiesz Pan Kto. Oryginalne. A więc Vargas szantażuje kogoś, kto

zna proceder bicia trzcinką po stopach – mówi Alan.

– Metoda manipulacji – stwierdza James. – Tortura w połączeniu z wymuszonym, powtarzanym zwrotem, który wyraża posłuszeństwo.

– Sądząc po tym, co obejrzeliliśmy, bije po stopach, żeby nie zostawić śladów na innych częściach ciała i nie obniżyć jego wartości – dodaje Alan.

– Nadal wszystko pasuje – zauważam. – Obcy ma takie same ślady. To nie przypadek. Próba szantażu ze strony Vargasa potwierdza, że zamieszani byli w to także inni, i wskazuje na możliwość wykorzystania seksualnego.

– Wiesz... – Alan kręci głową. – Jeśli nasz zabójca miał do czynienia z Vargasem i ludźmi jego pokroju, to jakoś nie mam do niego pretensji. – Mówi to z ponurą miną. – Człowiek, który robi takie rzeczy dziecku? Taki człowiek zasługuje na śmierć.

Nikt nie protestuje.

– Przeszukałam dokładnie dysk jego komputera – odzywa się Callie. – Miałam nadzieję, że na coś trafię. Vargas z jakiegoś powodu zapisał ten film w postaci cyfrowej. Pomyślałam, że może wrzucił go na jakiś serwer czy coś takiego. – Kręci głową. – Nic z tego. Sądzę, że przetworzył go i wypalił na płycie, którą wysłał potem do tego, kogo szantażował.

– Najwyraźniej wracamy do teorii o przemyśle ludzi – mówię. – Barry wspominał, że zajmowano się tym u nas. Tu w Kalifornii. To jakiś punkt zaczepienia. – Pocieram twarz rękoma i wracam do frontowej części gabinetu. – Dobrze, co jeszcze?

– Kluczowa zmiana w zachowaniu – spostrzega James. – Kiedy mordował Langstromów, pilnował, żeby zatrzeć ślady. Teraz zupełnie się

nie krył. Dlaczego?

– Może być sto powodów – dudni Alan. – Może jest chory, umiera, kończy mu się czas. Może musiał ustalić tożsamość facetów, którzy jego zdaniem zasługiwali na śmierć. Interesującym zbiegiem okoliczności jest to, że wszystko to się dzieje w chwili, kiedy Vargas przeprowadza swój szantaż. Wygląda na to, że coś, co zostało kiedyś pogrzebane, nagle się odkopało.

– Wygląda na to, że gra dobiega końca – mówię. – Wie, że go ścigamy. Cholera, sam się o to prosi. Rozumie, że wszystko zmierza do rozwiązania.

– W takim razie co dalej, kochaniutka?

Zastanawiam się nad odpowiedzią. Jest wiele różnych kierunków, w których moglibyśmy pójść. Który przyniesie najlepsze rezultaty?

– Czas na „dziel i rządź”. Alan, chcę, żebyś zajął się Langstromami. Zdobądź na ich temat wszelkie informacje, o ich śmierci, o tym, jacy byli. Zajrzyj pod każdy kamień. Sprawdź wszystko o dziadku. Jeśli mam dobre przeczucie, to będzie on ważną figurą. Zadzwoń do Barry’ego, jeśli będziesz potrzebował pomocy policji.

– Robi się.

– James, chcę, żebyś wykonał dwie rzeczy. Przeszukaj bazę VICAP pod kątem morderstw naszego poety i studenta filozofii. Sprawdźmy, czy możemy dowiedzieć się, kim byli.

VICAP to program tropienia groźnych zabójców. Jego celem jest stworzenie bazy danych o brutalnych przestępstwach, która pozwalałaby sprawdzić, czy podobny czyn popełniono już gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

– Dobrze. A ta druga rzecz?

Opowiadam mu o programie znalezionym w komputerze Michaela Kingsleya.

– Sprawdź, jak idą prace i czy nie potrzeba im pomocy. Niedługo będę chciała uciąć sobie na ten temat pogawędkę.

– Bardzo dobrze.

Nie pyta, co mam na myśli, mówiąc o „pogawędce”. Wie, że chcę, abyśmy wszyscy wspólnie przyjrzeni się meandrom psychiki Obcego. Tylko do takiego „spotkania umysłów” oboje jesteśmy zdolni.

– A ja? – pyta Callie.

– Zadzwoń do Barry’ego i zobacz, jak wyglądają sprawy z rysownikiem i tatuażem. Sprawdź też, czy poczyniono postępy w identyfikacji tej Rosjanki.

– Coś jeszcze?

– Na razie tyle. W porządku, koniec zebrania.

Wszyscy się rozchodzą. Przenoszę się do własnego gabinetu i zamykam drzwi. Muszę iść do wicedyrektora Jonesa, sprawdzić, co wie o Vargasie, ale po tym, co przeczytałam w nocy, muszę najpierw zrobić coś innego. Dzwonię do Tommy’ego. Odpowiada po drugim dzwonku.

– Hej!

– Hej! – odpowiadam i uśmiecham się do siebie. – Potrzebuję służbowej przysługi.

– O co chodzi?

– O ochroniarza.

– Dla ciebie? – Nie. Dla ofiary, o której ci opowiadałam. Szesnastolatka, Sarah Langstrom.

Tommy nie traci czasu.

– Kto ją prześladowuje?

– Nie wiemy, jak wygląda.

– Wiemy, kiedy ma zamiar to zrobić?

– Nie. Jest jeszcze jeden szkopuł. Prawdopodobnie dziewczyna stanowi tylko cel pośredni. Tak naprawdę giną osoby jej bliskie.

Tommy milczy.

– Sam nie mogę się tego podjąć. Wiesz, że zrobiłbym to, gdybym mógł, ale mam właśnie coś innego na tapecie.

– Wiem. – Nie naciskam, żeby powiedział, co to za „tapeta”. Tommy jest mistrzem niedopowiedzeń. Jak go znam, rozmawia ze mną przez telefon z samochodu otoczonego przez uzbrojonych facetów.

– U was nie ma do tego ludzi? – pyta.

– Do śledzenia owszem, ale ja potrzebuję zawodowego ochroniarza na pełen etat. Przekonam jakoś szefa i biuro pokryje rachunki.

– Rozumiem. Hm, mam kogoś. Kobietę. Jest dobra. Czuję wahanie w jego głosie.

– O co chodzi? – pytam.

– To tylko plotki.

– O niej?

– Tak.

– Jakie?

– Że przez jakiś czas zabijała ludzi.

Milczę.

– Jakich ludzi? – pytam. – Takich, którzy nie podobali się rządowi Stanów Zjednoczonych. – Przerywa na chwilę. – Podobno. Jeśli ktoś

wierzy w takie sprawy.

Zastanawiam się nad tym.

– A ty co o niej sądzisz, Tommy?

– Jest lojalna i zabójcza. Można jej zaufać.

Pocieram oczy i myślę. Wzdycham.

– Dobrze. Daj mi jej numer.

– Nie ma sprawy.

– W niezłych sferach się obracasz, Tommy.

– Tak jak i ty.

Znów się uśmiecham.

– Tak. Jak ja.

– Muszę lecieć.

– Wiem, wiem. Masz coś na tapecie. Zadzwoń później.

Rozłącza się. Siedzę przez chwilę, zastanawiając się nad tym, jak będzie wyglądała „lojalna i zabójcza” kobieta. Te rozmyślenia przerywa mi pukanie do drzwi.

Zagląda James.

– Gotowa? – pyta.

Zerkam na zegar na ścianie. Wicedyrektor Jones może chyba jeszcze chwilę poczekać.

– Tak. Porozmawiamy o naszym psycholu.

Siedzimy z Jamesem w moim gabinecie za zamkniętymi drzwiami.

Tylko ty i ja, mój nieznośny przyjacielu.

James, mizantrop James, ma ten sam dar, co ja. Brak taktu, obcesowość – facet naprawdę jest dupkiem w pełnym tego słowa znaczeniu – wszystko to jednak nie ma znaczenia, kiedy siadamy, żeby porozmawiać na temat zła. Widzi je tak jak ja. Słyszy, czuje i rozumie.

– Masz nade mną przewagę, James. Skończyłeś pamiętnik. Czytałeś notatki, które ci przefaksowałam?

– Tak.

– I co myślisz.

Wpatruje się w ścianę nad moją głową.

– Moim zdaniem motyw zemsty to dobry trop. Film z Vargasem, przesłania na ścianach, zwłaszcza odniesienie do sprawiedliwości, wszystko to pasuje. Ale czytając pamiętnik, miałem poczucie, że facet zaczyna mieszać paradygmaty.

– Możesz po ludzku, James?

– Pomyśl, pierwotny cel jest czysty, trzyma się kupy. Zemsta. Wyrządzono mu krzywdy. A więc on odpłaca tym, którzy są za to bezpośrednio odpowiedzialni, albo jak w wypadku Sarah, potomkom tych, którzy są bezpośrednio odpowiedzialni. Idziemy tym tropem i sądzę, że przyniesie to owoce. – Rozsiada się wygodniej. – Ale przeanalizujmy sposób, w jaki wymierza sprawiedliwość.

– Ból.

James uśmiecha się, to rzadkość.

– Właśnie. Ostatecznym celem jest oczywiście morderstwo. Ale to, jak szybko nastąpi śmierć... cóż, wszystko zależy od tego, na ile bólu zasłużyła według niego ofiara. Ma obsesję na tym punkcie. Zdaje się, że przekroczył granicę między czystym wymierzaniem sprawiedliwości a prawdziwą radością z zadawania bólu.

Zamyślam się nad tym. Zachowanie, jakie opisuje James, jest częste, bardzo częste. Wykorzystywany sam zaczyna wykorzystywać. Molestowane dziecko często wyrasta na kogoś, kto sam molestuje. Przemoc jest zaraźliwa.

Wyobrażam sobie Obcego, klęczącego jak ta biedna blondynka na filmie, podczas gdy jakiś śliniący się człowiek bije go po stopach, raz za razem.

Ból.

Dorasta, dusi się z wściekłości i uznaje, że czas na zemstę. Zaczyna realizować swój plan, wszystko idzie jak trzeba, ale gdzieś po drodze coś mu się przestawia. Wściekłość, którą chce wyrazić, zmienia się w chorą radość.

O wiele lepiej jest trzymać bat, niż dostawać razy. Na tyle lepiej, że zaczyna to sprawiać przyjemność. Do diabła, zaczyna to sprawiać radość. Kiedy człowiek wpada w tę pułapkę, białe linie zaczynają szarzeć, a podróż powrotna jest praktycznie niemożliwa. To by wyjaśniało sprzeczności z miejsc zabójstw. Malowanie krwią i erekcja, a z drugiej strony spokojny, opanowany człowiek działający według planu.

– A więc teraz mu się to spodobało – mówię.

– Moim zdaniem on tego potrzebuje – odpowiada James. – A

najważniejsze jest to, że ma pod ręką doskonale wytłumaczenie. Stara śpiewka: cel uświęca środki. Skrzywdzono go, winni muszą być ukarani. Jeśli przy okazji cierpią niewinni, to trudno – zły los.

– Nie taki znowu zły, jeśli iść twoim tokiem rozumowania.

– Otóż to. Weźmy Sarah. On uwielbia to, co jej zrobił. To go napędza.

– James wzrusza ramionami. – Ma obsesję. Założę się, że jego kreatywność ma znacznie większy zasięg, dotyczy też innych ofiar. Jeśli trochę pogrzebiemy, to pewnie doszukamy się zabójstw pełnych wyobraźni i odcieni, najrozmaitszych wariacji na temat zadawania bólu.

Na to, co mówi James, nie ma dowodów i nie da się ich na razie znaleźć. Ale instynkt podpowiada mi, że to prawda. Coś się we mnie przesuwają, trafia na dobrze naoliwione miejsce. Obcy nie jest maniakiem. Wie, co robi i dlaczego, a jego ofiary nie są przypadkowe – są bezpośrednio związane z jego przeszłością. Ale – i jest to wielkie ale – teraz ma obsesję śmierci. Morderstwo nie jest już dla niego tylko sposobem wymierzenia sprawiedliwości. Stało się aktem seksualnym.

– Porozmawiajmy o dwóch konkretach – mówię. – O zmianie zachowania i jego planie, jak zakończyć sprawę Sarah.

James kręci głową.

– To pierwsze mnie martwi. Rozumiem, dlaczego upublicznia swoje działanie. To się wiąże z motywem zemsty. Nie wystarczy wymierzyć ofiarom sprawiedliwości, świat musi się jeszcze o tym dowiedzieć.

– Jasne.

– Ale uświadomił sobie zmiany, jakie zachodzą w nim samym. Prawdopodobnie pierwotnie planował, że zostanie złapany, ujawni się w blasku chwały i opowie swoją historię całemu światu. Ale teraz odkrył, że

podoba mu się zabijanie ludzi. Jeśli umrze, nie będzie mógł tego robić. To za silny nałóg, by się z niego wyrwać.

– Jeśli nie chce dać się złapać, to miał przecież mnóstwo czasu, żeby opracować sobie wyjście awaryjne.

– Otóż to. Moim zdaniem pierwotny zamiar, jaki stał za tym planem, wcale się nie zmienił. Chce, żeby wszystko wyszło na jaw, chce ujawnić grzeszników i ich grzechy. Ale sam wolałby się trzymać od tego z daleka. Pewnie dlatego, że zamierza kontynuować swoją „pracę”. W końcu po świecie chodzi wielu grzeszników.

– Musimy być ostrożni – ostrzegam. – W pewnej chwili będzie nas próbował wodzić za nos. Trzeba na to uważać i nie wyciągać pochopnych wniosków.

– Owszem.

Wzdycham.

– Dobrze. A co z Sarah? Na koniec ją zabije? Czy pozwoli jej przeżyć? James zastanawia się nad tym, wpatrując w sufit.

– Myślę... – zaczyna – że wszystko zależy od tego, na ile uda mu się przerobić ją na własny obraz, a także jak bardzo zidentyfikuje się z tym, co z niej ulepi. Czy naprawdę stanie się nim? Jeśli tak, to czy pozwoli jej żyć, cierpieć, czy zabije z litości? Nie mam pojęcia.

– Zorganizowałam jej ochronę.

– Rozsądny ruch.

Stukam palcami w blat biurka.

– Biorąc pod uwagę film Vargasa, motyw i blizny na stopach, myślę, że było tak: padł ofiarą komercyjnego przemytu dzieci, został wykorzystany fizycznie i seksualnie. Trwało to długo, a teraz, kiedy dorósł, jest

wkurzony i robi wszystko, żeby pomścić krzywdy. Że tak powiem.

James wzrusza ramionami.

– To możliwe. Przynajmniej w jakiejś części. Naprawdę tragedia.

– Co?

– Widziałaś tę Rosjankę. Całkowicie rozbita. Nic w niej nie zostało. A nasz zabójca nie jest załamany. To znaczy, że od samego początku był silny. Zbudowany z mocnego materiału.

– Patrząc na to zupełnie z zewnątrz, on też jest rozbity. Ale rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz dodać coś jeszcze?

– Tylko jedno. Pytałaś, czy w pamiętniku było coś wiarygodnego. Oczywiście większość jest prawdą, a raczej jej wersją prawdy, ale...

– Zaczekaj. Powiedz mi, dlaczego tak sądzisz. Dlaczego w to wierzysz.

– Prosta logika. Przyjmujemy za fakt, że Sarah Langstrom nie zabiła Kingsleyów. I słusznie. Dziewczyna przez ostatnich kilka miesięcy pisze o szaleńcu, który zabija ludzi wokół niej, i potem to się naprawdę zdarza? Prawdopodobieństwo, że to przypadek, jest mikroskopijne. Ze względu na zabójstwo Kingsleyów opowieść Sarah, a przynajmniej jej część, ma sens jedynie wtedy, gdy jest prawdziwa. Chyba że dziewczyna potrafi przewidywać przyszłość.

Mrugam.

– Racja. To logiczne. Ale mówiłeś o czymś innym.

– Mówiłem, że wierzę w większość jej opowieści, ale czegoś mi brakuje. Nie jestem w stanie tego zdefiniować, lecz coś mnie niepokoi.

– Myślisz, że kłamię na jakiś temat?

Wzdycha sfrustrowany.

– Tego nie mogę powiedzieć. To tylko przeczucie. Zamierzam

przeczytać to jeszcze raz. Jeśli odkryję, o co chodzi, dam ci znać.

– Powinieneś zaufać temu przeczuciu – mówię.

Podnosi się do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymuje się i odwraca.

– Domyśliłaś się, czym jest dla nas Sarah?

Marszczę brwi.

– Nie rozumiem.

– Czego symbolem jest dla nas Sarah. Wiemy, jak postrzegają Obcy, to jego rzeźba. Dzieło stworzone z bólu w celu zemsty. Ale dla nas też czymś jest. Uświadomiłem sobie to zeszłej nocy. Zastanawiałem się, czy ty też.

Patrzę na niego i szukam odpowiedzi.

– Przepraszam – mówię. – Ale nie mam pojęcia, co masz na myśli.

– To *Każda ofiara*, Smoky. Czytam jej opowieść i tak to rozumiem: to każda ofiara, której nie zdołaliśmy ocalić. Zdaje się, że on o tym wie. Dlatego macha nam nią przed oczami. Trzyma ją dosłownie na wyciągnięcie dłoni, a potem każe nam patrzeć na jej krzyk.

Wychodzi, a ja zostaję zdumiona.

Ma rację, teraz to rozumiem. To pasuje do mojego sposobu widzenia świata.

Jestem zdziwiona, że James przejmuję się na tyle, by samemu to zauważyć.

Wtedy przypominam sobie siostrę Jamesa. Myślę, co powiedział i o głębi uczucia niezbędnej, by dojść do takiego wniosku. Rosa była ofiarą, której nie zdołał ocalić.

Czy to dlatego James jest zawsze taki niemły? Bo nie może przejść do porządku dziennego nad śmiercią siostry?

Może.

Mimo wszystko miał rację i jego spostrzeżenie zmusi nas do zachowania wzmożonej czujności.

Sarah nie była jedynie obiektem zemsty Obcego – była także jego przynętą.

Idę do wicedyrektora Jonesa – mówię do Callie, wychodząc z gabinetu.

– Chodź ze mną.

– Po co?

– Pamiętasz wątek z przemytem ludzi? Okazuje się, że on pracował przy tej sprawie.

– Żartujesz?

– Słowo harcerza.

Znów jestem w gabinecie bez okien. Siedzimy z Callie przed wielkim szarym meblem, który wicedyrektor Jones nazywa biurkiem.

– Opowiedzcie mi o tej sprawie – odzywa się wicedyrektor bez żadnych wstępów. – Zwłaszcza o Jose Vargasie.

Zaczynam streszczać wszystko, co zdarzyło się do tej pory. Kiedy milknę, wicedyrektor Jones poprawia się w fotelu, patrzy na mnie przez chwilę i stuka palcami w poręcz.

– Sądzicie, że ten zabójca, Obcy, to jedno z wykorzystanych dzieci z przeszłości Vargasa?

– Tej roboczej teorii się teraz trzymamy – mówię.

– To dobra teoria. Blizny na stopach zabójcy i Rosjanki? Widziałem już coś podobnego.

– Mówił pan, że pracował nad sprawą przemytu, w którą miał być zamieszany Vargas.

– Tak. W 1979 roku należałem do tego zespołu, podlegałem bezpośrednio agentowi Danielowi Haliburtonowi. – Kręci głową. –

Haliburton był żywą legendą dinozaurem, ale świetnym śledczym. Twardym. Ja zaczynałem, zaledwie dwa lata wcześniej skończyłem akademię. To była brudna sprawa. Naprawdę okropna. Ale odczuwałem podniecenie. Wiecie, jak to jest.

– Tak, dyrektorze.

– Wydział obyczajowy policji w Los Angeles zauważył wzrost liczby nieletnich prostytutek i dziecięcej pornografii. Normalnie szło pod górę, ale tym razem było inaczej. Zauważono, że wiele z tych dzieci miało cechy wspólne.

– Niech zgadnę – odzywa się Callie. – Blizny na stopach.

– To była jedna rzecz. Druga to fakt, że żadne z nich nie pochodziło ze Stanów Zjednoczonych. Przyjeżdżały przeważnie z Ameryki Południowej, niektóre z Europy. Uznaliśmy, że Europejczycy zostali przemyceni do Stanów przez Amerykę Południową. – Przerywa i zamyśla się nad przeszłością. – Większość ofiar stanowiły dziewczynki, ale byli też chłopcy. Mieli od siedmiu do trzynastu lat, nie więcej. Wszystkie dzieci były w fatalnej kondycji. Wiele cierpiało na rozmaite choroby weneryczne, nieleczone rany okolic narządów płciowych i odbytu... – Macha ręką. – Same rozumiecie. Dość powiedzieć, że była to taka sprawa, która naprawdę robi wrażenie na ludziach.

– Pedofile mają tylko jedną zaletę – mówię – są powszechnie znienawidzeni.

– Właśnie. Zostaliśmy więc poproszeni o wsparcie przez policję. Nikt wtedy nie przejmował się zaszczytami, public relations czy polityką. To było odświeżające. Stworzyliśmy grupę roboczą, policja również, i ruszyliśmy pełną parą. – Uśmiechnął się blado. – Kiedyś oznaczało to coś

innego niż teraz. Debata na temat etyki w siłach porządkowych była nieco bardziej... elastyczna.

– Rozumiem, że, mówiąc rzecz jasna hipotetycznie, podejrzani nie byli przesłuchiwani w białych rękawiczkach.

Uśmiecha się ponuro.

– Można tak to ująć. „Pacjent posiniaczony w niewyjaśnionych okolicznościach”. Coś w tym rodzaju. To nie mój styl, ale... – wzrusza z bólem ramionami – Haliburton i jego kumple pochodzili z innej epoki. Przemysłowcy byli cwani. Jeden punkt kontaktowy. Tu przekazywano pieniądze, a potem dzieci. Po transakcji kupujący i sprzedający więcej się nie kontaktowali.

– O ilu dzieciach mówimy? – pytam.

– Piątce. Trzech dziewczynkach, dwóch chłopcach. Potem zostały tylko dwie dziewczynki i jeden chłopak, tuż po tym jak zapewnił im opiekę i ochronę.

– Dlaczego?

– Jeden chłopiec i jedna dziewczynka popełnili samobójstwo. Mieliśmy więc dzieci – ciągnie wicedyrektor, próbując opowiedzieć to jak najszybciej, by zakończyć sprawę – i śmiecia, który je kupował. Jedna dziewczynka i jeden chłopiec należeli do alfonsa, prawdziwego sukinsyna, który nazywał się Leroy Perkins. Facet miał duszę jak bryła lodu. Dzieci wcale go nie kręciły, leciał po prostu na forszę, którą mogły mu przynieść.

– W pewnym sensie to nawet gorsze – mówię.

– Druga dziewczynka należała do zboczeńca, który naprawdę lubił dzieci. Na boku dorabiał sobie filmowaniem samego siebie, jak uprawia z nimi seks. Potem sprzedawał filmy podobnym sobie gwałcicielom dzieci.

Nazywał się Tommy O'Dell. Pewna część policjantów i agentów bardzo, bardzo mocno naciskała na Leroya i Tommy'ego. Nie chcieli nic powiedzieć. Zagroziliśmy, że umieścimy ich na oddziale ogólnym i damy cynk innym skazanym, co robili. Nic z tego. Sądziłem, że Tommy O'Dell pięknie, naprawdę tak mi się wydawało. Był gnidą. Ale nie pękł. Leroy też się nie złamał. W pewnej chwili powiedział Haliburtonowi: „Jeśli coś ci powiem, za kilka tygodni zginę. Potem zabiją moją siostrę, mamę, kurwa, powyrywają mi nawet rośliny z doniczek. Zaryzykuję pobyt w pierdłu”.

– Wygląda na to, że wiedział, z jak groźnymi ludźmi się zadaje – wtrąca Callie.

– Na pewno groźniejszymi od nas. Próbowaliśmy ostrzej, niż powinniśmy, i do niczego nie doszliśmy. Zostały nam więc dzieci. Kosztowało to trochę czasu i sił, ale kilkoro z nich skłoniliśmy do opowiedzenia, przez co przeszły. – Wicedyrektor Jones krzywi się. – Naprawdę koszmar. Tresowanie, trzcinką po stopach, do tego upokarzanie słowne i gwałty. Przez dużą część czasu miały na głowach kaptury albo opaski na oczach i były izolowane, od siebie nawzajem i od przemytników. Mimo to jedno z dzieci widziało Vargasa i usłyszało jego nazwisko. Potrafiło go opisać. Zgarnęliśmy więc Vargasa. – Spojrzenie wicedyrektora jest lodowate. – Byliśmy zdecydowani zrobić wszystko, żeby zmusić go do mówienia i tym razem, hipotetycznie, nie wzbraniałbym się dać mu pięścią w twarz. – Przerzywa. To długa, pełna zamyślenia pauza, cała spowita żalem. – Chłopiec nazywał się Juan. Miał dziewięć lat. Śliczny, bystry chłopak, kiedy już się rozkręcił, mówił dużo, choć leciutko się jąkał. Pochodził z Argentyny. Podziwiałem go, wszyscy go podziwialiśmy. Przeszedł przez piekło, a mimo to utrzymał się na

powierzchni i zrobił to z godnością. – Jones rzuca mi spojrzenie stare jak świat.

– Z godnością. A miał dziewięć lat.

– Co się stało? – pytam.

– Ukryliśmy dzieci w bezpiecznym domu. W nocy, dzień przed oficjalnymi zeznaniami Juana, ktoś napadł na nasz dom. Zabito policjanta, agenta i porwano całą trójkę dzieciaków.

– Porwano?

– Tak. Zapadły się pod ziemię.

Na chwilę zapominam języka w gębie. Jestem przerażona tą myślą. Te dzieci uratowano z rąk potworów. Powinny mieć zapewnione bezpieczeństwo.

– Czy to nie dowodzi...

– Że to ktoś z wewnątrz? – Kiwa głową. – Oczywiście. Tu i w policji wywrócono wszystko do góry nogami. Każdy agent i policjant został prześwietlony na wylot i mówiąc metaforycznie, przeszedł kolonoskopię. Niczego nie znaleziono. A wiecie, co jest najlepsze? Nie zdobyliśmy żadnego fizycznego dowodu, który łączyłby Vargasa ze sprawą dzieci. Mielśmy tylko słowa zaginionego świadka. Vargasa puszczono wolno, O'Dell i Perkins poszli siedzieć. Perkins przeżył. O'Della zaciukali. Dzieci z bliznami na stopach więcej już się nie pojawiały. Nie odnaleźliśmy Juana i tych dwóch dziewczynek, ale od informatora usłyszeliśmy, że jakieś dzieci odpowiadające ich opisom przeszły przez granicę do Meksyku i tam zostały zastrzelone. – Wzrusza ramionami, jeszcze dziś czuje rozgoryczenie.

– Wszystkie inne tropy okazały się ślepe. Nie pomogły urząd

imigracyjny, obyczajówka ani wydział do walk ze zorganizowaną przestępczością.

Zarzuciliśmy sieci szerzej. Powiadomiliśmy inne miasta, na co zwracać uwagę. I nic. W końcu grupę roboczą rozwiązano.

– Wygląda na to, że ten, kto wtedy za tym stał, wciąż istnieje – mówię.
– Vargas nagrał film, żeby kogoś zaszantażować.

– Czy to się nie wydaje dziwne? – pyta Callie.

– Co?

– Ci czarni bohaterowie z 1979 roku byli groźni. Vargas nie zrobił na mnie wrażenia szczególnie heroicznego człowieka.

– Smoky, odszukaj akta tamtej sprawy. Jeśli będziesz potrzebowała informacji od kogoś, kto przy tym był, odezwij się.

Uśmiecha się bez humoru.

– To była dla mnie przełomowa sprawa. Wcześniej uważałem, że zawsze udaje nam się złapać przestępcę. Że sprawiedliwość zawsze wygrywa i takie tam. Przy tamtej sprawie dotarło do mnie, że zło może zwyciężyć. Również wtedy uświadomiłem sobie, że są... – zawahał się – mężczyźni, którzy jedzą dzieci. – Cisza. – Oczywiście w metaforycznym sensie.

Tyle że tak naprawdę to nie metafora, prawda, dyrektorze? Dlatego się pan zawahał. Naprawdę je jedzą na surowo, jeszcze ciepłe i płaczące. Połykają je w całości.

Wróciłam do Centrali Śmierci. Callie uruchamia administracyjne tryby, które pozwolą nam otrzymać akta sprawy dotyczącej przemytu dzieci. Dzwoni moja komórka.

– Muszę ci o czymś opowiedzieć – mówi Alan.

– O czym?

– Sprawdzając przeszłość Kingsleyów, postanowiłem sprawdzić też Cathy Jones. Pamiętasz tę policjantkę z pamiętnika?

– Świetny pomysł. – Naprawdę niezły. Była dobrze wyszkolonym obserwatorem, była na miejscu i знаła Sarah także później. – I czego się dowiedziałeś?

– Złych i dziwnych rzeczy. Mnóstwo złych. Dziwnych też niemało. Jones dwa lata temu dorobiła się stopnia detektywa. Miesiąc później odeszła ze służby na dobre.

– Dlaczego?

– Została napadnięta we własnym domu. Pobita, przeleżała trzy dni w śpiączce. Jest jeszcze coś gorszego.

– Coś gorszego?

– Bił ją po głowie rurką. Doznała różnych obrażeń, ale najgorsze okazało się trwałe uszkodzenie nerwów ocznych. Smoky, ona jest po prostu niewidoma.

Milczę, próbując wszystko ogarnąć. Nie najlepiej mi się udaje.

– Ale to nie koniec.

– Co jeszcze?

– Napastnik pobił ją trzcinką. Po podeszwach stóp. Tak, że zostały blizny.

– Co?! – niemal krzyczę ze zdziwienia.

– Nie żartuję. Zareagowałem tak samo. A więc to złe wiadomości, ale...

– Już wiem, co jest w tym dziwnego, że pozwolił jej przeżyć.

– Otóż to. Na razie z tego, co wiemy, zabijał wszystkich poza Sarah.

Dlaczego Jones zostawił przy życiu?

– Rozmawiałaś z nią?

– W tej sprawie właśnie dzwonię. Mam jej adres, ale właśnie coś robię...

– Podaj mi go. Callie i ja zobaczymy... – Przez chwilę zamyślam się nad słowem „zobaczymy”. – Porozmawiamy z nią – poprawiam się.

Cathy Jones mieszka w apartamentowcu w Tarzanie. Ta okolica to kolejny przykład przedmieścia zagubionego pośród miejskich zabudowań Los Angeles. To dość ładny budynek, dobrze utrzymany, może tylko nieco zniszczony w narożnikach.

Deszcz na razie ustał, ale niebo jest szare i chmury wciąż wyglądają groźnie. Callie i ja przedzierałyśmy się tutaj blisko godzinę. Los Angeles nie znosi deszczu i to widać – na autostradzie minęłyśmy dwa wypadki.

Dzwoniłyśmy wcześniej, ale zgłaszała się tylko automatyczna sekretarka.

– Gotowa? – zwracam się do Callie, kiedy stanęłyśmy przed drzwiami mieszkania Cathy.

– Nie. Ale pukaj.

Stukam do drzwi.

Mija chwila. Słyszę kroki na drewnianej podłodze, a potem głos, czysty, ale niepewny:

– Kto tam?

– Cathy Jones? – pytam.

Chwila milczenia. Potem oschła odpowiedź.

– Nie, to ja jestem Cathy Jones.

Callie patrzy na mnie z uniesionymi brwiami.

– Pani Jones, nazywam się Smoky Barrett, jestem agentką specjalną FBI. Towarzyszy mi jeszcze jedna agentka, Callie Thorne. Chciałybyśmy z panią porozmawiać.

Zapada ciężka cisza.

– O czym?

Mogłabym odpowiedzieć „o napadzie na panią”. Postanawiam jednak zastosować inną taktykę.

– O Sarah Langstrom.

– Co się stało?

W jej pytaniu słyszę wyraźne przerażenie, chyba z lekką domieszką rezygnacji.

– Możemy wejść, pani Jones?

Kolejna chwila ciszy, a po niej westchnienie.

– Chyba musicie. Ja już nie wychodzę na zewnątrz. Słyszę zgrzyt odsuwanej zasuwki i drzwi się otwierają.

Cathy nosi okulary przeciwsłoneczne. Tuż koło włosów i na skroniach widzę małe blizny. Jest niska, szczupła, ale proporcjonalnie zbudowana. Wysportowana. Ma na sobie spodnie i bluzkę bez rękawów. Mięśnie na rękach są mocno zarysowane.

– Wejdźcie – zaprasza.

Wchodzimy. W mieszkaniu jest ciemno.

– Możecie sobie włączyć światło. Ja rzecz jasna nie potrzebuję. Pamiętajcie więc, żeby wyłączyć przy wyjściu.

Prowadzi nas pewnym krokiem do salonu. Wnętrze mieszkania wygląda na nowsze niż elewacja zewnętrzna. Wykładzina jest w kolorze spokojnego beżu, a ściany białe. Meble są czyste i dobrane ze smakiem.

– Ładne mieszkanie – zagajam.

Siada na fotelu, szerokim gestem wskazuje nam kanapę.

– Pół roku temu zatrudniłam projektanta wnętrz. Siadamy.

– Pani Jones...

– Cathy.

– Cathy – poprawiam się. – Jesteśmy tu z powodu Sarah Langstrom.

– Już to mówiłaś. Albo przejdziecie do rzeczy, albo spadajcie.

– Ślepa i na dodatek niemiała – odzywa się Callie.

Zaskoczona, rzucam Callie wściekłe spojrzenie. Ale powinnam się już przyzwyczać. Callie jest niekwestionowaną mistrzynią ostrego przełamywania lodów. Oceniała Cathy Jones i zrozumiała szybciej niż ja: Cathy chce być traktowana przede wszystkim jak normalny człowiek. Doskonale wiedziała, że zachowuje się wrednie. Chciała sprawdzić, czy będziemy koło niej skakać, czy przywołamy ją do porządku. Cathy uśmiecha się do Callie.

– Przepraszam. Jestem zmęczona tym, że traktuje się mnie jak inwalidkę, choć to trochę prawda. Przekonałam się, że kiedy najpierw wkurzę ludzi, potem traktują mnie na równi z sobą. – Uśmiech znika z jej twarzy.

– Opowiedzcie mi, proszę, o Sarah.

Przedstawiam jej historię Kingsleyów i streszczam pamiętnik Sarah. Mówię o Obcym i podaję naszą analizę jego sylwetki. Cathy siedzi i słucha, nadstawiając uszu.

Kiedy kończę, opiera się wygodniej. Odwraca twarz w stronę okna w kuchni. Zastanawiam się, czy to nieświadomy odruch, dawne przyzwyczajenie.

– A więc w końcu wyszedł na światło dzienne – mruczy. – W pewnym sensie.

– Na to wygląda – odpowiada Callie.

– Pokazał się po raz pierwszy – mówi Cathy, kręcąc głową. – Wcześniej tego nie robił. Ani w wypadku Langstromow, ani później. Nawet przy mnie.

Marszczę brwi.

– Nie rozumiem. Przecież napadł na panią więc jak się nie ujawnił?

Cathy uśmiecha się smutno i gorzko.

– Bo dopilnował, żebym trzymała gębę na kłódkę. Równie dobrze można powiedzieć, że się ukrywał, prawda?

– Jak to zrobił?

– Tak jak zawsze. Wykorzystuje to, na czym najbardziej człowiekowi zależy. Dla mnie to była Sarah. Powiedział, cytuję: „żebym się zbierała i zamknęła twarz, bo zrobi Sarah to, co zrobił mnie”. – Krzywi się. W jej oczach widać mieszankę gniewu i strachu oraz wspomnienie bólu.

– Potem zrobił to, co zrobił. Wiedziałam, że nie mogę dopuścić, żeby tak samo skrzywdził Sarah. Więc trzymałam gębę na kłódkę. I... – Przerywa na chwilę. Wygląda nieszczęśliwie.

– Co? – naciskam.

– Przecież właśnie dlatego tu przyjechałyście, prawda? Chcecie wiedzieć, dlaczego zostawił mnie przy życiu. Dlaczego mnie nie zabił. Między innymi dlatego milczałam. Bo przeżyłam. Bo się bałam. Nie o nią. O siebie. Powiedział, że jeśli nie zrobię tego, co każe, wróci do mnie. – Mówi to z drżącymi ustami.

– Rozumiem, Cathy. Uwierz mi.

Kiwa głową. Jej twarz się wykrzywia, ukrywa ją w dłoniach. Drżą jej ramiona, ale niezbyt mocno. To cichy płacz jak letnia burza. Pojawia się i szybko mija.

– Przepraszam – mówi i podnosi głowę. – Nie wiem, dlaczego tak się przejmuję. I tak już nie jestem w stanie płakać. Zniszczył mi także kanaliki łzowe.

– Łzy nie są istotne – mówię i od razu czuję, jak to beznadziejne brzmi.

Kim ty jesteś, Doktor Mądralińska?

Wbijają we mnie swoje niewidzące spojrzenie. Przez ciemne szkła nie widzę jej oczu, ale czuję na sobie jej wzrok.

– Znam cię – mówi Cathy. – To znaczy, słyszałam o tobie. Straciłaś całą rodzinę, prawda? Zostałaś zgwałcona i pociął ci twarz?

– To ja.

Mimo ślepoty świdruje mnie wzrokiem na wylot.

– Jest pewien powód.

– Słucham?

– Że mnie nie zabił. Jest powód. Ale dojdziemy do tego na końcu. Powiedz mi, co jeszcze chcecie wiedzieć.

Chcę ją ponaglić, ale porzucam ten pomysł. Musimy wiedzieć wszystko. Niecierpliwość, by usłyszeć jakiś mały fragmencik, nie przyniosłaby nic dobrego.

Opisujemy morderstwa Langstromów tak, jak przedstawiła to Sarah w pamiętniku.

– Bardzo dokładnie – potwierdza Cathy. – Jestem zdziwiona, że pamięta tyle szczegółów. Ale pewnie miała mnóstwo czasu, żeby o tym myśleć.

– Tak dla jasności – mówię. – Byłaś w patrolu, który przyjechał na miejsce? Widziałaś ofiary i Sarah?

– Tak.

– W pamiętniku dziewczyna wspomina, że nikt nie wierzył, że jej rodzice zostali zmuszeni do zrobienia tego, co zrobili. To prawda?

– Wtedy to była prawda. I nadal jest. Wyciągnijcie akta sprawy. Przekonacie się, że nie podważano hipotezy morderstwa i samobójstwa. Koniec, sprawa zamknięta.

Nie mogę tego pojąć.

– Daj spokój, twierdzisz, że kryminolodzy nie znaleźli tam żadnych śladów?

Cathy podnosi palec.

– Nie, mówię coś innego. To, że nikt się nie przyłożył, nie przyjrzał bliżej, bo zabójca doskonale wykreował całe miejsce zabójstwa. Czasami wyczuwa się, że scena zabójstwa została sztucznie zaaranżowana. Zgadza się?

– Tak.

– No właśnie. A tutaj tak nie było. Była pożegnalna notatka pod szklanką wody z odciskami palców i śliną pani Langstrom. Jej odciski na pistolecie, ślady prochu i krwi odpowiadały temu, czego można oczekiwać przy samobójstwie. Na szyi jej męża znaleziono jej odciski palców. Do tego jej odciski na pile, którą ucięto głowę psu. Potajemnie brała środki antydepresyjne. Co byście sobie w takiej sytuacji pomyślały?

Wzdycham.

– Rozumiem.

Relacja przekazana przez innego zawodowca rzuca całkiem nowe światło na sprawę. Widzę ją tak, jak widziała Cathy, jak widzieli detektywi z wydziału zabójstw, bez informacji o zabójstwie Kingsleyów i pamiętnika Sarah.

– Wspomniałaś, że jednak można było tam coś znaleźć – mruczy Callie.

– Dwie rzeczy. Drobiazgi, ale jednak. Raport z sekcji zwłok pani Langstrom wspominał o sińcach na nadgarstkach. Nie uznano, że to coś istotnego, bo niczego nie szukaliśmy. Ale gdyby był powód, żeby szukać...

– W takim razie myślisz o kajdankach i opowieści Sarah – mówię. – Myślisz o tym, jak pani Langstrom cierpiała i szarpała rękami w wyłożonych miękkim materiałem kajdankach. Szarpała tak mocno, że mogła sobie posiniaczyć nadgarstki.

– Właśnie.

– A ta druga rzecz?

– W przyjętym scenariuszu zastrzeliła psa i siebie. Nikt nie zarejestrował żadnych wystrzałów, a mówimy przecież o porządnej spluwie kaliber 22. W tej sytuacji zaczynamy myśleć o tłumiku, choć na miejscu zdarzenia nie znaleziono żadnego tłumika na broni.

– Co ciebie skłoniło do szukania? – pyta Callie.

Cathy nie odzywa się przez chwilę, myśli.

– Sarah. Trochę to trwało, ale z czasem poznałam ją lepiej i zaczęłam się zastanawiać. To szczerza dziewczyna. A ta opowieść była cholernie mroczna jak na dziecko w jej wieku. Ludzie wokół niej wciąż umierali, odnosili rany. Kiedy dopuści się taką możliwość, ślady widać wszędzie. – Pochyliła się do przodu. – Jego prawdziwy geniusz zawsze polegał na subtelności, na zrozumieniu, jak myślimy, i na wyborze ofiary. Nie przesadza z aranżacją miejsca zabójstwa, żeby wyglądało naturalnie. Prowadzi nas do jakiegoś wniosku, ale nie zostawia zbyt dużo okruszków, żebyśmy nie stali się podejrzliwi. Wie, że szkolono nas w odtwarzaniu

zdarzeń w jak najprostszych sekwencjach. I wybrał ofiarę bez krewnych, Sarah, żeby nikt nie węszył i nie kazał nam bliżej przyjrzeć się sprawie, żeby nikt się nie przejmował.

– Ale ktoś się przejął, prawda? – mówię cicho. – Ty.

Cathy nie patrzy na nas, znów kieruje wzrok do okna.

– Zgadza się.

– Dlatego ci to zrobił?

Przełyka ślinę.

– Może po części tak, ale nie sędzę, żeby głównie dlatego. To, co mi zrobił, bardzo mu się przydało. – Zdaje się, że Cathy oddycha nieco szybciej.

– Czy coś w związku z tym, co ci zrobił... co ci się przydarzyło... czy coś tu może nam pomóc? – naciskam. – Wiem, że ci trudno.

Odwraca się do mnie.

– Ten facet jest... albo raczej do tej pory był, duchem. Podejrzewam, że cokolwiek, co pozwoliłoby go zidentyfikować, pomogłoby wam, prawda?

Nie odpowiadam, to pytanie retoryczne.

Cathy wzdycha ciężko. Ręce jej drżą i wciąż oddycha szybko.

– Zabawne. Przez dwa lata chciałam opowiedzieć prawdę. A teraz, kiedy mogę, mam wrażenie, że z chęcią zapadłabym się pod ziemię.

Ryzykuję. Sięgam do jej ręki. Aż lepi się od potu i drży. Nie zabiera dłoni.

– Kiedyś mdlałam – mówię jej. – Po tym, co mi się stało. Tak zupełnie bez powodu.

– Naprawdę?

– Nie rozpowiadaj tego – proszę z uśmiechem – ale tak, naprawdę.

– To prawda, kochaniutka – potwierdza Callie cichym głosem.

Cathy zabiera rękę. Podejrzewam, że próbuje szukać siły w sobie.

– Przepraszam – mówi. – Od tamtego czasu brałam pigułki na uspokojenie. Przestałam jakieś dwa tygodnie temu. Postanowiłam, że jakoś sama spróbuję dać sobie radę. Przez te leki zmieniałam się w jakiegoś zombie. Czas nabrać sił. Nadal myślę, że podjęłam właściwą decyzję, ale...

– Macha ręką. – Czasami jest mi ciężiej.

– Masz kawę? – szczebiocze Callie.

Cathy marszczy brwi.

– Słucham?

– Kawę. Kofeinkę. Nektar bogów. Jeśli mamy tu siedzieć i słuchać czegoś koszmarnego, to chyba warto to zrobić przy kawie.

Cathy uśmiecha się do niej niepewnie, ale z wdzięcznością.

– Świetny pomysł.

Coś tak normalnego jak filiżanka kawy chyba uspokaja Cathy. Mówi z naczyнием w dłoniach, przerywając co jakiś czas, żeby się napić.

– Przez całe lata grzebałam w aktach tej sprawy, próbując znaleźć coś, co przekonałoby starszego stopniem detektywa, by jeszcze raz się temu przyjrzeć. Musicie zrozumieć, że choć uważano mnie za niezłą policjantkę, to byłam tylko zwykłą mundurową. To zupełnie inna warstwa społeczna, cywile i mundurowi. Faceci z wydziału zabójstw mają hopla na punkcie statystyki. Odsetek spraw rozwiązanych, odsetek morderstw na głowę i tak dalej. Jeśli ktoś chciałby podrzucić na kupkę akt jakąś nierozwiązaną sprawę, zwłaszcza taką, którą zaliczono już do rozwiązanych, to musiałby mieć przekonujące poszlaki. A ja ich nie miałam.

– Sińce na nadgarstkach nie wystarczyły? – pytam.

– Nie. I powiedzmy sobie szczerze, sama nie wiem, czy mnie by przekonały, gdybym była na miejscu policji. Posiniaczenie odnotowano, ale według uwag patologa mogło ono mieć najrozmaitsze przyczyny. Mąż mógł na przykład złapać ją za mocno za nadgarstki. Pamiętajcie, że według ich teorii to ona go udusiła.

– To prawda.

– Właśnie. No więc uganiałam się za tym przez kilka lat, po godzinach, i niczego nie osiągnęłam. – Przerwała, jakby zażenowana i zawstydzona. – Mówiąc szczerze, nie zawsze przykładalam się do tego tak, jak powinnam. Czasami wątpiłam w cały ten scenariusz. Leżałam w łóżku w nocy, rozmyślałam i stwierdzałam, że nie wierzę jej, że to tylko dziecko z pokreconą psychiką, które wymyśliło sobie historyjkę, żeby wyjaśnić bezsensowną śmierć rodziców. Zwykle wracałam potem do trzeźwego myślenia, ale... – Wzrusza ramionami. – Mogłam zrobić więcej. Zawsze gdzieś mi się to kołatało po głowie. Życie biegło po prostu naprzód. Nie potrafię tego wyjaśnić. – Wzdycha. – Tymczasem pracowałam i awansowałam. I w końcu dochrapałam się stopnia detektywa. – Uśmiecha się na to wspomnienie. Pewnie nie zdaje sobie sprawy, że to robi. – Zdałam egzamin śpiewająco. Było super. Naprawdę duża rzecz. Nawet mój tata by się cieszył.

Zauważam, że używa czasu przeszłego w odniesieniu do ojca, ale nie pytam o to.

– Chciałam pracować w wydziale zabójstw, ale przydzielono mnie do obyczajówki. – Wzrusza ramionami. – Byłam kobietą, niebrzydką, ale twardą. Potrzebowali kogoś, kto udawałby dziwkę. Z początku

odczuwałam rozczarowanie, ale potem zaczęło mi się podobać. Byłam w tym dobra. Miałam do tego żyłkę. – Kolejny nieświadomy uśmiech. Twarz jej się ożywiła. – Utrzymywałam kontakt z Sarah. Z każdym rokiem stawała się twardsza i chłodniejsza. Podejrzewam, że tylko dzięki mnie jakoś się jeszcze trzymała. Byłam jedyną osobą, która знаła ją przez cały czas i której naprawdę na niej zależało. – Odwraca niewidome spojrzenie w stronę okna w kuchni i myśli. – Chyba dlatego właśnie przyszedł w końcu do mnie. Nie dlatego, że zostałam detektywem. Nie dlatego, że węszyłam. Wiedział, że mi zależy. Wiedział, że może na mnie liczyć, że przekażę jego wiadomość, jeśli to będzie mogło pomóc Sarah.

– Jaką wiadomość? – pyta Callie.

– Zaraz do tego dojdę. Jeszcze coś... Chyba nadszedł czas, żeby mnie od niej odsunąć. – Odwraca do mnie głowę. – Rozumiesz?

– Chyba tak. Masz na myśli jego ogólny plan wobec Sarah.

– Tak. Byłam ostatnią osobą, która wiedziała, jaka naprawdę jest Sarah. Ostatnią osobą, której mogła zaufać. Nie wiem, dlaczego pozwalał na to aż tak długo. Może po to, żeby dać jej nadzieję.

– A potem ją odebrać – dopowiadam.

Kiwa głową.

– Tak.

– Opowiedz nam o tamtym dniu. – Callie naciska delikatnie łagodnym głosem.

Cathy odruchowo zaciska dłoń na filiżance. Nagły dreszcz emocji.

– Dzień był jak co dzień. To chyba właśnie najbardziej mną wstrząsnęło. Ani w pracy, ani prywatnie nic szczególnego się nie działo. Data też nie miała znaczenia, a pogoda była zupełnie przeciętna. Jedyna

różnica polegała na tym, że on postanowił, że to będzie akurat tego dnia. – Popija łyk kawy. – Skończyłam pracę na drugą zmianę. Do domu wróciłam już po północy. Ciemno. Cicho. Byłam zmęczona. Od razu poszłam pod prysznic. Zawsze tak robiłam. Było w tym coś symbolicznego, odwalalam brudną robotę, wracałam do domu, zmywałam z siebie.

– Jasne – mówię.

– Rozebrałam się, wzięłam prysznic. Włożyłam szlafrok i sięgnęłam po książkę, którą akurat czytałam, coś banalnego i głupiego, ale zabawnego. Potem nalałam sobie filiżankę kawy i usiadłam dokładnie tutaj. – Klepie poręcz fotela ręką. – To był inny fotel, ale stał w tym samym miejscu. Pamiętam, jak postawiłam filiżankę na stole. – Wykonuje dobrze zapamiętany ruch. – A w następnej sekundzie miałam już na szyi zaciśnięty sznur, który ciągnął mnie do tyłu tak zdecydowanie, tak mocno. Próbowałam myśleć, coś zrobić, włożyć ręce pod sznur, ale przeciwnik był zbyt szybki. Zbyt silny.

– To działanie znieczulacza – mówi Callie łagodnym głosem. – Jeśli napastnik jest silny, przeważnie atak jest udany. Prawdopodobnie i tak nie byłas w stanie nic zrobić.

– Też sobie tak tłumaczę. I zwykle w to wierzę. – Popija łyk kawy. Tym razem drży jej warga. – Wiedział, co robi. Szarpnął sznur do tyłu i w górę. – Chwyta się za gardło i pokazuje. – Zemdlałam w kilka sekund. – Kręci głową. – W kilka sekund. Uwierzycie? Mógł mnie od razu zabić. Nigdy bym się nie obudziła. Umarłabym. Ale... – Głos jej cichnie. – Ale się obudziłam. Budziłam się wiele razy. Związał mnie liną, zupełnie jak Gacy, ten morderca z Chicago. Kiedy zaciskał pętlę, odcinał mi dopływ

krwi do mózgu i mdlałam. Potem rozluźniał linę i znów się budziłam. Potem znów ją zaciskał. Kiedy obudziłam się za którymś razem, nie miałam już na sobie szlafroka. Byłam naga. Za kolejnym przebudzeniem miałam ręce skute kajdankami na plecach i knebel w ustach. Czułam się, jakbym wciąż tonęła i budziła się za każdym razem w nowym miejscu koszmaru. Najgorsze było to, że z jakiegoś powodu w ogóle się nie odzywał.

Słyszę napięcie w jej głosie, niepokój, jaki budzi to konkretne wspomnienie.

– Pamiętam, że bardzo wtedy chciałam, żeby coś po prostu powiedział, wyjaśnił, nadał temu sens. Ale on milczał. – Wciąż niespokojnie drżą jej ręce. Kładzie je na kolanach, obejmuje nimi ramiona.

Wygląda jak obraz nieświadomego, powtarzanego nerwowego ruchu.

– Nie wiem, ile to trwało. – Zdobywa się na ironiczny, nieco bolesny uśmiech. – Za długo. – Znów patrzy na mnie zza okularów. – Wiesz, jak to jest, prawda?

– Wiem – potakuję.

– W końcu za którymś razem przebudziłam się i już tak zostało. Leżałam na łóżku z rękami i nogami w kajdankach. Minęło trochę czasu, nim naprawdę doszłam do siebie. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy mnie zgwałcił. I nawet gdyby tak było, to nie miałabym pewności.

– A zgwałcił cię? – pytam.

– Nie.

Znów brak patologii seksualnych wobec kobiet, myślę w duchu.

– Mów dalej – proszę.

– W końcu się odezwał: „Chcę, żebyś wiedziała, Cathy, że osobiście

nie mam nic do ciebie. Musisz odegrać pewną rolę, to wszystko. Musisz coś zrobić dla Sarah”. – Drży jej dolna warga. – Wtedy właśnie do mnie dotarło, kim jest. Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi to wcześniej do głowy, ale nie przyszło. „Powiem ci, co się stanie”, mówił. „Pobiję cię i prawdopodobnie nie będziesz już więcej policjantką, Cathy Jones. Więc po wszystkim powiesz im, że nie masz pojęcia, kto mógł ci to zrobić i dlaczego. Jeśli postąpisz inaczej, zniszczę twarz Sarah i wydłubię jej oczy łyżeczką”. – Cathy ścisza głos: – Nie rozumiałam, co mówi, ale w pewnym sensie jego słowa do mnie docierały. Zrobiłam więc coś, co zrobiłby każdy szanujący się detektyw. Błagałam. Błagałam jak dziecko. Z... zmoczyłam się. Słyszę wstyd w jej głosie i rozpoznaję go.

– Chciał, żeby pozostał w tobie niesmak – mówię. – Żebyś wstydziała się swojego strachu, jakby to miało jakieś znaczenie.

Krzywi twarz.

– Wiem. Zwykle to rozumiem. Ale czasami jest ciężko.

– Zgadza się.

To ją trochę chyba uspokaja. Mówi dalej:

– Potem coś mi pokazał. Powiedział, że wkłada to do szuflady mojej szafki nocnej. „Za kilka lat ktoś do ciebie zapuka, zada pytania. Wtedy będziesz mogła opowiedzieć im wszystko i dać to, co masz w szufladzie. Daj im to i powiedz: „Symbole to tylko symbole”.

Nie mogę poskromić niecierpliwości. Co takiego leży w szufladzie? I co, u licha, ma znaczyć ten tekst: „Symbole to tylko symbole”?

– Większości tego, co się stało, nie pamiętam. Czasami mam przebłyski, wielkie i jasne, niemal nierealne. Jak obrazy ze zbyt dużą ilością bieli. Pamiętam bardziej dźwięki niż ból. Łupiące odgłosy, głębokie

wibracje w czaszce. Chyba bił mnie wtedy rurką. Pamiętam smak krwi i myśl, że dzieje się ze mną coś naprawdę złego, ale nie wiedziałam właściwie co. Bił mnie po stopach tak mocno, że nie mogłam potem chodzić przez miesiąc. – Znów spojrzenie w stronę okna w kuchni. – Ostatni widok, jaki pamiętam, to jego twarz. Zbyt oświetlona, zbyt jaskrawa, z tą cholerną maską z pończochy. Patrzył na mnie i się uśmiechał. Potem już obudziłam się w szpitalu i zastanawiałam się, dlaczego nie mogę otworzyć oczu.

Milknie.

Czekamy cierpliwie.

– Ocknęłam się po dłuższej chwili. Przypomniałam sobie. Uświadomiłam sobie, że nie widzę. – Przerywa i wspomina tę chwilę. – Wiecie, co mnie przekonało, że mówi poważnie? Że dobierze się do Sarah? Że do mnie wróci?

– Co? – pyta Callie.

– Sposób, w jaki powiedział, że to nic osobistego. Pamiętam, jak to mówił, jak wyglądał i jak to brzmiało. Rzeczowo. Nie był rozgniewany, nie spieszył się, nie wyglądał na wariata, szaleńca, nic takiego. Wyglądał normalnie, nawet się uśmiechał jak ktoś, kto opowiada o dobrej książce, którą właśnie przeczytał. – Sięga po filiżankę, odnajduje ją i pociąga łyk kawy.

– Zrobiłam więc, co mi kazał. Trzymałam gębę na kłódkę.

– Moim zdaniem postąpiłaś rozsądnie – oznajmiam. – Z tego, co już wiemy, wynika, że ten facet nie blefuje. Gdybyś coś powiedziała, pewnie skrzywdziłby Sarah. Albo ciebie, albo was obie.

– Często to sobie powtarzam – odpowiada, próbując się uśmiechnąć.

– A zresztą. – Kolejny łyk kawy. – I tak już załatwił mnie na dobre. Rozbił mi czaszkę do tego stopnia, że musieli mi dosztukować kawałek kości. Połamał mi ręce i nogi tą rurką i wybił mi większość zębów. Teraz mam implanty. Co jeszcze? Aha, do dziś nie jestem w stanie wyjść na dwór, bo mam napady paniki.

Milknie, czekając na reakcję. Przypominam sobie, jak czułam się po napadzie na mnie, jak nienawidziłam frazesów, wyświechtanych zwrotów, którymi sypali ludzie, bo nie było słów, które opisywałyby, co czułam.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznaję.

Uśmiecha się szczerze i ciepło. Zaskakuje mnie to.

– Dzięki.

Cathy wie, że ją rozumiem.

– No dobrze, Cathy, co takiego ci dał?

Wskazuje w głąb mieszkania.

– Sypialnia jest po prawej. Górna szuflada.

Callie kiwa głową, wstaje i idzie do sypialni.

Chwilę później wraca. Ma zakłopotaną minę. Siada na kanapie i otwiera dłoń, pokazując, co ma w środku.

W świetle błyszczy mały złoty przedmiot. Odznaka detektywa.

– Moja – mówi Cathy. – Moja odznaka.

Patrzę na dłoń Callie.

Symbole to tylko symbole.

Kompletnie nie wiem, co o tym sądzić. Patrzę na Callie i unoszę pytająco brew.

Wzrusza ramionami.

– Domyślasz się, dlaczego to dla niego takie ważne? – pytam Cathy.

– Nie. Żałuję, ale nie mam pojęcia. Uwierzcie mi, myślałam nad tym bardzo długo.

Moja frustracja narasta. Nie z powodu Cathy. Przyjechałam tu, licząc na wyjaśnienia, podniecona szansą. Tymczasem znalazłam kolejną zagadkę.

– Możesz mi coś powiedzieć? – zwraca się do mnie Cathy.

– Oczywiście.

– Jesteś dobra? – rzuca. – Złapiesz go?

To głos ofiary, chrapliwy, nieco głodny, pełen wątpliwości i nadziei. Nie jestem w stanie odczytać emocji malujących się na jej twarzy. Radość, gniew, żal, nadzieja, wściekłość i wiele innych. Tęcza światła i cienia.

Patrzę na nią i przyglądam się bliznom przy włosach, mojej własnej twarzy odbijającej się w jej szklach, widzę brzydotę, jaką stworzył ten, kto mnie zaatakował, ale widzę też trochę piękna, którego nie mógł zniszczyć. Przepenia mnie koszarne uczucie. Ból, wściekłość i niemal niepoohamowana żądza, żeby zabić coś złego.

Callie odpowiada za mnie.

– Jesteśmy najlepsze, kochaniutka. Nie ma nikogo lepszego.

Cathy patrzy na nas i mam poczucie, że nas „widzi”, mimo ślepoty.

– Dobrze – szepcze i kiwa głową. – Dobrze.

– Cathy... chcesz dostać ochronę? – pytam.

Marszczy brwi.

– Po co?

– Ścigam... ścigamy tego faceta. Wreszcie się zorientuje. Może nawet chce, żebyśmy go tropili. W końcu może na nowo zainteresować się przeszłością.

– Czyli mną.

– To możliwe. Wiem, że obiecał ci, że jeśli zrobisz, co każe, to zostawi cię w spokoju, ale przecież nie można mu ufać.

Milczy, zastanawia się bardzo długo. Mamy wrażenie, że ta chwila trwa całą wieczność. W końcu kręci przecząco głową.

– Nie, dzięki. Śpię z bronią pod poduszką. Mam kawał dobrego systemu alarmowego. – Uśmiecha się gorzko. – I w zasadzie trochę liczę, że znowu zechce mnie odwiedzić. Z radością odstrzelę mu dupsko.

– Na pewno?

– Na pewno.

Patrzę na Callie i bez słów mówimy sobie: i tak ustawimy przed jej domem samochód z kimś, kto będzie pilnował.

Pociąga kolejny łyk kawy. Pewnie jest już zimna.

– Zrobicie coś dla mnie?

– Wszystko – mówię najzupelniej szczerze.

– Dacie mi znać, kiedy to się skończy?

Sięgam po jej rękę i ściskam ją.

– Kiedy to się skończy, Sarah da ci znać.

Chwila milczenia, a potem to ona ściska mnie mocno za rękę.

– Dobrze – powtarza.

Zabiera rękę, chce być silna.

Wyglądam przez okno po stronie pasażera. Poprosiłam Callie, żeby prowadziła, chciałam pomyśleć. Omówiłyśmy wizytę u Cathy, próbowałyśmy rozwikłać zagadkę odznaki i tę jego głupią zabawę w słówka. Nic nie wymyśliłyśmy.

Czuję się podminowana, zagubiona i zawiedziona. To mieszanka podniecenia i wrażenia nierzeczywistości. Jestem ożywiona, bo coś się dzieje. Złapałyśmy trop i wiemy coś, czego nie wiedziałyśmy wcześniej. Jestem zawiedziona z powodu piętrzących się pytań bez odpowiedzi.

Poczucie odrealnienia uderzyło mnie, gdy wracałyśmy do samochodu. W nocy, kiedy czytałam pamiętnik Sarah, spotkałam Cathy Jones po raz pierwszy. Była świeżo upieczoną policjantką, zdrową, oddaną, miała swoje wady, ale była raczej dobra niż zła. Ludzka. Dzisiaj w jej własnym domu zobaczyłam, co się z nią stało – czułam się, jakbym poznała koniec historii, której jeszcze nie przeczytałam. Jakbym podróżowała w czasie.

Dzwoni mój telefon, wyrywając mnie ze snu na jawie. Patrzę na numer. To Alan.

– Co się dzieje? – pytam.

– Coś interesującego – dudni w słuchawce. – Być może coś dobrego dla nas.

Wyprostowuję się.

– Co?

– Hm... Stoję przed domem Langstromów. I wiesz co? To wciąż jest dom Langstromów.

Zdziwiona, marszczy brwi.

– Nie rozumiem.

– Spotkałem się z Barrym. Przeglądaliśmy akta sprawy, mam zresztą na ten temat trochę przemyśleń, coś mi po prostu nie pasowało. Postanowiłem przejechać się na miejsce. Choć od tamtego czasu minęło dziesięć lat.

– Rozumiem.

– Barry ma jakąś znajomą w biurze ksiąg wieczystych i zna dziewczynę z firmy telefonicznej. – Niemal słyszę, jak Alan przewraca oczami. – Żeby nie przedłużać, odkryliśmy, że dom należy teraz do... uważaj: trustu Sarah Langstrom.

– Co? – Zaskoczenie w moim głosie jest tak wielkie, że Callie rzuca mi spojrzenie.

– Zdziwiłem się tak samo jak ty. Stwierdziłem, że rodzice mogli być lepiej sytuowani, niż nam się wydawało. Miałem nadzieję, że szykuje się tu jakieś szczęśliwe zakończenie i Sarah odziedziczy mnóstwo pieniędzy. Okazało się to po części prawdą, ale nie do końca. Langstromom żyło się nieźle, znajdowali się zdecydowanie w górnej części bogatszej klasy średniej. Ale nie byli obrzydliwie bogaci, rozumiesz?

– No i? – pytam, czekając na wyjaśnienie i puentę zarazem.

– No i okazuje się, że trust został założony przez anonimowego darczyńcę po tym, jak Langstromowie zostali zamordowani. Ktoś, kto podobno był wielkim wielbicielem prac świętej pamięci pani Langstrom.

– O kurczę – mówię z przekonaniem.

– Właśnie. Trust nie ma żadnej siedziby, zarządza nim tylko prawnik, niejaki Gibbs. Nie chciał na razie podać nazwiska darczyńcy, ale nie jest wredny. Po prostu trzyma się reguł zawodu.

– Będziemy musieli zdobyć nakaz – rzucam, wciąż podniecona. – „Wielbiciel sztuki”? Brzmi znajomo.

– Też tak pomyślałem. Ale ten Gibbs przekonywał nas, że nie zamierza utrudniać nam działań. Powiedział, że jeśli Sarah wyrazi pisemną zgodę, a on to potwierdzi telefonicznie, wpuści nas do domu. Podjechaliśmy do szpitala i spotkaliśmy się z nią.

– Jak się trzyma? Jak zareagowała na tę wiadomość?

Przedłużająca się cisza oznacza zakłopotane wzruszenie ramion.

– Była dość wstrząśnięta. Chce zobaczyć dom. Musiałem jej obiecać, że niedługo ją tam zawieziemy, inaczej wyskoczyłaby z łóżka.

Wzdycham.

– Oczywiście, że ją zawieziemy.

– Dobrze. Więc uspokoiliśmy ją, połączyliśmy z Gibbem, a potem ten prawnik przywiózł nas tutaj. I wiesz co? – Przerywa, żeby podkreślić dramatyczny moment. – Nikt tu nie zaglądał od chwili, kiedy kryminolodzy wyszli stąd dziesięć lat temu.

– Żartujesz sobie? – Nie mogę ukryć niedowierzania w głosie.

Callie znów na mnie spogląda.

– Nie. Brakuje tylko kilku rzeczy z pokoju Sarah. Może zabójca wrócił i zabrał parę pamiątek.

– Podaj mi adres – mówię bez wahania.

Rozłączam się podekscytowana.

– Opowiadaj, co się dzieje – ostrzega Callie – albo zacznę ci śpiewać hymn i to na cały głos.

To groźba. Callie jest piękna pod wieloma względami. Ale nie potrafi pięknie śpiewać.

Zawsze myślałam, że w Malibu mieszkają bogaci i szczęściarze. Bogaci to ci, którzy mogą sobie dziś pozwolić na zakup domu w tej modnej, niezbyt odległej od morza miejscowości. Szczęściarze to ci, którzy kupili domy, zanim ceny większości z nich zaczęły być poza zasięgiem zwykłego śmiertelnika.

– Pięknie – zauważa Callie, kiedy jedziemy nadmorską autostradą.

– Pewnie tu – odpowiadam.

Jest tuż po obiedzie i słońce w końcu postanowiło wyrzeć zza chmur. Ocean mamy po lewej stronie, szeroki błękit, najpewniejsza rzecz na ziemi i najbardziej nieposkromiona siła w jednym. Można kochać ocean – wielu go kocha – ale nie ma co liczyć na odwzajemnienie tego uczucia. Ocean jest zbyt wieczny.

Po prawej mamy góry pocięte wijącymi się mocno uliczkami, które prowadzą do wielu domów i dzielnic Malibu. Mnóstwo zieleni po deszczu – zauważam. To zły znak przed zbliżającym się sezonem pożarów.

Odnajdujemy właściwy zjazd i po dziesięciu minutach oraz kilku błędach zatrzymujemy się pod podanym adresem. Alan i Barry stoją na zewnątrz. Alan słucha Barry'ego, który opiera się o samochód, pali i opowiada. Dostrzegają nas i podchodzą, kiedy wysiadamy z auta.

– Ładny – mówię, patrząc na dom.

– Cztery sypialnie – oznajmia Bany, zaglądając do notatnika, swojego Neda. – Ponad dwieście osiemdziesiąt metrów kwadratowych, trzy duże łazienki. Kupiony dwadzieścia lat temu za trzysta tysięcy, dziś wart prawie półtora miliona, hipoteka całkowicie spłacona przez tajemniczego darczyńcę.

Dom wygląda jak kawałek Ameryki poza Kalifornią. Duży trawnik od

frontu, ogrodzony białym płotem, obowiązkowe drzewo do wspinania, ręcznie wyłożona kamieniami ścieżka do frontowych drzwi i ogólne poczucie wygody. Sam dom pomalowany jest na biało i beżowo i wygląda na zadbany.

– Zdaje się, że ktoś się nim zajmuje? – pytam Alana.

Kiwa głową.

– Tak. Raz w tygodniu przyjeżdżają ogrodnicy, przed sezonem pożarów trzebione są krzewy, mniej więcej co dwa lata malowanie.

– Co dwa? – dziwi się Barry. – Ja maluję co pięć.

– Sól w powietrzu – wyjaśnia Alan.

– Gdzie jest prawnik? – rzucam.

– Zadzwoił klient i musiał jechać.

– Mamy klucz? – pytam.

– Owszem. – Alan się uśmiecha.

Otwiera wielką dłoń i pokazuje mi dwa klucze na kółku.

– No to chodźmy do środka.

Kiedy wchodzę do domu, znów dopada mnie poczucie odrealnienia. Znów jestem w wehikule czasu.

Zdaje się, że opowieść Sarah jest zbyt przekonująca. Zebrała wszystko, co jeszcze czuje, i wykorzystała to do ożywienia swojej narracji, do tego, by zaprowadzić nas do źródła.

Aż patrzę, czy za chwilę nie wyskoczą na mnie Buster i Doreen, czuję ukłucie smutku, że ich nie ma.

W domu panuje mrok. Nieco rozświecła go słońce wdzierające się przez żaluzje. Przekraczam próg. Pod butami czuję grubą podłogę z wiśniowych

desek, pokrytą patyną kurzu. Deski ciągną się aż do kuchni po prawej. Widzę granitowy blat, dopasowane do niego szafki i zakurzoną stal nierdzewną. Po lewej dominuje wielki otwarty pokój – w zasadzie nie typowy salon, ale wielka przestrzeń. Mogłoby tu przebywać swobodnie dziesięć osób. Nawet dwadzieścia, jeśli nie miałyby nic przeciwko, żeby wpadać na siebie co jakiś czas. Tu też położono drewnianą podłogę.

Dalej ciągnie się otwarta przestrzeń, zamknięta po prawej kuchnią, prowadząca do właściwego salonu, gdzie zaczyna się wykładzina. Ma odważny, ciemnobrązowy kolor. Wchodzę głębiej, żeby lepiej się przyjrzeć, i uśmiecham się smutno. Brąz pasuje do reszty wystroju salonu, od ścian po meble. Całość zaplanowała nieżyjąca artystka instynktownie czująca kolory.

Korytarz biegnie w lewo, prowadząc do reszty domu. Po prawej, za dużą i najwyraźniej wygodną kanapą widać ciąg przesuwanych drzwi z grubego szkła. Wychodzą chyba na wielkie podwórko od tyłu.

W domu panuje cisza, niemal ogłuszająca.

– Jak w grobie – mruczy Barry, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

– Bo to jest grób – mówię. Odwracam się do Alana. – Sprawdźmy wszystko krok po kroku.

Alan otwiera akta – dość cienką teczkę – i zaczyna czytać.

– Brak śladów włamania. Sprawca prawdopodobnie podrobił klucze. Policjanci z patrolu, Santos i Jones, weszli przez przesuwane drzwi od strony podwórka. Ciała pana i pani Langstromów znaleźli w środku tuż przy drzwiach. – Wskazuje głową to miejsce.

Podchodzimy i przyglądamy się.

– Nie żartowałeś, że nikogo tu nie było po kryminologach – mruczę pod nosem.

Ekipa dochodzeniowa wycięła z wykładziny kwadratowy kawałek, na którym zachowały się ślady krwi. Zabrali tylko tyle, ile było im potrzeba. Ciemne plamy wciąż widać wszędzie, między innymi na ścianie i kanapie. Po strzałach w głowę zawsze zostaje bałagan.

– Langstrom był nagi. Zresztą oboje nie mieli na sobie ubrań. Leżał twarzą do podłogi. Pani Langstrom upadła na plecy, a głowę miała mniej więcej tam, gdzie brakuje kawałka wykładziny.

Patrzę w to miejsce i wyobrażam sobie tę sytuację.

– Patolog zauważył na miejscu, że oczy Langstroma nabiegły krwią, a sińce wokół szyi odpowiadają ułożeniu rąk przy duszeniu. Sekcja zwłok potwierdziła tę teorię.

– Czy przeprowadzono też sekcję pani Langstrom? – pytam.

Przy samobójstwach nie zawsze jest to praktykowane.

– Tak.

– Czytaj dalej.

– Plamy na skórze potwierdziły, że ciało po śmierci nie ruszono. Zmarli w tych pozycjach, w jakich ich znaleziono. Badanie wątroby wykazało, że śmierć nastąpiła około piątej nad ranem.

– I to właśnie wydaje mi się dziwne – mówi Barry.

Patrzę na niego.

– Co?

– Zmarli o piątej nad ranem. Policję wezwano wiele godzin później. Jakiej broni użyła?

Alan nie musi zaglądać do teczki. Już zastanawiał się nad pytaniem,

które zadał Barry.

– Dziewięć milimetrów.

– Głośny gnat – stwierdza Barry. – Musiał narobić huku. Strzela do psa, potem do siebie. Dlaczego nikt niczego nie słyszał?

– Cathy Jones zadawała sobie to samo pytanie – odpowiada Callie.

– Ktoś to przeoczył. – Alan z niesmakiem kręci głową.

Mówi o policyjnej dedukcji. Alan przed przyjściem do FBI spędził dziesięć lat w wydziale zabójstw w Los Angeles. Słynął z dbałości o szczegóły i niechęci do chodzenia na skróty. Gdyby to on prowadził śledztwo, na pewno pomyślałby o huku wystrzału.

– Dalej – poganiam go.

– Sarah znaleziono na zewnątrz, prawie w katatonii. W aktach nie ma nigdzie ani słowa o oparzeniu na ręce. – Spogląda na mnie znacząco. – Więc kiedy poszedłem do niej do szpitala, rzuciłem okiem. Ma małą bliznę. – Marszczy brwi, jeszcze bardziej zniesmaczony. – Znów przeoczenie. W ogóle się nie przyłożyli. Wciągali wszystko jak makaron. Podkreślam, co jest dla nas ważne.

– Wtedy źle się stało – mówię. – Ale teraz może nam to wyjść na dobre. Nie szukali, co oznacza, że wciąż może tu być coś, co nas do niego doprowadzi.

– A co z pistoletem? – pyta Callie zamyślona.

Alan patrzy na nią zdziwiony.

– Jak to co?

– Sprawdzili go? Czy Langstromowie w ogóle mieli broń?

Alan przerzuca teczkę i kiwa głową, kiedy w końcu trafia na odpowiednie miejsce.

– Broń była nierejestrowana. Numer seryjny zeszlifowano. Piszą tu, że pewnie została kupiona od jakiegoś handlarza. – Zaczyna mówić z sarkazmem. – Oczywiście, przecież Linda Langstrom doskonale wiedziała, gdzie kupić trefną spluwę. A w ogóle po co miała się tym przejmować? Skoro planowała samobójstwo, to nie musiała się obawiać, że ktoś wyśledzi pochodzenie broni.

Patrzę na Barry'ego.

– Czy ten pistolet może jeszcze leżeć w depozycie?

– Pewnie tak. Niszczenie dowodów to naprawdę wielki upierd. Prawie godzinę trzeba wypełniać rozmaite druczki, a z tego, co widzę, to facetom prowadzącym tę sprawę zupełnie nie chciało się przemęczać.

– W takim razie wydobądźmy go, Alan. Zróbmy badanie balistyczne.

– Może ta spluwa ma dłuższą historię – mówi Alan, kiwając głową.

– Co dalej? – pytam.

– Pocisk był niewypełniony, więc przy wyjściu zrobił ogromną ranę. – Przerzuca stronę. – Odciski palców Lindy Langstrom znaleziono na szyi jej męża. Ich ułożenie potwierdzało teorię, że to ona go udusiła. Do tego kartka pożegnalna, środki antydepresyjne.

– Co napisali o tych lekach? – dopytuję się zainteresowana. – Nic – odpowiada. – Tylko dopisek, że je brała. Nic więcej.

– Inne ślady?

Kręci głową.

– Kryminolodzy nie szperali tu długo, a i to właściwie tylko pobieżnie. Reszty domu nawet nie tknęli.

– Nie szukali dowodów na rozwiązanie sprawy – mówi Callie. – Zbierali dowody potwierdzające to, co już wiedzieli.

– Co im się wydawało, że wiedzą – precyzuje Alan.

– Gdzie zabito psa? – pytam.

Alan znów zerka do akt.

– W pobliżu wejścia. – Marszczy brwi. – Spójrzcie na to.

Podaje mi zdjęcie. Zerkam na nie i krzywię się. Widać na nim wiernego psa Bustera, który leży bez głowy na podłodze koło wejścia. Przyglądam się uważniej, mrużąc oczy.

– Interesujące, co? – mówi Alan.

– Pewnie – odpowiadam.

Na zdjęciu Buster leży na boku. Głowa, a raczej miejsce, gdzie powinna być głowa, skierowana jest w stronę wejścia do domu. Niedaleko widać zakrwawioną piłkę do metalu.

– Jeśli to Linda Langstrom go zabiła – zastanawiam się – to dlaczego pies leży przy wejściu. I dlaczego głową w stronę drzwi? Wygląda, jakby zareagował na kogoś, kto wchodzi do domu, a nie na kogoś, kto już w nim był.

– Jest coś jeszcze – dorzuca Alan. – Ślady krwi znalezione w pokoju Sarah. Z badań wynika, że to krew nienależąca do człowieka. To potwierdza opowieść dziewczynki, że ktoś rzucił głowę psa na jej łóżko. Coś tu nie pasuje. Już to, że Linda odcięła łeb psu, to naciągana teoria. Ale żeby wrzuciła go do pokoju Sarah? Kurwa, to niemożliwe. – Widzę, jak w Alanie narasta gniew. Nie reaguję, pozwalam mu się wygadać. – Wiesz, ten koleś wcale nie był takim cholernym geniuszem. To gliniarze przy tej sprawie dali dupy. Nic nie widzieli. Gównu ich to obchodziło. Wyłapałbym te niejasności z bronią i na pewno długo bym główkował, o co chodzi z psem. Gdybym usłyszał opowieść Sarah i zobaczył, że ma

poparzoną rękę, to przewróciłbym ten dom do góry nogami. Kurwa. – Gotuje się w nim jeszcze przez kilka sekund, w końcu nadyma policzki i długo wydycha powietrze. – Przepraszam. Trochę się wkurzyłem. Coś takiego nie musiało się wydarzyć.

– Może nie – przyznaję. – Ale być może przeszukałbyś dom i niczego byś nie znalazł. I w końcu też stwierdziłbyś samobójstwo. – Przerywam, bo coś przychodzi mi do głowy. – Wiesz, co naprawdę jest najstraszniejsze? Że to nie miałoby żadnego znaczenia. Sarah nie miała rodziny. Jeśli nie zostawił żadnych śladów, a założę się, że nie zostawił, to nawet gdyby uwierzyli Sarah, efekt byłby ten sam.

– Rodziny zastępcze i całe zło, które jej się przytrafiło – mówi Alan.

– Właśnie. Teraz, kiedy wiemy już, co się stało, i mamy nowe informacje, skupmy się na naprawie błędów. – Zwracam się do Callie. – Chcę, żebyś skontaktowała się z Gene'em i przewróciła tu wszystko do góry nogami. Zobaczmy, czy coś się da jeszcze znaleźć, jeśli naprawdę się dobrze poszuka.

– Z przyjemnością.

– I wiesz co – mówię stanowczo. – Zabierz się do tego od razu. Możesz zatrzymać samochód. Zabiorę się z Alanem.

Kiwa głową, bez słów. Wyczuwam w niej krótką walkę wewnętrzną i widzę, jak sięga do kieszeni marynarki.

Ból – uświadamiam sobie. Właśnie ją dopadł. Znienacka.

Po jej oczach widzę, że wie, że ja wiem. Widzę też w nich wielki błyskający neon z napisem: „Ruszaj, daj sobie spokój, moja prywatność to mój ołtarz”.

– A ja co mam robić? – pyta Barry, przerywając tę cichą wymianę

myśli. – Nie, żebym nie miał czym się zająć. Czeka na mnie trochę trupów, a tu to tak naprawdę nie mój rewir. Na szczęście znam jedną panią detektyw z posterunku w Malibu.

– Jestem ci wdzięczna, że przyjechałeś, kiedy cię poprosiłam, Barry. Naprawdę.

Uśmiecha się blado i wzrusza ramionami.

– Nigdy nie wzywasz mnie na próżno, Smoky. Więc zawsze się zjawiam. Czego jeszcze potrzebujesz?

– Dowodów. Wszystkich. Zwłaszcza pistoletu.

– Nie ma sprawy. Będiesz je miała jeszcze dzisiaj. – I czegoś jeszcze, co może ci się nie spodobać.

– To znaczy?

– Chcę, żebyś dyskretnie sprawdził detektywów, którzy wtedy prowadzili tę sprawę.

Długa chwila ciszy. Barry zastanawia się, o co go proszę i dlaczego.

– Sądzisz, że któryś z nich mógł być zabójcą?

– Pracowali od niechcienia. Widziałam już gorsze przypadki i rozumiem, dlaczego doszli do takich wniosków, do jakich doszli, lecz nie rozumiem, dlaczego w ogóle nie poszli śladem Sarah. Widzę notatki Cathy Jones, nowicjuszek, ale nie ma zapisu żadnego przesłuchania dziewczynki przez detektywów prowadzących sprawę. Chcę wiedzieć dlaczego. Jeśli ja zacznę węszyć, rozlegną się dzwonki alarmowe.

Barry wzdycha i kręci głową.

– Jasna cholera. Dobrze. Zajmę się tym.

– Dzięki.

Rozglądam się po pokoju i myślę. Zapamiętuję grób, który kiedyś był

domem. Kiwam głową, zadowolona, że na razie możemy stąd wyjść.

– Chodźmy – zwracam się do Alana.

– Dokąd?

– Do Gibbsa. Chcę poznać tego prawnika.

– Jeśli tylko porusza ustami, to znaczy, że kłamie, kochaniutka – mówi Callie.

Wychodzimy wszyscy na zewnątrz.

– Ruda, a kiedy ty poruszasz ustami, to co robisz? – zagaduje Barry.

Callie się uśmiecha.

– Oświecam świat, rzecz jasna.

Cała Callie, myślę. Będzie taka zawsze, na prochach przeciwbólowych czy bez. Przemądrzała przyjaciółka, uwielbiająca *tacos* i zjadająca się pączkami.

Wsiadamy do samochodów i rozjeżdżamy się w różnych kierunkach.

– Ile będziemy tam jechać? – pytam.

Alan zerka na deskę rozdzielczą.

– Myślę, że jakieś czterdzieści minut.

– Poczytam w tym czasie.

Wyciągam z torebki kartki pamiętnika.

Ona to on, myślę. A on to ona.

Sarah to mikrokosmos. Obcy pokazuje nam przez nią opowieść o swoim własnym życiu. Jeśli zrozumie, co przeszła Sarah, to będę bliska zrozumienia, przez co przeszedł on.

Sadowię się wygodniej. Chmury znów zaczynają płakać.

Opowieść Sarah

część III

Czas na chwilę szczerości.

Uświadomiłam sobie, że opisanie tego w formie opowiadania wymaga nie tylko talentu pisarskiego. Wymaga też dystansu. Dopóki piszę o tym w trzeciej osobie, mam wrażenie, że przytrafiło się komuś innemu, jakiejś fikcyjnej postaci. Czyż wyparcie nie jest wspaniałą sprawą?

Jeśli naprawdę chcesz wejść głębiej i przenieść się na poziom metafor, to możemy porozmawiać o tym, jak podobne jest to wszystko do popieprzonej bajki. Małgosia bez Jasia, ze zbyt rozgarniętą czarownicą. Wsadziła mnie do pieca i powoli przypieka. Czerwony Kapturek – tyle że wilk mnie złapał i zamiast połknąć w całości, przeżuwa po kawałeczku.

A więc gdzie jesteśmy? A tak, w sierocińcu.

Sierociniec był areną, a my byliśmy gladiatorami.

W sierocińcu nauczyłam się bić. Nauczyłam się różnicy między ostrzeżeniem a atakiem, nauczyłam się, że nie trzeba bać się kogoś skrzywdzić i że nie zawsze liczy się siła.

Nauczyłam się przemocy, o jakiej nawet nie miałam pojęcia. Czy to była część jego planu?

Zastanawiam się. Zastanawiam się. Zresztą nieważne. Przecież tak naprawdę to nie ja, prawda?

– Powiedziałam daj mi poduszkę.

Sarah zacisnęła usta i starała się nie odwracać wzroku od Kirsten. Starsza dziewczyna patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Coś ty powiedziała?

Sarah zatrzęsała się w środku tylko trochę. Postaw się jej. Przecież nie jesteś już tchórzem! Oczywiście, łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Kirsten nie tylko miała trzy lata więcej, była też o wiele większą dziewczynką z szerszymi ramionami niż większość dziewcząt z jej grupy wiekowej, wielkimi rękami i siłą. Lubiła przemoc. Bardzo.

Nieważne. Masz już osiem lat. Postaw się jej.

– Powiedziałam, nie, Kirsten. Nie pozwolę ci sobą pomiatać. Na twarzy dziewczyny pojawił się obrzydliwy uśmiech.

– To się jeszcze okaże.

Sarah od dwóch lat mieszkała w sierocińcu w Burbank. Środowisko było niczym żywcem wyjęte z *Władcy much*, gdzie duży mógł więcej, a nadzór dorosłych ograniczał się do karania, nie zapobiegania. W tej atmosferze narastały gniew i brutalność takich osób jak Kirsten.

Sarah nie miała tu przyjaciół. Chodziła ze spuszczoną głową i otwartymi oczami. Posłusznie oddawała Kirsten desery i lepszą pościel, znosiła też tysiące innych drobniejszych tortur, które wymyślała starsza dziewczynka.

Ale ostatnio Sarah zrozumiała, co ją czeka w przyszłości i zmieniła swój pogląd na świat. Zobaczyła, co dzieje się w pokojach starszych dziewcząt. Tu proszono ją, żeby oddała poduszkę. Tam mogła zostać poproszona, żeby oddała się sama.

Ta myśl poruszyła coś w głowie Sarah, coś, co wywołało opór, gniew i zdecydowanie.

Sarah długo obserwowała Kirsten. Uświadomiła sobie, że dziewczyna polega wyłącznie na swoich rozmiarach i sile. W jej atakach nie było

żadnej finezji. Zawsze – zawsze – pierwsza uderzała w twarz. Sarah miała już dość policzków. Policzków, od których dzwoniły zęby, bolały kości, po których pojawiały się siniaki nieschodzące nawet przez tydzień.

Teraz było tak samo. Kirsten zrobiła krok do przodu, odchyliła rękę i machnęła nią ze świstem w stronę policzka Sarah.

Taki atak udawał się tylko wtedy, gdy przeciwnik był zbyt przestraszony, żeby zareagować. Sarah zrobiła to, co zrobiłby każdy, gdyby się nie bał – uchyliła się.

Dłoń Kirsten przeleciała w powietrzu nad jej głową. Na twarzy dziewczyny malowało się absolutne zaskoczenie.

Teraz! Kiedy straciła równowagę!

Życie Sarah było proste. Budziła się, brała prysznic, jadła, szła do szkoły, wracała do sypialni albo do ogólnych sal. Miała mnóstwo czasu na rozmyślanie. Kiedy się zastanowiła, doszła do wniosku, że zaciśnięta pięść była skuteczniejsza niż otwarta dłoń.

Wyprostowała się, odchyliła rękę do tyłu, zaciśnęła dłoń w pięść i walnęła Kirsten w nos z całej siły. Uderzenie nią wstrząsnęło.

To bolało!

Kirsten też poczuła. Z nosa buchnęła jej krew. Dziewczyna zachwiała się i klapnęła na tyłek.

Wykończ ją. Nie pozwól jej wstać!

Sarah widziała już dwa razy, jak inne dziewczyny próbowały się przeciwstawić terrorowi Kirsten. Zauważyła wtedy, że Kirsten nie zadawała się zwykłym uderzeniem w twarz. Jedną z dziewczyn skopała do nieprzytomności, a potem ogoliła jej głowę. Drugiej wykręciła rękę tak, że aż złamała się z koszmarnym, słyszalnym trzaskiem. Dziewczyna

krzyczała, a Kirsten rozebrała ją do naga i wyrzuciła na korytarz.

Sarah wiedziała, że jej zwycięstwo musi być równie zdecydowane.

Kirsten już zbierała się, żeby wstać. Sarah kopnęła ją w twarz. Trafiła stopą w usta i rozcięła jej dolną wargę. Oczy wyszły Kirsten na wierzch i wrzasnęła z bólu. Wszędzie było mnóstwo krwi.

W Sarah zaczęła wzbierać mroczna i dzika radość. Nie czekała już, aż przytrafi jej się coś złego. Nie budziła się z jednego koszmaru, by przekonać się, że żyje w innym. To było

(Lepsze)

Teraz nad wszystkim panowała.

Kopnęła Kirsten jeszcze raz, trafiając w nos. Głowa dziewczyny aż odskoczyła. Krew trysnęła krótką, ale satysfakcjonującą fontanną. Kirsten spojrzała na Sarah z przerażeniem.

Sarah aż poruszała nozdrzami, patrząc na swoje dzieło.

Jeszcze. Nie przerywaj.

Skoczyła na Kirsten, przewracając ją na plecy i zaczęła ją okładać pięściami, raz za razem, aż zdrętwiały jej ręce. Potem wstała i zaczęła kopać Kirsten w brzuch, po rękach, piersiach, nogach. Starsza dziewczyna zwinęła się w kłębek, próbując osłaniać twarz.

Sarah nie czuła, że straciła nad sobą panowanie. Wręcz przeciwnie. Przepęłniło ją uczucie ogromnego spokoju. Radości, ale i spokoju. Jakby we śnie jadła szczególnie smakowite ciastko.

Przestała, kiedy Kirsten zaczęła szlochać.

Sarah stała przez chwilę, łapiąc oddech. Kirsten zawodziła z rękami wokół głowy. Sarah dostrzegła krwawiące usta, skrzywiony nos i oko, które zniknęło pod opuchniętą powieką.

Będziesz żyła.

Klęknęła i przyłożyła usta do ucha Kirsten.

– Jeśli jeszcze kiedyś mnie tkniesz, zabiję cię. Słyszysz?

– T... t... tak!

Usłyszała w sobie grzmot i gniew minął. Ot tak po prostu. Przypomniało jej się coś, co kiedyś powiedziała matka.

– Jeśli potrafisz zmienić wrogów w przyjaciół, będzie ci się lepiej żyło, kochanie.

Wtedy nie wiedziała, co to może znaczyć. Teraz wydawało jej się, że już wie.

Wyciągnęła rękę.

– Wstawaj. Pomogę ci się umyć.

Kirsten zerknęła na nią, wciąż przestraszona. Obrzuciła rękę Sarah nieufnym spojrzeniem.

– Dlaczego chcesz mi pomóc?

– Nie zamierzam tobą pomiatać, Kirsten. Chcę tylko, żebyś mi dała spokój. – Pochyliła się niżej i pomachała ręką. – No chodź.

Kirsten nie dowierzała jej jeszcze przez kilka sekund, ale w końcu wyprostowała się. Usiadła i patrzyła na Sarah z mieszaniną strachu i zainteresowania. Wciąż drżącą jeszcze dłonią chwyciła Sarah za rękę. Skrzywiła się, wstając.

Twarz Kirsten była w oplakany stanie.

– Chyba złamałam ci nos.

– Tak.

Sarah wzruszyła ramionami.

– Przepraszam. Chcesz, żebym pomogła ci się umyć w łazience?

Kirsten przyglądała się jej przez chwilę.

– Nie. Sama sobie poradzę, a potem pójde do pielęgniarki. – Kirsten próbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało, więc wzruszyła ramionami. – Powiem jej, że pośliznęłam się i upadłam na twarz.

Sarah patrzyła, jak starsza dziewczyna kuśtyka. Kiedy zniknęła, usiadła na swoim łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Adrenalina zdążyła już opaść. Czuła się roztrzęsiona i było jej trochę niedobrze.

Położyła się i wpatrywała w spód łóżka na górze.

Może teraz będzie lepiej.

Minęły już dwa lata. Dwa lata, od kiedy zginęli rodzice, od kiedy Theresa zabiła Dennisa i od kiedy Sarah trafiła do tego pełnego przemocy nieprzyjaznego domu. Obcy wciąż pojawiał się w jej snach, ale coraz rzadziej.

Miała dopiero osiem lat, ale nie była już niewiniątkiem. Poznała, co to śmierć, krew i przemoc. Rozumiała, że silniejsi mają większą szansę na przetrwanie. Wiedziała, czym jest seks, we wszelkich jego postaciach, choć (na szczęście) jeszcze sama go nie doświadczyła.

Nauczyła się też ukrywać emocje, a raczej jak ich nie okazywać. Miała trzy przedmioty, trzy talizmany, których znaczenia nie zdradziła innym dziewczynom. Miała Pana Przytulankę. Miała rodzinne zdjęcie z mamusią, tatusiem, Busterem i Doreen. Miała też zdjęcie matki Theresy.

Zabrała je ze schowka pod materacem Theresy. Zamierzała jej oddać pewnego dnia.

Czasami dużo myślała o swojej siostrze. Wiedziała, że zawsze będzie uważać Theresę za siostrę, że zapamięta ten bezpieczny wieczór, kiedy grały w karty i się śmiały. Wiedziała, że nigdy nie zapomni, dlaczego

Theresa zrobiła to, co zrobiła. Sarah rozumiała teraz wszystko.

Sięgnęła do tylnej kieszeni i wyciągnęła zdjęcie pięknej młodej kobiety. Wodziła po nim palcami, uśmiechając się do radosnych oczu i kasztanowych włosów.

Wiedziała, że Theresa do osiemnastego roku życia będzie siedziała w poprawczaku. Cathy Jones jej o tym powiedziała.

Jeszcze trzy lata i będzie wolna.

Odłożyła zdjęcie na miejsce i splotła dłonie za głowę. Próbowwała kiedyś napisać do Theresy. Zaledwie krótki, głupi liścik. W odpowiedzi dostała dwa zdania:

„Nie pisz do mnie, dopóki tu jestem. Kocham cię”.

Sarah zrozumiała. Czasami fantazjowała o tym, że Theresa kończy osiemnaście lat, przyjeżdża, żeby ją adoptować. Wiedziała, że to głupie marzenia. Ale nie mogła się przed nimi powstrzymać.

Co trzy, cztery miesiące odwiedzała ją Cathy Jones. Sarah cieszyła się z tych odwiedzin, choć zastanawiała się, dlaczego ta kobieta to robi. Cathy bardzo ciężko było rozszyfrować.

Nieważne. Byle tylko nie zgubić jej wizytówki.

Sarah zaczęła myśleć jak specjalistka od przetrwania. Zaczęła dzielić rzeczy na aktywa i pasywa. Aktywa były ważne. Cathy była jednym z nich. Cathy mogła dowiadywać się ważnych rzeczy, na przykład o Theresie, o tym, że Doreen została przygarnięta przez Johna i Jamie Overmanów.

I tak dalej.

Poza Cathy jedynym jej kontaktem ze światem zewnętrznym była Karen Watson. Sarah się skrzywiła. Rozumiała teraz, co miała na myśli

Theresa, mówiąc o „złu w czystej postaci”. Karen Watson nie tylko nie dbała o powierzone jej dzieci – wręcz ich nie znosiła. Była jedną z nielicznych osób, których Sarah naprawdę nienawidziła.

Z marzeń wyrwało ją pukanie do drzwi. Usiadła. Do pokoju zajrzała Janet.

– Sarah? Karen przyszła do ciebie.

– Już idę, Janet.

Chuda kobieta uśmiechnęła się i wyszła. Sarah zmarszczyła brwi. Czego ta wiedźma może chcieć?

Karen siedziała przy stole w ogólnej sali. Sarah podeszła i usiadła naprzeciw niej. Kobieta przyglądała się dziewczynce.

– Jak się masz, księżniczko?

– W porządku.

Tak naprawdę Sarah chciała powiedzieć: „A co cię to obchodzi?”, ale trzymała język za zębami. Silniejsi mogli więcej niż słabi, a w tym układzie to Karen była silniejszą stroną.

– Jak myślisz, nauczyłaś się już czegoś? Jak się zachowywać w rodzinie zastępczej?

Karen zadała jej to pytanie po raz pierwszy rok temu. Sarah akurat miała urodziny bez tortu i czuła smutek i gniew. Krzyknęła na Karen, a potem uciekła. Przez kolejny rok mogła to przemyśleć i tym razem była gotowa.

– Chyba tak, pani Watson. Naprawdę się nauczyłam.

Sarah chciała się stąd wydostać. Karen Watson była dla niej przepustką. Aktywa i pasywa.

Karen uśmiechnęła się, widząc tę kapitulację.

– No cóż, dobrze. Miło mi to słyszeć, Sarah, bo znalazłam rodzinę, w której mogę cię umieścić. Nie są to bogaci ludzie, ale będziesz tam jedynym dzieckiem.

Sarah pochyliła głowę nieśmiało.

– Podoba mi się to, pani Watson.

Karen kiwnęła głową z aprobatą.

– Tak. Zdaje się, że dostałaś nauczkę. – Wstała. – Spakuj się dziś wieczorem. Jutro cię zabieram.

Sarah patrzyła na nią. Uśmiechnęła się w duchu. Pieprz się, stara suko.

Sarah leżała w pokoju i znów patrzyła na materac nad głową kiedy wróciła Kirsten. Starsza dziewczynka miała sińce pod oczyma, usztywniony nos i założone szwy na ustach. Utykała. Kiedy oddychała, krzywiła się z bólu. Podeszła do własnego łóżka, którego nie widać było z miejsca, gdzie leżała Sarah. Rozległo się skrzypienie sprężyn, a potem zapadła cisza. Były same.

– Złamałaś mi żebra, kiedy mnie kopałaś, Langstrom.

Nie mówiła tego z gniewem.

– Przepraszam – powiedziała Sarah, choć nie zabrzmiało to szczerze.

– Zrobiłaś, co musiałaś.

Kolejna długa chwila ciszy.

– Dlaczego spakowałaś torbę?

– Jutro jadę do rodziny zastępczej.

Kolejna chwila milczenia.

– No... to powodzenia, Langstrom. Bez urazy.

– Dzięki.

Sarah była zszokowana, kiedy pociekło jej z oczu kilka łez. Te słowa z ust wroga wywołały w niej uczucia, których nie rozumiała. Ale wiedziała, komu powinna być za nie wdzięczna.

– Dzięki, mamusiu – szepnęła do siebie.

Otarła łzy.

Aktywa i pasywa. Łzy to pasywa.

Dzień dobry, pani Watson. Witaj, Sarah. Wejdźcie, proszę.

Kobieta nazywała się Desiree Smith i Sarah chciała ją polubić od pierwszego wejrzenia. Desiree miała trzydzieści kilka lat i wyglądała na przyjazną duszę – szczęśliwe oczy, uśmiechnięte usta, była jak otwarta księga. Niewysoka, o popielato-blond włosach. Była masywna, choć nie ciężka, ładna, choć nie piękna. Uczciwa i nieprzesadnie skomplikowana, emanowała szczerem i prostym ciepłem.

Kiedy weszły do środka, Sarah obrzuciła wzrokiem wewnątrz domu. Było tu czysto i nieostentacyjnie, panował szczęśliwy chaos, ale nie bałagan.

Desiree wprowadziła je do salonu.

– Proszę, usiądźcie – zaprosiła je, wskazując kanapę. – Pani Watson, Sarah? Mogę wam coś zaproponować? Woda? Kawa?

– Nie, dziękuję, Desiree – odpowiedziała pani Watson.

Sarah pokręciła głową. Dobrze wiedziała, że nie należy o nic prosić, jeśli wiedźma Watson odmówiła.

– Przygotowałam wszystko zgodnie z wymogami prawnymi, które mi pani objaśniła, pani Watson. Sarah ma własny pokój i nowiutkie łóżko. W lodówce są podstawowe zapasy. Przy telefonie wisi lista z numerami alarmowymi. Aha, i załatwiłam już wszystkie konieczne dokumenty, żeby zapisać ją do szkoły.

Pani Watson uśmiechnęła się i kiwnęła głową z aprobatą. No dalej, udawaj, że się przejmujesz, myślała Sarah. Przestaniesz, kiedy tylko stąd

wyjdiesz.

– Dobrze, Desiree, bardzo dobrze. – Pani Watson sięgnęła do swojej zniszczonej skórzanej torebki i wyciągnęła teczkę. Podała ją Desiree. – To jej karta szczepień i szkolne akta. Musisz ją zapisać do szkoły od razu.

– Oczywiście. Z samego rana w poniedziałek.

– Doskonale. A gdzie jest Ned?

Desiree wyglądała na zakłopotaną. Sarah zauważyła, że kobieta zaczęła wykręcać sobie ręce, ale zaraz przestała.

– W ostatniej chwili dostał wezwanie na długi kurs. Chodziło o sporą sumę, nie mogliśmy odmówić. Naprawdę chciał tu być. Mam nadzieję, że to nie problem?

Pani Watson pokręciła głową i machnęła ręką.

– Nie, nie. Już go przecież poznałam i oboje pomyślnie przeszliście wywiad środowiskowy.

Desiree wyraźnie ulżyło.

– To świetnie. – Spojrzała na Sarah. – Ned to mój mąż, skarbie. Jeździ ciężarówką. Naprawdę chciał cię przywitać, ale wróci w przyszłą środę.

Sarah uśmiechnęła się do nerwowej kobiety.

– Nie szkodzi.

Nie martw się. Wiedźma Watson chce tylko przyprowadzić mnie i wyjść.

– Masz jeszcze jakieś pytania, Desiree?

– Nie, pani Watson. Chyba nie.

Pracownica opieki społecznej skinęła głową i wstała.

– W takim razie pójdę sobie. Zajrzę do was za miesiąc. – Odwróciła się do Sarah. – Bądź grzeczna, Sarah. Słuchaj pani Smith.

– Tak, pani Watson – odparła Sarah, znów nieśmiało. Idź już sobie, więdźmo, myślała.

Czekała na kanapie, aż Desiree odprowadzi Karen do drzwi i pożegna się z nią. Drzwi się zamknęły, Desiree wróciła i klapnęła na kanapę.

– O rany! Cieszę się, że to już za mną! Strasznie się denerwowałam.

Sarah spojrzwała na nią zaciekawiona.

– Dlaczego?

– Nigdy jeszcze nie braliśmy dziecka, a naprawdę bardzo chcieliśmy. Ostatnim krokiem była inspekcja pani Watson i wizyta już z tobą.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

– Wiesz, skarbie, czasami Neda bardzo długo nie ma. Czasami też długo jest, ale bywa, że wyjeżdża na długi kurs, nawet na dwa tygodnie. Ja trochę pracuję w domu jako agent biura podróży, ale czuję się samotna. Oboje lubimy dzieci i wydawało nam się, że to dobry pomysł, rozumiesz?

Sarah kiwnęła głową. Pokazała palcem jedno ze zdjęć na ścianie.

– Czy to Ned?

Desiree się uśmiechnęła.

– To on. Polubisz go, Sarah, zobaczysz. To piękny mężczyzna. Dusza człowiek.

To się jeszcze okaże.

Pokazała zdjęcie, które zauważyła wcześniej. Byli na nim Ned i Desiree z dzieckiem.

– Kto to?

Uśmiech Desiree się zmienił. Posmutniał, widać w nim było ranę, którą zapamiętuje się na zawsze, choć już tak nie boli. Coś nadało jej duszy inny odcień, choć jej nie rozerwało.

– To była nasza córeczka, Diana. Zmarła pięć lat temu, miała zaledwie roczek.

– Jak umarła?

– Urodziła się z wadą serca.

Sarah przyglądała się fotografii, myślała.

Czy można jej zaufać? Wygląda miło. Naprawdę wygląda miło. Ale może to jakiś podstęp.

Sarah miała dopiero osiem lat, lecz doświadczenia z rodziny Parkerów, a potem dwa lata w sierocińcu nauczyły ją najważniejszego: nikomu nie ufaj. Lubiła myśleć o sobie, że jest twardą, chłodną więźniarką z drwiącym uśmiechem na twarzy.

Prawda była taka, że miała dopiero osiem lat i w gruncie rzeczy pragnęła, żeby ciepło tej kobiety okazało się prawdziwe. Pragnęła tego tak desperacko, że aż drżało jej serce.

– Tęsknisz za nią? – zapytała Sarah.

Desiree przytaknęła.

– Codziennie. W każdej minucie.

Sarah patrzyła kobiecie w oczy, szukała w nich kłamstwa. Widziała tylko rzekę żalu, którą powstrzymywała jedynie szansa nadziei.

– Moi rodzice nie żyją – powiedziała nagle, choć wcale nie zamierzała.

Rzeka żalu zmieniła się we współczucie.

– Wiem, skarbie. I wiem o tym, co zdarzyło się u Parkerów. – Desiree spojrzała w podłogę, chyba szukała właściwych słów. – Chcę, żebyś o czymś wiedziała, Sarah. Czasami będzie ci się mogło wydawać, że nie rozumiem, ile na świecie dzieje się zła. Mimo swoich ciężkich przeżyć, mimo straty Diany, jestem optymistką. Próbuję doszukiwać się dobra we

wszystkim. Ale to nie znaczy, że jestem idiotką. Wiem, że zło istnieje. Wiem, że widziałaś go za dużo. Chcę tylko powiedzieć, że będę zawsze po twojej stronie.

Serce Sarah wypełniło się nadzieją. Ale zmiotła ją fala cynizmu.

– Udowodnij to – powiedziała.

Desiree rozszerzyła oczy ze zdziwienia.

– No... cóż... – Skinęła głową. – Słusznie. – Uśmiechnęła się. – Co powiesz na to? Wiem, że Karen Watson nie jest miłą osobą. Tym razem to Sarah się zdziwiła.

– Naprawdę?

– Tak. Udaje, ale ja ją obserwowałam. Widziałam, jak patrzy na ciebie.

Tak naprawdę w ogóle się tobą nie przejmuje, prawda?

Sarah się zachmurzyła.

– Ona nie przejmuje się nikim poza sobą. Wiesz, jak ją nazywam?

– Jak?

– Wiedźma Watson.

Desiree wykrzywiła usta, a potem parsknęła śmiechem.

– Wiedźma Watson. Niezłe.

Sarah też się uśmiechnęła. Nie mogła się powstrzymać.

– A więc jak – zapytała Desiree. – Sztama?

– Sztama – odrzekła Sarah. Może, pomyślała.

– Dobrze. Skoro mamy to już za sobą, chcę ci kogoś przedstawić.

Trzymałam go na podwórku w czasie, gdy pani... przepraszam... wiedźma Watson tu była, ale teraz chcę, żebyś go poznała. Myślę, że go polubisz.

Sarah patrzyła na nią zdziwiona. Czyżby Desiree jednak odbiło? Mówiła, że trzyma kogoś na podwórku.

– Aha... dobrze.

– Ma na imię Dyńka. Nie bój się go, jest przyjaźnie nastawiony. Desiree poszła do przesuwanych szklanych drzwi na podwórko, otworzyła je i gwizdnęła.

– Chodź tu, Dyńka. Możesz już wejść.

Rozległo się energiczne „Hau!”

Pies!

Szczyście przeszło duszę Sarah niczym strzała.

Dyńka pojawił się przy drzwiach i Sarah natychmiast zrozumiała, dlaczego tak go nazwano. Pies miał wielką głowę. Przeogromną jak dynia.

Był to pit bull w kolorze kawy. Wyglądał zarazem śmiesznie i przerażająco – z opadłą szczęką, wywieszonym ozorem i przerośniętą czaszką. Popędził do Desiree, spojrzał na nią i odezwał się: „Hau!”

Desiree uśmiechnęła się i pochyliła, żeby go pogłaskać.

– Cześć, Dyńka. Mamy gościa. Dziewczynkę. Będzie u nas mieszkać i nazywa się Sarah.

Pies przekrzywił głowę, wiedział, że pani coś do niego mówi, ale nie rozumiał co.

Sarah wstała z kanapy. Dyńka odwrócił się na ten dźwięk.

– Hau!

Pies podbiegł do niej. Sarah byłaby pewnie przerażona, gdyby nie to, że Dyńka merdał ogonem, co w psim języku na całym świecie oznacza psią radość. Uderzył w nią masywną głową i zaczął lizać wyciągniętą rękę, pokrywając ją warstwą śliny.

Sarah się uśmiechnęła.

– Faj! – Pogłaskała pit bulla, który usiadł na tylnych łapach i radośnie

szczerzył zęby. – Ależ z ciebie śmieszne psisko, Dyńka.

– Osiem lat temu uratowałam go w barze – wyjaśniła Desiree. Uśmiechnęła się. – Byłam wtedy dużo młodsza i mniej rozsądna. Przy stole do bilarda zauważyłam grupę hałasujących motocyklistów. Podeszłam, żeby sprawdzić, co robią i zobaczyłam Dyńkę. Był jeszcze szczeniakiem, ale postawili go na stole i strzelali do niego kulami bilardowymi. Umierał z przerażenia i wył.

– Co za świństwo!

– Tak, ja też tak pomyślałam. Krzyknęłam na nich i chciałam się z nimi bić, co byłoby ogromną głupotą z mojej strony, ale moja przyjaciółka szarpnęła mnie za ramię i odciągnęła. Tak się zdenerwowałam, że nie przestawałam pić. Nie pamiętam, jak to się stało, ale kiedy obudziłam się rano, Dyńka leżał koło mnie w łóżku.

Sarah nie przestawała głaskać psa, zaskoczona tą dziwną kobietą i jej opowieścią o ratowaniu zwierzęcia po pijaku. Coś ukłuło ją w piersiach. Z przerażeniem poczuła, że po twarzy ciekną jej łzy.

– Co się stało, Sarah?

Desiree dużo rozumiała. Nie zbliżyła się, nie próbowała przytulić dziewczynki.

Sarah otarła twarz szybkim, gniewnym ruchem ręki.

– Nic, tylko... też mieliśmy psy, a mojej mamie spodobałaby się opowieść o Dyńce i... – Usiadła z powrotem na kanapie i wyglądała jak sto nieszczęść. – Przepraszam. Nie jestem beksą.

Dyńka położył głowę na jej kolanach i popatrzył na nią, jakby chciał powiedzieć: „Przykro mi, że źle się czujesz, ale mogłabyś mnie dalej głaskać?”

– Nie ma nic złego w tym, że człowiek płacze, kiedy mu smutno, Sarah.

Sarah spojrzała na Desiree.

– A jeśli zawsze byłoby ci smutno? Nie przestawałabyś płakać.

Przez chwilę myślała, że powiedziała coś nie tak, bo zobaczyła, jak twarz Desiree wykrzywił ból. W końcu zrozumiała:

Współczuje mi.

Nieważne, jak doświadczona przez los, nieważne, jak twarda, ośmioletnia dziewczynka nie była w stanie dłużej wytrzymać. W duszy Sarah pojawiły się pęknięcia, potem rozstępy i choć tama nie pękła, to łzy nie przestawały płynąć. Ukryła twarz w dłoniach i płakała.

Desiree usiadła obok na kanapie, ale pilnowała się, by nie zrobić nic więcej. Sarah czuła do niej za to wdzięczność. Nie była jeszcze na to gotowa, nie była gotowa znów wtulić się w ramiona dorosłego. Ale miło było mieć obok Desiree. Dyńka też okazał zrozumienie na swój sposób. Przestał domagać się głaskania i lizał Sarah po kolanie.

Desiree nie odzywała się, póki Sarah się nie wypłakała.

– A więc poznałaś już Dyńkę – powiedziała. – Chcesz teraz zobaczyć swój pokój?

Sarah skinęła głową i zdobyła się na uśmiech.

– Tak, proszę. Jestem zmęczona.

Wiesz, co sobie między innymi uświadomiłam? Uświadomiłam sobie, że pies to naprawdę najlepszy przyjaciel człowieka.

Póki go karmisz i kochasz, pies odwzajemnia miłość. Nie ukradnie ci nic, nie pobije cię ani nie zdradzi. Psy są szczere. To, co widać na zewnątrz, widać też w środku.

Ludzie są inni.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Alan, przerywając mi lekturę. Zginam kartki na pół i z niechęcią wkładam do torebki. Doświadczenia Sarah obudziły w niej skłonność do przemocy. Ale wciąż miała poczucie winy z powodu nadziei.

Czy tak samo było z nim? Powolna erozja duszy? Kiedy skłonność zmieniła się w głód?

Czy gdzieś w głębi duszy nadal miał nadzieję?

Mecenas Terry Gibbs mieszka w Moorpark. Znam Moorpark. Mieszkają tu córka i wnuk Callie.

Tajemnica córki Callie dopadła ją po latach. Dowiedział się o niej pewien zabójca i próbował wykorzystać tę wiedzę. Efekt? Callie i ja przekroczyliśmy barierę dźwięku, z bronią gotową do strzału zapukałyśmy do drzwi jej córki, spodziewając się najgorszego.

Matylin nic się nie stało, zabójca już nie żyje, a Callie łączy z córką prawdziwa więź, a nie tylko żal. Zaspokaja to zarówno moje poczucie sprawiedliwości, jak i poczucie ironii. To samozadowolenie jest zapewne równie ohydne, jak przyjemne. Wiem, że z powodu śmierci tego zabójcy powinnam czuć dumę, nie winę.

Moorpark to szybko rozwijające się miasteczko w hrabstwie Ventura, na zachód od Los Angeles. Pod wieloma względami czuć tu starą Kalifornię. Kiedy jedzie się autostradą 118, mija się całe kilometry pustych wzgórz i małych łańcuchów górskich. Czasami można trafić na stada krów.

Moorpark było kiedyś prowincjonalną miejsciną. Teraz rozrasta się jako jedno z przedmieść Los Angeles, gdzie mieszka średnia i wyższa klasa średnia, a tutejsze domy drożeją chyba najszybciej w południowej Kalifornii.

– Jeszcze ze dwadzieścia lat i dotrze tu cały ten wielkomiejski syf – stwierdza Alan, wyglądając przez okno. To cyniczne echo wyprzedzające moje własne myśli.

– A może i nie – odzywam się. – Simi Valley leży tuż obok, a wciąż jest tam ładnie.

Alan wzrusza ramionami i nie wierzy w to ani trochę. Zjeżdżamy z autostrady 118 na Los Angeles Avenue.

– To tam po prawej – wskazuje Alan. – W tych biurowcach. Zjeżdżamy z ulicy między cztero- i pięciokondygnacyjne budynki, tak nowe jak cała reszta Moorpark. Szkło błyszczy w słońcu.

– Tu się zatrzymamy – decyduje Alan.

Kiedy parkujemy, dzwoni moja komórka.

– Czy to Smoky Barrett? – odzywa się w słuchawce radosny głosik.

– Tak. A z kim rozmawiam?

– Tu Kirby. Kirby Mitchell.

– Przepraszam... czy my się znamy?

– Tommy pewnie nie powiedział, jak się nazywam. Co za głuptas. Prosiłaś, żeby ci kogoś polecił. Do ochrony. To właśnie ja.

Dociera do mnie, że ten szczebiot należy do mojego „lojalnego i zabójczego” ochroniarza, prawdopodobnie byłego płatnego zabójcy.

– A tak, przepraszam – jąkam się. – Tommy nie przekazał mi twojego nazwiska.

Kirby chichocze. Ten chichot pasuje do jej głosu: jest lekki, melodyjny. To śmiech kogoś, kto nie ma najmniejszych problemów, kto obudził się rano szczęśliwy, kto nie potrzebuje kawy, żeby wstać, a pewnie zaraz po przebudzeniu przebiegł osiem kilometrów, uśmiechając się przez całą drogę.

Zastanawiam się, czy w ogóle mogę ją polubić, ale tak to już jest z radosnymi ludźmi. Czujemy się zobowiązani, by dać im szansę. Jestem też

zaintrygowana. Myśl o zabójcy w skórze Pollyanny przemawia do perwersyjnej strony mojej natury.

– No cóż – mówi. – Nic się nie stało. Tommy jest super, ale to facet, a faceci czasami zapominają o szczegółach, jak to faceci. Tommy i tak jest lepszy niż większość z nich, no i niezłe ciacho, więc mu chyba wybaczymy, co?

– Jasne – odpowiadam, wciąż zdumiona.

– No to... kiedy i gdzie się spotkamy?

Zerkam na zegarek i się zastanawiam.

– Możemy się umówić w recepcji budynku FBI o wpół do szóstej?

– W budynku FBI, co? Zajebicie. Chyba będę musiała zostawić spluwy w samochodzie. – Znow ten melodyjny śmiech, w pewnym sensie zabawny i niepokojący zarazem, zwłaszcza w tej sytuacji. – A więc do zobaczenia o wpół do szóstej. Cześć!

– Cześć – mruczę.

Rozłączyła się.

– Kto to? – pyta Alan.

Patrzę na niego przez chwilę. Wzruszam ramionami.

– Kandydatka na ochroniarza dla Sarah. Chyba będzie z nią niezły ubaw.

Zajebicie.

Terry Gibbs wprowadza nas z uśmiechem do swojego gabinetu. To niewielkie pomieszczenie z biurkiem z przodu i szafami wzdłuż tylnej ściany. Wszystko tu wygląda na używane, ale solidne.

Mierzę wzrokiem prawnika, który zachęca nas, byśmy usiedli na dwóch

wyściełanych krzesłach przed biurkiem.

Gibbs to interesujący zlepek osobowości. Jakby nie mógł się zdecydować, kim chce być. Jest wysoki, łysy, ale z wąsami i brodą. Ma szerokie barki i żwawe ruchy wysportowanego mężczyzny, ale śmierdzi papierosami. Nosi okulary z grubymi szklami, które podkreślają jego intensywne, niemal piękne niebieskie oczy. Ma na sobie garnitur bez krawata, garnitur, który wygląda na drogi i szyty na zamówienie. Zupełnie nie pasuje do umeblowania w biurze.

– Widzę w pani oczach, co pani myśli, agentko Barrett – mówi, uśmiechając się. Ma miły głos, gładki i śpiewny, nie za głęboki, nie za wysoki.

Doskonały głos dla prawnika. – Próbuje pani rozgryźć, skąd garnitur za tysiąc dolarów w tym szmatławym gabinecie.

– Może – przyznaję.

Uśmiecha się.

– Jestem jednoosobową firmą. Nie zarabiam kokosów, ale nieźle mi się powodzi. To wymusza kompromisy: elegancki gabinet czy elegancki garnitur? Zdecydowałem się na elegancki garnitur. Klient może wybaczyć kiepskie biuro. Ale nigdy nie wybaczy prawnikowi taniego garnituru.

– To zupełnie jak z nami – mówi Alan. – Można pokazywać odznakę, ale wszyscy i tak chcą się przekonać, czy mamy broń.

Gibbs kiwa głową z uznaniem.

– Właśnie. – Pochyla się, opiera o biurko, składa ręce i robi poważną minę. – Chcę, żeby pani wiedziała, agentko Barrett, że mój brak współpracy w sprawie trustu Langstrom nie wynika ze złej woli. Prawnie i etycznie wiążą mnie reguły zawodu.

Kiwam głową.

– Rozumiem, panie Gibbs. Rozumiem, że nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy zdobyli nakaz?

– Absolutnie, jeśli tylko zgodnie z prawem zwolni mnie z obowiązku dochowania tajemnicy moich kontaktów z klientem.

– Co może nam pan powiedzieć?

Opiera się wygodnie w fotelu, patrzy w przestrzeń nad naszymi głowami i myśli.

– Klient przyszedł do mnie mniej więcej dziesięć lat temu, chciał założyć trust na rzecz Sarah Langstrom.

– Mężczyzna czy kobieta? – pytam.

– Przepraszam. Nie mogę odpowiedzieć.

Marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Tajemnica zawodowa. Klient zastrzegł sobie poufność pod każdym względem. Z tego powodu wszystko jest zarejestrowane na mnie. Jestem radcą prawnym, zarządzam trustem i moje wynagrodzenie wypłacane jest właśnie z jego kasy.

– Zastanawiał się pan, czy ktoś, kto żąda aż takiej dyskrecji, nie knuje czegoś podstępnie? – pyta Alan.

Gibbs patrzy ostro na Alana.

– Oczywiście, że tak. Popytałem tu i ówdzie. W rezultacie dochodzenia odnalazłem dziecko osierocone w wyniku morderstwa i samobójstwa. Jeśli rodzice Sarah Langstrom zginęliby z ręki nieznanego sprawcy, odmówiłbym temu klientowi. Ale skoro za morderczynię uznano matkę, nie widziałem powodu, by tak postąpić.

– Badamy hipotezę, według której to nie było morderstwo i samobójstwo – mówię i obserwuję jego reakcję. – Może wszystko ukartowano tylko po to, by tak się wydawało.

Gibbs na chwilę zamyka oczy i pociera czoło. Wygląda na zaniepokojonego.

– Jeśli to prawda, to straszne. – Wzdycha i otwiera oczy. – Niestety, wciąż wiąże mnie tajemnica zawodowa.

– Co jeszcze może nam pan powiedzieć, nie łamiąc tej tajemnicy? – pyta Alan.

– Trust ma formę funduszu pomyślanego tak, by utrzymać z niego dom rodzinny i zapewnić Sarah Langstrom środki do życia. Będzie mogła nimi dysponować w osiemnaste urodziny.

– Ile tego jest? – pytam.

– Nie mogę podać dokładnej sumy. Mogę tylko powiedzieć, że pozwoli jej to żyć wygodnie przez wiele lat.

– Składa pan raporty klientowi?

– Prawdę mówiąc, nie. Rozumiem, że istnieje jakiś sposób kontroli, sposób, by klient miał mnie na oku i pilnował, żebym nie wyjadł wszystkich ciasteczek ze słoja. Ale nie miałem z nim kontaktu od chwili założenia trustu.

– Czy to nie dziwne? – pyta Alan.

Gibbs przytakuje.

– Bardzo.

– Zauważyłam, że dom od zewnątrz jest świetnie utrzymany. A dlaczego nie od wewnątrz. Pełno w nim kurzu – mówię.

– To jeden z warunków trustu. Nikt nie może wchodzić do domu bez

pozwolenia Sarah.

– Dziwne.

Wzrusza ramionami.

– Miewałem już dziwniejsze umowy. – Przerywa. Przez chwilę jego zboląta twarz przybiera prawie łagodny wyraz. – Agentko Barrett, chcę, żeby pani wiedziała, że nigdy świadomie nie uczestniczyłem w niczym, co zaszkodziłoby jakiemukolwiek dziecku. Nigdy. Kiedy byłem młodszy, straciłem siostrę. Moją małą siostrzyczkę. Duzi bracia powinni pilnować młodszych sióstr. Rozumie pani? – Wygląda na nieszczęśliwego. – Dzieci są święte.

Widzę, jak w jego oczach wzbiera poczucie winy. To wina, jaką czuje ktoś odpowiedzialny za coś, czemu i tak nie był w stanie zaradzić. Taka, jaka pojawia się, kiedy winny jest los, ale to my zostajemy z problemem na głowie.

– Rozumiem, panie Gibbs.

Przez godzinę szermowaliśmy słowami z mecenasem, próbując wyciągnąć z niego więcej informacji, ale bez powodzenia. Wróciliśmy do samochodu i próbuję rozstrzygnąć, co robić dalej.

– Odniosłem wrażenie, że chce nam powiedzieć więcej – mówi Alan.

– Ja też. Zgadzam się z twoją pierwotną oceną. Zdaje się, że nie zamierza nam nic utrudniać. Ma tylko związane ręce.

– Czas na nakaz – stwierdza Alan.

– Tak, wracajmy do firmy i chodźmy do naszego prawnika.

Dzwoni moja komórka.

– Wieści z innych frontów – melduje Callie.

– Strzelaj.

– Okazuje się, że akta sprawy Vargasa, zarówno u nas, jak i w policji, po prostu zginęły.

Czuję ciężar w sercu.

– Daj spokój. Żarty sobie robisz?

– Chciałabym. W najlepszym wypadku gdzieś się zawieruszyły, ale myślę, że możemy równie dobrze założyć, że zostały skradzione.

– Tak czy siak, nie mamy akt sprawy. – Pocieram ręką czoło. – Dobrze. Wiem, że pracujesz w domu Langstromów, ale wyświadcź mi przysługę. Zadzwoń do wicedyrektora Jonesa i zapytaj, czy może ci dać listę nazwisk agentów i policjantów, którzy pracowali przy tamtej sprawie.

– Nie ma problemu.

Rozłączam się.

– Złe wieści? – pyta Alan.

– Można tak powiedzieć. – Streszczam mu rozmowę z Callie. – A twoim zdaniem jak jest? Zginęły czyje ukradziono?

– Oddaję głos na kradzież. Planował to od lat, manipulował wszystkim tak, by sprawy odkrywane były w takim tempie, jak on chce. To zbyt duży zbieg okoliczności.

– Pewnie masz rację. Dokąd teraz?

Już mam odpowiedzieć, kiedy znów dzwoni komórka.

– Barrett – odpowiadam.

– Hej, Smoky. Tu Barry. Wciąż jesteś w Moorpark?

– Właśnie wyjeżdżamy.

– To dobrze. Zacząłem sprawdzać detektywów, którym przydzielono pierwotnie sprawę Langstromów. Wyobraź sobie, że jeden nie żyje. Pięć

lat temu wsadził sobie spluwę w usta. Wiele z tego nie wynika, mówiąc szczerze, wygląda na to, że facet bujał się na krawędzi od lat. Interesujące jest jednak to, że dwa lata później na emeryturę odszedł jego partner. Po prostu odszedł, cztery lata przed trzydziestym rokiem pracy.

– To faktycznie interesujące.

– Owszem. Ale to nie koniec. Dopadłem tego faceta. Nazywa się Nicholson. Dave Nicholson. Powiedziałem mu, o co chodzi, i wyobraź sobie, że chce się z tobą spotkać. Natychmiast.

Przeszywa mnie podniecenie.

– Gdzie mieszka? – pytam.

– Właśnie dlatego pytałem, czy jeszcze jesteście w Moorpark. Bo to niedaleko. Na emeryturę przeprowadził się do Simi Valley, rzut beretem od was.

David Nicholson, jak wyjaśnił mi Barry, był dobrym gliniarzem. Pochodził z rodziny policjantów, której korzenie sięgały Wschodniego Wybrzeża. Jego dziadek był policjantem w Nowym Jorku, potem w latach sześćdziesiątych wyemigrował na zachód z ojcem Davida. Ojciec zginął na służbie, kiedy David miał dwanaście lat.

Nicholson został detektywem w rekordowo krótkim czasie, ale wyraźnie na to zasłużył. Słynął z bystrego umysłu i dokładności. Miewał przebłyski geniuszu i był postrachem sal przesłuchań. Z opisu wygląda jak zaginiony niegdyś biały brat Alana.

Ale wszystko to nie pasuje do przeoczeń w sprawie Langstromów. To oraz fakt, że chce się ze mną spotkać – i to od razu – napędza mnie nadzieją, – To tu – mówi Alan, kiedy parkujemy przy chodniku.

Dom znajduje się na obrzeżach Simi Valley, od strony Los Angeles, gdzie stoi wiele starszych domów. Wszystkie przy tej ulicy są parterowe. To spore budowle na planie domów farmerskich, budowane w pozbawionym wyobraźni stylu lat sześćdziesiątych. Frontowy trawnik jest dobrze utrzymany, do drzwi wejściowych prowadzi betonowa ścieżka. Widzę, że w oknie po prawej stronie porusza się zasłona i dostrzegam wyglądającą twarz.

– Już wie, że przyjechaliśmy – mówię do Alana.

Wysiadamy i idziemy w stronę domu. Drzwi otwierają się, nim zdążymy dotrzeć do wejścia, i przed dom wychodzi mężczyzna. Staje na betonowej posadzce na werandzie. Jest boso, ubrany w dżinsy i koszulkę z

krótkimi rękawami. Wysoki, zwałisty, ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie barki i klatkę piersiową. Do tego ciemne i gęste włosy, kwadratową szczękę, przystojną twarz. Nie wygląda na pięćdziesiąt pięć lat. Ale w oczach brakuje mu żaru. Są ciemne i puste, pełne echa i otwartych przestrzeni.

– Pan Nicholson? – pytam.

– To ja. Mogę zobaczyć wasze dokumenty?

Alan i ja wyciągamy legitymacje. Przygląda się im, a potem nam. Zatrzymuje wzrok na moich bliznach, ale nie na długo.

– Wejdźcie – zaprasza.

Wnętrze domu nawiązuje do końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych. Na ścianach drewniane panele, duży kominek. Jedynym ukłonem w stronę współczesności jest podłoga z ciemnych desek ułożona w całym domu.

Idziemy za gospodarzem do salonu. Wskazuje nam wygodną niebieską kanapę. Siadamy.

– Coś do picia? – pyta.

– Nie, dziękujemy.

Odwraca się tyłem do nas i patrzy przez przesuwane szklane drzwi na podwórko. Podwórko jest niewielkie, w kształcie prostokąta, więcej tu piasku niż trawy. Otacza je drewniany płot. Nie widzę żadnych drzew.

Mija dłuższa chwila. Nicholson wpatruje się ciągle w dal, jakby zamarł.

– Proszę pana?

Budzi się.

– Przepraszam. – Podchodzi do nas i siada w fotelu przy kanapie. Fotel jest obrzydliwie zielony, ale wygląda na wygodny. Nosi ślady zużycia.

Wierny mebel, obiekt cichej miłości. Stoi naprzeciw dwudziestocalowego telewizora. Obok składany stolik.

Wyobrażam sobie, jak Dave Nicholson siada tu wieczorami, ogląda telewizję, na stoliku stawia kolację odgrzaną w mikrofalówce. To dość normalny widok, ale z jakiegoś powodu w tym miejscu budzi we mnie smutek. Wszędzie wokół wyczuwa się atmosferę wyczekiwania i przygnębienia. Nasuwa się myśl, że meble powinny być poprzykrywane płótnem, a po pokojach powinien hulać wiatr.

– No więc słuchajcie – odzywa się, nim zdążam zadać mu pytanie. – Chcę wam powiedzieć coś, co mogę wam powiedzieć, a potem powiem coś, czego nie powinienem mówić. A na koniec zamierzam zrobić to, co powinienem zrobić.

– Proszę pana...

Macha ręką.

– Mam wam powiedzieć: „Liczy się człowiek stojący za symbolem, a nie sam symbol”. Zrozumieliście? – Mówi monotonnym głosem, który pasuje do pustki w oczach.

– Tak, ale...

– A teraz kolejna sprawa. Pomijałem pewne rzeczy w śledztwie w sprawie Langstromów, kierowałem je w stronę określonych wniosków. Powiedział mi, że dowody będą wskazywać na morderstwo i zabójstwo, jeśli nie będę za bardzo przy tym grzebał. Musiałem tylko przyjąć to, co widać było na pierwszy rzut oka. I tak zrobiłem. – Wzdycha. Wygląda na zawstydzonego. – Chciał, żeby dziecko Langstromów, Sarah, zostało samo. Mówił, że ma wobec niej plany. Nie powinienem był tego robić, wiem, ale musicie zrozumieć... zrobiłem to, bo on ma moją córkę.

Zamieram, porażona wiadomością.

– Pańską córkę?

Nicholson patrzy w punkt nad moją głową, mówi jakby do siebie.

– Nazywa się Jessica. Zabrał mi ją dziesięć lat temu. Obezwładnił mnie i powiedział mi, co mam robić. Powiedział mi, że za wiele lat ktoś przyjdzie zadać pytania i wtedy mam mu przekazać wiadomość, którą właśnie wam przekazałem. Jeśli zrobię to i coś jeszcze na koniec, obiecał, że ją wypuści. – Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem. – Rozumie pani, prawda? Byłem dobrym gliniarzem, ale musiałem dla mojej córki.

– Mówi pan, że wziął ją jako zakładniczkę?

Wskazuje na mnie grubym palcem.

– Niech pani dopilnuje, żeby nic jej się nie stało. Niech pani dopilnuje, żeby dotrzymał słowa. Myślę, że to zrobi. – Oblizuje usta, kiwa głową. – Chyba to zrobi.

– David. Wolniej.

– Nie. Już i tak dość powiedziałem. Teraz muszę to dokończyć. Jeszcze jedna rzecz.

Sięga za plecy. Wyjmuje zza nich wielki rewolwer. Podrywam się, a za mną Alan. Sięgam po broń, podnoszę ją, ale to nie mnie Nicholson chce zabić. Wkłada sobie lufę do ust gwałtownym ruchem i podnosi w górę. Rzucam się w jego stronę.

– Nie! – krzyczę.

Zamyka oczy i pociąga za spust, a jego głowa eksploduje z głośnym bum. Cała jestem opryskana jego krwią.

Stoję tak, z otwartymi ustami, a ciało mężczyzny spada z fotela na podłogę.

– Jezu! – krzyczy Alan i rzuca się w stronę Nicholsona.

Stoję i patrzę oszołomiona. Na dworze otwierają się chmury i znów zaczyna padać.

Alan i ja jesteśmy w domu Nicholsona. Przyjechała już miejscowa policja, chcą przejąć sprawę, ale w furii nie zwracam na nich uwagi.

Zginął człowiek, policjant, a ja wiem, że jego śmierć to coś więcej niż samobójstwo. Chcę wiedzieć, dlaczego zginął.

Umyłam ręce i włożyłam rękawiczki. Wciąż jeszcze czuję na twarzy miejsca, z których zmywałam krew.

Krażę po salonie, korytarzu, idę do sypialni Nicholsona. Alan chodzi za mną krok w krok.

– Czego szukamy, Smoky? – pyta ostrożnie.

– Cholerne wyjaśnienia – warczę twardym i rozjuszonym głosem, który aż mi się łamie.

To było tak nagłe, tak okropne, że wstrząsnęło mną jak policzek. Czułam mdłości od przyływu adrenaliny. Nie mogłam skupić się na tej śmierci, jeszcze nie w pełni. Wiedziałam tylko, że jestem wściekła. To on to zrobił. To była jego wina.

Obcy. Mam już po dziurki w nosie jego gierek i zagadek, i wszystkiego innego.

Mam ochotę go zabić gołymi rękoma.

Sypialnia Nicholsona wygląda jak reszta domu – urządzona niedbale i po spartańsku. Jest tu czysto, ale dom nie ma duszy. Gołe ściany, tanie i źle dobrane zasłony. Spał tutaj, jadł, nie padało mu na głowę. To wszystko.

Na stoliku przy łóżku dostrzegam oprawioną w ramkę fotografię. Jest

na niej Nicholson, uśmiechnięty, z oczami pełnymi życia. Obejmuje młodą dziewczynę, na oko szesnastolatkę. Tak jak ojciec ma gęste ciemne włosy. Oczy należą do kogoś innego. Duch matki?

Alan też patrzy na zdjęcie.

– Wygląda na to, że to ojciec z córką – mówi.

Kiwam głową, wciąż milczę.

Alan otwiera szafę wnekową i zaczyna buszować po półkach. Przerywa na chwilę. Brak ruchu, cisza.

– O rany – odzywa się. – Popatrz tylko.

Wychodzi z szafy. W ręku trzyma otwarte pudełko po butach. Widzę w nim zdjęcia z polaroidu. Mnóstwo zdjęć. Alan bierze jedno z nich i podaje mi.

Dziewczyna na nim jest blada i naga. Wygląda na dwadzieścia kilka lat. Na fotografii widać ją całą. Stoi z rękoma za plecami, stopy lekko do siebie, jest przygaszona, odwraca wzrok. Ma duże piersi i włosy w okolicy łonowej. Wygląda na to, że zmuszono ją do zdjęcia, jest otepiała emocjonalnie.

Porównuję to zdjęcie z fotografią ze stolika.

– To zdecydowanie ta sama dziewczyna – mówię.

– Całe pudełko jest pełne zdjęć – oświadcza Alan, przerzucając polaroidy. – Zdaje się, że są ułożone chronologicznie. Zawsze jest nago, różni się tylko wiekiem. – Przerzuca je dalej. – Jezu. Sądząc po zmianach na twarzy i ciele, te zdjęcia są sprzed ładnych kilku lat.

– Pewnie sprzed ponad dziesięciu. – Czuję, jakby uszło ze mnie powietrze. Moja wściekłość zniknęła, została tylko pustka.

Alan patrzy na mnie i myśli. Stuka stopą o podłogę i kołysze pudełkiem

w wielkiej dłoni.

– Dobrze. Dobrze. Wszystko trzyma się kupy. Bierze córkę Nicholsona jako zakładniczkę. Ale Nicholson jest nie tylko tatusiem, ale i gliną. Zabójca musiał mieć coś, żeby trzymać Nicholsona na smyczy, więc regularnie dostarczał mu dowody, że córka żyje. – Stuka stopą mocniej. – Jasna cholera. Dlaczego Nicholson nie zgłosił się do FBI? Dlaczego zostawił córkę w łapach tego faceta tak długo i nie zrobił czegokolwiek?

– Bo mu uwierzył, Alan. Uwierzył, że Obcy dotrzyma słowa. Jeśli Nicholson przestanie się trzymać planu, Obcy zabije jego córkę. Jeśli Nicholson będzie trzymał się planu, Obcy zostawi ją przy życiu. I regularnie wysyłał Nicholsonowi dowody, że wywiązuje się z obietnicy.

– To rozumiem, ale mimo wszystko... zrobiłabyś to, co Nicholson? Przez tak długi czas?

Odpowiedź pojawia się od razu. Nie muszę się namyślać. Możliwość, że Alexa żyje czy obecna rzeczywistość, w której jej nie ma?

– Prawdopodobnie tak. Jeśli byłby dość przekonujący. Tak. – Patrzę na niego. – A jeśli chodziłoby o Elaine?

Przestaje stukać stopą.

– Masz rację.

Patrzę na zdjęcie.

– Dlaczego? Dlaczego Nicholson?

– To chyba już ustaliliśmy. Potrzebował go, żeby sterować śledztwem w sprawie Langstromów.

Kręcę głową.

– Gówny prawda. To znaczy owszem, wykorzystał go do tego celu, ale po co ryzykował? Po co tyle kłopotu? Mógł lepiej zatrzeć ślady... ba, i tak

je dobrze zatarł. Wplątanie w to Nicholsona zwiększało ryzyko. Dlaczego Obcy zdecydował się podjąć to ryzyko? – Przeczesuję ręką włosy. – Musimy pogrzebać w przeszłości Nicholsona. – Zaczynam chodzić. – W tej sprawie wszystko wiąże się z przeszłością, po prostu jeszcze za mało wiemy. Komu kazałam zbadać przeszłość dziadka Sarah?

– Chyba mnie. Jeszcze się do tego nie zabrałem. Pojawił się ten trop z domem Langstromów, trust. – Gestem pokazuje, dlaczego jesteśmy tu i teraz. – Potem Nicholson. Wszystko dzieje się tak szybko.

– Wiem i rozumiem, ale to ważne.

– Jasne.

Patrzę na polaroidowe zdjęcie smutnej dziewczyny. Jest wręcz symboliczne dla tej sprawy, coś wiecznego, coś strasznego, coś, co korzeniami sięga przeszłości. Nicholson, dziadek Sarah, sprawa z lat siedemdziesiątych.

Co ich wszystkich łączyło?

Rozmawiam z Christopherem Shreveportem, szefem CMU. CMU to Jednostka Zarządzania Kryzysowego. Zajmuje się reagowaniem w sytuacjach krytycznych, takich jak porwania i tym podobne.

– Jest zakładniczką? – pyta.

– Tak. Jeśli jeszcze żyje.

Cisza. Shreveport nie przeklina, ale czuję, że ma na to ochotę.

– Wyślę tam agenta. Nazywa się Mason Dickson.

– To jakiś dowcip, Chris?

– Dowcip to mu zrobili rodzice, kiedy nadawali mu imię. Szkolony w CMU w Quantico. U nas odpowiada za sprawy porwań w waszym okręgu.

Zrobi, co będzie mógł. Ale nie liczyłbym na zbyt wiele. Coś mi mówi, że Mason nie będzie w stanie wiele zrobić, dopóki nie rozwikłasz tej sprawy.

- Może facet dotrzyma słowa i ją wypuści.
- Każdy powinien mieć jakieś marzenie, Smoky. To może być twoje.

Jest już późne popołudnie. Deszcz znów przestał padać, ale szare chmury nie zniknęły. Słońce próbuje się przez nie przedrzeć, ale przegrywa. Wszystko jest ciemne, wilgotne i jałowe. Taka pogoda bezlitośnie podkreśla bezosobową naturę Los Angeles. Pasuje do mojego nastroju.

Agent Mason Dickson pojawił się jakieś pięćdziesiąt minut po tym, jak skończyłam rozmowę ze Shreveportem. Rudzielec o twarzy dziecka, osadzonej na szczupłym tułowiu, wysoki na metr osiemdziesiąt pięć. Wyglądał niewiarygodnie, ale okazał się dość kompetentny. Opisaliśmy mu sprawę, podaliśmy pudełko z polaroidami i wyszliśmy z poczuciem bezradności.

Kiedy parkujemy przed budynkiem FBI, dzwoni komórka Alana. Odbiera i mruży kilka razy do słuchawki.

– Dzięki – mówi i rozłącza się. – Jutro wypisują Sarah Langstrom ze szpitala – oznajmia.

Z niepokojem stukam palcem w torebkę i myślę.

– Wczoraj rozmawiała ze mną Elaina – wyjaśniam. – Chyba chce, żeby Sarah zamieszkała u was.

Przez jego usta przemyka smutny uśmiech. Wzruszenie ramion zdaje się bezbrzeżne.

– Tak. Mówiła mi o tym. Wybuchnąłem i powiedziałem, że nie ma mowy. Naprawdę się postawiłem.

– I?

– I bierzemy Sarah do siebie. – Wygląda przez szybę i patrzy na szare chmury, które wiszą uparcie na niebie. – Nie mogę jej odmówić, Smoky. Nigdy sobie z tym nie radziłem. Ale po chorobie nie jestem w stanie tego w ogóle zrobić.

– Mogę cię o coś zapytać, Alan?

– Zawsze.

– Czy już sobie postanowiłeś? Kiedy zamierzasz odejść z pracy?

Nie odpowiada od razu. Patrzy wciąż przez szybę, ostrożnie dobiera słowa jak żniwiarz zbierający ręcznie ziarno.

– Oglądasz czasami te programy policyjne, 997 i tak dalej?

– Jasne, że tak.

– Ja też. I wiesz, co mnie zawsze najbardziej uderza? Że przeważnie rozmawiają tam o starych sprawach z młodymi i emerytowanymi policjantami. Rzadko można zobaczyć starszego faceta, który wciąż jeszcze pracuje.

– Nie zastanawiałam się nad tym. – Faktycznie o tym nie myślałam. Ale uświadamiam sobie, że Alan ma rację.

Odwraca się do mnie.

– Wiesz dlaczego? Bo praca w wydziale zabójstw jest groźna, Smoky. Nie mówię o niebezpieczeństwie fizycznym. Mówię o zagrożeniu duchowym. – Macha ręką. – Albo umysłowym, jeśli nie wierzysz w duszę. Nieważne. Chodzi o to, że kiedy patrzy się w jakimś kierunku zbyt długo, istnieje ryzyko, że człowiek nie będzie w stanie otrząsnąć się z tego, co widział. – Lekko uderza pięścią w dłoń. – Nigdy. Widziałem już niejedno, Smoky... – Kręci głową. – Widziałem raz na wpół zjedzone dziecko. Mamusia zażyła trochę więcej kwasu i zgłodniała. Po tej sprawie wpadłem

w alkoholizm.

Patrzę na niego zdumiona.

– Nie wiedziałam – mówię.

Wzrusza ramionami.

– To było jeszcze, zanim trafiłem do Biura. Wiesz, jak przestałem pić?

– Odwraca wzrok. – Dzięki Elaine. Raz nastukałem się mocno i wróciłem do domu o trzeciej nad ranem. Powiedziała mi, że powinienem przestać. A ja... – Krzywi się. – Chwyciłem ją za ramię i kazałem jej pilnować własnych spraw. Potem padłem na kanapę. Rano obudził mnie zapach bekonu. Elaine przygotowywała śniadanie, troszczyła się o mnie jak zawsze, jakby nic się nie stało. Ale coś się stało. Miała na sobie tę koszulę bez rękawów, którą tak lubi. Na ramieniu widniało kilka siniaków. W tym miejscu, gdzie ją chwyciłem. – Odpoczywa przez chwilę, dobiera kolejne ziarna. Czekam zapatrzona. – Oczywiście przypomniała mi się ta mama, która zjadła własne dziecko. Kiedy doszło do niej, co zrobiła, zaczęła wrzeszczeć. To był dźwięk, jakiego ludzie nie powinni z siebie wydawać, Smoky. Jak małpa wrzucona do ognia. Zaczęła wrzeszczeć i nie potrafiła już przestać. Właśnie tak się poczułem, kiedy zobaczyłem sińce na ramieniu mojej kochanej kobiety. Czułem, że chce mi się wrzeszczeć. Rozumiesz?

– Tak.

Odwraca się do mnie.

– Rzuciłem wódkę i wróciłem do normalności. Dzięki Elaine. Miewałem inne chwile słabości, ale zawsze wracałem do pionu. Dzięki Elaine, zawsze dzięki Elaine. Jest... moim największym skarbem. – Kaszle, trochę specjalnie. – Kiedy w zeszłym roku zachorowała i uwziął

się na nią ten psychol, bałem się, Smoky. Bałem się, że przyjdzie taka chwila, że będę jej potrzebował, a jej nie będzie. Gdyby tak się stało, nie poradziłbym sobie. Wciąż czuję się, jakbym balansował na krawędzi, rozumiesz? Wiem, jak mocno mogę się wychylić, ile mogę zobaczyć, by móc do niej wrócić.

Pewnego dnia powiem sobie dość i mam nadzieję, że będę wiedział, kiedy nastąpi ta chwila. – Uśmiecha się do mnie. To szczery uśmiech, ale zbyt złożony, by można było go uznać za szczęśliwy. – Odpowiadając na twoje pytanie: na razie jestem tutaj, ale pewnego dnia mnie nie będzie i nie wiem, kiedy nadejdzie ten dzień.

Mijamy bramkę ochrony i idziemy przez hol recepcji, kiedy staje przed nami wysportowana, energiczna trzydziestolatka o blond włosach i jasnym uśmiechu. Wyciąga do mnie rękę na powitanie. Aż kipi pewnością siebie i energią.

– Agentka Barrett? Kirby Mitchell.

Patrzę zaskoczona, a w końcu dociera do mnie, że musi być już po wpół do szóstej. Na śmierć zapomniałam.

A, tak, zabójczym, chcę powiedzieć. Miło mi panią poznać, ale chyba powinnam postawić tu znak zapytania. Zresztą czas pokaże.

Zamiast tego uśmiecham się, ściskam jej rękę i obrzucam ją wzrokiem.

Kirby na żywo doskonale pasuje do głosu z telefonu. Jest atrakcyjna, szczupła, ma mniej więcej metr sześćdziesiąt osiem, blond włosy, które wyglądają, jakby niekoniecznie należały do niej, błyszczące błękitne oczy i wieczny uśmiech skomponowany z prawie zbyt białych zębów. Wygląda jak kobieta, która w wieku dwudziestu kilku lat wiecznie bawiła się na

plaży, chodziła z surfingowcami, piła piwo przy ognisku, sypiała z takimi blondasami jak ona, która pachniała morską wodą, woskiem do desek i może nieco maryską. Taka dziewczyna zawsze o piątej w piątek gotowa jest włożyć koktajlową sukienkę – na pewno czarną i bardzo krótką. A potem będzie tańczyć aż do zamknięcia lokalu. Miałam przyjaciółki takie jak ona. Szalone pannice.

Tyle że ta blondynka jest ochroniarzem i według Tommy’ego byłym zabójcą. Rozbieżność tych dwóch światów intryguje mnie i niepokoi.

– Miło mi poznać – wyduszam z siebie.

Przedstawiam jej Alana.

Uśmiecha się i klepie go w ramię.

– Ale olbrzym! Pomaga ci to czy przeszkadza? No wiesz, w pracy?

– Raczej pomaga – odpowiada zaskoczony.

Rozciera miejsce, gdzie go klepnęła. Widzę zdumienie na jego twarzy.

– Hej, to bolało.

– Nie bądź dzieckiem – mówi Kirby.

Mruga do mnie.

– Idziemy do naszego biura – zarządzam.

– Prowadźcie, agenci FBI.

Biuro jest puste. Wszyscy robią to, co im zleciłam. Callie przeszukuje dom Langstromów. James pewnie ślęczy przy komputerze Michaela Kingsleya. To dzień sprinterów i wcale się jeszcze nie skończył.

Kirby nie zamykają się usta. Kiedy idziemy przez nasze biuro, obserwuję ją. Dostrzegam, że kiedy mówi, wodzi oczami dookoła. Bada otoczenie. Na dłużej zatrzymuje wzrok na białej tablicy, potem rozgląda się dalej i niczego nie przeoczą.

Widziałam już takie oczy u panter, lwów i ich ludzkich odpowiedników. Migocą jak świece, wyglądają na rozleniwione, ale widzą wszystko.

Wchodzimy do mojego gabinetu i siadamy.

– A więc skoro się już zaprzyjaźniliśmy – mówi Kirby, cała świergotliwa. – Porozmawiajmy o mojej pracy. Jestem bardzo dobra w tym, co robię, i powinniście o tym wiedzieć. Nigdy jeszcze nie straciłam klienta i nie zamierzam, odpukać w niemallowane! – Stuka palcem w moje biurko i uśmiecha się. – Jestem przeszkolona w technikach śledzenia, walce wręcz i potrafię się posługiwać... kurczę, chyba każdym rodzajem broni.

– Zaczyna liczyć na palcach. – Noże, pistolety, większość karabinów maszynowych. Jestem niezłym snajperem do czterystu metrów. Czyli na standardowym dystansie. – Kolejny uśmiech błyszczących oczu. – Nie podskakuj mistrzowi, bo cię przepołowi. Wiem, że to głupie, ale uwielbiam to powiedzonko, dobre nie?

– No... jasne – odpowiadam.

– Mam jedną zasadę. – Macha przede mną palcem, dobrodusznie ostrzegając. – Nie być niedoinformowana. Muszę wiedzieć wszystko o moim zadaniu. Jeśli zaczniecie coś kombinować, a ja się o tym dowiem, odchodzę. Nie próbuję być smerfem Marudą po prostu tak musi być.

– Rozumiem – przytakuję.

Smerf Maruda?

– Dobra – ciągnie Kirby, niczym wulkan słów. Jest jak pociąg towarowy. Albo do niego wskakujesz, albo cię rozjeżdża, wybór należy do ciebie.

– Wiem, że pewnie patrzycie na mnie i myślicie: Co to za plastikowa lala? Tommy to szczerzy koleś – i przystojniaczek. – Mruga do mnie konspiracyjnie. – Więc na pewno musiał wspomnieć, że rzekomo kiedyś mogłam zabić jakichś ludzi na zlecenie instytucji wojskowych. A potem patrzycie na to i na tamto... – Szerokim gestem pokazuje całą siebie. – I zastanawiacie się, może to jakaś wariatka. Mam rację?

– Może trochę – przyznaję.

Uśmiecha się.

– No cóż, taka już jestem. Jestem dziewczyną z Kalifornii, zawsze nią byłam i będę. Lubię moje blond włosy, lubię bikini i uwielbiam zapach oceanu. – Wierci się na krześle. – I kocham tańczyć! – Kolejny uśmiech o energii wielu kilowatów. – W moim badaniu psychiatrycznym wyszło, że mam „nadmiernie rozwiniętą zdolność do zaliczania pewnych ludzi do kategorii innych”. Normalny człowiek nie jest przystosowany do zabijania. Nie pasuje to do niego. Ale musimy zabijać, cały czas. Żołnierze muszą, snajperzy antyterrorysty też. – Kiwa głową w moją stronę. – Wy też musicie. I co wtedy? Co wtedy? Co robić? Otóż wtedy uznajemy, że ci na muszce to inni. Nie są jak my, może w ogóle nie są nawet ludźmi. Nieważne. Kiedy już to sobie wytłumaczymy, a w psychologii i w wojsku wiedzą o tym od dawna, o wiele łatwiej ich zabijać, daję wam słowo. – Kolejny szeroki uśmiech, ale tym razem oczy się już nie śmieją. Chyba robi to świadomie, żeby pokazać mi drzemiącego w niej zabójcę. – Nie jestem wariatką. Nie wpadam w euforię, kiedy rozwalę człowieka, nie mam ochoty rozsmarowywać go na gąsienicach czołgów. – Śmieje się, jakby wpadła na najgłupszy pomysł w życiu, ho, ho, ho. – Nie, po prostu naprawdę nie mam problemu z rozpoznaniem, kto jest wrogiem, a kiedy

już to się stanie, ten człowiek nie należy do mojego klubu, rozumiecie?

– Tak – odpowiadam. – Rozumiem.

– Zajebicie. – Pociąg Kirby rusza dalej. Mówi falami, tak że nie sposób cokolwiek powiedzieć, nie przerywając jej. – Jeśli chodzi o mój życiorys, to skończyłam psychologię ze specjalizacją w odchyleniach, mówię płynnie po hiszpańsku. Przez pięć lat byłam w CIA, przez sześć w NSA. Sporo czasu spędziłam w Ameryce Środkowej i Południowej, wykonując... hm... różne zadania. – Kolejne konspiracyjne mrugnięcie, po którym przechodzą mi ciarki. – Znudziłam się i odeszłam. Kurczę, nie było łatwo. Mogłabym opowiedzieć wam niejedną historię. Ci kolesie z agencji wywiadowczych nie mają za grosz poczucia humoru. Nie chcieli mnie wypuścić. – Uśmiecha się, znów tylko ustami, nie oczami. – Ale ich przekonałam.

Alan unosi brew, ale nic nie mówi.

– Na czym to skończyłam? Aha, odeszłam od nich i przez kilka miesięcy zamykałam stare sprawy. Kilku naprawdę wrednych kolesiów z Ameryki Środkowej nie dawało mi spokoju. Myśleli, że cały czas pracuję dla NSA. – Dobrodusznie przewraca oczami. – Niektórzy faceci nie są w stanie zrozumieć, kiedy kobieta mówi „nie”. Prawie miałam ochotę rzucić na zawsze Latynosów... ale na szczęście mi przeszło! – Śmieje się i wbrew sobie sama zaczynam się śmiać z tej niebezpiecznej blondyneczki. – Przez pół roku byczyłam się na plaży, jeszcze bardziej się znudziłam i stwierdziłam, że może fajnie będzie popracować na własną rękę. Kasa jest lepsza, słowo daję. Wciąż od czasu do czasu muszę strzelać do ludzi, ale między jedną robotą a drugą mogę sobie wyskoczyć na plażę. – Rozkłada ręce w geście „no i proszę”. – No i tak wygląda w skrócie historia mojej

skromnej osóbk. – Pochyla się do przodu. – A teraz pogadajmy o klientce i tym ptaszku, który się na nią wziął.

Zerkam po raz ostatni na Alana, który subtelnie wzrusza ramionami, i zaczynam opowieść o Sarah Langstrom i Obcym. Kirby patrzy na mnie czujnie swoimi lamparcimi oczyma, słucha uważnie, co chwila potwierdzając, że dociera do niej, co mówię.

Kończę, a ona rozsiada się wygodniej i zamyślona stuka palcami w krzesło. Uśmiecha się.

– No dobra, mam jasność. – Odwraca się do Alana. – A ty, olbrzymie, co powiesz na to, że u ciebie zamieszkam? – Kolejne klepnięcie w ramię. – I co ważniejsze, co powie twoja żona?

Alan nie odpowiada od razu. Wbijają wzrok w Kirby i zamyśla się. Dziewczyna znosi tę obserwację bez mrugnięcia, jakby w ogóle jej to nie obchodziło.

– Będziesz chroniła moją żonę i dziewczynkę?

– Do ostatniej kropli krwi. Ale miejmy nadzieję, że nie trzeba będzie aż tak, nie?

– I jesteś dobra?

– Nie najlepsza na rynku, ale prawie. – Niewyczerpana radość zabójczym optymism. Alan kiwa głową.

– W takim razie cieszę się, że będziesz u nas. Elaina też się ucieszy.

– Zajebiecie. – Odwraca się do mnie, jakby o czymś na śmierć zapomniała. – Aha, jeszcze coś. Muszę zapytać. Jeśli zjawi się ten ptaszek, potrzebujecie go żywego czy martwego?

Uśmiech nie schodzi jej z ust. Patrząc na tę bardzo groźną kobietę i zastanawiam się nad odpowiedzią. Jeśli ją poproszę, Kirby Mitchell

przypisze Obcego do kategorii „inni”. Jeśli tylko pokaże twarz, zabije go z uśmiechem i czmychnie na plażę, żeby posiedzieć z piwem przy ognisku. Waham się tylko dlatego, że rozumiem: zadała pytanie wcale nie czysto teoretyczne.

Mam go zabić? Hej, nie ma sprawy. Zrobię to, a potem wpadniemy do jakiegoś klubu, wypijemy drinka. Zajebiście.

– Wolałabym mieć go żywego – mówię. – Ale najważniejsze jest zachowanie przy życiu Elainy i Sarah.

Cholerny unik, nie odpowiedź. Kirby bierze ją z marszu.

– Rozumiem. Skoro wszystko mamy dogadane, to jadę do szpitala. Posiedzę tam do jutra, a potem przewieziemy ją do ciebie, olbrzymie. – Wstaje. – Czy któreś z was może mnie stąd wyprowadzić? Kurczę, ale leje, nie?

– Odprowadzę cię – proponuje Alan.

Wypada z mojego gabinetu, a ja czuję się, jakby coś po mnie przejechało, ale o dziwo, to dobre uczucie.

Patrzę na zegarek. Jest kilka minut po szóstej. Ellen, nasza prawniczka, może jeszcze nie wyszła do domu. Podnoszę słuchawkę i wystukuję jej wewnętrzny.

– Ellen Gardner – odpowiada. Głos ma spokojny, niewzruszony, Ellen zawsze tak mówi. Jest trochę jak cyborg.

– Cześć, Ellen, tu Smoky. Potrzebny mi nakaz.

– Chwileczkę – odpowiada bez wahania. – Muszę wziąć coś do pisania.

Wyobrażam sobie Ellen siedzącą za prawniczym biurkiem z wiśniowego drewna. Widzę jej wyrazistą sylwetkę, złożoną z linii nie tyle

ostrzych, ile bardzo zdecydowanych. Ma ponad pięćdziesiątkę, krótko obcięte brązowe włosy (zapewne farbowane, bo nigdy nie widziałam u niej siwizny). Wysoka, szczupła, wygląda prawie jak chłopczyca. Jest chłodna, dokładna i bardzo rzeczowa – innymi słowy, prawniczka. Raz słyszałam, jak się śmieje. Był to wesoły, niczym niezmacony dźwięk, który przypomniał mi, by nie dawać wiary stereotypom.

– Mów – odzywa się.

Opowiadam jej wszystko ogólnie i mówię ze szczegółami o truście Sarah Langstrom.

– A więc ten prawnik twierdzi, że może współpracować tylko wtedy, gdy dostanie nakaz – kończę. – Mówi, że będzie współpracował, jeśli nakaz „prawnie zwolni go z obowiązku dochowania tajemnicy zawodowej”.

– Zgadza się – odpowiada Ellen. – I tu mamy problem.

– Co?

– Nie ma prawnych podstaw do wydania takiego nakazu.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Na razie masz jedynie zamkniętą sprawę. Morderstwo i samobójstwo. Dalej jest anonimowy filantrop, który postanawia założyć trust, by dbać o dom i o Sarah. Ale nie widać w tym żadnego przestępstwa, prawda?

– Oficjalnie nie – przyznaję.

– No dobrze. Kolejne pytanie: czy istnieje sposób, by ustalić, że ten trust prowadzi działalność przestępczą? Czy pomaga w dokonywaniu przestępstw albo oszustw? Czy zakładano go z taką myślą?

– To mogłoby być trudniejsze do udowodnienia.

– No to masz problem.

Zagryzam wargę i myślę.

– Ellen... potrzebujemy jedynie nazwiska klienta. Musimy wiedzieć, kto to jest. Czy to w czymś pomoże?

– Gibbs powołuje się na tajemnicę zawodową, bo klient zastrzegł sobie anonimowość?

– Zgadza się.

– W takim razie nic z tego. Jeśli jesteś w stanie udowodnić, że klient może mieć informacje istotne dla trwającego śledztwa, to mogę ci zdobyć to nazwisko.

– Rozumiem.

– Ale to musi być coś mocnego. Zaczniij od znalezienia czegoś, co zmieni morderstwo i samobójstwo Langstromów w stare dobre podwójne zabójstwo. Kiedy już będziesz to miała, trust stanie się logicznym tropem w śledztwie i wtedy będziemy mogli zmusić Gibbsa do ujawnienia tożsamości klienta. – Zmienia nieco ton głosu, jest mniej oschła, odrobinę bardziej przyjazna. – Powiem ci to wprost, Smoky. Gibbs może i wydawał się pomocny, ale ta mała formułka, którą ci zacytował, o „prawnym zwolnieniu z dochowania tajemnicy zawodowej”, to bariera, którą ciężko obejść.

Chcę ją przekonać, ale wiem, że to strata czasu. Ellen zawsze szuka rozwiązań. Jeśli tak mówi, to znaczy, że tak jest. Wzdycham więc zrezygnowana.

– Rozumiem. Skontaktuję się z tobą. Odkładam słuchawkę i dzwonię do Callie.

– Nadgodziny spółka z o. o. – słyszę jej głos. – W czym mogę pomóc?

Uśmiecham się.

– Jak wam leci?

– Na razie nie ma się czym chwalić, ale idziemy powoli. Nadal przeszukujemy frontową część domu.

Streszczam jej wydarzenia od czasu, kiedy się rozstałyśmy. Zaczynam od Gibbsa, potem mówię o Nicholsonie, a na koniec o rozmowie z Ellen. Callie milczy przez chwilę i przetwarza te informacje.

– Niesamowite czterdzieści osiem godzin, nawet jak na ciebie. – Mów tak jeszcze.

– Wiesz co, jedź do domu. Ja z Gene'em dajemy sobie tu radę. James gdzieś sobie siedzi i wkurza innych. Bonnie czeka na ciebie u Alana i Elainy. Jeśli nie chcesz posłuchać mojej rady i nie kupisz sobie psa, kochaniutka, to przynajmniej jedź do domu i spotkaj się z córką.

Znów się uśmiecham. Cała Callie – potrafi mnie rozśmieszyć w każdej sytuacji.

– Dobrze – mówię. – Ale zadzwoń, jeśli tylko coś znajdziesz.

– Być może mogę ci obiecać, że się nad tym zastanowię – drwi sobie. – Zmiataj do domu.

Odkładam słuchawkę. Zamykam na chwilę oczy. Callie ma rację. To było kilka szalonych dni. Śpiewająca wymazana krwią szesnastolatka. Koszmarny pamiętnik.

I coś, co trafia mnie nagle w czuły punkt. Ręce zaczynają mi drżeć. Zagryzam wargę, żeby powstrzymać łzy.

Matt, dziś na moich oczach zastrzelił się człowiek. Patrzył na mnie, mówił do mnie, a potem wsadził sobie pistolet do ust i pociągnął za cyngiel. Miałam jego krew na twarzy.

Nie znałam Dave'a Nicholsona. To nie miało znaczenia. Nie należał do tej kategorii, o której mówiła Kirby. Nie był jednym z „innych”. Był jednym z nas, człowiekiem. Nie mogę przestać go opłakiwać.

Słyszę kroki na wykładzinie i ocieram dłonią oczy. Pukanie do drzwi i do gabinetu zagląda Alan.

– Wsadziłem naszą przyjazną zabójczynię z sąsiedztwa do samochodu.

– Co powiesz na to, żeby zmyć się do domu? Przynajmniej na chwilę?

Rozmyśla o tym i wzdycha.

– Tak, na chwilę. To świetny pomysł.

Powiedziałam Alanowi, że spotkamy się w domu. Mam jeszcze coś do załatwienia po drodze.

Jadę do szpitala znów w strugach wody. Nie przeszkadza mi to, bo wewnątrz też czuję się deszczowo. Nie jest to wielka ulewa, tylko dokuczliwa mżawka. To część tej pracy, uświadamiam sobie. Ta wewnętrzna pogoda. Dom i rodzina to słońce, przez większość czasu. Praca to niemal zawsze deszcz. Czasami zdarzają się burze i błyskawice, czasami tylko kapuśniaczek, ale zawsze jest to deszcz.

Jakiś czas temu dotarło do mnie, że nie Kocham swojej pracy. Nie chodzi o to, że jej nie znoszę – nic takiego. Ale nie jest to coś, co można kochać. To coś, co trzeba robić. Bo ma się to we krwi. Czy to dobre, czy złe, czy obojętne, robimy to, bo nie mamy innego wyboru.

Tyle że teraz masz wybór, prawda? Może w Quantico znajdziesz więcej słońca, co?

Mimo wszystko.

Docieram na szpitalny parking. Zostawiam samochód i biegnąc przez deszcz do drzwi wejściowych, postanawiam, że muszę załatwić to szybko. Dochodzi prawie siódma i czuję, że potrzeba mi dużej dawki Elainy i Bonnie. Nieco słońca.

Kiedy docieram do sali, jest już tam Kirby. Siedzi na krześle przed drzwiami i czyta jeden ze szmatławych plotkarskich magazynów. Słyszając moje kroki, podnosi głowę. Przez chwilę widzę błysk oczu pantery, ale zaraz wypełniają się iskierkami i śmiechem.

– Witam, szefowo – mówi.

– Cześć, Kirby. Jak ona się czuje?

– Przedstawiłam się. Ależ musiałam się nagadać, ja cię. Chciała mieć pewność, że potrafię zabijać. Musiałam ją przekonać, bo chciała mnie zwolnić. Udało mi się.

– Okej.

„Dobrze” czy „świetnie” nie wydaje się na miejscu.

– Ależ to popieprzone dziecko, mówię ci, Smoky Barrett – odzywa się Kirby. W jej przyciszonym głosie słycać chyba ślad żalu. To nowe brzmienie i każe mi na nią spojrzeć zupełnie inaczej.

Kirby to wyczuwa. Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Lubię ją. – Wraca do swojej gazety. – Wejdz. Muszę doczytać, co tam u księcia Williama. W try miga bym się rzuciła na jego królewski tyłeczek.

Nie mogę się nie uśmiechnąć. Otwieram drzwi i wchodzę do sali. Sarah leży w łóżku i wygląda przez okno. Nie widzę żadnych książek, telewizor jest wyłączony. Zastanawiam się, czy przez cały dzień tak leży i gapi się na parking. Kiedy wchodzę, odwraca się do mnie.

– Cześć – mówi i się uśmiecha.

– Cześć – odpowiadam i również się uśmiecham.

Sarah ma dobry uśmiech. Nie jest jeszcze tak czysty, jak powinien być – przeszła zbyt wiele – ale daje nadzieję. Dowodzi, że wewnątrz wciąż jest sobą.

Przysuwam krzesło do łóżka i siadam.

– Co sądzisz o Kirby? – pytam.

– Jest... nietuzinkowa.

Uśmiecham się. Doskonały opis w pigułce.

– Polubiłaś ją?

– Tak, chyba tak. Podoba mi się, że nie boi się niczego i że wybrała sobie taki zawód. No wiesz, taki niebezpieczny. Powiedziała, żebym nie czuła się winna, jeśli zginie.

To wystarczy, żeby uśmiech zniknął z mojej twarzy.

– Tak. Wiesz, Sarah, Kirby ma cię chronić. Będzie też chroniła ludzi mieszkających tam, gdzie jutro trafisz.

Marszczy czoło.

– Nie chcę rodziny zastępczej. Muszę iść do sierocińca. Tam nie zabije nikogo.

To prawda, myślę.

– Wiesz, dlaczego tak się dzieje, Sarah?

– Może. Chyba dlatego, że w sierocińcu na nikim mi nie zależy. I chyba dlatego, że wie, że życie tam jest ciężkie. Sierociniec to jeden wielki syf. Dziewczyny są tam bite, molestowane i... – Macha ręką. – Sama wiesz. Chyba wystarczy mu świadomość, że jestem tam przez niego.

– Rozumiem.

Siedzę przez chwilę i myślę. Próbuję dobrze dobierać słowa, co nie jest łatwe, bo dopiero teraz zdaję sobie sprawę, co sama czuję. Kocham Elaineę. Jest też Bonnie, która mieszka u Alana i Elainy, kiedy ja jestem w pracy. Jakaś bardzo samolubna, wcale nie mała, część mnie chce powiedzieć: „Tak! Zgadzam się! Musisz pójść do sierocińca. Wokół ciebie giną ludzie!”

Ale wtedy rodzi się we mnie wielki upór. Ten sam, który sprawił, że nie wyprowadziłam się z domu, gdzie mnie zgwałcono, gdzie zginęła moja

rodzina.

– Nie możesz poddawać się strachowi – mówię do niej. – Musisz się pogodzić z pomocą od innych. Teraz jest zupełnie inaczej, Sarah. Wiemy, kim on jest. Wierzmy, że istnieje. I robimy co w naszej mocy, żeby ciebie i nas przed nim ochronić. Kobieta i mężczyzna, u których będziesz mieszkać, wiedzą, z czym mamy do czynienia, zresztą oni sami chcą cię wziąć do siebie. Będzie cię też pilnowała Kirby, nie zapominaj o tym.

Oczy ma zachmurzone. Walczy z tym.

– Nie wiem.

– Nie musisz wiedzieć, Sarah – mówię cicho. – Jesteś dzieckiem. Przyszłaś do mnie i poprosiłaś o pomoc. Teraz ci jej udzielam.

Wzdycha ciężko i długo. Znów patrzy mi w oczy, tym razem z wdzięcznością.

– Dobrze. Jesteś pewna, że nic im się nie stanie?

Kręcę głową.

– Nie, nie jestem pewna. Nie można mieć stuprocentowej pewności. Byłam przekonana, że moja rodzina jest bezpieczna, a i tak zginęli. Chodzi nie o to, żeby coś gwarantować. Chodzi o to, żeby robić, co się da, i nie pozwolić, żeby strach zniszczył nam życie. – Wskazuję na drzwi. – Mam piękną i zabójczą panią ochroniarz, która będzie ci wszędzie towarzyszyć. Mam też zespół najlepszych, naprawdę najlepszych, ludzi, którzy polują na Obcego. To wszystko, co mogę ci zapewnić.

– A więc już wiesz? Na pewno wiesz, że on istnieje?

– Tak. Na sto procent.

Poczucie ulgi aż wprawia ją w drżenie. Patrzę na to zaskoczona. Taką reakcję wywołuje raczej brak wiary. Przychodzi mi do głowy, że może jest

w tym i trochę nieufności.

Przykłada rękę do czoła.

– O rany! – Dotyka policzków obiema dłońmi jak ktoś, kto stara się nie rozsypać. – O rany! Przepraszam. Trudno dojść do normy po tak długim czasie.

– Rozumiem.

Odwraca się do mnie.

– Byłaś w moim domu?

– Tak.

– Czy... – Robi nieszczęśliwą minę. – Czy widziałaś, co zrobił?

Zaczyna płakać. Podchodzę i biorę ją w ramiona.

– Czy widziałaś, co zrobił?

– Widziałam – mówię i gładzę ją po włosach.

Claina ugotowała kolację, więc zostaaliśmy z Bonnie, żeby zjeść. Elaina jak zwykle użyła swojej magii i zmieniła jadalnię w krainę radości. Alan i ja wróciliśmy z pracy zachmurzeni, a kiedy pojawił się deser, wybuchaliśmy śmiechem, a ja poczułam się rozluźniona i szczęśliwa.

Alan postanowił po raz ostatni wyzwać Bonnie na pojedynek szachowy. Byłam przekonana, że poniesie porażkę. Elaina i ja zostawiłyśmy ich nad szachownicą i poszłyśmy do kuchni. Powoli i spokojnie spłukiwałyśmy naczynia i wkładałyśmy je do zmywarki.

Elaina naląa nam po kieliszku czerwonego wina. Siadłyśmy przy kuchennej wyspie i przez chwilę milczałyśmy. Słyszałam, jak Alan narzeka, i wyobraziłam sobie uśmiech Bonnie.

– Porozmawiajmy o szkole dla Bonnie – mówi nagle Elaina. – Mam propozycję.

– No... jasne. Mów.

Miesza wino w kieliszku.

– Myślę o tym już od dłuższego czasu. Smoky, Bonnie musi wrócić do szkoły.

– Wiem. – Czuję się nieco przyparta do muru.

– Nie krytykuję cię. Znam okoliczności. Bonnie potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie, wyzalić się, wrócić jako tako do normalności. Ty też. Ale sądzę, że czas już najwyższy na szkołę, a obawiam się, że teraz prawdziwą barierą jest twój strach.

W pierwszej chwili mam ochotę się złościć i zaprzeczać, zaprzeczać,

zaprzeczać. Ale Elaina ma rację. Minęło sześć miesięcy. Byłam już matką wiem, co trzeba robić, a mimo wszystko nie wydobyłam karty szczepień Bonnie, nie znalazłam jej dentysty, nie wysłałam do szkoły. Kiedy odrywam się od codzienności i patrzę na całość, jestem załamana.

Otoczyłam siebie i Bonnie kokonem. Jest przestronny, rozświetlony miłością ale ma pęknięcie: inspiracją do jego stworzenia był strach. Przykładam rękę do czoła.

– Boże. Jak mogłam dopuścić, żeby tyle to trwało?

Elaina kręci głową.

– Nie, nie, nie. Nie ma się o co obwiniać i samobiczować. Dostrzegamy własne błędy, przyznajemy się do nich i zmieniamy się na lepsze. To się nazywa odpowiedzialność i jest znacznie cenniejsze niż samobiczowanie. Odpowiedzialność to działanie, to poprawianie różnych rzeczy. Od obwiniania się można się tylko poczuć gorzej.

Patrzę na moją przyjaciółkę jak zwykle zaskoczona jej zdolnością opisywania słowami rzeczy prostych i prawdziwych.

– W porządku – dukam. – Ale muszę ci się przyznać, Elaino, że się boję. Boże, myśl o tym, że wychodzi sama...

Przerywa mi.

– Myślałam o nauce w domu. I moim zdaniem Bonnie się to podoba.

Patrzę na nią ponownie zdumiona. Oczywiście myślałam o nauce w domu, ale porzuciłam ten pomysł, bo nie miałam go jak zrealizować. Ale Elaina jako nauczycielka... Dociera do mnie, że to idealne rozwiązanie. W ten sposób rozwiązuje się... wszystko. Zarówno pytania, jak i milczenie Bonnie.

Nie zapominaj o strachu i niedbalstwie, Smoky.

– Naprawdę? Chciałabyś to robić?

Uśmiecha się.

– Nie. Zrobię to z rozkoszą. Sprawdzalam wszystko w Internecie, to wcale nie takie trudne. – Wzrusza ramionami. – Kocham ją tak jak ciebie, Smoky. Obie należycie do rodziny. Alan i ja nie możemy mieć własnych dzieci i trudno. Oznacza to tylko tyle, że muszę znaleźć inne sposoby, żeby w moim życiu znalazły się dzieci. To jeden z tych sposobów.

– A Sarah? – pytam.

Kiwa głową.

– I Sarah. W tym jestem dobra, Smoky. W zajmowaniu się dziećmi, skrzywdzonymi ludźmi. Więc chcę to robić. Tak jak ty z podobnych powodów chcesz gonić zabójców: bo musisz. Bo jesteś w tym dobra.

Zamyślam się nad echem własnych wcześniejszych myśli, które słyszę w jej słowach, i uśmiecham się do niej.

– Uważam, że to świetny pomysł.

– No to fajnie. – Patrzy na mnie ciepło. – Naciskam na ciebie, bo cię znam. Dopóki nie będziesz uciekała przed prawdą nie zawiedziesz Bonnie. To nie w twoim stylu.

– Dziękuję ci.

Nic więcej nie mogę wykrztusić, ale po jej uśmiechu widzę, że rozumie, co chciałam jej powiedzieć.

Czy w tym nie ma fałszu? Jeśli pojedziesz do Quantico, jeśli nie zdołają dać ci „szczęścia”, którego potrzebujesz (ależ to samolubne i niewdzięczne, prawda?), to zabierzesz dziecko Elainie. Elainie, która nigdy nie była mamą choć i ty, i ja wiemy, że chciała tego bardziej niż ktokolwiek z naszych znajomych, łącznie z nami wszystkimi.

Mimo wszystko, myślę i na razie głos milknie.

Popijamy wino i uśmiechamy się, słysząc, jak Alan narzeka, że przegrał w szachy z małą dziewczynką.

Jest wpół do dziesiątej, kiedy wracamy do domu. Wspólnie przekopujemy kuchnię w poszukiwaniu czegoś do pochrupania. Bonnie daje mi do zrozumienia, że chce pooglądać telewizję, i mówi jasno, że rozumie, że zgadza się, bym czytała dalej pamiętnik Sarah.

Znajduję słoik oliwek, a Bonnie paczkę cheetos. Idziemy do salonu i zwijamy się na naszych dobrze wygniecionych miejscach na kanapie. Ja otwieram słoik i gryzę oliwkę, czując jej słony smak w ustach.

– Czy Elaina z tobą rozmawiała? – pytam, żując oliwkę. – O nauce w domu?

Kiwa głową. *Tak.*

– *I co o tym sądzisz?*

Uśmiecha się i kiwa głową.

Moim zdaniem to w porządku, mówi.

Uśmiecham się.

– Super. Mówiła ci też o Sarah?

Kolejne kiwnięcie, tym razem bardziej pochmurne, pełne namysłu. Rozumiem.

– Tak – odpowiadam, sama kiwając głową. – Jest w kiepskim stanie. Co ty na to?

Macha ręką lekceważąco.

Ten gest mówi: *To żaden problem, nawet nie warto pytać.*

Ten gest mówi: *Nie jestem samolubna.*

– Dobrze – mówię i uśmiecham się, mając nadzieję, że widać w tym uśmiechu moją miłość.

Dzwoni komórka. Sprawdzam numer dzwoniącego i odbieram rozmowę.

– Cześć, James.

– Przekazałem pytania do bazy VICAP. Jeszcze nic nie dostaliśmy, ale może rano coś będzie. Program w komputerze Michaela Kingsleya wciąż opiera się wszelkim próbom odblokowania. Idę do domu jeszcze raz przeczytać pamiętnik.

Streszczam mu przebieg wydarzeń dnia. Kiedy kończę, milczy. Myśli.

– Masz rację – mówi w końcu. – To wszystko jakoś się łączy. Musimy poszukać informacji na temat dziadka, na temat tej sprawy z lat siedemdziesiątych, na temat Nicholsona.

– Co ty nie powiesz!

Patrzę na moje wierne notatki i czytam jeszcze raz, co napisałam. Chwytam kartkę z tytułem SPRAWCA ALIAS OBCY.

METODOLOGIA

Dodaję:

Nadal kontaktuje się z nami. Porozumiewa się za pomocą zagadek. Dlaczego? Dlaczego nie powie po prostu tego, co chce powiedzieć?

Zastanawiam się nad tym.

Bo nie chce, żebyśmy zrozumieli od razu? Chce kupić czas?

Zaatakował Cathy Jones, ale zostawił ją przy życiu, żeby mogła przekazać wiadomość.

Wziął jako zakładniczkę córkę Davida Nicholsona z dwóch powodów: żeby Nicholson mógł sterować śledztwem w sprawie Langstromów i żeby mógł przekazać kolejną wiadomość. To ryzykowne.

Wiadomość od Jones – jej odznaka i słowa: „Symbole to tylko symbole”.

Wiadomość od Nicholsona – „Liczy się człowiek stojący za symbolem, a nie sam symbol”, a potem samobójstwo.

Dlaczego Nicholson musiał umrzeć? Odpowiedź: bo jego związek z tą sprawą sięga głębiej niż śledztwo w sprawie Langstromów. Zemsta.

Czytam jeszcze raz to, co napisałam.

Po prostu wprawiam w ruch moje trybiki.

Odkładam kartki na bok. Nie pomogą mi już dzisiaj. Biorę strony pamiętnika i siadam wygodnie...

Kiedy zaczynam czytać, przychodzi mi do głowy, że zaczynam rozumieć, jak opowieść Sarah pasuje do szerszej perspektywy. I nie chodzi o Obcego, ale o nią.

Opowiada nam, co jej się przydarzyło. To mikrokosmos, sposób rozumienia historii tych wszystkich, którzy zostali skrzywdzeni i

zrujnowani przez działania Obcego. Jeśli zrozumiemy jej ból – tak wynika z tej opowieści – to zrozumiemy młodą Rosjankę, Cathy Jones, Nicholsonów.

Jeśli będziemy nad nią płakać, zapłaczemy nad nimi. I będziemy pamiętać.

Odwracam kartkę i czytam dalej.

Opowieść Sarah

część IV

Niektórzy ludzie są po prostu dobrzy. Wiesz, o co mi chodzi? Może nie mają szczególnej czy ekscytującej pracy. Może nie są najpiękniejsi czy najprzystojniejsi, ale są po prostu... dobrzy.

Desiree i Ned tacy właśnie byli.

Dobrzy.

– Przestań, Dyńka – krzyknęła Sarah.

Pies próbował wepchnąć głowę między jej kolana i stół, licząc, że spadną mu jakieś okruchy albo (alleluja!) całe kawałki jedzenia. Sarah odsunęła gigantyczny łeb psa na bok.

– Moim zdaniem nie posłucha. Ten pies uwielbia tort, nie pytaj mnie dlaczego – powiedział Ned. – Przestań, Dyńka.

Pit bull odszedł niechętnie, co chwila zerkając na stół z tortem, i łapa za łapą powlókł się na podwórko, jak mu kazano. Ned wrócił i zaczął wkładać kolejne świece w tort.

Sarah pokochała Neda, tak jak mówiła jej Desiree. Był wysoki, szczupły i raczej cichy, ale oczy miał roześmiane. Zawsze ubierał się tak samo: w zapinaną flanelową koszulę, niebieskie dżinsy i buty traperki. Włosy nosił nieco dłuższe, niż nakazywała moda. Miał skłonność do roztargnienia i bałaganiarstwa, za które nie można go było nie kochać. Dostrzegało się w nim pewną beztroskę, jeśli chodzi o dbałość o wygląd zewnętrzny. Sarah widziała, jak gniewa się i na nią, i na Desiree, ale nigdy nie czuła się zagrożona. Wiedziała, że Ned prędzej odciąłby sobie rękę, niż

uderzył którąkolwiek z nich.

– Dziewięć świeczek, kurczę blade – powiedział, udając zadumę. – Chyba musisz już sprawdzać, czy nie siwiejesz.

Sarah się uśmiechnęła.

– Ale z ciebie zgrywus, Ned.

– Podobno.

Kiedy Desiree pojawiła się w drzwiach wejściowych, ostatnia świeczka znalazła się na torcie. Sarah zauważyła, że Desiree jest zarumieniona i podniecona.

Naprawdę się z czegoś cieszy.

Desiree przyniosła zawinięty w papier prezent, coś dużego i prostokątnego. Wpadła do kuchni i oparła prezent o ścianę.

– To jest to? – zapytał Ned, wskazując głową paczkę.

Desiree uśmiechnęła się i wyjaśniała.

– Tak... Nie byłam pewna, czy uda mi się to zdobyć. Nie mogę się doczekać, kiedy to otworzysz, Sarah.

Mała była zaciekawiona w doskonały urodzinowy sposób.

– Tort gotowy? – zapytała Desiree.

– Właśnie wetknąłem ostatnią świeczkę.

– Obmyję tylko twarz, trochę ochłonę i możemy zaczynać urodziny!

Sarah uśmiechnęła się, skinęła głową i patrzyła, jak Desiree wychodzi, ciągnąc Neda za sobą.

Zamknęła oczy. To był dobry rok. Ned i Desiree byli wspaniali. Od początku ją uwielbiali, a po miesiącu czy dwóch tego stałego uczucia Sarah porzuciła resztki nieufności i też ich zaczęła uwielbiać. Ned często wyjeżdżał, tak jak mówiła jej Desiree, ale nadrabiał to, kiedy wracał do

domu. Zawsze był miły, zawsze troskliwy. Sama Desiree... cóż, gdzieś głęboko w sercu, w najpilniej strzeżonym jego miejscu, Sarah zaczęła sobie uświadamiać, że kocha swoją przybraną matkę.

Otworzyła oczy, spojrzała na tort, na prezenty na stole i ten pod ścianą.

Mogłabym być tu szczęśliwa. Jestem tu szczęśliwa.

Nie wszystko było idealne. Sarah wciąż miewała koszmary. Budziła się niekiedy rano przytłoczona smutkiem, który pojawiał się znienacka. I choć lubiła szkołę, odrzucała propozycje przyjaźni. Nie odmawiała wprost, ale po prostu z nich nie korzystała. Nie była jeszcze gotowa.

Wiedźma Watson początkowo pojawiała się często, ale w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy była tylko dwa razy, co doskonale odpowiadało Sarah. Kilka razy wpadła Cathy Jones i chyba szczerze się cieszyła, że Sarah ma się tak dobrze.

Sarah już dawno nauczyła się znajdować pocieszenie w ramionach Desiree. Nie podzieliła się z nią tylko jednym – swoją opowieścią o Obcym. Uważała, że Desiree jej nie uwierzy. Czasami sama nie była pewna, czy w to wierzy. Może Cathy miała rację. Może wszystko jej się pomieszało w głowie.

Przestała o tym myśleć. Dziś były jej urodziny i zamierzała się cieszyć.

Wrócili Ned i Desiree.

– Gotowa do gaszenia świeczek? – zapytała Desiree.

Sarah się uśmiechnęła.

– Tak!

Ned wziął zapalniczkę i zapalił każdą świeczkę. Odśpiewali głośno *Happy Birthday*, nieco fałszując.

– Pomyśl sobie życzenie i dmuchnij, skarbie! – krzyknęła Desiree.

Dziewczynka zamknęła oczy.

Chcę... zostać tu na dobre.

Nabrała powietrza, otworzyła oczy i zdmuchnęła wszystkie płomyki.

Ned i Desiree klaskali.

– Ależ masz płuca, dziewczyno – żartował Ned.

– No, to co najpierw? Tort czy otwieranie prezentów?

Sarah wyczuła, że Desiree aż pęka z chęci pokazania jej tajemniczego prezentu.

– Najpierw prezenty.

Desiree chwyciła stojący pod ścianą pakunek i podała go Sarah.

Sarah zważyła go w rękach. Duży, ale lekki. Może obraz albo zdjęcie? Zaczęła rozdzierać papier. Kiedy zobaczyła górną część ramy, serce zabiło jej mocniej.

Czy to...?

Rozerwała resztę papieru najszybciej, jak mogła. Zobaczyła, co jest w środku, i zabrakło jej tchu. Aż ją zaboląło w piersiach.

Przed sobą miała obraz, który namalowała dla niej matka. Dziecko w lesie, twarz w chmurach. Sarah spojrzała na Desiree, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– Kiedy mi opowiadałaś o tym obrazie, skarbie, domyśliłam się, że bardzo go lubiłaś. I wiesz co? Okazało się, że Cathy Jones spakowała trochę rzeczy z twojej sypialni po tym... kiedy policja już ze wszystkim skończyła. Kilka zdjęć, zabawek i innych rzeczy. Trzymała je w przechowalni, żeby nie zginęły. To ten obraz, tak?

Sarah skinęła, wciąż oniemiała. Serce waliło jej mocno w piersi. Oczy ją piekły.

– O mój Boże – wykrztusiła w końcu. – Dziękuję, dziękuję, bardzo ci dziękuję. Ja... – Popatrzyła na Desiree, która się uśmiechnęła, i na Neda, któremu zwilgotniały oczy. – Nie wiem, co powiedzieć.

Desiree dotknęła włosów Sarah, odsunęła loczek za ucho.

– Nie ma za co, skarbie. – Promieniała.

Ned odchrząknął i podał jej kopertę.

– To druga część prezentu, Sarah. To... coś w rodzaju kuponu na prezent.

Sarah otarła łzy z policzków i wzięła kopertę. Wciąż była przejęta, trochę kręciło jej się w głowie i drżały ręce, kiedy otwierała kopertę. W środku była zwykła biała kartka urodzinowa z napisem „Sto lat”. Otworzyła kartkę i przeczytała napis w środku: „Kupon na adopcję dla Sarah”.

Sarah ze zdumienia otworzyła szeroko usta. Podniosła błyskawicznie głowę i zobaczyła, że choć Desiree i Ned nadal się uśmiechali, to wyglądali na zdenerwowanych. Niemal przerażonych.

– Nie musisz tego przyjąć, jeśli nie chcesz – powiedział cicho Ned. – Ale jeśli chcesz, to Desiree i ja chcielibyśmy cię adoptować na zawsze.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie mogę mówić?

Czuła, jakby niosła ją wielka morska fala. Była jak łódka na samym grzbiecie fali, która pędzi w otchłań, by znów wznieść się na szczyt.

Co jest nie tak?

Nagle dotarło to do niej z ogromną wyrazistością. To była ta część świadomości, którą pogrzebała, ukryła, zamknęła w sejfie. Miejsce pełne *Nicości* i *Psich głów*. Zamarznięty ból odtajał w jednej chwili. Zmiotł wewnętrzne bariery i przetoczył się przez nią, grmiąc i raniąc ją

cierniami.

Nie mogła mówić, ale udało jej się skinąć głową, a potem zaczęła zanosić się płaczem. Był to okropny szloch bez słów. Nedowi zaszkliły się oczy, a Desiree otworzyła ramiona. Sarah popędziła w nie i wypłakała w nich trzy lata łez.

Sarah i Desiree odpoczywały na kanapie, a Ned mamrotał coś w gabinecie, załatwiając rachunki. Tort został już zjedzony. Nawet Dyńka liznął kawałek kremu, który przemyciła dla niego Sarah. Teraz leżał zwinięty na podłodze i przebierał łapami, śniąc jakiś psi sen.

– Tak się cieszę, że chcesz z nami zostać, Sarah – powiedziała Desiree.

Sarah spojrzała na przybraną matkę. Desiree wyglądała na szczęśliwą. Najszczęśliwszą, od kiedy Sarah ją poznała. To ją przepełniło radością.

Oni chcieli Sarah, Nie, o wiele więcej – oni jej potrzebowali. Ned i Desiree potrzebowali jej, żeby ich życie było pełne.

Ten fakt wypełnił w niej pustkę, która wydawała się bezdenna. Jaskinię w duszy pełną mroku i bólu.

– To było moje życzenie – wyznała Sarah.

– Słucham?

– Moje życzenie urodzinowe. Pomyślałam je, zanim zdmuchnęłam świeczki na torcie.

Desiree uniosła brwi ze zdumienia.

– O kurczę. Niesamowite, co?

Sarah się uśmiechnęła.

– To chyba magia.

– Magia – przytaknęła Desiree. – Podoba mi się to.

– Desiree? – Sarah patrzyła na podłogę, dusząc coś w sobie.

– O co chodzi, skarbie?

– Czy... czy to nie dziwne, że teraz tęsknię za mamą i tatą? No przecież

jestem szczęśliwa. Więc czemu mi smutno?

Desiree westchnęła i dotknęła policzka Sarah.

– Och, skarbie. Myśle... – Przerwała i zamyśliła się. – Myślę, że to dlatego, że nie jesteśmy nimi. To znaczy, kochamy cię, wypełniłaś nasze życie, znów jesteśmy rodziną, ale nie zastąpimy ci prawdziwej mamy i taty. Jesteśmy kimś nowym w twoim sercu, nie zamiast nich. Czy to, co mówię, ma sens?

– Chyba tak. – Rzuciła Desiree badawcze spojrzenie. – Więc tobie też jest smutno? Z powodu twojego dziecka.

– Troszkę. Ale bardziej czuję się szczęśliwa.

Sarah zamyśliła się nad tym.

– Ja też bardziej czuję się szczęśliwa.

Przesunęła się, żeby nowa matka mogła ją przytulić. Włączyły telewizor, zaraz potem wrócił Ned i wszyscy śmiali się, choć programy wcale nie były zabawne. Sarah rozpoznała wygodny, spokojny rytm.

To mój dom.

– Tutaj? – zapytał Ned.

Sarah kiwnęła głową.

– Dokładnie tam.

Ned wbił gwóźdź w ścianę i powiesił obraz. Odsunął się od ściany i spojrzał krytycznie.

– Chyba prosto.

Obraz wisiał naprzeciw jej łóżka, zupełnie tak jak w starej sypialni. Sarah nie mogła od niego oderwać oczu.

– Twoja matka miała talent, Sarah. Obraz jest naprawdę piękny.

– Kiedyś co roku coś dla mnie malowała na urodziny. Ten lubiłam najbardziej. – Odwróciła się do Neda. – Dziękuję, że pomogliście mi go odzyskać.

Ned uśmiechnął się i spuścił wzrok. Krępował się, kiedy go chwalono. Sarah widziała, że jest szczęśliwy.

– Nie ma za co. Tak naprawdę powinnaś podziękować Cathy. – Zmarszczył brwi i odkaszlnął. – I... my też dziękujemy. No wiesz, że zgodziłaś się, byśmy cię adoptowali. – Spojrzał jej w oczy. – Chcę, abyś wiedziała, że oboje tego pragnęliśmy. Dla mnie to tak samo ważne jak dla Desiree.

Sarah przyglądała się zrzędlivemu kierowcy o dobrym sercu. Wiedziała, że zawsze będzie niezdarnie wyrażał miłość, ale wiedziała też, że będzie mogła być jej zawsze pewna.

– Cieszę się – powiedziała. – Bo czuję to samo. Kocham Desiree, Ned, ale ciebie też kocham.

Na te słowa w jego szarych oczach błysnęła jakaś iskierka. Wyglądał zarazem na zranionego, jak i uradowanego.

– Tęsknisz za dzieckiem bardziej niż Desiree, prawda?

Ned spojrzał na nią. Zamrugał i odwrócił wzrok. Popatrzył na obraz. Odezwał się, nie przestając nań spoglądać:

– Kiedy zmarła Diana, prawie skończyło się moje życie. Nie mogłem się ruszać. Nie byłem w stanie myśleć. Nie mogłem pracować. Miałem wrażenie, że zawalił się świat. – Zmarszczył brwi. – Mój ojciec był pijakiem i przysiągłem sobie, że nigdy nie tknę alkoholu. Ale po miesiącu walki z bólem poszedłem i kupiłem butelkę szkockiej. – Spojrzał na Sarah i uśmiechnął się delikatnie, jak to on potrafił. – Wtedy uratowała mnie

Desiree. Chwyciła butelkę i rozbiła ją w zlewie, a potem odepchnęła mnie i krzyczała, aż się przełamiałem i zrobiłem to, co powinienem był zrobić dużo wcześniej.

– Doprowadziła cię do płaczu – domyśliła się Sarah.

– Właśnie. Rozpłakałem się. Płakałem i płakałem, a potem płakałem jeszcze więcej. I następnego dnia rano znów zacząłem żyć. – Rozłożył rękę. – Desiree kochała mnie na tyle, żeby mnie uratować, choć sama też czuła ból. Więc odpowiedź na twoje pytanie brzmi, nie. Desiree tęskni za Dianą bardziej niż ja, nie mniej. Potrafi kochać bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. – Znów wyglądał na zakłopotanego i nie wiedział, co powiedzieć. – Wiesz... chyba czas do łóżka.

– Ned?

– Tak, skarbie?

– Kochasz mnie?

Pytanie zawisło w powietrzu. Ned uśmiechnął się pięknym, jasnym uśmiechem, który zagłuszył jego niezręczność.

Tak uśmiechała się mamusia, zachwyciła się Sarah. Słońce na płatkach róż.

Podszedł do Sarah i uściskał ją z całej siły. Była w tym uścisku siła, delikatność i potężna ojcowska obietnica obrony.

– Pewnie, że tak.

Te czułości przerwało im gromkie „hau”. Sarah spojrzała i wybuchnęła śmiechem. Przydreptał do nich Dyńka i patrzył, co robią.

– Tak, czas do łóżka, psia główko – powiedziała.

Ned udawał, że krzywi się na psa.

– Aha, zjawił się zdrajca – rzucił.

Dyńka kiedyś spał w pokoju Neda i Desiree. Ale już pierwszej nocy przyszedł do łóżka Sarah.

Sarah pomogła psu wgramolić się na łóżko. Weszła pod kołdrę. Ned spojrzął na nią.

– Zawołać Desiree, żeby cię ułożyła do snu? – zapytał.

– Nie, nie trzeba. Sam możesz to zrobić.

Sarah wiedziała, że te słowa spodobają się Nedowi. Podobało jej się ich znaczenie. Kochała go, a on kochał ją. Miło będzie, kiedy to on ułoży ją do snu. W domu to zwykle tatuś mówił jej dobranoc. Brakowało jej tego rytuału.

– Zostawić uchylone drzwi? – zapytał.

– Tak, proszę.

– Dobranoc, Sarah.

– Dobranoc, Ned.

Spojrzął jeszcze ostatni raz na obraz, który dla niej powiesił, i pokręcił głową.

– Naprawdę niesamowite.

Sarah śniła o ojcu. We śnie nie było żadnych słów, tylko on, ona i uśmiechy. Zwykle szczęście. Powietrze drżało, wypełniał ją czysty dźwięk wydobyty z ręcznie robionych skrzypiec.

Melodia była nieprawdopodobnie czysta, idealnie wyrażała wszystko, co kryło się w sercu, i można ją było usłyszeć jedynie we śnie. Sarah nie wiedziała, kto grał, i nie obchodziło jej to. Patrzyła ojcu w oczy i uśmiechała się, a on patrzył na nią i też się uśmiechał. Dźwięk skrzypiec przerodził się w wiatr, słońce i deszcz.

Muzyka ucichła, kiedy ojciec się odezwał. Nie można było mówić i słuchać jednocześnie.

– Słyszałaś to? – zapytał.

– Co, tatusiu?

– Coś jakby... warczenie.

Sarah zmarszczyła brwi.

– Warczenie? – Przekrzywiła głowę i wyteńczyła słuch.

Rzeczywiście, teraz usłyszała niskie dudnienie, niczym warkot sportowego samochodu stojącego na czerwonym świetle.

– Jak myślisz, co to jest?

Ale tata zniknął, a wraz z nim wiatr, słońce i deszcz. Zniknęły też uśmiechy. Zostały tylko ciemne chmury i grzmot. Spojrzała we śnie w niebo i chmury zawarczały, tym razem głośniejsze, tak głośno, że zadrżały jej kości i...

Sarah obudziła się obok Dyńki, który patrzył na drzwi jej sypialni i warczał. Sarah pogłaskała psa po głowie.

– Co się dzieje, Dyńka?

Pies nadstawił uszu na dźwięk jej głosu, ale nie odrywał wzroku od drzwi. Warczenie stawało się coraz głośniejsze, za chwilę miało się przerodzić w ujadanie.

To, co Sarah usłyszała potem, sprawiło, że przeszył ją kosmiczny mróz, zimno, które zmroziło wszystko w jednej chwili, wysało z jej wnętrza całe ciepło i zmieniło ją w lodowiec.

– Nigdy nie widziałem, żeby dzikusce tak było siebie żal... – odezwał się głos.

Drzwi do pokoju otworzyły się szeroko.

A Dyńka zaczął ujadać.

– Wszystkiego najlepszego, Sarah.

Zmusiłam się do opowiedzenia wszystkiego o mamie i tacie. Zastężyli na to. W końcu wtedy wszystko się zaczęło.

Nie mogę tego zrobić w przypadku Desiree i Neda. Nie mogę. Nawet w trzeciej osobie. Myślę, że wystarczy, byś wiedziała, kim byli, jak mili, ile dobroci mieli w sobie.

Zabił ich, tyle musi ci wystarczyć. Zastrzelił Neda i pobił Desiree na śmierć na moich oczach, a zrobił to, bo ich pokochałam, a oni pokochali mnie. Bo mój ból to jego sprawiedliwość, cokolwiek to znaczy.

Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, jak to wyglądało, co czułam, to zrób coś takiego: pomyśl sobie o czymś okropnym, najokropniejszej rzeczy, jaka ci przyjdzie do głowy, na przykład o przypiekaniu dziecka żywym ogniem, a potem zacznij się z tego śmiać. Następnie uświadom sobie, z czego się śmiejesz i co to znaczy, a wtedy będziesz miała nieco pojęcia, jak się wtedy czułam.

Zrobił to, żeby otworzyć we mnie wielki mrok, zabić nadzieję i pokazać mi, jak niebezpieczne jest dla mnie kochanie kogoś. I zadziałało. Przez minutę, kiedy byłam z Desiree i Nedom, pomyślałam, że mogę stać się częścią rodziny. Nigdy później tego już nie poczułam.

Ale Boże... jak Desiree z nim walczyła. Walczyła o mnie, o całe dobro, jakie jej dałam.

Boże...

Naprawdę muszę przestać wzywać Jego imię. To znaczy, wiesz, o tym akurat przekonałam się tamtej nocy na pewno.

Nie ma Boga.

Obcy zabił ich, a ja patrzyłam i umierałam z nimi, ale tak naprawdę nie umarłam, przeżyłam i żałowałam, że nie umarłam, ale życie trwało i zrobiłam to, co zostało mi do zrobienia.

Zadzwońłam do Cathy Jones.

Zadzwońłam i przyjechała. Tylko ona zawsze przyjeżdżała. Tamtej nocy uwierzyła mi. Tylko ona mi wierzyła.

A właśnie, kocham Cathy. Zawsze będę ją kochać. Zrobiła tyle, ile mogła.

Przynosisz pecha, księżniczko – powiedziała Karen Watson, kiedy odjeżdżały spod domu Neda i Desiree. – Niektórzy ludzie po prostu nie mają szczęścia. A twój pech udziela się innym. Sarah warknęła:

– Może kiedyś naprawdę mi się poszczęści i mój pech udzieli się pani, pani Watson.

Karen zerknęła na Sarah. Zmrużyła oczy.

– Pyskuj tak dalej, a długo nie znajdę ci żadnej rodziny zastępczej. Sarah odwróciła się do bocznego okna.

– Mam to gdzieś.

– Tak? Dobrze. Możesz zostać w sierocińcu, aż skończysz osiemnaście lat.

– Mówiłam, że mam to gdzieś.

Sarah wpatrywała się w przesuwany się krajobraz. Karen poczuła się odepchnięta. To ją ubodło.

Co ten dzieciak sobie myśli, do cholery? Nie rozumie, jakim jest ciężarem?

A chrzanić to. Zaraz pozbędzie się Sarah.

– W takim razie, jeśli o mnie chodzi, możesz tam gnić.

Sarah nie odpowiedziała. Karen Watson załazła jej za skórę jak zwykle, ale tylko na chwilę. Zaraz bowiem wróciło otepienie i przydusiło ją tysiackilogramowym ciężarem.

Sarah zabrano na izbę przyjęć i przebadano. Stwierdzono niewielkie wstrząśnienie mózgu (cokolwiek to znaczyło), a więc nie mogła iść spać.

Poza tym miała kilka siniaków i zadrapań, ale żadnych poważniejszych obrażeń. Przynajmniej nie na zewnątrz.

Ned, Desiree, Dyńka. Mamusia, tatuś, Buster.

Twoja miłość to śmierć.

Zaczęła wierzyć, że to prawda. Wszyscy, których kiedykolwiek pokochała, odchodzili na zawsze.

Ukłucie niepewności.

Poza Cathy. I Theresą. I może Doreen, jeśli wciąż żyje.

Sarah westchnęła.

Theresa siedziała w poprawczaku. Na razie to chyba Obcemu wystarczało. Będzie mogła zdecydować, co począć z przybraną siostrą, kiedy ta wyjdzie na wolność. Co do Cathy... jest policjantką, więc powinna umieć zadbać o własne bezpieczeństwo, prawda? Prawda?

Tym będzie się martwić później. Na razie musiała skupić się na innych sprawach.

Podczas ostatniego pobytu Sarah nauczyła się wiele o życiu w sierocińcu. Nie miała zamiaru zaczynać znowu od samego dołu łańcucha pokarmowego.

Janet, nadal chuda, wciąż zarządzała sierocińcem. Nie dostrzegła niebezpieczeństw tego miejsca. Była najgorszym rodzajem dobroczyńcy: takim, który nie potrafi rozpoznać zła. Powitała Sarah pełnym współczucia skinieniem.

– Cześć, Sarah.

– Cześć.

– Słyszałam, co się stało. Bardzo cierpisz?

Odpowiedź brzmiała „tak”, ale Sarah zaprzeczyła.

– Nic mi nie jest. Chciałabym tylko trochę odpocząć.

Janet kiwnęła głową.

– Ale nie możesz spać. Wiesz o tym?

– Tak.

– Pomóc ci zanieść torbę?

– Nie, dzięki.

Janet poprowadziła ją znajomymi korytarzami. Nic się nie zmieniło w ciągu tego roku.

Pewnie nic się tu nie zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Proszę bardzo. Załedwie dwa pokoje dalej od twojej starej sali.

– Dzięki, Janet.

– Nie ma za co. – Chuda kobieta się odwróciła.

– Janet? Czy Kirsten wciąż tu jest?

Janet zatrzymała się i obejrzała na Sarah.

– Kirsten została zabita przez inną dziewczynkę trzy miesiące temu.

Wdały się w bójkę i sprawy wymknęły się spod kontroli.

Sarah patrzyła na Janet i przełknęła ślinę.

– Aha – wykrztusiła.

– No nic.

Chuda kobieta wyglądała na zaniepokojoną.

– Na pewno wszystko dobrze?

Sarah miała na głowie żelazny stukilogramowy ciężar. Otepienie.

Trzymaj się go mocno. – Nic mi nie jest.

Sarah rozpakowała swoje rzeczy. Położyła się na łóżku i czekała.

Przyjechała późnym popołudniem. Sypialnie były przeważnie puste aż do wczesnego wieczoru. Wiedziała, że wtedy będzie musiała wykonać ruch.

Wciąż bolała ją głowa, ale przynajmniej nie miała już mdłości. Sarah nie znosiła rzygać.

Nikt tego nie lubi, kretynko.

Ktoś, kto żyłby bardziej normalnie, mógłby się zaniepokoić, gdyby tyle do siebie mówił. Sarah nigdy nie przyszło to do głowy. Kiedy ktoś jest tak samotny jak ona, musi mówić do siebie, żeby nie zwariować, a nie dlatego że zwariował.

Otoczyło ją otępienie, przesiąknęła nim, wniknęło do jej DNA. Sarah czuła, że przekroczyła próg cierpienia. Smutek, żal – te emocje trzeba było stłumić. Za bardzo się rozrosły, by mogły swobodnie hulać. Jeśli wypuści je z klatek, to w końcu ją pożrą.

Inne emocje były dozwolone. Na przykład gniew. Na przykład wściekłość. Czuła, jak w niej narastały. W jej duszy została wykopana studnia, która wypełniała się mrocznymi, gwałtownymi istotami. Przy tej studni przysiadł pies bestia i nie przestawał warczeć. Zastanawiała się, jak długo może go utrzymać na smyczy i czy w ogóle jest w stanie.

Wraz z tym wszystkim pojawił się tektoniczny wstrząs jej pragmatyzmu. Bogiem stało się przeżycie. Wszystko inne było iluzją.

Zmieniam się. Tak jak chciał.

Jak?

Myślę, że mogłabym teraz kogoś zabić, gdybym musiała. Nie byłabym w stanie tego zrobić, kiedy miałam sześć lat.

Wszystkiego najlepszego.

Okręciła na palcach kosmyk włosów i uśmiechnęła się pustym

uśmiechem.

Złamałam palec jakiejś dziewczynie i zajęłam jej łóżko. I tyle. Wystarczyło, żebym została szefową sali, królową wszystkiego, co obejmowałam wzrokiem.

Hej, nie rób takiej miny.

Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, ale zrobiłam to, co musiałam.

Poza tym jestem dziś bardziej jak „ja” w wieku dziewięciu lat niż jak „ja „ w wieku lat sześciu. Moje „ja „ w wieku sześciu lat już dawno zniknęło i zostało głęboko pogrzebane.

Kiedy wspominam i piszę, to mam wrażenie, że Cathy staje się moim lustrem. Sposobem, by spojrzeć na to, co przeszłam, oczyma kogoś innego.

Zastanawiam się, czy tak właśnie myślała? A może wkładam jej w usta moje własne słowa? Może jedno i drugie? Może Cathy była sobą, ale na tych stronach jest także mną teraz wspominającą mnie dawniej.

Rany, ale to ciężkie...

Cathy niepokoiła się tym, co działo się z Sarah. Ale czy było czemu się dziwić?

Sarah obchodziła jedenaste urodziny. Cathy przyjechała z prostym prezentem – minitorcikiem z jedną świeczką. Sarah uśmiechnęła się, ale Cathy wiedziała, że to tylko przez grzeczność.

Najbardziej martwiły Cathy oczy Sarah. Nie były już tak otwarte i wyraziste jak kiedyś. Teraz pojawiło się w nich pełno murów, pustych miejsc i czujności. Oczy pokerzysty albo więźnia.

Cathy widziała już takie oczy, widziała je u hardych ulicznych dziwek i zawodowych przestępców. Można w nich było wyczytać: „Wiem, jak działa ten świat” „Obserwuję cię” i „Nawet nie próbuj zabierać mi czegokolwiek”.

Cathy dostrzegła też inne zmiany, jakie dokonały się w ciągu ostatnich dwóch lat. Wiedziała, że Sarah jest „szefową” sali i mogła się tylko domyślać, jak osiągnęła tę pozycję. Inne dziewczęta czuły respekt przed Sarah. Ona traktowała je lekceważąco. To była mentalność więzienna,

rządy siły i przemocy. Sarah najwyraźniej doskonale to wszystko opanowała.

Dlaczego się dziwisz? Przecież tutaj silny może więcej.

Cathy była rozgoryczona, że nie umiała dać jej nadziei. Nie potrafiła przekonać nikogo innego, by też uwierzył w opowieść Sarah o Obcym. Prawdę mówiąc, leżąc nocą w łóżku, sama nie była pewna, czy do końca w to wierzy. Próbowwała i poniosła porażkę. I choć Sarah mówiła, że nic się nie stało, Cathy wiedziała, że to bezczelne kłamstwo. To było ważne.

Cathy robiła, co mogła. Zdobyła kopie akt śledztw w sprawie śmierci rodziców Sarah i morderstw Neda oraz Desiree. Po pracy spędzała nad nimi całe godziny, szukając tropów i niespójności. Kilka nawet znalazła. Przynajmniej w ten sposób coś ją ciągle łączyło z Sarah. Kiedy rozmawiały o śledztwach, w tych hardych oczach pojawiała się życie. Dla Sarah ważne było, że Cathy jej wierzy. Bardzo ważne.

Ale przegrywamy, prawda, Sarah? Ten dom i twoje życie cię zabijają. Na moich oczach.

– Mam wieści o Theresie – powiedziała Cathy.

Iskierka zainteresowania.

– Jakie?

– Za trzy tygodnie wychodzi warunkowo. Sarah odwróciła wzrok.

– To miło – wykrztusiła ledwie słyszalnym głosem.

– Chce się z tobą spotkać.

– Nie! – warknęła to tak gwałtownie, że aż zaskoczyła policjantkę.

Cathy czekała i zagryzała wargę.

– Mogę zapytać dlaczego?

Zniknęła pustka, twardość i oddalenie. Zastąpiła je czysta desperacja,

od której Cathy poczuła ból w sercu.

– Z jego powodu – szepnęła Sarah gorączkowo. – Z powodu Obcego. Jeśli się dowie, że ją kocham, to ją zabije.

– Sarah, ja...

Sarah sięgnęła przez stół i chwyciła Cathy za rękę.

– Obiecuj mi, Cathy. Obiecuj mi, że nie pozwolisz jej tu przyjść.

Policjantka popatrzyła dłuższą chwilę na jedenastolatkę i skinęła głową.

– Dobrze, Sarah – rzuciła cicho. – Dobrze. Co mam jej powiedzieć?

– Powiedz, że nie chcę jej widzieć, póki tu jestem. Zrozumie.

– Na pewno?

Sarah uśmiechnęła się zmęczonym uśmiechem.

– Na pewno. – Przygryzła dolną wargę. – Ale powiedz jej... że to nie potrwa długo. Kiedy się stąd wydostanę, znajdę sposób, żeby się z nią skontaktować. Tak, żebyśmy były bezpieczne.

Uśmiech, iskierka i energia gdzieś z niej wyparowały. Wróciła pustka. Sarah wstała i zabrała minitort.

– Muszę już iść – oznajmiła.

– Nie chcesz zapalić świeczki?

– Nie.

Cathy patrzyła, jak Sarah odchodzi. Dziewczynka szła prosto i zdecydowanie, od razu widać było, że czuje się pewnie. Wydawała się taka mała. Ten chód tylko to podkreślał.

Sarah położyła się na łóżku, zjadła torcik i zerknęła na kopertę. Była zaadresowana na jej nazwisko, w sierocińcu. Nie było adresu zwrotnego, tylko znaczek i pieczętka.

To był pierwszy list, jaki kiedykolwiek dostała i nie podobało jej się to.
Otwórz go po prostu.

Dobrze. Może to od Theresy.

Myślała o Theresie niemal codziennie. Czasami śniła jej się przybrana siostra, we śnie żeglowały albo leciały gdzieś razem. Do miejsc, gdzie nigdy nie było ciemno i zawsze stały tabliczki z napisami: „Żalowi i potworom wstęp wzbroniony”.

Takie sny sprawiały, że Sarah nie chciała nigdy się budzić. Theresa była osiã, wokół której wirowało jedyne koło nadziei Sarah.

Rozerwała kopertę. W środku była biała kartka. Na pierwszej stronie napis: *„Myślę o tobie w twoje urodziny”*. Zmarszczyła brwi i otworzyła kartkę. W środku ktoś narysował kostkę domina, a obok napisał: *„Bądź dzikuską”*.

Krem z tortu natychmiast stanął jej w gardle. Od stóp do głów poczuła lodowaty dreszcz.

To od niego.

Wiedziała, że to od niego. Nieważne, że wcześniej nic jej nie wysyłał. Nie trzeba było żadnych wyjaśnień. Tak po prostu było.

Patrzyła na kartkę jeszcze przez chwilę, po czym włożyła ją z powrotem do koperty. Położyła ją pod poduszką i wróciła do jedzenia torciku. Zmieniam się w dzikuskę. Przyjdź do mnie jeszcze raz, to ci to udowodnię. Uśmiechnęła się bez radości. Najlepsze jest to, pomyślała, że gorzej być nie może. A to już coś.

Dziś wiem, jakie to było naiwne. Oczywiście, że mogło być gorzej. O wiele gorzej. I było.

Karen Watson skończyła w więzieniu. Nie wiem tak naprawdę czemu, ale nie jestem zdziwiona. Była zła. Nienawidziła dzieci i lubiła paprać im życie. Była wielką starą wampirzycą, ale zamiast wysysać krew, wysysała dusze i ktoś ją w końcu na tym przyłapał.

Dopilnowała, żebym trafiła do złych domów. Do złych ludzi. W niektórych z nich mnie bito. W kilku mnie dotykano i to było złe, naprawdę złe, ale nie będziemy o tym mówić, co to, to nie. Myślę, że Theresa próbowała.

Mimo wszystko nic nie było aż tak koszmarnie jak dzień, kiedy umarli Desiree i Ned. Wiele o tym myślałam i to był dla mnie tak naprawdę początek końca. Zaczęło się od mamy, taty i Bustera, a skończyło na Desiree, Nedzie i Dylce. Wszystko potem, złe czy dobre, wydawało mi się chodzeniem we śnie.

Cathy kiedyś zaproponowała, że mnie adoptuje, ale jej nie pozwoliłam.

Bałam się, wiesz? Że jeśli Cathy mnie weźmie do siebie, to będzie jej koniec.

Ale później Cathy i tak zniknęła. Powiedzieli mi, że została pobita, ale nie powiedzieli, jak bardzo ani kto jej to zrobił. Nie podnosiła słuchawki, kiedy dzwoniłam, i nie oddzwaniała.

Ten epizod wpadł do wielkiego czarnego stawu jak wszystko inne.

Tak właśnie to nazywam – wielki czarny staw. To, co jest we mnie. Zaczęło się wypełniać dzień po śmierci Desiree i Neda. Staw wypełniony jest czymś gęstym, śmierdzącym jak ropa. Ale właściwie to fajna sprawa, bo można tam wrzucać rzeczy, które ranią. Toną i znikają na zawsze.

Brak telefonu od Cathy bolał, więc wrzuciłam to do wielkiego czarnego stawu. Pa, pa.

Nie wrzuciłam tam tylko tego, co stało się z Karen Watson, kiedy ta cipa poszła to więzienia. Wiem, wiem, cipa to bardzo brzydkie słowo, zwłaszcza w ustach dziewczynki, ale nie mogę się powstrzymać. Karen Watson była cipą. Kurczę, to słowo chyba wymyślono specjalnie dla niej! Nienawidziłam jej i miałam nadzieję, że zdechnie w więzieniu. Czasami śniło mi się, że ktoś częstuje ją nożem i rozcina jej brzuch jak rybie. A ona rzuca się dookoła, krzyczy i krwawi. Zawsze po takim śnie wstawałam uśmiechnięta.

Pewnego dnia rzeczywiście umarła. Ktoś jej podciął gardło od ucha do ucha. Śmiałam się, aż rozboleły mnie policzki... Potem płakałam, a Szaleństwo kilka razy mrugnęło i też się rozplakało. Czarnymi łzami ze źródła.

Zatruta woda, skarbie, bardzo zatruta woda.

A ja? Zawsze wracałam do sierocińca. Miałam już tam niezłą reputację, więc mało która dziewczyna próbowała ze mną zadzierać. Trzymałam się na uboczu.

I tak chyba jest najlepiej, bo właściwie wszystko zbliża się do końca, wiesz? Mam czasami poczucie, jakbym siedziała nago na biegunie północnym. Ale nie jest mi zimno, bo i tak nic nie czuję. Patrzę na wielki czarny staw, widzę, jak się w nim gotuje. Co jakiś czas wystaje z niego jakaś ręka i czasami nawet ją rozpoznaję.

Na czternaste urodziny dostałam kolejną kartkę. Było na niej napisane: „Do zobaczenia”. I tyle. Obudziłam się tamtej nocy z krzykiem. Nie mogłam przestać, po prostu krzyczałam, krzyczałam i krzyczałam. Musieli mnie wyciągnąć z łóżka, przywiązać do innego łóżka i dać mi jakieś leki. Wtedy to ja wpadłam do wielkiego czarnego stawu. Bul, bul. Pa, pa.

Kingsleyowie postanowili mnie przygarnąć i nie wiem sama, dlaczego się nie sprzeciwiłam. Ciężko mi ostatnio z czymkolwiek walczyć. Raczej się unoszę. Unoszę się i czasami drzę, a potem coś mówię do siebie i znów się unoszę. Aha, i wrzucam różne rzeczy do wielkiego czarnego stawu. Ostatnio poświęcam wiele czasu na wrzucanie tam różnych rzeczy. Myślę, że chyba wrzuciłam już wszystko. Chcę być pustym pokojem z białymi ścianami. Już prawie nim jestem. Czarne pszczoły śmierci stały się światłem.

Piszę tę opowieść, bo może to ostatnia szansa, żeby spisać to wszystko, nim wskoczę na zawsze do wielkiego czarnego stawu. Nie chcę tam iść, ale z każdym dniem coraz trudniej mi się powstrzymać, a Szaleństwo coraz częściej ma ochotę wracać znad źródła. Jest jednak coś, jakaś mała uparta część mnie, która nadal pamięta, jak wyglądał świat, kiedy miałam sześć lat. Coraz rzadziej do mnie mówi, ale kiedy się odzywa, każe mi spisywać to wszystko i znaleźć sposób, żeby ci to przekazać.

Nie sądzę, że będziesz w stanie mnie ocalić, Smoky Barrett. Obawiam się, że za dużo czasu spędziłam u źródła, za długo pisałam opowiadania, które potem paliłam. Ale może, kto wie, może jesteś w stanie go dopaść.

I wrzucić go do naprawdę wielkiego czarnego stawu.

To tyle. Ostatni sprint po białym szeleszczącym papierze.

Zrujnowane życie?

Prawie tak.

Nie śnią mi się już mama i tata. Raz śnił mi się Buster. Zaskoczyło mnie to. Obudziłam się i prawie czułam, gdzie na moim brzuchu leżała jego głowa.

Ale Buster nie żyje, tak jak pozostali.

Największą zmianą jest ta najgłębsza:

Nie mam już nadziei.

Koniec?

Kończę czytać pamiętnik Sarah. Zakrywam oczy dłonią i czuję pod palcami łzy. Bonnie podchodzi do mnie, bierze moją drugą dłoń i głaszcze ją, pociesza mnie. Po chwili ocieram łzy.

– Przepraszam, kochanie – uspokajam ją. – Przeczytałam coś, co mnie zasmuciło. Przepraszam.

Uśmiecha się do mnie tak, jak to ona potrafi, i mówi, że wszystko jest dobrze, że żyjemy, że jest ze mną szczęśliwa.

– Dobrze. – Zmuszam się do uśmiechu. Nadal czuję w sobie pustkę. Bonnie znów widzi mój wzrok. Stuka palcem w czoło. Nie muszę się nawet zastanawiać, co znaczy ten gest.

– Masz pomysł?

Kiwa głową. Pokazuje na ścianę, gdzie wisi zdjęcie Alexy. Wskazuje na sufit nad naszymi głowami. Dopiero po chwili rozumiem, o co chodzi.

– Masz pomysł, co zrobić z pokojem Alexy?

Uśmiecha się i kiwa głową. *Tak.*

– Powiedz, jaki, skarbie.

Pokazuje na siebie, udaje sen i kręci głową.

– Nie chcesz tam spać.

Szybkie kiwnięcie. *Właśnie.*

Udaje, że coś trzyma w ręku, porusza w górę i w dół, niczym pędzlem. Tak jak czasem mi się to zdarza, w jednej chwili rozumiem, co chce przekazać.

Kiedy Bonnie po raz pierwszy dała mi do zrozumienia, że potrzebuje akwarelek, cieszyłam się jak dziecko. Korzyści terapeutyczne były oczywiste. Bonnie nie mówiła, ale mogła przynajmniej wyrazić siebie za pomocą pędzla.

Malowała sceny jasne i sceny mroczne, piękne noce oświetlone poświatą księżyca i dni skąpane w deszczu i szarościach. W jej obrazach nie było widać żadnego trendu poza tym, że niezależnie od tematu były żywe. Mój ulubiony przedstawiał pustynię pod oślepiającym słońcem. Był po prostu uderzająco piękny. Widać było gorący, jasnożółty piasek. Wiecznie niebieskie niebo bez jednej chmurki. Pośród tej całej pustki stał pojedynczy kaktus – prosty, mocny i wysoki. Nie potrzebował żadnego pocieszenia ani towarzystwa. Był pewnym siebie wyniosłym kaktusem. Potrafił znieść słońce, żar i brak wody, nic mu nie szkodziło. Dziękuję, mam się dobrze. Musiałam się zastanowić, czy nie symbolizował Bonnie.

Od tamtego czasu Bonnie przeszła z akwarel na oleje i akryle. Raz w tygodniu przez cały dzień malowała, intensywnie, skupiona niemal do obłądu. Obserwowałam ją, kiedy mnie nie widziała, i uderzyło mnie to, jak całkowicie się temu oddawała. Widać było, że kiedy maluje, świat przestaje się liczyć. Skupia się tylko na płótnie przed sobą, krzyku w głowie, ruchu ręki. Przeważnie malowała bez przerw, w wykańczającym maratonie.

Może to malowanie było terapią. Może obrazy miały znaczenie drugorzędne. Może liczyła się sama czynność.

Niezależnie od tego, jak się sprawy miały, obrazy były dobre. Bonnie nie stanie się Rembrandtem, ale miała talent. Jej prace były żywe, śmiałość nadawała każdemu obrazowi ponadczasowy charakter.

– Chcesz zmienić pokój Alexy w pracownię?

Bonnie malowała w biblioteczce i zaczęło tam przybywać za dużo papieru, płócien i bałaganu.

Kiwa głową, szczęśliwa, ale ostrożna. Bierze mnie za rękę, patrzy na mnie zaniepokojona. Znow pojmuję to w mgnieniu oka.

– Ale tylko jeśli ja nie mam nic przeciwko, tak?

Uśmiecha się łagodnie. Też się do niej uśmiecham, dotykam jej policzka.

– Uważam, że to świetny pomysł.

Rezerwa znika z jej uśmiechu. Jego blask zaczyna docierać do moich najciemniejszych zakamarków.

Pokazuje na telewizor i patrzy na mnie pytająco. Ogląda kreskówki na Cartoon Channel.

Chcesz ze mną pooglądać? – pyta.

Brzmi nieźle.

– Pewnie.

Otwieram ramiona, żeby mogła się do mnie przytulić, i oglądamy wspólnie kreskówki. Próbuję wpuścić jej słońce, by rozproszyło mój wewnętrzny deszcz.

Bądź kaktusem, myślę. Mamy słońce. Do diabła z piaskiem.

Jest już rano i próbuję uspokoić Sarah.

Poznała Elaineę i przez twarz przemknął jej nowy cień przerażenia i koszmaru. Zaczęła się wycofywać w stronę drzwi.

– Nie – rzuca z szeroko otwartymi oczyma, błyszczącymi od niewypłakanych jeszcze łez. – Nie ma mowy. Nie tutaj.

Rozumiem, co się dzieje. Rozpoznała dobroć Elainey, zrozumiała ją w mgnieniu oka i widzi Desiree, swoją matkę i inne śmierci, które mają nadejść.

– Sarah. Kochanie. Popatrz na mnie – mówię kojącym głosem.

Wciąż patrzy na Elaineę.

– Nie ma mowy. Nie ona. Nie mogę za to odpowiadać.

Elaina idzie do przodu, odsuwa mnie na bok. Na jej twarzy maluje się wyraz współczucia i cierpienia. Kiedy się odzywa, jej głos brzmi tak delikatnie.

– Sarah. Chcę, żebyś tu zamieszkała. Słyszysz mnie? Wiem, jakie to ryzyko, i chcę, żebyś tu została.

Sarah nadal wpatruje się w Elaineę, już nie mówi, ale kręci głową raz za razem.

Elaina pokazuje na własną łysinę.

– Widzisz? To był rak. Pokonałam raka. I wiesz, co ci jeszcze powiem? Sześć miesięcy temu pojawił się mężczyzna, który złapał mnie i Bonnie i chciał nas zabić. Jego też pokonaliśmy. – Pokazuje całą naszą grupę: mnie, Alana, Bonnie, siebie. – Wspólnie go pokonaliśmy.

– Nie – jęczy Sarah.

Teraz do przodu wychodzi Bonnie. Patrzy na mnie i wskazuje na siebie. Marszczę brwi i zaskoczona próbuję zrozumieć, o co jej chodzi. Znow wskazuje na siebie, a potem na Sarah. Wszyscy patrzą jak urzeczeni. Dopiero po chwili chwytam znaczenie.

– Chcesz, żebym jej opowiedziała o tobie?

Kiwnięcie.

– Na pewno?

Kiwnięcie.

Odwracam się do Sarah.

– Matka Bonnie, Annie, była moją najlepszą przyjaciółką. Mężczyzna, ten sam, który później próbował zabić Elaine i Bonnie, zabił Annie na oczach córki. Potem przywiązał ją do zwłok matki. Leżała tak przez trzy dni. Aż ją znalazłam.

Sarah patrzy wyłącznie na Bonnie.

– I wiesz, co się z nim stało? – odzywa się Alan. – Nie żyje. A my, jak widzisz, tu stoimy. Przeszliśmy przez niejedno, Sarah. Nie musisz się o nas martwić, to my się będziemy martwić o ciebie. Pozwól nam się o siebie pomartwić. To mój dom i też chcę, żebyś tu zamieszkała.

Czuję, że Sarah nie tyle ustępuje, ile tęskni. To Bonnie zbudowała most. Podchodzi do Sarah i bierze ją za rękę. Chwila trwa długo, wszyscy czekamy.

Sarah opuszcza ramiona.

Nie odzywa się. Tylko kiwa głową. Przypomina mi Bonnie i kiedy o tym myślę, moja przybrana córeczka spogląda na mnie i uśmiecha się smutno.

– Nie zapominajcie o mnie – odzywa się Kirby, nie mogąc dłużej wytrzymać ciszy. – Ja też tu jestem i mam broń na grubego zwierza. Ogromniastego zwierza mutanta. – Uśmiecha się, prezentując wszystkie białe zęby, a w oczach pantery migają iskierki. – Jeśli ten ptaszek się tu pojawi, to dostanie śrutem w dupsko.

Tego ranka w biurze nie ma świeżo zmielonej kawy, ale na dworze przynajmniej przestało padać.

Wszyscy znów siedzą w biurze naprzeciw mnie. Nikt nie wygląda tak świeżo jak wczoraj. Nawet Callie. Jest jak zwykle nieskazitelna, ale wokół oczu ma czerwone obwódki wyczerpania.

Wicedyrektor Jones wchodzi z kubkiem kawy w rękę. Nie przeprasza, że kazał na siebie czekać, i nikt się nie spodziewa przeprosin. Jest szefem. Ma prawo się spóźniać.

– Mówcie – odzywa się.

– Właśnie – podchwytyję. – Zaczniemy od ciebie, Alan.

Wiem, że Alan wrócił wczoraj późnym wieczorem do biura, żeby przekopać się przez życiorysy Langstromów.

– Zaczniemy od początku, od dziadka Langstroma. Cóż, właściwie był ojcem Lindy, więc tak naprawdę nazywał się Walker. Tobias Walker.

– Chwileczkę – przerywa mu wicedyrektor Jones i odstawia kawę. – Powiedziałeś Tobias Walker?

– Tak, dyrektorze.

– O jasna cholera!

Wszyscy patrzą na niego. Ma ponurą minę.

– Agentko Thorne, rano dałem ci listę policjantów i agentów, którzy

pracowali w ekipie zajmującej się sprawą przemytu ludzi. Zerknij na nią.

Callie przegląda kartkę, która leży przed nią. Nieruchomieje.

– Tobias Walker pracował w ekipie, oddelegowany tam przez policję. Czuję, że przeszywa mnie coś niezwykłego. Poczucie nierzeczywistości i wstrząs elektryczny.

– Kolejne nazwisko też pan pewnie rozpozna – mówię. – Dave Nicholson.

– Nicholson? – powtarza Jones i marszczy brwi. – Też z policji, szycha. Niezły gliniarz. Co z nim?

Streszczam mu pokrótce wczorajsze wypadki. Jest naprawdę wstrząśnięty.

– Samobójstwo?! I porwano mu córkę? – Przesuwa się, żeby wziąć kawę, ale rozmyśla się i przeczesuje włosy palcami. Nie wiem, czy jest zaniepokojony, czy wściekły. Pewnie jedno i drugie.

Nadciąga pewna myśl, pędzi do mnie na tyle wielka, żeby zaczerpnąć mój horyzont umysłowy. Wschodzące słońce olśnienia.

– A jeśli...?

Wszyscy patrzą na mnie pytająco. Wszyscy poza Jamesem. Spogląda gdzieś w bok, zamyślony.

Widzi to samo, co ja?

Może. Prawdopodobnie tak.

– Posłuchajcie tylko – mówię. Słyszę podniecenie we własnym głosie.
– Mamy specjalną grupę roboczą, która zawiodła, pewnie z powodu korupcji i zdrady. Mamy motyw zemsty. Mamy pewne przesłania. Do Cathy Jones wraz z jej złotą odznaką: „Symbole to tylko symbole”. Do Nicholsona: „Liczy się człowiek stojący za symbolem, a nie sam symbol”.

Połączmy to z tym, co wiemy. I co nam to mówi?

Żadne z nich nie jest tak bystre jak James. On łapie w lot, dotrzymuje mi kroku. *Łodzie i woda, rzeki i deszcz.*

– Mówi o korupcji. To, że ktoś nosi odznakę, nie oznacza, że nie może być złym człowiekiem. Symbole to tylko symbole.

Alan pojmuje to i rozjaśniają mu się oczy.

– Racja, racja. Nie wpadliśmy na to. Motywem była zemsta. Ale wcale nie chciał najbardziej ukarać przemytników. Dlatego Vargas tak się wywinął. Chciał dopaść ludzi z grupy roboczej. Tego, kto wydał ten bezpieczny dom i dzieciaki.

Cisza. Wszyscy nad tym rozmyślają i kiwają co chwila głowami. Krąg prawdy.

– Dyrektorze – pytam Jonesa. – Co pan pamięta na temat Tobiasa Walkera?

Wicedyrektor pociera twarz.

– Pamiętam tylko plotki. Był chyba jeszcze większym dinozaurem niż Haliburton. Wstrętny typ. Rasista. Nie rozstawał się z pałką. Uwielbiał te swoje gumowe węże i inne narzędzia. To jego najbardziej prześwietlali po ataku na bezpieczny dom.

– Dlaczego?

– Wcześniej wydział spraw wewnętrznych trzy razy prowadził przeciwko niemu dochodzenie w sprawie łapówek. Za każdym razem wychodził obronną ręką, ale plotki nie cichły. Na przykład taka, że siedział w kieszeni mafii. Nikt niczego mu nigdy nie udowodnił. Zmarł na raka płuc w 1983 roku.

– Najwyraźniej nasz morderca jest przekonany, że nie były to

wyłącznie plotki – wtrąca James.

– Ktoś jeszcze? – pytam. – Co się stało z Haliburtonem, dyrektorze?

Wicedyrektor robi się blady.

– Kiedyś powiedziałbym, że zabił siebie i żonę, ale w tych okolicznościach...

– Zna pan szczegóły?

– To się zdarzyło w 1998 roku. Był już przez jakiś czas na emeryturze. Miał prawie siedemdziesiątkę. Robił to, co się robi na emeryturze. Pewnie nadal parał się swoją poezją.

– Poezją? – przerywam mu.

– To czyniło z Haliburtona człowieka. To się kłóciło z jego naturą. Był ogromnym konserwatystą. Gorąco wierzący i praktykujący, nie ufał nikomu, kto miał włosy do ramion, wszystkie garnitury kupował w Searsie. Taki typ. Był szorstki i wszystkich oceniał. W życiu nie opowiedział dowcipu. Ale pisał wiersze. I nie wstydził się ich pokazywać. Niektóre były całkiem niezłe.

Streszczam mu opowieść Obcego o poecie amatorze i jego żonie.

– O Jezu – mówi, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Ta historia robi się coraz lepsza. Haliburton zastrzelił żonę, a potem siebie. Przynajmniej tak nam się zawsze wydawało.

– A „student filozofii”? Czy ktoś z grupy roboczej może pasować do tego opisu?

– Nikt mi nie przychodzi do głowy.

– Kto jeszcze przedwcześnie umarł?

– Tutaj było nas trzech. Haliburton, ja i Jacob Stern. Stern odszedł na emeryturę i wyjechał do Izraela w... jakoś pod koniec lat osiemdziesiątych.

Kolejny matuzalem. Potem nie słyszałem już o nim. Ze strony policji był Walker, Nicholson i jakiś facet z obyczajówki, Roberto Gonzalez. Wiemy, co się stało z Walkerem i Nicholsonem, ale nie mamy żadnych informacji o Gonzalezie. To był młody policjant, dwujęzyczny. Z tego, co pamiętam, był dość przyzwoity.

– Będziemy musieli sprawdzić jego i Sterna – mówię. – Najważniejsze pytanie jest takie samo jak dotąd – zauważa Alan – ale właśnie zawężiliśmy obszar poszukiwań: kim jest Obcy i dlaczego tak się wziął na członków grupy roboczej?

– Ja mam jeszcze jedno pytanie – odzywa się Callie. Zerka na wicedyrektora Jonesa. – Bez obrazy, dyrektorze, ale dlaczego pan przeżył?

– Myślę, że odpowiedź brzmi: dlatego, że jest wicedyrektorem – odpowiada za niego James. – Nie wiem, czy wykreślił pana ze swojej listy, ale może zostawił sobie pana na koniec. Zabójstwo wicedyrektora FBI wywołałoby spore poruszenie. Może nie jest gotów na tak drobiazgowe śledztwo.

– To pocieszające – przyznaje wicedyrektor Jones.

– Wróćmy do pytania Alana – mówię. – Logika podpowiada, że musiał być dzieckiem, które skrzywdzili przemytnicy. Nie może być krewnym.

– Dlaczego? – pyta Alan i odpowiada na własne pytanie. – Z powodu blizn na stopach.

– Otóż to.

Zamyślam się na chwilę.

– Callie, czy w domu Langstromów znalazłaś coś, co mogłoby nam pomóc?

– Spędziłam tam bardzo długi dzień i noc z Gene'em. Znaleźliśmy

mnóstwo kurzu, ale nic, co mogłoby stanowić materiał śledczy. Środki antydepresyjne, które miała Linda Langstrom, nie zostały przepisane przez lekarza rodzinnego, tylko przez lekarza z drugiego końca miasta.

– Sporo się nagimnastykowała, żeby to ukryć – zauważam.

– Tak. Ale nie wzięła ani tabletki.

Marszczę brwi.

– Czy ktoś z was potrafi to wyjaśnić?

Nikt się nie odzywa.

– James? Jakies wieści na temat komputera chłopaka.

– Nie.

Staram się usilnie wymyślić jakieś magiczne zaklęcie. Ale nic z tego.

– W takim razie naszym najbardziej obiecującym tropem jest trust. – Streszczam im rozmowę z Ellen. – Musimy mieć ten nakaz. I to dzisiaj.

– Cathy Jones może wam go pomóc zdobyć – mówi wicedyrektor Jones. – Powinna być w stanie zeznać, że Langstromowie zapewne zostali zamordowani przez kogoś z zewnątrz. To najważniejsze. – Wyrzuca swój kubek po kawie do kosza i rusza do drzwi. – Informujcie mnie na bieżąco. – Zatrzymuje się i ogląda. – Aha, Smoky? Złap tego faceta, dobrze? Wolałbym nadal swobodnie oddychać.

– Słyszeliście starego – mówię. – Callie i Alan, to wasze zadanie. James, chcę, żebyś sprawdził, czy cokolwiek stało się tym dwóm facetom z listy. Sternowi i Gonzalezowi.

Wszyscy ruszają do pracy, myśliwi na tropie.

Roberto Gonzalez został zamordowany w swoim domu w 1997 roku – oznajmia James. – Był torturowany, wykastrowany, a genitalia wepchnięto mu do ust.

– Wygląda zupełnie jak opis przypadku „studenta filozofii” – mruczę. – Co jeszcze?

– Stern najwyraźniej żyje i ma się dobrze. Zawiadomiłem jednostkę zarządzania kryzysowego. Skontaktują się z władzami Izraela i będą go pilnować.

– Zgadzam się z twoją teorią dotyczącą wicedyrektora Jonesa, ale dlaczego Stern? Dlaczego jeszcze żyje?

James wzrusza ramionami.

– Może to tylko kwestia geografii. Może jest za daleko i zostawia go sobie na koniec.

– Może. – Przygryzam dolną wargę. – Wiesz – mówię – jest jeszcze jeden trop, na który w ogóle nie zwróciliśmy uwagi.

– Jaki?

– Pan Wiesz Pan Kto. Ten człowiek, o którym mówił na filmie Vargas. Zakładam, że to on był głównodowodzącym. Czy nie powinien być najważniejszym celem Obcego?

– Nie powinniśmy się tym na razie zajmować.

– Dlaczego?

– Bo to pytanie może pozostać bez odpowiedzi. Nie znalazła go w 1979 roku grupa robocza. Czemu mielibyśmy dzisiaj znaleźć go my?

– Choćby dlatego, że nie jesteśmy skorumpowani.

Kręci głową.

– To nie ma znaczenia. Tak, uważam, że dostał wtedy jakiś przeciek, i owszem, podejrzewam, że ktoś go chronił albo przynajmniej jego interesy. Ale nie sądzę, żeby to był wielki spisek, nie na poziomie służb mundurowych. Nie tak łatwo jest skorumpować gliniarza, choć przeciętny człowiek jest wręcz przeciwnego zdania. Jeszcze trudniej nakłonić gliniarza czy agenta do współpracy z przemytnikiem dzieci. Nie. To była robota jednej osoby z grupy roboczej, góra dwóch.

– Walker?

– Jest prawdopodobnym podejrzanym. Niepokoi mnie jednak to, że najwyraźniej zniknęła cała siatka, jakby zwinęła się w jedną noc. Koniec z dziećmi z bliznami na stopach. To mnie niepokoi.

– Dlaczego? Czarni bohaterowie stali się ostrożni.

– Nie. Ostrożni to oni byli już wcześniej. Mieli swoją wtyczkę w służbach. Rozsądne byłoby znalezienie nowego szlaku i nowego rynku. Ale zamknięcie sklepiku całkowicie? Przestępcy robią się coraz sprytniejsi, nie porzucają swoich biznesów ot tak.

– To nie nasze zmartwienie. Z tego, co nam wiadomo, nigdy nie przestali. Może stali się po prostu sprytniejsi albo przenieśli swoją działalność gdzie indziej. Ba, od lat kwitnie turystyka seksualna, może założyli biuro w swoim macierzystym kraju i w ogóle unikają ryzyka.

James wzrusza ramionami, ale wiem, że to go nie satysfakcjonuje. Uwielbia rozwiązywać zagadki. Nie lubi pytań bez odpowiedzi, i tych ważnych dla śledztwa, i tych mniej istotnych.

– Nie jest to jedno z rodzeństwa – mówi James.

Ma na myśli Obcego.

– Wiem. To wszystko jest zbyt osobiste. Doświadczył czegoś złego, nie tylko obserwował, jak doświadcza tego krewny.

– Coś mi jeszcze nie pasuje w tym pamiętniku – mówi.

Przyglądam mu się.

– Jakieś przypuszczenia?

– Jeszcze nie.

Dzwoni moja komórka.

– Mamy pisemne oświadczenie Cathy Jones – oznajmia Callie. –
Wracamy do firmy.

– Dobra robota, Callie.

Prycha.

– A spodziewałaś się czegoś innego?

Uśmiecham się.

– Przynieś mi je i idziemy prosto do Ellen.

– Będziemy za dwadzieścia minut.

Otrzymuję nagły i silny zastrzyk adrenaliny. Czuję przypływ energii i niewielkie drżenie, mam wrażenie, jakby wszystko było otoczone jasną chmurą światła.

Nadchodzi czas, uświadamiam sobie.

– Dostaniemy nasz nakaz – mówię Jamesowi.

– Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

– Nie zapomniałam.

Wiem, co ma na myśli James. Zbadaj każdy wniosek. Na razie wciąż idziemy ścieżką, którą nam wytyczył.

Jadą wszyscy. Alan, Callie, James i ja. Mamy już nakaz i wybieramy się do biura Gibbsa.

Czujemy podniecenie, w powietrzu aż iskrzy. Zmuszono nas, w dużym stopniu, do tego, byśmy obezwładnieni wlekli się z tyłu. Ta historia, kilometr za kilometrem, ujawniła koszmar. Obserwowaliśmy z daleka, jak cierpią Sarah i inni.

Teraz możemy być o godzinę drogi od przekonania się, kim on jest. Nie ma teraz znaczenia, że to on nas tu doprowadził. Chcemy zobaczyć jego twarz.

Wychodzimy na dole z windy i widzę przy recepcji Tommy'ego, który stoi z telefonem przy uchu. Widzi mnie i macha.

– Zaczekajcie chwilę – mówię do pozostałych.

– Pospiesz się – rzuca James.

– Hej! – wita mnie Tommy, kiedy podchodzę. – Chciałem się upewnić, czy skontaktowałaś się z Kirby. Przekonać się, czy coś z tego wyszło.

Uśmiecham się do niego.

– Bez dwóch zdań jest interesująca. I...

Słyszę jakieś metaliczne szcęknięcie, którego nie mogę zidentyfikować. Chcę je zignorować, ale coś krzyczy mi w głowie i radzi, żeby tego nie robić, nie robić, nie robić!

Odwracam się zaniepokojona i patrzę w oczy ponuremu Latynosowi o zaciętej twarzy, który właśnie wszedł do holu. Patrzy na mnie, jestem pewna, że mnie widzi, odwraca się...

– Tommy – mruczę i sięgam po broń.

Tommy jak to Tommy, nie zadaje żadnych pytań, po prostu podąża za moim wzrokiem i wsuwa rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Co to jest?

Mężczyzna o zaciętej twarzy wyrzuca przed siebie ręce, otwiera je i w powietrzu lecą dwa przedmioty. Zakreślają dwa doskonałe łuki...

– Cholera jasna! – krzyczy Tommy.

Odpycha mnie, odsuwa jak najdalej. Przewracam się na plecy i w ułamku sekundy rozumiem, co się dzieje.

– Granaty! – krzyczę, ale już jest za późno.

Wybuch w holu jest potężny i ogłuszający. Czuję falę uderzeniową i ciepłą, coś przeoruje mi twarz, a potem przez chwilę brakuje mi powietrza. Upadam, uderzam głową o marmurową podłogę i wszystko robi się bardzo, bardzo szare...

Kłębiaste chmury w mojej głowie znikają i zastępuje je smród dymu i odgłosy strzałów.

Broń automatyczna, myślę z trudnością.

W mgnieniu oka wracam do przytomności i natychmiast się skupiam. Leżę na plecach. Gramolę się do pozycji siedzącej, a potem odsuwam gorączkowo w lewo, kiedy coś uderza ze świstem o marmur obok mnie.

Boże, dostałam w głowę.

W uszach mi dzwoni. Rozglądam się i widzę Callie za marmurowym filarem. Z ponurą twarzą, z rozmazanym makijażem strzela z pistoletu. James zbiera się, żeby wstać, krew cieknie mu po twarzy. Alan zaczyna na niego krzyczeć.

– Nie wstawaj, idioto!

Automatyczna broń wciąż strzela, nie milknie nawet na chwilę. Cały hol zasypany jest gradem pocisków.

Facet o zaciętej twarzy nie patyczkuje się, co to, to nie, myślę i niemal chce mi się parsknąć śmiechem, ale nie robię tego, bo to by było dopiero szaleństwo.

Muszę myśleć jasno...

Słyszę w odpowiedzi huk broni krótkiej, wydaję własny pistolet i strzelam trzęsącymi się rękoma, polegając na instynkcie.

Trzymam pistolet w dłoni i słyszę, jak szepcze do mnie głosem tłumionej radości, gotowy do działania. Jestem w korytarzu, gdzie wpełchnął mnie Tommy, i przypominam sobie wszystko, a potem (*O Boże O cholera O kurwa*) przeszywa mnie przerażenie i szukam go, szukam zakrwawionych zwłok, których na pewno boję się, nie chcę znaleźć...

– Tutaj – szepcze Tommy.

Odwracam się. Jakoś, jakimś cudem (*Dzięki, Boże Dzięki, Boże, Dzięki Boże*) jest za mną. Siedzi plecami do ściany. Twarz mu poszarzała. Krwawi z barku.

– Dostałeś – krzyczę.

– Nie mów – mruczy, próbując się uśmiechnąć. – I boli mnie. Ale jestem dobry. Odłamek w barku. Żaden ważny organ nieuszkodzony. Krwawienie opanowane.

Patrzę na niego i próbuję to wszystko ogarnąć.

– Nic mi nie jest, Smoky. Idź, zabij tego idiotę, dobrze?

Tak, zrobimy to, szepcze mój pistolet i tym razem reaguję. Mam jasność celu.

Muszę go tylko zobaczyć. Jeśli go zobaczę, nie spudłuję.

Idę naprzód, pochylam się nisko z bronią gotową do strzału. Strzały z broni automatycznej nadal padają gęsto. Szaleństwo ołowiu i stali. Czuję zapach metalu, kule uderzają, świszczą i odbijają się rykoszetem od każdej powierzchni.

– Callie! – krzyczę.

Ogląda się na mnie, a ja wskazuję na moje oczy.

Ilu?

Podnosi palec.

Jeden.

Kiwam głową i pokazuję, że chcę, by oboje z Alanem mnie osłaniali.

Potwierdza skinieniem głowy i patrzę, jak przekazuje plan Alanowi. James zdołał się odsunąć za filar, przy którym stoi Callie. Krew płynie mu z rany na czole. Wygląda na Oszołomionego i na nic się nie przyda.

Callie podnosi kciuk.

Zerkam na Tommy'ego. Ściskam pistolet, pochylam się i czekam na ciszę, która musi przyjść.

Każdy czasem musi przeładować.

Ogień z karabinu maszynowego trwa całe wieki. Wiem, że to iluzja, czas w walce wydłuża się bardzo albo staje się zupełnie bez znaczenia. Pot ścieka mi po czole. Łupie mnie w głowie, a smród kordytu unoszący się w powietrzu zaczyna wzbudzać w moich ustach metaliczny posmak.

Kiedy nastaje cisza, jest szokująca. Po całym tym huku brak dźwięków jest niemal sam w sobie dźwiękiem.

Widzę, jak Callie wypada zza filara z bronią gotową do strzału. Pojawiam się i ja, omiatając wzrokiem cały hol, szukając mężczyzny o

zaciętej twarzy...

Zatrzymuję się. Mój pistolet wrzeszczy z wściekłości.

Hol przy frontowym wejściu jest pusty.

Biegnę w stronę wyjścia, przemykam przez bramki do wykrywania metalu, które protestują piskiem. Widzę nieruchome ciało strażnika. Nie wiem, czy żyje, czy nie.

Barkiem uderzam w drzwi i wypadam na schody, dyszę bardzo ciężko, a w dwóch dłoniach trzymam pistolet.

Nic!

Zbiegam po schodach na parking. Kręcę głową to w lewo, to w prawo, szukam go wzrokiem. Słyszę, jak otwierają się drzwi, i obok mnie staje Callie, a chwilę później Alan.

– Gdzie on jest? – warczy Callie. – Dopiero co wyszedł!

Rozlega się ryk potężnego silnika i pisk opon, biegniemy w stronę źródła dźwięku. Widzę odjeżdżającego czarnego mustanga, podnoszę pistolet do strzału i uświadamiam sobie: przecież nie mam pewności, że to on.

– Kurwa! – krzyczę.

– Nie sposób się nie zgodzić – mruczy Alan pod nosem.

Pędzę z powrotem po schodach, skaczę po trzy naraz i znów wchodzę przez drzwi. Po piętach depczą mi Callie i Alan.

W holu widać jatkę, trzy ciała na ziemi, którymi zajmują się inni agenci. Co najmniej czterech stoi z wyciągniętą bronią, a Mitch, szef ochrony, z ponurą twarzą rozmawia przez walkie-talkie.

Drżącą ręką ocieram pot z czoła i próbuję uciszyć mój wewnętrzny głos wywołujący stres i wzywający do walki. Nadal myślę krótkimi

przebłyskami. Muszę działać szybko, ale uspokoić się wewnątrz.

– Sprawdź, co z Jamesem – mówię do Callie.

Idę do Tommy’ego. Wygląda nieco lepiej. Nie jest już blady jak ściana, choć na pewno bardzo go boli. Klękam koło niego i ściskam jego rękę.

– Ocaliłeś mi życie – mówię drżącym głosem. – Ty mój głupi narwany bohaterze.

– Za... – Krzywi się. – Założę się, że mówisz to każdemu facetowi, który odepchnie cię od wiązki granatów.

Zastanawiam się, jak mu się dowcipnie odgryźć i przez chwilę nie mogę wydusić słowa. Nie kocham Tommy’ego, jeszcze nie, ale znaczy dla mnie więcej niż którykolwiek mężczyzna od czasu Matta. Jesteśmy razem.

– Jezu, Tommy – szepczę. – Myślałam, że n... n... nie żyjesz. – Język mi się płacze jak po novocainie, a w żołądku czuję motylki i mdłości.

Tommy przestaje silić się na uśmiech. Wbija we mnie wzrok.

– Ale żyję. Okej?

Nie ufam własnemu głosowi. Więc tylko kiwam głową.

– Jamesowi nic nie jest – krzyczy do mnie znieczulona Callie. – Ale trzeba mu założyć kilka szwów.

Patrzę na Tommy’ego. Uśmiecha się.

– Nic mi nie będzie. Jedź.

Ściskam jeszcze raz jego rękę, wstaję i z ulgą stwierdzam, że trzymam się pewnie na nogach. Otwierają się drzwi windy i wychodzi z niej wicedyrektor Jones z bronią gotową do strzału. Za nim czai się chmara agentów.

– Co się tu, kurwa, stało? – niemal krzyczy.

– Jakiś intruz wszedł i wrzucił dwa granaty do holu – wyjaśniam.

– Potem zaczął strzelać z broni maszynowej. Uciekł przez drzwi wejściowe.

– Jakież ofiary? – pyta.

– Jeszcze nie wiemy.

– Wiadomo, kim był intruz?

– Nie, dyrektorze.

Odwraca się do jednego z agentów, którzy zjechali z nim windą.

– Rozstawić ludzi przy drzwiach. Poza personelem medycznym nikt nie wchodzi i nie wychodzi, chyba że osobiście na to zezwolę. Ściągnijcie tu szybko karetkę, a tymczasem zajmijcie się rannymi. Niech to zrobią osoby najlepiej wyszkolone w pierwszej pomocy.

– Tak jest – odpowiada agent i zabiera się do pracy.

Wicedyrektor obserwuje, jak agenci ruszają do działania i powoli ogarniają chaos dzięki właściwemu szkoleniu i rozkazom.

– Nic ci nie jest? – pyta, obrzucając mnie krytycznym spojrzeniem.

– Wyglądasz nieco blado.

– To stres – odpowiadam.

Unoszę rękę i dotykam głowy w miejscu, którym uderzyłam o marmurową podłogę. Z ulgą stwierdzam, że mam tylko guza, ale krwi nie czuję. Głowa boli mnie już mniej, więc nie muszę się obawiać wstrząśnienia mózgu.

– Musimy się dowiedzieć, kto to był i co się stało – mruczy.

– Tak jest – odpowiadam.

Wzdycha z rozgoryczeniem i wściekłością.

– Widziałaś tego faceta?

– Tak, dyrektorze.

– Typ bliskowschodni?

– Nie, Latynos. Trzydzieści kilka, może czterdzieści lat. Wicedyrektor Jones, słysząc to, przeklina.

– Jak on się, kurwa, przedostał przez ochronę?

– Nie przedostał się. Wszedł głównym wejściem, wrzucił kilka granatów, otworzył ogień i wyszedł.

Jones kręci głową.

– Jak mam chronić swoich ludzi przed czymś takim?

Nie odpowiadam. Nie mówi tak naprawdę do mnie.

– Co mamy robić, dyrektorze? Ja i mój zespół?

Przeczesuje włosy palcami i omiata hol wzrokiem.

– Zostaw mi Alana – decyduje. – Bierz Callie i załatwcie sprawę z tym nakazem.

Jestem zakłopotana.

– Ale dyrektorze... – Znow ocieram czoło. – Proszę posłuchać... jeśli jesteśmy potrzebni, to zostaniemy.

– Nie. Nie rzucimy tej sprawy z powodu czegoś takiego. Chrzanić to. Za pół godziny będziemy mieli twarz sprawcy z nagrań ochrony. Na miejscu mam dość agentów, a Quantico zaraz na pewno wyśle też swoją ekipę. O co jak o co, ale o ludzi nie będę musiał się martwić.

Nie odpowiadam. Patrzy na mnie karcącym wzrokiem.

– Smoky, to nie jest prośba.

Wzdycham. Ma rację, jest szefem, i to wkurzonym – z kimś takim nie ma co dyskutować. – Tak jest.

– Ruszaj do pracy.

Idę do Callie. James już stoi, ale patrzy zamglonym wzrokiem.

Przykłada chusteczkę do rany na głowie. Krew ściekająca po twarzy i szyi przemoczyła mu koszulę.

– Wyglądasz, jakby ktoś ci wbił siekierę w głowę – oceniam.

Uśmiecha się, szczerze się uśmiecha i teraz mam pewność, że jest półprzytomny.

– To tylko zadrażnienie skóry – mówi i wciąż się uśmiecha. Jego głos brzmi nieco nierealnie. – Wtedy jest dużo krwi.

Patrzę na Callie z uniesionymi brwiami. Wzrusza ramionami.

– Mówiłam mu, żeby nie wstawał. – Patrzy na Jamesa krytycznie. – Muszę powiedzieć, że teraz o wiele bardziej go lubię.

– Wiesz co, Ruda? – odzywa się James nieco za głośno, lekko chwiejąc się, kiedy pochyla się w stronę Callie. – Jesteś mi potrzebna... jak... jak dziura w głowie. – Przerywa i się zatacza. Callie i ja chwytny go pod ramiona. – Hej, wiesz co? – mówi tym nierealnym głosem, patrząc teraz na mnie.

– Co? – odpowiadam.

– Niezbyt dobrze się czuję.

Nogi mu miękną i wraz z Callie sadzamy go na podłodze. Nie próbuje już wstawać. Twarz ma bladą i błyszczącą od potu.

– Trzeba go zbadać – rzucam z niepokojem. – Podejrzewam spore wstrząśnienie mózgu.

Jak na komendę otwierają się drzwi i wpadają ratownicy medyczni w asyście uzbrojonych agentów.

– Mówisz, masz – stwierdza Callie. Pochyla się nad Jamesem i klepie go w ramię. – Przyjechali po ciebie, kochaniutki.

Patrzy na nią zamglonymi oczyma. Wygląda trochę przytomniej, jest

trochę bardziej skupiony. Przełyka ślinę i się krzywi.

– Dobrze – mówi tylko i siada tak, by włożyć sobie głowę między kolana.

– To jaki mamy plan? – pyta Alan, podchodząc do nas.

Obrzucam go wzrokiem. Wygląda na to, że nic mu nie jest. Ale na rękach ma krew aż po nadgarstki. Widzi, że to zauważyłam.

– Jakiś dzieciak – wyjaśnia bezgłośnie. – Krwawił z otwartej rany jamy brzusznej. Musiałem sięgnąć i rękoma zacisnąć miejsce krwawienia. Umarł. – Cisza. – Więc jaki mamy plan?

Odzyskuję głos.

– Ty zostajesz tutaj do dyspozycji wicedyrektora Jonesa. Callie i ja jedziemy po nakaz i do Gibbsa.

– W porządku.

Głos Alana brzmi głucho, ale patrząc w jego oczy, uświadamiam sobie, że wcale nie jest otepiały.

– Wiesz – mówi, ocierając zakrwawione ręce o koszulę. – Radzę sobie z tym, co robimy. Czasami jest ciężko, zwłaszcza kiedy ofiarami są dzieci, ale ogólnie jakoś sobie radzę. – Ogarnia wzrokiem hol i kręci głową. – Nie radzę sobie tylko z takim przypadkowym gównem.

Dotykam jego ramienia.

– Jedźcie. – Spogląda na Jamesa. – Przypilnuję go. Nie chce więcej mówić. Rozumiem to.

Odwracam się i tak jak on patrzę na zniszczenia w holu. Ludzie uwijają się tu jak w ukropie. Ze zdziwieniem stwierdzam, że wciąż trzymam pistolet. Patrzę na zegar na ścianie. Nieco się przekrzywił, ale wciąż chodzi.

Minęło dziewięć minut, odkąd wyszliśmy z windy.

Wsadzam pistolet do kabury. Rzucam ostatnie spojrzenie na Tommy'ego, którym zajmują się już ratownicy.

– Jedziemy – mówię do Callie.

Kiedy pędzimy autostradą, najpierw dzwonię do Elainy. Wiem, że o tym, co się stało, za chwilę będą trąbić w wiadomościach. Kiedy odjeżdżałyśmy z Callie, widziałam już ściągające furgonetki i helikoptery ekip telewizyjnych.

– Alanowi nic nie jest, mnie też nic, Callie w porządku i James także – kończę. – Jesteśmy trochę posiniaczeni, ale nic nam nie jest.

Słyszę, jak z ulgą wypuszcza powietrze.

– Dzięki Bogu – mówi. – Chcesz, żebym powiedziała o tym Bonnie?

– Proszę.

– Dzięki za telefon, Smoky. Gdybym zobaczyła to w telewizji i nie dostała od ciebie wcześniej informacji... no tak, pewnie właśnie dlatego zadzwoniłaś.

– Wiedziałam, że Alan będzie tam mocno zajęty. Nie chciałam, żebyś się martwiła. Dzięki, że opowiesz wszystko Bonnie. A teraz daj mi jeszcze Kirby.

Chwilę później moja płatna zabójczyni odzywa się w słuchawce.

– Co jest, szefowo? – pyta.

Opowiadam.

– Chcę, żebyś gdzieś ich przeniosła, Kirby. Wywieź ich z domu Elainy. Masz jakieś bezpieczne miejsce, żeby ich przechować?

– Jasne. Mam trochę kryjówek na deszczową pogodę. Spodziewamy się

deszczu?

– Nie sądzę. Po prostu jestem ostrożna.

– Zadzwoń już z nowego miejsca.

Rozłącza się. Nie zadaje pytań, od razu bierze się do działania. Tommy miał rację: Kirby to dobry wybór.

Nie mam powodu, by przypuszczać, że to, co stało się w holu, ma jakiś związek z Sarah czy Obcym, absolutnie żadnych powodów. Ale nie mam też powodu, żeby tak nie przypuszczać, a ostatnio moje przerażenie podpowiada mi, że to już powód sam w sobie.

Callie milczy, patrzy na drogę z niepokojącą intensywnością. Na prawym policzku ma jakąś smugę. Na jej szyi widzę coś, co wygląda jak plamka zaschniętej krwi.

– Dziwne uczucie – mówi, jakby czuła, że na nią patrzę. – Zostawić to wszystko tam w budynku.

– Wiem. Ale wszystko jest pod kontrolą. Musimy robić, co do nas należy.

– Mimo wszystko czuję się dziwnie.

– Ja też – przyznaję.

Błyskawicznie docieramy do Moorpark i tuż po zjechaniu z autostrady wchodzimy do gabinetu Gibbsa. Otwiera szeroko oczy i usta.

– Co się wam, u diabła, stało? – pyta.

– Zobaczysz pan w dzienniku – oznajmiam i wyciągam nakaz. – Proszę bardzo.

Przez chwilę patrzy na dokument. Otwiera go i czyta.

– To jedynie nakaz ujawnienia tożsamości – zauważa.

– Tylko tyle nam trzeba.

– Cóż, to dobrze – mówi.

Wygląda na to, że mu ulżyło.

Otwiera szufladę biurka i wyciąga cienką teczkę. Kładzie ją na blacie.

– To kopia umowy spisanej między nami i kopia jego prawa jazdy.

– Uśmiecha się. – Ktoś wam dobrze doradził. W sprawie trustu bym się bronił, ale jeśli chodzi o tożsamość? – Wzrusza ramionami. – Wiele razy uznawano, że można ją ujawnić.

Uśmiecham się zdawkowo. Przyciągam do siebie teczkę i otwieram ją. Na pierwszej kartce jest wydrukowana umowa. Określa szczegółowo opłaty i usługi, warunki płatności, odpowiedzialność. Mijam te punkty i przejeżdżam wzrokiem na dół, żeby znaleźć to, czego naprawdę mi potrzeba.

– Gustavo Cabrera – czytam na głos. Czyżby w końcu nazwisko Obcego? Może.

Odwracam kartkę. To, co widzę, szokuje mnie i zarazem nie dziwi – niepokojące połączenie. Dostaję gęsiej skórki.

– Smoky?

Wskazuję na kartkę. Callie się przygląda. Mruży oczy. Kolorowa kopia prawa jazdy Cabrery jest wyraźna i ostra, i od razu go rozpoznajemy.

Mężczyzna o zaciętej twarzy z holu.

– Sukinsyn – mruczę. Naprawdę tak cię to dziwi?

Nie. Nie, właściwie nie.

Walczę z pokusą, żeby wypaść z budynku i biec na złamanie karku. Wszystko we mnie aż krzyczy, żeby ruszać, ale przypominam sobie właśnie rozmowę z Jamesem.

Uświadamiam sobie, że to najgroźniejsza chwila. Dotarliśmy do tego miejsca, on wie, że dotarliśmy, bo chciał, żeby tak się stało. Jeśli zrobimy to, czego oczekuje, to jakie będą tego konsekwencje? Już dał nam do zrozumienia, co zamierza, kulami i granatami. Chce ognia, chce nam urządzić Armagedon, na widok którego będzie się uśmiechał i krzyczał.

Jak temu zapobiec?

I co z drugą sprawą? Co z tym, co próbuje się przebić przez moją podświadomość, z tym, co męczy także Jamesa?

– Dzięki – mówię do Gibbsa. – Musimy iść.

– Dacie mi znać? – pyta. – Jeśli pojawi się coś, co wpłynie na działalność trustu?

– Tak.

– Kto to jest? – pyta przez telefon Barry.

– Gustavo Cabrera. Trzydzieści osiem lat. Przyjechał do Stanów z Ameryki Środkowej w 1991 roku. Naturalizowany w 1997. To wszystko nudy. Najbardziej interesujące jest to, że kupił sobie dom na ogromnej działce, choć nic nie wskazuje na to, by miał jakieś stałe zajęcie. Są też jakieś niepotwierdzone plotki, że gromadzi broń.

– Że co, jak jakiś bojówkarz?

– A może ma po prostu świra na punkcie broni. Nic z tego nie wyszło. Informator, który dostarczył tę plotkę, uważany był raczej za mało wiarygodnego, a w końcu i tak zmarł z przedawkowania. Jeszcze dwie informacje. Obie powinny być raczej tajne, dotyczą stanu zdrowia, ale ktoś się o tym dowiedział i obie rzeczy odnotował. Pierwsza: Cabrera ma HIV.

– Naprawdę?

– Tak.

– A druga?

– Lekarz stwierdził kiedyś, że Cabrera był ofiarą torturowania. Miał blizny po biczowaniu na tyłku i, uwaga, na podeszwach stóp.

– Jasna cholera. Coś jeszcze?

– To wszystko.

– Dam ci znać, co się będzie działo.

Rozłączam się i wciąż czuję niepokój i rozkojarzenie. Coś tu nie gra, jest jakaś luka, coś do tego nie pasuje. Cabrera. Wydaje się, że geograficznie pochodzi z właściwego miejsca. Ma blizny. Czy jest Obcym? Dlaczego tak bardzo nie chcę stwierdzić, że tak? Pamiętnik Sarah. Czego nie powiedziała?

– O co chodzi, Smoky? – pyta mnie Callie łagodnie. – Co cię niepokoi?

– To wszystko zbyt łatwe – mówię. – Za gładko nam poszło. Coś mi tu nie pasuje. Nie pasuje mi do niego.

– Jak to? Dlaczego?

Kręcę głową sfrustrowana.

– Nie wiem dokładnie. Po prostu nie sędzę, że to takie proste. Dlaczego podprowadziłby nas prosto do siebie?

– Smoky, może on oszalał?

– Nie. Doskonale wie, co robi. Chciał, żebyśmy zdobyli nakaz, i chciał, żebyśmy zajrzeli do tej teczki. Zrobił w FBI prawdziwy bajzel, wchodząc jak terminator do holu. Wstrzelił się na sam szczyt listy najbardziej poszukiwanych przestępców i tak po prostu pokazuje nam przez tyle czasu skrywaną twarz. Dlaczego?

– To ty powinnaś wiedzieć, jak oni myślą – rzuca do mnie. Liczy na

jakieś rozwiązanie. Jest przekonana, że doznam objawienia.

– Nie rozumiem. Wiem, że coś jest nie tak, ale nie rozumiem co. Coś, co ma związek z pamiętnikiem Sarah. Czegoś w nim brakuje.

Czuję to, prawie widzę. Pokazuje się gdzieś w kątku oka, ale kiedy odwracam się, żeby spojrzeć wprost, to coś znika.

Nie ma tam czegoś, co powinno być.

Czegoś, czegoś, cze...

Sztywnieję i otwieram szeroko oczy. Zaczynam rozumieć, o co chodzi.

Tak się to właśnie odbywa. To końcowy efekt picia oceanu informacji, dowodów, rozważań, wniosków, możliwości i odczuć. To jak przesianie całej góry przez sitko, by uzyskać ziarnko piasku, ale jakże ważne ziarnko.

O mój Boże.

Nie brakuje czegoś.

Kogoś.

– Rozwiązałaś zagadkę, co? – mruczy Callie.

Udaje mi się kiwnąć głową.

Jeszcze nie do końca, myślę. Nie wiem wciąż wszystkiego. Ale to... tak, chyba już wiem.

Wiele rzeczy widać już wyraźniej i rysują się jeszcze straszniej.

Jesteś pewna, Smoky? – pyta mnie wicedyrektor Jones.

– Tak, dyrektorze.

– Nie podoba mi się to. Za dużo niewiadomych. Ktoś może zginąć.

– Jeśli nie zrobimy tego tak, jak mówię, możemy stracić zakładników, którzy wciąż mogą jeszcze żyć. Nie widzę innego wyjścia.

Długa pauza i w końcu głębokie westchnienie.

– Przygotuj się. I daj mi znać, kiedy mamy ruszyć.

– Dziękuję, dyrektorze. – Rozłączam się i patrzę na Callie. – Mamy zgodę.

– Nadal ciężko mi w to uwierzyć.

– Wiem. Ustalmy ostatnie fakty.

Bezpieczny dom, do którego Kirby przeniosła Elaine, Bonnie i Sarah, wygląda mało bezpiecznie. To dom w Hollywood, stary, zniszczony, po prostu rudera. I chyba w tym rzecz. Kiedy podchodzimy bliżej, Kirby otwiera drzwi i wciąga nas do środka. Wita z uśmiechem na twarzy i pistoletem zatkniętym za dzinsy. Wygląda jak szalona blond piratka.

– Cała paczka w komplecie – krzyczy. Przestała ukrywać wzrok zabójcy. Błądzi nim po dworze, a palcami stuka po kolbie pistoletu. Zamyka drzwi. – Cześć, Czerwona Soniu – mówi, szczerząc zęby, i wyciąga rękę. – Ty musisz być Callie. Jestem Kirby, ochroniarz. Czym się właściwie zajmujesz?

Callie bierze dłoń Kirby i obdarza kobietę uśmiechem.

– Rozjaśniam świat swoją obecnością.

Kirby kiwa głową i dostrzega wszystko.

– Hej, ja też. Zajebicie. – Odwraca się do wnętrza domu. – Pałka zapalka dwa kije. Możecie wyjść.

Pojawiają się Sarah, Bonnie i Elaina. Bonnie podchodzi do mnie i ściska mnie w pasie.

– Cześć, pączusiu. – Uśmiecham się.

Patrzy na mnie, na Callie. Widzę zaniepokojenie w jej wzroku. Callie rozumie, o co chodzi.

– Nic nam nie jest, to tylko brudny dym. Wystarczy trochę mydła i makijaż.

– Kochanie, Tommy dostał odłamkiem w ramię – mówię Bonnie. – Ale nic mu nie będzie. To nic poważnego.

Przygląda mi się i sprawdza, czy mówię prawdę. Ocenia mnie przez dłuższą chwilę. W końcu ściska mnie jeszcze raz.

Elaina jest zaniepokojona, ale widzę, że nie daje nic po sobie poznać przed dziewczynkami. A może tylko udają przed nią, że tego nie widzą.

– Cieszę się, że nikomu nic się nie stało – mówi Elaina. Niepokój widać, kiedy przez chwilę wykręca ręce. – Ale dlaczego musiałyśmy tu przyjechać?

– Na wszelki wypadek. Być może był to przypadkowy zamach. FBI ma przecież mnóstwo wrogów. Ale z naszych analiz wynika, że Obcy mógłby poważnie się na coś takiego.

Sarah robi krok do przodu. Kiedy się odzywa, wygląda na spokojniejszą, niż powinna być. – Kto to jest?

– Nazywa się Gustavo Cabrera. Ma trzydzieści osiem lat i pochodzi z

Ameryki Środkowej. Nie wiemy o nim wiele więcej.

Sarah patrzy w podłogę.

– I co teraz będzie?

Zerkam na Kirby i Callie. Obie wiedzą. Elaina nie wie.

– Teraz – odpowiadam – musimy porozmawiać. Sam na sam. Podnosi na mnie wzrok. Patrzy podejrzliwie. Wzrusza ramionami, próbując udawać obojętność, ale widzę napięcie w jej ramionach.

– Dobrze – zgadza się.

Podnoszę brwi, patrząc na Kirby.

– Z tyłu są dwie sypialnie – szczebioce. – Reszta dziewczyn zostanie tutaj, pogadamy sobie o spluwach i makijażu.

Podchodzę do Sarah, dotykam lekko jej ramienia. Patrzy na mnie i w jej pięknych oczach porusza się coś głębokiego, strasznego i przerażającego.

Czy ona wie? – zastanawiam się.

Chyba nie jest pewna, myślę. Ale się boi.

Zabieram ją do sypialni, zamykam drzwi i siadamy na łóżku. Przygotowuję się do zadania tego pytania.

Najtrudniej zobaczyć nie te dowody, które widać. Najtrudniej zauważyć to, czego nie ma, a być powinno. Nie dostrzegamy przeoczeń, bo z definicji ich nie widać. Właśnie ten brak tak zaniepokoił od samego początku Jamesa, a potem mnie, kiedy skończyłam czytać pamiętnik Sarah.

Kiedy uświadomiliśmy sobie, czego brakuje, i porównaliśmy to z tym, co wiemy o Obcym, wszystko stało się jasne. Owszem, to tylko podejrzenie jeszcze niepotwierdzone, ale byliśmy tego prawie pewni.

Czuliśmy to przez skórę, James i ja.

To miało sens.

To miało sens.

Zadaję jej to pytanie.

Sarah, gdzie jest Theresa?

W mgnieniu oka dziewczyna się zmienia. W oczach i na twarzy ma przerażenie, zaczyna kręcić głową.

– Nie, nie, nie, nie, nie – szepcze. – Proszę, ona... – Jej twarz wykrzywia się, cała twarz.

Jak mocno wyżymany ręcznik.

– ... Tylko ona mi pozostała... Jeśli ją stracę... wszystko przepadnie... przepadnie... przepadnie... przepadnie...

Zapada się w sobie. Obejmuje kolana, opuszcza głowę. Zaczyna kołysać się w przód i w tył. Wciąż kręci głową.

– On ją trzyma, prawda? – pytam.

Jamesa i mnie niepokoił zawity zlepek wspomnień i brakujących ziarenek piasku. Poczucie obecności Obcego. Miłość Sarah do Theresy. Wzięcie zakładniczki. Ścieżka, którą byliśmy prowadzeni.

Ale przede wszystkim całkowity brak Theresy w kolejnych częściach opowieści Sarah.

Theresa miała się nie kontaktować z Sarah, kiedy ta była w sierocińcu. W porządku.

Ale co się stało potem? Kochała Theresę i powiedziała nam, co działo się ze wszystkimi, których kochała. A co z Theresa?

– Sarah, odpowiedz mi.

Nie podnosi głowy, czoło opiera o kolana. Zaczyna mówić. Zaczyna biec, choć nie są to słowa, które przelewa na papier. Jeszcze jedna

wyprawa do źródła.

Opowieść Sarah

Prawdziwe zakończenie

Sarah przespała czternaste urodziny i miała to gdzieś. Obudziła się ze świadomością, że jest o kolejny rok starsza i nie zrobiło to na niej wrażenia.

Na niczym już jej nie zależało. Bo to było groźne. To mogło oznaczać cierpienie, a z cierpieniem sobie nie radziła.

Szła ostatnio po cienkiej linii. Tak samo jak przez ostatnich kilka lat. Złe doświadczenia nawarstwiły się w jej duszy i prawie ją wypełniły. Uświadomiła sobie, że jest o krok od popadnięcia w obłąd. Wystarczyłoby muśnięcie piórkiem, by poszybowała w otchłań szaleństwa. Ataki lot skończyłby się upadkiem.

Zrozumiała to pewnego ranka w sierocińcu. Siedziała na dworze, patrzyła w przestrzeń, nie myślała o niczym. Drapała się w swędzące ramię. Mrugnęła, raz, i tak minęła godzina. Bolało ją ramię. Spojrzała na nie i zobaczyła, że podrapała się do krwi.

Ta chwila zburzyła jej odrętwienie. Przeraziła ją. Nie chciała stracić zmysłów.

Czasami miewała też napady drżenia. Starła się wtedy być sama. Nie chciała okazywać swojej słabości innym dziewczynom. Wyczuwała, kiedy się to zbliżało: w żołądku pojawiały się mdłości, zaczynało jej się robić ciemno przed oczami. Kładła się wtedy na łóżku albo siadała na sedesie, obejmowała się rękoma i drżała. Kiedy do tego dochodziło, czas się zatrzymywał.

Potem wszystko przechodziło.

Bała się i miała ku temu powód. Pracowała teraz nad tym, żeby nie zwariować. Musiała nad tym pracować, by tak się nie stało.

Ale, przez większość czasu nie obchodziło jej nic. Wielki czarny staw wewnątrz niej bulgotał oleistą cieczą, wciąż głodny. Karmiła go wspomnieniami i co roku zatracala kolejny kawałek siebie.

Miała już czternaście lat. Czowała się, jakby przeżyła wieczność. Czowała się staro.

Wstała z łóżka, ubrała się i wyszła na dwór. Nie miała wiadomości od Cathy i gotowa już była wrzucić ją do wielkiego czarnego stawu, ale pomyślała, że mogłaby usiąść i zastanowić się jeszcze, nim to zrobi. Może Cathy jednak się pojawi. Może przyniesie Sarah torcik. Cathy starała się jak mogła, Sarah dobrze o tym wiedziała. Rozumiała wojnę, jaka toczyła się w sercu Cathy, walkę z bliskością. Nie zazdrościła jej tego.

Dzień był ładny. Słońce już wzeszło, ale wiała chłodna bryza, więc nie było za gorąco. Zamknęła oczy i odchyliła głowę, ciesząc się dniem.

Nagle głośno zatrąbił samochód, wrywając ją z zamyślenia. Kolejny klakson, natarczywy. Zmarszczyła brwi i spojrzała w stronę ulicy. Siedziała niedaleko płotu, który otaczał sierociniec, z dala od innych. Po prawej miała normalną ulicę miasta. Przy krawężniku stał samochód. Niebieskawy, amerykański, niezłe poobijany. Przy oknie od strony pasażera ktoś siedział.

Znów klakson, miała niemal pewność, że ktoś trąbi na nią. Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie Cathy, ale ona przecież jeździła toyotą. Wstała i podeszła do płotu. Spojrzała na samochód, skupiając wzrok na twarzy za brudnym oknem od strony pasażera.

Prawie ją widziała, młoda kobieta...

Twarz przysunęła się do okna i Sarah ujrzała ją wyraźnie. Krew zaczęła jej krążyć żywiej.

Theresa!

Sarah stała jak zahipnotyzowana. Nie była w stanie się ruszyć. Wiatr rozwiewał jej włosy.

Theresa była starsza...

(Tak, miałyby teraz dwadzieścia jeden lat)

... ale to była Theresa

(Bez wątpienia, przypatrz się lepiej, zapamiętasz ją na dłużej)

... i była przerażona, rozżalona i płakała.

Sarah dostrzegła cień za Theresa. Cień przybliżył się i rozpoznała twarz, twarz, która wyglądała jak stopiona pod pończochą. Widać było na niej uśmiech.

Sarah stała na czubku skały i wymachiwała ramionami, próbując zachować równowagę. Coś bulgotnęło w wielkim czarnym stawie, to była

(Głowa Bustera, martwy Buster, mamusia tuląca pistolet)

nadal machała rękoma, ale...

(O kurczę...)

Podniosła głowę w stronę błękitnego nieba i krzyczała, krzyczała, krzyczała.

Chyba minęło trochę czasu.

Sarah obudziła się i dziwiła, że nie oszalała. Przyszło jej też do głowy, że to chyba nie najlepiej. Może normalność jest przereklamowana.

Ręce miała przywiązane do łóżka. Stopy także. Łóżko wyglądało na szpitalne, szpitalne łóżka mają w sobie coś charakterystycznego.

Uśmiechnęła się na ten widok.

Naszprycowali mnie lekami. Niezłymi. Czuję się szczęśliwa i jednocześnie chcę się zabić. Tak, zdecydowanie jakieś leki.

Sarah obudziła się już tu kiedyś po śnie, z którego... holender... nie mogła się obudzić.

Zachichotała i znów straciła przytomność.

Siedziała na brzegu łóżka i próbowała zaplanować, jak to zrobi.

Dwa dni wcześniej odwiązali ją od łóżka. Trzymali ją w izolatce, ale już jej tak nie pilnowali. Po prostu aplikowali jej leki, ona udawała, że je bierze, a oni dali jej spokój. I dobrze. Dzięki temu miała czas, żeby zaplanować samobójstwo.

Jak się zabić? Wymieńmy sposoby.

To musi być coś, co nie pozwoli, by ją uratowano.

Długo się nad tym zastanawiała. W końcu uświadomiła sobie, że najpierw musi się stąd wydostać. Tu jej nigdy nie dadzą umrzeć. Irytujące, ale to prawda.

Będzie musiała ich przekonać, że już nad wszystkim panuje, że może wrócić do

(Możecie przewracać oczami, ludziska)

zdrowego otoczenia w sierocińcu.

Nie ma sprawy. To nie będzie takie trudne. Specjalnie się nie przykładali tutaj do obserwacji.

Sarah wróciła do sierocińca tydzień później. Chuda Janet ucieszyła się na jej widok i uśmiechnęła. Sarah pomyślała o Janet, o tym, jak znajdzie ją

wiszącą na linie przeciągniętej pod belką, i odwzajemniła uśmiech.

Sarah stwierdziła w sypialni, że jej łóżko zajęła jakaś nowa dziewczyna. Szybko wyjaśniła, jak wygląda właściwy porządek. Uczyniła to, łamiąc dziewczynie palec wskazujący i wyrzucając ją i jej łachy na środek sali. Sarah nie była zła – dziewczyna była nowa. Nie wiedziała tego, co wiedziały wszystkie inne – nie zadzieraj z Sarah.

Popatrzyła na dziewczynę, która trzymała się za palec i wyła. Pomyślała: teraz już wiesz.

Odwróciła się na łóżku i odseparowała od jęku dziewczyny. Miała teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład własną śmierć.

Kilka godzin później wciąż o tym myślała. Do jej łóżka podeszła jedna z dziewczyn. Wyglądała na zdenerwowaną i onieśmioną.

– Czego? – zapytała Sarah.

– Poczta. – Dziewczyna naprawdę się bała.

Sarah zmarszczyła brwi.

– Do mnie?

– Aha.

– Noto dawaj.

Dziewczyna podała Sarah białą kopertę i uciekła.

Sarah spojrzała na kopertę, rozpoznała fałszywą banalność białego papieru i domyśliła się, co jest w środku.

To od niego.

Pomyślała, że może lepiej to wyrzucić. W ogóle nie otwierać.

Akurat.

Przeklinając samą siebie, otworzyła kopertę. W środku znajdowała się pojedyncza biała kartka. List był napisany na komputerze i wydrukowany

na drukarce atramentowej. Anonimowy, zupełnie jak on. Złowieszczy, zupełnie jak on.

Najserdeczniejsze, choć spóźnione życzenia urodzinowe, Sarah.

Pamiętasz moją pierwszą lekcję o możliwościach wyboru? Jeśli tak (a jestem pewien, że pamiętasz), to przypominasz sobie obietnicę, jaką złożyłem twojej matce, i wiesz, że jej dotrzymałem. Pomyśl o tym, kiedy będziesz czytać dalej te słowa.

Theresie nic nie dolega. Nie powiem, że ma się dobrze – szczerze mówiąc, jest lekko przygnębiona, ale zdrowa. Mieszkamy razem od jakichś trzech lat.

Pragnie cię znowu zobaczyć i chciałbym, żeby tak się stało. Ale nie spotkasz się z nią, póki jesteś tam, gdzie jesteś.

Daj nam znać, kiedy znowu trafisz do rodziny zastępczej, będziemy w kontakcie.

Bez podpisu.

Napisał to tak, że gdyby list przeczytał ktoś inny, uznałby go za dziwny, ale niewinny. Sarah zrozumiała jego pełne znaczenie, Obcy był pewien, że ona to pojmie.

Theresa żyje. Będzie żyła, dopóki będę robiła, co on mi każe. Chce, żebym znów trafiła do rodziny zastępczej i czekała.

Sarah ostatnio wzbraniała się przed pójściem do rodziny zastępczej, ale wiedziała, że wystarczy dać znać Janet, że jest tym zainteresowana, a potem uśmiechnąć się, kiedy zjawią się kandydaci na rodziców. Była ładna, była dziewczynką. Małżeństwa zawsze chciały ją brać do siebie w

nadziei na późniejszą adopcję.

Pojawiła się w niej niechciana myśl.

Co się z nimi potem stanie? Z tymi, którzy mnie przygarną?

Czuła, że wzrok jej ciemnieje, a w żołądku narastają mdłości.

Odwróciła się do ściany, objęła ramionami i zaczęła drzeć.

Godzinę później zniszczyła kartkę i poszła do Janet.

Odwiedził ją pewnego dnia u Kingsleyów, mniej więcej po roku, kiedy w domu nie było nikogo poza nią. Rodzina gdzieś wyjechała, a ona nie czuła się dobrze (tak przynajmniej powiedziała – nie chciało jej się zbliżyć do ludzi, których prędzej czy później czekała śmierć).

Michael już zaczął ją wykorzystywać. Początkowo bała się swojej reakcji. Musiała tu zostać, dla Theresy. Musiała czekać. Ale co będzie, jeśli Michael ją tknie, a jej po prostu odbije?

Tak się nie stało. Nienawidziła Michaela, to prawda, ale najważniejsze, że nie był dorosły. Nie wiedziała, dlaczego to dla niej takie ważne. Ważne też było, że Obcy prawdopodobnie i tak zabije Michaela. Na tę myśl się uśmiechała. Kiedyś zaczęła się uśmiechać po stosunku i Michael to zauważył.

– Z czego się tak cieszysz?

Myślę o tym, jak umierasz, odpowiedziała w duchu.

– Z niczego – wykrztusiła.

Jeśli tylko potrafiła, nie myślała o Deanie i Laurel. Laurel nie była tak niesamowitą mamą, jak Desiree, ale nie była najgorsza. Zdarzały jej się chwile prawdziwej troski, chwile, kiedy Sarah czuła, że Laurel naprawdę zależy na jej dobrym samopoczuciu. Sarah starała się więc trzymać na uboczu.

Siedziała w pokoju przy komputerze, kiedy pojawił się Obcy. Było wczesne popołudnie. Miał pończochę na twarzy. Uśmiechał się. Jak zawsze.

– Witaj, Mała Cierpiętnico.

Nie odezwała się. Czekala. Ostatnio to właśnie robila. Mało mowila, jeszcze mniej czula i czekala. Podszedł i usiadł na łóżku.

– Dostałaś mój liścik i uwierzyłaś mi. To bardzo dobrze, Sarah, bo mówiłem prawdę. Theresa żyje i to właśnie dzięki tobie.

Odzyskała głos.

– Zrobiłaś jej krzywdę?

– Tak. A kiedy tu skończymy, skrzywdzę ją jeszcze bardziej. Ale dopóki będziesz robiła, co każę, nie zabiję jej.

Sarah czula, że przez jej wewnętrzne gruzowisko pełnie coś nowego. Dłuższą chwilę zastanawiała się co, aż nagle zrozumiała. Nienawiść. Czula nienawiść.

– Nienawidzę cię – powiedziała. W głosie nie było słycać gniewu. Brzmiał normalnie. Jak głos kogoś, kto mówi prawdę.

– Wiem – przyznał. – A teraz posłuchaj mnie. Powiem ci, co masz zrobić. Kiedy skończę, odpowiesz mi.

Sarah podniosła głowę z kolan i patrzy na mnie. Widzę w niej wyczerpanie, które mnie niepokoi. To twarz kogoś, kto już się poddał.

– Co ci powiedział? – pytam.

Pilnuję się, by w moim głosie nie zabrzmiało nic, absolutnie nic, co mogłaby wziąć za ocenę.

Odwraca wzrok.

– Powiedział mi, że potrzebuje hasła do komputera Michaela. Powiedział mi, że zamierza wystawić policji niewłaściwego człowieka i że mam mu w tym pomóc. Pisząc mój pamiętnik. I prosząc o spotkanie z tobą.

– Chciał, żebyś poprosiła konkretnie o mnie?

Mówi beznamiętnie:

– Tak.

– Co miał na myśli, mówiąc o niewłaściwym człowieku?

– Powiedział mi, że czeka go jeszcze trochę pracy. Nie wiem, co miał na myśli. Powiedział, że w pewnej chwili miał zamiar się poddać, ale potem zmienił zdanie.

Analizuję to. Dwie myśli:

Pierwsza: James miał rację co do niego.

Druga: To nie Cabrera.

Potem pytanie:

Jaki związek ma z tym Cabrera?

– Czy powiedział ci coś jeszcze?

Patrzy na mnie i ocenia mnie, bada. Jak ktoś, kto ma do wyjawienia ogromną prawdę, ale waży ryzyko, jakie niesie ze sobą ujawnienie tej prawdy.

– Sarah. Rozumiem, co ci zrobił. Zrobił ci to samo, co zrobił twojej mamie, Cathy Jones i wszystkim innym. Zabrał kogoś, kogo kochasz, i wykorzystał to, żeby cię zmusić do różnych rzeczy, żebyś się godziła na różne rzeczy. – Patrzę jej w oczy. – To nie twoja wina. Niczego ci nie zarzucam. Musisz na mnie spojrzeć, posłuchać i uwierzyć w to, co mówię.

Twarz zaczyna jej czerwienić. Nie wiem, czy z żalu, czy z gniewu.

– Ale... ale ja wiedziałam! Wiedziałam, że przyjdzie i zrobi to Deanowi, i Laurel i Michaelowi. I... – Bierze głęboki oddech. – ... Kiedy zmusił mnie do podcięcia gardła Michaelowi, myślałam tylko o tym, jak się uśmiechałam, jak u... u... u... u... umiera, a potem okłamałam cię i... i... i... ten człowiek, który zrobił wybuch w waszym budynku, ktoś został ranny, ktoś zginął i... – Twarz jej blednie. – ... Mogłam go tu przyprowadzić. Mogłam skrzywdzić Bonnie i Elaine... Wiedziałam.

– Chciał, żebyś wiedziała, Sarah – mówię.

Sarah wstaje i chodzi, w tę i we w tę, łzy ciekną jej po twarzy.

– Smoky, jest coś jeszcze. Powiedział mi, że jeśli zrobię to, co każe, to je wypuści.

– Kogo?

– Theresę i inną dziewczynę. Mówił, że nazywa się Jessica. Opadają mi ramiona. Czuję gniew i niepokój jednocześnie. Obarczył Sarah odpowiedzialnością za życie tylu osób, wrzucił na jej barki ogromne brzemie i wór sytuacji bez wyjścia, z którymi musiała żyć.

Myślę o odciskach stóp w domu Kingsleyów i powraca moje

wcześniejsze pytanie o Cabrerę. Może jest w to zamieszany dlatego, że też ma blizny na stopach? Może miał do wyrównania jakieś własne rachunki?

– Czy był tam jeszcze ktoś, Sarah? U Deana i Laurel?

– Nikogo nie widziałam.

Może Cabrera był tam, ale go nie widziałaś. Może miał tylko stanąć bosy na terakocie.

– Jest coś jeszcze, Sarah? Coś, o czym powinnam wiedzieć?

Znów to spojrzenie. Badające.

– Chciał, żebym zrobiła jeszcze coś po tym, jak zabijecie niewłaściwego człowieka. Ostatnią rzecz, a potem miał ją wypuścić.

– Co?

– Chciał, żebym się z nim pieprzyła.

Patrzę na nią i przez chwilę nie mogę wydobyć słowa. No proszę, myślę. Wisienka na torcie słodkiego cierpienia.

Na tej młodej ale starej twarzy pojawia się nowa mina. Wyraz determinacji zmieszanej z chłodem. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, gdzie to widziałam.

U Kirby.

Tak właśnie wygląda Kirby, kiedy nie ukrywa swoich prawdziwych oczu.

– Powiedział, że to, co ma się stać, stanie się w ciągu mniej więcej tygodnia. Miałam zrobić to, co chciał, upewnić się, że Theresa jest bezpieczna, a potem zabić jego, a na końcu siebie.

Mówi z taką pewnością, że nie wątpię w jej słowa.

– Theresa musi przeżyć, Smoky. – Znów siedzi na brzegu łóżka i ukrywa głowę między kolanami. – Przepraszam. Za to, co zrobiłam. To

moja wina, że Dean, Laurel i Michael nie żyją. To moja wina, że był u was wybuch. Jestem zła. Jestem złym człowiekiem.

Zaczyna się kołysać, w przód i w tył, w przód i w tył.

Otwierają się drzwi. Elaina.

– Podśluchiwałam – mówi, wcale nie przepraszając. Podchodzi do Sarah, która próbuje się odsunąć. Elaina nie zważa na to i chwytą dziewczynę, przytulając ją najmocniej, jak potrafi, choć ona się rzuca. – Posłuchaj mnie – odzywa się Elaina mocnym głosem. – Nie jesteś złym człowiekiem. Nie jesteś wcieleniem zła. I cokolwiek się stanie, cokolwiek się stanie, masz mnie. Rozumiesz? Masz mnie.

Elaina nie próbuje jej wmówić, że wszystko jest pięknie. Mówi jej tylko, że nie jest sama.

Sarah nie odwzajemnia uścisku Elainy, ale przestaje się wyrywać. Nie podnosi głowy i drży, a Elaina gładzi ją po włosach.

Siedzę z Kirby i Callie przy staromodnym stole kuchennym z blatem z formiki. Wicedyrektor Jones i Alan rozmawiają z nami przez komórkę, włączyłam tryb głośnomówiący. Opisuję wszystkim moją rozmowę z Sarah.

– Mamy poważny problem, dyrektorze – mówię. – Właściwie nawet kilka problemów, ale jeden szczególnie duży. Nawet jeśli znajdziemy sposób, jak zdjąć Cabrerę i go nie zabić, to nie mamy ani cienia dowodu przeciwko Obcemu. Nie wiemy, kim jest. Nigdy nie pokazał Sarah twarzy. I podejrzewam, że odciski stóp u Kingsleyów należą nie do niego, tylko do Cabrery.

– Ale może Cabrera wie, kim on jest – zauważa Alan.

- To prawda – odpowiadam. – Ale jeśli nie, to mamy problem.
- Zajmuj się tym, co masz pod ręką – mówi wicedyrektor Jones.
- Tak jest.
- A więc jak? Cabrera ma być kozłem ofiarnym?

– Nie tylko kozłem ofiarnym. Martwym kozłem ofiarnym. Jestem przekonana, że ma za zadanie popełnić samobójstwo na oczach policji. Pewnie w swoim domu. Jestem pewna, że jeśli go zabijemy, znajdziemy liczne dowody na to, że to nasz morderca.

- A prawdziwy ptaszek poleci sobie wolno – wtrąca się Kirby.

W słuchawce słychać ciszę. Wicedyrektor zastanawia się nad tym wszystkim.

- Więc jaki jest plan?

Wyjaśniam mu.

Zasypuje mnie pytaniami, zastanawia się jeszcze przez chwilę, wysuwa kolejne wątpliwości.

– Zgoda – mówi w końcu. – Ale uważajcie. Smoky? Pamiętaj, że zabił trzech agentów. Liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo moich ludzi. Jego bezpieczeństwo jest na samym końcu. Rozumiesz, co mówię?

- Tak, dyrektorze.

Oczywiście, że rozumiem. Każe mi zabić Cabrerę, jeśli w ten sposób ocalę życie komuś z Biura.

- Zwołam antyterrorystów. Przyjeżdżajcie tutaj i ruszajmy z tą akcją.

– Więc nie ma pan nic przeciwko udziałowi Kirby, dyrektorze? – Nie wiem, czy nie mam nic przeciwko, ale zgadzam się na ten plan.

Kirby ma dość oleju w głowie, żeby siedzieć teraz cicho, ale uśmiecha się do mnie szeroko i ustawia kciuk do góry. Jest szczęśliwa jak dziecko,

które dostało wyczekiwany urodzinowy prezent.

– Do zobaczenia jak najszybciej. – Rozłączam się.

– Ponieważ zostaję tu na dyżurze ochroniarza – rzuca oschle Callie – to mam tylko jedno pytanie.

– O co biega, Cal? – pyta Kirby.

– Gdzie jest ekspres do kawy?

Kirby wzrusza ramionami.

– Złe wieści, Cal. Nie ma tu kawy. Poza tym kawa szkodzi. Tyle w niej chemikaliów. Fúj.

Callie patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Jak śmiesz krytykować moje przekonania religijne?

Jak zwykle żartuje, ale wydaje mi się, że słyszę napięcie w jej głosie. Przyglądam się uważnie i widzę, że lekko pobladła. Po raz pierwszy wydaje mi się, że rozumiem, jaką nieustanną walkę musi prowadzić. Ból nie ustaje, ona z nim walczy, ale ból zbiera swoje żniwo.

Zabawne, że ze wszystkich koszmarnych rzeczy, jakie ostatnio widziałam czy przeczytałam, to właśnie uderza mnie najboleśniej: myśl, że coś powoli niszczy Callie.

Wchodzę do sypialni. Sarah przestała drzeć, ale wygląda okropnie. Zniknęło wszystko, czego kurczowo trzymała się przez te wszystkie lata. Rozpada się na kawałki. Elaina głaszcząc ją po włosach, a Bonnie trzyma za rękę.

Mówię jej, co robimy. Oczy Sarah się ożywiają.

Właściwie ożywiają się nieco.

– Czy to się uda? – pyta.

– Myślę, że tak.

Patrzy na mnie naprawdę uważnie.

– Smoky... – cichnie na chwilę. – Cokolwiek się stanie, nie pozwól mu skrzywdzić siebie ani nikogo innego. Nawet jeśli to oznacza... – Głos jej się łamie. – ... że nie wszystko pójdzie tak, jak chcę. Nie mogę być już dłużej za to odpowiedzialna. Już nie. Już nie.

– Nie jesteś za to odpowiedzialna, Sarah. Przestań. Teraz to nasza sprawa.

Odwraca wzrok i nic już więcej nie mówi. Bonni patrzy mi w oczy i przekazuje wiadomość.

Uważaj na siebie.

Uśmiecham się.

– Zawsze uważam.

Elaina kiwa do mnie łysą, cudowną głową i całe swoje wewnętrzne piękno przelewa z powrotem na Sarah. Jeśli ktoś może przywrócić do życia duszę tej dziewczyny, to tylko ona.

Kirby staje w drzwiach.

– Gotowa? – pyta, jak zwykle rozszczebiotana.

Nie do końca, myślę. Ale ruszajmy.

FBI ma w każdym regionie własny oddział antyterrorystów. Podobnie jak antyterroryści z policji codziennie ćwiczą, chyba że zostają wezwani na prawdziwą akcję. Cały czas balansują na ostrzu noża i to po nich widać.

Oddziałem dowodzi agent o nazwisku Brady. Nie znam jego imienia, wiem tylko, że to Brady. Ma czterdzieści kilka lat. Ciemne włosy, ostrzyżone na krótko, po wojskowemu. Jest wysoki, bardzo wysoki, ma około metra dziewięćdziesięciu. W kontaktach bardzo rzeczowy, ani przyjazny, ani wrogi. Uścisk dłoni Brady'ego przypomina trochę włożenie ręki w imadło.

– To twój spektakl, agentko Barrett – mówi. – Powiedz nam, co mamy robić.

Siedzimy w sali konferencyjnej na piętrze pod moim gabinetem. Wszyscy mają ponure miny. Poza Kirby. Gapi się na sześciu członków oddziału antyterrorystycznego takim wzrokiem, jakby to było kilka smakowitych wielkich gorących ciastek z kremem.

– Gustavo Cabrera – zaczynam i rzucam na stół jego dużą fotografię wydrukowaną u nas. – Trzydzieści osiem lat. Mieszka w domu na wzgórzach Hollywood. Wielki stary dom na ponadpółtorahektarowej działce.

Jeden z antyterrorystów gwizdże.

– To musi być warte kupę szmalu.

– Mamy mapy tego miejsca i plany domu. – Rzucam je na stół. – Sytuacja wygląda tak. Potrzebujemy go żywego. Ale wiemy na pewno, że

kazano mu się zabić. Prawdopodobnie ma też spory arsenał i podejrzewam, że będzie robił wszystko, żeby to wyglądało autentycznie.

– Super – mówi oschle Brady.

– Na dodatek my też musimy się postarać, żeby to wszystko wyglądało wiarygodnie. Nie chcemy zabić Cabrery, ale musimy przekonać Obcego, że go zabiliśmy.

– A jak konkretnie mamy to zrobić? Oczywiście nie dając się wystrzelać jak kaczki?

– Chłopcy, trzeba odwrócić jego uwagę – wyjaśnia Kirby, wychodząc krok do przodu. – Odwrócić uwagę.

– A ty kim, do cholery, jesteś? – pyta Brady.

– Blondynką ze spluwą – rzuca chrapliwie, dość udanie go przedrzeźniając.

– Niech się pani nie obrazi – odzywa się jeden z młodszych antyterrorystów – ale pudełek mojej dziewczyny wygląda groźniej od pani.

Kirby uśmiecha się do młodego antyterrorysty i puszcza do niego oko.

– Naprawdę?

Podchodzi do niego. Na naszywce munduru widać nazwisko Boone. Jest zwalisty, umięśniony i bardzo pewny siebie. Klasyczny samiec alfa.

– A co powiesz na to, Boone – zagaduje do niego.

Wszystko dzieje się w mgnieniu oka. Wbija Boone'owi pięść w splot słoneczny. Oczy wychodzą mu na wierzch, upada na kolana i nie może złapać tchu. Nim pozostali członkowie drużyny zdążyli zareagować, Kirby już wyciągnęła pistolet i szybko wycelowała lufę w każdego z nich, mówiąc:

– Bum, bum, bum, bum...

– Bum – wpada jej w słowo Brady. Zdołał wyciągnąć pistolet i skierować go w stronę Kirby, nim ona wycelowała w niego.

Kirby stoi w tej pozie przez chwilę i się zastanawia. W końcu uśmiecha się i chowa broń. Nie zwraca uwagi na Boone'a, któremu wrócił już oddech i który łąpczywie chwyta powietrze.

– Całkiem niezłe, staruszkule – mówi Kirby. – Pewnie dlatego jesteś tu szefem, co? Zajebicie.

Brady uśmiecha się do niej. Czuję się, jakbym obserwowała dwa wilki, które się obwąchują.

– Wstawaj, Boone – warczy Brady. – I wyluzuj.

Młody antyterrorysta zbiera się z podłogi. Rzuca Kirby mordercze spojrzenie. Ta grozi mu paluszkami.

– Koniec już tego pokazu testosteronu? – pyta wicedyrektor Jones. – Zarówno w męskim, jak i damskim wykonaniu?

– To on zaczął – zauważa Kirby. – Gdyby był miłszy, dotknęłabym go zupełnie gdzie indziej.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Nawet Boone się uśmiecha, wbrew woli. Widzę, jak Brady mierzy ją wzrokiem i dochodzi do tego samego wniosku co ja. Kirby to nie tylko dobry żołnierz. To dobry materiał na dowódcę. Na swój własny ryzykowny sposób zdołała rozładować napięcie w sali, rozluźnić atmosferę i zarazem zmusić facetów, żeby ją polubili i zaczęli szanować. To robi wrażenie.

– A więc jak masz na imię? – pyta Brady.

– Kirby. Ale możecie do mnie mówić Zabójca, jeśli chcecie. – Obdarza go uśmiechem. – Moi przyjaciele tak mówią.

– Dużo masz przyjaciół?

– Nie.

Kiwa głową.

– Tak jak ja. Więc wyjaśnij, co masz na myśli, mówiąc o odwróceniu uwagi.

– Proszę bardzo. Ty i twój oddział zabójczych macho uderzacie od frontu, tak jak stoi w podręczniku. Krzyczycie przez megafon: „Poddaj się! Poddaj się!” I takie tam. Robicie to, żeby go czymś zająć, tymczasem ja i Smoky wchodzimy od tyłu.

– Oczywiście po cichu?

– Gładziutko jak po wewnętrznej stronie moich ud. A tam jest naprawdę gładziutko, panie Brady.

– Noo... tak. I uważasz, że on nie będzie pilnował tyłów?

– Może. Ale właśnie dlatego musicie narobić trochę wybuchów.

Brady unosi brew.

– Że co proszę?

– Narobić wybuchów. No wiesz, wielkie bum.

– Jak twoim zdaniem mamy to zrobić?

– Nie możecie zrzucić przed domem bomby czy coś?

Brady patrzy na Kirby i myśli. Kiwa głową.

– Dobrze, młoda. Wszystko to brzmi sensownie. Ale myślę, że możemy to zrobić jeszcze lepiej i nie będziemy musieli... jak to powiedziałaś? „Narobić wybuchów”.

Kirby wzrusza ramionami.

– Wszystko jedno. Myślałam, że lubicie wybuchy.

– No pewnie, że lubimy – zapewnia ją. – Próbujemy ich jednak unikać, jeśli nie są konieczne. To denerwuje sąsiadów. – Pochyliła się nad stołem i

rozkłada mapę działki. – Proponuję coś takiego. I tak będziemy mieli problem z wielkością terenu, jeśli będziemy się poruszać pieszo. Zobaczy nas z odległości kilometra. Ba, może nawet zabezpieczył się minami, cholera wie. Uderzymy na niego z powietrza.

– Ze śmigłowca? – pyta Alan.

– Tak. – Wskazuje miejsce przed domem. – Będziemy tu krążyć pod pewnym kątem. Trudniej będzie mu strzelać. Musimy tylko liczyć na to, że nie ma jakiejś bazooki albo czegoś podobnego. Pokryjemy cały teren ogniem. Takim z przytupem, myślę, że uda nam się zabrać działka kaliber 50 i trochę granatów dymnych. Zwrócimy na siebie jego uwagę. Będzie miał wrażenie, że na jego trawniku wybuchła III wojna światowa.

– Zajeście – mówi Kirby.

– No. A tymczasem wy dwie przedrzecie się od tyłu. Na wasz znak wpuścimy do domu gaz łzawiący. Wchodźcie i... – Rozkłada ręce.

– I miejmy nadzieję, że nie będziemy musiały zabić tego biedaka – kończy za niego Kirby.

Brady patrzy na mnie.

– I co ty na to?

– To naprawdę kiepski pomysł – mówię. – Ale najlepszy w tych warunkach. – Zerkam na zegarek. – Jest czwarta. Za ile możecie być gotowi?

– Jesteśmy w powietrzu za pół godziny. A wy? Potrzebujecie kamizelek i masek.

– Ja dziękuję za kamizelkę – wtrąca Kirby. – Tylko krępuje mi ruchy. Ale o maskę poproszę.

– W końcu to twój pogrzeb. – Brady wzrusza ramionami.

Klepie go w ramię.

– Nie uwierzysz, ile razy już to słyszałam.

Tak jak wczoraj Alan, Brady robi zdziwioną minę i rozciera ramię, gdzie go klepnęła.

– Au.

– Każdy tak mówi – drwi Kirby. – To co, idziemy postrzelać? – Podnosi pistolet, którym wcześniej wymachiwała. – Nowa broń – wyjaśnia. – Muszę ją rozstrzelać.

57

W przeciwieństwie do Kirby ja chciałam włożyć kamizelkę. Rozumiem, czemu ona jej nie chce, ale mnie brak zęba drapieżnika. Kirby jest do tego stworzona, do kopania w drzwi, wpadania do domów, w których unosi się gaz łzawiący i świszczą kule. Kirby nie ma swojej Bonnie, która na nią czeka. A ja mam.

– To cholerstwo zupełnie spłaszczy mi włosy – stwierdza, przyglądając się masce.

Kulimy się za murem otaczającym posiadłość od tyłu. Mur jest wysoki – ma około metra osiemdziesięciu. Nie zamierzamy wspinać się na niego po sznurze. Każda z nas ma wysoką na metr dwadzieścia drabinkę.

Proponowano nam karabiny maszynowe MP5, ale odmówiliśmy. „Trzymaj się tego, co znasz”, mówi stare powiedzenie specjalistów od taktyki. Znam dobrze moją broń, moją błyszczącą czarną berettę, znam ją na pamięć. Kirby żartowała, że MP5 nie pasuje jej do dzisiejszego stroju, ale wiem, że odmówiła z tego samego powodu: noś jak najmniej broni i

tylko taką, która ci odpowiada. Ona też ma pistolet.

– Gotowa, żeby skopać komuś tyłek – mówi Kirby cicho do laryngofonu.

– Zrozumiałem – odpowiada po chwili Brady. – Armagedon zacznie się dwie minuty po moim sygnale. Raz, dwa, trzy. Start.

– Aha, zsynchronizujemy zegarki – szepcze Kirby. – Kirby, zaczęliśmy odliczanie – mówi w słuchawce Brady. – Rozumiesz?

– Tak jest, szefie. – Patrzy na mnie i się uśmiecha. – Hej, Boone. Nadal uważasz, że nie jestem groźna?

– Już nie, PL – słyszymy rozbawiony głos Boone'a. PL to Plażowa Laska. – Moim zdaniem jesteś trucizną w ślicznym papierku.

Kirby sprawdza broń i się przekomarza. Nie chce mi się w tym uczestniczyć. Czuję kręcenie w żołądku i jestem tak naładowana, że zastanawiam się, czy zaraz nie posypią się ze mnie iskry.

Przynajmniej ręce ci się nie pocą, myślę.

Tak jest zawsze. Niezależnie od stawki, choćby nie wiem jak było groźnie, przy strzelaniu nigdy nie pocą mi się ręce i nigdy nie drżą.

– Czterdzieści sekund do rozpierduchy – sygnalizuje Brady znudzonym głosem.

Myślę o Gustavo Cabrerze w środku domu. Zastanawiam się, czy ściska broń, patrząc przez okno. Ręce mu drżą czy nie? O czym myśli?

– Trzydzieści sekund – melduje Brady.

– Jak się czujesz? – pyta mnie Kirby.

Mówi swobodnie, ale mierzy mnie wzrokiem. Ocenia. Aktywa czy pasywa?

Wyciągam przed siebie rękę. Pokazuję jej, że ani drgnie.

Kiwa głową.

– Zajebicie.

– D-Day za piętnaście sekund.

Kirby jeszcze raz zerka na broń i coś nuci. Dopiero po chwili rozpoznaję co. *Yankie Doodle Dandy*. Widzi, że patrzę na nią.

– Lubię klasykę. – Wzrusza ramionami.

– Dziesięć sekund. Wszyscy na miejsca. Stajemy na pierwszym stopniu naszych drabinek. Moje endorfiny wracają i prowadzą ze sobą przyjaciół.

(Strach i euforia, euforia i strach)

– Pięć sekund. Za chwilę otwieramy bramy piekła.

– Dawaj, tatuśku – rzuca Kirby, pełna humoru, choć w jej oczach zabójcy czają się płomienie.

Kiedy rozlegają się strzały z broni maszynowej, są niewiarygodnie głośne, nawet z tej odległości.

– Teraz my! – krzyczy Kirby.

Wspinamy się po drabinkach i wskazujemy na mur. Odwracamy się i zwieszamy z muru jak ktoś, kto ćwiczy podciąganie, w końcu spadamy na ziemię po drugiej stronie. W prawdziwych akcjach nikt nie skacze z przewrotną. Łatwo wtedy skreślić kostkę.

Ogień z broni maszynowej trwa, widzę też jakieś rozbłyski nad dachem domu. Słyszę łopaty śmigłowca i serię głośnych wybuchów, to zapewne granaty rozblyskowe. Biegając, słyszę też inny hałas. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, co to jest. To odpowiedź z broni automatycznej.

Biegniemy z Kirby na złamanie karku w stronę tylnej ściany domu. Jest ode mnie szybsza o jedną, dwie długości ciała. Nie spowalnia jej kamizelka ani wiek.

Dom jest mniejszy, niż można by sądzić po wielkości działki. Z planów wynika, że ma prawie trzysta metrów kwadratowych, wszystko na jednej kondygnacji. Od tyłu widać drzwi prowadzące przez niewielki korytarzyk do kuchni. Stajemy przy nich. Oddycham ciężko i głęboko. Kirby wygląda, jakby w ogóle się nie zmęczyła.

– Szefie, jesteśmy na miejscu – mówi do Brady’ego.

– Zrozumiałem. Idziemy na całość.

„Idziemy na całość” oznacza, że zaczną orać trawę od frontu ogniem maszynowym, jakby miało nie być jutra. Potem mają się pojawić granaty rozbłyskowe, a w końcu przez okna od frontu zostaną wrzucone pojemniki z gazem łzawiącym.

– Czas przyklepać sobie fryzurę – stwierdza Kirby i mruga do mnie.

Wkładamy maski. Z magazynu antyterrorystów. Dają szeroki kąt widzenia, także z boku. Ale mimo wszystko to tylko maski przeciwigazowe. Natychmiast czuję pot na czole.

– Zaczynamy – mówi Brady.

Wydawało mi się, że do tej pory było głośno. Ale to nic w porównaniu z hukiem, jaki rozległ się, kiedy Brady dał sygnał, że „idziemy na całość”.

Przez powietrze przetacza się grzmot dwóch karabinów maszynowych kaliber 50. Chwilę później wybuchają granaty rozbłyskowe, jeden po drugim, bez przerwy. Słyszymy brzęk tłuczonego szkła.

Kirby kopie w drzwi i wpadamy do środka. Czuję tylko gumowy smród maski, ale w domu jest pełno dymu i oparów. Cabrera ostrzeliwuje się z automatu, a huk w domu słychać bardzo donośnie. Nie ma mowy, żeby usłyszał coś więcej.

Kirby idzie do przodu z bronią przed sobą. Podążam za nią, też gotowa

do strzału. Pełzniemy w stronę miejsca, skąd słychać strzały. Wciąż wybuchają granaty. Przechodzimy przez kuchnię, docieramy do drzwi prowadzących do salonu i frontowej części domu. Stajemy po obu stronach drzwi i zaglądamy do środka.

I co my tu mamy? – myślę. Czysta jatka.

Cabrera stoi oświetlony słońcem. Pochylił się i strzela pod kątem, zapewne w stronę śmigłowca. Stoi tyłem do nas i od czasu do czasu drży, kiedy naciska spust. Jak widzę – M16. Stoi pośród potłuczonych szyb.

Do tego miejsca plan był mało elegancki, ale prosty. Jak stwierdziła Kirby: „Spróbujcie zabawić tego dupka”.

Patrzę na Kirby, ona patrzy na mnie. Widzę, że mruży oczy z uśmiechem. Kiwam głową.

Nie zostało nam wiele czasu. Cabrera zaraz zacznie się zastanawiać, dlaczego chłopcy Brady’ego tak kiepsko strzelają. Wyczuje pułapkę.

Kirby puszcza się biegiem w stronę Cabrery. Biorę głęboki oddech w masce i pędzę za nią.

Cabrera reaguje instynktownie. Obraca się ze swoim M16. Otwiera szeroko oczy i patrzy ponuro. Kirby nie zwalnia, pędzi wprost na niego. Podbija mu broń do góry w chwili, kiedy padają strzały. Kule rozcinają sufit. Trzymam broń gotową do strzału, wodzę nią w tę i we w tę, szukam pozycji do ataku, podczas gdy Kirby i Cabrera walczą ze sobą.

– Cholera jasna, Kirby – krzyczę. – Zejdź mi z linii ognia!

Głos stłumiony przez maskę tonie pośród wywołanej przez człowieka burzy.

Kirby próbuje podnieść pistolet. Cabrera porzuca M16 i uderza ją jedną ręką w nadgarstek, a drugą sięga do gardła. Kirby blokuje uderzenie w

krtań, ale traci broń. Cabrera ma oczy czerwone od gazu łzawiącego i kaszle, ale nie przestaje walczyć.

– Kurwa – mruczę. – Kurwa! – krzyczę w końcu, przykucając, wstając, wodząc lufą. Serce wali mi, wali jak oszalałe, ale ręce mi się nie pocą.

Kirby szybkim kopniakiem próbuje dosięgnąć go w kroczu. Mężczyzna odsuwa nogę, przyjmuje kopniak na udo i wierzchem dłoni uderza Kirby w policzek. Ona zatacza się do tyłu z głową odrzuconą w bok.

Czas zamiera.

Wreszcie!

To potknięcie pozwala mi oddać czysty strzał, więc strzelam mu w ramię.

Jęczy i upada na kolano. Kirby podchodzi i wali go pięścią w twarz – raz, dwa, trzy razy, a potem staje za nim, kiedy Cabrera próbuje wstać, i zaczyna go dusić nelsonem.

Próbuje szarpać ją za ręce. Ale na próżno. Oczy wywracają mu się na drugą stronę. Kirby puszcza go, a Cabrera leci do przodu na podłogę. Kirby sięga po plastikowe kajdanki i krępuje mu nadgarstki.

I już, już po wszystkim.

– Wstrzymać ogień, chłopcy – woła Kirby. Przez maskę jej głos nabiera dziwnego echa. – Mamy go. Czuję pot na rękach.

Gustavo Cabrera siedzi na krześle i wpatruje się w nas. Opatrzono mu bark. Ręce ma związane na kolanach, a nie za plecami. Powinien się bardziej bać. Tymczasem wygląda na spokojnego. Przemyto mu oczy z gazu łzawiącego. Teraz patrzy nimi na Alana. Mierzy go wzrokiem.

Alan znosi to spokojnie. Jest opanowany jak skała, ale to złudzenie, bo na przesłuchaniach Alan potrafi być jak rekin. Jak lew krążący wokół owieczki. Przekrzywia głowę i też mierzy Cabrerę wzrokiem. Czeka.

– Będę zeznawał – oświadcza Cabrera. – Powiem wam wszystko. Z radością powiem wam, gdzie znajdziecie zakładniczkę.

Mówi cicho, lirycznie i z pewną dozą szacunku.

Alan stuka palcem w usta i myśli. Nagle wstaje. Pochyla się i wysuwa wielki palec w stronę Cabrery. Odzywa się donośnym i oskarżycielskim głosem:

– Cabrera, dobrze wiemy, że to nie ciebie szukamy!

Szczyście w oczach Cabrery natychmiast zmienia się w przerażenie. Zdziwiony otwiera usta, zamyka je i znów otwiera. Dopiero po chwili się opanowuje. Zaciska wargi w wąską linię. Ma smutek w oczach. Ale zachowuje spokój.

– Przepraszam. Nie wiem, o co panu chodzi.

Alan parska śmiechem. Ten śmiech brzmi nieco obłąkańczo i na pewno złośliwie. Groźnie. Gdybym nie wiedziała, że to gra, przestraszyłabym się. Alan siada równie gwałtownie, jak wstał, i pochyla się do przodu. Teraz jest odprężony jak przy pogawędce dwóch kumpli. Uśmiecha się i macha

palcem na Cabrere – „ty stary cwaniaku”, „nie ucz ojca dzieci robić”.

– Panie Cabrera. Mamy świadka. Wiemy, że to nie pan. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego, tak naprawdę, współpracuje pan z tym człowiekiem? – Alan mówi niskim, łagodnym głosem, który leje się powoli jak syrop na naleśniki. I nagle: – Hej! Mówię do ciebie! – Znów głośno, znów krzyczy.

Cabrera aż podskakuje. Odwraca wzrok. Sposób, w jaki Alan skacze między skrajnymi zachowaniami, wybija go z równowagi. Zaczyna mu drgać jakiś mięsień w policzku.

– Przeszedł tortury – powiedział mi Alan przed przesłuchaniem Cabrery. – Tortury polegają w zasadzie na nagrodach i karach oraz nawiązaniu bliskiego kontaktu. Oprawca krzyczy na ciebie, wyzywa cię, przypala papierosami, a potem osobiście smaruje oparzenia maścią i staje się łagodny i do rany przyłoż. Ofiara w końcu chce przede wszystkim tylko jednego.

– Faceta z maścią i miłym głosem.

– Właśnie. Nie będziemy przypalać Cabrery papierosami, ale wystarczy; że poskaczemy między wściekłością i dobrocią żeby nim porządnie wstrząsnąć.

Zrozumiano, myślę. Cabrera zaczął się pocić.

– Panie Cabrera, wiemy, że miał pan tu zginąć. A co pan na to, gdybyśmy powiedzieli panu, że gotowi jesteśmy sfingować pańską śmierć? Tak żeby wszyscy pomyśleli, że zginął pan od strzału przy próbie zatrzymania? – Alan mówi teraz normalnym głosem. Zdominował już przeciwnika i zasiał strach.

Cabrera patrzy na niego z mieszaniną nadziei i niepewności.

– Jeśli nam pan pomoże – ciągnie Alan – wyniesiemy pana stąd w czarnym worku. – Opiera się wygodniej. – Jeśli nie będzie pan współpracował i nie pozwoli sobie pomóc, to wyprowadzę pana prosto przed kamery, żeby tamten miał pewność, że wciąż pan żyje.

Brak odpowiedzi, ale widzę, że zaczyna się łamać.

Przez chwilę przygląda się uważnie Alanowi. Potem wbija wzrok w podłogę między nami. Opadają mu ramiona. Znika nerwowy tik w policzku.

– Nie zależy mi na sobie. Rozumiecie?

Mówi pokornym, spokojnym głosem. Trudno pogodzić tę łagodność, którą widzę, z zaciętością jaką widziałam, kiedy wpadł do holu FBI, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Która z tych twarzy jest prawdziwa?

Pewnie obie.

– Rozumiem takie podejście – mówi Alan. – Nie rozumiem tylko, dlaczego pan je stosuje. Proszę mnie oświecić.

Kolejne wyczekujące spojrzenie. Tym razem dłuższe.

– I tak w końcu umrę. To moja wina, niczyja inna. Słabość do kobiet, niechęć do zabezpieczeń. – Wzrusza ramionami. – Zasłużyłem i mam HIV. Ale powtarzam sobie czasami, że to nie była całkiem moja wina. Zostałem... skrzywdzony, kiedy byłem chłopcem.

– W jaki sposób skrzywdzony?

– Na krótki i bardzo okropny czas stałem się własnością złych ludzi. Oni... – Unika spojrzeń. – Mieli swoje sposoby. Kiedy miałem osiem lat, ci mężczyźni mnie porwali, kiedy niosłem wodę do domu. Zabrali mnie i pierwszego dnia zgwałcili i pobili. Bili mnie po stopach, aż płynęła z nich

krwaw jak rzeka. – Mówi cichym, niemal sennym głosem. – Kiedy mnie bili, stawiali żądania. Kazali mi mówić: „Jesteś Bogiem. Dzięki ci, Boże”. Im głośniej płakaliśmy, tym mocniej nas bili. Nigdzie indziej, tylko po stopach. Zabrano mnie z innymi dziećmi, chłopcami i dziewczynkami, do Meksyku. To była długa podróż i uciszano nas krzykami. – Znow spogląda na mnie i mam wrażenie, że jego oczy zaraz zaczną krwawić. – Modliłem się czasami o śmierć. Bolało mnie nie tylko ciało. – Pokazuje na głowę. – Ale i głowa. – Pokazuje na klatkę piersiową. – I serce.

– Rozumiem – mówi Alan.

– Może. Może pan rozumie. Ale to było prawdziwe piekło. – Po chwili dodaje: – W Meksyku słyszeliśmy czasem, jak strażnicy rozmawiali i z ich słów wywnioskowaliśmy, że w najbliższych miesiącach wywiozą nas do Ameryki. Że nasze szkolenie się zakończy i będziemy mogli zostać sprzedani za wielkie pieniądze złym ludziom.

Krag handlarzy żywym towarem, myślę. Kółko się zamyka.

– Siedziałem w jakiejś głębokiej norze bez światła. Wychowano mnie bardzo religijnie, proszę państwa. Wierzyłem w Boga, w Jezusa Chrystusa, w Marię. Ale choć modliłem się do każdego z nich z całych sił, wciąż przychodzili ci ludzie i mnie krzywdzili. – Krzywi się. – Nie rozumiałem wtedy pełni boskiego planu. Kiedy tkwiłem w tym mrocznym miejscu, pogrążony w najgłębszej rozpacz, Bóg zamierzał mi zesłać anioła.

Uśmiecha się, mówiąc te słowa, i w jego oczach pojawia się światło. Zaczyna mówić rytmicznie jak fala, która się zbliża, ale nie dociera do brzegu.

– To był niezwykły chłopiec. Musiał być. Był ode mnie młodszy, niższy, ale z jakiegoś powodu nie zatracił duszy. – Wpatruje się we mnie

intensywnie. – Zrozumcie znaczenie tego, co mówię. Chłopak miał zaledwie sześć lat i był śliczny. Tak śliczny, że ci mężczyźni najbardziej lubili go wykorzystywać. Codziennie, czasami dwa razy dziennie. I wściekał ich bardzo. Bo nigdy nie płakał. Chcieli widzieć jego łzy, a on nie płakał. Bili go, żeby zapłakał. – Kręci głową ze smutkiem. – Oczywiście w końcu zawsze płakał. Ale... i tak nie zatracił duszy. Tylko anioł mógłby się im oprzeć w ten sposób.

Gustavo zamyka oczy i znów je otwiera.

– Ja nie byłem aniołem. Traciłem duszę, pogrążałem się coraz bardziej w rozpacz. Odwracałem twarz od Boga. W rozpacz myślałem o samobójstwie. On chyba to wyczuł. Zaczął do mnie przychodzić w nocy, szepcząc mi w ciemności do ucha i dotykając mojej twarzy. Mój piękny biały anioł.

„Bóg cię ocali”, mówił mi. „Musisz w niego wierzyć. Nie możesz tracić wiary”.

Miał zaledwie sześć, może siedem lat, ale mówił jak dorosły i jego słowa mnie ocaliły. Poznałem jego historię o tym, jak w wieku zaledwie czterech lat poczuł powołanie i postanowił pójść do seminarium, kiedy tylko to będzie możliwe, poświęcić życie Trójcy Świętej. I że pewnej nocy przyszli ci ludzie i wykradli go rodzinie.

„Mimo wszystko”, mówił mi, „nie możesz stracić wiary. Jesteśmy poddawani próbie przez Boga”. Uśmiechał się do mnie i był to uśmiech tak czysty, tak kojący i pełen wiary, że wyrwał mnie z rozpacz, w której chciałem się pogrążyć.

Cabrera zamknął oczy i nabożnie wspominał tamte chwile.

– Robił tak przez rok. Codziennie cierpiał jak my wszyscy. Nocami

mówił do nas wszystkich i kazał nam się modlić, uchronił nas przed pragnieniem śmierci zamiast pragnienia życia. – Cabrera przerywa i patrzy w dal. – Pewnego dnia, tego feralnego dnia, ocalił moje ciało i moją duszę. Byliśmy tylko we dwóch. Strażnik wioził nas do domu bogatego człowieka, któremu za mało było jednego chłopca. Trzęsłem się ze strachu, ale on, anioł, jak zwykle zachowywał spokój. Dotknął mojej ręki, uśmiechnął się i modlił, ale kiedy jechaliśmy, zaczął się martwić, bo zobaczył, że jego modlitwy nie docierają do mojego serca. Mimo jego słów bałem się wtedy. Im bliżej byliśmy, tym bardziej się obawiałem, aż w końcu nie potrafiłem opanować drżenia. Dotarliśmy do domu, a on bez ostrzeżenia wziął moją twarz w swoje ręce. Ucałował mnie w czoło i kazał mi się przygotować.

„Nie bój się, zaufaj Bogu”, powiedział.

Wyszliśmy z samochodu, a strażnik szedł za nami. Chłopiec bez ostrzeżenia odwrócił się i uderzył strażnika w krocze. Strażnicy przywykli, że jesteśmy im posłuszni, więc to go całkowicie zaskoczyło. Zgiął się z bólu i krzyknął z wściekłości.

„Uciekaj!”, krzyknął do mnie chłopiec.

Stałem, dygocąc. Niepewny. Wieczna ofiara.

„Uciekaj!”, powtórzył, tym razem rycząc na mnie głosem anioła. Potem rzucił się na ochroniarza i zaczął go gryźć i kopać.

Dotarły do mnie jego słowa.

Uciekłem.

Cabrera pociera dłonią przedramię. Widzę, że znów to przeżywa, ale przeszłość miesza mu się z terażniejszością. Strach przed niezdecydowaniem, radość z ucieczki z piekła. Wyrzuty sumienia po

zgodzie na to, co zaproponował chłopiec, i zostawieniu go tam.

– Nie muszę opowiadać wam każdej chwili, każdego miesiąca czy roku. Udało mi się uciec z piekła na ziemi. Wróciłem do swojej rodziny. Mieszkałem tam przez wiele lat najpierw jako chłopak z problemami, potem jako dorosły z problemami. Nie byłem święty, często grzeszyłem, ale, i to jest najważniejsze ze wszystkiego, przeżyłem. Nie popełniłem samobójstwa. Nie przekląłem mojej nieśmiertelnej duszy. Rozumiecie? Ocalił mnie przed najgorszym możliwym losem. Tym, co dla mnie zrobił. Dzięki temu droga do nieba nie jest dla mnie zamknięta.

Nie podzielam wierzeń Cabrery. Ale czuję siłę jego wiary, moc, jaką mu ona daje, i to mnie porusza.

– Przyjechałem do Stanów – mówi dalej. – Wierzyłem w Boga, ale miałem problemy, zawsze miałem problemy. Wstyd powiedzieć, ale czasami zażywałem narkotyki. Zadawałem się z prostytutkami. I nabawiłem się wirusa. – Kręci głową. – I znów rozpacz. I znów myśl, że śmierć może być lepsza niż życie. Właśnie wtedy uświadomiłem sobie: wirus to przekaz od Boga. Wysłał mi raz anioła i ten anioł mnie ocalił. Powinienem być mu za to wdzięczny. A ja zamiast tego zmarnowałem tyle lat, pogrążony we własnych żalach i wściekłości. Posłuchałem ostrzeżenia. Zmieniłem sposób życia, trwałem w celibacie. Zbliżałem się coraz bardziej do Boga. I pewnego dnia, jedenaście lat temu, wrócił mój anioł.

Cabrera patrzy teraz coraz bardziej ponurym wzrokiem.

– Wciąż był aniołem, ale już nie światła. Aniołem ciemności. Aniołem pałającym żądzą zemsty.

Tatuaż, myślę.

– Powiedział mi, że przeszedł przez okropne, naprawdę okropne rzeczy

po tym, jak pomógł mi uciec. Nie mogę wam powtórzyć tego, co mi opowiedział. To zbyt okrutne. Wyznał mi, że chwilami, ale tylko chwilami, zaczynał wątpić w miłość Boga. Ale wtedy przypominał sobie o mnie i modlił się, i znów wracała mu wiara. Bóg go sprawdzał. Bóg miał go stamtąd wyprowadzić. – Cabrera się krzywi. – I pewnego dnia Bóg to zrobił. Pewnego dnia cała wiara chłopca, jego modlitwy, jego poświęcenie dla mnie, wszystko to zostało nagrodzone. Wraz z innymi dziećmi, już w Stanach, został uratowany przez policję i wasze FBI.

Opisywał to jako wspaniałą chwilę. Bo była to dla niego cudowna chwila, jakby sam Bóg go ucałował. Jego wiara i cierpienie zostały nagrodzone.

Cabrera milknie. Cisza się przedłuża. W środku przeczuwam coś złego. Coś mi mówi, że wiem, co się teraz stanie.

– Pewnej nocy, opowiadał, Bóg zaprowadził go z powrotem do piekła. Tam, gdzie przebywali, pojawili się ludzie, którzy wymordowali strzegących ich policjantów. Zabrali ich, wywieźli i znów zniewolili. Straszne – szepcze Cabrera. – Możecie sobie wyobrazić? Być bezpiecznym, a potem w jednej chwili znów stracić nadzieję? Dla niego to właśnie było najgorsze. Wiedzieli, że pomagał policji, że podał im nazwisko jednego ze strażników. Nie zabili go, ale karali tak, że poprzedni pobyt w niewoli wydawał mu się rajem.

Gdzieś w środku to przeczuwałam, a teraz to się potwierdziło. Przysuwam się bliżej do Alana.

– Chłopiec nazywał się Juan, prawda? – pytam Cabrerę.

Przytakuje.

– Tak. Anioł o imieniu Juan.

Nie wiem, czy jego obraz Juana jako młodego świętego to prawda, czy wyidealizowane wspomnienia przerażonego niegdyś i molestowanego dziecka, które znalazło w potrzebie bardzo dobrego przyjaciela. Wiem natomiast, że słyszałam już taką opowieść. W tej historii nikt nie wygrywa, nawet my.

Zabójcy to zabójcy i tego, co robią, nie można przebaczyć, ale u tych, z których zrobiono zabójców, widać swego rodzaju tragedię. Widać ją w ich wściekłości. Robią to, co robią, nie z radości, ale raczej po to, żeby się wykrzyczeć. Krzyczał na ojca, który ich molestował, na matkę, która ich biła, na brata, który przypalał ich papierosami. Zaczyna się od bezradności, a kończy na śmierci. Chwytamy ich i izolujemy, bo tak trzeba, ale nie ma w tym żadnej satysfakcji.

– Proszę mówić dalej – odzywa się Alan.

Mówi łagodnym głosem.

– Powiedział mi, że uświadomił sobie, iż Bóg ma dla niego inny plan. Że zgrzeszył, uważając się za świętego, porównując swoje cierpienie do męki Chrystusa. Teraz wiedział, że jego obowiązkiem jest nie leczyć, lecz mścić się. – Cabrera poprawia się nerwowo na krześle. – Kiedy to mówił, strach było spojrzeć mu w oczy. Wyzierały z nich wściekłość i koszmar. Nie przypominały oczu kogoś, kogo dotknął Bóg. Ale kimże ja byłem, by to osądzać? – Wzdycha. – Uciekł swoim prześladowcom. Opowiedział mi, jak później wracał nocami, żeby krwawo zemścić się na ludziach, którzy go torturowali. Tak dowiedział się, że jego i resztę dzieci zdradziło dwóch mężczyzn: agent FBI i policjant. Powiedział mi, że byli najgorszym wcieleniem zła, nosili maski, kryli się za symbolami. Miał długoterminowy plan i poprosił mnie o pomoc. Po wszystkim nie mógł

zostać schwytany, bo jak mu Bóg ujawnił, jego dzieło miało wykroczyć poza zemstę za własne cierpienie. Chciał, żebym w waszych oczach stał się nim. Zgodziłem się.

– Panie Cabrera – odzywa się Alan. – Wie pan, gdzie możemy znaleźć Juana?

Przytakuje.

– Oczywiście. Ale wam nie powiem.

– Dlaczego? – pyta Alan. – Gustavo, musi pan wiedzieć, że on wcale nie wypełnia woli Boga. Wie pan o tym. Zamordował niewinnych ludzi. Zrujnował życie młodej dziewczynie. – Alan wbija w niego wzrok. – Gustavo, po piąte: nie zabijaj. Zabiłeś dla niego. W holu FBI zginęli niewinni młodzi ludzie, dobrzy ludzie, którzy nigdy nie skrzywdzili dziecka, którzy wykonywali tylko swoją pracę.

Jego twarz wykrzywia ból.

– Wiem. Wiem. I będę się modlił do Boga o przebaczenie. Ale musicie mnie zrozumieć, musicie! Ocalił mnie. Nie mogę go zdradzić. Nie mogę. Nie robię tego dla tego, kim jest dzisiaj. Robię to dla tego, kim był kiedyś.

Powinno to zabrzmieć melodramatycznie, ale ta pełna szczerłość wywołała ból.

Alan znów go atakuje, znów sprawia, że się poci i ma tik w policzku, ale wszystko jak grochem o ścianę.

Cabrera został ocalony przed losem, który zdaniem niektórych byłby gorszy niż śmierć. Juan pomógł mu uciec, nie tylko z fizycznego więzienia, ale od rozpacz. Życie Cabrery do pewnego stopnia było zrujnowane przez zło, które mu wyrządzono, ale jego wiara wciąż obiecywała mu ostateczne zbawienie, drzwi, które Juan zostawił dla niego

uchylone.

A co do Juana... cóż. To był koszmar, którego po prostu nie byłam w stanie ogarnąć. Najgorsze, najbardziej okropne, najkoszmarniejsze było to, że sami pomogliśmy stworzyć tego potwora. Ktoś skorumpowany sprzedał go i zrujnował niezachwianą wiarę chłopca. Juan upadł, ale nie bez pomocy tych, którym najbardziej ufał.

Wszystko w tej historii dotyczyło absolutnego zła i absolutnego dobra człowieka. Moim zdaniem z Cabrery nic nie będziemy w stanie wyciągnąć.

– Jest tylko jeden dobry uczynek, który mogę zrobić – mówi.

– Jaki?

Pochyliła głowę w lewo, w stronę domu.

– W gabinecie, w komputerze znajdziecie namiary miejsca, gdzie są dziewczyny. Jennifer i Theresa. One żyją. – Wzdycha ponownie, tym razem smutniej. – Stracone do piekła przez anioła. Przeżyły ciężkie chwile.

– Gdzie one są?

Zadaję to pytanie Alanowi. Już raz mi powiedział, ale nie dotarło to do mnie.

– W Dakocie Północnej – mówi Alan. – W dawnym silosie raketowym. Prawie tysiąc metrów kwadratowych, wszystko pod ziemią. A ta ziemia znajduje się na całkowitym pustkowiu. Rząd w ciągu ostatnich lat opróżnił wiele silosów i podziemnych baz. Sprzedano je, przeważnie firmom zajmującym się nieruchomościami, które je wyremontowały i poodsprzedawały nabywcom prywatnym.

– I to jest legalne? – pytam zaskoczona.

Alan wzrusza ramionami.

– Jasne.

Tak jak obiecał Cabrera, w komputerze znaleźliśmy opis miejsca, gdzie trzymane są Theresa i Jennifer, oraz ziarniste zdjęcia samych dziewcząt. Były nagie, wyglądały na wyczerpane i nieszczęśliwe, ale bez obrażeń.

– Skontaktuj się z tamtejszym oddziałem Biura. Wywieźmy stamtąd dziewczyny i sprowadźmy je tutaj. Wiemy, jak się tam dostać?

– Przez elektroniczny zamek z trzydziestocyfrowym szyfrem. Przekażę im go.

Pokazuje głową teren przed domem. W powietrzu aż roi się od telewizyjnych śmigłowców. Na razie tylko śmigłowców. Całe szczęście, że dom stoi na ogrodzonej murem działce. Brady rozstawił swoich ludzi przy wejściach, dopóki nie zjawi się miejscowa policja. Nikt nie ma prawa wejść. Kropka. Boone i inni członkowie grupy antyterrorystycznej siedzą w kombi koronera i ostentacyjnie odwożą „zwłoki” Cabrery do kostnicy. W rzeczywistości Cabrera nie dotrze do kostnicy. Trafi pod strażą do jednego z bezpiecznych domów.

Przez chwilę się rozglądam.

Przyjechał tu, ale nie mieszkał.

Wciskam klawisz szybkiego wybierania i przykładam telefon do ucha.

– Czego? – pyta James jak zwykle bez wstępów.

– Gdzie jesteś?

– Wypisuję się ze szpitala. Ci debile chcą, żebym jeszcze poleżał. Jadę do domu.

– Nieładnie, James. Ci „debile”, o których mówisz, trochę cię pocerowali.

– I tu nie mam pretensji. Durne jest to, że chcą mnie tu zatrzymać.

Odpuszczam.

– Potrzebne mi spojrzenie kogoś z zewnątrz.

– Dawaj – mówi bez wahania.

Właśnie dlatego jeszcze nie udusiliśmy Jamesa. Zawsze jest gotów do pracy. Zawsze.

Streszczam mu wszystko, co się wydarzyło.

– Cabrera mówi, że zna tożsamość Obcego. Ale jej nie ujawni.

James milczy i myśli.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Mnie też. Słuchaj, mówiłeś, że jedziesz do domu, ale chcę, żebyś jeszcze raz zajął się komputerem Michaela Kingsleya. Przecież nie zostawiłby nierozwiązywalnej zagadki. Zależy mi, żebyśmy się włamali do tego komputera.

– Dakota jest już w drodze – mówi Alan, wyrywając mnie z zamyślenia. – Wysłali tam agentów i oddział antyterrorystyczny. Miejscowi saperzy też pojechali na wypadek, gdyby Obcy okazał się wredny.

– Gdzie jest Kirby?

– Odjechała. Mówiła, że wraca do bezpiecznego domu.

– Mamy problem, Alan. Brak nam dowodów. Kawałka śladów, które by czegoś dowodziły. Mimo że wiemy, kim jest, to wszystko obraca się tylko w sferze poszlak. W najlepszym wypadku.

Rozkłada ręce.

– W takim razie zostaje nam tylko jedno.

– To znaczy?

– Sprawdzić miejsce zbrodni. Sprowadź Callie, Gene’a i kogo tam znajdziesz. Ja już przez to przeszedłem. Ty też. Czasami nic nie zastąpi zwykłej szarej policyjnej harówki.

– Wiem. Sęk w tym, że mam problem na poziomie umysłowym. Kiedy przyglądam się tej sprawie, to wiesz, co widzę? Że żaden z przełomów nie nastąpił dzięki znalezieniu śladów. Tylko dlatego że przejrzeliliśmy na wylot jego myśli. Że go zrozumieliśmy. On nie zostawia nic za sobą.

– Ale pewne rzeczy przegapia. Jak w wypadku Theresy. Nie był w stanie tego kontrolować i przeoczył fakt, że Sarah pominęła ten wątek. – Alan wzrusza ramionami. – Jest inteligentny. Ale nie jest nadczłowiekiem.

Wiem, że Alan ma rację. Czuję to gdzieś głęboko w sobie. Wciąż mnie to drażni. Czuję, że jestem tak blisko i uświadamiam sobie, że nie zbliżyliśmy się do rozwiązania nawet o krok.

– Dobrze – mówię z rezygnacją. – Sprowadźmy tu Callie i Gene’a.

– Załatwione.

Wchodzę do gabinetu i próbuję rozładować frustrację, chodząc. Alan powiadamia Callie o czekającym ją zadaniu. Tak jak reszta domu, gabinet wykończony jest ciemnym drewnem, wyłożony ciemną wykładziną, ma brązowe ściany. Staromodny i udający elegancję. Dla mnie po prostu brzydki.

Zauważam, że biurko jest nieskazitelnie czyste i uporządkowane. Za bardzo uporządkowane. Podchodzę bliżej i kiwam głową. Cabrera musiał mieć nerwicę natręctw. Po lewej stronie leżą trzy wieczne pióra. Każde ułożone idealnie równoległe w stosunku do pozostałych i pod kątem prostym do krawędzi biurka. Kolejne trzy pióra leżą po prawej. Wystarczy rzucić okiem, by stwierdzić, że wyrównano je nie tylko względem siebie,

ale także względem piór leżących po lewej. Poziomo na szczycie biurka, przy monitorze komputera, znajduje się otwarty list. W równej odległości od obu zestawów piór. Zaciekawiona otwieram środkową szufladę biurka. Widzę idealnie ułożone zszywki, spinacze i gumki. Nie zamierzam ich liczyć, ale podejrzewam, że jest ich po równo.

Interesujące, ale w niczym nie pomaga. Krzywię się, wciąż sfrustrowana.

Patrzę na ekran komputera. Mój wzrok pada na jedną z ikonk – książka adresowa.

Pochyłam się i klikam w nią myszką. Pojawia się lista telefonów i adresów. Nie jest ich wiele. Są tu kontakty służbowe i prywatne. Przewijam listę.

Coś przemyka mi przez głowę. Marszczę Czoło.

Jeszcze raz przewijam listę. Kolejne mignięcie.

Rzeczy pomijane...

Czegoś brakuje. Czego?

Przewijam listę jeszcze pięć razy, nim dociera to do mnie.

– Sukinsyn – mówię i prostuję się wstrząśnięta. Zakrywam oczy dłonią, zaskoczona własną głupotą. – Ty kretyńko – wyrzucam sobie pod nosem.

Prowadzą do niego nie dowody, ale ich brak.

– Alan! – krzyczę.

Wpada do gabinetu z pytającym wzrokiem.

– Wiem, kim jest Obcy.

Wydostali dziewczyny – informuje mnie Alan. Właśnie skończył rozmawiać przez komórkę. – Jessicę i Theresę. Fizycznie nic im nie jest, ale poza tym jeszcze niewiele wiemy. – Krzywi się. – Jessica siedziała tam przez ponad dziesięć lat. Theresa przez pięć. Dał im ponad tysiąc metrów kwadratowych przestrzeni, karmił je, ba, zainstalował im nawet telewizję satelitarną i sprzęt muzyczny. Ale nie mogły wychodzić na zewnątrz. Nie mogły też nosić żadnych ubrań. Powiedział im... – Alan przerywa i wzdycha. – Powiedział im, że jeśli będą czegokolwiek próbować, uciekać czy popełnić samobójstwo, zabije kogoś, kogo kochają. Obie są dość wyczerpane i mało kontaktowe. Niewykluczone, że je bił.

– Pewnie tak – mówię. Cieszę się, że dziewczyny żyją, ale myśl o tym, co przeszły, budzi we mnie, jak wszystko w tej sprawie, zmęczenie i gniew.

Kiedy zadzwonił telefon, siedzieliśmy w samochodzie, czekając na Callie. Przychodzi mi coś do głowy.

– Oddzwoń do nich – mówię Alanowi. – Niech szef zespołu zapyta dziewczyny, czy kiedykolwiek widziały jego twarz.

Alan wykręca numer i czeka.

– Johnson? – mówi. – Tu Alan Washington. Muszę cię poprosić, żebyś zapytał o coś dziewczyny.

Czekamy.

– I co? – Alan kręci głową, patrząc na mnie. – Nie widziały jego twarzy.

Cholera.

Alan marszczy brwi.

– Przepraszam... Możesz powtórzyć? – Twarz mu poważnieje. – Aha. Powiedz jej, że Sarah ma się dobrze. Johnson? Musisz jakoś przekazać Jessice Nicholson informację o ojcu. – Rozłącza się. – Theresa pytała o Sarah.

Nie odpowiadam. Bo co mam powiedzieć?

Callie i Gene przyjechali. Callie wyskakuje z auta i podchodzi do nas z uśmiechem. Już się umyła i oczywiście znów wygląda doskonale. Wskazuje głową w stronę domu, przygląda się potłuczonym oknom, spalonemu i pooranemu kulami trawnikowi.

– Podoba mi się wasz pomysł na ten dom.

– Cześć, Smoky – wita ją Gene.

Nie wygląda doskonale. Wygląda na zmęczonego.

– Cześć, Gene.

Zbieram się, żeby opowiedzieć im, czego się dowiedzieliśmy, kiedy pod dom podjeżdża następny wóz. Jak spod ziemi pojawia się Brady.

– Wicedyrektor Jones – mówi.

– Proszę, proszę, cała paczka w komplecie – bąka Callie pod nosem. – Aha, Smoky, Kirby wyglądała na zawiedzioną, że nikogo nie postrzeliła.

– Świetnie sobie poradziła – stwierdza Brady, obrzucając Callie znaczącym spojrzeniem.

Widzę, jak Callie rewanżuje mu się podobnym spojrzeniem, a w jej oczach pojawiają iskierki niemal pożądania. Wyciąga rękę.

– Chyba jeszcze się nie znamy – mruczy jak kotka.

– Brady – przedstawia się szef antyterrorystów i ściska jej rękę. – A ty

jesteś...?

– Callie Thorne. Ale możesz do mnie mówić „piękna”.

– Nie ma sprawy.

Callie uśmiecha się do mnie.

– Podoba mi się.

Samochód podjeżdża do nas i rozmowa cichnie. Z auta wysiada wicedyrektor Jones. Przypomina mi Callie i Brady’ego – niezmordowany i pełen energii. Jego garnitur jest doskonale wyprasowany, włosy w idealnym porządku.

– Mów – odzywa się bez żadnego wstępu.

Streszczam mu przebieg ataku i późniejszego przesłuchania Cabrery. Mówię o dziewczynach w Dakocie Północnej.

– Jakież nowe wiadomości o dziewczynach? – pyta Alana. – Nie, dyrektorze. Ale wkrótce będą.

Mówię mu o Juanie. Patrząc, jak oczy rozszerzają mu się, potem smutnieją. Twarz mu wiotczeje. Odwraca wzrok. W końcu otwiera usta.

– Chryste – mówi. – To nasza wina.

Czekam, pozwalam mu się wziąć w garść.

– A więc – mówi dalej – wiemy, kim był. Czy wiemy, kim jest? Znamy nazwisko?

Mówię mu. Alan już wie. Callie słyszy je po raz pierwszy. Jest równie wstrząśnięta, jak wicedyrektor Jones.

– Gibbs? – upewnia się wicedyrektor. – Ten prawnik od trustu? Cholera jasna, żarty sobie stroisz?

– Chciałabym, dyrektorze. To się trzyma kupy i powinniśmy byli wcześniej o tym pomyśleć. To ogromne przeoczenie z mojej strony. Cały

czas tu był. Olśniło mnie dopiero, kiedy zaczęłam przeglądać listę kontaktów w komputerze Cabrery. Nie chodziło o to, co tam znalazłam, ale czego nie znalazłam.

Patrzy na mnie i marszczy brwi. Twarz mu się rozjaśnia, kiedy pojmuję, o co chodzi.

– Gibbsa nie było na liście. Jezu Chryste.

– Właśnie. Przeszukałam szybko cały gabinet i nie znalazłam niczego, co wiązałoby się z Gibbsem czy trustem. Niczego. A Cabrera jest nie tylko dokładny, ma nerwicę natręctw. Jego lista nie jest długa, ale bardzo wyczerpująca. Miał telefony do wszystkich, od fryzjerki po firmę wywozu śmieci. Telefony domowe, komórki, adresy e-mailowe, faksy, inne telefony, więc dlaczego nie było telefonu do prawnika? Niemożliwe, żeby to był przypadek. To jeden trop, a do tego coś, o czym Cabrera wspomniał nam podczas przesłuchania. – Mrużę oczy i patrzę na wicedyrektora Jonesa.

– Juan miał jasną skórę, prawda?

– Tak. Wyglądał niemal na białego. Nie przyszło mi do głowy, żeby o tym wspomnieć.

– Gibbs jest biały. Cabrera mówił o Juanie „biały anioł”. Myślałam, że to tylko taka figura poetycka, ale kiedy połączyłam to z brakującym wpisem w książce adresowej, uświadomiłam sobie, że mówił o białym kolorze skóry.

– To nie zamek – mówi Alan. – Ale zapewnia bezpieczeństwo. Wystarczy ukryć się na widoku. To proste, sprytne i pasuje do jego sposobu działania.

Wicedyrektor Jones kręci głową. Jest w tym geście niedowierzanie,

frustracja i gniew. Wiem, jak się czuje.

– Więc w czym problem? – pyta.

– Poza minimalną szansą, że się mylę? Brak dowodów, dyrektorze – odpowiadam. – Poza Cabrera nikt nie widział jego twarzy. W żadnym z miejsc zabójstw, o których wiemy, nie znaleziono niczego procesowego ani użytecznego. Jeśli się nie przyzna, nie mamy nic, żeby powiązać go z którąkolwiek ze zbrodni. – Wskazuję na Callie i Gene’a. – Zamierzam polecić im, żeby przewrócili ten dom do góry nogami. I mam nadzieję, że na coś trafią.

Wicedyrektor Jones kręci głową sfrustrowany.

– Cholera jasna. – Wskazuje na mnie palcem. – Smoky, masz coś znaleźć. Dość tego. Masz to zakończyć.

Odwraca się i wsiada do samochodu. Zostaje zaskoczona przez jego wybuch. Chwilę później samochód jedzie w stronę bramy, do coraz większego tłumu dziennikarzy.

– No cóż – mówi Callie do Brady’ego. – Chyba musimy wrócić do tego później. Będzie jakieś „później”?

Pstryka w rondo niewidocznego kapelusza.

– Jasna sprawa.

Oddała się. Callie wzrokiem pożera jego tyłek.

– Ach, pożądanie – wzdycha. Odwraca się w stronę domu i puszcza do mnie oko. Callie robi to, co zwykle: próbuje rozjaśnić nieznośne ponuractwo bytu, tak jak za pomocą magnetofonu i słońca w mojej sypialni, wieki temu. – Gotowy do pracy, Gene?

Ruszają razem do domu. Widzę, jak sięga do kieszeni i otwiera fiolkę z vicodinem.

Wiem, co czuje. Sama mam ogromną ochotę na lufkę tequili.

Tylko jedną.

Czekam. Doprowadza mnie to do szaleństwa.

Zrobiłam już wszystko, co mogłam. Gibbs jest pod obserwacją. Cabrera siedzi w odosobnieniu. Theresa i Jessica przebywają w szpitalu na badaniach. Bonnie, Elaina i Sarah są bezpieczne. Alan rozmawia z Elainą i przekazuje wieści o Theresie, żeby Elaina mogła je powtórzyć Sarah. Callie i Gene są w domu Cabrery i próbują pogodzić szybkość z dokładnością. Wygrywa dokładność.

Mogę tylko czekać.

Alan podchodzi do mnie.

– Elaina opowie wszystko Sarah. Przynajmniej tyle możemy jej dać. – Jak myślisz, Alan? Nawet jeśli złapiemy Juana, doczekamy się szczęśliwego zakończenia? Czy osiągnie to, co zamierzał?

Nie jestem pewna, dlaczego zadaję mu te pytania. Może dlatego, że jest moim przyjacielem. Może dlatego, że spośród wszystkich członków drużyny dla Alana czuję największy szacunek, choć jest moim podwładnym.

Przez chwilę milczy.

– Myślę, że kiedy go złapiemy, zrobimy, co do nas należy. Powstrzymamy go przed wyrządzeniem kolejnych krzywd. Damy Sarah szansę. To wszystko. Może to nie najlepsza odpowiedź, ale to wszystko, co mamy. – Patrzy na mnie i uśmiecha się miło. – Za to jesteśmy odpowiedzialni, Smoky. Chcesz wiedzieć, czy Sarah jest już martwa w środku, czy zdołał zamordować w niej duszę. Prawda jest taka, że nie

wiem. Co więcej, nawet sama Sarah nie wie. Ale najważniejsze jest to, że dajemy jej szansę, żeby się przekonała. To nie wszystko, może nawet za mało, ale na pewno nie jest to zupełnie nic.

– A on? Co z Juanem?

Alan się zachmurza.

– Teraz jest zabójcą. Dawno minął czas, kiedy był ofiarą.

Myślę o tym, co powiedział. Pociesza mnie to i nie pociesza, pociesza i nie. Dusza wiruje mi jak na kolejce górskiej, czuję się, jakbym próbowała zasnąć na łóżku, które jest miękkie tylko w niektórych miejscach. Znam to uczucie. Czekam, aż minie.

Sprawiedliwość dla zmarłych. To już coś. Naprawdę coś. Ale to nie zmartwychwstanie. Zmarli pozostaną zmarłymi, nawet jeśli złapiemy ich zabójców. Ta prawda, ten smutek sprawiają, że nasza praca nie jest ani bezcelowa, ani satysfakcjonująca.

Akceptacja i niepokój. Akceptacja i niepokój. Dwie fale, które wiecznie kołyszą delikatnie moim sercem, jedna za drugą.

Czekam.

Kiedy czekam, dzwoni Tommy. Czuję się winna i rozemocjonowana, dwie nowe fale. Winna, że nie zadzwoniłam, żeby sprawdzić, co u niego. Rozemocjonowana dźwiękiem jego głosu i tym, że żyje.

– Jak się masz? – pytam.

– W porządku. Żadnych poważnych uszkodzeń mięśni. Mam pęknięty mostek i boli jak cholera, ale nie grozi mi inwalidztwo. Wszystko dobrze.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam.

– Nic się nie stało. Jesteś w pracy. Ja czasami też tak wsiąkam. Taka to

praca. Jeśli zaczniemy sobie to wyliczać, zerwiemy ze sobą szybciej, niż nam się wydaje.

Od jego słów robi mi się ciepło w środku.

– Gdzie jesteś?

– W domu. Chciałem do ciebie zadzwonić, zanim wezmę środki przeciwbólowe. Po nich mogę być mało kontaktowy.

– Naprawdę? To może przyjadę i cię wykorzystam w tym stanie.

– Siostra Smoky będzie mnie myła gąbką? Trzeba będzie mi też częściej robić loda.

Presja, pod jaką jestem, sprawia, że reaguję chichotem. Przerazona zakrywam usta dłonią.

– Nieważne – mówi Tommy. – Wracaj do pracy. Pogadamy jutro.

– Pa – żegnam się i rozłączam.

Alan zerka na mnie.

– Wydawało mi się, czy właśnie zachichotałaś?

Marszczę czoło.

– Oczywiście, że nie. Przecież ja nie chichoczę.

Czekamy.

Callie i Gene przeszukali połowę domu. Pobrali odciski palców Cabrery, z którymi porównują to, co znajdują w domu. Na razie bez rezultatów.

Jest trzecia nad ranem. Dziennikarze wraz ze śmigłowcami zniknęli, odciągnięci przez sprytnego wicedyrektora Jonesa. Przedstawił im się jako źródło informacji i poszli za nim jak stado głodnych wampirów. Wyobrażam sobie, że historia, którą chcieliśmy im przekazać, trafiła już

na ekrany telewizorów i do Internetu, a jutro pojawi się w nagłówkach wszystkich gazet. Cabrera odnaleziony. Podejrzany zginął. Sprawa zamknięta.

Czekamy.

Mój telefon dzwoni o wpół do piątej nad ranem.

– Tu Kirby.

Już to, że mówi poważnie i nie dowcipkuje sobie, uruchamia we mnie dzwonki alarmowe.

– Co się stało? – pytam.

– Sarah zniknęła.

Niemal krzyczę na Kirby. To gniew napędzany dodatkowo strachem.

– Jak to zniknęła? Przecież miałaś ją chronić.

Kirby mówi spokojnie, ale nie defensywnie.

– Wiem. Liczyłam się z tym, że ktoś z zewnątrz będzie próbował do nas wejść, a nie, że ona spróbuje wyjść. Nie została porwana, Smoky. Po prostu wyszła. Byłam w łazience. Wyszła drzwiami. Zostawiła kartkę, napisała: „Coś muszę załatwić”.

Odsuwam telefon od ucha.

– Sukinsyn! – krzyczę w niebo.

Alan jest w domu. Przybiega błyskawicznie.

– Wiesz, dokąd mogła pójść? – pyta Kirby.

Nieruchomieję, jakbym dostała siekierą w głowę. Wiem?

Głos w mojej głowie powtarza oskarżycielsko.

Oczywiście, że wiesz. Gdybyś słuchała, byłabyś na to przygotowana.

Ale byłaś za bardzo zajęta sobą co?

Prawda, którą próbowałam odkryć, pojawia się nagle.

Sarah zapamiętała go. Sposób mówienia. Zapewniała, że nigdy nie zapomni jego głosu.

Sarah dzień wcześniej rozmawiała przez telefon z Gibbsem rzekomo po to, żeby „potwierdzić”, że nie ma nic przeciwko, byśmy weszli do domu.

Chwytam się ręką za skroń. Mam zawroty głowy i serce bije mi jak oszalałe.

Rozmawiał z nią niedawno, tego dnia, kiedy zabił Kingsleyów. Potem

rozmawiał z nią jako Gibbs przez telefon w szpitalu. Rozpoznała go, kiedy tylko usłyszała jego głos. Pewnie chciał, żeby się domyśliła.

– Chyba wiem – mówię do Kirby. – Zostań z Bonnie i Elainą. Odezwę się.

Rozłączam się, nim zdąży odpowiedzieć.

Wiedziała i kiedy tylko upewniła się, że Theresie nic nie grozi, poszła, żeby zrobić to, czego pragnie najbardziej na świecie. Poszła go zabić. Niekończący się cykl.

– Co się dzieje? – pyta Alan.

Widzę strach w jego oczach. Nie mogę go winić. Kiedy ostatnio kończyliśmy sprawę i zareagowałam podobnie na inny telefon, okazało się, że Elaina jest w niebezpieczeństwie.

– Elaina i Bonnie czują się dobrze. Sarah uciekła.

Widzę, że myśli, jego umysł pracuje na najwyższych obrotach, w końcu dociera do niego sens moich słów.

– Gibbs. Chce zabić Gibbsa.

– Tak – mówię.

Nadal ma oczy pełne strachu. Nie o Elainę, nie o Bonnie, nie o mnie. Nie o Callie ani nawet o Jamesa O Sarah. Słyszę w głowie głos Jamesa: Każda Ofiara.

– Jeśli dopuścimy do tego, by go zabiła, nigdy z tego nie wyjdzie – mruczy Alan.

Ozywam na te słowa i ruszam do działania.

– Skontaktuj się z ekipą obserwacyjną. Uprzedź ich i zdobądź adres. Jeśli ją zauważą, niech działają. Jeśli nie, niech obserwują i czekają na nas. Powiem Callie, że jedziemy.

Pędzę biegiem do domu. Znajduję ją w jednej z łazienek.

Opowiadam, co się dzieje. Znow widzę ten strach. Ten sam, który widziałam w oczach Alana. Dziwne i niepokojące jest to, że widzę to samo u Callie. Opowieść Sarah w każdym zostawiła jakieś blizny.

– Jedź – mówi ponuro. – Zajmę się tu wszystkim.

Ukazuje się, że Gibbs – Juan – nie mieszka bardzo daleko, jak na odległości w Los Angeles. O tej porze, nad ranem, kiedy nie ma korków, powinniśmy dotrzeć do jego domu w Dolinie San Fernando w dwadzieścia minut.

Gdy jesteśmy w drodze, znów dzwoni moja komórka.

– Smoky Barrett? – odzywa się niski głos.

– Kto mówi?

– Nazywam się Lenz. Jestem agentem z grupy, która śledzi Gibbsa.

Mamy problem.

Serce bije mi szybciej, jeśli to w ogóle możliwe.

– Jaki?

– Siedzieliśmy z partnerem, pilnując domu. W sumie spokojna szychta. Jakieś pięć minut temu ktoś zaczął do nas strzelać. To znaczy do samochodu. Zrobił dziurę w bagażniku i oknie od strony pasażera. Schowaliśmy głowy, wyciągnęliśmy broń, a kiedy się podnieśliśmy, zobaczyliśmy, że do wejściowych drzwi podchodzi młoda dziewczyna.

– Cholera! – przeklinam. – Weszła do domu?

Odpowiada nieszczęśliwym głosem.

– Tak. Niecałe trzy minuty temu.

– Zaraz tam będziemy. Miejcie oczy szeroko otwarte, ale nie wchodźcie tam.

Dom jest mały. Skromny. Dwukondygnacyjny budynek zbudowany w

dawnych – niektórzy powiedzieliby w lepszych – czasach. Przed domem rozciąga się nieogrodzony mały trawnik bez jednego drzewka. Podjazd ciągnie się od ulicy do stojącego osobno garażu na jeden wóz. Na ulicy jest cicho. Gdzieś na horyzoncie zaczyna wschodzić słońce. Widzimy, jak jego blask zaczyna lizać dachy domów.

Czeka na nas agent, którego nie znam. Podchodzi do nas, kiedy wysiadamy.

– Lenz – przedstawia się. Ma około czterdziestki, niezbyt przystojny. Dość szczupły, o żółtawej skórze, wygląda na palacza. – Naprawdę bardzo mi przykro.

– Zostajesz tutaj – wydaję polecenie. – Twój partner niech obserwuje tyły domu. My wchodzimy od frontu.

– Załatwione.

Ruszają na pozycje. Alan i ja także. Nie wyciągamy broni, ale trzymamy ręce na kolbach. Kiedy docieramy na werandę, słyszę głos Sarah. Krzyczy.

– Zaslługujesz na śmierć! Zabiję cię! Słyszysz!

Odzywa się inny głos. Zbyt cichy, żebym mogła usłyszeć, co mówi.

– Gotowy? – pytam Alana.

– Gotowy – odpowiada mój przyjaciel, przed którym w duchu czuję wielki respekt. Nie zadajemy żadnych pytań.

Trafiamy na punkt zwrotny. Słyszę to w głosie Sarah. Nie ma czasu na finezję. Pora działać.

Podchodzimy do drzwi wejściowych. Patrę na klamkę. Ustępuje pod ręką, więc otwieram gwałtownie drzwi. Wchodzę pierwsza z wyciągniętym pistoletem. Za mną Alan.

– Sarah? – krzyczę. – Jesteś?

– Idź sobie! Idź sobie idź sobie idź sobie!

Głos dochodzi z kuchni na tyłach domu. Z niezbyt daleka. Docieram do drzwi kilkoma krótkimi krokami. Zaglądam do kuchni i nieruchomieję.

Kuchnia jest mała. Staromodna i praktyczna. Stół jadalny stoi po przeciwnej stronie od kuchenki. Czysty, ale zniszczony. Wokół cztery krzesła. Oszczędnie. Funkcjonalnie.

Juan siedzi na jednym z krzeseł i się uśmiecha. Sarah stoi naprzeciw niego, nieco ponad metr dalej. Mierzy z broni w jego głowę. Wygląda, że to rewolwer kaliber 38. Wygląda obscenicznie w jej małych dłoniach. Nie pasuje do nich zupełnie.

Niemal nie rozpoznaję Gibbsa. Nie ma brody i wąsów.

Były sztuczne, kretynko.

Odwraca się, widzi mnie i się uśmiecha.

Oczy też nie są niebieskie. Są brązowe. Nosił soczewki kontaktowe.

– Witam, agentko Barrett. – Głos brzmi pokornie, ale w oczach coś błyska. Przestał udawać, szaleństwo zaczyna przebijać z wnętrza. – Czy jest pani dobrą wersją tego, czym się stałem?

– Zamknij się! – wrzeszczy Sarah.

Broń trzęsie się jej w dłoniach. Patrzę na Alana, kręcę głową. Każę mu czekać. Opuszczam lufę, ale nie chowam pistoletu.

Sarah już wcześniej zaczęły puszczać nerwy. Teraz nie panuje nad sobą. Patrzę na jej twarz i rozumiem, że do tego właśnie dążył Juan jako Obcy.

Miała twarz anioła z potrzaskanymi skrzydłami, który coraz bardziej traci z oczu Boga. Całkowity brak nadziei.

Zrujnowane życie.

Patrzę na Juana i widzę, że napawa się tym koszmarem i dla niego jest to rodzaj ekstazy. Kiedyś powiedział sobie, że chodzi jedynie o sprawiedliwość. I może kiedyś tak było. Ale zmieniał się w najgorszy i najbardziej pierwotny sposób, aż w końcu chodziło mu już tylko o jedno: Radość z Cierpienia.

Ruszył, żeby ukarać złych ludzi, i w trakcie wymierzania sprawiedliwości sam stał się złym człowiekiem.

– To nie taki koniec, jak planowałem – mówi, na razie mnie ignorując. – Ale wola boska jest niezmierna i widzę, widzę, co robi tutaj, w swojej niezmierzonej mądrości, chwala Mu za to. Pokazał mi ścieżkę, kazał uczynić ciebie na moje własne podobieństwo, a to może się wypełnić, jak widzę, tylko przez moją śmierć z twoich rąk, chwala Mu za to. Zabijesz mnie w imię zemsty, zabijesz mnie, bo uważasz, że tak trzeba, ale widzę, że zabijesz tylko dlatego, że tego chcesz, chwala Mu za to. – Przerzywa i pochyla głowę. – Nie zabijesz mnie, żeby ocalić Theresę. Została wypuszczona, nic jej się nie stało. Zabijesz mnie, bo jesteś żądna mojej krwi, tak bardzo, tak okropnie, że twoja skóra płonie jak jasnoniebieski płomień. I skąd bierze się ta żądza, skąd bierze się ten płomień? – Kiwa głową i uśmiecha się z otwartymi ustami. – To płomień Boga, Mała Cierpiętnico. Nie rozumiesz? Byłem aniołem zemsty, zesłanym przez Stwórcę, żeby zniszczyć ludzi, którzy kryją się za symbolami, demony, które chodzą po świecie w dobrze wyprasowanych garniturach, deklarując dobroć i pożerając niewinne dusze. Zostałem posłany przez Boga, żeby zebrać krwawe żniwo, które pochłonie ofiarę i oprawcę, niewinnych i winnych. Czym jest śmierć kogoś, kto nie powinien umrzeć, wobec

większego dobra? Zostałem poświęcony, abym mógł się stać mieczem Pana. I poświęciłem cię, żebyś mogła stać się mną i zająć moje miejsce, chwala Mu za to. – Pochyliła się do przodu, zamyka oczy, twarz mu promienieje. – Jestem gotów na spotkanie z Bogiem. Niech będzie pochwalona Maria łaski pełna.

Wchodzę do kuchni, nie zważając na Juana, obserwując Sarah. Zbliżam się do niej, nie zatrzymuję się, w końcu staję obok. Nie reaguje. Nie może oderwać wzroku od twarzy Juana.

Uświadamiam sobie, że dostrzega to. Tak jak ja. I tak jak James. Jak ta biedna agentka FBI, która strzeliła sobie w głowę. Sarah patrzy na Juana i rozumie.

Jej ból to jego orgazm. Ale przyczyną tego wszystkiego jest tragedia i szaleństwo.

Czuję, że chce wybuchnąć, że płonie. Drżą jej palce na spuście. Stoi tak nieruchomo przez długą chwilę. Chce jego śmierci, ale się boi. Boi się, że to nie wystarczy. Że nie potrwa to długo. Że to szybko minie i nie wypełni wielkiej pustki.

I ma rację. Mogłaby go zabijać przez całą wieczność, a w końcu zatraciłaby jedynie siebie.

Co mam jej powiedzieć? Będę miała tylko jedną szansę. Może dwie.

Juan nie przestaje się modlić, gorączkowo, pewnie, dumnie.

Szaleństwo. Zaczął jako zrównoważony zabójca, ale doktor Child miał rację. Szaleństwo czaiło się w tle, uśpione jak wirus.

W myślach odfiltrowuję jego głos, wpatruję się w anielską twarz Sarah.

Upada, ale jeszcze nie upadła.

Theresa, Buster, Desiree. Kochała ich, oni kochali ją. Dobroć i

uśmiechy, i... wszystko zniknęło. Gdzie jest klucz? Co może ją odciągnąć znad tej przepaści, w którą za chwilę się rzuci?

Myśl pojawia się po cichu, niczym muśnięcie, a nie piorun. Jak pocałunek ducha.

Pochyłam się i przykładam usta do jej ucha. Szepczę do niej i wkładam w głos całą siebie, całe cierpienie, które przeżyłam. Obie jesteśmy aniołami bez skrzydeł, pooranymi bliznami wewnątrz i na zewnątrz, z krwawiącymi ranami, które nie chcą się zagoić. Tu nie chodzi o wybór między dobrem i złem, szczęściem i smutkiem, nadzieją i rozpaczą. Wybór jest najprostszy z możliwych: życie lub śmierć. Trzeba zaryzykować, że jeśli wybierzemy życie, cierpienie w końcu się ukoi i w końcu pojawi się coś lepszego.

Mówię do niej, myśląc o Matcie i Aleksie, i mam nadzieję, że dzięki temu moje słowa dotrą do jej serca.

– Twoja matka patrzy na ciebie z chmur, kochanie. Cały czas, na zawsze, i nie chce tego. Ona żyje tylko w tobie, Sarah. To ostatnie, co po niej zostało. Jeśli go zabijesz, ona umrze na dobre. – Prostuję się i odsuwam.

– Tylko tyle ci powiem, skarbie. Teraz musisz wybrać. Ty decydujesz.

Juan mruży oczy, patrząc na mnie. Przygląda się Sarah. Uśmiecha się jak wąż rozkoszujący się mlekiem z cukrem.

– Już zdecydowałaś, Mała Cierpiętnico. Mam ci pomóc? Mam ci przypomnieć, podsycić ogień w tobie, żebyś mogła spełnić Jego wolę?

– Oblizuje się. – Może coś o matce? Dotykałem jej ciała po śmierci. Dotykałem ją w intymnych miejscach. Dotykałem ją w środku.

Sarah zamiera. Ja również. Czekam, aż dziewczyna go zabije. Jakaś

mroczna część mnie, tam gdzie kryją się moje własne oczy zabójcy, zapomina o nadrzędnym celu i chce, żeby go zabiła. Ale dziewczyna zaczyna drżeć.

Zaczyna się od drobnego dygotania, niczym wstrząsy poprzedzające trzęsienie ziemi. Potem drżą już nie tylko ręce, ale i barki. Potem klatka piersiowa, nogi, cała trzęsie się tak mocno, jakby miała się za chwilę rozpaść. A potem nagle zastyga.

Odchyła głowę i wyje.

To okropny dźwięk.

To wycie matki, która budzi się i uświadamia sobie, że we śnie przygniotła i udusiła własne dziecko. Dźwięk, który wwierca się prosto w serce.

Kiedy Sarah wyje, patrzę na Juana i jestem świadkiem jego egzaltacji. Patrzę, jak drży, jak dygoce, jak jego tułów rzuca się w przód, jak zaciska pięści i obejmuje się rękoma. Słyszę, jak jęczy. Długim, niskim skowytom pełnym oślizłych, śmierdzących, lepkich i martwych rzeczy. Mimo innej tonacji ten demoniczny jęk harmonizuje z wyciem Sarah. Upadek Juana jest pełny. Jest teraz zupełnie taki sam jak ci, którzy go do tego doprowadzili.

Sarah upada na podłogę i zwija się w kłębek, coraz bardziej, bardziej i bardziej. Nie przestaje wyć.

– Ani drgnij – mówię do Juana.

Nie zwraca na mnie uwagi. Nie może oderwać wzroku od bólu Sarah. Kiedy się odzywa, jego głos drży ze zdumienia:

– Dokonało się.

Na koniec: rzeczy, które jaśniej

Jesteś tego pewna, kochanie?

Bonnie uśmiecha się do mnie pogodnie.

Za chwilę mamy wejść do sali przesłuchań. Ma tam być Juan. Bonnie zażądała spotkania z nim z powodów, których nie chciała mi ujawnić. Początkowo odmówiłam. Nawet mnie to rozgniewało, choć nigdy jeszcze nie gniewałam się na Bonnie.

Ale się uparła.

– Dlaczego? – pytałam. – Możesz mi przynajmniej powiedzieć dlaczego?

Wykonała gest, jakby coś komuś podawała.

– Masz coś do przekazania? Prezent?

Kiwa głową. Waha się. Wykonuje gest, jakby wręczała coś mnie, a potem – i tu wskazuje imię na kartce – Juanowi.

– Masz prezent dla mnie i dla Juana?

Pogodny uśmiech i kiwnięcie głową.

Uparła się. W końcu odpuściłam. Miałam nadzieję, że Juan oszczędzi mi kłopotu, nie godząc się na odwiedzinę. Ku mojemu zdziwieniu i zaniepokojeniu zgodził się. I tak oto jesteśmy przed drzwiami.

Bonnie ma pod pachą notatnik. W rękę trzyma marker. Nie pozwolili jej wnieść ołówka – jest za ostry. Trzeba było się nieźle nagimnastykować, żeby wpuścili nas z markerem.

Wchodzimy do sali. Juan już tam siedzi, skuty kajdankami na rękach i kostkach, dodatkowo przypięty do uchwyty w podłodze. Uśmiecha się,

kiedy nas widzi. Ma szeroki, leniwy uśmiech jak pies wygrzewający się na słońcu. Na razie jest grzesznikiem, nie świętym.

Mówiono mi, że potrafi przekakiwać między tymi dwoma nastrojami. Niedawno całe popołudnie spędził w więziennej kaplicy, na kolanach, z ramionami szeroko otwartymi do Boga. Tej samej nocy zgwałcił osadzonego z nim w jednej celi mężczyznę. Chichotał, kiedy młody człowiek krzyczał. Juan modli się teraz w odosobnieniu.

– Agentka Barrett. I mała Bonnie. Jak się macie?

– Dziękuję, dobrze – odpowiadam, próbując ukryć emocje.

Kiedy Juan zrozumiał, że będzie żył, opowiedział o wszystkim. Oczywiście czuł dumę ze swoich osiągnięć. Był pobożny, a teraz miał jeszcze publiczność, którą mógł nauczać. Słuchaliśmy jego każdego słowa, którymi sam kręcił sobie stryczek.

Sporo czasu zajęło mu ustalenie z całą pewnością, którzy dwaj członkowie zespołu roboczego zdradzili.

Przez całe lata śledził i dokumentował przepływy pieniędzy z pierwotnego źródła. Ponad dziesięć lat temu zebrał najpierw dowody winy Tobiasa Walkera. Ze zdrajcą z FBI szło mu trudniej, bo Jacob Stern był szczwany. Juan odkrył, że Stern trafił do FBI z policji w Los Angeles i kiedyś nawet służył na tym samym posterunku co Walker. To wzbudziło podejrzenia Juana. Bezlitosne i uparte poszukiwania w końcu doprowadziły go do informacji, których szukał.

Walker był głównym kontaktem ze światem podziemia, prawdziwym Judaszem w tym gronie. Po wszystkim potrzebował pomocy Sterna, żeby zatrzeć ślady przepływu pieniędzy, więc wciągnął agenta do spisku. Juan miał dowód współpracy Sterna i grzechów Walkera. Znajdowały się one w

komputerze Michaela Kingsleya.

– Zamierzałem dać wam hasło i pozwolić na ekstradycję Sterna. A kiedy by się tu pojawił... – Juan uśmiechnął się bardzo szeroko. – ... Wtedy bym się zemścił. Wyglądałoby to oczywiście na wypadek, bo przecież ja miałem być „martwy”, ale jakoś bym to zniósł. Najważniejsze, że świat by się dowiedział, zrozumiałby, że symbole nic nie znaczą, a najważniejsza jest dusza.

I mam wrażenie, że to mu się udało. Stern rzeczywiście jest w trakcie procedury ekstradycyjnej. Mam nadzieję, że umrze okropną śmiercią w więzieniu. On i Walker moim zdaniem są najbardziej odpowiedzialni za to, co się stało. Stworzyli tego potwora i gdyby Juan ograniczył się do zemsty tylko na tych dwóch, uznałabym, że sprawiedliwości stało się zadość. Ale on siał ogólne zniszczenie przez tyle lat, kończąc życie wielu ludzi. Niszczył niewinnych i tego nie mogę mu wybaczyć.

Zapytaliśmy Juana o wicedyrektora Jonesa. Zdradził tu zadziwiający pragmatyzm.

– Zabójstwo wicedyrektora jest zbyt ryzykowne. Chciałem odczekać i zabić go później.

Wszystko to wyjaśnia, dlaczego się ujawnił. To był zbieg wydarzeń, które miały nas doprowadzić do Cabrery i pogrążyć Sterna. A kiedy Stern by się pojawił...

Przeszywa mnie dreszcz, kiedy myślę, jak niewiele brakowało, żeby ten plan się powiódł.

Juan winił wszystkich ze starej grapy roboczej, że nie „widzieli” prawdziwych twarzy Walkera i Sterna. Jego zdaniem powinni byli go obronić. Ale tego nie zrobili. Zasługiwali na śmierć.

Był bardziej litościwy wobec kobiet, bo kobiety nie brały udziału w zdradzie.

– Ale były dziwkami, ślepyimi na ułomności dusz swoich mężów – podkreślił z chłodnym racjonalizmem.

Zawiodły. Zasłużyły na śmierć.

W całej tej sprawie chodziło o porażki, uświadomiłam sobie, w całej sprawie. Juan był skazany na porażkę zapewne od urodzenia, więc wyrósł na zabójcę niemającego litości dla tych, którzy ponoszą porażki.

Kiedy Juan mówił o Walkerze, zdawałam sobie sprawę, że oto mam przed oczyma najczystsza formę nienawiści, jakiej już pewnie nie doświadczę. Twarz miał spokojną, ale oczy aż kipiały, a głos drżał od trucizny i śmierci.

– Wyrwał mi się, ale nie jego dzieci i ich dzieci – mówił z nienawiścią i dumą zarazem. – Zniszczyłem Langstromów. Powinniście widzieć ich żal. To było wspaniałe! A ich śmierć była moją sprawiedliwością. Wiecie dlaczego? Bo dopilnowałem, żeby poszli do piekła! – Źrenice rozszerzyły mu się maksymalnie w ziejającą czerń. – Rozumiecie? Popełnili samobójstwo. Nieważne, co stanie się ze mną, oni na pewno teraz smażą się w piekle po wiek wieków!

I śmiał się, śmiał się i śmiał. Szaleństwo.

Zastanawiałam się, czemu zmieniał sposoby zabójstwa. Zastrzelił Haliburtona, zmuszając go wcześniej do napisania wiersza. Torturował i wykastrował Gonzaleza.

– Chodziło o rytuał – wyjaśnił mi. – O cierpienie. Przygotowałem każdemu z nich taką śmierć, która jeszcze za życia przyniesie im jak najwięcej cierpienia. Ból fizyczny był ważny, owszem, ale najważniejszy

był ból duchowy, chwała niech będzie Panu.

Sarah oczywiście była nim, ale tylko w jego mniemaniu. Uwijał się jak w ukropie, żeby wypaczyć jej życie, dawać poczucie zdrady, przedsmak koszmaru, przez który sam przeszedł. Był niemal pewien, że po wszystkim Sarah stanie się tym, kim on. Nadał jest przekonany, że tak się właśnie stało.

Ale ja wiem swoje. Sarah nie czuje się dobrze, ale nie stała się Juanem. Juan to zło. Sarah to dobro. Rzadko w mojej pracy myślę w takich czarno-białych kategoriach, ale tym razem jest to uzasadnione. Ma pooraną bliznami duszę, ale nie wdała się w nią gangrena.

Pan Wiesz Pan Kto, wspomniany w filmie Vargasa, już nie żył. Juan dawno o to zadbał. Uciekł swoim prześladowcom w wieku piętnastu lat. Cztery lata później wytropił ich i pozabijał jednego po drugim, każdego na swój koszmarny sposób. Film miał być fałszywym tropem, który miał nas na chwilę zająć i zmylić. Juan zapłacił Vargasowi za to nagranie.

– Tak bardzo odjechał – mówił Juan – że nawet nie zastanawiał się, po co mi ten film, nie pamiętał nawet, kim byłem. Uwierzycie w to? Narkomani naprawdę nie zasługują na Bożą miłość.

Stoimy więc przed nim w celi i zastanawiam się po co. Nie chcę tu być. Juan to beznadziejny przypadek, zasługujący na moją litość i wściekłość zarazem.

Patrzy tymi swoimi błyszczącymi oczami na Bonnie.

– Dlaczego poprosiłaś o spotkanie ze mną mała?

Bonnie cały czas zachowuje pogodę. Mam wrażenie, że nic sobie nie robi z Juana, z tego, kim jest. Otwiera notatnik na stole i zaczyna pisać. Patrzę zafascynowana.

Kończy i podaje mi notatnik. Pokazuje, że mam przeczytać to, co napisała.

– Ona pyta, czy znasz jej historię.

Juan kiwa głową wyraźnie zainteresowany.

– Oczywiście, że tak. Inspirujący akt cierpienia. Zmusić kogoś, żeby patrzył na gwałt i śmierć matki. Potem przywiązać go do jej ciała. Arcydzieło prawdziwego mistrza sztuki cierpienia.

– Ty popaprańcu – mówię głosem drżącym z wściekłości.

Bonnie kładzie mi dłoń na rękę. Zabiera notatnik. Patrzę z wściekłością na Juana, a Bonnie pisze dalej. Uśmiecha się do mnie. Znowu podaje mi notatnik. Czytam, co napisała, i serce mi zamiera.

– Ona... – Chrząkam. – Ona pyta, czy chciałbyś usłyszeć, dlaczego nie mówię. Prawdziwy powód. Jest przekonana, że ci się spodoba. – Odwracam się do Bonnie. – Chyba powinniśmy już pójść. Nie podoba mi się to.

Znowu klepie mnie po rękę. Spokojnie, spokojnie.

Zaufaj mi, mówią jej oczy.

Juan oblizuje usta. Zaczyna mu drgać ich kącik.

– Hm... bardzo chciałbym to usłyszeć – mówię.

Bonnie uśmiecha się do niego, bierze notatnik, pochyla się nad nim i pisze. Podaje mi, ale nim jestem w stanie coś przeczytać, patrzy mi w oczy.

Widzę w nich obawę. Widzę też nieco mądrości. Chyba za dużo jak na dziewczynkę w jej wieku. I widzę pokłady tego niezmiernego spokoju.

Weź się w garść, ale nie bój się, mogę wyczytać z jej wzroku.

Czytam, co napisała, i rozumiem dlaczego. Robię wielkie oczy. Braknie mi tchu. Chwilę później po policzku wbrew mojej woli spływa łza. Czuję

się, jakbym miała za chwilę się przewrócić.

Mój ból jest jak widok krwi dla Juana. Rozszerzają mu się nozdrza.

– Mów – odzywa się.

Patrzę otępiała na Bonnie. Do serca zakrada mi się rozpacz. Podarunek dla Juana? To prawda. Na pewno mu się to spodoba, zło w tym zawarte. Dlaczego chce mu dać tak okropną, okropną rzecz? Sięga do góry i ociera łzę z mojego policzka. *No już*, pogania mnie uśmiechem. *Zaufaj mi*. Biorę oddech.

– Ona mówi... – Przerywam. – Ona mówi, że skoro jej matka nie może mówić, to ona też postanowiła się nie odzywać.

Juan jest tym równie poruszony jak ja, ale z innych powodów. Otwiera szeroko usta i opiera się wygodniej. Mruga gwałtownie. Ma płytki, przyspieszony oddech.

Radość z cierpienia.

Patrzę na Bonnie.

– Możemy już iść? – pytam.

Czuję pustkę. Chcę iść do domu, wejść pod kołdrę i płakać.

Bonnie podnosi palec.

Jeszcze jedno, mówi.

Odwraca się do Juana i uśmiecha cudownie, pięknie i pogodnie. Ten uśmiech zawiera wszystko to, czego nie było w twarzy Sarah w kuchni u Juana. I Juan marszczy czoło. Czuje się nieswojo.

– Ale zmieniłam zdanie – mówi Bonnie czystym i wyraźnym głosem. – Stwierdziłam, że czas znowu przemówić.

Wstaję z krzesła tak gwałtownie, że się przewraca.

– Bonnie! – Z gardła wydobywa mi się krzyk.

Ona też wstaje. Wpycha sobie notatnik pod pachę i bierze mnie za rękę.

– Cześć, Smoky.

Teraz to mnie odbiera mowę.

– Chodźmy do domu – mówi.

Odwraca się do Juana. Teraz wygląda już mniej pogodnie.

– A pan niech się smaży w piekle, panie Juan.

Patrzy na nią rozgniewany, ale skupiony. Zrozumiał? – zastanawiam się.

W tej jednej chwili na swój sposób Bonnie była aniołem, którym kiedyś był Juan. Łagodnym i czystym, nie miała dla niego litości, nie zastanawiała się, kim był. Miała jedynie pewność, kim się stał.

Dała mu dar rozpacz i zabrała mu go, by ofiarować mi dar triumfu.

Stojąc w tej sali przesłuchań obok złego, zniszczonego człowieka, byłam szczęśliwsza niż kiedykolwiek od bardzo, bardzo dawna. I to chciała udowodnić Bonnie – mnie, nam, każdemu:

Nieważne, jak potoczy się życie, źli ludzie triumfują tylko wtedy, kiedy im na to pozwolimy.

W tamtej chwili zdałam sobie też sprawę, że nie przyjmę oferty z Quantico. Miałam dość uciekania. W tamtej chwili życie znów zaczęło jaśnieć.

I zawsze będzie. Trzeba mu tylko pozwolić.

Siedzę na krześle przed komputerem Matta i wpatruję się w ekran. W rękę trzymam lufkę tequili, która na pewno mi pomoże. Odwaga w płynie.

Patrzę na kieliszek i marszczę brwi.

Bonnie śpi. Porównuję w myślach jej siłę z moją słabością i jest mi wstyd.

Odstawiam kieliszek. Wpatruję się w ekran komputera.

lforUtwo4me.

Pięć dni. Tyle czasu minęło od mojego pierwszego spotkania z Sarah do chwili, kiedy schwytaliśmy Juana. Od tamtego czasu upłynęło już o wiele więcej dni, ale tych pięć tkwi we mnie jak całe lata.

Mam nową bliznę, bliznę Sarah. Nie widać jej, ale najgłębsze rany to te, których nie widać, ślady śmierci wewnątrz. Ciało starzeje się, więdnie i umiera. Dusza też się może starzeć. Sześćioletnia może się stać sześćdziesięcioletnią w ciągu jednego uderzenia serca.

Ale w przeciwieństwie do ciała, w duszy proces starzenia da się odwrócić. Może nie przywrócimy duszy młodości, ale na pewno werwę. Życie.

Podróż Sarah zostawiła we mnie głęboką ranę. Moje własne podróże postarzyły mnie zbyt mocno, zbyt szybko. Ale blizny są czymś więcej niż tylko pamiątkami po dawnych ranach. Są też dowodem zdrowienia.

Godzę się z tym, że zawsze będą się pojawiać chwile cierpienia z powodu Marta i Alexy. Tak już jest. Jedynym sposobem, by się od tego uwolnić, byłoby zapomnienie o nich na zawsze, a ja nie mam zamiaru

zapomnieć ani jednej cudownej chwili z nimi.

Godzę się, że będą chwile wielkiego strachu o Bonnie, i godzę się, że być może to nigdy nie minie. Wszyscy rodzice boją się o dzieci, a ja mam więcej powodów, by się bać, niż większość rodziców.

Popelniam błędy, nie wyszłam z przeszłości bez szwanku, ale żyję i jestem prawie pewna, że częściej będę szczęśliwa niż nieszczęśliwa. Jestem prawie pewna, że część mojego życia nadal będzie jaśniała.

O nic więcej nie mogę prosić. Mogę mieć nadzieję, ale nie mogę prosić.

Skończyliśmy pakowanie rzeczy z domu. Zrobiłam to wraz z Bonnie. Zmieniłyśmy pokój Alexy w pracownię. To doskonały pomnik.

Teraz została ostatnia sprawa.

lforUtwo4me.

Uświadomiłam sobie, że mój strach nie wiąże się z tym, co mogłabym znaleźć.

Kochasz kogoś, żyjesz z nim, wychodzisz za niego. Przez całe życie poznajesz go coraz lepiej. Codziennie, co miesiąc, co rok uczyłam się o Matcie czegoś nowego. A potem umarł i przestałam się uczyć.

Aż do teraz.

Jeśli wywołam lforUtwo4me i zajrzę do katalogu z napisem „prywatne”, mogę dowiedzieć się czegoś dobrego albo złego, ale cokolwiek by to było, będzie to ostatnia nowa rzecz, jakiej dowiem się o moim mężu.

Boję się tej ostateczności.

Może powinnam to zostawić. Zostawić na dzień, kiedy się zestarzeję, posiwieję i będę za nim tęsknić.

Nie zważam na tequilę. Pochylam się i klikam w ikonę. Wprowadzam

hasło i uzyskuję dostęp.

Widzę ikony pokazujące, że pliki w teczce to zdjęcia. Wszystkie są ponumerowane. Najeżdżam kursorem na jedno z nich i się wstrzymuję.

Co zobaczę, kiedy w nie kliknę?

Przez chwilę, tylko przez chwilę, zastanawiam się, czy nie wykasować wszystkiego. Powstrzymuję się jednak.

Klikam w pierwsze i po chwili widzę je na ekranie. Rozdziawiam usta.

To moje zdjęcie. Moje i Matta. Uprawiamy seks.

Mrużę oczy, patrzę uważniej i przypominam sobie. Zdjęcie zrobiono z ukosu, widać nasze ciała z boku. Głowę mam odchylną do tyłu, oczy zamknięte w skupieniu i ekstazie. Matt patrzy na mnie z góry, z lekko otwartymi ustami.

Nie jest to zdjęcie” artystyczne, ale nie epatuje też szczegółami anatomii. Wygląda na amatorską fotografię. Bo to jest amatorska fotografia.

Matt i ja przeszliśmy przez pewien okres, który – jak się dowiedziałam – przechodzą wszystkie pary. Okres, w którym seks staje się przedmiotem ogromnej fascynacji i poszukiwań. Próbuje się różnych rzeczy, eksperymentuje. W końcu każdy odkrywa pole kompromisu, równowagi między tym, co nas podnieca, a nie przynosi wstydu. To dziwny czas, pełen pomyłek. Wymaga zaufania. Poszukiwania nie zawsze są udane. Czasami bywają wstydlive.

Matt i ja bawiliśmy się w robienie sobie nawzajem zdjęć nago i zdjęć podczas uprawiania seksu. Początkowo nas to podniecało, ale nie trwało długo. Nie wstydziliśmy się tego, po prostu nam przeszło. Spróbowaliśmy, było ciekawie, i ruszyliśmy dalej.

Przeoglądam zdjęcia, otwieram jedno po drugim, przypominam sobie każdą chwilę. Są tu moje zdjęcia, na których próbuję być uwodzicielska (choć wyglądam głupio). Znajduję zdjęcie Matta, który siedzi na łożku, oparty o wezglowie. Uśmiecha się. Zamykam oczy. Nie potrzebuję zdjęcia. Widzę ten uśmiech, te zmierzwione włosy, błysk w oczach. Widzę jego penis i przypominam sobie, jak myślałam kiedyś, że znam go lepiej niż jakakolwiek inna kobieta na świecie. Był we mnie, na mnie, przy mnie. Dotykałam go, śmiałam się do niego, wściekałam się, kiedy był zbyt wymagający. Straciłam z nim moje dziewictwo.

Pieką mnie oczy. Te chwile już nigdy nie wrócą, myślę. Nie wiem, co przyniesie mi przyszłość, jeśli chodzi o miłość i związki. Ale wiem, że nigdy już nie będę taka młoda, nigdy nie poczuję żądzę poszukiwań w tej konkretnej sferze.

Matt i ja sprawdziliśmy wszystko. Pieprzyliśmy się, kłóciliśmy, śmialiśmy się, płakaliśmy, uczyliśmy się. Ta ciekawość została już zaspokojona i odeszła.

To należało do niego, tylko do niego.

– IforUtwo4me, kochanie. – Uśmiecham się i łyżę płynami po policzkach.

Matt nie odpowiada. Uśmiecha się. Czeka. Powiedz to, mówi jego uśmiech. Więc mówię.

– Żegnaj, Matt.

Zamykam katalog.

Gotowa? – pyta Tommy.

– Zapnij mnie i możemy jechać – mówię.

Zapina zamek i przytula mnie zdrową ręką. Całuje mnie w szyję. Miłe znajome uczucie.

Słyszę kroki na schodach. W drzwiach staje moja przedwcześnie dojrzała córka. Przewraca oczami i robi złośliwą minę.

– Rany, nie możecie się powstrzymać? Chcę jechać do Sarah.

– Tak, tak, pączusiu. – Uśmiecham się i wyplątuję z objęć Tommy’ego.

– Jesteśmy gotowi.

Minął miesiąc. Przez tydzień Sarah leżała zwinięta w kłębek. Tydzień później zaczęła mówić. Theresa, Bonnie i Elaina całymi godzinami siedziały przy jej łóżku w szpitalu, wyciągając ją z rozpacz.

Ale dopiero Cathy Jones udało się do niej dotrzeć. Callie przyprowadziła policjantkę do szpitala. Sarah zobaczyła ją i zalała się łzami. Cathy podeszła do niej, objęła ją, a my wyszliśmy i zostawiłyśmy je same.

Theresa była tak cudowna i silna, jak opisała ją Sarah. Nie chciała, żeby się z nią cackać. Chciała przede wszystkim zobaczyć Sarah. Miała w sobie moc, ciepło, którego Juan nie zdołał zdusić. I to daje mi nadzieję dla Sarah.

W zeszłym tygodniu odebrałam telefon. Sarah wracała do domu. Naprawdę wracała do domu – do tego domu, który opuściła wiele lat temu. Wszyscy dostrzegli ironię tego prezentu od Juana. Ale mieliśmy to gdzieś.

Na żądanie Teresy wprowadziła się do nich Cathy. Theresa posprzątała dom od piwnic aż po dach, pootwierała okiennice i znów wpuściła światło. Powiesiła obraz naprzeciw łóżka Sarah.

Ja też miałam pewien pomysł. Z pomocą Teresy sprawdziłam, czy da się go zrealizować, i okazało się, że tak. Mielśmy prezent na powitanie, który z pewnością spodoba się Sarah.

– Już jesteśmy na miejscu? – pyta Bonnie.

– Już prawie – odpowiada Tommy. – Muszę tylko sobie przypomnieć, gdzie mam skręcić. Cholerne uliczki Malibu.

– W lewo – odpowiada cierpliwie Bonnie. – Znam mapę na pamięć. Siedzę wygodnie i nie mogę się nacieszyć brzmieniem głosu Bonnie.

Jest dla mnie jak magia. Muzyka.

– Dojechaliśmy.

Zatrzymujemy się. Elaina, Theresa i Callie wychodzą, żeby nas powitać, a za nimi niespodziewany gość – Kirby.

– Już jest? – pyta Bonnie, podbiegając do nich.

– Tak. – Elaina się uśmiecha. – Jest w środku, odpoczywa. Bonnie puszcza się biegiem w stronę drzwi.

– Widzę, jakie teraz zajmujemy miejsce w hierarchii – mówi Callie. – Jesteśmy mało interesujące, kochaniutka, mało interesujące i stare.

– Mów za siebie, Ruda – szczebioce Kirby. – Ja tam nie zamierzam się zestarzeć.

– Bo wcześniej umrzesz – dudni Brady, który wyłania się z domu. Brady umawia się z Callie na randki. Pamiętam, jak opowiadała mi o swoich problemach w związkach, o swojej „szklance do połowy puste”, i zastanawiam się, czy to się zmieni. Mam nadzieję, że tak. Wciąż sięga do

kieszni marynarki po vicodin częściej, niż bym chciała, i wynik tego wszystkiego wciąż jest niepewny, ale są różne rodzaje bólu, a ból samotności... na to nie ma żadnych pigułek.

Muska mnie to zniecka, nie jak nietoperz czy gołąb, ale coś pomiędzy. Alan, którego prześladowa wrzask matki. Callie, doskonała na zewnątrz, w środku lekko skrzywdzona. Ja i moje bliźni. Uświadamiam sobie, że wymieniamy się przyjemnościami i cierpieniem, w obie strony, na zawsze. Jemy nasze pączki, szukając czegoś jaśniejszego w pobliżu źródła z zatrutą wodą.

I tak jest dobrze. Takie jest życie. Wciąż najlepsza alternatywa dla śmierci.

– I co – mówi Theresa z podnieceniem. – Przyrowadzisz go?

Uśmiecham się.

– Natychmiast. Zaraz do was dołączę.

Wszyscy idą do domu. Wkrótce przybędą inni zaproszeni. Córka Callie i jej wnuk. Barry Franklin. Ludzie, których naznaczył Juan, albo ci, którzy chcą po prostu przywrócić Sarah nadzieję. Ludzie, którzy chcą, żeby ten cykl zakończył się na Juanie. Którzy chcą mieć pewność, że Sarah nie stanie się Zrujnowanym Życiem.

Idę do sąsiedniego domu i pukam. Chwilę później drzwi się otwierają. Staje w nich Jamie Overman i zaprasza mnie do środka. Obok pojawia się jej mąż.

– Dziękuję za to – mówię. – I nie tylko za to. To dzięki wam jest to w ogóle możliwe.

John jest nieśmiały. Uśmiecha się i nic nie mówi. Jamie kiwa głową.

– Cała przyjemność po naszej stronie. Sam i Linda byli dobrymi

sąsiadami i ludźmi. Zaraz ją przyprowadzę.

Jamie wychodzi i po chwili wraca z tym, po co przyszłam. Czymś z przeszłości, co powinno dać Sarah trochę nadziei.

Patrzę na Dawcę Nadziei, coś żywego z dawno martwej przeszłości. Jest starsza, wolniejsza, bardziej siwa. Ale w jej oczach widzę iskrę głupiej miłości i oczekiwania. Aż się uśmiecham.

– Witaj, Doreen – mówię i kucam, żeby popatrzeć jej w oczy. Macha ogonem i liże mnie po twarzy.

Cześć Kocham cię co będziemy robić?

– Chodźmy, maleńka. Chcę cię przedstawić komuś znajomemu. Bardzo cię potrzebuje.

Podziękowania

Dla Lizy i Havisa Dawsonów, jak zwykle za wielkie wsparcie, porady, zachętę i reprezentację. Dla Danielle Perez i Nicka Sayersa, moich redaktorów z wydawnictw Bantam i Hodder. To była niełatwa książka, a oni nie pozwolili mi jej skończyć, póki nie była naprawdę gotowa. Dla Chandlera Crawforda za świetne reprezentowanie za granicą. Na koniec, dla mojej rodziny i przyjaciół za to, że znosili mnie, kiedy pisałam tę książkę. Nie wiem, jak jest w przypadku innych pisarzy, ale autor tej książki bywa nie do zniesienia, kiedy pisanie zaczyna mu iść ciężko.